Nowa Fantastyka

OPOWIEŚĆ O ALVINIE STWÓRCY

ORSON SCOTT CARD

ALVIN CZELADNIK

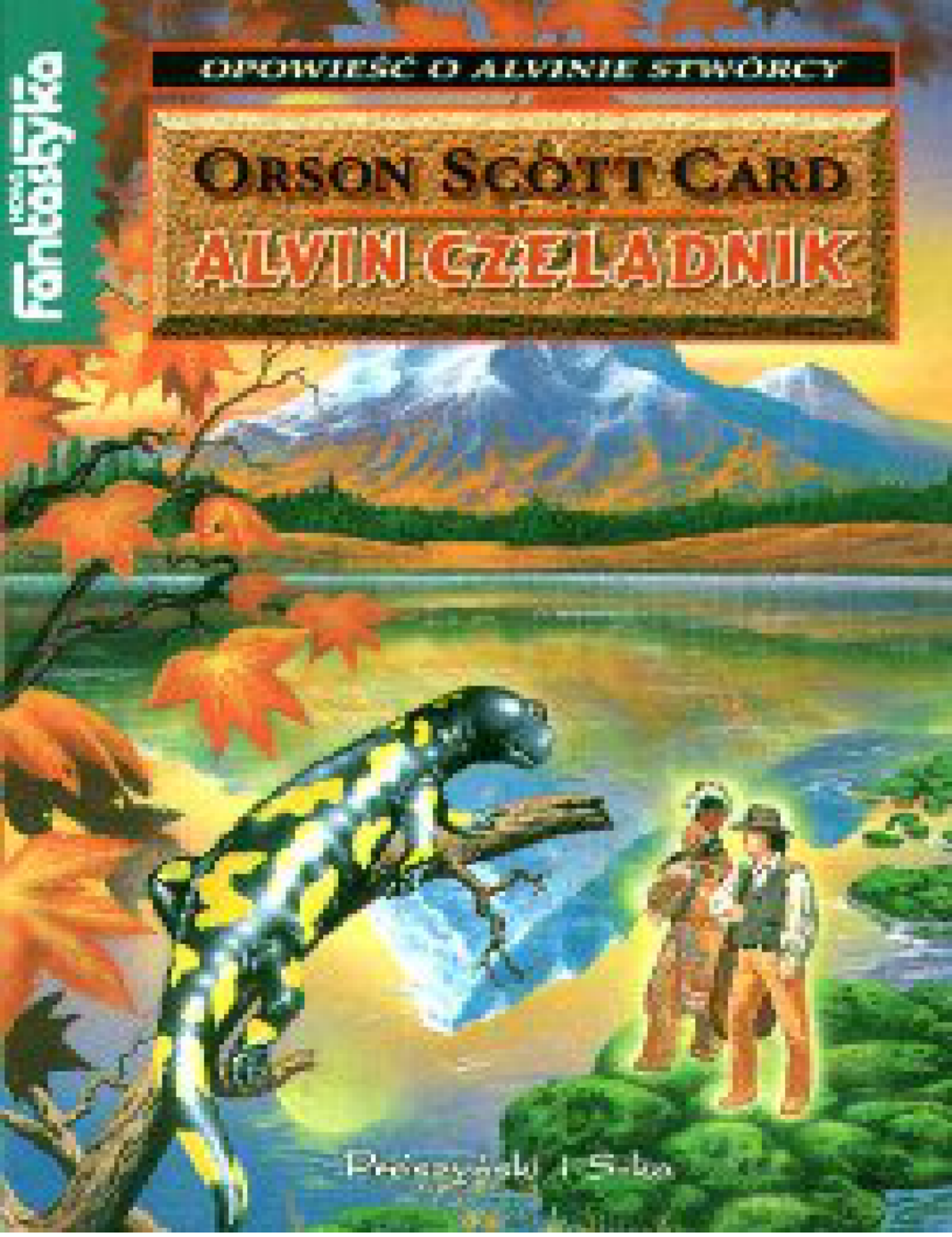

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Alvin Smith znowu wyrusza w świat i szybko trafia do wiezienia, oskarżony przez swego dawnego mistrza o kradzież złotego pługa. Proces musi właściwie wykazać, że Alvin naprawdę jest Stwórcą. Tymczasem jego brat, Calvin, płynie do Europy, gdzie spotyka Napoleona i Balzaca. Od Napoleona uczy się manipulowania ludźmi, z Balzakiem wraca do Ameryki. Razem stanowią groźną parę.

- Orson Scott Card
  -
  - Podziękowania
  - ROZDZIAŁ 1 — MYŚLAŁEM, ŻE SKOŃCZYŁEM
  - ROZDZIAŁ 2 — HIPOKRYCI
  - ROZDZIAŁ 3 — OBSERWATORZY
  - ROZDZIAŁ 4 — CEL
  - ROZDZIAŁ 5 — ZWROT
  - ROZDZIAŁ 6 — PRAWDZIWA MIŁOŚĆ
  - ROZDZIAŁ 7 — BILET NA STATEK
  - ROZDZIAŁ 8 — ODEJŚCIE
  - ROZDZIAŁ 9 — COOPER
  - ROZDZIAŁ 10 — WITAJ W DOMU
  - ROZDZIAŁ 11 — WIĘZIENIE
  - ROZDZIAŁ 12 — PRAWNICY
  - ROZDZIAŁ 13 — MANEWRY
  - ROZDZIAŁ 14 — ŚWIADKOWIE
  - ROZDZIAŁ 15 — MIŁOŚĆ
  - ROZDZIAŁ 16 — PRAWDA
  - ROZDZIAŁ 17 — DECYZJE
  - ROZDZIAŁ 18 — PODRÓŻE
  - ROZDZIAŁ 19 — FILADELFIA

Orson Scott Card
Alvin Czeladnik

Jasonowi Lewisowi
długonogiemu wędrowcy
przemierzającemu knieje
i śniącemu prawdziwe sny

Podziękowania

Od kilku lat na każdej sesji autografów, po każdym wystąpieniu pytano mnie, czy powstanie kolejna książka o Alvinie Stwórcy. Odpowiedź brzmiała zawsze: Tak, ale nie wiem kiedy. Mój wstępny plan „Opowieści o Alvinie Stwórcy" dawno już został zarzucony i chociaż wiedziałem o pewnych wydarzeniach, które będą miały miejsce w tej książce, wciąż nie znałem w dostatecznym stopniu losów Alvina, Peggy, Bajarza, Arthura Stuarta, Measure'a, Cahtina, Verily Coopera i innych. Nie mogłem zacząć pisać.

W końcu przełamałem blokadę i opowieść wyszła taka, jak powinna, a przynajmniej tak bliska stanu pożądanego, jak tylko potrafiłem ją uczynić. Pisząc, cały czas pamiętałem o setkach czytelników czekających na „Alvina czeladnika". Fakt, że książka była oczekiwana, dodawał mi odwagi, a równocześnie napełniał lękiem. Zdawałem sobie sprawę, że przynajmniej niektóre wymagania będą tak wysokie, iż cokolwiek napiszę, może wywołać rozczarowanie. Rozczarowanym wyrażam swój żal, że rzeczywistość nigdy nie dorównuje oczekiwaniom (Gwiazdka jest tu dobrym przykładem). A wszystkim, którzy liczyli na tę książkę, dziękuję za otuchę.

Dziękuję wielu czytelnikom z America Online, którzy zjawiali się na spotkaniach w Hatrack River i ściągali kolejne rozdziały, zgłaszając cenne uwagi. Ci bystrzy czytelnicy wykryli niespójności i urwane wątki, pytania zadane w poprzednich tomach i wymagające odpowiedzi. W szczególności Newel Wright, Jane Brady i Len Olen zyskali moją dozgonną wdzięczność: Jane przygotowując chronologię wydarzeń w poprzednich toniach, Newel ratując mnie przed dwoma potwornymi pomyłkami, a Len dzięki swej dokładnej korekcie, w której wychwycił kilka błędów, jakie przeoczyli wszyscy redaktorzy i ja sam. Dziękuję także Davidowi Foxowi za staranną lekturę pierwszych dziewięciu rozdziałów w punkcie kluczowym dla kompozycji opowieści.

Choć tego nie planowałem, na spotkaniach w Hatrack River w AOL narodziła się pewna szczególna społeczność. Ludzie zaczęli się pojawiać nie jako oni sami, ale jako postaci żyjące w świecie Alvina, zajmujące się rzemiosłem czy rolnictwem w tym fikcyjnym mieście. Nie mogłem się oprzeć pokusie, by nie wspomnieć w tekście o wielu tych postaciach; żałuję, że nie zdołałem umieścić wszystkich. Jeśli chcecie dowiedzieć się czegoś więcej o tych wspaniałych osobach, odwiedźcie nas w sieci (słowo kluczowe: Hatrack).

Jedyną aktywną sieciową postać, którą intensywnie wykorzystałem, tworząc tę książkę, wymyśliłem sam jako całkowicie fikcyjną; Kathryn Kidd (w Hatrack: GoodyTradr) i ja (w Hatrack:

HoracGuest) wspominaliśmy od czasu do czasu o dość zabawnej nieuleczalnej plotkarce, Vilate Franker. Kilka lat później pojawiła się nasza dobra przyjaciółka, Melissa Wunderly, która zgodziła się odgrywać jej rolę w sieciowej społeczności. To właśnie Melissa wlała w nią życie — ze sztuczną szczęką i całą resztą. Jednak „najlepsza przyjaciółka" Vilate to mój pomysł i nie można obwiniać Melissy za niełądne zachowanie Vilate w tej książce. Wdzięczny jestem Kathryn Kidd, że pozwoliła mi wykorzystać swoją postać, Goody Trader, w kilku ważnych momentach.

Chylę kapelusza przed Grahamem Robbem, którego znakomita i świetnie napisana książka „Balzac: A Biography" (Norton 1994) nie tylko dawała mi ucieczkę od pisania, ale też podstawę do stworzenia postaci, którą osobiście lubię.

Jak w przypadku wielu poprzednich powieści, każdy rozdział — gdy tylko wysuwał się z drukarki czy z faksu — czytała moja żona Kristine, mój syn Geoffrey, moja przyjaciółka i czasem współpracowniczka Kathryn H. Kidd. Ich reakcje miały dla mnie nieocenioną wartość.

Podziękowania należą się tym, dzięki którym nasze biuro i dom wciąż funkcjonują, gdy wpadam (zbyt rzadko) w tryb pisarski: Kathleen Bellamy, która pilnuje interesu, i Scottowi Allenowi, który podtrzymuje działanie komputerów i samego domu. Dziękuję także Jasonowi, Amandzie i (w jednym przypadku) Michaelowi Lewisowi, za wykopane i zasypane doły, oraz Emily, Kathryn i Amandzie Jensen za spokojne noce.

Gdyby nie Kristine, Geoffrey, Emily, Charlie Ben i Zina Meg, wątpię, czy w ogóle bym coś napisał. Dzięki nim warto wykonywać tę pracę.

ROZDZIAŁ 1 — MYŚLAŁEM, ŻE SKOŃCZYŁEM

Myślałem, że skończyłem już pisać o Alvinie Smisie. Ludzie ciągle mi powtarzali, że wcale nie, ale rozumiałem dlaczego — bo wszyscy słyszeli Bajarza i wiedzą, jak on opowiada swoje historie. Kiedy kończy, wszystko jest elegancko zapakowane; wiadomo, co znaczyły różne rzeczy i z jakiego powodu się wydarzyły. Owszem, nie tłumaczy tego, ale zawsze ma się uczucie, że we wszystkim jest jakiś sens.

No cóż, nie jestem Bajarzem, co pewnie niektórzy z was już zauważyli — przecież nie jestem do niego podobny. I jeszcze przez jakiś czas nie zamierzam zostać Bajarzem ani nikim takim jak on. Nie dlatego że nie uważam go za porządnego człowieka, wartego naśladowania przez innych, ale głównie dlatego że nie widzę spraw tak, jak on je widzi. Nie wszystko się dla mnie układa. Rzeczy po prostu się zdarzają i czasami można wyciągnąć jakiś sens z okrucieństwa, a czasem najszczęśliwszy dzień jest zwykłą bzdurą. Nic nie da się przewidzieć i na pewno niczego nie można zmusić, żeby się wydarzyło. Najgorsze nieszczęścia, jakie widziałem w życiu, brały się z tego, że ludzie próbowali zmusić wydarzenia, by działy się sensownie.

Dlatego ułożyłem wszystko, co wiedziałem o życiu Alvina, aż do momentu kiedy zrobił złoty pług na swój egzamin czeladniczy; opowiedziałem, jak wrócił do Vigor i zaczął uczyć ludzi, jak być Stwórcami, i że już wtedy źle się działo między nim a jego bratem Calvinem. Myślałem, że to wszystko, bo potem każdy, kogo to obchodzi, był na miejscu i mógł sam zobaczyć albo znać kogoś, kto był i widział. Żeby skończyć ze złośliwymi pogłoskami, opowiedziałem wam prawdę o tym, jak Alvin zabił człowieka. Powiedziałem, dlaczego złamał prawo o zbiegłych niewolnikach i jak zginęła mama Peggy Larner. Wierzcie mi, to był już koniec historii, jak ja ją widziałem.

Ale pewnie z takim końcem nie miała sensu, więc różni tacy wypytywali mnie ciągle, czy nie wiem czegoś jeszcze, co mógłbym opowiedzieć. Wiedziałem. I nie miałem nic przeciwko opowiadaniu. Tylko nie sądźcie, że kiedy już skończę, dla wszystkich będzie jasne, o co w tym chodziło, bo sam tego nie wiem. Prawda jest taka, że opowieść jeszcze się nie skończyła, i mam nadzieję, że się nie skończy; mogę jedynie liczyć, że wytłumaczę, jak wygląda ona dla tego człowieka właśnie tutaj i w tej chwili. Nie mogę wam nawet obiecać, że jutro nie zrozumiem z niej więcej, niż piszę teraz.

Nie mam talentu do opowiadania. Fakt, Bajarz też nie, i on sam pierwszy wam to przyzna. Zbiera opowieści, to prawda, a te zebrane

są ważne i słuchacie ich, bo sama treść ma znaczenie. Ale wiecie, że nic nie robi z głosem, nie toczy oczami, nie wykonuje szerokich gestów jak prawdziwi oratorzy. Głos ma nie dość mocny, żeby wypełnić porządną chatę, a co dopiero namiot. Nie, nie ma talentu do opowiadania. Jeśli już, to jest malarzem, a może rzeźbiarzem czy drukarzem albo kimś jeszcze, kto tylko może się przydać, żeby coś opowiedzieć czy pokazać; ale nie jest geniuszem w żadnym z tych fachów.

Faktem jest, że jeśli spytacie Bajarza, do czego ma talent, odpowie wam, że do niczego. Nie kłamie — nikt nie może Bajarzowi zarzucić kłamstwa. Nie, po prostu kiedy był jeszcze chłopcem, marzył o pewnym szczególnym talencie; przez całe życie wydawało mu się, że tylko ten talent warto mieć, a że go nie ma — tak myśli — to cóż, w takim razie na pewno nie ma żadnego. Nie udawajcie, że nie wiecie, jakiego talentu pragnie, bo praktycznie rzuca wam to w twarz, kiedy tylko dłużej pogada. Chciałby prorokować. To dlatego zawsze strasznie zazdrościł Peggy Larner — bo ona jest żagwią i od dziecka widzi wszystkie możliwości przyszłego ludzkiego życia, a chociaż to nie to samo co znać przyszłość — co naprawdę się stanie, a nie co może się stać — przecież niewiele brakuje. Tak niewiele, że moim zdaniem Bajarz byłby szczęśliwy, gdyby na pięć minut mógł stać się żagwią. Gdyby mu się udało na jeden tydzień, to na śmierć zauśmiechałby się z radości.

Ale kiedy Bajarz mówi, że nie ma żadnego talentu, to powiem wam, że nie ma racji. Jak wielu ludzi, i on ma talent, ale o tym nie wie, bo właśnie tak działa talent — komuś, kto go ma, wydaje się całkiem naturalny, jak oddech; człowiek nie podejrzewa, że to właśnie jest jego niezwykła moc, bo, do licha, to przecież łatwe. Nie wie się, że to talent, dopóki ludzie dookoła nie zdziwią się tym, nie rozzłoszczą, nie podniecą czy okażą inne jeszcze uczucia, jakie talenty wzbudzają w ludziach. Wtedy woła: „O rany, inni nie umieją tego robić! Mam talent!”, i od tej chwili nie ma z nim spokoju, dopóki się wreszcie nie uciszy i nie przestanie chwalić, jak to potrafi robić to głupstwo, co nie dziwiło go nigdy przedtem, póki nie stracił jeszcze rozsądku.

Niektórzy w ogóle nie wiedzą, że mają talent, bo nikt inny też tego nie widzi. Tak jest z Bajarzem. Nie zauważyłem nic, dopóki nie zacząłem układać swoich wspomnień i wszystkiego, co słyszałem o życiu Alvina Stwórcy. Chciałem przedstawić jego wizerunek z młotem w kuźni, byśmy nie zapomnieli, że ma uczciwy fach, z trudem zdobyty własnym potem, że nie przetańczył przez życie w kadrylu z damą Fortuną jako czułą partnerką… Jakbyśmy w ogóle myśleli, że łączy ich coś więcej niż zwykły flirt, a pewnie gdyby kiedyś podszedł do niej bliżej, zobaczyłby, że i tak jest dziobata — Fortuna zawsze jakoś staje po stronie Niszczyciela, kiedy tylko ludzie zaczynają wierzyć, że ich

ocali. Ale odchodzę od tematu; musiałem zajrzeć na początek akapitu, żeby zobaczyć, o czym w ogóle mówię, u diabła (i już słyszę, jak wszystkie pruderyjne świętoszki wołają: „Co on wyczynia, spisując przekleństwa na papierze? Czy nie zna przyzwoitego języka?" Na co ja mówię: „Kiedy przeklinam, nikomu krzywdy nie robię, od tego mój język jest barwniejszy, a Bóg mi świadkiem, umiem używać koloru". Mogę zapewnić, że potrafię mówić językiem o wiele barwniejszym niż w tej chwili, ale już się uspokajam, żebyście nie dostali apopleksji od czytania moich słów. Nie mam ochoty połowy życia spędzić na pogrzebach ludzi, którzy umarli na zawał przy czytaniu tej książki. A zamiast krytykować mnie za brzydkie słowa, co mi się wymsknęły, czemu mnie nie wychwalacie za słowa prawdziwie paskudne, które cnotliwie opuszczam? Wszystko, moim zdaniem, zależy od punktu widzenia; na dodatek, jeśli macie czas się złościć na mój język, to na pewno brakuje go wam na pracę, więc chętnie skontaktuję was z ludźmi, którym przyda się pomoc w twórczej pracy), więc znowu spojrzałem na początek tego akapitu, żeby sprawdzić, o czym, u diabła, mówiłem. Chodzi o to, że kiedy układałem sobie te wszystkie opowieści, zauważyłem, że Bajarz ciągle pojawia się w najróżniejszych miejscach dokładnie w chwili, kiedy coś ważnego ma się zdarzyć, więc nic dziwnego, że był świadkiem, a nawet uczestnikiem zadziwiająco wielu wypadków.

A teraz zapytam was wprost, przyjaciele. Jeżeli człowiek czuje głęboko w kościach, kiedy ma się przydarzyć coś ważnego i gdzie, i z takim wyprzedzeniem, że może tam dojść i być świadkiem, zanim to coś w ogóle się zacznie, to czy to nie jest proroctwo? Znaczy, dlaczego w ogóle William Blake wyjechał z Anglii i przypłynął do Ameryki, jeśli nie dlatego że wiedział, jak to świat ma się rozerwać i znowu, po tylu pokoleniach, wydać nowego Stwórcę? Nie wiedział o tym świadomie, ale to nie znaczy, że nie jest prorokiem. Myśli, że musi być prorokiem w słowach, ale ja twierdzę, że jest prorokiem w kościach. I dlatego, nie zdając sobie sprawy z powodów, zawędrował do Vigor Kościoła, do młyna ojca Alvina, dokładnie tego dnia i godziny, kiedy młodszy brat Alvina, Calvin, postanowił uciec i szukać kłopotów gdzieś daleko. Bajarz nie miał pojęcia, co się stanie, ale był tam, ludziska! I kiedy ktoś — Bajarza nie wyłączając — powie wam, że Bajarz nie ma żadnego talentu, to jest patentowanym durniem. Oczywiście w najmilszym możliwym sensie, jak by powiedział Horacy Guester.

Podejmuję więc opowieść tego dnia, od którego chcę zacząć. Przede wszystkim dlatego że — mówię to z doświadczenia — nic ciekawego nie zdarzyło się przez te długie miesiące, kiedy Alvin próbował nauczyć gromadę zwykłych ludzi, jak być Stwórcami takimi jak on, zamiast… Ale wszystko w swoim czasie. Powiedzmy tylko, że niektórzy będą źli na mnie, bo nie opowiadam o Alvinowych lekcjach

Stwarzania, o każdej nudnej chwili każdej lekcji, kiedy to starał się ryby nauczyć skakania.

Ale gwarantuję, że pominięcie tych dni w mojej historii jest aktem miłosierdzia.

Wielu ludzi wystąpi w tej opowieści i wiele w niej będzie zamieszania, ale nie ma na to rady. Gdybym uczynił ją jasną i prostą, tobym skłamał. Była poplątana, uczestniczyło w niej wiele różnych osób, a także, prawdę mówiąc, zdarzyło się wiele rzeczy, o których nie miałem pojęcia i ciągle nie wiem zbyt dużo. Chciałbym obiecać, że opowiem o wszystkim, co jest ważne, i o wszystkich ważnych ludziach, ale zdaję sobie sprawę, że pewne ważne wydarzenia nie są mi znane i o pewnych ważnych osobach nie wiedziałem, że są ważne. Są sprawy, o których nikt nie wie, i takie, że ci, co wiedzą, nikomu nie mówią, i jeszcze takie, że ci, co wiedzą, nie mają o tym pojęcia. I choćbym nawet próbował wyjaśnić różne rzeczy tak, jak sam je rozumiem, i tak pominę niektóre, choć tego nie chcę, albo opowiem coś dwukrotnie, albo zaprzeczę czemuś, o czym już wiecie. Mogę tylko powiedzieć: żaden ze mnie Bajarz, a jeśli chcecie poznać najgłębszą prawdę, namówcie go, żeby rozpieczętował te końcowe dwie trzecie swojej książki i przeczytał, co tam ma napisane. Założę się, że choć nie uważa się za proroka, usłyszycie o takich sprawach, że włosy wam się skręcą albo wyprostują, zależy.

Jest wszakże pewna tajemnica, której rozwiązania zwyczajnie nie znam, chociaż jest chyba najważniejsza. Może kiedy opowiem wam dosyć, sami zrozumiecie. Ale ja nie wiem, dlaczego Calvin stał się właśnie taki. Był grzecznym chłopcem — wszyscy to mówią. On i Alvin byli sobie tak bliscy, jak tylko mogą być bracia. Znaczy owszem, bili się czasem, ale bez złości; Cally dorastał w przekonaniu, że Al oddałby za niego życie. Dlaczego więc zazdrość zaczęła podgryzać Calvinowe serce, dlaczego odwrócił się od brata i chciał zniszczyć jego dzieło? Sporo z tego, co chcę wam opowiedzieć, słyszałem z własnych ust Cally'ego, ale na pewno nie usiadł i nie wyjaśnił mi — ani nikomu — dlaczego się zmienił. Jasne, wielu tłumaczył, dlaczego nienawidzi Alvina, ale w jego słowach nie zadźwięczała prawda, jako że zawsze oskarżał Alvina o to, czego jego słuchacze najbardziej nie znosili. Purytanom mówił, że nienawidzi Alvina, bo widział, jak zawiera przymierze z diabłem. Ludziom króla opowiadał, że nienawidzi Alvina, bo ten posunął się do morderstwa, żeby nie pozwolić właścicielowi na odzyskanie skradzionej własności, zbiegłego niewolnika, chłopca nazywającego się Arthur Stuart (a rojaliści zgrzytali zębami na samą myśl o tym, że pół-Czarny nazywa się jak król). Calvin zawsze miał gotową historię, usprawiedliwiającą go w oczach obcych, ale nigdy ani słowem nie wytłumaczył się przed nami, którzy znamy prawdę o Alvinie Stwórcy.

Powiem tyle: kiedy spojrzałem na Calvina w Vigor Kościele, w owym roku, kiedy Alvin próbował uczyć Stwarzania, zanim jeszcze odszedł, zapewniam was, ludziska, że Calvin już przekroczył granicę. W jego sercu każde słowo Alvina było jak trucizna. Jeśli Alvin nie zwracał na niego uwagi, Calvin czuł się zaniedbany i mówił to głośno. Ale jeśli Alvin zwracał na niego uwagę, Calvin chodził skwaszony i ponury, mówiąc, że Alvin nie daje mu spokoju. Nie można go było zadowolić.

Ale powiedzieć, że był „na nie", to tylko nazwać jego zachowanie, a nie wyjaśnić, dlaczego się tak zachowywał. Czegoś tam mogę się domyślać, ale to tylko domysły, nawet nie to, co nazywają „rozsądnymi domysłami", bo przecież żaden rozsądek nie pozwala jednemu człowiekowi zgadywać lepiej niż innemu. Albo się coś wie, albo nie, a ja nie wiem.

Nie wiem, dlaczego ludzie, którzy mają wszystko, co im potrzebne do szczęścia, nie są po prostu szczęśliwi. Nie wiem, dlaczego samotni ludzie ciągle odpychają wszystkich, którzy chcą się z nimi zaprzyjaźnić. Nie wiem, dlaczego ludzie obwiniają o swoje kłopoty słabych i łagodnych, a prawdziwemu wrogowi pozwalają ujść bezkarnie. I na pewno nie wiem, dlaczego się męczę i spisuję to wszystko, kiedy jestem pewien, że i tak nie będziecie zadowoleni.

Jedno wam powiem o Calvinie. Kiedyś widziałem go na lekcji Alvina i przynajmniej raz uważał, pilnie słuchał każdego słowa brata. Pomyślałem wtedy: nareszcie zmądrzał. Nareszcie zrozumiał, że jeśli chce być siódmym synem siódmego syna, jeśli naprawdę chce być Stwórcą, musi się tego nauczyć od brata.

Lekcja się skończyła, a ja patrzyłem na Calvina; wszyscy wyszli do swoich zajęć, tylko ja i on zostaliśmy w sali. Wtedy się do mnie odezwał — zwykle mnie nie zauważał, jakby mnie tam nie było. Mówił do mnie i po paru sekundach zrozumiałem, co robi: naśladuje Alvina. Nie zwykły głos, ale jego głos szkolny, nauczycielski. Wszyscy pamiętacie, kiedy Alvin się tego nauczył — poznał tę kwiecistą, wykwintną mowę, kiedy studiował u panny Larner, zanim jeszcze zrzuciła przebranie i zanim zrozumiał, że to ta sama Peggy Guester, która zachowała jego czepek porodowy i ochraniała go przez lata dorastania. Te wielkie, pięciodolarowe słowa poznała w Dekane albo z tych książek, co je czytała. Alvin chciał mówić wykwintnie, jak ona, a przynajmniej czasami chciał. Dlatego zapamiętał te słowa i używał ich, żeby mówić tak pięknie, jakby uczył się angielskiego od profesora, a nie dorastał z nim, jak my wszyscy. Ale nie potrafił tak długo. Słyszał siebie takiego eleganckiego i nagle wybuchał śmiechem albo żartował i wracał do normalnej mowy. A teraz Calvin mówił tak samo wykwintnie, ale się nie roześmiał. Kiedy skończył, spojrzał na mnie i zapytał:

— Dobrze było?

Skąd miałem wiedzieć?

— Calvinie — odpowiedziałem mu — to, że mówisz jak człowiek wykształcony, nie daje ci jeszcze wykształcenia.

— Wolę być ignorantem — on na to — i mówić jak człowiek wykształcony, niż być wykształcony i mówić jak ignorant.

— Dlaczego? — zdziwiłem się.

— Bo kiedy mówisz jak wykształcony, nikt cię nie sprawdza, ale kiedy mówisz jak prostak, sprawdzają ciągle.

O to mi chodzi. Może to nie to samo, o co mi chodziło na początku, ale o to mi chodzi teraz: więcej wiem o zdarzeniach z roku Alvinowych wędrówek niż ktokolwiek inny na bożym świecie. Ale jestem też świadom, na jak wiele pytań nie potrafię odpowiedzieć. Czyli jest tak, że wiem, ale wychodzę na ignoranta. A wy?

Jeśli już się zorientowaliście, że znacie tę historię, na miłość boską, przestańcie czytać i zaoszczędźcie sobie kłopotów. A jeśli macie zamiar krytykować mnie, że nie skończyłem wszystkiego i nie podałem wam zawiązanego w kokardkę, zróbcie przysługę sobie i mnie, i napiszcie własną książkę. Tylko miejcie dość przyzwoitości, by nazwać ją romansem, nie historią, bo historia nie ma kokardek, ma tylko postrzępione końce i supły nie do rozplatania. To nie śliczny pakunek, ale nie słyszałem, żebyście akurat mieli urodziny, zresztą nie mam obowiązku dawać wam prezentów.

ROZDZIAŁ 2 — HIPOKRYCI

Calvin miał dosyć. Niewiele brakowało, a podszedłby do Alvina i… i coś by zrobił. Może przyłożyłby mu w nos, tyle że już tego próbował, a Alvin tylko złapał go za rękę, ścisnął tymi przeklętymi kowalskimi łapskami i powiedział: „Calvin, wiesz, że zawsze cię przewracałem; czy muszę to robić teraz?" Alvin zawsze wszystko potrafił lepiej, a jeśli nie potrafił, to widać nie warto było tego robić. Ludzie zebrali się dookoła i słuchali jego paplania, jakby miało jakiś sens. Obserwowali każdy jego ruch, jakby był tańczącym niedźwiedziem. Calvina zauważali tylko po to, żeby go grzecznie zapytać, czy nie mógłby się trochę odsunąć, bo zasłania Alvina.

Odsunąć się? Jasne, mogę się odsunąć. Mogę w ogóle wyjść za drzwi, na ten upał, i prosto ścieżką na wzgórze, do granicy lasu. Zresztą co mi przeszkadza iść dalej? Co mi przeszkadza dojść aż do brzegu świata i skoczyć?

Ale Calvin nie odszedł. Oparł się o wielki stary klon, a potem osunął na trawę i spojrzał na ziemię ojca. Na dom. Stodołę. Kurniki. Chlew. I młyn.

Czy koło w młynie ojca w ogóle jeszcze czemuś służy? Woda bezużytecznie płynie przez kanał, ale koło się nie obraca, więc kamienie wewnątrz też są nieruchome. Równie dobrze mogli zostawić ten wielki głaz w górach, zamiast przywozić go tutaj, gdzie stoi bez pożytku, kiedy wielki brat Alvin napełnia umysły tych biednych ludzi bzdurnymi nadziejami. Jakby kładł ich głowy między kamienie młyńskie, tak je miele; miele, zmienia na mąkę, z której upiecze chleb i zje na kolację. Może i uczył się na kowala przez długie lata w Hatrack River, ale tutaj, w Vigor Kościele, jest piekarzem umysłów.

Myśl o Alvinie zjadającym zmielone ludzkie głowy sprawiła Calvinowi przyjemność. Roześmiał się głośno. Usiadł na trawie i oparł się wygodnie o pień klonu. Jakiś chrząszcz szedł mu po łydce, pod nogawką, ale Calvin nie schylił się, żeby go wyjąć, nawet nie potrząsnął nogą. Zamiast tego posłał swój przenikacz — jak zapasową parę oczu, jak dodatkowy zestaw palców — na poszukiwanie maleńkiego, szybkiego trzepotania bezużytecznego, głupiego życia chrząszcza, a kiedy je znalazł, ścisnął tylko, czy raczej przekręcił — lekkie drgnienie mięśni wokół oczu, słabe uszczypnięcie, ale chrząszcz przestał się ruszać. Są takie dni, robaczku, kiedy nie warto wychodzić rano na świat.

— To musi być bardzo zabawne — usłyszał głos.

Niemal wyskoczył ze skóry. Jak ktoś mógł do niego tak podejść niepostrzeżenie? Jednak nie pokazał po sobie, że jest zaskoczony. Może i serce biło mu szybciej w piersi, ale odczekał długą chwilę,

zanim się obejrzał. I miał minę tak obojętną, że bardziej niewzruszony może być tylko trup.

Łysy człowiek, stary, w skórach. Calvin znał go, oczywiście: wędrowiec i czasem gość zwany Bajarzem. Jeszcze jeden z tych, co wierzą, że świat zaczyna się od Boga i kończy na Alvinie. Calvin zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów. Skóry były już chyba tak stare, jak ich właściciel.

— Czy zerwaliście to ubranie z dziewięćdziesięcioletniego jelenia, czy może wasz ojciec i dziadek nosili je przez całe życie, że jest takie wytarte?

— Noszę je tak długo — odparł starzec — że czasem posyłam je załatwiać rozmaite sprawy, kiedy jestem zajęty. I nikt nie widzi różnicy.

— Chyba was znam — oznajmił Calvin. — Jesteście stary Bajarz.

— To ja. A ty jesteś Calvin, najmłodszy syn starego Millera. Calvin czekał. I doczekał się:

— Młodszy brat Alvina.

Zwinął się siedząc i rozwinął stojąc. Lubił swój wzrost. Podobało mu się, że patrzy z góry na łysą głowę starca.

— Wiecie, staruszku, gdybyśmy mieli jeszcze jednego takiego jak wy, moglibyśmy ustawić wasze różowe głowy obok siebie, a wyglądalibyście jak tyłek niemowlaka.

— Nie lubisz, kiedy cię nazywają młodszym bratem Alvina, co? — domyślił się Bajarz.

— Wiecie, gdzie wam dadzą coś do jedzenia — rzucił Calvin i ruszył przez łąkę. Nie myślał o żadnym kierunku, więc wkrótce zwolnił kroku i przystanął. Rozejrzał się, żałując, że nie ma nic, czym chciałby się zająć.

Staruch był tuż za nim. Niech to diabli, ależ cicho chodzi! Calvin musi pamiętać, żeby uważać na ludzi. Alvin robił to odruchowo, do licha, i Calvin też by potrafił, gdyby tylko pamiętał, że ma pamiętać.

— Usłyszałem, że się śmiejesz — powiedział Bajarz. — Kiedy pierwszy raz podszedłem.

— No to chyba nie jesteście jeszcze całkiem głusi.

— Widziałem, jak patrzysz na młyn i chichoczesz. Pomyślałem: co ten chłopak widzi śmiesznego w młynie, który kołem nie kręci?

Calvin spojrzał mu w oczy.

— Urodziliście się w Anglii, prawda?

— Tak.

— A potem mieszkaliście w Filadelfii? Poznaliście starego Bena Franklina?

— Niezłą masz pamięć.

— To czemu gadacie jak farmer z pogranicza? Wy wiecie i ja wiem, że powinno być „młynie, którego koło się nie kręci”, ale tu

gadacie złą gramatyką, jakbyście nigdy do szkół nie chodzili, a wiem, że chodziliście. Czemu nie mówicie jak inni Anglicy?

— Czułe ucho, bystre oko — mruknął Bajarz. — Czułe na szczegóły. Nie bardzo na ogólny obraz, ale szczegóły owszem. Zauważyłem, że ty także mówisz gorzej, niż potrafisz.

Calvin zignorował obelgę. Nie pozwoli, żeby ten staruch zagadał go swoimi sztuczkami.

— Pytałem, dlaczego gadacie jak farmer z pogranicza.

— Wiele czasu spędziłem na pograniczu.

— Ja wiele czasu spędziłem w kurniku, a przecież nie gdakam.

Bajarz uśmiechnął się.

— A jak myślisz, chłopcze?

— Myślę, że gadacie jak ludzie, którym powtarzacie swoje kłamstwa, żeby wam wierzyli i myśleli, że jesteście jednym z nich. Ale to nieprawda; nie jesteście znikąd. Jak szpieg okradacie ludzi z nadziei, marzeń, pragnień, wspomnień i wyobrażeń o innych, i zostawiacie im w zamian tylko kłamstwa.

Bajarz był wyraźnie rozbawiony.

— Skoro taki ze mnie zbrodniarz, to czemu nie jestem bogaty?

— Nie zbrodniarz…

— Cieszę się, że zostałem uniewinniony.

— Tylko hipokryta.

Bajarz zmrużył oczy.

— Hipokryta — powtórzył Calvin. — Który udaje tego, kim nie jest. Żeby inni mu zaufali, ale ufają tylko garści kłamstw.

— To bardzo interesująca koncepcja, Calvinie. Gdzie wytyczasz granicę między człowiekiem skromnym, który zna swoje słabości, ale próbuje korzystać z cnót, choć jeszcze nie całkiem je opanował, a człowiekiem dumnym, który udaje, że posiada te cnoty, choć nie ma zamiaru ich zdobyć?

— Gdzie się podział farmer? — burknął pogardliwie Calvin. — Wiedziałem, że możecie zaniechać takiego gadania, kiedy tylko zechcecie.

— Owszem, to potrafię — przyznał Bajarz. — Tak jak umiem mówić po francusku do Francuza i po hiszpańsku do Hiszpana, i znam cztery odmiany mowy Czerwonych, zależnie od plemienia. Ale ty, Calvinie, czy przemawiasz pogardą i drwiną do każdego? Czy tylko do lepszych od siebie?

Dopiero po chwili Calvin uświadomił sobie, że został pobity, mocno i ciężko.

— Mógłbym was zabić nie używając rąk — zagroził.

— To trudniejsze, niż ci się wydaje. Znaczy, zabicie człowieka. Dlaczego nie spytasz o to brata? Alvin zrobił to raz, w słusznej sprawie, a ty myślisz o zabiciu człowieka za to, że pstryknął cię w nos.

A potem nie rozumiesz, dlaczego uważam się za lepszego.

— Źli jesteście na mnie, bo powiedziałem, że jesteście hipokrytą. Jak wszyscy inni.

— Wszyscy?

Calvin posępnie skinął głową.

— Każdy jest hipokrytą z wyjątkiem Calvina Millera?

— Calvina Stwórcy — poprawił go Calvin.

I zanim skończył, już wiedział, że popełnił błąd; nigdy nikomu nie zdradził imienia, jakie nadawał sobie w myślach. A teraz wyrzucił je z siebie jak przechwałkę, popis, żądanie, i to przed tym najmniej przychylnym ze słuchaczy. Ten człowiek najpewniej zdradzi tajemnicę Calvina innym.

— Widzę, że teraz jesteśmy zgodni — zauważył Bajarz. — Obaj udajemy, że jesteśmy kimś, kim nie jesteśmy.

— Jestem Stwórcą! — upierał się Calvin, podnosząc głos, chociaż wiedział, że staje się tylko słabszy i bardziej się odsłania. Ale nie umiał się powstrzymać przed rozmową z tym śliskim staruchem. — Potrafię wszystko, co potrafi Alvin, gdyby tylko ktoś zechciał to zauważyć!

— Wykułeś ostatnio jakieś młyńskie kamienie bez narzędzi?

— Mogę tak spasować kamienie w murze, jakby wyrosły takie z ziemi!

— Uleczyłeś jakieś rany?

— Zabiłem robaka, co lazł mi po nodze, a nawet nie tknąłem go palcem!

— Ciekawe. Ja pytam o leczenie, ty odpowiadasz o zabijaniu. Nie brzmi to dla mnie jak mowa Stwórcy.

— Sami mówiliście, że Alvin zabił człowieka!

— Rękami, nie korzystając z talentu. Chwilę przedtem ten człowiek zamordował niewinną kobietę, która zginęła, by chronić swego syna przed niewolą. A chrząszcz… chciał kogoś skrzywdzić?

— Tu was mam! Alvin zawsze jest taki prawy i cudowny, a Calvin niczego nie umie zrobić jak trzeba! Ale Alvin sam mi opowiadał, jak to posłał masę karaluchów, żeby się zabiły, kiedy był jeszcze mały i…

— A ty niczego się nie nauczyłeś z tej historii, tyle że masz moc dręczenia owadów?

— On może robić, co chce, a potem tłumaczy, jak to się nauczył czegoś lepszego, ale kiedy ja robię to samo, to nie jestem godny! Nie można mnie nauczyć żadnych jego sekretów, bo nie jestem gotowy, ale ja jestem gotowy, tylko nie na to, żeby Alvin decydował, jak mam używać talentów, z którymi się urodziłem. Kto jemu mówi, co ma robić?

— Wewnętrzne światło prawości — odpowiedział Bajarz. — Z braku lepszego określenia.

— No a co z moim wewnętrznym światłem?

— Domyślam się, że twoi rodzice zadają sobie to samo pytanie, i to często.

— Dlaczego mnie się nie pozwala poukładać sobie wszystkiego samemu, jak Alvinowi?

— Ależ właśnie na to ci się pozwala.

— Nie, wcale nie! On tam siedzi i próbuje tłumaczyć tym tępogłowym beztalenciom, co za nim idą, jak wejść do różnych rzeczy i nauczyć się, jak są zbudowane od środka, i jak prosić, żeby przyjęły nowe kształty, jakby czegoś takiego można się było nauczyć…

— Ale przecież się uczą, prawda?

— Jeśli cal na rok nazwiecie ruchem, to tak, możecie i to nazwać nauką — oświadczył Calvin. — Ale mnie, jedynego, który naprawdę rozumie wszystko, co on mówi, który mógłby tego używać, mnie nawet nie chce wpuścić do sali. Kiedy tam jestem, opowiada tylko różne historie, żartuje i niczego nie uczy, dopóki nie wyjdę. Dlaczego? Jestem jego najlepszym uczniem, tak? Uczę się, łapię wszystko w mig i od razu mogę używać. A on nie chce niczego pokazać! Innych nazywa „Stwórcami na nauce", ale mnie nie chce udzielić nawet jednej lekcji tylko dlatego, że nie kłaniam mu się w pas i nie wznoszę modłów, kiedy zaczyna opowiadać, jak to Stwórcy nie wolno użyć mocy do mszczenia, jedynie do budowania, inaczej ją traci, a to przecież bzdura, talent to talent i…

— Mam wrażenie — stwierdził Bajarz głosem tak ostrym, że przebił się przez narzekania CaMna — że jesteś młodzieńcem wyjątkowo odpornym na naukę. Chcesz, żeby Alvin cię uczył, ale kiedy próbuje, nie chcesz słuchać, bo sam wiesz, co jest bzdurą, a co się liczy, wiesz, że człowiek wcale nie musi stwarzać, żeby być Stwórcą, wiesz już tak dużo, że nie rozumiem, dlaczego w ogóle jeszcze tu tkwisz i oczekujesz, że Alvin nauczy cię tego, czego najwyraźniej nie chcesz się uczyć.

— Chcę, żeby mnie nauczył, jak wnikać do małych rzeczy! — krzyknął Calvin. — I żeby zmieniać ludzi, tak jak zmienił Arthura Stuarta i Odszukiwacze nie mogli go znaleźć! I jak się dostać do kości i żył albo zamieniać żelazo w złoto! Chcę mieć taki sam złoty pług jak on, a on mi nie chce nic pokazać!

— A czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że kiedy mówi o użyciu mocy Stwarzania tylko do budowania, a nigdy do niszczenia, to uczy cię właśnie tego, o co prosisz? Oj, Calvinie, to smutne, że twoja mama urodziła jedno głupie dziecko.

Calvin poczuł, jak ogarnia go wściekłość. Zanim się zorientował, co robi, powalił starca, usiadł mu na biodrach i zaczął okładać pięściami kruche żebra i brzuch. Potrzebował wielu ciosów, by zauważyć, że Bajarz się nie broni. Zabiłem go? — zastanowił się. Co zrobię, jeśli on nie żyje? Wsadzą mnie za morderstwo. Nie zrozumieją,

że mnie sprowokował, że sam prosił się o lanie. Przecież nie chciałem go zabijać.

Przytknął palce do krtani Bajarza, szukając pulsu. I znalazł — bardzo słaby, ale pewnie i wcześniej był słaby, bo przecież Bajarz jest już stary.

— Nie zabiłeś mnie jednak — szepnął starzec.

— Jakoś nie miałem nastroju.

— Ilu ludzi jeszcze musisz pobić, zanim wszyscy powiedzą, że jesteś Stwórcą?

Calvin miał ochotę znowu go uderzyć. Czy ten staruch niczego się nie nauczył?

— Sam wiesz, że jeśli zadasz im dość bólu, w końcu dadzą ci każde imię, jakie tylko zechcesz. Nazwą cię Stwórcą. Królem. Kapitanem. Szefem. Mistrzem. Świętym mężem. Wybierz tytuł, a możesz zmusić ludzi, żeby ci go nadali. Ale w ten sposób nie zmienisz siebie ani odrobinę. Zdołasz tylko zmienić sens tych słów i wszystkie będą oznaczać to samo: Dręczyciel.

Czerwony ze wstydu Calvin podniósł się na nogi. Z trudem pohamował odruch, by kopać Bajarza, aż jego głowa zmieni się w miazgę.

— Masz talent do słów — mruknął.

— Zwłaszcza do słów prawdy.

— Do kłamstw, jak słyszę.

— Kłamca widzi kłamstwa — oświadczył Bajarz. — Nawet kiedy ich nie ma. Podobnie hipokryta widzi hipokrytów, kiedy napotka dobrych ludzi. Nie możesz znieść, że ktoś naprawdę może być tym, kogo ty tylko udajesz.

— Ale jedno powiedziałeś prawdziwie — przyznał Calvin. — Że nie warto tu czekać, aż Alvin nauczy mnie tego, co wyraźnie chce zachować w sekrecie. Powinienem już dawno zrozumieć, że nie ma zamiaru niczego mi pokazywać, bo wtedy ludzie zobaczyliby, jak robię to samo co on. I nie byłby tu już królem. Muszę to wszystko sam odkryć, tak jak on.

— Musisz to odkryć, ucząc się tego samego co on. Ale czy sam, czy pod jego opieką, chyba nie jesteś do tego zdolny.

— Mylisz się. I udowodnię to.

— Nauczysz się panować nad własną wolą i wykorzystywać swoją moc tylko po to, żeby pomagać innym?

— Wyruszę w świat, nauczę się wszystkiego, a potem wrócę i pokażę Alvinowi, kto ma prawdziwy talent Stwórcy, a kto tylko udaje.

Bajarz uniósł się na łokciu.

— Ależ Calvinie, swoim dzisiejszym zachowaniem sam sobie odpowiedziałeś na to pytanie.

Calvin chciałby kopnąć go w twarz, zamknąć tę gębę, roztrzaskać

błyszczącą kopułę łysiny i patrzeć, jak mózg wylewa się na trawę. Zamiast tego odwrócił się tylko i zrobił kilka kroków w stronę lasu. Tym razem znał swój cel: wschód, cywilizacja. Miasta: miejsca, gdzie ludzie żyją obok siebie, ramię przy ramieniu. Wśród nich znajdzie takich, którzy zechcą go uczyć. A jeśli nie, będzie mógł próbować, ćwiczyć, aż sam opanuje wszystko, co wie Alvin, i jeszcze więcej. Popełnił błąd, zostając tutaj tak długo, wierząc, że może od Alvina oczekiwać nadziei i pomocy. Podziwiałem go, ale to była pomyłka, myślał. Dopiero ten stary dureń pokazał mi, że ludzie mną pogardzają, że stale mnie porównują z Alvinem, doskonałym Alvinem, Alvinem Stwórcą, Alvinem cnotliwym synem.

Alvinem hipokrytą. Przecież on robi ze swoją mocą to samo, co ja chciałbym robić — ale jest sprytny, a ludzie nawet nie widzą, że nimi kieruje. Powiedz nam, jak postąpić, Alvinie! Naucz nas Stwarzania, Alvinie! Czy Alvin im powie: to nie wasz talent, biedni głupcy, nie mogę was tego nauczyć, jak nie mogę ryby nauczyć chodzenia? Nie! Udaje, że ich uczy, pomaga przy paru żałosnych, nędznych sukcesach, a oni zostają przy nim jako wierni słudzy, jego uczniowie.

Ale ja do nich nie należę. Sam o sobie decyduję, jestem sprytniejszy od niego, a będę potężniejszy, kiedy tylko nauczę się, co trzeba. Alvin był przecież siódmym synem siódmego syna ledwie parę chwil po urodzeniu, zanim umarł nasz najstarszy brat Vigor; ja byłem siódmym synem siódmego syna przez całe życie i dzisiaj też jestem. Muszę przecież w końcu wyprzedzić Alvina. Jestem prawdziwym Stwórcą. Prawdziwym. Nie hipokrytą. Nie oszustem.

— Kiedy zobaczysz Alvina, powiedz mu, żeby mnie nie szukał. Zobaczy mnie dopiero wtedy, kiedy będę gotów się z nim zmierzyć: Stwórca przeciwko Stwórcy.

— Nie może być walki Stwórcy ze Stwórcą — zauważył Bajarz.

— Naprawdę?

— Bo jeśli walczą, to znaczy, że przynajmniej jeden z nich nie jest prawdziwym Stwórcą, ale raczej czymś przeciwnym.

— To jakaś bajka? — zaśmiał się Calvin. — O Niszczycielu? Alvin opowiada takie historyjki, ale to same bzdury; chce zrobić z siebie bohatera.

— Nie dziwię się, że nie wierzysz w Niszczyciela. Pierwsze kłamstwo Niszczyciela zawsze jest takie, że on nie istnieje. A jego prawdziwi słudzy zawsze mu wierzą, chociaż sami niosą jego dzieła w świat.

— Czyli jestem sługą Niszczyciela? — zapytał Calvin.

— Oczywiście — potwierdził Bajarz. — Wszystkie sińce na mojej skórze tego dowodzą.

— Sińce dowodzą, że jesteś słabym człowiekiem z niewyparzoną gębą.

— Alvin by mnie wyleczył i wzmocnił. Tak zachowują się Stwórcy.

Calvin nie mógł już tego znieść. Kopnął Bajarza prosto w twarz; poczuł, jak nos starucha łamie się pod jego stopą. Potem Bajarz runął na trawę i legł nieruchomo. Calvin nie schylił się nawet, żeby zbadać mu puls. Jeśli stary nie żyje, to trudno, świat będzie lepszy bez jego kłamstw i bezczelności.

Dopiero jakieś pięć minut później, już głęboko w lesie, dotarło do niego prawdziwe znaczenie czynu. Zabiłem człowieka! Mogłem zabić człowieka i zostawiłem go na śmierć!

Powinienem go uleczyć przed odejściem. Tak jak Alvin leczy ludzi. Wtedy by się przekonał, że naprawdę jestem Stwórcą — bo go uleczyłem. Jak mogłem przegapić taką okazję pokazania, do czego jestem zdolny?

Zawrócił natychmiast i ruszył pędem przez las, przeskakując przez korzenie, zbiegając ze zbocza, na które wspinał się ledwie przed chwilą. Ale kiedy zdyszany stanął na łące, starca nie było, choć krew znaczyła kroplami źdźbła trawy i rozlewała się w kałużę tam, gdzie leżała głowa. Czyli nie umarł. Wstał i poszedł sobie, a zatem nie był martwy.

Ależ dureń ze mnie, myślał Calvin. Oczywiście, że go nie zabiłem. Jestem Stwórcą. Stwórcy nie niszczą niczego, Stwórcy budują. Czy nie to stale powtarzał mi Alvin? Więc jeśli jestem Stwórcą, nie mogę uczynić nic niszczycielskiego.

Przez moment chciał już zejść ze wzgórza, w stronę młyna. Niech Bajarz spróbuje oskarżyć go przed wszystkimi. Calvin zwyczajnie zaprzeczy i niech spróbują jakoś z tym sobie poradzić. Oczywiście, wszyscy uwierzą Bajarzowi. Ale Calvinowi wystarczy wtedy powiedzieć: „Taki ma talent, że skłania ludzi do wiary w swoje kłamstwa. Inaczej dlaczego mielibyście wierzyć obcemu zamiast najmłodszemu synowi Alvina Millera, skoro wszyscy wiecie, że przecież nie napadam na ludzi?” Wyobraził sobie tę cudowną scenę, gdzie ojciec, mama i Alvin nie wiedzą, co robić.

Ale jeszcze piękniejszy był inny obraz: Calvin wolny w wielkim mieście. Calvin wyzwolony z cienia swego brata.

A co najlepsze, nie mogą nawet go ścigać. Tutaj, w miasteczku Vigor Kościół, wszystkich dorosłych wiąże klątwa Tenska-Tawy: każdemu obcemu muszą opowiadać, jak to wymordowali niewinnych Czerwonych nad Chybotliwym Kanoe. Jeśli tego nie zrobią, ich ręce spłyną krwią, jak nieme świadectwo zbrodni. Z tego powodu tutejsi nie podróżowali tam, gdzie mogli spotkać obcych. Tylko sam Alvin mógłby go szukać, tylko w towarzystwie tych, którzy byli zbyt młodzi, by brać udział w masakrze. A tak, jeszcze ich szwagier Armor — na niego nie spadła klątwa. I może Measure, który nie uczestniczył w

walce, ale sam przyjął na siebie przekleństwo — on pewnie też mógłby wyjechać. Ale i tak marny to będzie pościg.

Zresztą dlaczego mieliby go szukać? Alvin uważał, że Calvin nic nie jest wart. Nie jest wart nauczania. To jak miałby być wart pościgu?

Wolność była zawsze tylko o kilka kroków ode mnie, pomyślał Calvin. Wystarczyło tylko zrozumieć, że Alvin nigdy nie uzna we mnie prawdziwego przyjaciela i brata. Bajarz mi to uświadomił. Powinienem mu podziękować.

Na szczęście przekazałem mu już wszystkie wyrazy wdzięczności, na jakie zasłużył.

Calvin zachichotał. Potem odwrócił się i znów ruszył do lasu. Idąc między drzewami, próbował poruszać się tak cicho, jak Alvin — sztuczka, jakiej nauczył się od dzikich Czerwonych, zanim zrezygnowali i ucywilizowali się albo przeszli przez Mizzipy do pustej krainy na zachodzie. Jednak mimo wysiłków Calvin cały czas hałasował i łamał gałązki.

Na pewno Alvin też robi dużo hałasu, tłumaczył sobie. Wykorzystuje tylko swój talent, by ludzie myśleli, że idzie cicho. Bo kiedy wszyscy myślą, że jesteś cichy, to jesteś, prawda? Przecież to żadna różnica.

Całkiem to podobne do tego hipokryty Alvina: każe nam wierzyć, że jest w harmonii z zielonym życiem, a naprawdę jest niezgrabny jak wszyscy. Ja przynajmniej nie wstydzę się uczciwego hałasu.

Z tą myślą Calvin ruszył przez gąszcza, łamiąc gałęzie i przy każdym kroku szeleszcząc liśćmi.

ROZDZIAŁ 3 — OBSERWATORZY

Kiedy Calvin wyruszał w swoją podróż bez celu, starając się nie myśleć przy każdym kroku o Alvinie, ktoś inny już był w podróży i także starał się wypchnąć Alvina z pamięci. Na tym jednak kończyły się podobieństwa. Tą drugą osobą bowiem była Peggy Larner, która znała Alvina lepiej i kochała bardziej niż ktokolwiek inny. Jechała właśnie powozem po polnej drodze w Appalachee i była przynajmniej tak samo nieszczęśliwa jak Calvin. Różnica polegała na tym, że o swoje nieszczęścia winiła tylko siebie samą.

Kiedy zginęła jej matka, Peggy Larner myślała, że zostanie w Hatrack River na resztę życia, pomagając ojcu prowadzić zajazd. Skończyła już z ważnymi sprawami tego świata. Próbowała przyłożyć do nich rękę, a w rezultacie zapomniała, co się dzieje na jej własnym podwórku; nie dostrzegła śmierci grożącej matce. Śmierci łatwej do zapobieżenia, uzależnionej od zwykłego przypadku; jedno słowo ostrzeżenia, a matka i ojciec by wiedzieli, że Odszukiwacze Niewolników wrócą tej nocy, ilu ich będzie, jak uzbrojonych, przez które drzwi wejdą. Peggy jednak pilnowała ważnych spraw tego świata, dbała o swoją głupią miłość do Alvina, młodego kowalskiego czeladnika. Ten czeladnik potrafił zrobić pług z żywego złota i poprosił ją o rękę, chciał, żeby ruszyła z nim w świat walczyć z Niszczycielem, a przez ten czas Niszczyciel wkradł się tylnymi drzwiami i rozbił jej życie pociskiem ze strzelby, który rozerwał ciało matki i na zawsze złożył na ramiona Peggy najstraszliwsze brzemię.

Jakie to dziecko, które nie uważa, kiedy może ocalić życie własnej matki?

Nie mogła wyjść za Alvina. W ten sposób wynagrodziłaby siebie za własny egoizm. Powinna zostać i pomagać ojcu w pracy.

A jednak nawet tego nie potrafiła dokonać, w każdym razie nie na długo. Kiedy ojciec na nią patrzył — a raczej kiedy wolał na nią nie patrzeć — czuła, że jego ból rozdziera jej serce. Wiedział, że mogła zapobiec tragedii. I chociaż ze wszystkich sił starał się nie robić jej wyrzutów, nie musiał nic mówić, żeby wiedziała, co myśli. Nie, nie użyła swojego talentu, żeby zajrzeć w płomień jego serca, w jego gorzkie wspomnienia. Wiedziała nie patrząc, bo znała go dobrze, tak jak dzieci znają rodziców.

Aż przyszedł dzień, kiedy nie mogła już tego znieść. Raz już, jako dziewczynka, opuściła dom, pozostawiając tylko krótki liścik. Tym razem miała więcej odwagi: stanęła przed ojcem i powiedziała, że nie może zostać.

— Czyżbym stracił też córkę po tym, jak straciłem żonę?

— Masz córkę i zawsze ją miałeś — odparła Peggy. — Ale

kobieta, która mogła zapobiec śmierci twojej żony i nie zrobiła tego… ta kobieta nie może tu dłużej zostać.

— Czy coś mówiłem? Czy słowem albo uczynkiem…

— To twój talent, że ludzie czują się dobrze pod twoim dachem, tato, a ze mną starałeś się wyjątkowo. Ale żaden talent nie zdejmie z mojej duszy strasznego ciężaru. Ani miłość, ani dobroć, jakie mógłbyś mi okazać, nie ukryją przede mną tego, jak cierpisz na mój widok.

Ojciec wiedział, że nie zdoła dłużej oszukiwać córki. Przecież była żagwią.

— Będę za tobą tęsknił całym sercem — rzekł.

— Ja też będę za tobą tęskniła — odparła.

Pocałowała go, objęła na chwilę i wyszła. Raz jeszcze odjechała powozem doktora Whitleya Physickera do Dekane. Tam zamieszkała u rodziny, która kiedyś wyświadczyła jej wiele dobrego.

Nie została jednak długo i wkrótce wyjechała dyliżansem do Franklina, stolicy Appalachee. Nie znała tam nikogo, ale miała poznać: żadne serce nie mogło pozostać przed nią zamknięte, więc szybko odnalazła ludzi, którzy instytucji niewolnictwa nienawidzili tak samo jak ona. Jej matka zginęła, ponieważ pół-Czarnego przyjęła do domu i rodziny jak syna, choć zgodnie z prawem należał do jakiegoś białego mężczyzny w Appalachee.

Chłopiec ów, Arthur Stuart, wciąż był wolny i mieszkał z Alvinem w miasteczku Vigor Kościół. Ale instytucja niewolnictwa, która zabiła jego naturalną i przybraną matkę, także przetrwała. Nie było żadnej nadziei na zmianę sytuacji w ziemiach królewskich na południu i wschodzie, ale w Appalachee żył naród, który zdobył wolność dzięki ofierze George'a Washingtona i pod przywództwem Thomasa Jeffersona. Była to kraina ideałów. Z pewnością Peggy zdoła wykorzystać swoje możliwości, by wyplenić z tej ziemi zło niewolnictwa. Właśnie w Appalachee Arthur Stuart został poczęty z gwałtu okrutnego pana na bezbronnej niewolnicy. Właśnie w Appalachee postanowiła zatem Peggy dyskretnie, ale mądrze wspomagać tych, którzy nienawidzili niewolnictwa, a przeszkadzać tym, którzy chcieliby je utrzymać.

Podróżowała w przebraniu, oczywiście. Nie dlatego że ktoś mógłby ją poznać, ale nie chciała, by nazywano ją Peggy Guester, gdyż było to także nazwisko jej matki. Przedstawiała się jako panna Larner, wykształcona nauczycielka francuskiego, łaciny i muzyki. W tym przebraniu udzielała lekcji: tutaj kilka tygodni, tam kilka… Prowadziła tylko kursy zaawansowane, dla nauczycieli w rozmaitych wioskach i miasteczkach.

Chociaż wykładała sumiennie, najbardziej interesowało ją wyszukiwanie płomieni serc ludzi, którzy gardzili niewolnictwem, albo — lękając się przyznać do pogardy — przynajmniej, posiadając

niewolników, czuli się niezręcznie czy niepewnie. Tych, którzy starali się traktować ich łagodnie, którzy w tajemnicy pozwalali im uczyć się czytać, pisać i liczyć.

Tych o dobrych sercach ośmielała się zachęcać. Rozmawiała z nimi i wypowiadała słowa mogące pchnąć ich na nowe ścieżki życia — choćby nieliczne i wąskie — gdzie nabierali odwagi i otwarcie występowali przeciwko niewolnictwu.

W ten sposób nadal pomagała ojcu w pracy. Czyż bowiem Horacy Guester przez całe lata nie ryzykował życia, pomagając zbiegłym niewolnikom przepłynąć Hio i dostać się na północ, na terytoria francuskie, gdzie stawali się wolni i gdzie nie mogli wkroczyć Odszukiwacze? Nie mogła dłużej żyć przy boku ojca, nie mogła zdjąć z niego nawet cząstki rozpaczy, ale potrafiła kontynuować jego dzieło, a może nawet uczynić je zbędnym, jako że wolność nadejdzie nie dla pojedynczych, ale dla wszystkich niewolników równocześnie.

Czy będę wtedy godna, żeby znów przed nim stanąć? Czy moje winy zostaną odkupione? Czy śmierć mamy nabierze znaczenia, przestanie być bezsensownym rezultatem mojej niedbałości?

Najtrudniejszym elementem jej dyscypliny było niedopuszczenie, by rozpraszały ją jakiekolwiek myśli o Alvinie Smisie. Kiedyś był jądrem jej życia: asystowała przy jego narodzinach, zdjęła mu z twarzy czepek porodowy i przez lata używała mocy tego zasuszonego czepka, by chronić chłopca przed atakami Niszczyciela. Potem, kiedy wyrósł na mężczyznę, kiedy rozwinął własną moc i sam mógł się bronić, wciąż pozostał w jej sercu, gdyż zaczęła kochać człowieka, którym się stał. Wróciła do Hatrack River — po raz pierwszy w przebraniu panny Larner — by dać jemu i Arthurowi Stuartowi książkową wiedzę, jakiej obaj pragnęli. I kiedy go uczyła, przez cały czas kryła się za heksami, przesłaniającymi jej twarz i imię, kryła się i obserwowała jak szpieg, jak myśliwy, jak kochanka, która nie śmie się pokazać.

I w tym przebraniu ją pokochał. To wszystko było kłamstwem, kłamstwem, które powtarzała jemu i sobie.

Nie chciała szukać jasnego płomienia jego serca, choć wiedziała, że znalazłaby go natychmiast, choćby był bardzo daleko. Miała teraz inne zadanie. Musiała osiągnąć inny cel, nie dopuścić do innych zdarzeń.

To było najlepsze w jej nowym życiu: każdy, kto cokolwiek wiedział o niewolnictwie, zdawał sobie sprawę, że jest ono złem. Ci, co nie wiedzieli — dzieci dorastające w kraju, gdzie istniało niewolnictwo, ludzie, którzy nigdy nie mieli niewolników, czy nawet w życiu nie widzieli Czarnego — mogli sobie wyobrażać, że wszystko jest w porządku. Ale ci, co wiedzieli, wszyscy rozumieli, że to zło.

Wielu z nich, naturalnie, powtarzało sobie kłamstwa, szukało

usprawiedliwień albo też przyjmowało zło z otwartymi ramionami, byle tylko zachować dawny styl życia, zachować bogactwo i znaczenie, zachować prestiż i honor. Jednak więcej ich cierpiało, z trudem znosząc bogactwo zdobyte wysiłkiem i cierpieniem Czarnych, porwanych ze swej ojczyzny i wbrew woli przewiezionych na mroczny kontynent Ameryki. Ich serc szukała Peggy, zwłaszcza tych najsilniejszych, którzy mogli znaleźć dość odwagi, by przeważyć szalę.

Jej wysiłki nie szły na marne. Kiedy odjeżdżała z miasteczka, ludzie rozmawiali — nie, szczerze mówiąc, kłócili się — o sprawy nigdy wcześniej nie kwestionowane. Oczywiście, nie obywało się bez cierpienia. Kilku ludzi spośród tych, których odwagę rozbudziła, wytarzano w smole i w pierzu, innych pobito, jeszcze innym spalono domy. Ale okrucieństwa właścicieli niewolników tym wyraźniej ukazywały, że trzeba zacząć działać, trzeba uwolnić się od systemu niszczącego wszystkich.

Dzisiaj także jechała z podobną misją. Wynajęła powóz mający zawieźć ją do miasteczka Baker's Fork. Jechała daleko, zgrzana już, zmęczona i brudna, jak zwykle podróżni latem.

I nagle zaciekawiło ją, dokąd prowadzi jakaś boczna droga.

Peggy nie należała do osób ciekawych w zwykłym sensie. Od dzieciństwa miała talent do odkrywania najgłębiej skrywanych sekretów innych, więc nauczyła się panować nad zwyczajną ciekawością. Przekonała się, że pewnych rzeczy ludzie nie powinni oglądać. Jako mała dziewczynka wiele by dała, by nie wiedzieć, co myślą o niej inne dzieci w jej wieku, nie znać ich lęku przed sobą, ich niechęci z powodu jej inności, z powodu tego, co szeptem powtarzali o niej rodzice. Cieszyłaby się, nie znając tajemnic mężczyzn i kobiet dookoła. Ciekawość sama dla siebie jest karą, kiedy człowiek wie na pewno, że znajdzie odpowiedzi na swe pytania.

Najciekawszy był sam fakt, że zainteresował ją akurat ten porośnięty trakt wśród niskich wzgórz północnego Appalachee. Dlatego zamiast skręcić na ten trakt, zajrzała w swój płomień serca, by sprawdzić, co ją czeka na tej drodze. Ale każda dostrzeżona ścieżka, na której polecała woźnicy, by skręcił, każda z nich prowadziła w pustkę, do miejsca gdzie nie mogła odgadnąć, co się zdarzy.

To dziwne — nie wiedzieć, do czego doprowadzi jej decyzja. Do niepewności była przyzwyczajona, gdyż istniało wiele ścieżek, którymi mógł popłynąć strumień czasu. Ale żeby nie było nawet iskry… to coś nowego. Nowego i — musiała przyznać — atrakcyjnego.

Starała się skłonić do rezygnacji, tłumaczyła sobie, że jeśli nic nie widzi, z pewnością blokuje ją Niszczyciel, na końcu traktu czeka coś strasznego.

Ale ta pustka nie kojarzyła się z Niszczycielem. Podążanie traktem wydawało się słuszne, nawet konieczne, choć budziło lekki dreszczyk

lęku. Czy tak czują się inni ludzie? — zastanowiła się. Nic nie wiedzący, dla których przyszłość jest pustką, więc muszą polegać tylko na takich przeczuciach? Czy taki dreszcz czuł George Washington, nim skapitulował ze swoją armią przed powstańcami z Appalachee, a potem oddał się w ręce króla, którego zdradził? Z pewnością nie, przecież George był właściwie pewien konsekwencji. Może tak właśnie czuł się Patrick Henry, kiedy krzyknął: „Dajcie mi wolność albo dajcie mi śmierć!", nie wiedząc, co może zdobyć, jedno czy drugie. Działać bez wiedzy…

— Zawróć! — zawołała.

Woźnica nie usłyszał jej wśród stuku kopyt i skrzypienia powozu. Zastukała więc w dach parasolką.

— Zawróć!

Woźnica wstrzymał konie. Otworzył maleńkie okienko, pozwalające na rozmowę z pasażerem.

— O co chodzi, psze pani?

— Zawróć.

— Przecie jedziemy, jak się należy.

— Wiem. Chcę skręcić w ten trakt, który przed chwilą minęliśmy.

— On prowadzi tylko do Chapman Valley.

— Doskonale. Zabierz mnie więc do Chapman Valley.

— Ale to rada szkolna w Baker's Fork mi płaci, żeby panią dowieźć.

— I tak musimy zatrzymać się na noc. Dlaczego nie w Chapman Valley?

— Nie mają gospody.

— Nieważne. Albo natychmiast zawrócisz, albo zaczekasz tutaj, a ja pójdę pieszo.

Okienko się zamknęło — może nieco bardziej gwałtownie, niż było to konieczne — i powóz zatoczył szeroki łuk przez łąkę. Ostatnio nie padało, więc zawrócili gładko i po chwili jechali już traktem, który tak ją zainteresował.

Dolina, kiedy wreszcie ją zobaczyła, okazała się piękna, jednak w tym pięknie nie było nic niezwykłego. Jeśli nie liczyć lasu na szczytach okolicznych wzgórz, cała była zagospodarowana, wszystkie drzewa posadzone, wszystkie domy rozbudowane, by pomieścić coraz większe rodziny mieszkańców. Może ściany mieli czyściejsze, może biel bielszą niż gdzie indziej — a może było to tylko złudzenie Peggy, gdyż wpatrywała się w napięciu, usiłując odgadnąć, co wzbudziło jej ciekawość. Może drzewa w sadach wydawały się starsze niż zwykle, mocniej przygarbione, jak gdyby zasiedlono to miejsce bardzo dawno, jakby Chapman Valley była najstarszą ze wszystkich osad w Appalachee. Ale co z tego? Wszystko w Ameryce było dość nowe; na pewno w miasteczku żył ktoś, kto pamiętał jego założenie. Na zachód

od pierwszego pasma gór nie istniało nic starszego niż najstarszy człowiek w okolicy.

Jak zwykle dostrzegała płomienie serc ludzi tu mieszkających — niczym iskry światła, nawet w jasne południe widoczne przez mury, wzgórza, we wszystkich piwnicach i na strychach, gdzie mogli przebywać. Byli to zwyczajni mieszkańcy zwykłego miasteczka, może trochę bardziej zadowoleni od innych, ale nie bardziej odporni na cierpienia życia, na drobne urazy, żale i zazdrości. Dlaczego tu przyjechała?

Dotarli do budynku, gdzie nie było nikogo. Znowu zastukała w dach powozu. Konie stanęły i otworzyło się okienko.

— Zaczekaj tutaj — poleciła.

Nie miała pojęcia, dlaczego ten pusty dom zwrócił jej uwagę. Może dlatego że rozrastał się wokół maleńkiej chatki z bali — stał się najpierw zamożny, potem wspaniały, wreszcie po prostu wielki, kiedy estetyka ustąpiła, bo trzeba było ludziom więcej miejsca. Jakim cudem w takim dużym i zadbanym domu nikogo nie ma?

I nagle uświadomiła sobie, że słyszy dobiegający z domu śpiew. I śmiechy z podwórza. Śpiew i śmiechy, a jednak ani jednego płomienia serca… Czyżby żyli tu niespokojni umarli, niezdolni pożegnać się z życiem? Ale czy kto kiedy słyszał o roześmianym upiorze? Albo o duchu śpiewającym wesołą piosenkę?

Zza rogu wybiegł mniej więcej sześcioletni chłopiec, ścigany przez trzy starsze dziewczynki. Żadne z dzieci nie miało płomienia serca. Ale sądząc po brudnej twarzy chłopaka, po złości w oczach zaczerwienionych dziewcząt, żadne z nich nie było też duchem.

— Hej tam! — zawołała Peggy.

Chłopiec spojrzał na nią zaskoczony i ten chwilowy przystanek okazał się jego zgubą. Dziewczęta dopadły go i zaczęły okładać z entuzjazmem; on przeklinał je i wyzywał z równym wigorem. Peggy nie znała tych dzieci, była jednak pewna, że chłopiec — jak zwykle chłopcy — popełnił jakąś psotę, która zirytowała dziewczynki, może siostry? Nie wątpiła też, że dziewczynki — mimo zapewnień o własnej niewinności — sprowokowały go subtelnie, słownie, tak że nie mógł pokazać siniaka i zyskać poparcia matki. Tak zawsze wygląda wojna między synami i córkami.

Choć obca, Peggy nie mogła przecież pozwalać na akt nieopanowanej przemocy, jako że dziewczynki wyraźnie nie chciały pozwolić, by chłopiec wykręcił się tylko lekkim laniem. Tłukły go nie dla zabawy, ale jakby była to ich praca, zawód, jakby niedługo miał się zjawić nadzorca i stwierdzić: „Uważam, że chłopak został zbity jak należy. Zasłużyłyście na swoją płacę”.

— Wystarczy już — powiedziała, maszerując po wygryzionej przez kozy trawie.

Nie zwracały na nią uwagi, dopóki nie chwyciła dwóch dziewczynek za kołnierze. Nawet wtedy wymachiwały pięściami, często trafiając w samą Peggy. Trzecia nie przerywała pracy. Peggy nie miała innego wyjścia — pchnęła obie na boki, aż się przewróciły, i odciągnęła od chłopca trzecią.

Tak jak się obawiała, mały solidnie ucierpiał. Krwawił z nosa i podnosił się wolno; kiedy trzymana przez Peggy dziewczynka spróbowała zaatakować, odbiegł na czworakach.

— Wstydź się! — powiedziała Peggy. — Cokolwiek zrobił, na pewno nie zasłużył na coś takiego.

— Zabił moją wiewiórkę! — zapłakała dziewczynka.

— Jak mogłaś trzymać wiewiórkę? To okrucieństwo, zamykać w klatce żywe stworzenie.

— Nigdy nie siedziała w klatce. Była moją przyjaciółką. Karmiłam ją, dzięki mnie przetrwała ciężką zimę. On o tym wiedział! Był zazdrosny, że ta wiewiórka mnie lubi, więc ją zabił.

— To była zwykła wiewiórka! — krzyknął chłopiec chrapliwie i dość słabym głosem, ale wyraźnie miał to być krzyk. — Skąd miałem wiedzieć, że jest twoja?

— Więc nie powinieneś zabijać żadnej — oświadczyła inna z dziewczynek. — Dopóki nie byłeś pewny.

— Cokolwiek zrobił wiewiórkom — stwierdziła Peggy — choćby i złośliwie, nie wolno tak go bić. Zachowałyście się bardzo nieładnie i nie po chrześcijańsku.

Chłopiec spojrzał na nią z uwagą.

— Pani jest sędzią? — zapytał.

— Sędzią? Raczej nie — zaśmiała się Peggy.

— Nie może pani być Stwórcą, bo to chłopiec. Myślę, że jest pani sędzią. — Chłopiec nabrał pewności. — Ciocia Becca mówiła, że nadchodzi sędzia, a po nim Stwórca, więc pani nie może być Stwórcą, jeżeli sędzia jeszcze nie przyjechał, ale może pani być sędzią, bo sędzia miał być pierwszy.

Peggy wiedziała, że dorośli często uważają dziecięce słowa za bzdurne, jeśli tylko nie zrozumieją ich natychmiast. Ale wiedziała też, że słowa dzieci często dotyczą ich wizji świata i mają sens, jeśli tylko potrafi się słuchać. Ktoś powiedział — ciocia Becca — że nadchodzi sędzia i Stwórca. Ale Peggy znała tylko jednego Stwórcę. Czyżby Alvin miał tu przybyć? Do tego domu, gdzie dzieci słyszały o Stwórcach i nie miały płomieni serc?

— Myślałam, że wasz dom jest pusty — zauważyła Peggy. — Ale teraz widzę, że nie.

Istotnie, w progu stała oparta o framugę kobieta; przyglądała im się spokojnie, mieszając w misie drewnianą łyżką.

— Mamo! — wrzasnęła dziewczynka, którą Peggy wciąż trzymała

za kołnierz. — Ona mnie złapała i nie chce puścić!

— To prawda! — zawołała natychmiast Peggy. — I dalej nie puszczę, dopóki nie będę pewna, że nie zamorduje tego chłopca!

— On zabił moją wiewiórkę, mamo!

Kobieta milczała.

— Drogie dzieci — odezwała się Peggy. — Powinniśmy raczej porozmawiać z tą panią, a nie krzyczeć jak rzeczne szczury.

— Mama pani nie lubi — poinformowała jedna z dziewczynek. — Od razu widać.

— To szkoda, bo ja ją lubię.

— Wcale nie. Pani jej nie zna, a nawet jak pani pozna, i tak jej pani nie polubi. Nikt jej nie lubi.

— Jak możesz opowiadać takie rzeczy o własnej matce?

— Ja nie muszę jej lubić. Ja ją kocham.

— W takim razie zaprowadź mnie do tej kobiety, którą kochasz, ale nie lubisz, i pozwól samej osądzić.

Kiedy zbliżyły się do drzwi, Peggy zaczęła podejrzewać, że dziewczynki mogą mieć rację. Kobieta nie wyglądała przyjaźnie. Ale wrogo też nie. Twarz miała całkowicie pozbawioną emocji. Mieszała tylko w misce. Nie zwróciła uwagi na wyciągniętą rękę Peggy.

— Nazywam się Peggy Larner. Przepraszam, może nie powinnam się wtrącać, ale sama pani widzi, że chłopak solidnie oberwał.

— Z nosa mi tylko krew leci i tyle — oświadczył chłopak. Ale kulał, co sugerowało inne, nie tak widoczne urazy.

— Wejdźcie — powiedziała kobieta.

Peggy nie miała pojęcia, czy zwraca się tylko do dzieci, czy ją także objęła zaproszeniem. Jeśli w ogóle można to nazwać zaproszeniem: jej słowa brzmiały nijako, a ona sama nie odrywała spojrzenia od misy. Potem odwróciła się i zniknęła wewnątrz. Dzieci podążyły za nią, a po chwili także Peggy.

Nikt jej nie zatrzymał, nikt się tym nie zdziwił. Wtedy właśnie po raz pierwszy pomyślała, że może zasnęła w powozie i wszystko to jest dziwacznym snem, w którym zdarzają się niewyjaśnione, nienaturalne rzeczy, nie wywołujące żadnych komentarzy w krainie marzeń, gdzie nie można pogwałcić żadnych zwyczajów. Ten dom nie jest rzeczywisty. Na podwórzu czeka powóz z czworokonnym zaprzęgiem, nie wspominając już o woźnicy, najbardziej realnym i zwyczajnym, jaki kiedykolwiek bekał na koźle. Ale tutaj wstąpiła w miejsce poza naturą. Tutaj nie ma płomieni serc.

Dzieci zniknęły gdzieś, tupiąc głośno po drewnianych podłogach. Przynajmniej jedno z nich wbiegło lub zbiegło po schodach — tylko dziecięce kroki mają tyle energii. Ale żaden odgłos nie zdradził Peggy, dokąd ma iść ani do jakiego celu dąży, przychodząc tutaj. Czy tu nie ma porządku? Czy jej obecność w niczym nie przeszkadza? Czy ktoś

prócz dzieci w ogóle ją zauważył?

Miała ochotę wyjść, wrócić do powozu, ale kiedy się obejrzała, nie mogła sobie przypomnieć, którymi drzwiami weszła. Okna były zasłonięte, a w półmroku wszystkie drzwi wyglądały tak samo.

To było dziwne miejsce; wszędzie leżał materiał, zwinięty równo i ułożony na wszystkich meblach, jak gdyby ktoś kupił dosyć, by uszyć tysiąc sukni, ale krawcy i szwaczki mieli dopiero przybyć. Po chwili uświadomiła sobie, że wszystkie bele są jednym ciągłym pasem, spływającym ze szczytu każdego stosu pod spód następnego. Jak pas materiału może być taki długi? Po co ktoś miałby go tkać, zamiast pociąć i odesłać gdzieś, gdzie coś by z niego uszyli?

Rzeczywiście, dlaczego? Była głupia, że nie zrozumiała od razu. Przecież znała ten dom. Nie odwiedzała go osobiście, ale przed laty widziała przez płomień serca Alvina.

W tamtych czasach Alvin podróżował z Ta-Kumsawem. Czerwony wojownik wprowadził chłopca do swej legendy i ci, którzy teraz opowiadali o Alvinie Smisie, zabójcy Odszukiwacza, albo Alvinie Smisie i złotym pługu, kiedyś — nie wiedząc o tym — powtarzali historie o złym „Małym Renegado", białym chłopcu, który wszędzie towarzyszył Ta-Kumsawowi, przez cały rok przed jego końcową klęską pod Fortem Detroit. W tej postaci przybył tu Alvin, przeszedł tym korytarzem, tak, tutaj skręcił w prawo, śledząc pas tkaniny aż do najstarszej części domu, początkowej chaty, w skośne promienie światła, które zdawały się nie mieć żadnego źródła, jak gdyby przesączały się tylko między belkami. A tutaj, jeśli otworzę te drzwi, znajdę kobietę przy krośnie. To pokój do tkania.

Ciocia Becca. Oczywiście, znała to imię. Becca, tkaczka, która trzymała w dłoni nici wszystkich żywotów w krainach białego człowieka Ameryki Północnej.

Kobieta przy krośnie podniosła głowę.

— Nie zapraszałam cię tutaj — oznajmiła cicho.

— Ani ja nie planowałam wizyty — odparła Peggy. — Prawdę rzekłszy, zapomniałam o tobie. Wypadłaś mi z pamięci.

— Powinnam wypadać z pamięci. Wszyscy o mnie zapominają.

— Z wyjątkiem jednej czy dwóch osób, prawda?

— Mój mąż mnie pamięta.

— Ta-Kumsaw? Więc on żyje?

— Mój mąż ma na imię Isaac — prychnęła Becca.

Tak brzmiało białe imię Ta-Kumsawa.

— Nie sprzeczaj się ze mną — poprosiła Peggy. — Ktoś mnie tu wezwał. Jeśli nie ty, to kto?

— Moja nieutalentowana siostra. Ta, która zrywa nici, kiedy tylko dotknie krosna.

Ciocia Becca… Tak nazwały ją dzieci.

— Czy twoja siostra jest matką tych dzieci, które spotkałam?

— Okrutnego chłopca, który dla zabawy zabija wiewiórki? Jego brutalnych sióstr? Myślę o nich jako o czterech jeźdźcach apokalipsy. Chłopak to wojna. Siostry jeszcze nie rozdzieliły między siebie innych sił zniszczenia.

— Mam nadzieję, że to tylko metafora.

— Mam nadzieję, że nie. Metafory potrafią zawrzeć najwięcej prawdy w najmniejszej przestrzeni.

— Dlaczego uważasz, że sprowadziła mnie twoja siostra? Przy drzwiach nawet mnie nie poznała.

— Jesteś sędzią — wyjaśniła Becca. — Znalazłam w krośnie fioletową nić sprawiedliwości i to byłaś ty. Nie prosiłam cię tutaj, ale wiedziałam, że przybędziesz, bo chce tego moja siostra.

— Dlaczego? Wcale nie jestem sędzią. Sama jestem winna.

— Widzisz? Twój osąd obejmuje wszystkich. Nawet tych, co są dla ciebie niewidzialni.

— Niewidzialni? — spytała Peggy, ale od razu wiedziała, o czym mówi Becca.

— Twoja wizja, wizja żagwi, jak to dość oryginalnie określasz… Widzisz, gdzie trafiają ludzie na wielu ścieżkach swego życia. Ale ja nie stoję na ścieżce czasu. Moja siostra również. Nigdzie nas nie ma, ani w twoich proroctwach, ani we wspomnieniach tych, którzy nas znali. Tylko w chwili obecnej jesteśmy tutaj.

— Przecież pamiętam twoje pierwsze słowo dostatecznie długo, żeby zrozumieć całe zdanie…

— Aha… Sędzia żąda precyzji mowy. Granice nie są tak wyraźne, Margaret Larner. Teraz pamiętasz doskonale; ale co będziesz pamiętać za tydzień? To, co o mnie zapomnisz, zapomnisz dokładnie; nie będziesz nawet pamiętać, że kiedyś wiedziałaś. Wtedy moje stwierdzenie stanie się prawdą, ale ty zapomnisz, że je wymówiłam.

— Chyba nie.

Becca uśmiechnęła się.

— Pokaż mi nić — poprosiła Peggy.

— Tego nie robimy.

— W czym może to zaszkodzić? Widziałam już wszystkie możliwe ścieżki swojego życia.

— Ale nie widziałaś, którą wybierzesz.

— A ty widziałaś?

— W tej chwili nie — odparła Becca. — Ale w chwili, co mieści w sobie wszystkie chwile, tak. Widziałam drogę twego życia. Lecz nie po to przyjechałaś. Nie żeby sprawdzić coś głupiego, na przykład czy wyjdziesz za tego chłopca, którym opiekowałaś się przez lata. Poślubisz go albo nie. Co mnie to obchodzi?

— Sama nie wiem — westchnęła Peggy. — Zastanawiam się, czy

w ogóle istniejesz. Niczego nie zmieniasz, tylko widzisz. Tkasz, ale nie panujesz nad nićmi. Nie masz żadnego znaczenia.

— Ty tak twierdzisz — odparła Becca.

— Żyjesz jednak, czy może żyłaś. Kochałaś Ta-Kumsawa, czyli Isaaca. A więc miłość do jakiegoś chłopca, ślub z nim, nie zawsze wydawały ci się głupie.

— Ty tak twierdzisz.

— A może mówisz też o sobie? Może uważasz się za głupią, bo kochałaś i wyszłaś za mąż? Nie możesz udawać istoty nieludzkiej, skoro kochałaś i straciłaś mężczyznę.

— Straciłam? — zdziwiła się. — Widuję go codziennie.

— Przyjeżdża tutaj? Do Appalachee?

Becca zaśmiała się głośno.

— Nie, raczej nie.

— Ile nici zerwało się pod twoją ręką przy tym ruchu czółenka? — spytała Peggy.

— Zbyt wiele — odparła Becca. — Ale nie dosyć.

— Ty je zerwałaś? Czy po prostu zerwały się przypadkiem?

— Nić stała się cienka. Życie odeszło. Albo zostało przerwane. To nie nić przecina życie, to śmierć przecina nici.

— Więc tylko prowadzisz rejestry, tak? Tkanie niczego nie sprawia, jedynie wszystko zapisuje.

Becca uśmiechnęła się lekko.

— Bierne, bezużyteczne istoty… Tacy jesteśmy, ale musimy tkać.

Peggy nie uwierzyła jej, ale nie miała ochoty się spierać.

— Dlaczego mnie tu sprowadziłaś?

— Już ci mówiłam. To nie ja.

— Dlaczego ona mnie tu sprowadziła?

— Abyś osądziła.

— Co takiego mam osądzić?

Becca przerzuciła czółenko z prawej ręki do lewej. Płocha uderzyła, cofnęła się. Czółenko przemknęło z lewej do prawej i płocha uderzyła raz jeszcze, mocno dociskając wątek do krawędzi tkaniny.

To sen, myślała Peggy. I to niezbyt przyjemny. Dlaczego nigdy nie mogę się obudzić i wyrwać z jakiegoś głupiego snu?

— Osobiście uważam, że już wydałaś osąd — rzekła Becca. — To tylko moja siostra wierzy, że powinnaś dostać drugą szansę. Jest bardzo romantyczna. Uważa, że zasługujesz na trochę szczęścia. Ja uważam, że szczęście zjawia się przypadkiem, spada na kogoś ni stąd, ni zowąd, więc trudno tu mówić o zasługach.

— Zatem to siebie mam osądzić?

Becca zaśmiała się.

Jedna z dziewcząt wsunęła głowę do pokoju.

— Mama mówi, że to brzydko i niegrzecznie śmiać się przy tkaniu

— oznajmiła.

— Tere-fere — mruknęła Becca.

Dziewczynka roześmiała się cicho i Becca także.

— Mama przyszykowała coś naprawdę paskudnego na kolację. Z kluskami.

— Paskudztwo z kluskami — powtórzyła Becca. — Może być.

— Niech sędzia zdecyduje — stwierdziła dziewczynka. — Ona się rządzi. Mówi nam, co jest dobre, a co złe.

Zniknęła. Becca cmoknęła.

— Dzieci są tak bardzo sobą przejęte. Wciąż poruszone tym, że nie są dorosłe. Musisz im wybaczyć arogancję i okrucieństwo. Nie mogły za bardzo skrzywdzić swojego brata, ponieważ brakuje im siły, żeby zadać taki cios, który naprawdę mu zaszkodzi.

— Krwawił — przypomniała Peggy. — Utykał.

— Ale wiewiórka zginęła.

— Nie tkasz nici wiewiórek…

— Ja nie tkam, ale to nie znaczy, że nie są tkane.

— Może powiesz mi wprost? Nie marnuj mojego czasu na tajemnice.

— Nie marnowałam — zapewniła Becca. — Nie ma żadnych tajemnic. Powiedziałam wszystko, co jest użyteczne. Cokolwiek jeszcze powiem, może wpłynąć na twój osąd, więc nie zrobię tego. Ustąpiłam siostrze i pozwoliłam cię tu sprowadzić, ale nie mam zamiaru jeszcze bardziej naginać twojego życia. Możesz odjechać, kiedy tylko zechcesz: to także wybór i osąd. Będę z niego zadowolona.

— A ja?

— Przyjdź za trzydzieści lat i sama mi powiedz.

— Czy będę wtedy…

— Jeśli będziesz jeszcze żyła. — Becca uśmiechnęła się. — Myślisz, że jestem nieuważna i pozwolę ci poznać długość twego życia? Nawet jej nie znam. Nie interesowała mnie aż tak, żeby sprawdzić.

Dwie dziewczynki wniosły na tacy talerz, miskę i kubek. Ustawiły to na małym stoliczku obok krosna. Na talerzu Peggy zobaczyła dziwnie pachnące danie; nie zdołała go rozpoznać. Nie zauważyła też niczego, co można by nazwać kluskami.

— Nie lubię, kiedy ludzie się przyglądają, jak jem — oznajmiła Becca.

Peggy jednak była już rozgniewana tymi jej wymijającymi stwierdzeniami, więc nie wyszła, jak tego wymagała uprzejmość.

— Zostań więc — zgodziła się Becca.

Dziewczynki zaczęły ją karmić. Becca nie szukała wargami jedzenia; utrzymywała perfekcyjny rytm pracy, tak jak przez cały czas rozmowy. Dziewczynki zręcznie podsuwały jej do ust łyżkę, widelec

albo kubek; zjadała i wypijała, co jej podano. Ani kropelka, ani jeden okruszek nie spadł na tkaninę.

Nie mogło tak być zawsze, uznała Peggy. Przecież wyszła za Ta-Kumsawa i urodziła mu córkę, która odeszła na zachód, by tkać wśród Czerwonych za Mizzipy. Tego nie da się osiągnąć z czółenkiem przelatującym tam i z powrotem, z płochą uderzającą o wątek. To oszustwo. Albo też w grę wchodzą sprawy, jakich Peggy nigdy nie zdoła pojąć.

Odwróciła się i wyszła. Korytarz kończył się wąskimi schodami. Na górnym stopniu siedział… uznała, że chłopiec, choć widziała tylko bose stopy i nogawki spodni.

— Jak nos? — spytała.

— Ciągle boli. — Pochylił się i zjechał na siedzeniu z kilku stopni.

— Chyba nie bardzo — zauważyła. — Szybko się goi.

— Przecież to tylko dziewczyny — rzucił pogardliwie.

— Nie myślałeś o nich tak lekceważąco, kiedy cię okładały.

— Ale przecież nie wołałem wujka, prawda? Nie słyszała pani ode mnie żadnych wujków.

— Nie — zgodziła się Peggy. — Żadnych wujków.

— Bo mam jednego wujka. Wielki Czerwony. Ike.

— Słyszałam o nim.

— Przychodzi prawie codziennie.

Peggy miała ochotę zapytać, jak Ta-Kumsaw dociera tutaj. Czy nie mieszka na zachód od Mizzipy? A może zginął i zjawia się jako duch?

— Wchodzi zachodnimi drzwiami — wyjaśnił chłopiec. — My ich nie używamy. Tylko on. Prowadzą do chaty mojej kuzynki Wieży.

— O ile pamiętam, ojciec nazywa ją Mana-Tawa.

Chłopiec wybuchnął śmiechem.

— To, że dał jej czerwone imię, jeszcze nie znaczy, że może ją zatrzymać przy sobie. Nie do niego należy.

— A do kogo?

— Do krosna.

— A ty? — spytała Peggy. — Czy też należysz do krosna?

Ze smutkiem pokręcił głową.

— Ale chciałbyś — stwierdziła Peggy, gdy tylko to zrozumiała.

— Ona już nie będzie miała córek. Nie przerywa dla niego tkania. Więc nie może odejść. Będzie tutaj zawsze.

— A siostrzeńcy nie mogą zająć jej miejsca?

— Mogą siostrzenice, ale moje siostry nie są warte nawet podściółki dla świń, moim zdaniem, które akurat jest suszne.

— Słuszne — poprawiła go Peggy. — Tam jest „ł”.

— Sełuszne — burknął chłopiec. — Ale myślę, że ludzie powinni pisać słowa tak, jak je mówią, zamiast kazać nam je mówić tak, jak się pisze.

Peggy musiała się roześmiać.

— Coś w tym jest. Ale nie można pisać słów tak, jak się komu spodoba. Przecież nie wymawiasz ich tak samo jak ktoś, powiedzmy, z Bostonu. Wkrótce pisalibyście zupełnie inaczej i nie moglibyście czytać swoich listów ani książek.

— Nie chcę czytać jego książek. A w Bostonie nie znam żadnych chłopaków.

— Masz jakieś imię?

— Ale go pani nie powiem. Myśli pani, że jestem głupi? Jest pani aż gruba od heksów i chce, żebym jej dał władzę nad moim imieniem?

— Heksy mają mnie ukryć przed innymi.

— Przed czym musi się pani chować? Przecież nikt pani nie szuka.

To ją zabolało. Nikt jej nie szuka… Otóż to. Kiedyś ukryła się, żeby rodzina nie poznała jej po powrocie do domu. Przed kim ukrywa się teraz?

— Może ukrywam się przed sobą. Może nie chcę być tym, kim być powinnam. A może nie chcę prowadzić takiego życia, jakie już rozpoczęłam.

— A może guzik pani o tym wie.

— Może.

— Niech pani nie będzie taka tajemnicza. Jest pani stara i niemądra.

Niemądra? Niech mu będzie… ale stara!

— Nie jestem wiele starsza od ciebie.

— Kiedy ludzie mówią „może”, to dlatego że kłamią. Albo sami nie wierzą w to, co mówią, albo wierzą, ale nie chcą się do tego przyznać.

— Jesteś bardzo mądrym młodym człowiekiem.

— A prawdziwi kłamcy zmieniają temat, kiedy tylko prawda wychodzi na jaw.

Peggy obserwowała go spokojnie.

— Czekałeś tu na mnie, prawda?

— Wiedziałem, co zrobi ciocia Becca. Ona nigdy nikomu nic nie mówi.

— A ty mi powiesz?

— Nie ja. To za głębokie bagno, żeby się w nie pakować. Dlatego postarałem się, żeby pani myślała w odpowiednim kierunku, jeżeli tylko ma pani dość rozumu, żeby to zobaczyć.

Podskoczył i usłyszała tylko cichnący tupot jego nóg na pięterku.

Wybór dla Peggy polegał na tym, że mogła być szczęśliwa. Tak powiedziała Becca, czy też powiedziała, że tak mówiła jej siostra. Co prawda trudno sobie wyobrazić, żeby tę kobietę o nieruchomej twarzy interesowało, czy ktoś jest szczęśliwy, czy nie. A teraz chłopiec skłonił

ją do rozmowy o heksach i wyjaśnił, że ją prowadził. Wybór, jaki przed nią postawiono, był teraz jasny. Zajęła się pracą ojca, chciała przetrącić grzbiet niewolnictwu, ale przestała obserwować Alvina. Chciały, żeby znowu na niego patrzyła. Chciały, żeby do niego sięgnęła.

Pędem wbiegła do chaty.

— Nie zrobię tego — oznajmiła. — Przejmowałam się tym chłopakiem i dlatego zginęła moja matka.

— Przepraszam, ale zdawało mi się, że zginęła od kuli.

— Mogłam ją ocalić przed kulą.

— Ty tak twierdzisz — powiedziała Becca.

— Tak, ja tak twierdzę.

— Nić twojej matki zerwała się, kiedy postanowiła chwycić strzelbę i zabić, zamiast ufać Alvinowi. Arthur był bezpieczny. Nie musiała zabijać, ale kiedy powzięła taką decyzję, postanowiła umrzeć. Myślisz, że potrafiłabyś zmienić tę decyzję?

— Nie licz, że uznam takie proste odpowiedzi.

— Nie. Liczę, że wszystkie odpowiedzi powikłasz do granic możliwości. Ale czasem te najprostsze są prawdziwe.

— Czyli znów jak za dawnych dni? Pilnować Alvina? Czy mam się w nim zakochać? Wyjść za niego? Patrzeć, jak umiera?

— Mnie to właściwie nie interesuje. Moja siostra uważa, że będziesz szczęśliwsza z nim niż bez niego, a on w końcu umrze i tak. Większość kobiet, które nie umierają przy porodzie, zostaje wdowami. Co z tego?

Co z tego? Potrafiła przewidzieć wiele sposobów śmierci Alvina, ale to nie znaczy, że mogła go nie kochać. Wiedziała o tym, myśląc racjonalnie. Tyle że strach nie jest racjonalny.

— Przez całe życie rozpaczasz po ludziach, którzy jeszcze nie umarli — stwierdziła Becca. — Cóż za marnotrawstwo interesującego talentu.

— Interesującego?

— Mogłabyś mieć talent do nadawania miękkości skórze na buty. Pomyśl, jaka byłabyś wtedy szczęśliwa.

Peggy spróbowała sobie wyobrazić siebie w roli szewca i nie mogła powstrzymać śmiechu.

— Przypuszczam, że jednak wolę wiedzieć, niż nie wiedzieć. Na ogół.

— Otóż to. Wiedza czasem rani, zwłaszcza kiedy nic nie możesz zrobić i niczego zmienić.

Becca powiedziała to dziwnie, jakby ukradkowo.

— Nic nie mogę zrobić, żeby zmienić swoje lewe oko — oświadczyła Peggy.

— Nie rzucaj przekleństw, których nie rozumiesz — poradziła

Becca.

— Ale ty wprowadzasz zmiany. Ani przez chwilę nie uważasz krosna za niezmienne.

— Zmiany są niebezpieczne. Trudno przewidzieć konsekwencje.

— Widziałaś śmierć Ta-Kumsawa pod Detroit. Dlatego wzięłaś nić Alvina i…

— Co ty wiesz o krośnie?! — krzyknęła Becca. — Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy nici płyną ci przez palce, a ty widzisz całą rozpacz, ból i cierpienie! I myślisz: to bez znaczenia, są trzodą Boga i On może robić z nimi, co zechce, ale kiedy znajdujesz tego, którego kochasz bardziej niż życie, a Bóg zamordował go przez zdradę Francuzów i nienawiść Anglików, zupełnie po nic, kiedy widzisz, że całe jego istnienie traci sens i nic się nie zmienia oprócz kilku legend i pieśni, a ja tu siedzę i wciąż go kocham, wdowa na wieczność, bo on odszedł… Tak, znalazłam tego, kto mógł go ocalić. Wiedziałam, że kiedy się spotkają, pokochają się i uratują nawzajem.

— Ale to, co zrobiłaś, stało się przyczyną masakry nad Chybotliwym Kanoe — zaprotestowała Peggy. — Ludzie z Vigor Kościoła pomyśleli, że Alvin został porwany i zamęczony na śmierć. Z zemsty zabili ludzi Tenska-Tawy. Teraz ciąży na nich klątwa i wszystko przez ciebie…

— Przez to, że Harrison wykorzystał ich gniew. Myślisz, że bez tego masakra by nie nastąpiła?

— Ale nie mieliby krwi na rękach…

Becca zapłakała, a łzy upadły na tkaninę.

— Nie powinnaś ich osuszyć? — spytała Peggy.

— Gdyby łzy mogły uszkodzić tkaninę, nic by już nie zostało.

— Więc lepiej niż inni znasz cenę mieszania się w cudze życie.

— A ty lepiej niż inni znasz cenę niemieszania się, kiedy nadejdzie właściwa chwila. — Becca podniosła głowę i podjęła pracę. — Uratowałam go, a to było moim celem. Ludzie, którzy zginęli, zginęliby i tak.

— A ja jestem tutaj, bo twoja siostra chce, bym zaopiekowała się Alvinem.

— Jesteś tutaj, bo widzimy tylko nici i zgadujemy, co one znaczą i kim są. Znamy nić młodego Stwórcy; trudno ją przeoczyć. Poza tym już raz ją przesunęłam, splotłam z nicią mojego Isaaca. Myślisz, że po czymś takim mogłabym ją stracić z oczu? Pokażę ci, jeśli obiecasz, że nie spojrzysz poza ten kawałeczek tkaniny.

— Obiecuję nie patrzeć. Ale nic nie poradzę na to, co zobaczę przypadkiem.

— Więc niech przypadek zdecyduje.

Peggy spojrzała na tkaninę wiedząc, że nieczęsto widzą ją ci, co nie należą do krosna. Nić Alvina była wyraźna, połyskująca jasno

wszystkimi kolorami, ale nie grubsza od innych. Wydawało się, że łatwo można ją zerwać niezręcznym ruchem.

— Ośmieliłaś się ją przesunąć?

— Sama wróciła na miejsce — odparła Becca. — Pożyczyłam ją tylko na chwilę. A on uratował swojego brata Measure'a. Otworzył się przed nim Ośmiościenny Kopiec. Powiem ci, że w jego życiu działają siły o wiele potężniejsze niż moja moc przesuwania nici.

— Potężniejsze też ode mnie.

— Ty jesteś jedną z tych sił. Nie wszystkimi, nie najpotężniejszą, ale jedną z nich. Patrz. Widzisz, jak krzyżują się z nim nici? Myślę, że to jego bracia i siostry. Jest ciasno spleciony z rodziną. I popatrz, jak te nici się rozjaśniają, jak nabierają nowych barw. On ich uczy, jak być Stwórcami.

Tego Peggy nie wiedziała.

— Czy to niebezpieczne?

— Nie dokona swego dzieła samotnie, więc uczy innych, żeby mu pomagali. Udaje mu się to lepiej, niż sam przypuszcza.

— A ten? — Peggy wskazała najjaśniejszą z pozostałych nici. Odsuwała się daleko od reszty rodziny.

— Jego brat. A także siódmy syn siódmego syna — wyjaśniła Becca. — Chociaż ósmy, jeśli liczyć tego, co zginął.

— Ale siódmy z żyjących w chwili swych narodzin. Tak, jest w nim moc.

— Patrz… — wskazała Becca. — Widzisz, jaki był jasny na początku? Równie jasny jak Alvin. Miał w sobie prawie tyle samo… i sił działających przeciw niemu nie było więcej, bo kiedy już dorósł, ty i Alvin powstrzymaliście Niszczyciela, a przynajmniej wszystkie jego zabójcze pułapki. Ale Niszczyciel znalazł inny sposób: nienawiść i zazdrość. Jeśli kochasz Alvina, Peggy, poszukaj płomienia serca jego młodszego brata. Musi zawrócić, zanim będzie za późno.

— Dlaczego? Nic o nim nie wiem. Znam tylko jego imię i pamiętam, że Alvin wiązał z nim spore nadzieje.

— Ponieważ z tego, jak układają się nici, widzę, że kiedy znów się spotkają, nastąpi koniec Alvina.

— Zabije go?

— Skąd mogę wiedzieć? Nici niewiele zdradzają. To tylko ich ruch w tkaninie. Ty będziesz wiedzieć. Dlatego cię wezwała. Nie tylko dla twojego szczęścia, ale… powiedziała, że jestem to winna Stwórcy. Wykorzystałam go, by ocalić mego ukochanego. Czy nie jestem ci winna tej samej szansy? Ona tak twierdzi. Ale wiedziałyśmy, że jeśli pokażę ci to na początku, pomożesz mu z obowiązku. Dla sprawy, a nie z miłości.

— Jeszcze nie postanowiłam, czy znowu będę go obserwować.

— Ty tak twierdzisz — rzekła Becca.

— Bardzo jesteś pewna siebie — odparła Peggy — jak na kobietę, która sama tak wszystko poplątała.

— Odziedziczyłam tę plątaninę. Pewnego dnia moja matka, która przepłynęła ocean i przywiozła nas tutaj, po prostu zdjęła ręce z krosna i odeszła. Siostra i ja przyniosłyśmy jej kolację i odkryłyśmy, że zniknęła. Obie byłyśmy zamężne, ale ja urodziłam już mężowi dziecko, a moja siostra nie. Dlatego to ja przejęłam krosno, a ona wróciła do męża. Przez cały czas byłam wściekła na matkę, że tak po prostu nas zostawiła. Porzuciła obowiązek. — Becca łagodnie, delikatnie pogładziła sploty. — Teraz wydaje mi się, że rozumiem. Ceną za trzymanie w dłoni wszystkich żywotów jest to, że same pozostajemy obok życia. Matka nie radziła sobie, bo nie miała do tego serca. Ja mam, a jeśli popełniłam błąd, żeby ratować życie męża, może osądzisz mnie łagodniej wiedząc, że zrezygnowałam z życia przy jego boku, aby zająć miejsce matki.

— Nie zamierzałam cię osądzać — zapewniła speszona Peggy.

— Ani ja nie chciałam się przed tobą usprawiedliwiać. A jednak osądziłaś mnie, a ja się usprawiedliwiałam. Mam tutaj nić mojej matki. Wiem, gdzie jest. Ale nigdy naprawdę nie zrozumiem, dlaczego tak postąpiła. Ani co by się stało, gdyby została. — Becca spojrzała na Peggy. — Nie wiem zbyt wiele, ale co wiem, to wiem. Alvin musi wyruszyć w świat. Musi porzucić rodzinę: niech teraz sami uczą się Stwarzania, jak on kiedyś. Musi połączyć się z Calvinem, zanim Niszczyciel całkiem go przemieni. W przeciwnym razie Calvin nie tylko przyniesie mu śmierć, ale też pogrąży wszystkie dzieła Stwórcy.

— Mam proste rozwiązanie. Odszukam Calvina i dopilnuję, żeby nigdy nie wrócił do domu.

— Myślisz, że masz dość siły, by zapanować nad życiem Stwórcy?

— Calvin nie jest Stwórcą. To niemożliwe. Pomyśl tylko, przez co musiał przejść Alvin, by nim zostać.

— Ale i tak nigdy nie miałaś dość siły, by sprzeciwić się Alvinowi, nawet kiedy był dzieckiem. A przecież ma dobre serce. Obawiam się, że Calvin nie kieruje się tym samym poczuciem prawości.

— Więc nie mogę nim pokierować — zgodziła się Peggy. — Ale też nie mogę wysłać gdzieś Alvina. Nie należy do mnie.

— Nie?

Peggy ukryła twarz w dłoniach.

— Nie chcę, żeby mnie kochał. I nie chcę go kochać. Chcę dalej prowadzić walkę z niewolnictwem w Appalachee.

— A tak… Wykorzystując swój talent, żeby wpływać na tkaninę, tak? — spytała Becca. — Wiesz, do czego to prowadzi?

— Mam nadzieję, że do wyzwolenia niewolników.

— Być może. Ale jedno jest pewne: to prowadzi do wojny.

Peggy spojrzała ponuro.

— Widzę znaki wojny na wszystkich ścieżkach. Widziałam je, zanim jeszcze zaczęłam działać.

Zrozpaczone matki. Groza bitwy w życiu młodych mężczyzn.

— Zacznie się jako wojna domowa w Appalachee, ale skończy jako wojna między królem z jednej strony i Stanami Zjednoczonymi z drugiej. Brutalna, krwawa, okrutna…

— Chcesz powiedzieć, że powinnam przestać? Mam pozwolić tym potworom władać Czarnymi, których porwali, i wszystkimi ich dziećmi? Na zawsze?

— Wcale nie — uspokoiła ją Becca. — Wojna wybucha w wyniku miliona różnych wyborów. Twoje działania popychają wydarzenia w pewnym kierunku, ale przecież nie jesteś jedyną przyczyną. Nie rozumiesz? Jeśli wojna jest jedynym sposobem wyzwolenia niewolników, czy nie jest to warte wszystkich cierpień? Czy życie jest zmarnowane, jeżeli kończy się dla takiej sprawy?

— Nie mogę tego osądzić.

— To nieprawda. Tylko ty możesz osądzić, bo tylko ty widzisz możliwe skutki. Zanim ja coś zobaczę, wydarzenia stają się nieuniknione.

— Jeżeli są nieuniknione, czemu chcesz mnie przekonać, żeby je zmienić?

— Prawie nieuniknione. Znowu wyraziłam się nieprecyzyjnie. Nie mogę przesuwać nici w wielkiej skali, bo nie potrafię przewidzieć skutków takiej zmiany. Ale pojedynczą nić mogę czasem przesunąć, nie niszcząc przy tym splotu. Nie wiedziałam, jak przesunąć Calvina, ale przesunęłam ciebie. Sprowadziłam tu sędziego, który widzi mimo opaski na oczach.

— Mówiłaś chyba, że to twoja siostra…

— Ona zdecydowała, że trzeba tak postąpić. Ale tylko mnie wolno dotykać nici.

— Mam wrażenie, że dużo czasu poświęcasz na kłamstwa i ukrywanie różnych spraw.

— Całkiem możliwe.

— Na przykład tego, że zachodnie drzwi prowadzą do kraju Ta-Kumsawa, na zachód od Mizzipy.

— Nie kłamałam ani nie ukrywałam tego.

— A dokąd prowadzą wschodnie drzwi?

— Do domu mojej ciotki w Winchester, w Anglii. Widzisz? Niczego nie ukrywam.

— Masz tylko jedną córkę — przypomniała Peggy. — I ona dostała już swoje krosno. Kto zajmie twoje miejsce?

— To nie twoja sprawa — odparła Becca.

— Wszystko jest teraz moją sprawą, odkąd chwyciłaś moją nić i przesunęłaś tutaj.

— Nie wiem, kto zajmie moje miejsce. Może będę tu siedzieć już zawsze. Nie jestem jak moja matka. Nie porzucę krosna, wmuszając je komuś, kto tego nie chce.

— Kiedy przyjdzie czas wyboru, pomyśl o chłopcu. Jest mądrzejszy, niż się wydaje.

— Męska ręka na krośnie? — Becca zrobiła minę, jakby połknęła coś obrzydliwego.

— Ważniejsza od talentu tkacza jest chyba troska o nici, które wplata się w tkaninę — zauważyła Peggy. — Może i zabił wiewiórkę, ale nie sądzę, żeby lubował się w śmierci.

Becca przyglądała jej się nieruchomo.

— Za dużo bierzesz na siebie.

— Sama mówiłaś, że jestem sędzią.

— Więc zrobisz to?

— Co? Zacznę obserwować Alvina? Tak. Chociaż wiem, że sześć razy złamie mi serce, zanim go pochowam. Tak, zwrócę oczy na tego chłopca.

— Tego mężczyznę.

— Tego Stwórcę.

— A ten drugi?

— Zrobię coś, jeśli tylko znajdę sposób.

Becca kiwnęła głową.

— Dobrze. — Kiwnęła znowu. — Zatem skończyłyśmy. Drzwi wyprowadzą cię z domu.

To było jedyne pożegnanie. Ale Becca mówiła prawdę: tam, gdzie niedawno Peggy nie mogła znaleźć wyjścia, teraz każdy korytarz prowadził do stojących otworem drzwi, za którymi jaśniało światło dnia. Peggy nie chciała jednak wychodzić drzwiami prowadzącymi do jej świata. Chciałaby przejść przez drzwi w starej chacie. Wschodnimi, do Anglii. Zachodnimi, do krainy Czerwonych. Albo południowymi — dokąd one prowadzą?

Ale jej miejsce było tutaj. Tutaj czekał na nią powóz i praca, wzniecanie wojny poprzez budzenie współczucia dla niewolników. Pogodziła się z tym, tak jak mówiła Becca. Czy sam Jezus nie powiedział, że przynosi nie pokój, ale wojnę? Że brat stanie przeciw bratu? Jeśli tego trzeba, by zmyć z tej ziemi plamę niewolnictwa, niech tak będzie. Ona mówi tylko o pokojowych przemianach. Jeśli inni wolą raczej zabijać lub ginąć, niż uwolnić niewolników, to ich wybór i nie ona to sprawi.

Tak jak nie ona sprawiła, że matka chwyciła strzelbę i zabiła Odszukiwacza, który przecież działał zgodnie z prawem, choć to niesprawiedliwe prawo. Nie znalazłby Arthura Stuarta, ukrytego w jej domku, o zapachu zmienionym przez Stwarzanie Alvina, gdy jego obecność kryły wszystkie heksy, jakie Alvin tam umieścił. Nie zabiłam

jej, myślała Peggy. I gdybym nawet mogła temu zapobiec, nie zmieniłabym jej przecież. Była kobietą zdolną do takich decyzji, kobietą, którą kochałam razem z jej gwałtowną, gniewną odwagą. Nie jestem winna jej śmierci. Winien jest człowiek, który ją zastrzelił. I to ona sama, nie ja, postawiła się na drodze nieszczęścia.

Peggy wyszła na słońce ożywiona, lekkim krokiem. Powietrze pachniało słodko. Ten dom bez płomieni serc na nowo rozpalił jej własny płomień.

Wsiadła do powozu i bez dalszej zwłoki dotarła do gospody na północ od Chapman Valley. Spędziła w niej noc, a następnego dnia znalazła się w Baker's Fork. Tam prowadziła wykłady dla nauczycieli i najzdolniejszych uczniów, w wolnych chwilach dyskutując z ludźmi o niewolnictwie. Wygłaszała komentarze, ganiła tych, którzy dręczyli niewolników, twierdziła, że dopóki ktokolwiek ma taką władzę nad ludźmi, przypadki dręczenia są nieuniknione, a jedynym lekarstwem na to jest wolność dla wszystkich. Kiwali głowami. Zgadzali się z nią. Mówiła o odwadze, jakiej wymaga decyzja, o niewolnikach, którzy cierpią pod batem i stracili wszystko; jak wiele mogą wycierpieć biali mężczyźni i kobiety, aby ich wyzwolić? Ile wycierpiał dla innych Chrystus?

Był to przekonujący, dopracowany pokaz. Nie zmieniła go, choć wiedziała, że doprowadzi do wojny. Wojny wybuchały już z głupszych powodów. Niech przynajmniej jedna potoczy się w słusznej sprawie, skoro nieprzyjaciele dobra nie chcą zmiękczyć swych serc.

Wśród wykładów i rozmów znalazła chwilę, niecałą godzinę, dla siebie, siedząc przy biurku wdowy, właścicielki plantacji. Przy tym samym biurku, gdzie przed chwilą kobieta uwolniła wszystkich swoich niewolników i zatrudniła ich jako wolnych robotników. Peggy widziała w jej płomieniu serca, że ten wybór doprowadzi do spalenia jej spichrzów i zniszczenia upraw. Ale kobieta ruszy ze świeżo wyzwolonymi Czarnymi na północ, mimo przeszkód i zagrożeń. Jej odwaga przejdzie do legendy, stanie się iskrą inspirującą inne mężne serca. A pewnego dnia dwadzieścia tysięcy czarnych córek otrzyma imię tej kobiety. „Dlaczego mam na imię Jane?" — spytają swych matek. A te odpowiedzą: „Ponieważ żyła kiedyś kobieta o tym imieniu, która uwolniła swoich niewolników i opiekowała się nimi w drodze na północ, a potem zatrudniała ich i pilnowała, dopóki nie nauczyli się żyć jak ludzie wolni i mogli sami sobie radzić. To imię jest wielkim zaszczytem". Nikt się nie dowie o nauczycielce, która kiedyś w słowa ujęła tajemne pragnienia serca Jane.

Przy tym właśnie biurku Peggy napisała i zaadresowała list: Vigor Kościół w stanie Wobbish. Dotrze do niego, to pewne. Kiedy pieczętowała kopertę, kiedy wręczała ją posłańcowi, wreszcie spojrzała na płomień serca, który znała najlepiej, lepiej nawet niż

własny. Zobaczyła w nim znajome możliwości, groźne konsekwencje. Ale teraz, z powodu tego listu, były inne. Inne… czy lepsze? Trudno ocenić. Nie jest aż tak dobrym sędzią, żeby wiedzieć. Słuszne i niesłuszne były łatwe do rozróżnienia, ale dobre i złe, lepsze i gorsze wciąż sprawiały kłopoty. Przesuwały się dziwnie i zmieniały w oczach. Może żaden sędzia nie potrafiłby tego osądzić; a jeśli istniał taki, to milczał.

Posłaniec wziął list i powiózł go na północ, gdzie w innym miasteczku przekazał jeźdźcowi, który zapłacił mu połowę tego, na ile ocenił wartość listu po dostarczeniu. Drugi jeździec ruszył dalej na północ, krętą trasą, ale wreszcie stanął w sklepie w Vigor Kościele, gdzie spytał o niejakiego Alvina Smitha.

— Jestem jego szwagrem — wyjaśnił kupiec. — Armor-of-God Weaver. Zapłacę ci za list. Nie chciałbyś wjeżdżać do miasta; nie chciałbyś słuchać historii, jaką ludzie muszą opowiadać.

Przekonał jeźdźca.

— W takim razie należy się pięć dolarów.

— Założę się, że posłańcowi, który dał ci ten list, zapłaciłeś tylko jednego dolara, wierząc, że ode mnie dostaniesz najwyżej dwa. Ale dam ci pięć, jeśli nadal chcesz tyle, ponieważ mogę się dać oszukać człowiekowi, który potrafi żyć z pamięcią tego czynu. To ty w końcu zapłacisz najwięcej.

— W takim razie dwa dolary — zdecydował jeździec. — Bez urazy.

Armor-of-God wyjął trzy srebrne dolary i wcisnął je w dłoń przybysza.

— Dziękuję za prędką jazdę, przyjacielu — powiedział. — Zawsze będziesz tu mile widziany. Zostań z nami na obiedzie.

— Nie, muszę jechać dalej.

Kiedy tylko wyszedł, Armor parsknął śmiechem.

— Jestem pewien, że zapłacił za ten list tylko pięćdziesiąt centów — zwrócił się do żony. — Zatem nadal uważa, że mnie oszukał.

— Musisz bardziej się liczyć z pieniędzmi — odparła.

— Dwa dolary, żeby spowodować u kogoś nieco duchowych mąk, które może zmienią jego życie na lepsze? To niska cena, moim zdaniem. Ile jest warta dusza w oczach Boga? Myślisz, że dwa dolary?

— Dreszcz mnie przechodzi, kiedy pomyślę, na ile wycenia dusze niektórych ludzi, kiedy Bóg postanowi zamknąć sklepik — mruknęła żona. — Zaniosę ten list do domu mamy. I tak tam dzisiaj idę.

— Simon, chłopak Measure'a, przychodzi po pocztę. Spojrzała gniewnie.

— Nie miałam zamiaru go czytać.

— Nie powiedziałem tego.

Nadal jednak nie dał jej listu. Położył go na ladzie, czekając, aż

zjawi się najstarszy syn Measure'a i zabierze go do domu na wzgórzu, gdzie Alvin uczy ludzi, jak być Stwórcami. Armorowi nadal się to nie podobało, wydawało niewłaściwe, niereligijne, wbrew Biblii. Wiedział jednak, że Alvin był dobrym chłopcem, który wyrósł na dobrego człowieka, a jeśli posiadał jakieś moce czarodziejskie, nikogo nimi nie krzywdził. Czy to możliwe, by te moce były przeciwne Bogu i religii, skoro korzystał z nich po chrześcijańsku? W końcu to Bóg stworzył świat i wszystko w nim. Gdyby nie chciał, żeby istnieli Stwórcy, to przecież nie musiał ich stwarzać. A zatem to, co robi Alvin, musi być zgodne z wolą bożą.

Czasem Armor-of-God całkowicie się godził na działania Alvina. A czasem myślał, że tylko dureń zaślepiony przez diabła może choćby przez moment wierzyć, że Bóg jest zadowolony z jakichkolwiek czarów. Ale to były tylko myśli. Kiedy przychodziło do czynów, Armor-of-God już zdecydował: był z Alvinem, przeciwko wszystkim, którzy mu szkodzili. Jeśli czeka go za to piekło, trudno. Czasem trzeba po prostu iść za głosem serca. A czasami trzeba powziąć decyzję i trzymać się jej, choćby nie wiem co.

Dlatego nikt nie dostanie w ręce listu od Peggy Larner do Alvina. A szczególnie żona Armora-of-God, która sama za dobrze zna się na heksach.

Daleko od nich, w całkiem innym miejscu, Peggy dostrzegła zmiany w płomieniach serc i wiedziała, że list trafił do krewnych Alvina. Wykona swoje zadanie; świat się zmieni. Nici w krośnie Bekki się przesuną. To nie do zniesienia, tak patrzeć i się nie mieszać, myślała Peggy. A potem nie do zniesienia jest widzieć, do czego prowadzi to mieszanie.

ROZDZIAŁ 4 — CEL

Zanim jeszcze przyszedł list od panny Larner, Alvin zaczął odczuwać niepokój. Nic nie układało się tak, jak planował. Po długich miesiącach prób przemienienia w Stwórców rodziny i sąsiadów wydawało się, że aby tego dokonać, musiałby żyć sześć razy dłużej. A choć się starał, nie mógł sobie wyobrazić, w jaki sposób mógłby żyć więcej niż raz.

To nie znaczy, że nauczanie okazało się porażką — tak by tego nie nazwał, jeszcze nie, biorąc pod uwagę, że niektórzy naprawdę się uczyli, jak dokonywać niewielkich aktów Stwarzania. Po prostu nie mieli do Stwarzania talentu. Alvin uznał kiedyś, że każdy człowiek może wykształcić w sobie każdy talent, jeśli będzie mieć dość czasu, ćwiczeń, sprytu i zwykłego uporu. Ale nie wziął pod uwagę, że Stwarzanie przypominało całą masę talentów naraz. Ten czy ów chwytał to czy tamto, ale nikt nie dawał znaku, że pojął całość. Tylko Measure przejawiał czasem zdolności; właściwie nawet więcej niż zdolności. Prawdopodobnie sam mógłby zostać Stwórcą, gdyby ciągle coś nie zaprzątało jego uwagi. Ale inni… Niemożliwe, żeby stali się podobni do Alvina. Jeśli więc nie ma nadziei na sukces, po co próbować?

Kiedy jednak tracił zapał, powtarzał sobie, że ma zamknąć gębę i brać się do roboty. Nie zostaje się Stwórcą, co pięć minut zmieniając plany. Kto zechce za kimś takim podążyć? Trzeba się starać. Nawet kiedy Calvin, jedyny urodzony Stwórca między nimi, odmówił uczenia się czegokolwiek i w końcu odszedł, by psocić w szerokim świecie, nawet wtedy nie wolno się poddawać i ruszać za nim. Measure wyjaśnił to ludziom, chcącym sformować grupę poszukiwawczą: „Nie można człowieka zmusić, żeby został Stwórcą, ponieważ zmuszanie ludzi do robienia czegokolwiek to Niszczenie".

Nawet kiedy ojciec Alvina stwierdził: „Al, jestem zachwycony tym, co potrafisz zrobić, ale wystarczy mi, że ty to potrafisz. Moja rola skończyła się, kiedy przyszedłeś na świat. Nie ma takiego człowieka na świecie, który nie byłby dumny, kiedy syn jest lepszy od niego. Ty wyprzedziłeś mnie zgrabnie, a ja nie mam już chęci wracać do wyścigu". Nawet wtedy Alvin zacisnął zęby i uczył dalej, a ojciec wrócił do młyna, by go oczyścić i przygotować do mielenia.

— Nie mogę zrozumieć — powiedział kiedyś ojciec — czy moje mielenie to Stwarzanie, czy Niszczenie. Kamienie mielą ziarno i rozrywają je na pył, więc to Niszczenie. Ale ten pył jest mąką, można z niej upiec chleb i ciasto, które nie powstaną z ziarna pszenicy czy kukurydzy, więc mielenie może być krokiem na drodze Stwarzania. Możesz mi to wyjaśnić, Alvinie? Czy mielenie jest Stwarzaniem, czy

Niszczeniem?

Alvin mógł bez namysłu odpowiedzieć, że to Stwarzanie, oczywiście, ale pytanie zaczęło go dręczyć. Myślał tak: postanowiłem zrobić Stwórców z tych ludzi, z moich krewnych i sąsiadów. A może zwyczajnie przemielam ich i Niszczę? Nim zacząłem ich uczyć, byli całkiem zadowoleni ze swoich talentów czy ze swojego braku talentów, jeśli już o tym mowa. Teraz są rozczarowani i wydaje im się, że zawiedli. Dlaczego? Czy na tym polega Stwarzanie, żeby zmieniać ludzi, kazać im robić coś, do czego się nie urodzili? Dobrze jest być Stwórcą — wiem o tym, bo nim jestem. Ale czy to oznacza, że nic innego nie jest dobre?

Oczywiście, zapytał o to Bajarza. W końcu Bajarz nie pojawił się tutaj bez powodu, nawet jeśli sam nie miał pojęcia, jaki to powód. Może właśnie przyszedł po to, żeby udzielić Alvinowi kilku odpowiedzi. Dlatego, kiedy pewnego dnia rąbali razem drewno na podwórzu, zapytał, a Bajarz jak zwykle odpowiedział historią.

— Słyszałem opowieść o człowieku, który budował mur tak szybko, jak tylko potrafił, ale ktoś inny burzył go jeszcze szybciej. Więc ów człowiek zastanawiał się, jak sprawić, żeby mur nie został całkiem zburzony. Odpowiedź była prosta: Nie możesz budować sam.

— Pamiętam tę historię — oświadczył Alvin. — To przez nią znalazłem się tutaj i próbuję uczyć tych ludzi Stwarzania.

— Zastanawiam się tylko — podjął Bajarz — czy można by trochę ją naciągnąć albo skręcić i wycisnąć trochę bardziej użyteczną prawdę.

— Wyciskaj. Kiedy skończysz, przekonamy się, czy opowieść jest mokrą ścierką czy kurzą szyją.

— Może tak naprawdę nie trzeba ci masy innych murarzy, którzy tną kamienie, mieszają zaprawę, układają cegły i robią wszystko. Może wystarczy ci wielu kamieniarzy, wielu mieszaczy zaprawy, wielu mierniczych i tak dalej. Nie każdy z nich musi być Stwórcą. Co więcej, może tak naprawdę wystarczy tylko jeden Stwórca.

Prawda słów Bajarza była oczywista. Coś takiego przychodziło już Alvinowi do głowy wielokrotnie, różnie sformułowane. Zaskoczyły go tylko łzy, wzbierające nagle pod powiekami.

— Dlaczego tak bardzo mnie to smuci, przyjacielu?

— Bo jesteś dobrym człowiekiem — odparł Bajarz. — Zły człowiek ucieszyłby się wiedząc, że on jeden może kierować tłumem ludzi, pracujących dla wspólnego celu.

— Najbardziej na świecie nie chciałbym dłużej być samotny — wyznał Alvin. — Byłem samotny. Prawie cały czas, kiedy terminowałem w Hatrack River, miałem uczucie, że nikt nie może mnie zastąpić.

— Ale przez cały ten czas nie byłeś samotny.

— Myślisz o pannie Larner, która mnie obserwowała…

— Myślę o Peggy. Nie rozumiem, dlaczego ciągle określasz ją tym fałszywym imieniem.

— To imię kobiety, którą pokochałem — oświadczył Alvin. — Ale ona zna moje serce. Wie, że zabiłem człowieka, a wcale nie musiałem.

— Człowieka, który zamordował jej matkę? Nie sądzę, żeby miała ci to za złe.

— Wie, jakim jestem człowiekiem, i mnie nie kocha. Ot co. Dlatego będę samotny w chwili, kiedy opuszczę Vigor Kościół. A poza tym odejść, to jakby zebrać tych wszystkich ludzi, dać im w twarz i powiedzieć: Zawiedliście mnie, więc znikam.

Bajarz tylko się roześmiał.

— To głupie gadanie i sam o tym wiesz. Prawda jest taka, że nauczyłeś ich już wszystkiego, a teraz to tylko kwestia praktyki. Już cię tutaj nie potrzebują.

— Ale też nikt nie potrzebuje mnie nigdzie indziej.

Bajarz znowu się zaśmiał.

— Przestań chichotać i powiedz, co w tym takiego śmiesznego.

— Żart, który trzeba tłumaczyć, i tak nie będzie zabawny, więc nie warto go wyjaśniać.

— Wcale mi nie pomagasz — poskarżył się Alvin, wbijając siekierę w pieniek.

— Bardzo ci pomagam — zaprotestował Bajarz. — Tylko nie jesteś jeszcze gotów na przyjęcie pomocy.

— Właśnie że jestem! Ale nie potrzebuję zagadek! Chcę odpowiedzi!

— Potrzebujesz kogoś, kto by ci mówił, co masz robić? To niespodzianka. A zatem ciągle jesteś uczniem? Chcesz komuś oddać władzę nad własnym życiem? Na jak długo, kolejne siedem lat?

— Może i nie jestem uczniem — przyznał Alvin. — Ale to nie znaczy, że jestem mistrzem. Jestem tylko czeladnikiem.

— Więc wynajmij się gdzieś. Masz jeszcze czego się uczyć.

— Wiem. Ale nie mam pojęcia, gdzie pójść po naukę. Pamiętam kryształowe miasto, które widziałem w trąbie powietrznej z Tenska-Tawą. Nie wiem, jak je zbudować. Nie wiem, gdzie je zbudować. Nie wiem nawet, po co je budować, wiem tylko, że powinno istnieć, a ja powinienem się do tego przyczynić.

— No widzisz — ucieszył się Bajarz. — Jak powiedziałem, tutaj nauczyłeś ich już wszystkiego, co potrafisz. Teraz jedynie pomagasz im ćwiczyć… i oszukujesz od czasu do czasu. Nie myśl, że nie zauważyłem.

— Kiedy używam mojego talentu, żeby im pomóc, mówię, że pomagałem. — Alvin zaczerwienił się.

— A wtedy i tak się czują przegrani i uważają, że dzięki twojej

pomocy coś się stało, nie dzięki nim. Alvinie, uważam, że daję ci odpowiedź. Zrobiłeś tu wszystko, co mogłeś. Zostaw im do pomocy Measure'a i paru innych, którzy złapali coś tu czy tam. Niech teraz sami coś osiągną, tak jak ty. Idź w świat, ucz się tego, co ci potrzebne.

Alvin skinął głową, ale w głębi serca wciąż nie chciał uwierzyć.

— Nie rozumiem, co mi przyjdzie z tej wędrówki. Wiesz równie dobrze jak ja, że w tej chwili nie ma na świecie innego Stwórcy, chyba że liczysz Calvina. Ja nie. Od kogo mam się uczyć? Dokąd mam pójść?

— Mówisz zatem, że nie warto po prostu wędrować po świecie i wszędzie się uczyć?

Mówiąc to Bajarz zrobił taką minę, że Alvin od razu odgadł, iż jego słowa mają podwójne znaczenie.

— To, że ty potrafisz się tak uczyć, nie znaczy jeszcze, że ja też potrafię. Ty tylko zbierasz opowieści, a opowieści są wszędzie.

— Stwarzanie też jest prawie wszędzie — zauważył Bajarz. — A gdzie nie ma Stwarzania, tam są dawne, stworzone rzeczy, burzone teraz; z nich też możesz się uczyć.

— Nie mogę odejść — westchnął Alvin. — Nie mogę.

— Inaczej mówiąc: boisz się.

Alvin kiwnął głową.

— Boisz się, że znowu zabijesz — ciągnął Bajarz.

— Nie sądzę. Wiem, że nie. Prawdopodobnie.

— Boisz się, że znowu się zakochasz.

Alvin zaśmiał się lekceważąco.

— Boisz się, że będziesz tam samotny.

— Nie mogę być samotny. Mam przecież złoty pług.

— To inna sprawa — stwierdził Bajarz. — Po co zrobiłeś ten żywy pług, skoro cały czas trzymasz go w ukryciu i nigdy nie używasz?

— To złoto — wyjaśnił Alvin. — Ludzie chcą je ukraść. Wielu potrafiłoby zabić dla takiej ilości złota.

— Wielu potrafiłoby zabić dla takiej ilości blachy, skoro już o tym mowa. Ale pamiętasz, co się zdarzyło człowiekowi, który dostał talent złota i zakopał je w ziemi?

— Bajarzu, jesteś dziś po uszy pełen mądrości.

— Wylewa się ze mnie. To moja najgorsza wada: że rozpryskuję mądrość na ludzi. Na szczęście szybko wysycha i nie zostawia plam.

Alvin skrzywił się.

— Bajarzu, nie jestem jeszcze gotów do opuszczenia domu.

— Może ludzie powinni odchodzić z domu, zanim są gotowi. Inaczej nigdy gotowi nie będą.

— Czy to był paradoks, Bajarzu? Panna Larner uczyła mnie o paradoksach.

— Jest dobrą nauczycielką i wie o nich wszystko.

— Ja o paradoksach wiem tyle, że jeśli nie wyrzuci się ich łopatą

ze stajni, zaczyna śmierdzieć i jest pełno much.

Bajarz roześmiał się na to, Alvin mu zawtórował i to był koniec poważnej rozmowy. Tyle że cała sprawa pozostała Alvinowi w pamięci: Bajarz uważał, że powinien odejść z domu, a on nie miał pojęcia, dokąd miałby pójść, gdyby odszedł, i nie chciał przyznać się do porażki. To ważne powody, by tu zostać. A najważniejszy to ten, że był w domu. Połowę dzieciństwa spędził z dala od rodziny i teraz z przyjemnością zasiadał codziennie za matczynym stołem. Z przyjemnością patrzył na ojca w młynie, słuchał jego głosu, głosów braci, głosów sióstr, głosów wesołych i kłótliwych, pytających i informujących, i głosu matki, ostrego i słodkiego głosu matki, a wszystkie okrywały jego noce i dnie niby kocem, grzały go, mówiły: „Tu jesteś bezpieczny, tu cię znają, jesteśmy twoją rodziną, nie zwrócimy się przeciw tobie". Alvin nigdy w życiu nie słyszał symfonii, znał melodie grane najwyżej na dwóch skrzypeczkach i bandżo. Wiedział jednak, że żadna orkiestra nie stworzy muzyki piękniejszej niż głosy jego krewnych, wchodzących i wychodzących ze swych domów, stodół, z młyna i sklepów w mieście, pasemek muzyki wiążących go z tym miejscem. I chociaż rozumiał, że Bajarz ma rację i powinien stąd odejść, nie potrafił się do tego zmusić.

Jak Calvinowi się to udało? Jak mógł zostawić za sobą tę muzykę?

I wtedy nadszedł list od panny Larner.

Przyniósł go Simon, syn Measure'a; miał już pięć lat, więc mógł biegać do sklepu Armora-of-God po pocztę. Potrafił też czytać, więc nie oddał listu babci ani dziadkowi, ale przyszedł do Alvina, obwieszczając na całe gardło:

— To od kobiety! Nazywa się panna Larner i stawia pikne litery!

— Piękne litery — poprawił go Alvin.

Simon nie dał się nabrać.

— Wujku Alu, tylko ty tak mówisz. Czy ja głupi, żeby dać ci się zrobić w konia?

Alvin przełamał pieczęć i rozłożył list. Znał jej pismo z wielu godzin ćwiczeń, kiedy próbował je naśladować, jeszcze w Hatrack River. Nie miał tak lekkiej ręki, nie umiał pisać tak ładnie. Brakowało mu też elokwencji. Nie słowa były jego darem, zwłaszcza nie oficjalne, eleganckie słowa, jakich panna Larner — Peggy — używała w piśmie.

> Drogi Alvinie,
>
> zbyt długo pozostajesz w Vigor Kościele. Calvin stanowi dla Ciebie wielkie zagrożenie, musisz więc odszukać brata i się z nim pogodzić. Jeśli będziesz czekał, aż sam do Ciebie wróci, przyniesie z sobą koniec Twego życia.

Słyszę niemal, jak odpowiadasz mi: „Ni ma strachu, nie boję się końca” (wiem, że wciąż mówisz „ni ma”, żeby mnie zdenerwować). Odejdź lub zostań, wybór należy do Ciebie. Ale powiem Ci jedno: albo odejdziesz teraz z wolnej woli, albo niedługo odejdziesz i tak, ale nie Ty o tym zdecydujesz. Jesteś kowalskim czeladnikiem — musisz ruszyć w drogę.

Może w twych podróżach spotkamy się gdzieś. Byłabym zadowolona, mogąc Cię znowu zobaczyć.

Szczerze oddana Peggy

Alvin nie miał pojęcia, jak rozumieć ten list. Najpierw Peggy strofuje go jak uczniaka. Potem żartuje sobie, że wciąż pewnie mówi „ni ma”. Potem właściwie prosi, żeby ją odnalazł, ale tak lodowato, że zmroziła go do kości: „Byłabym zadowolona, mogąc Cię znowu zobaczyć”. Dobre sobie! Za kogo ona się uważa, za królową? W dodatku podpisała list „szczerze oddana”, jakby była kimś obcym, nie kobietą, którą pokochał i która powiedziała mu kiedyś, że też go kocha. Jaką grę prowadzi ta osoba widząca przyszłość? Do czego próbuje go przekonać? To jasne, że chodzi o coś więcej, niż napisała w liście. Uważa się za mądrą, bo więcej od innych wie o przyszłości. Ale przecież popełnia błędy jak każdy. Nie chciał, żeby mu mówiła, co zrobić; wolałby, żeby powiedziała, co wie, i pozwoliła samemu decydować.

Jedno było pewne: nie zamierzał rzucać wszystkiego i ruszać na poszukiwanie Calvina. Ona z pewnością dobrze wiedziała, gdzie teraz przebywa, ale nie zadała sobie trudu, żeby to zdradzić. Co chciała przez to osiągnąć? Po co kazała mu szukać, jeśli mogła mu napisać w liście nie gdzie Calvin jest w tej chwili, ale gdzie będzie, kiedy Alvin go dogoni. Tylko głupiec próbuje piechotą podążać za dzikimi gęśmi.

Wiem, że muszę kiedyś stąd odejść, myślał. Ale nie odejdę tylko po to, żeby ścigać Calvina. I nie odejdę tylko dlatego, że kobieta, którą prawie poślubiłem, przysłała mi przemądrzały list, w którym nawet nie napomknęła, że ciągle mnie kocha, jeśli w ogóle kiedyś kochała. Skoro Peggy jest pewna, że i tak niedługo stąd odejdę, równie dobrze mogę poczekać i sprawdzić, co takiego zmusi mnie do odejścia.

ROZDZIAŁ 5 — ZWROT

Ameryka okazała się dla Calvina za mała. Teraz miał już pewność. Wszystko tu było za nowe. Moce ziemi wymagają czasu, by dojrzeć. Czerwoni znali tę ziemię, ale odeszli. Biali i Czarni, którzy zamieszkiwali ją obecnie, mieli tylko słabą moc: talenty, heksy, uroki i sny. Niczego podobnego do tej pradawnej muzyki, o której opowiadał Alvin — do zielonej pieśni żyjącej puszczy. Poza tym Czerwoni odeszli, więc cokolwiek potrafili, musiało być słabe. Porażka dowodziła tego wyraźnie.

Zanim jeszcze Calvin zrozumiał, dokąd zmierza, jego stopy wiedziały: czasem nieco na północ, czasem nieco na południe, ale stale na wschód. Z początku myślał, że idzie tylko do Dekane, ale kiedy tam dotarł, popracował dzień czy dwa, żeby zarobić parę miedziaków i napełnić brzuch chlebem, a potem znów ruszył przez góry, wzdłuż nowej drogi żelaznej do Irrakwa, gdzie mógł pogardliwie spoglądać na ludzi czerwonych ciałem, ale białych w odzieniu, mowie i duszy. Znowu praca, znowu zarobek, znowu tu i tam ćwiczenia w Stwarzaniu. Same drobiazgi, ponieważ nie ośmielał się otwarcie korzystać ze swego talentu w miejscach, gdzie ludzie by to zauważyli i zaczęli o nim opowiadać. Wyświadczał zwykłe drobne przysługi domostwom, gdzie dobrze go potraktowano, na przykład wyganiał myszy i karaluchy. A czasem wyrównywał rachunki z tymi, którzy go odpędzili: posyłał szczura, żeby zdechł w studni, albo powodował przeciek w dachu akurat nad beczką mąki. To było trudne; musiał skłonić drewno, by spęczniało, a potem się skurczyło.

Ale umiał pracować z wodą; woda poddawała się jego woli lepiej niż inne żywioły.

Okazało się, że nie do Irrakwa niosły go stopy. Pracując przemierzył cały stan i dotarł do Nowych Niderlandów, gdzie wszyscy farmerzy mówili po holendersku, a potem wzdłuż rzeki Hudson do Nowego Amsterdamu.

Kiedy znalazł się w wielkim mieście na samym krańcu wyspy Manhattan, pomyślał, że tego właśnie szukał. Największe miasto w całym USA i już prawie nie holenderskie. Wszyscy w interesach rozmawiali po angielsku, a zanim Calvin przestał się nimi przejmować, naliczył jeszcze z tuzin języków, nie wspominając nawet o dziwnych akcentach angielskiego z takich miejsc jak York, Glasgow czy Monmouth. Z pewnością tutaj zgromadziła się cała mądrość świata. Z pewnością znajdzie tu nauczycieli.

Dlatego postanowił zostać na trochę. Poszedł do college'u w głębi wyspy, ale zamiast władzy i mocy chcieli go tam uczyć różnych intelektualnych głupstw, więc Calvin szybko doszedł do wniosku, że

żaden z tych zarozumiałych profesorów i tak nie zna się na niczym pożytecznym. Traktowali go jak wariata. Jeden staruch z białą kozią bródką przez pół godziny go namawiał, żeby Calvin pozwolił mu studiować siebie, niczym jakiś dziwny okaz chrząszcza. Calvin wytrzymał te pół godziny, żeby zdążyć poluzować szycia wszystkich książek na półkach starucha. Niech się zastanawia nad jego szaleństwem, kiedy kartki każdego wyjętego tomu rozsypią mu się po podłodze.

Profesorowie nie byli wiele warci, ale i ulica okazała się nie lepsza. Owszem, słyszał o mędrcach, magach i innych takich. Cyganie opowiadali o kimś, kto rzucał klątwy. Irlandczycy wiedzieli o kapłanie, który umiał robić niezwykłe rzeczy. Francuzi i Hiszpanie słyszeli o czarownicach, świętych dzieciątkach i tym podobnych. Jeden Portugalczyk wspominał wolną czarną kobietę, która potrafiła krocze wroga uczynić gładkim i czystym jak pacha — podobno tak właśnie zyskała wolność: zrobiła to pierworodnemu synowi swego pana i zagroziła, że zrobi także jemu. Ale każda z tych osób jakoś znikała. Dowiadywał się o kimś, kto znał mędrca, trafiał do tego człowieka i okazywało się, że on zna tylko kogoś innego, kto zna mędrca. I tak dalej, i tak dalej, jakby konstabl szukał nocą uciekiniera, który umyka wśród zaułków.

Tymczasem jednak Calvin nauczył się życia w mieście i polubił je. Podobało mu się, że może zniknąć w biały dzień: nikt go tam nie znał. Nikt niczego od niego nie oczekiwał. Człowiek był tym, co nosił na sobie. Kiedy tu przybył, ubrany jak wsiowy prostak, ludzie spodziewali się, że będzie głupi i niezgrabny… i do licha, był taki. Po kilku dniach zrozumiał, że ubranie go zdradza, więc kupił używaną miejską odzież. Ludzie zaczęli z nim rozmawiać. Nauczył się też zmieniać trochę wymowę, mówić szybciej, nie zaciągając. Pozbywał się wiejskiego akcentu. Wiedział, że zdradza go każde wypowiedziane słowo, ale radził sobie coraz lepiej. Ludzie nie prosili już, żeby powtórzył, co mówił przed chwilą. A pod koniec tygodnia nikt by go nie odróżnił od innych imigrantów. Lepiej być nie mogło: nikt przecież nie pochodził z Nowego Amsterdamu. Może z wyjątkiem paru starych holenderskich ziemian, ukrytych w swoich rezydencjach w głębi wyspy.

Nie znalazł w mieście mądrości, tylko plotki o niej. Ale czego właściwie się spodziewał? Ktoś, kto naprawdę poznał moce starego świata, nie wsiadłby przecież na marną łajbę i nie pożeglował na zachód, ryzykując zdrowie i życie, żeby zamieszkać w jakimś śmietniku w Nowym Amsterdamie. Nie, ludzie z Europy, którzy opanowali moc, wciąż byli w Europie — bo oni tam rządzili, więc nie mieli powodów do wyjazdu.

A kto jest najpotężniejszy ze wszystkich? Oczywiście ten, którego

zwycięstwa wypędziły tych ludzi o kilkunastu językach aż na amerykańskie brzegi. Ten, który przegnał z Francji arystokratów, podbił Hiszpanię, Święte Imperium Rzymskie, Włochy i Austrię, a potem nie wiadomo czemu zatrzymał się na granicach Rosji i na kanale La Manche, po czym zaproponował pokój. Ten, kto trzymał teraz kontynent żelazną ręką, ale — podobno — z czułym sercem, tak że nikt we Włoszech, Austrii czy innych krajach, właściwie nigdzie, nie pragnął powrotu dawnych władców. Ten człowiek opanował moc. Od tego człowieka mógł się Calvin nauczyć wszystkiego, czego chciał się dowiedzieć.

Jedyny kłopot polegał na tym, że człowiek tak potężny na pewno nie zechce rozmawiać z biednym chłopakiem z farmy w Wobbish. I jak ten biedny chłopak z farmy w ogóle zdoła przepłynąć ocean? Gdyby tylko Alvin zechciał go nauczyć, jak zmieniać żelazo w złoto… Tak, to by się przydało.

Calvin wyobraził sobie całą lokomotywę parową zmienioną w czyste złoto. Rozpalić pod kotłem, to się roztopi — ale roztopi się w kałuże złota. Wystarczy zanurzyć chochlę i odlewać, a miałby na przejazd do Francji, i to nie w ładowni. Rejs pierwszą klasą, a w Paryżu najlepszy hotel. I jeszcze eleganckie ubranie. Gdyby wszedł tak do amerykańskiej ambasady w Paryżu, lokaje kłanialiby się nisko, szurali nogami i zaprowadzili Calvina prosto do ambasadora, ambasador zaś prosto do pałacu cesarza, gdzie by go przedstawił samemu Napoleonowi. Napoleon by zapytał: „Dlaczego mam z tobą rozmawiać, ze zwykłym obywatelem nieważnego państewka w dzikich krainach na zachodzie?” A Calvin wyjąłby z kieszeni trzy garście złota, wcisnął Napoleonowi w ręce i powiedział: „Hę jeszcze ci trzeba, sir? Potrafię zrobić więcej”. A Napoleon na to: „Mogę kupować złoto za wszystkie podatki Europy. Po co mi ta nędzna garstka?” Wtedy Calvin: „Teraz masz więcej, niż miałeś przed chwilą. Spójrz, sir, na swoje guziki”. Napoleon spojrzałby na mosiężne guziki płaszcza i zobaczył, że też są ze złota. I by powiedział: „Czego ode mnie żądasz, sir?” Tak jest, nazwałby Calvina „sir”, a Calvin by odparł: „Pragnę tylko, byś mnie nauczył mocy”.

Tyle że gdyby Calvin umiał zmieniać żelazo czy mosiądz w złoto, nie potrzebowałby pomocy od Napoleona Bonaparte, cesarza świata czy jaki tam bezsensowny tytuł nadał sobie przy ostatnim święcie. To było kolejne błędne koło z tych, na które ciągle ostatnio trafiał. Gdyby potrafił zwrócić na siebie uwagę Napoleona, to pomoc Napoleona nie byłaby mu potrzebna. A że potrzebował Napoleona, nie miał żadnej szansy, by któryś z dworzan dopuścił go do cesarza.

Calvin nie był głupi. Nie był prostakiem, nieważne, co o nim myśleli ludzie z miasta. Wiedział, że ludzie potężni nie urządzają sobie pogaduszek z byle kim.

Ale przecież mam jakąś moc, myślał. Mam jakąś moc i potrafię utorować sobie drogę, kiedy już przepłynę staw. Ludzie wykwintni nazywają Ocean Atlantycki stawem. Kiedy przepłynę staw. Może będę musiał nauczyć się francuskiego, chociaż podobno Napoleon mówi po angielsku — zostało mu to z czasów, kiedy służył jako generał w Kanadzie. Tak czy inaczej, dostanę się do niego, a on przyjmie mnie na ucznia. Nie takiego, który obejmie po nim cesarstwo, ale takiego, który spróbuje dokonać tego samego w Ameryce: zebrać Kolonie Korony, Nową Anglię i Stany Zjednoczone pod jednym sztandarem. I jeszcze Kanadę. I Florydę. A potem może warto będzie spojrzeć poza Mizzipy i przekonać się, czy stary Tenska-Tawa potrafi zatrzymać Stwórcę, który postanowił wkroczyć i podbić kraj Czerwonych.

Marzenia… Głupie marzenia chłopaka, który sypia w taniej noclegowni i łapie się byle jakich zajęć, żeby zarobić parę centów dziennie. Calvin wiedział o tym, ale wiedział też, że jeśli takiego talentu jak swój nie potrafi zamienić na pieniądze, to nie zasługuje na nic lepszego niż twarde łóżko, marne jedzenie i ciężka praca.

Osiągnął przynajmniej jedno: ludzie na ulicy przyzwyczaili się już do faktu, że Calvin czegoś szuka. I wreszcie stara kobieta, od której kupował jabłka — dała mu jabłko pierwszego dnia w mieście, kiedy nie miał pieniędzy, bo sama pochodziła ze wsi, jak wyjaśniła; od tego dnia nie znalazła w swoich owocach ani jednego robaka czy muchy — powiedziała:

— Chyba rozmawiałeś już z Zakrwawionym? On zna się na różnych rzeczach.

— Zakrwawionym?

— No wiesz, tym, co opowiada straszne historie, a kiedy nikogo nie spotka, komu by mógł opowiedzieć, to ręce spływają mu krwią. Wszyscy znają Zakrwawionego. Przybył tutaj, bo ciąży na nim klątwa. Codziennie musi znaleźć kogoś nowego i powtórzyć mu swoją historię, a gdzie indziej mógłby mieć ciągle nowych ludzi?

Oczywiście, Calvin dobrze wiedział, o kim mówi staruszka.

— Harrison jest tutaj?

— Znasz go?

— Wiem o nim. Nazywał się… nazywał siebie gubernatorem Wobbish. Przez jakiś czas. Wyrżnął ludzi Tenska-Tawy nad Chybotliwym Kanoe.

— To ten sam. Straszna historia. Bogu dzięki, że tylko raz musiałam jej wysłuchać. Ale jest jakaś moc w tym, że krew mu płynie z rąk. Rozumiesz, to przecież dziwne, prawda? O różnych tu się słyszy, ale człowiek nigdy nie widzi, żeby coś rzeczywiście robili. Ale krew widzisz. To pewno moc.

— Pewno tak. — I zaraz się poprawił: — Myślę, że tak.

— Równie dobrze możesz powiedzieć: „Przypuszczam, że to

prawda", jak już chcesz tak fikuśnie mówić.

— Nie chcę mówić po wiejsku i tyle.

— To lepiej się naucz po francusku. Wszyscy bogaci tak mówią. Jesteśmy w holenderskim mieście, gdzie ludzie rozmawiają po angielsku, a ci chodzą do swoich eleganckich restauracji i zamawiają jedzenie po francusku! A co Francuzi mają do Nowego Amsterdamu? Chcesz jeść po francusku, to jedź do Kanady, zawsze to powtarzam.

Słuchał jej przemowy, dopóki nie zdołał się uwolnić — to znaczy, dopóki nie znalazł się klient — po czym wyruszył na poszukiwanie Harrisona. Białego Mordercy. Oczywiście wiedział o ciążącej na nim klątwie, z opowieści własnego ojca i sąsiadów. Czasem wyobrażał sobie, jak Harrison wędruje po wiejskich drogach, od miasteczka do miasteczka, a ludzie przepędzają go, zanim wejdzie i rozpocznie swoją straszną opowieść. Nie przyszło mu do głowy, że Harrison trafi do miasta, chociaż — jeśli się nad tym zastanowić — rzecz była rozsądna. Zakrwawiony…

Znalazł go w zaułku za restauracją, której zarządca karmił go co wieczór, ponieważ nie chciał, żeby zaczepiał gości.

— To surowa kara — wyjaśnił ów zarządca. — W Kilkenny miałem gospodarza, który wierzył w taką sprawiedliwość. „W pokutę, która trwa wiecznie. Niezmywalna hańba. Uważam, że to złe. Nie interesuje mnie, co zrobił ten człowiek. Niech ten wśród was, który jest bez grzechu… i tak dalej. Dlatego daję mu jeść, ale za restauracją, by nie psuł interesu.

— Łaskawy z was człowiek — mruknął Calvin.

— A ty masz niewyparzoną gębę, chłopcze. Istotnie, jestem łaskawy i mam otwarty umysł na dodatek, a to, że znam swoje zalety i ich nie ukrywam, wcale temu nie przeczy. Więc możesz powstrzymać docinki i opuścić mój lokal, jeżeli zamierzasz jeść moje jedzenie, a potem mnie osądzać.

— Nie jadłem waszego jedzenia.

— Ale zjesz — odparł zarządca. — Bo, jak rzekłem, jestem łaskawy, a ty mi wyglądasz na głodnego. Idź do kuchni i powiedz kucharzowi, żeby dał coś dla ciebie i coś dla Zakrwawionego na tyłach. Jeśli przyniesiesz mu jedzenie, na pewno z tobą porozmawia. I opowie ci swoją historię.

— Znam jego historię.

— Wszyscy mogą znać jakąś historię, ale ona nigdy nie jest taka sama. A teraz odejdź od moich drzwi, wyglądasz jak szczur uliczny.

Calvin uświadomił sobie, że owszem, kupił używaną odzież, by się wtopić w tłum, ale w tłum na ulicy, nie w eleganckie towarzystwo. Musi coś z tym zrobić, zanim wyjedzie do Paryża. Musi się zmienić, jeśli już nie w dżentelmena, to przynajmniej w kupca. Nie ulicznego szczura.

Nie lubił ludzi, którzy uważali się za łaskawych, ale rzeczywiście jedzenie w kuchni było smaczne. Nie dostał żadnych resztek ani odpadków, lecz solidny, obfity posiłek. Jak restauracja mogła nie zbankrutować, skoro zarządca jest tak łaskawy dla biedaków? Na pewno oszukuje właściciela. Stać go na łaskawość, bo nie sam za nią płaci. Większość cnót na tym właśnie polega. Ludzie chlubią się nimi, ale kiedy cnota staje się zbyt kosztowna lub niewygodna, aż dziw, jak szybko ustępuje przed potrzebami dnia codziennego.

Zrewanżował się zarządcy, usunął myszy i karaluchy z kuchni.

W zaułku Zakrwawiony sączył wino z butelki. Zobaczył Calvina i oblizał się. Calvin parsknął śmiechem.

— Słyszałem, że lubisz opowiadać.

— Wciąż przysyłają tu takich chłopaczków jak ty. Dla żartu?

— Nikt się nie śmieje. Znam twoją historię, prawie całą. Sam chciałem się z tobą spotkać.

Harrison podał mu butelkę.

— To najlepsze tutaj — wyjaśnił. — Poza tym, że mnie nie wyganiają. Kiedy ktoś zamawia butelkę wina i jej nie skończy, zarządca nie nalewa z niej już nikomu. Więc trafia do mojego zaułka.

— Zaskakujące, że nie ma tu setki innych wygłodniałych pijaków.

Harrison zaśmiał się głośno.

— Kiedyś byli. Ale mieli dość słuchania mojej opowieści, więc teraz mam ten zaułek tylko dla siebie. Tak lubię.

Calvin rozpoznał kłamstwo w jego głosie. Wcale tak nie lubił. Pragnął towarzystwa.

— Możesz opowiadać. Przy jedzeniu, jeśli wolisz.

Harrison zaczął jeść i Calvin dostrzegł ślady dawnych manier. Ten człowiek był kiedyś dobrze wychowany.

Jedząc, opowiedział mu wszystko. Niczego nie ukrywał: jak wynajął Czerwonych zza Hio, żeby porwali dwóch białych chłopców; chciał zrzucić winę na Tenska-Tawę, tak zwanego Czerwonego Proroka. Tyle że chłopców uratował brat Czerwonego Proroka, Ta-Kumsaw. Co zresztą nie miało znaczenia, bo Harrison i tak wykorzystał porwanie, żeby podburzyć białych farmerów w północnej części Wobbish, mieszkających najbliżej wioski Czerwonego Proroka nad Chybotliwym Kanoe. Dzięki temu Harrison zyskał armię, zdolną zniszczyć Prorocze Miasto. I wtedy, w ostatniej chwili, pojawia się jeden z porwanych chłopców. W tej sytuacji Harrison nie ma innego wyjścia i każe go zabić; wydaje się, że wszystko idzie jak po maśle. Czerwoni stoją bez ruchu i pozwalają, żeby ogień z muszkietów i kartacze kosiły ich jak zboże, aż dziewięciu z dziesięciu nie żyje, a cała łąka jest czerwona od krwi spływającej do Chybotliwego Kanoe; ale to okazuje się za trudne dla tych białych mężczyzn — nazywali siebie mężczyznami — bo przestają strzelać, zanim skończyli robotę, i

wtedy pojawia się ten chłopak, który powinien nie żyć, a nawet nie jest ranny, i opowiada o wszystkim. Czerwony Prorok rzuca na nich klątwę, najgorszą zaś na Harrisona, który musi teraz codziennie opowiedzieć o tym komuś nowemu…

— Źle to opowiadasz — stwierdził Calvin.

Harrison rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Myślisz, że po tylu latach nie wiem, jak mam opowiadać? Jak tylko spróbuję coś zmienić, ręce mam całe we krwi i możesz mi wierzyć, że źle to wygląda. Jakbym wsadził je po łokcie w trupa. Ludzie wymiotują na mój widok.

— Takie opowiadanie doprowadziło cię tutaj, gdzie jesz, co ci dadzą z litości, i pijesz resztki wina.

— Kim ty jesteś? — zdziwił się Harrison.

— Chłopak, którego kazałeś zabić, to mój brat Measure — wyjaśnił Calvin. — Ten drugi, porwany razem z nim, to mój brat Alvin.

— I przyszedłeś śmiać się ze mnie?

— Wyglądam, jakbym się śmiał? Nie, odszedłem z domu, bo miałem dosyć tego, że są tacy prawi, wszystko wiedzą najlepiej i nikogo innego nie szanują.

Harrison mrugnął do niego.

— Nigdy nie lubiłem takich ludzi.

— Chcesz wiedzieć, jak powinieneś to opowiadać?

— Słucham.

— Czerwoni prowadzili wojnę z Białymi. Nie korzystali z ziemi, ale nie chcieli pozwolić jej używać białym farmerom. Zwyczajnie nie potrafili się podzielić, chociaż mieli dość miejsca. Tenska-Tawa twierdził, że nawołuje do pokoju, ale naprawdę zbierał razem te tysiące Czerwonych, żeby stworzyć armię dla Ta-Kumsawa. Musiałeś coś zrobić, żeby wzburzyć Białych i skończyć z tym zagrożeniem. Dlatego owszem, poleciłeś porwać tych dwóch chłopców, ale nikomu nie kazałeś nikogo zabijać…

— Jeśli to powiem, krew od razu tryśnie mi z rąk…

— Na pewno przemyślałeś sobie już wszystkie możliwe sposoby, ale wysłuchaj mnie.

— Mów dalej.

— Nikomu nie kazałeś nikogo zabijać. To zwykłe kłamstwa, jakie opowiadają o tobie wrogowie. Kłamstwa pochodzące od Alvina Millera juniora, który teraz nazywa siebie Alvinem Smithem. W końcu to przecież on był Małym Renegado, białym chłopcem, który przez rok chodził wszędzie z Ta-Kumsawem. Był jego przyjacielem… użyjmy tu słowa „przyjaciel”, bo jesteśmy w przyzwoitym towarzystwie… więc musiał przecież nakłamać o tobie. To bitwa nad Chybotliwym Kanoe utrąciła plany Ta-Kumsawa. Gdybyś nie uderzył wtedy i tam, Ta-

Kumsaw zwyciężyłby później pod Fort Detroit, przepędziłby cały cywilizowany lud z terenów na zachód od Appalachów, a armie Czerwonych napadałyby na miasta na wschodzie i rabowały… Ale dzięki tobie i twojej odwadze nad Chybotliwym Kanoe Czerwoni musieli się wycofać na zachód od Mizzipy. Otworzyłeś zachodnie ziemie dla bezpiecznej kolonizacji.

— Zanim to powiem, krew będzie płynąć mi z rąk strumieniem.

— Co z tego? Podniesiesz je i powiesz: „Patrzcie, co zrobił ten czerwony czarownik Tenska-Tawa, żeby mnie ukarać. Pokrył mi ręce krwią. Ale chętnie płacę tę cenę. Krew na moich rękach jest fundamentem, na którym Biali budują cywilizację aż do brzegów Mizzipy. Krew na moich rękach pozwala ludziom na wschodzie spać spokojnie, nie myśląc o Czerwonych, którzy napadają, gwałcą i zabijają, jak zawsze czynili dzicy".

— Każde twoje słowo to największa bzdura na świecie, mój chłopcze — zachichotał Harrison. — Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

— Sam zdecyduj, czy pozwolisz Tenska-Tawie zwyciężyć.

— Dlaczego mi to mówisz? Co ci z tego przyjdzie?

— Sam nie wiem. Szukałem cię, bo myślałem, że wiesz coś o mocy, ale kiedy usłyszałem, że opowiadasz tę swoją historyjkę słabeusza, zrozumiałem, że prawdziwy mężczyzna niczego się od ciebie nie nauczy. Właściwie to sam wiedziałem więcej niż ty. A że chciałem cię prosić, byś się podzielił wiedzą, uznałem, że uczciwie będzie zrobić to samo.

— Jakże miło z twojej strony. — Trudno było nie zauważyć sarkazmu w głosie Harrisona.

— Wcale nie. Ja tylko wyobraziłem sobie minę mojego brata Alvina, kiedy powiesz wszystkim, że to on był Małym Renegado. Powiedz, a nikt mu nie uwierzy, kiedy będzie świadczył przeciw tobie. Sam będzie musiał się ukrywać. Pamiętasz przecież, jakie straszne rzeczy powtarzali ludzie o Małym Renegado. Podobno był najbardziej okrutny ze wszystkich Czerwonych. Zabijał i torturował tak, że nawet Shaw-Nee rzygali.

— Pamiętam te bajki.

— Pokaż swoje zakrwawione ręce, przyjacielu, i powiedz, że znaczą to, co chcesz, by znaczyły.

Harrison pokręcił głową.

— Nie mogę żyć z tą krwią.

— Więc jednak masz sumienie, co?

Harrison parsknął śmiechem.

— Krew ścieka mi do jedzenia. I brudzi ubranie. Ludzie dostają mdłości.

— Na twoim miejscu jadłbym w rękawiczkach i ubierał się

ciemno.

Harrison skończył jeść. Calvin także.

— Czyli chcesz, żebym to zrobił, aby zranić twojego brata.

— Nie zranić. Chcę, żeby się nie wtrącał i siedział cicho. Przez ile to już? Osiem lat żyłem jak pies. Teraz jego kolej.

— Nie ma powrotu. Jeśli raz skłamię, będę miał ręce we krwi aż do dnia mojej śmierci.

Calvin wzruszył ramionami.

— Harrison, jesteś kłamcą i mordercą, ale władzę kochasz bardziej niż życie. Na nieszczęście jesteś słaby jak siki, jeśli idzie o jej zdobywanie i utrzymywanie. Ta-Kumsaw, Alvin i Tenska-Tawa ograli cię jak szczeniaka. Radzę ci, jak odwrócić to, co ci zrobili. Jak się wyzwolić. Ale nic mnie nie obchodzi, czy skorzystasz z tej rady, czy nie.

Wstał.

Harrison uniósł się lekko i chwycił go za nogawkę.

— Ktoś mi mówił, że ten Alvin jest Stwórcą. Że ma prawdziwą moc.

— Wcale nie ma — zaprzeczył Calvin. — Nie masz się o co martwić. Ponieważ, przyjacielu, może tej swojej mocy używać tylko dla dobra, nigdy po to, żeby kogoś skrzywdzić.

— Nawet mnie?

— Może dla ciebie zrobi wyjątek — uśmiechnął się złośliwie Calvin. — Ja bym zrobił.

Harrison puścił jego nogawkę.

— Nie patrz tak na mnie, ty szczurze.

— Niby jak?

— Jakbym był śmieciem. Nie próbuj mnie osądzać.

— Dlaczego? Możesz mi podać choć jeden powód?

— Ponieważ choć wiele złego w życiu zrobiłem, mój chłopcze, nigdy nie zdradziłem brata.

Teraz Calvin spojrzał w twarz pełną wzgardy. Splunął Harrisonowi pod nogi.

— Żryj gówno i zdychaj — rzucił.

— Czy to przekleństwo? — zapytał drwiąco Harrison, gdy Calvin już odchodził. — Czy tylko przyjazne ostrzeżenie?

Calvin nie odpowiedział. Myślał już o innych sprawach. Na przykład o tym, jak zdobyć pieniądze na podróż przez Atlantyk. Pierwszą klasą. Musi popłynąć pierwszą klasą. Może wystarczy skorzystać z talentu i sprawić, żeby pieniądze wypadły z torby jakiegoś kupca niosącego utarg do banku? Gdyby odpowiednio to załatwił, nikt by nie zauważył. Nie złapaliby go. Zresztą nawet gdyby ktoś widział, jak monety się sypią, a on je zbiera, mogliby mu zarzucić tylko podniesienie zgubionych pieniędzy, bo przecież torby nie tknie

nawet palcem. Prosta rzecz. Tak prosta, aż dziwne, że Alvin nigdy tego nie zrobił. Rodzinie przydałaby się gotówka — przeżyli kilka trudnych lat. Ale Alvin był samolubny i myślał tylko o sobie i o tym swoim głupim planie nauczenia Stwarzania ludzi, którzy nie mają do tego talentu.

Rejs pierwszą klasą do Anglii, a potem przez kanał do Francji. Nowe ubrania. Niewiele trzeba, żeby zdobyć na to pieniądze. W Nowym Amsterdamie dużo pieniędzy przechodzi z rąk do rąk, więc niech część z nich upadnie na bruk wprost pod nogi Calvina. Bóg dał mu moc, a to znaczyło, że wolą bożą jest, by to uczynił.

Ależ byłaby zabawa, gdyby Harrison naprawdę posłuchał jego rady.

ROZDZIAŁ 6 — PRAWDZIWA MIŁOŚĆ

Amy Sump nie przejmowała się, co mówiły jej przyjaciółki ani ktokolwiek inny. To, co czuła do Alvina Stwórcy, było miłością. Prawdziwą miłością. Szczerą, głęboką, niezmienną, która wytrzyma próbę czasu.

Gdyby tylko otwarcie darzył ją uwagą, tak żeby inni też widzieli. Zamiast tego rzucał jej tylko spojrzenia, od których drżało serce. Czasami martwiła się, że to tylko jego Stwórczość, jego talent czy co tam jeszcze. Myślała, że może sięga w głąb jej piersi, dotyka serca i budzi dreszcz w całym ciele. Ale nie, Stwórcy nie robili takich rzeczy. Może on nawet nie wiedział, że go kocha. Może spoglądał w nadziei, że dostrzeże jakiś znak miłości. Dlatego nie starała się dłużej ukrywać dziewiczych rumieńców, kiedy serce biło jej szybko, a żar oblewał twarz. Niech widzi, jak jego wzrok zmienia ją w drżącą masę oddanej zachwyconości.

Jakże pragnęła chodzić na te lekcje, kiedy Alvin pracował z dziesięcioma lub więcej dorosłymi i tłumaczył im, jak Stwórca powinien patrzeć na świat. Całymi godzinami z uwielbieniem słuchałaby jego głosu. A potem odkryłaby w sobie prawdziwy talent i oboje z ukochanym Alvinem radowaliby się, że i ona jest Stwórczynią, o czym nikt dotąd nie wiedział. We dwoje potrafiliby przebudować świat i przepędzić niedobrego, wstrętnego Niszczyciela. Potem mieliby ze dwanaścioro dzieci, wszystkie podwójnie byłyby Stwórcami, a miłość Alvina i Amy Stwórców opiewano by w pieśniach przez długie pokolenia na całym świecie, a przynajmniej w całej Ameryce, co dla Amy i tak na jedno wychodziło.

Ale rodzice nie chcieli jej puścić.

„Jak Alvin mógłby się skupić na nauczaniu, gdybyś przez cały czas robiła do niego cielęce oczy?” — mówiła jej matka, stara wiedźma bez serca. Chociaż nie tak okrutna jak ojciec, który powtarzał: „Opanuj się trochę, dziewczyno! Bo każę ci chodzić w woalce, żebyś nie robiła nam wstydu publicznie. Woalka, rozumiesz?” Doskonale rozumiała tego okropnego człowieka. Znał się tylko na tych swoich korbach, kółkach, rurach i kablach. Znał się na pompach i maszynach, ale nie miał pojęcia o tajemnicach ludzkiego serca. „Serce samo jest pompą, moja droga” — powiedział kiedyś, dowodząc, że jest głębokim, całkowitym, niemożliwym, wiecznym, otchłannym ignorantem, maszyną, nie człowiekiem, że nie przyjmuje nic z natury wszechświata. Jej ukochany Alvin rozumiał, że wszystkie rzeczy są żywe i czują… wszystkie oprócz okropnych maszyn jej ojca, poruszających się niczym ożywione trupy. Parowy tartak! Użycie ognia i wody do cięcia drewna! Toż to obraza Pana naszego! Kiedy

Alvin się z nią ożeni, namówi go, żeby powstrzymał ojca od budowy tych maszyn, które tylko ryczą, syczą, stukają i wydzielają żar jak z piekła. Alvin przeniesie ją do cudownej leśnej krainy, gdzie ptaszki są przyjaciółmi, a owady nie kąsają; będą się tam kąpać w jeziorkach krystalicznej wody i on podpłynie do niej naprawdę, nie tylko w marzeniach, obejmie ją, a ich ciała dotkną się pod wodą, spotkają, połączą i…

— Ale bzdury! — oświadczyła jej przyjaciółka Ramona.

Amy się rozzłościła. Kim niby jest Ramona, żeby decydować, co jest, a co nie jest prawdą? Czy Amy nikomu już nie może opowiedzieć o swoich marzeniach, nie tłumacząc stale, że to tylko sen, ale mogąc udawać, że to prawda? Przecież pamięta wszystko tak wyraźnie… nie, o wiele wyraźniej niż cokolwiek, co zdarzyło się jej w życiu.

— Tak było. W świetle księżyca.

— Kiedy? — spytała Ramona głosem ociekającym wręcz pogardą.

— Trzy noce temu. Kiedy Alvin powiedział, że idzie do lasu, bo chce być sam. Szedł wtedy na spotkanie ze mną.

— A gdzie jest to jeziorko krystalicznej wody? W okolicy takiego nie ma, same rzeczki i strumyki, a wiesz przecież, że Alvin nigdy nie wchodzi do Hatrack, żeby popływać.

— Czy ty nic nie rozumiesz? — spytała Amy, próbując tonem wyższości dorównać swej najlepszej przyjaciółce. — Nie słyszałaś o zielonej pieśni? Że Alvin nauczył się od Czerwonych biec przez las jak wiatr, bezgłośnie i nie zginając nawet gałązki? Potrafi biec tak sto mil na godzinę, szybciej niż pociąg na szynach. Tu blisko nie było żadnego jeziorka; leżało tak daleko, że z Vigor Kościoła na dobrym koniu trzeba by tam jechać trzy dni.

— Teraz już wiem, że zmyślasz.

— Może to robić codziennie!

— On może, ale ty nie. Wrzeszczysz, kiedy zaczepisz o pajęczynę, ty ośle.

— Nie jestem osłem, jestem najlepszą uczennicą w szkole, gdzie ty jesteś osłem — odparła jednym tchem Amy. Często powtarzały sobie ten żarcik. — Trzymałam Alvina za rękę, a on mnie prowadził. Kiedy się zmęczyłam, wziął mnie w swe silne kowalskie ramiona i poniósł dalej.

— A potem pewnie zdjął całe ubranie i ty zdjęłaś swoje, jakbyście byli parą łasic czy czego…

— Piżmaków. Wyder. Istot wodnych. To nie była nagość, to była naturalność, swobodność dwóch pokrewnych dusz nie mających przed sobą tajemnic.

— Ależ pięknowatość — mruknęła Ramona. — Podejrzewam, że tak naprawdę była tam niesmaczność i odrażającość, kiedy tak podszedł i obejmował cię w tej pełnej, całkowitej nieubraności.

Amy wiedziała, że Ramona sobie z niej żartuje, ale nie miała pojęcia, dlaczego wymyślanie takich słów jak „odrażającość” doprowadza tę idiotkę do wybuchów śmiechu; niewiele brakowało, by spadła z gałęzi, na której obie siedziały.

— Nie umiesz docenić piękna.

— A ty nie doceniasz prawdy — odparła Ramona. — Czy może powinnam powiedzieć „prawdziwości”?

— Nazywasz mnie kłamczuchą? — Amy pchnęła ją lekko.

— Przestań! — wrzasnęła Ramona. — To nieuczciwe! Siedzę dalej od ciebie na tej gałęzi i nie mam się czego złapać!

Amy pchnęła znowu, Ramona zakołysała się i chwyciła konar, a jej oczy robiły się coraz bardziej okrągłe.

— Przestań, ty kłamczucho! — krzyknęła. — Bo opowiem, jakie kłamstwa wygadujesz!

— To nie kłamstwa — stwierdziła Amy z godnością. — Pamiętam wszystko tak wyraźnie, jak… jak światło słońca nad zielonym polem kukurydzy.

— Wyraźnie jak chrząkanie świń w chlewie mojego ojca — rzekła Ramona równie rozmarzonym głosem.

— Oczywiście, prawdziwa miłość przekracza zdolność twojej wyobraźni.

— Owszem, moja wyobraźliwość jest osobowością słabości.

— Uosobieniem, nie osobowością.

— Och, gdybym to ja miała twoją subtelność poprawności, twoją mądrość…

— Przestań bez przerwy ościować.

— Sama przestań.

— Ja tak nie mówię.

— Mówisz.

— Nie.

— Idź jeść robaki — poradziła Ramona.

— W potrawce z mózgu — odparowała Amy.

Kiedy powróciły już do zwykłych wesołych sprzeczek, pośmiały się i przez jakiś czas rozmawiały o innych sprawach.

I gdyby tak już zostało, może nic by się nie wydarzyło. Ale w drodze do domu, już po zmierzchu, Ramona zatrzymała się raz jeszcze.

— Amy, ale tak naprawdę, przyjaciółka przyjaciółce, niech skonasz, jeśli skłamiesz, powiedz uczciwie, że naprawdę, słowo dajesz, rzeczywiście, we własnej osobie, nie pływałaś goła z Alvinem Smithem…

— Alvinem Stwórcą.

— Powiedz, że to był sen.

Niewiele brakowało, by Amy roześmiała się i powiedziała:

„Oczywiście, że sen, ty głuptasie”.

Ale dostrzegła coś w szeroko otwartych oczach przyjaciółki: zachwyt, że ktoś, kogo Ramona zna osobiście, mógł popełnić czyn tak grzeszny i cudowny. Amy nie chciała, by ten podziw zmienił się w spojrzenie pełne wyższości i tryumfu. I dlatego powiedziała coś, czego nie powinna mówić:

— Chciałabym, żeby to był sen. Naprawdę bym chciała, Ramono. Bo kiedy o tym myślę, coraz bardziej za nim tęsknię i zastanawiam się, kiedy odważy się porozmawiać z moim ojcem, powiedzieć mu, że chce mnie za żonę. Mężczyzna, który coś takiego zrobił z dziewczyną, musi przecież się z nią ożenić, prawda?

Tak… Powiedziała to. Najtajniejsze, najpiękniejsze marzenie skrywane w głębi serca. Powiedziała na głos.

— Musisz powiedzieć tacie — stwierdziła Ramona. — Dopilnuje, żeby Alvin się z tobą ożenił.

— Nie chcę go zmuszać. Takiego człowieka jak Alvin można tylko zachęcić do małżeństwa, nie wepchnąć przemocą.

— Wszyscy myśleli, że tylko robisz słodkie oczy do Alvina, a on nawet cię nie zauważa. Ale jeśli pływa z tobą na golasa w jakimś dalekim jeziorku, gdzie tylko on może dotrzeć… wiesz, moim zdaniem to nie w porządku. Naprawdę nie w porządku.

— Nie obchodzi mnie twoje zdanie — oznajmiła Amy. — Tak być powinno, a jeżeli komuś powiesz, obetnę ci wszystkie włosy, uplotę z nich serwetkę i spalę.

Ramona wybuchnęła śmiechem.

— Upleciesz serwetkę? A jaką to ma moc?

— Sześcioboczną serwetkę — dodała złowróżbnie Amy.

— Cała się trzęsę. I to z moich włosów… Głuptasie, nic ci z tego nie wyjdzie. Tylko czarne wiedźmy robią takie rzeczy: układają coś z włosów, a potem palą albo co.

Jakby to był argument. Alvin znał magię Czerwonych; dlaczego Amy nie mogłaby się nauczyć magii Czarnych, kiedy jej Stwórczy talent wreszcie się objawi? Ale z Ramoną nie warto było się kłócić. Ramona uważała, że na wszystkim się zna. Istny cud, że Amy w ogóle chciała się z nią przyjaźnić.

— Powiem — ostrzegła Ramona. — Chyba że natychmiast przyznasz, że to kłamstwo.

— Jeśli powiesz, to cię zabiję.

— Więc przyznaj, że to kłamstwo.

Łzy stanęły Amy w oczach. To przecież wcale nie kłamstwo; to sen. Prawdziwy sen o prawdziwej miłości, spływający ze ścieżek sekretności w sercach jej i Alvina. On śnił ten sam sen w tej samej chwili, wiedziała o tym, i czuł przy sobie jej ciało, tak jak ona jego. To czyniło sen prawdziwym. Jeśli kobieta i mężczyzna oboje pamiętają

realność swoich ciał, przytulonych do siebie, jak można to nazwać inaczej niż prawdziwym przeżyciem?

— Za bardzo kocham Alvina, żeby kłamać w takich sprawach. Możesz mi uciąć język, jeżeli skłamałam choć słowo.

Ramona jęknęła.

— Nie wierzyłam ci aż do teraz — przyznała.

— Ale nie powiesz nikomu — przypomniała Amy. Serce śpiewało jej pieśń zwycięstwa: Ramona w końcu uwierzyła. — Przysięgnij.

— Przysięgam — powiedziała Ramona.

— Pokaż palce! — zażądała Amy.

Ramona wyciągnęła ręce. Palce nie były skrzyżowane, ale przecież mogły być jeszcze przed chwilą.

— Przysięgnij jeszcze raz, kiedy widzę twoje ręce.

— Przysięgam. — Ramona przewróciła oczami.

— To nasza przepiękna tajemnica — dodała Amy, odwróciła się i ruszyła dalej.

— Nasza i Alvina — mruknęła Ramona, wyprostowała skrzyżowane w kostkach nogi i podążyła za nią.

ROZDZIAŁ 7 — BILET NA STATEK

Calvin szybko zrozumiał, że zdobycie tylu pieniędzy, by wystarczyło na podróż do Europy pierwszą klasą, zajmie mu strasznie dużo czasu. Dużo czasu i ciężkiej pracy. Ani jedno, ani drugie nie wydało mu się atrakcyjne.

Nie umiał zmieniać żelaza w złoto, ale umiał robić inne sztuki. Długo się nad nimi zastanawiał. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że banki nie zdołają trzymać go z dala od swoich skarbców, jeśli zacznie pracować nad tym, co trzyma je razem. Mimo to mogli go przy tym złapać, co przekreśliłoby jego marzenia. Myślał już, czy nie otworzyć kramu jako Stwórca, ale zwróciłby na siebie uwagę i zyskał sławę, która później pewnie by mu zaszkodziła; naraziłby się też na nieuniknione oskarżenia o szarlatanerię. I tak słyszał już plotki o Alvinie — czy raczej o kowalskim uczniu, który żelazny pług zamienił w złoty. Wielu z tych, co je powtarzali, przewracało przy tym oczami, jakby dodając: akurat jakiś wiejski parobek z zachodu ma talent Stwórcy, jasna sprawa.

Calvin żałował czasami, że nie ma innego talentu. Mógłby na przykład być żagwią — to by się przydało. Wiedziałby, jakie nieruchomości kupować albo w jaki statek zainwestować pieniądze. Ale nawet wtedy musiałby szukać partnera do wyłożenia tych pieniędzy, których przecież nie miał. Zresztą nie planował siedzenia w Nowym Amsterdamie tak długo, aż się wzbogaci. Chciał się uczyć Stwarzania i wszystkiego, co jeszcze mógł mu pokazać Napoleon. A skoro tak wysoki postawił sobie cel, drobni kupcy z Manhattanu nie byli dla niego odpowiednimi partnerami.

Ale na wszystko istnieje więcej niż jeden sposób, jak mówi przysłowie. Jeśli nie wiedział, jak łatwo zdobyć pieniądze na rejs pierwszą klasą, dlaczego by nie udać się do początku wszystkich rejsów? Wkrótce więc spacerował po nabrzeżach Manhattanu, wzdłuż brzegów Hudsonu i East River. Spacer okazał się ciekawy sam w sobie; Calvin chłonął widoki długich, smukłych żaglowców i ciężkich, dymiących parowców, krzyki i stękania spoconych tragarzy, sunące dźwigi, liny, wielokrążki i sieci, zapach ryb i wrzaski mew. Kto by pomyślał, patrząc kiedyś na chłopca skaczącego w młynie w Vigor Kościele, że pewnego dnia chłopiec ten stanie na granicy ziemi, spijając uderzające do głowy zapachy, dźwięki i obrazy życia na morzu.

Calvin jednak nie należał do takich, którzy mogą zapomnieć się w kontemplacji. Rozglądał się za czymś odpowiednim; od czasu do czasu zatrzymywał jakiegoś dokera i pytał, dokąd zmierza ładowany statek. Te płynące do Afryki, na Haiti czy do Orientu, były mu na nic, ale te

kierujące się do Europy oglądał uważnie. Wreszcie znalazł to, czego szukał: jasny angielski statek o wysokich masztach, z dobrze urodzonym kapitanem, który zdawał się nigdy nie podnosić głosu, a jednak ludzie pod jego komendą pracowali ciężko i z sensem. Wszystko było czyste, ładunek zaś układany starannie, a nie rozrzucany po całym pokładzie.

Naturalnie, kapitanowi nawet do głowy by nie przyszło, żeby rozmawiać z kimś w wieku Calvina i noszącym Calvina ubranie. Ale Calvin szybko wymyślił plan zwrócenia na siebie uwagi.

Zatrzymał jednego z tragarzy.

— Przepraszam bardzo, ale jest silny przeciek z tyłu statku, po drugiej stronie.

Tragarz przyjrzał mu się podejrzliwie.

— Nie jestem marynarzem.

— Ja też nie, ale myślę, że kapitan podziękuje takim, co uprzedzą go o kłopotach.

— A skąd wiesz, jeśli ten przeciek jest pod wodą?

— Mam talent do przecieków — wyjaśnił Calvin. — Na waszym miejscu bym mu to zaraz powiedział.

Tłumaczenie talentem wystarczyło dla tragarza, który był Amerykaninem, chociaż — sądząc po akcencie — pochodził z Holandii. Kapitan, naturalnie, w ogóle się tym nie przejmie, jako że jest z Anglii, gdzie — pod Protektoratem — obowiązywało prawo karzące za talenty. Nie za ich posiadanie, ale za wiarę w ich istnienie czy próby używania. Jednak kapitan nie był durniem i z pewnością pośle kogoś, żeby sprawdził, co się dzieje.

Tak też się stało. Tragarz porozmawiał ze swoim naczelnikiem, a ten z oficerem na statku. Za każdym razem często pokazywali palcami na Calvina i gapili się, jak pogwizduje nonszalancko i wpatruje się w kadłub poniżej linii wodnej. Ku jego rozczarowaniu oficer nie poszedł do kapitana, ale sam wysłał marynarza na dół, w głębiny ładowni. Calvin musiał mu coś pokazać, więc wysłał swój przenikacz i wszedł nim w drewno dokładnie tam, gdzie powiedział, że jest przeciek. Prosta sprawa: rozluźnić trochę klepki i przesunąć je pod linią wody, przez co solidny strumień wystrzelił prosto do ładowni. Dla zabawy, kiedy był już pewien, że marynarz dotarł na miejsce i patrzył, Całym przymykał i otwierał szczelinę, tak że woda czasem leciała rozpylona, czasem równą strugą, a czasem ledwie ciekła — jak krew z rany z nieszczelną opaską uciskową. Założę się, pomyślał Calvin, że nigdy w życiu nie widział takiego przecieku.

Marynarz wybiegł po paru minutach, wyraźnie wzburzony. Oficer rzucił rozkazy kilku marynarzom i poszedł prosto do kapitana. Tym razem nie było żadnego pokazywania palcami: nie zamierzał przyznawać Calvinowi zasługi przy wykryciu przecieku. To Calvina

naprawdę rozzłościło i przez chwilę myślał nawet, czy nie zatopić statku natychmiast. Ale nic by tym nie osiągnął. Będzie dość czasu, by temu zachłannemu i ambitnemu oficerowi pokazać, gdzie jego miejsce.

Kiedy kapitan zszedł pod pokład, Calvin przygotował dla niego prawdziwy pokaz. Zamiast przecieku pulsującego w jednym miejscu, zaczął go przemieszczać — chluśnięcie tutaj, strumień tam. Na pewno już zrozumieli, że nie ma w tym nic naturalnego. Na statku wybuchło zamieszanie, sporo marynarzy wbiegło pod pokład. Potem, ku radości Calvina, sporo wybiegło z powrotem i pognało trapem na suchy ląd, gdzie nie groziły dziwne moce, wywołujące przecieki w kadłubie.

Wreszcie pojawił się sam kapitan i tym razem oficer nie przypisywał sobie zasług. Wskazał naczelnika, który wskazał tragarza, i po chwili wszyscy wskazywali na Calvina.

Teraz mógł już skończyć zabawę z przeciekiem. Zatamował go natychmiast, ale miał też inne plany. Kiedy kapitan wszedł na trap, posłał swój przenikacz, żeby wyszukał w pobliżu szczury — wyczuwał je pod nabrzeżem, między skrzyniami, beczkami i na innych statkach. Zanim kapitan dotarł do połowy trapu, kilkadziesiąt szczurów pędziło tą samą kładką w przeciwną stronę, na statek. Kapitan na próżno usiłował je odpędzić; Calvin dał im odwagę i determinację, by mogły dotrzeć na pokład. Jedzenie, jedzenie, obiecywał, więc tylko odskakiwały przed kopniakami i biegły dalej. Kolejne dziesiątki pędziły po kei, a kapitan niemal tańczył, by nie potknąć się o nie i nie upaść. Na pokładzie marynarze szczotkami i bosakami próbowali spychać szczury do wody.

Wtedy, równie nagle jak poprzednio, Calvin posłał im nową wiadomość: uciekać ze statku, pożar, ogień, przecieki, zatopienie, strach…

Piszcząc i skacząc, wszystkie wysłane na pokład szczury pognały z powrotem po trapie i po cumach. A wszystkie szczury, które już tam były, ukryte w ładowniach i pod pokładem, w ciemnych przestrzeniach między wręgami szkieletu statku, także wysypały się przez włazy i luki, niby woda tryskająca z nowego źródła. Kapitan znieruchomniał i patrzył, jak uciekają. Wreszcie, kiedy kolumny szczurów zniknęły w swoich kryjówkach na nabrzeżu i innych statkach, podszedł do Calvina. W całym tym zamieszaniu ani na moment nie stracił godności — nawet gdy tańczył między szczurami.

Odpowiedni człowiek, uznał Calvin. Muszę go obserwować i uczyć się, jak powinien się zachowywać dżentelmen.

— Skąd wiedziałeś, że na moim statku jest przeciek? — spytał kapitan.

— Jesteście, panie, Anglikiem — odparł Calvin. — Nie uwierzycie w to, co potrafię wypatrzyć i zrobić.

— Wierzę jednak w to, co sam widzę, a ten przeciek nie był naturalny.

— Szczury mogły go spowodować. Dobrze, że wszystkie uciekły z waszego statku.

— Szczury i przecieki — mruknął kapitan. — Czego chcesz, chłopcze?

— Chcę być nazywany mężczyzną, sir — zauważył Calvin. — Nie chłopcem.

— Dlaczego źle życzysz mnie i mojemu statkowi? Czy obraził cię ktoś z mojej załogi?

— Nie wiem, o czym mówicie. Ale wierzę, że nie jesteście głupcem i nie macie pretensji do tego, co was ostrzegł o przecieku.

— Nie jestem też takim głupcem, by wierzyć, że wiedziałeś o czymś, czego sam nie mógłbyś wywołać albo załatać wedle woli. Czy atak szczurów to także twoje dzieło?

— Ich zachowanie zdziwiło mnie tak jak i was — zapewnił Calvin. — To nienaturalne, żeby wszystkie szczury biegły na tonący statek. Ale potem chyba nabrały rozumu i uciekły. Wszystkie, co do sztuki. To będzie ciekawy rejs: przez cały ocean, nie tracąc ani odrobiny jedzenia pożartego przez szczury.

— Czego ode mnie chcesz?

— Zatrzymałem się tu, żeby wam zrobić przysługę, nie myśląc o własnych korzyściach — odparł Calvin, starając się mówić jak wykształcony Anglik; jednak mina kapitana zdradzała, że mu to całkiem nie wychodzi. — Ale tak się składa, że potrzebuję miejsca w pierwszej klasie na statku do Europy.

Kapitan uśmiechnął się niechętnie.

— A czemuż to zależy ci na wejściu na cieknący statek?

— Ponieważ, sir, mam talent do wykrywania przecieków. I mogę wam obiecać, że jeśli zabierzecie mnie na pokład, przez całą drogę nic nie zacznie cieknąć, nawet w najgorszą burzę.

Calvin nie miał pojęcia, czy zdoła utrzymać szczelność kadłuba rzucanego na sztormowych falach, jednak miał sporą szansę, że nie będzie musiał tego sprawdzać.

— Popraw mnie, jeśli się mylę… Mam rozumieć, że jeśli zabiorę cię moim statkiem, pierwszą klasą, nie biorąc za to ani szeląga, nie będę miał żadnych kłopotów z przeciekami i ani jednego szczura pod pokładem? Za to gdybym odmówił, mój statek spocznie na dnie zatoki?

— To byłaby niezwykła katastrofa. Jak taki piękny statek mógłby tonąć szybciej, niż wasi ludzie potrafią pompować?

— Widziałem, jak przeciek przesuwał się z miejsca na miejsce. Widziałem, jak dziwnie zachowywały się szczury. Mogę nie wierzyć w te amerykańskie talenty, ale wiem, kiedy staję wobec

niewytłumaczalnej mocy.

Calvin poczuł, że duma rozgrzewa go niczym mocne piwo. Nagle lufa pistoletu wbiła mu się w mostek. Spojrzał w dół i przekonał się, że kapitan wyjął broń.

— Co mnie powstrzyma przed zrobieniem ci dziury w brzuchu? — zapytał.

— Duża szansa, że zatańczycie za to na końcu amerykańskiej liny — odparł Calvin. — Tutaj nie ma prawa przeciwko talentom, sir, a tłumaczenie, że ktoś rzucał czary, to niewystarczający powód, żeby go zabić, jak to robicie w Anglii.

— Ale chcesz do Anglii dopłynąć — przypomniał kapitan. — Mogę przecież zabrać cię ze sobą i kazać aresztować w chwili, gdy tylko postawisz nogę na lądzie.

— Fakt — przyznał Calvin. — Możecie to zrobić. Możecie też zabić mnie we śnie podczas podróży i wyrzucić moje ciało do morza. Innym powiecie, że musieliście jak najszybciej pozbyć się zwłok umarłego na zarazę. Myślicie, że jestem durniem i o tym nie pomyślałem?

— Więc idź sobie i zostaw w spokoju mnie i mój statek.

— Jeśli mnie zabijecie, co powstrzyma deski przed oderwaniem się od wręg na waszej łodzi? Co powstrzyma łódź przed rozpadnięciem się na kawałki drewna podskakujące na falach?

Kapitan przyglądał mu się z zaciekawieniem.

— Podróż pierwszą klasą dla ciebie jest śmieszna. Inni pasażerowie będą cię traktować z pogardą i na pewno pomyślą, że sprowadziłem cię na pokład jako swojego kochanka, partnera w rozpuście. Zresztą moja kariera i tak legnie w gruzach, jeśli między wysoko urodzonych pasażerów wpuszczę takiego brudnego, niewykształconego prostaka. Inaczej mówiąc, młody paniczu, masz zapewne władzę nad klepkami i szczurami, ale żadnej nad bogatymi ludźmi.

— Nauczcie mnie.

— Nie ma dość godzin w dobie ani dni w tygodniu.

— Nauczcie mnie — powtórzył Calvin.

— Przychodzisz tu i grozisz zniszczeniem mojego statku, wykorzystując do tego moce piekielne, a potem ośmielasz się prosić, żebym cię uczył, jak być dżentelmenem?

— Jeśli wierzycie, że moja moc od diabła pochodzi, dlaczego ani razu nie zmówiliście pacierza, żeby mnie przegnać?

Kapitan zerknął na niego i uśmiechnął się, posępnie, ale ze szczerą wesołością.

— Touche — stwierdził.

— Cokolwiek to oznacza — dodał Calvin.

— To termin szermierczy.

— Mierzyłem w życiu wiele rzeczy: płoty, ściany, okna, ziemię, chociaż szera nie, to prawda, ale nigdy nie słyszałem o żadnej tusze.

Kapitan uśmiechnął się szerzej.

— Dostrzegam coś atrakcyjnego w tym wyzwaniu. Możesz posiadać pewne ciekawe… jak je nazwałeś? Talenty? Ale nadal jesteś tylko biednym chłopakiem z farmy. Wielu chłopskich synów zmieniałem w dobrych marynarzy. Nigdy wszakże chłopca, który nie urodził się dżentelmenem, nie próbowałem zmienić w człowieka pełnego ogłady.

— Uznajcie mnie za wyzwanie całego życia.

— Wierz mi, już to zrobiłem. Nie zrezygnowałem jeszcze do końca z pomysłu, żeby cię zabić, oczywiście. Ale mam wrażenie, że skoro i tak zamierzasz przysporzyć mi kłopotów, mogę to wyzwanie przyjąć. Przekonamy się, czy dokonam cudu równie niewytłumaczalnego i niemożliwego, jak któryś z tych paskudnych żarcików, jakie mi niedawno zrobiłeś.

— Pierwszą klasą, nie w ładowni — upierał się Calvin.

— Ani jedno, ani drugie. Popłyniesz jako mój posługacz. A raczej posługacz mojego posługacza. Rafe, przypuszczam, jest dobre trzy lata od ciebie młodszy, ale od urodzenia zna to, czego ty tak rozpaczliwie chcesz się nauczyć. Jeśli zaczniesz mu pomagać, znajdzie może dość czasu, żeby ci pokazać to i owo. Jest jednak kilka warunków.

Calvin pomyślał, że kapitan nie ma właściwie możliwości, by stawiać jakieś warunki, ale słuchał uprzejmie.

— Niezależnie od twoich mocy, przetrwanie na morzu zależy od natychmiastowego i całkowitego posłuszeństwa wszystkich na pokładzie. Posłuszeństwa względem mnie. Nic nie wiesz o morzu, a jak rozumiem, nie zamierzasz się uczyć marynarskiego fachu. Zatem nie zrobisz nic, co by naruszało mój autorytet. I sam też musisz mnie słuchać. To znaczy, że kiedy powiem „sikaj”, nie rozglądasz się nawet za wiadrem, tylko wyciągasz co trzeba i sikasz.

— Przed innymi okażę posłuszeństwo, chyba że każecie mi się zabić albo zrobić coś równie głupiego.

— Nie jestem durniem — zapewnił kapitan.

— Dobrze, będę posłuszny.

— I trzymaj gębę na kłódkę, dopóki na osobności, rozumiesz, na osobności nie nauczysz się mówić w sposób choćby nieco przypominający dżentelmena. W tej chwili, jak tylko otworzysz usta, głośno wyznajesz swoje nikczemne pochodzenie. Zawstydzisz sam siebie, i mnie przy okazji, wobec załogi, innych oficerów i pasażerów.

— Potrafię siedzieć cicho, jeśli trzeba.

— A kiedy dopłyniemy do Anglii, nasza umowa zostaje rozwiązana i nie rzucisz klątwy na mój statek.

— Teraz poprosiliście o zbyt wiele — sprzeciwił się Calvin. —

Chcę, żebyście mnie wprowadzili między innych wysoko urodzonych. I jeszcze przedostać się do Francji.

— Do Francji? Na pewno wiesz, że prowadzimy z nimi wojnę.

— Prowadzicie, odkąd Napoleon zdobył Austrię i Hiszpanię. Co mnie to obchodzi?

— Inaczej mówiąc, przybicie do angielskich brzegów nie uwolni mnie jeszcze od ciebie?

— Zgadza się.

— To dlaczego od razu się nie zabiję i nie oszczędzę sobie tych przygód, zanim i tak poślesz mnie przedwcześnie do grobu?

— Bo tym, co są moimi przyjaciółmi, dobrze się wiedzie na świecie i mało co złego może ich spotkać.

— Czyli wystarczy, żebym utrzymywał swoją pozycję jako twojego przyjaciela, tak?

Calvin pokiwał głową.

— Ale kiedyś przyjdzie ci pewnie do głowy, że skoro jestem dla ciebie dobry tylko ze strachu przed zniszczeniem mojego statku, to właściwie wcale nie jestem twoim przyjacielem.

Calvin uśmiechnął się.

— Musicie wyjątkowo się starać mnie przekonać, że nie udajecie.

Oficer, który jako pierwszy usłyszał wiadomość Calvina, teraz zbliżył się z szacunkiem.

— Kapitanie Fitzroy — powiedział. — Przeciek chyba ustał.

— Wiem — rzucił kapitan. — Pogoń wszystkich do pracy, Benson.

— Niektórzy amerykańscy tragarze i marynarze nie chcą wejść na pokład, sir; nie dadzą się przekonać.

— Zapłać im i zatrudnij innych — polecił kapitan. — To już wszystko, Benson.

— Tak jest, sir.

Benson wykonał zwrot i ruszył do trapu.

Calvin słyszał rozkazujący ton kapitana Fitzroya i myślał, jak można się nauczyć używać głosu niby ostrego i gorącego noża, przecinającego wolę innych jak ciepłe masło.

— Moim zdaniem ściągnąłeś już na mnie więcej kłopotów, niż jesteś wart — uznał kapitan Fitzroy. — I osobiście wątpię, czy masz w sobie choćby najmniejsze zadatki na dżentelmena. Cóż, Bóg mi świadkiem, że wielu używa tego tytułu, a w każdym calu dorównuje ci ignorancją i grubiaństwem. Ale zgadzam się na twoje tak przekonujące argumenty, ponieważ wydajesz mi się w równej mierze fascynujący, co godny politowania.

— Nie mam pojęcia, co znaczą wszystkie te słowa, kapitanie Fitzroy. Ale wiem tyle: Bajarz mówił nam, że kiedy królowie mieli bękartów, dzieci dostawały nazwisko „Fitzroy”. Jesteście więc synem nierządnicy.

— W moim przypadku praprawnukiem nierządnicy. Drugi Karol lubił przeskakiwać z kwiatka na kwiatek. Moja praprababka, znana aktorka mająca w żyłach odrobinę szlachetnej krwi, zdołała go skłonić do uznania potomka. Potem parlament pozbawił Karola głowy. Od końca monarchii moja familia przeżywała lepsze i gorsze chwile, zdarzali się lordowie protektorzy sądzący, że nasze związki z rodziną królewską czynią nas niebezpiecznymi. Przetrwaliśmy jakoś, a nawet w ostatnich latach nabieramy znaczenia. Niestety, ja osobiście jestem młodszym synem młodszego syna, otrzymałem więc do wyboru kościół, armię lub morze. Do spotkania z tobą nigdy nie żałowałem swojej decyzji. Czy masz jakieś imię, młody opryszku?

— Calvin…

— Czy pochodzisz z tak ciemnej rodziny, że tylko jedno imię dostałeś w dziedzictwie?

— Maker — dodał Calvin. — Calvin Maker.

— Jakże to cudownie nieokreślone. Maker, twórca. Ogólny termin, który można interpretować na wiele sposobów, jednak nie obiecujący żadnej konkretnej umiejętności. Calvin wielu zawodów. I mistrz żadnego?

— Mistrz szczurów — uśmiechnął się Calvin. — I przecieków.

— Jak sami widzieliśmy — dokończył Fitzroy. — Każę wpisać twoje imię na listę załogi. Idź po swoje rzeczy. Musisz przed zmrokiem wejść na pokład.

— Jeśli poślecie kogoś, żeby mnie zabił, wasz statek…

— Rozsypie się na wióry, tak, tę groźbę już słyszałem. Teraz powinieneś się tylko martwić, jak bardzo zależy mi na moim statku.

Co powiedziawszy, Fitzroy odwrócił się i ruszył trapem na pokład. Calvin miał ochotę sprawić, by się pośliznął i wylądował na siedzeniu — żeby przebić tę skorupę godności. Ale wyczuwał, że istnieje pewna granica, poza którą z tym człowiekiem nie powinien się posuwać. Zresztą nie miał najmniejszego pojęcia, jak wykonać swoją groźbę i zatopić statek, jeśli go zabiją. Mógł otworzyć albo zamknąć przeciek, ale w obu przypadkach musiał w tym celu być żywy. Kiedy Fitzroy odkryje, że najgorsze groźby Calvina są kłamstwem, jak długo pozostawi go przy życiu?

Przyzwyczajaj się do tego, powiedział do siebie. Wielu ludzi chciałoby widzieć Alvina martwym, ale jakoś to przetrzymał. My, Stwórcy, musimy mieć jakąś osłonę, to jasne. Natura nas pilnuje i dba o nasze bezpieczeństwo. Fitzroy nie zabije mnie, ponieważ nie można mnie zabić.

Mam nadzieję.

ROZDZIAŁ 8 — ODEJŚCIE

Z jakiegoś powodu zajęcia z grupą kobiet nie szły dzisiaj dobrze. Zdawało się, że są roztargnione, a pani Sump wręcz wroga. Do wybuchu doszło, kiedy Alvin zajął się doniczkami ziół. Próbował kobietom pomóc znaleźć drogę do zielonej pieśni, do pierwszej, najsłabszej melodii; w tym celu miały wyhodować wyjątkowo długi pęd szałwii, szczawiu, tymianku czy innego zioła. Było to stosunkowo łatwe, a po opanowaniu tej sztuki człowiek mógł osiągnąć harmonię prawie z każdą rośliną. Jednak tylko kilka kobiet osiągnęło jakieś wyniki, a pani Sump do nich nie należała. Może dlatego była taka rozdrażniona: jej laur nawet nie zakwitł, nie mówiąc już o jakimś szczególnym wydłużeniu pędu.

— Rośliny nie dźwięczą taką samą melodią jak wtedy, kiedy Czerwoni dbali o lasy — powiedział Alvin.

Zamierzał wytłumaczyć, w jaki sposób one także mogą — w małej skali — dokonać tego, co Czerwoni w wielkiej. Nie dano mu szansy, w tej bowiem chwili pani Sump wybuchnęła. Poderwała się z krzesła, podeszła do stołu i z całej siły walnęła pięścią we własny laur, wywracając doniczkę. Zasypała ziemią z liśćmi blat i swoją suknię.

— Jeśli ci Czerwoni byli o tyle lepsi, to może przeprowadź się do nich i ich córki porywaj w tajemne miejsca rozpusty!

Alvin był tak zdumiony jej gniewem, tak zaskoczony niepojętym zarzutem, że patrzył tylko z otwartymi ustami, gdy wyciągnęła to, co zostało z lauru, z tego, co zostało z ziemi, wyrwała garść liści i rzuciła mu w twarz, po czym odwróciła się i wyszła.

Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, Alvin spróbował obrócić wszystko w żart.

— Są ludzie, którym hodowla roślin po prostu nie wychodzi. Ale nikt się nie uśmiechnął.

— Musisz jej wybaczyć to zachowanie, Alvinie — odezwała się Sylvy Godshadow. — Matka musi wierzyć własnej córce, nawet jeśli wszyscy wiedzą, że mała tylko plecie.

Ponieważ pani Sump miała pięć córek, a Alvin nie słyszał ostatnio na ich temat nic ciekawego, informacja niewiele mu pomogła.

— Czy pani Sump ma jakieś kłopoty w domu? — zapytał.

Kobiety spojrzały po sobie nawzajem, ale żadna nie chciała popatrzeć mu w oczy.

— Wygląda na to, że wszyscy wiedzą o czymś, co jeszcze nie dotarło do moich uszu — zauważył. — Może jednak któraś z pań mi wyjaśni?

— Nie jesteśmy plotkarkami — oświadczyła Sylvy Godshadow. — Dziwię się, że nas o to podejrzewasz.

I ruszyła do drzwi.

— Nikomu nie zarzuciłem plotkarstwa…

— Myślę, Alvinie, że zanim zaczniesz krytykować innych, powinieneś wyczesać wszy z własnych włosów — dodała Nana Pease. I także wyszła.

— Na co czeka reszta? — zdziwił się Alvin. — Jeśli chciałyście odwołać dzisiejsze zajęcia, wystarczyło poprosić. Ja na pewno mam dosyć na dzisiaj.

Zanim zdążył wziąć miotłę i zamieść rozsypaną ziemię, wszystkie panie kolejno wyszły.

Alvin próbował się pocieszać, mrucząc pod nosem słowa, które przez długie lata słyszał rzucane na stronie przez ojca; słowa takie jak „Ach, te kobiety…" albo „Nic ich nie zadowoli", albo „Lepiej od razu się rano zastrzelić". Ale nic nie pomagało, ponieważ to nie był zwykły przejaw rozdrażnienia. Miał do czynienia ze spokojnymi, miłymi kobietami, a bez żadnego powodu teraz były na niego wściekłe. To nie jest naturalne.

Dopiero po południu Alvin zrozumiał, że dzieje się coś poważnego. Parę miesięcy temu poprosił Clevy'ego Sumpa, męża pani Sump, żeby pokazał, jak zrobić prostą, jednozaworową pompę ssącą. Miał taki pomysł, by pokazać ludziom, że powinni się uczyć wszystkiego co możliwe, bo stwarzanie jest zawsze stwarzaniem. Uczył ich sekretnych mocy, ale powinni wiedzieć, jak tworzyć gołymi rękami. W tajemnicy miał też nadzieję, że kiedy zobaczą, jak trudno i z jaką dokładnością trzeba robić takie precyzyjne maszyny, zrozumieją, że to, czego uczy Alvin, jest niewiele, albo i wcale nie bardziej skomplikowane. I jakoś mu się udawało.

Tyle że dzisiaj, kiedy zjadł w południe trochę chleba z serem i poszedł do młyna, zobaczył ludzi zebranych nad odłamkami pomp, które budowali. Każdą z nich ktoś rozbił na kawałki. A że cała armatura była z metalu, rozbijanie ich na pewno wymagało sporego wysiłku.

— Kto mógł coś takiego zrobić? — zdziwił się. — Trzeba w to włożyć dużo nienawiści.

A kiedy pomyślał o nienawiści, zastanowił się, czy może w tajemnicy powrócił Calvin.

— Trudno nie zgadnąć, kto to zrobił — stwierdził Winter Godshadow. — Wychodzi, że nie mamy już nauczyciela od produkcji pomp.

— Tak — mruknął Bajarz. — Wygląda mi to na wyjątkowo dobitne oznajmienie nam: „Zajęcia odwołane".

Niektórzy zaśmiali się, ale Alvin spostrzegł, że nie tylko jego rozzłościł ten akt zniszczenia. Pompy były już prawie gotowe, a ci ludzie włożyli w nie wiele pracy. Liczyli, że zastosują je w domach.

Dla wielu oznaczało to koniec wyciągania wody ze studni, a na przykład Winter Godshadow planował poprowadzić wodę rurami aż do kuchni, żeby jego żona nie musiała nawet wychodzić z domu. Teraz ich praca poszła na marne i niektórzy nie przyjmowali tego obojętnie.

— Porozmawiam o tym z Clevym Sumpem — obiecał Alvin. — Trudno uwierzyć, że to on, ale jeśli nawet, jakoś rozwiążemy problem. Nie chcę, żeby któryś z was się na niego złościł, dopóki Clevy nie powie, co ma do powiedzenia.

— Nie złościmy się na Clevy'ego — oznajmił Nil Torson, potężny Szwed. Spojrzenie rzucone spod ciężkich powiek nie pozostawiało wątpliwości, na kogo jest zły.

— Ja? — zdumiał się Alvin. — Myślicie, żem ja to zrobił? — I natychmiast, jakby usłyszał w uchu głos panny Larner, poprawił się: — Ja to zrobiłem?

Pomruki kilku mężczyzn potwierdziły tę sugestię.

— Zwariowaliście? Po co miałbym sobie robić tyle kłopotów? Nie jestem Niszczycielem, chłopcy, ale gdybym był, chyba wiecie, że mógłbym rozwalić te pompy o wiele dokładniej, nie poświęcając na to tyle wysiłku.

Bajarz odkaszlnął.

— Może powinniśmy pogadać o tym na osobności…

— Oskarżają mnie, że zniszczyłem ich ciężką pracę, a to nieprawda! — zawołał Alvin.

— Nikt cię o nic nie oskarża — zapewnił Winter Godshadow. — Bóg jest wszędzie. Bóg widzi wszystkie uczynki.

Na ogół, kiedy Winter wpadał w ten pobożny nastrój, pozostali cofali się, udawali, że czyszczą paznokcie albo coś w tym rodzaju. Ale nie tym razem — teraz kiwali głowami i pomrukiwali twierdząco.

— Mówiłem już, Alvinie: pogadajmy. Właściwie to myślę, że powinniśmy wrócić do domu i porozmawiać z twoimi rodzicami.

— Rozmawiajmy tutaj. Nie jestem chłopcem, któremu można za szopą spuścić lanie na osobności. Jeżeli jestem oskarżony o coś, o czym wiedzą wszyscy oprócz mnie…

— Nie oskarżamy — rzekł Nils. — Zastanawiamy się.

— Zastanawiamy… — powtórzyli inni.

— Powiedz mi zaraz, nad czym się tak zastanawiacie. O coś mnie oskarżacie. Trzeba to wyjaśnić i jeśli naprawdę zawiniłem, chcę wszystko naprawić.

Spoglądali po sobie, aż wreszcie Alvin poprosił Bajarza:

— Wytłumacz mi.

— Powtarzam tylko historie, o których wierzę, że są prawdziwe. A o tej wierzę, że to czyste kłamstwo, wymyślone przez dziewczynę o romantycznym sercu.

— Dziewczynę? Jaką dziewczynę? — A potem połączył zachowanie pani Sump, to, co Clevy Sump zrobił z pompami, i wspomnienie rozmarzonego wzroku jednej z dziewcząt, ktora siedziała na zajęciach dla dzieci i chyba nie rozumiała ani słowa z tego, co mówił. Wyciągnął wnioski i szeptem wymówił jej imię.

— Amy…

Z zakłopotaniem spostrzegł, że dla kilku mężczyzn fakt, iż zna to imię, był dowodem prawdomówności Amy.

— Widzicie? — pytali szeptem. — Słyszeliście?

— Ja mam dość — oznajmił Nils. — Skończyłem. Jestem farmerem. Jeśli w ogóle mam jakiś talent, to do kukurydzy i świń.

Kiedy odchodził, ruszyło za nim jeszcze kilku. Alvin zwrócił się do pozostałych:

— Nie wiem, o co mnie oskarżają, ale zapewniam was, że nie zrobiłem nic złego. A na razie, jak widać, dzisiejsze zajęcia nie mają sensu, więc wracajmy do domów. Myślę, że da się jakoś uratować te pompy i wasza praca nie pójdzie na marne. Wrócimy do tego jutro.

Odchodząc, niektórzy klepali Alvina po plecach albo stukali w ramię, żeby okazać poparcie. Niektórzy jednak okazywali je w sposób, który wcale mu się nie podobał.

— Trudno ci się dziwić… Ładna mała, robiła cielęce oczy…

— Kobiety zawsze rozumieją coś więcej, niż mężczyzna zamierzał…

Wreszcie zostali sami z Bajarzem.

— Nie patrz tak na mnie — powiedział Bajarz. — Wracajmy do domu; przekonamy się, czy twój ojciec już słyszał tę historię.

Na miejscu odkryli, że zebrała się cała rada rodzinna. Przy kuchennym stole zasiedli Measure, Armor-of-God, ojciec i mama. Arthur Stuart wyrabiał ciasto — choć mały, dobrze sobie radził i lubił tę pracę, więc mama zgodziła się w końcu, że kobieta może być panią we własnym domu, nawet jeśli ktoś inny zagniata chleb.

— Dobrze, że jesteś, Al — rzucił Measure. — Można by pomyśleć, że ludzie wyśmieją takie plotki. Na miły Bóg, przecież cię znają…

— A niby skąd? — spytała mama. — Nie było go tu prawie siedem lat. A odchodził jako mały chłopak, który dopiero co spędził rok biegając po kraju z czerwonym wojownikiem. Wrócił pełen mocy i majestatu, i wystraszył na śmierć tutejsze zajęcze serca. Co mogą wiedzieć o jego charakterze?

— Czy ktoś mógłby mi wytłumaczyć, o co tu chodzi? — poprosił Alvin.

— Znaczy, oni ci nie powiedzieli? — mruknął ojciec. — Bo strasznie się spieszyli, żeby powiedzieć mamie, Measure'owi i Armorowi-of-God.

Bajarz zachichotał.

— To jasne, że nie powiedzieli Alvinowi. Ci, którzy uwierzyli, sądzą, że i tak wie, a ci, którzy nie uwierzyli, zwyczajnie się wstydzą, że ktoś mógł wymyślić coś takiego.

Measure westchnął.

— Amy Sump opowiedziała swojej przyjaciółce Ramonie, Ramona opowiedziała swojej matce, jej matka pobiegła prosto do Sumpów, pani Sump prosto do męża, a on stracił rozum, bo w głowie mu się nie mieści, że jakiś samiec większy od myszy nie napala się na tę jego pannicę na wydaleniu.

— Na wydaniu — poprawił go Alvin.

— Tak, tak — burknął Measure. — Teraz jest akurat odpowiednia chwila, żeby uczyć mnie gramatyki!

— Wydalać to znaczy usuwać, wypędzać — tłumaczył Alvin. — A nikt przecież Amy nie wypędza, o ile pamiętam.

— Przecież wiem, pomyliłem się. Ale może byś się tak zamknął i posłuchał!

— Tak, psze pana!

— Gdybyś wyjechał, kiedy ta żagiew cię ostrzegała — westchnęła mama. — Tylko dureń siedzi w płonącym domu, żeby zobaczyć kolor płomieni.

— Co Amy o mnie opowiada?

— Same bzdury — odparł ojciec. — Że pobiegłeś z nią na sposób Czerwonych, sto mil nocą przez las, zabrałeś ją nad jakieś dalekie jezioro, gdzie pływaliście na golasa, i inne takie nieprzyzwoitości.

— Z Amy? — Alvin nie mógł uwierzyć.

— Znaczy, że zrobiłbyś to z kimś innym? — zapytał Measure.

— Z nikim — zapewnił Alvin. — To nieprzyzwoite, a poza tym brakuje dzisiaj ciągłej żyjącej puszczy; nie da się w jedną noc przebiec stu mil. Przez pola i farmy muszę biec co najmniej o połowę wolniej. Zielona pieśń zaczyna trzaskać i cichnąć, męczę się, próbując ją usłyszeć, i w ogóle dlaczego ktokolwiek wierzy w takie bzdury?

— Bo myślą, że potrafisz wszystko.

— A poza tym sporo mężczyzn zauważyło, jak Amy Sump się ostatnio wypełnia — dodał Armor-of-God. — Wiedzą, że gdyby oni mieli moc i gdyby Amy do nich tak wzdychała jak do ciebie, to raz-dwa mieliby ją nagą w jeziorze.

— Jesteś cyniczny, jeśli idzie o ludzką naturę — stwierdził Bajarz. — Większość z nich tylko marzy. Ale wiedzą, że Alvin nie marzy, tylko działa.

— Prawie jej nie zauważyłem — zapewnił Alvin. — Tyle że ciężko jej idzie nauka, jeśli wziąć pod uwagę, jak pilnie słucha.

— Bo słuchała twojego głosu. Nie tego, co mówiłeś ani czego uczyłeś.

— W każdym razie to nieprawda. Ani jej, ani z nią niczego nie

zrobiłem. I…

— A nawet gdybyś zrobił, wasz ślub byłby prawdziwą katastrofą — uznała mama.

— Ślub! — krzyknął Alvin.

— Oczywiście, gdyby to było prawdą, musiałbyś się z nią ożenić — potwierdził ojciec.

— Ale to nieprawda!

— Masz na to jakichś świadków? — spytał Measure.

— Świadków czego? Jak mogę mieć świadków, że coś się nie zdarzyło? Wszyscy są moimi świadkami, bo wszyscy nie widzieli, żebym to robił.

— Ale Amy twierdzi, że tak było. A tylko ty wiesz, czy ona kłamie, czy nie. Czyli albo ona jest zwykłą kłamczuchą, a ty zostałeś niewinnie oskarżony, albo ona jest biedną, okłamaną i uwiedzioną dziewczyną ze złamanym sercem, a ty jesteś draniem, który ją wykorzystał, a teraz nie umie się przyzwoicie zachować. I nikt nie udowodni jednej ani drugiej wersji.

— Czyli nawet wy mi nie wierzycie?

— Ależ wierzymy — zapewnił ojciec. — Myślisz, żeśmy tu powariowali? Ale nasza wiara to żaden dowód. Measure czytał prawo i nam to wytłumaczył.

— Prawo? — zdziwił się Alvin.

— Zanim jeszcze wróciłeś z Hatrack River. Teraz też od czasu do czasu. Ktoś w rodzinie powinien się trochę znać na prawie.

— Ale czy naprawdę myślisz, że może dojść do procesu?

— Może — rzekł Measure. — Tak mówią Sumpowie. Ściągnęli sobie prawnika z Carthage City, zamiast pójść do któregoś z adwokatów, którzy urzędują w Vigor Kościele. Sporo rozgłosu.

— Przecież nie mogą mnie za nic skazać!

— Złamanie przyrzeczenia. Czyny lubieżne z dzieckiem. Wszystko zależy, ilu sędziów przysięgłych uzna, że nie ma dymu bez ognia.

— Czyny lubieżne z…

— Przestępstwo karane śmiercią, zgadza się — potwierdził Measure. — A słyszałem, że taki zarzut chcą ci postawić Sumpowie.

— To nieważne, czy cię skażą, czy nie — stwierdził Bajarz.

— Dla mnie ważne — oświadczyła mama.

— Tak czy inaczej, wieści pójdą w świat. Alvin tak zwany Stwórca wykorzystuje młode dziewczątka. Nie możesz dopuścić do procesu.

Alvin natychmiast zrozumiał, że takie plotki, taki rozgłos, jaki da mu proces, zniszczy jego dzieło. Nikt już nie zechce uczyć się Stwarzania w Vigor Kościele.

Co prawda nauczanie i tak nie szło mu dobrze…

— Panna Larner… — wymruczał.

— Zgadza się — mruknął Bajarz. — Ostrzegła cię. Albo odejdziesz zaraz z wolnej woli, albo później z przymusu.

— Dlaczego ma porzucać własny dom tylko dlatego, że jakaś napalona kłamczuchą… — Głos mamy ucichł.

Alvin siedział w milczeniu i myślał o własnej głupocie.

— Chyba byłem durniem, że nie posłuchałem panny Larner. — Zamknął oczy i wyprostował się. — Jest też inne wyjście. Wcale nie muszę odchodzić.

— Jakie? — spytał Measure.

— Mogę się z nią ożenić.

— Nie! — krzyknęli chórem mama i ojciec.

— Może od razu podpiszesz przyznanie się do winy — zaproponował Armor-of-God.

— Nie możesz się z nią ożenić — oświadczył Measure.

— Jeśli ona tego właśnie chce… Założę się, że powie „tak", a jej rodzice też pewnie się zgodzą.

— Zgodzą się… i będą tobą pogardzać aż do śmierci — dodał ojciec.

— W porównaniu z czymś takim nie ma co myśleć o twojej reputacji, co ludzie powiedzą i w ogóle — dodał Measure. — Pomyśl: budzić się co rano, widzieć przy sobie w łóżku Amy Sump i wiedzieć, że jedynym powodem jej obecności jest fakt, że cię oczerniła… Powiedz, jaki dom stworzycie dla was dwojga i dla dzieci?

Alvin zastanawiał się przez chwilę, wreszcie skinął głową.

— Rzeczywiście, małżeństwo chyba nie jest najlepszym rozwiązaniem. Raczej wywoła masę nowych problemów.

— Dobrze — westchnął ojciec. — Bałem się, że wychowaliśmy głupka.

— Czyli wymknę się jak złodziej i wszyscy pomyślą, że Amy mówiła prawdę, a ja uciekłem.

— Niekoniecznie — sprzeciwił się Measure. — Powiemy, że odszedłeś, bo twoja praca jest zbyt ważna, żeby odkładać ją przez takie bzdury. Wrócisz, kiedy Amy zacznie mówić prawdę, a póki co będziesz studiował te… no, cokolwiek. Będziesz się czegoś uczył.

— Uczył się budować Kryształowe Miasto — szepnął Bajarz.

Wszyscy spojrzeli na niego.

— Bo przecież nie wiesz jak, prawda? Taki byłeś zajęty przerabianiem tych ludzi na Stwórców, a sam nawet nie wiesz, czym naprawdę jest Kryształowe Miasto ani jak je wznosić.

— To fakt. — Alvin pokiwał głową.

— Czyli… to nawet nie kłamstwo. Naprawdę dużo jeszcze musisz się nauczyć, a za długo już zwlekasz. Jesteś nawet wdzięczny Amy, bo ci pokazała, że minęło za dużo czasu. Measure dobrze się uczył. Tak wyprzedza pozostałych, że może prowadzić lekcje pod twoją

nieobecność. A że jest już żonatym mężczyzną, żadne pannice nie będą do niego wzdychały.

— No, nie wiem — zaprotestował Measure. — Jestem słodziutki.

— Bajarzu, spakowałeś już moją sakwę? — spytał Alvin.

— Nie potrzebujesz dużo bagażu — odparł Bajarz. — Lepiej podróżować szybko i bez obciążeń. Moim zdaniem tylko jedno brzemię musisz zabrać: pewne narzędzie rolnicze.

— Nie mogę go tutaj zostawić?

— To niebezpieczne. Niebezpieczne dla twojej rodziny, jeśli rozejdzie się plotka, że Stwórca odszedł, ale zostawił złoty pług w domu.

— Ale to niebezpieczne dla Alvina, jeśli pójdzie plotka, że zabrał go ze sobą — wtrąciła mama.

— Nikt na tej planecie nie jest bezpieczniejszy niż Alvin, jeśli tylko chce — uspokoił ją Measure.

— Czyli mam tylko wyjąć pług, zapakować do worka i ruszać?

— To chyba najlepszy plan — przyznał Armor-of-God. — Chociaż założę się, że mama dołoży ci jeszcze solone mięso i ubranie na zmianę.

— I mnie.

Wszyscy spojrzeli na źródło cienkiego, piskliwego głosiku.

— Zabiera mnie ze sobą — wyjaśnił Arthur Stuart.

— Będziesz mu tylko przeszkadzał, chłopcze — zaprotestował ojciec. — Masz dobre serce, ale krótkie nogi.

— Nigdzie mu się nie spieszy — przypomniał Arthur. — Tym bardziej że nie za bardzo wie, dokąd zmierza.

— Ale będziesz mu wchodził w drogę — stwierdził Armor-of-God. — Stale będzie o tobie myślał, starał się ochraniać. Na tej ziemi jest wiele miejsc, gdzie wolny chłopak mieszaniec na pewno kogoś rozzłości; no i nie możesz Alvinowi pomóc.

— Mówicie, jakbyście mieli jakiś wybór — oświadczył Arthur. — Ale jeśli Alvin wyrusza, to ja z nim idę i koniec. Możecie mnie zamknąć w komórce, a kiedyś i tak stamtąd ucieknę, pójdę za nim i znajdę go albo zginę.

Patrzyli na niego zakłopotani. Arthur Stuart rzadko się odzywał, odkąd przybył do Vigor po śmierci swojej przybranej matki w Hatrack River. Był milczący, lecz pracowity, chętny do pomocy i posłuszny. Takie zachowanie zaskoczyło więc wszystkich.

— Poza tym — dodał — kiedy Alvin będzie zajęty opieką nad światem, ja zaopiekuję się Alvinem.

— Myślę, że chłopak powinien iść — uznał Measure. — Niszczyciel wyraźnie jeszcze z Alvinem nie skończył. Dlatego ktoś musi pilnować jego pleców. Uważam, że Arthur się nadaje.

To właściwie kończyło dyskusję. Nikt nie potrafił ocenić

człowieka tak dobrze jak Measure.

Alvin podszedł do kominka i podniósł cztery kamienie. Nikt by się nie domyślił, że coś tam ukryto — póki ich nie poruszył, w zaprawie nie było nawet pęknięcia. Nie próbował pod nimi kopać; pług leżał osiem stóp pod ziemią i praca łopatą zajęłaby cały dzień, nie mówiąc już o tym, że trzeba by rozłożyć kominek. Nie; po prostu wyciągnął ręce, przywołał pług i zapragnął, by ziemia go wyniosła. Po chwili pług wynurzył się na powierzchnię jak korek w spokojnym stawie. Alvin usłyszał za sobą syknięcia i pomruki — na ludziach, nawet na jego rodzinie, takie otwarte demonstracje talentu wciąż robiły wrażenie. Poza tym pług błyszczał wspaniale, jakby można go było zobaczyć nawet wśród czarnej, bezksiężycowej, burzliwej nocy, jakby złoto nawet przez zamknięte powieki wypalało sobie drogę do oczu i prosto do mózgu. Drżał lekko pod ręką Alvina.

Godzinę później Alvin stanął w tylnych drzwiach domu. To nie znaczy, że przez godzinę się pakował — prawie cały ten czas spędził przy młynie, próbując naprawić pompy. Nie zwlekał też długo z pożegnaniami. Nikogo z rodziny nie zawiadomili, że odchodzi, ponieważ ktoś mógłby usłyszeć, a Alvin nie chciał, żeby na niego czekali, kiedy skieruje się do lasu. Mama, ojciec, Measure i Armor muszą przekazać błogosławieństwa i wyrazy miłości braciom, siostrom, bratankom i siostrzenicom.

Alvin zarzucił na ramię worek z pługiem i zmianą ubrania, Arthur Stuart wziął go za drugą rękę. Alvin sprawdził jeszcze heksy umieszczone wokół domu, upewnił się, że wciąż są doskonałe w swej sześcioboczności, nie naruszone przez wiatr ani czyjąś złą wolę. Wszystko było w porządku. Nic więcej nie mógł zrobić dla rodziny pod swoją nieobecność, jedynie dbać o osłony, by nie dopuszczały niebezpieczeństw.

— I nie martw się o Amy — dodał jeszcze Measure. — Jak tylko stąd znikniesz, zauważy jakiegoś innego chłopaka, o nim zacznie marzyć i opowiadać różne historie, a ludzie zrozumieją, że nic nie zrobiłeś.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz — westchnął Alvin. — Bo nie mam zamiaru długo wędrować.

Słowa przez moment zawisły w ciszy; wszyscy wiedzieli, że być może, tym razem Alvin odchodzi na dobre. Może już nigdy nie wrócić do domu. Świat był pełen niebezpieczeństw, a Niszczyciel wyraźnie zadał sobie wiele trudu, żeby wypędzić Alvina w drogę.

Ucałował i uściskał wszystkich, pilnując, żeby ciężkim pługiem nikogo nie potrącić. A potem odszedł w stronę lasu za domem; maszerował swobodnym krokiem, żeby ci, którzy go odprowadzali, mieli wrażenie, że to tylko spacer, nie ucieczka, mogąca odmienić jego życie. Arthur Stuart ściskał jego lewą dłoń. I ku zdziwieniu Alvina,

Bajarz ruszył za nimi.

— Idziesz ze mną? — zapytał Alvin.

— Niedaleko. Chcę tylko chwilę pogadać.

— Cieszę się.

— Zastanawiałem się, czy myślałeś o odszukaniu Peggy Larner — rzekł Bajarz.

— Ani przez chwilę.

— A co, jesteś na nią wściekły? Do licha, chłopcze, gdybyś jej tylko posłuchał…

— Myślisz, że tego nie rozumiem? Myślisz, że nie zastanawiam się nad tym bez przerwy?

— Mówię tylko, że jeszcze w Hatrack River niewiele brakowało do waszego ślubu. I że przydałaby ci się żona, a nigdzie nie znajdziesz lepszej.

— Odkąd to zostałeś swatem? — spytał Alvin. — Myślałem, że tylko zbierasz opowieści. Nie sądziłem, że sprawiasz, by się wydarzyły.

— Bałem się, że będziesz na nią zły.

— Nie na nią. Na siebie.

— Alvinie, potrafię rozpoznać, kiedy ktoś kłamie.

— No dobrze, jestem zły. Przecież wiedziała, prawda? To dlaczego po prostu mnie nie uprzedziła? Amy Sump zacznie opowiadać kłamstwa o tobie i zmusi cię do odejścia, więc odejdź teraz, zanim jej dziewczęce wyobrażenia wszystko zniszczą.

— Bo gdyby to powiedziała, nie odszedłbyś. Prawda, Alvinie? Zostałbyś wierząc, że jakoś to wszystko z Amy poukładasz. Pewnie nawet wziąłbyś ją kiedyś na stronę i powiedział, żeby cię nie kochała. A gdyby wtedy zaczęła opowiadać, byliby świadkowie pamiętający, jak to kiedyś została po lekcjach sam na sam z tobą. Dopiero miałbyś kłopoty, bo tym więcej ludzi by jej uwierzyło i…

— Bajarzu, chciałbym, żebyś kiedyś zyskał talent do zamykania się!

— Przepraszam. Po prostu nie mam tego daru. Paplam tylko i denerwuję ludzi. Chodzi o to, że Peggy powiedziała ci tyle, ile mogła, żeby nie pogorszyć jeszcze sytuacji.

— Zgadza się. Sama zdecydowała, ile mam prawo wiedzieć, i tyle właśnie mi powiedziała. A ty masz śmiałość tłumaczyć mi, że powinienem się z nią ożenić?

— Nie nadążam za twoim rozumowaniem, Alvinie — wyznał Bajarz.

— Co by to było za małżeństwo, gdyby żona wiedziała wszystko, ale nigdy nie mówiła dosyć, żebym sam mógł podjąć decyzję? To ona za mnie decyduje. Mówi tyle, ile musi, żeby mnie skłonić do tego, co jej zdaniem powinienem zrobić.

— Przecież nie zrobiłeś tego, co ci powiedziała. Zostałeś w domu.

— Więc takiego życia dla mnie pragniesz? Albo będę słuchał żony, albo żałował, że tego nie zrobiłem!

Bajarz wzruszył ramionami.

— Nadal nie rozumiem twoich zastrzeżeń.

— To proste: dorosły mężczyzna nie chce się żenić z własną matką. Chce sam o sobie decydować.

— Na pewno masz rację — zgodził się Bajarz. — A kto jest tym dorosłym mężczyzną, o którym wspomniałeś?

Alvin nie złapał przynęty.

— Mam nadzieję, że pewnego dnia ja nim będę. A to się nie stanie, jeśli zwiążę się z żagwią. Wiele zawdzięczam pannie Larner, a jeszcze więcej tej dziewczynce, którą była, zanim została nauczycielką, która wiele razy ratowała mi życie. Nic dziwnego, że ją pokochałem. Ale małżeństwo z nią byłoby najgorszym błędem w moim życiu. Uczyniłoby mnie słabym. Uzależnionym. Talent pozostałby w moich rękach, ale całkowicie na jej usługi. Mężczyzna nie może tak żyć.

— Chcesz powiedzieć: dorosły mężczyzna.

— Kpij do woli, Bajarzu. Zauważyłem, że ty też nie masz żony.

— Widocznie jestem dorosły — odpowiedział Bajarz ostrym tonem. Spojrzał raz jeszcze na Alvina, po czym zawrócił i odszedł w stronę, skąd przyszli.

— Nigdy jeszcze nie widziałem go tak rozzłoszczonego — odezwał się Arthur Stuart.

— Nie lubi, kiedy ktoś rzuca mu w twarz jego własne rady — burknął Alvin.

Arthur Stuart nie odpowiedział. Czekał.

— No dobrze, chodźmy już.

Arthur odwrócił się natychmiast i ruszył przed siebie.

— Może na mnie zaczekasz?

— Po co? Ty też nie wiesz, dokąd idziemy.

— Pewno tak, ale jestem starszy, więc to ja decyduję, do którego nigdzie zmierzamy.

Arthur zaśmiał się cicho.

— Założę się, że nie ma takiego kierunku, gdzie ktoś nie stałby ci na drodze. Choćby i o pół świata stąd.

— Nic o tym nie wiem — odparł Alvin. — Wiem za to, że w którąkolwiek stronę byśmy poszli, w końcu trafimy na ocean. Umiesz pływać?

— Nie przez ocean.

— To na co cię brałem? Liczyłem, że mnie przeholujesz.

Zagłębili się w las. I chociaż Alvin nie wiedział, dokąd zmierza, wiedział jedno: zielona pieśń jest może słaba i nierówna, ale ciągle rozbrzmiewa; mógł poruszać się w doskonałej harmonii z zieloną

puszczą. Gałązki odsuwały mu się z drogi, a liście miękły pod stopami; po chwili sunął już bezgłośnie, nie pozostawiając śladów i niczego nie zakłócając.

Tej nocy obozowali nad jeziorem Mizogan. Jeśli można to nazwać obozem, bo nie rozpalali ognia ani nie budowali szałasu. Późnym popołudniem wyszli spomiędzy drzew i stanęli na brzegu. Alvin pamiętał, że był kiedyś nad tym jeziorem — nie dokładnie w tym miejscu, ale też niezbyt daleko — kiedy Tenska-Tawa przywołał trąbę powietrzną, okaleczył sobie stopy i poszedł po krwawej wodzie; zabrał ze sobą Alvina, wciągnął go w tornado i pokazał wizje. Wtedy właśnie Alvin pierwszy raz zobaczył Kryształowe Miasto i zrozumiał, że kiedyś je zbuduje, a raczej odbuduje, ponieważ już kiedyś istniało i może nawet więcej niż raz. Ale burza minęła, stała się mglistym wspomnieniem; ludzie Tenska-Tawy odeszli także: większość zginęła, a reszta trafiła na zachód. Teraz był nad zwyczajnym jeziorem.

Kiedyś Alvin bał się wody, bo wodę raz po raz wykorzystywał Niszczyciel, żeby go zabić jeszcze w dzieciństwie. Ale ten czas minął; Alvin dorósł do swego talentu i stał się prawdziwym Stwórcą; nastąpiło to tamtej nocy w kuźni, gdy zmienił żelazo w złoto. Niszczyciel nie mógł już dotknąć go poprzez wodę. Nie, teraz musiał używać bardziej subtelnych narzędzi: ludzi. Ludzi takich jak Amy Sump, o słabej woli, chciwych, naiwnych, rozmarzonych albo leniwych, łatwo dających sobą kierować. Teraz zagrożenie stanowili ludzie. Woda jest bezpieczna dla tych, co umieją pływać, a Alvin był jednym z nich.

— Może się wykąpiemy? — zaproponował.

Arthur wzruszył ramionami. Kiedyś, gdy zanurzyli się razem, wody Hio spłukały ostatnie ślady jego dawnej tożsamości. Ale nie dzisiaj; rozebrali się i pływali w jeziorze, gdy zachodziło słońce, a potem położyli się na trawie, żeby wyschnąć. Woda lśniła w blasku księżyca, lekki wiatr przyniósł miły chłód w sam raz do spania. Przez całą drogę nie odezwali się ani słowem, mknęli tylko przez las w doskonałej harmonii. Nawet podczas pływania wciąż milczeli i prawie nie chlapali, tak głęboko pogrążyli się w harmonii ze wszystkim, ze sobą. Dlatego kiedy Arthur się odezwał, zaskoczył Alvina.

— O tym śniła Amy, nie?

Alvin zastanowił się. Potem wstał i włożył ubranie.

— Myślę, że już wyschliśmy — stwierdził.

— Myślisz, że miała prawdziwy sen? Tyle że nie ona tam była, tylko ja?

— Nie było żadnych uścisków ani żadnych nienaturalnych rzeczy, kiedy byliśmy w wodzie na golasa.

Arthur roześmiał się.

— W tym, co jej się śniło, też nie ma nic nienaturalnego.

— To nie był prawdziwy sen.

Arthur wstał i też się ubrał.

— Wiesz, że słyszałem zieloną pieśń, Alvinie? Trzy razy puściłem twoją rękę i ciągle ją słyszałem, coraz dłużej. Potem zaczynała cichnąć i znowu musiałem cię łapać.

Alvin skinął głową, jakby tego się właśnie spodziewał. Ale się nie spodziewał. Kiedy uczył mieszkańców Vigor Kościoła, nie próbował nawet zajmować się Arthurem. Posłał go do szkoły, żeby ćwiczył litery i cyfry. Ale to Arthur może się w końcu okazać jego najlepszym studentem.

— Zostaniesz Stwórcą? — zapytał.

Arthur pokręcił głową.

— Nie. Będę tylko twoim przyjacielem.

Alvin nie powiedział głośno tego, o czym pomyślał: żeby być moim przyjacielem, może będziesz musiał zostać Stwórcą. Nie musiał tego mówić. Arthur Stuart sam zrozumiał.

Wiatr wzmógł się lekko nocą i daleko, bardzo daleko, gdzieś nad wodą błyskawica rozjaśniła odległe chmury. Arthur oddychał równo przez sen; Alvin słyszał go w ciszy lepiej niż szept dalekiego gromu. Powinien czuć się samotny, ale nie. Oddech w mroku obok niego… to mógł być Ta-Kumsaw podczas ich długich wędrówek przed laty, kiedy Alvina nazywano Małym Renegado, a losy świata zdawały się ważyć na szali. Albo mógł to być jego brat, Calvin, kiedy sypiali w jednym pokoju; Alvin pamiętał go jako niemowlę w kołysce, potem w łóżeczku: dziecięce oczy wpatrzone w niego, jakby był bogiem, jakby wiedział coś, czego nie wie żaden człowiek. Cóż, rzeczywiście wiedziałem, ale i tak utraciłem Calvina. I ocaliłem życie Ta-Kumsawowi, ale nie mogłem nic zrobić, żeby ocalić jego sprawę. A teraz on także jest dla mnie stracony, za rzeką, wśród mgieł czerwonego zachodu.

Ten oddech to mogła być jego żona zamiast jedynie snu o niej. Spróbował wyobrazić sobie Amy Sump w ciemności przy sobie; i chociaż wiedział, że Measure miał rację i czekałoby ich fatalne małżeństwo, nie mógł zaprzeczyć, że miała ładną buzię. W tej chwili samotnego rozbudzenia wyobraził sobie jej młode ciało, słodkie i ciepłe, pocałunki gorące, pełne nadziei i życia.

Szybko odepchnął od siebie te wizje. Amy nie była dla niego i nawet wyobrażanie jej sobie w ten sposób wydawało się niemal zbrodnią. Nie mógłby się ożenić z kimś, kto go czci; jego żona nie wyjdzie za Stwórcę o imieniu Alvin; wyjdzie za mężczyznę.

Wtedy pomyślał o Peggy Larner. Wyobraził sobie, że unosi się na łokciu i patrzy, jak daleka błyskawica rzuca na jej twarz smugę światła. Na jej włosy rozpuszczone i rozrzucone w trawie. Na jej wypielęgnowane ręce, już nie opanowane i pełne gracji w

wystudiowanych gestach, ale swobodnie ułożone we śnie.

Ze zdziwieniem poczuł, że ma łzy w oczach. Po chwili zrozumiał powód: była równie nieosiągalna jak Amy Sump — nie dlatego że go czciła, ale dlatego że bardziej była oddana jego sprawie niż on sam. Kochała nie Stwórcę i z pewnością nie mężczyznę, ale raczej Stwarzanie i to, co stworzone. Małżeństwo z nią to jak poddanie się losowi, gdyż widziała przyszłość rodzącą się z wszelkich możliwych wyborów. Gdyby się ożenił z Peggy, nie byłby już mężczyzną — nie dlatego że ona by tego chciała, ale dlatego że sam miałby dość rozumu, by słuchać jej rad. Z własnej woli byłby posłuszny, z własnej woli utraciłby wolność.

Nie, to Arthur leżał obok, niezwykły chłopiec, który ślepo kochał Alvina, ale niczego od niego nie żądał; chłopiec, który dla wolności utracił część siebie i zastąpił ją częścią Alvina.

Analogia stała się nagle oczywista i na chwilę Alvin się zawstydził. Zrobiłem Arthurowi to, co myślę, że Peggy Larner mogłaby zrobić mnie. Odebrałem mu część jego i dałem część siebie. Ale on był taki młody, a groźba tak wielka, że nie pytałem go o zdanie, nie tłumaczyłem, a gdybym nawet próbował, on by nie zrozumiał. Nie miał wyboru. Ja jeszcze mam.

Czy byłbym tak zadowolony jak Arthur, gdybym kiedyś oddał siebie Peggy?

Może kiedyś… Ale nie teraz. Nie jestem jeszcze gotów, żeby zrezygnować ze swojej woli, żeby oddać się komuś, tak jak Arthur mnie jest oddany. Tak jak rodzice dzieciom, oddając swoje życie na potrzeby bezradnych i samolubnych maleństw. Droga otwiera się przede mną, wszystkie drogi, wszystkie możliwości. Z tego trawiastego łoża nad Mizogan mogę ruszyć dokądkolwiek, znaleźć wszystko, co znajdywalne, zrobić wszystko, co wykonalne, stworzyć wszystko, co można stworzyć. Dlaczego mam wznosić mur wokół siebie? Uwiązywać się do jednego drzewa? Nawet koń, nawet pies nie jest tak lojalny, by zrobić ze sobą coś takiego.

Od dzieciństwa tkwił w niewoli swego talentu. Jako dziecko w rodzinie, jako towarzysz wędrówek Ta-Kumsawa, jako uczeń kowalski albo nauczyciel przyszłych Stwórców, był okaleczony swym talentem. Ale już nie.

Błyskawica zajaśniała znowu, dalej niż poprzednio. Dziś w nocy nie spadnie deszcz. A jutro wstaną z Arthurem i ruszą na południe, a może na północ albo na wschód czy zachód, zależnie od tego, co mu przyjdzie do głowy, na poszukiwanie każdego celu, który uzna za wart poszukiwań. Opuścił dom, żeby stamtąd odejść, nie żeby gdzieś dotrzeć. Nie istniała większa swoboda.

ROZDZIAŁ 9 — COOPER

Peggy Larner obserwowała oba jasne płomienie serc: Alvina wędrującego przez Amerykę oraz Calvina, który płynął do Anglii i szykował się na audiencję u Napoleona. Niewiele dostrzegła zmian w możliwych wariantach przyszłości, gdyż plan żadnego z nich nie zmienił się ani na jotę.

Plan Alvina, oczywiście, nie był żadnym planem. On i Arthur Stuart pieszo szli na zachód od Mizogan, w pobliże rosnącego szybko miasta Chicago i dalej, aż gęste mgły na Mizzipy zmusiły ich do zawrócenia. Alvin żywił niewielką nadzieję, że przynajmniej on będzie mógł przekroczyć rzekę, ale jeśli nawet miało się to kiedyś spełnić, to z pewnością nie teraz. Dlatego skręcił na północ, aż do Jeziora Wysokiej Wody, gdzie wsiadł na jeden z nowych parowców wożących rudę żelaza do Irrakwa. Tam przeładowywano ją do wagonów i w ten sposób docierała aż do krainy węgla w Suskwahenny i Pensylwanii, by trafić do nowych hut.

— Czy to Stwarzanie? — zapytał Arthur Stuart, kiedy Alvin wyjaśnił mu cały proces. — Zmieniać żelazo w stal?

— Coś w rodzaju Stwarzania, gdzie ziemia poddaje się przemocy ognia. Ale koszt jest wysoki, a żelazo cierpi przy takiej przemianie. Widziałem stal, jaką tam wytwarzają. Jest w torach. Jest w lokomotywach. Metal krzyczy bez przerwy; to cichy głos, bardzo wysoki, ale ja go słyszę.

— To znaczy, że źle jest używać stali?

— Nie — odparł Alvin. — Ale powinniśmy jej używać tylko wtedy, gdy warta jest ceny takiego cierpienia. Może kiedyś znajdziemy lepszy sposób na zwiększenie mocy żelaza. Jestem kowalem. Nie zrezygnuję z ognia paleniska, nie odrzucę młota i kowadła. I nie powiem, że odlewnie w Dekane są w czymś gorsze od mojej małej kuźni. Wszedłem w płomień. Wiem, że żelazo też może w nim przetrwać i wyjść nienaruszone.

— Może po to właśnie wędrujemy — próbował zgadywać Arthur Stuart. — Żebyś trafił do huty i nauczył ich łagodniej wytwarzać stal.

— Może — przyznał Alvin.

Dotarli pociągiem do Dekane i Alvin zaczął pracować w odlewni. Pracował i patrzył, ucząc się wytwarzania stali.

— Znalazłem sposób — powiedział w końcu. — Ale wymaga on Stwórcy albo kogoś bardzo bliskiego.

I to był problem: jeśli Alvin chciał zmienić świat, musiał dokonać tego, co mu się nie udało w Vigor Kościele, czyli wykształcić nowych Stwórców.

Porzucili miasta stali i poszli na wschód, a Peggy, obserwując

płomień serca Alvina, nie widziała żadnej zmiany, żadnej zmiany, żadnej zmiany…

Aż raz, pewnego dnia, całkiem nagle, bez żadnej przyczyny, jaką mogłaby dostrzec w życiu Alvina, otworzyły się przed nim tysiące nowych dróg, a na każdej stał człowiek, którego nigdy dotąd nie widziała. Człowiek, który nazywał się Verily Cooper i mówił jak uczony w książkach Anglik; kroczył u boku Alvina po wszystkich ścieżkach życia przez długie lata. Na tej ścieżce złoty pług otrzymał wspaniały uchwyt i zbudził się do życia pod ludzką ręką. Na tej ścieżce Kryształowe Miasto wyrastało w niebo, a mgła na Mizzipy rozwiewała się na przestrzeni kilku mil; Czerwoni stali na zachodnim brzegu i z radością witali Białych nadpływających na łodziach i tratwach, by z nimi handlować, rozmawiać i by się od nich uczyć.

Ale skąd się wziął ten Verily Cooper, dlaczego tak nagle pojawił się w życiu Alvina?

Dopiero później przyszło Peggy do głowy, że to nie działania Alvina sprowadziły tego człowieka, ale czyny kogoś innego. Spojrzała w płomień serca Calvina — tak daleki, że musiała patrzeć w głąb ziemi, żeby zobaczyć go w Anglii, poza krzywizną planety. Tam odkryła, że to on dokonał zmiany, i to dzięki najprostszemu z możliwych wyborów. Calvin poświęcił nieco czasu, żeby oczarować członka parlamentu, który zaprosił go na herbatkę. I chociaż Calvin wiedział, że ten człowiek nie może mu pomóc, z kaprysu, właściwie bez powodu, postanowił tam pójść. Niewiele się zmieniło prócz jednego: prawie na każdej drodze Calvin spędził godzinę w towarzystwie Verily Coopera, młodego prawnika, który pilnie słuchał wszystkiego, co Calvin miał do powiedzenia.

Czy to zatem możliwe, że Calvin jest jednak elementem planu Alvina? Wyruszył do Anglii, mając w sercu zniszczenie wszystkich dzieł brata, a mimo to z kaprysu, przypadkiem — jak gdyby istniało coś takiego jak przypadek — nastąpiło spotkanie, które niemal na pewno doprowadzi Verily Coopera do Ameryki. Do Alvina Smitha. Do złotego pługa, do Kryształowego Miasta i rozstąpienia się mgieł na Mizzipy.

* * *

Arise Cooper był uczciwie pracującym chrześcijaninem. Przeżył życie tak bliski czystości, jak tylko potrafił, uwzględniając skończone możliwości ludzkiej duszy. Przestrzegał każdego przykazania, jakie poznał; oczyszczał duszę z każdej nieczystości, jaką zdołał sobie

wyobrazić. Codziennie uzupełniał szczegółowy dziennik, zaznaczając wszystkie dzieła boże w swym życiu.

Na przykład w dniu, kiedy przyszedł na świat jego drugi syn, zapisał: „Dzisiaj Szatan zesłał na mnie gniew na człowieka, który upierał się, by zmierzyć trzy antałki, jakie dla niego zrobiłem. Pewien był, że go oszukałem. Ale Duch Święty wzbudził w mym sercu wybaczenie, zrozumiałem bowiem, że człowiek ów stał się podejrzliwy, ponieważ tak często oszukiwali go ludzie opętani przez diabła. Zrozumiałem też, że Pan dał mi misję, by przekonać go, iż nie wszyscy są oszustami. Cierpliwie zniosłem więc obrazę. I rzeczywiście, tak jak nauczał Jezus, kiedy łagodnością odpowiedziałem na jego ataki, obcy ów opuścił warsztat jako mój przyjaciel, nie wróg, mądrzejszym okiem spoglądając na dzieła Pana pośród ludzi. Wielki jesteś, ukochany Boże, zmieniając me grzeszne serce w narzędzie służące celom Twym na tym świecie! O zmroku przybył na świat mój drugi syn, którego nazwałem Zaprawdę, Verily. Zaprawdę, Powiadam Wam, Jeśli Nie Odmienicie Się i Nie Staniecie Jak Dzieci, Nie Wejdziecie do Królestwa Niebieskiego”.

Ktoś mógłby uznać, że to przesada, ale imię Arise'a także pochodziło z Pisma: Arise, czyli Wstań. Wstań i Chodź. A imię jego żony było najkrótszym wersetem w Piśmie: Jesus Wept, Jezus Zapłakał. Imię dziecka, Verily, z czasem skrócono do Very.

Ale nie imię było najcięższym brzemieniem Verily'ego Coopera. Nie; coś rzuciło o wiele mroczniejszy cień na jego dzieciństwo.

Żona Arise'a, Wept, przybiegła pewnego dnia, kiedy chłopiec miał zaledwie dwa lata. Była bardzo podniecona.

— Arise, widziałam dzisiaj, jak nasz syn bawił się kawałkami drewna. Budował z nich wieżę.

Arise poszukał w pamięci, co złego można uczynić z kawałkami drewna pozostałymi w warsztacie bednarza. Tylko jedno przyszło mu do głowy.

— Czy był to wizerunek wieży Babel?

— Może tak, a może i nie — odparła zdziwiona Wept. — Skąd mogę wiedzieć? Przecież nie mówi jeszcze ani słowa.

— O co więc ci chodzi? — spytał Arise zniecierpliwiony, gdyż żona nie przeszła od razu do sedna. Nie, był zniecierpliwiony, ponieważ nieprawidłowo odgadł i teraz trochę się wstydził. To grzech zrzucać na nią winę za złe uczucia, jakie sam wzbudził. W sercu pomodlił się o wybaczenie. Żona mówiła dalej:

— Nasz syn budował z tych kawałków, ale one się przewracały, potem znowu i znowu. Zobaczyłam to i pomyślałam: Pan nasz w niebiosach uczy malca, że wszystkie dzieła człowiecze w proch się rozsypią, a tylko dzieła boże przetrwają. Ale wtedy mały zrobił posępną minę, pełną stanowczości, zaczął oglądać każdy kawałek

drewna i układał je bardzo ostrożnie. Budował, budował i budował, aż ostatnie kawałki układał wyżej niż głowa, a one ciągle stały.

Arise nie był pewien, co takiego żona próbuje mu powiedzieć i dlaczego ją to niepokoi.

— Chodź, mężu, obejrzyj dzieło rąk naszego dziecka.

Podążył za nią do kuchni. Nikogo tam nie zastali, choć był to czas gotowania. Arise od razu zrozumiał, czemu wszyscy uciekli: wieża z resztek drewna stała wyżej, niż pozwalał na to rozsądek i prawa równowagi. Klocki leżały przekręcone na wszystkie strony, ale doskonale zbalansowane, niezależnie od dziwacznych czy nieprawdopodobnych połączeń z tymi na górze i na dole.

— Zburz ją natychmiast — polecił Arise.

— Myślisz, że nie próbowałam? — zaszlochała Wept.

Machnęła ręką i przewróciła wieżę na podłogę. Wieża upadła, ale w całości; nawet leżąc, klocki pozostały złączone ze sobą, jak gdyby ktoś je skleił.

— Bawił się klejem — mruknął Arise, ale wiedział, że to nieprawda.

Uklęknął przy obalonej budowli i spróbował oderwać klocek z jednego końca — nie potrafił. Chwycił całą wieżę i uderzył nią o kolano. Zabolało, ale konstrukcja się nie złamała. Wreszcie stanął na niej i z wysiłkiem pociągnął jeden koniec; dopiero wtedy ją przełamał, ale z takim trudem, jakby próbował złamać solidną deskę. A kiedy zbadał brzegi, odkrył, że pękła przez środek klocka, nie na łączeniu.

Zerknął na żonę i wiedział, co powinien jej powiedzieć. Powinien powiedzieć, że ich syn został w oczywisty sposób opętany przez diabła, opętany do tego stopnia, że już w tak młodym wieku zdolny jest do niezwykłych czarów. A kiedy padną te słowa, nie pozostanie im nic innego, jak tylko odprowadzić chłopca do magistratu, gdzie poddadzą go próbie. Chłopiec, jako zbyt młody i nie potrafiący jeszcze mówić, nie wyzna swoich win i się nie pokaja, więc z wyroku sądu spłonie na stosie, jeżeli nie utonie podczas śledztwa.

Arise nigdy nie kwestionował słuszności praw, pozwalających chronić Anglię od czarów i innych mrocznych sztuczek Szatana. Nie wypędzano już czarownic za ocean — jedynym skutkiem takiej polityki był cały naród opętany przez diabła. Pismo nie pozostawiało wątpliwości: Nie pozwolisz żyć czarownicy.

A jednak Arise nie wypowiedział do żony słów, które zmusiłyby ich do oddania dziecka magistratowi. Po raz pierwszy w życiu Arise Cooper, znając prawdę, powstrzymał się od działania.

— Spalmy tę deskę dziwacznego kształtu — rzekł. — I nie pozwalaj dziecku bawić się klockami. Pilnuj go dobrze i naucz, by w każdej chwili swego życia ściśle przestrzegał praw bożych. Póki tego nie zrozumie, nie pozwól żadnej innej kobiecie patrzeć na niego w

twej nieobecności.

Spojrzał żonie prosto w oczy; najpierw zobaczył w nich zaskoczenie, potem ulgę, wreszcie stanowczość.

— Będę go tak pilnowała, że Szatan nie znajdzie okazji, by szeptać mu do ucha — obiecała Wept.

— Stać nas na kucharkę, która od dzisiaj będzie zarządzała służbą. W naszych rękach leży wychowanie tego najtrudniejszego z dzieci. Ocalimy go przed Szatanem. Żadna praca nie jest od tej ważniejsza.

I tak dorastanie Verily Coopera stało się trudne i ciekawe. Dostawał lanie częściej niż inne dzieci w rodzinie, dla jego własnego dobra, gdyż Arise dobrze wiedział, że Szatan wcześnie otworzył sobie drogę do dziecięcego serca. Zatem wszelkie przejawy buntu, nieposzanowania i grzechu należało z zapałem karczować.

Jeśli małemu Verily'emu nie podobała się ta specjalna dyscyplina, inna od obowiązującej starszego brata i młodsze siostry, nie mówił tego głośno — może dlatego że skargi zawsze sprowadzały szybką chłostę brzozową rózgą. Nauczył się żyć z tymi karami, a nawet — po pewnym czasie — czerpać z nich rodzaj dumy, gdyż inne dzieci przyglądały się z podziwem, jak często jest bity i nawet nie zapłacze. W dodatku karano go za przewinienia, które na nich ściągnęłyby najwyżej karcące spojrzenie rodziców.

Verily szybko się uczył. Brzozowa rózga pokazała mu, które z jego wyczynów były zwykłymi psotami dorastającego chłopaka, a które uznawano za dowód, że Szatan ze wszystkich sił stara się posiąść jego duszę. Kiedy z chłopcami z sąsiedztwa wznosili śnieżną twierdzę, jeśli budował krzywo i niedbale, jak oni, nie groziła mu kara. Ale kiedy szczególnie się starał, żeby bloki śniegu pasowały do siebie, dostał takie lanie, że krwawiły mu pośladki. Kiedy pomagał ojcu w warsztacie, przekonał się, że jeśli łączy klepki luźno, jak inni, byle tylko trzymały się w obręczach, licząc, że od trzymanych wewnątrz płynów napęcznieją i uszczelnią beczkę, wszystko było w porządku. A gdy starannie dobierał drewno i skupiał się, by klepki do siebie pasowały, aż beczka trzymała powietrze szczelnie jak świński pęcherz, ojciec bił go miarką i wyganiał z warsztatu.

Zanim skończył dziesięć lat, Verily nie wchodził już otwarcie do warsztatu ojca i miał wrażenie, że ojcu to nie przeszkadza. Ale wciąż go irytowało, jak wygląda praca bez jego pomocy. Wyczuwał bowiem szorstkość, niedokładność styków między klepkami baryłek, antałków i beczek. Sama myśl o tym wywoływała między łopatkami mrowienie, którego po prostu nie mógł wytrzymać. Dlatego wstawał nocą, przekradał się do warsztatu i poprawiał najgorsze beczki. Nikt się niczego nie domyślał, ponieważ nie zostawiał po sobie wiórów. Ściągał tylko obręcze, dopasowywał klepki i nakładał obręcze z

powrotem, ciaśniej niż poprzednio.

W rezultacie, po pierwsze, Arise Cooper zyskał sławę najlepszego bednarza w całej środkowej Anglii, po drugie, za dnia Verily bywał senny i zmęczony, przez co często dostawał lanie, choć nie tak mocne jak wtedy, kiedy naprawdę się na czymś koncentrował, i po trzecie, Verily nauczył się żyć ciągle oszukując, ukrywając przed wszystkimi to, kim jest, co widzi i co czuje. Było zatem naturalne, że pociągnęła go nauka prawa.

Choć często wydawał się leniwy, jednak miał bystry umysł. Arise i Wept dostrzegli to, więc zamiast zadowolić się miejscowym, opłacanym z podatków nauczycielem, wysłali chłopca do akademii, gdzie uczęszczali tylko synowie ziemian i innych bogaczy. Kpin i docinków innych chłopców, drwiących z jego wiejskiego akcentu i prostego odzienia, Verily prawie nie zauważał; jeśli dostawał lanie, było niczym w porównaniu z tym, co wycierpiał w domu; zaczepki i ataki nie powodujące fizycznego bólu prawie nie docierały do jego świadomości. Obchodziło go tylko jedno: w szkole nie musiał żyć w ciągłym strachu, a nauczycielom podobało się, kiedy studiował uważnie i badał, w jaki sposób idee do siebie przystają. To, co rękami wolno mu było robić tylko w tajemnicy, mógł całkiem otwarcie czynić umysłem.

Zresztą nie tylko idee. Uczył się w skupieniu obserwować otaczających go chłopców, uważnie ich słuchać, patrzeć, jak się zachowują. W końcu widział ich tak wyraźnie, jak kawałki drewna; rozumiał, gdzie i w jaki sposób każdy z nich może pasować do pozostałych. Wystarczyło słowo rzucone tu czy tam, pomysł trafiający do właściwego umysłu w odpowiedniej chwili, by przekształcić mieszkańców internatu w zgodną grupę wiernych przyjaciół. To znaczy, na ile chcieli. Niektórych wypełniał gniew tak wielki, że im lepiej pasowali do reszty, tym bardziej stawali się opryskliwi i podejrzliwi. Verily nic nie mógł na to poradzić. Nie zmieniał przecież ich serc, pomagał tylko znaleźć miejsce, gdzie naturalne skłonności pozwalały najlepiej dopasować się do innych.

Nikt tego nie zauważył — nikt nie wiedział, że to Verily zrobił z nich grupę najlepszych przyjaciół, jacy kiedykolwiek uczęszczali do szkoły. Nauczyciele widzieli ich przyjaźń, ale widzieli też, że Verily jest jedynym nie dopasowanym, jedynym nie na miejscu wśród nich. Nie wyobrażali sobie nawet, że właśnie on jest przyczyną niezwykłej bliskości pozostałych. Very nie narzekał. Podejrzewał, że gdyby wiedzieli, co robi, znowu byłoby jak w domu u ojca, ale tym razem groziłoby mu coś więcej od brzozowej rózgi.

Podczas nauki, zwłaszcza religii, Verily w końcu zrozumiał, dlaczego stale dostawał baty. Czary… Verily Cooper urodził się czarownikiem. Nic dziwnego, że ojciec stale wyglądał na cierpiącego.

Arise Cooper pozwolił żyć czarownikowi, a te lania wcale nie były przejawem gniewu czy nienawiści; miały raczej nauczyć go ukrywać zło, z którym się urodził. Nikt nie miał się dowiedzieć, że Arise i Wept Cooperowie we własnym domu wychowali czarownika.

Ale ja nie jestem czarownikiem, powiedział sobie. Szatan nigdy we mnie nie wstąpił. To, co robię, nikomu nie szkodzi. Jak może być wymierzone przeciw Bogu uszczelnianie beczek albo pomaganie chłopcom w znalezieniu przyjaźni? Czy użyłem kiedyś swej mocy inaczej niż dla dopomożenia innym? Czy nie tego nauczał Chrystus? Aby być sługą wszystkich?

W wieku lat szesnastu Verily był mocno zbudowanym i dość przystojnym młodzieńcem o niejakim wykształceniu i nienagannych manierach. Był też całkowitym sceptykiem. Jeśli dogmaty o czarach mogą być tak absolutnie błędne, to jak można polegać na innych naukach kapłanów? Przez to tkwił jak gdyby trochę zawieszony w pustce, w sensie intelektualnym. Wszyscy nauczyciele mówili tak, jakby religia była kamieniem węgielnym wszelkich nauk, a jednak studia utwierdziły go w przekonaniu, że nauki oparte na religii są w najlepszym razie niepewne, a w najgorszym — całkiem fałszywe.

Nie pisnął jednak słowa o swoich konkluzjach. Ateista mógł bowiem trafić na stos równie szybko jak czarownik. A poza tym nie był pewien, czy w nic nie wierzy. Po prostu nie wierzył w to, co mówią kapłani.

Jeżeli kaznodzieje nie wiedzieli, czym jest dobro i zło, to gdzie mógł się nauczyć, co jest słuszne, a co nie? Próbował studiować filozofię w Manchesterze, ale przekonał się, że poza Newtonem najlepsze, co filozofowie mieli do zaoferowania, to ogromne morze opinii, w którym tu i tam, niby szczątki zatopionego statku, pływało parę klocków prawdy. A Newton i uczeni, którzy za nim podążali, nie mówili o duszy. Decydując, że będą studiować jedynie to, co można zweryfikować w kontrolowanych warunkach, po prostu ograniczyli sobie zakres badań. Większość prawd leżała poza dokładnie wyznaczonymi granicami nauki. Ale nawet wewnątrz nich Verily Cooper swym okiem wyczulonym na rzeczy, które nie pasują, dostrzegał, że pozór obiektywizmu jest powszechny, fakt zaś niezwykle rzadki. Większość naukowców, jak większość filozofów i większość teologów, była więźniami zastanych opinii. Pływanie pod prąd przekraczało ich siły, więc prawda pozostawała rozproszona, nie związana, rozbita falami.

Prawnicy przynajmniej zdawali sobie sprawę, że zajmują się tradycją, nie prawdą, ugodą, nie obiektywną rzeczywistością. Człowiek wiedzący, jak rzeczy do siebie pasują, mógł wiele dokonać w tej dziedzinie. Mógł ocalić kilkoro ludzi przed niesprawiedliwością. Mógłby nawet kiedyś, w dalekiej przyszłości, wymierzyć cios czy dwa

w prawa o czarach, ratując co roku kilkadziesiąt dusz tak nieostrożnych, że przyłapanych na manipulacjach rzeczywistością w sposób nie aprobowany powszechnie.

Arise i Wept byli niezwykle zadowoleni, gdy syn opuścił dom, nie przejawiając najmniejszego zainteresowania rodzinnym interesem. Ich pierworodny Mocky (He Will Not Be Mocked — Nie Dozwoli z Siebie Szydzić) był zdolnym bednarzem, lubianym w rodzinie i nie tylko. On miał odziedziczyć wszystko. Verily zaś miał wyjechać do Londynu, zdejmując odpowiedzialność za swój los z barków Arise i Wept. Verily wręczył im nawet oficjalną rezygnację z rodzinnego majątku, chociaż wcale o nią nie prosili. Kiedy Arise przyjął z jego rąk dokument, dwudziestojednoletni Verily zdjął ze ściany brzozową rózgę, połamał na kolanie i wrzucił pod kuchnię. Nie rozmawiali o tym więcej. Wszyscy pojmowali: od tej chwili to, co pocznie Verily ze swoją mocą, jest tylko jego sprawą.

W Londynie szybko zauważono jego zdolności. Otrzymał propozycje od kilku firm adwokackich i w końcu wybrał taką, która pozostawiała najwięcej swobody w wyborze klientów. Jego sława zataczała coraz szersze kręgi, w miarę jak wygrywał proces za procesem; ale na prawnikach, którzy znali się na takich sprawach, największe wrażenie robiły nie zwycięstwa w sądzie, ale jeszcze większa liczba sporów, które kończono — sprawiedliwie — bez rozprawy. Zanim Verily skończył dwadzieścia pięć lat, kilka razy w miesiącu zgłaszały się do niego strony gorących sporów prawniczych i błagały o arbitraż, całkowicie poza salą sądową; zyskał bowiem reputację człowieka mądrego i uczciwego. Niektórzy sugerowali, że w odpowiednim czasie zdobędzie wielkie wpływy polityczne. Niektórzy pragnęliby nawet, by taki człowiek pewnego dnia został lordem protektorem, gdyby tylko urząd ten obsadzano w wyniku wyborów, tak jak prezydenturę Stanów Zjednoczonych.

Stany Zjednoczone Ameryki — ta chaotyczna, wielojęzyczna republika, która w dziwny sposób, bez króla i jednoczącej sprawy, powstała między Koloniami Korony a Nową Anglią. Ameryka, gdzie ludzie ubrani w skóry chodzą podobno po korytarzach Kongresu wraz z Czerwonymi, Holendrami, Szwedami i innymi półcywilizowanymi osobnikami, których wyrzucono by z Parlamentu, zanim zdążyliby wymówić choć jedno słowo. Coraz częściej Verily Cooper myślał o tej krainie; coraz częściej marzył o zamieszkaniu w kraju, gdzie mógłby w pełni wykorzystać swój talent dopasowywania rzeczy do siebie. Gdzie mógłby łączyć rzeczy rękami, nie tylko umysłem i słowami. Gdzie, krótko mówiąc, żyłby bez oszustwa.

Może w tym kraju, gdzie człowiek nie musi kłamać, by zyskać prawo do życia, znalazłby drogę do jakiejś prawdy, jakiegoś zrozumienia sensu wszechświata. A gdyby nie, przynajmniej byłby

wolny.

Problem w tym, że studiował angielskie prawo i angielscy klienci powoli czynili go bogatym. A jeśli się ożeni? Jeśli będzie miał dzieci? Jakie życie czekałoby je w Ameryce, w dziewiczej puszczy? Jak mógłby poprosić żonę, aby porzuciła cywilizację i wyjechała do Filadelfii?

A chciał się ożenić. Chciał wychować dzieci. Chciał wykazać, że dobroci nie uczy się biciem, że strach nie jest źródłem, z którego tryska cnota. Chciałby wiedzieć, że nikt z najbliższych nie lęka się jego widoku, nikt nie musi kłamać, by być pewnym jego miłości.

Dlatego marzył o Ameryce, ale mieszkał w Londynie, w najlepszym towarzystwie poszukując dla siebie odpowiedniej kobiety, by z nią założyć rodzinę. Jego proste maniery ustąpiły miejsca stylowi uniwersyteckiemu, a potem prawdziwej dworności, czyniącej go miłym gościem nawet w najlepszych domach. Dowcip, nigdy złośliwy, a zawsze głęboki, zyskał mu popularność w najelegantszych salonach Londynu; a jeśli nigdy nie zapraszano go na te same przyjęcia czy bankiety co najsłynniejszych teologów, to nie dlatego że był uważany za ateistę, ale że żaden z teologów nie mógł mu dorównać w dyskusji. Verily'ego Coopera trzeba było posadzić przy stole przynajmniej z jedną osobą, która umiała dotrzymać mu pola — wszyscy wiedzieli, że ma zbyt miękkie serce, aby zniszczyć głupca dla rozrywki zebranych. Otoczony przez ludzi o słabszym dowcipie po prostu milkł, a gospodarz był zakłopotany, gdy rozeszła się pogłoska, że Verily Cooper milczał przez cały wieczór.

Verily Cooper miał dwadzieścia sześć lat, kiedy znalazł się na przyjęciu wraz z zadziwiającym młodym Amerykaninem, Calvinem Millerem.

Zauważył go od razu, ponieważ ów człowiek tu nie pasował. Ale nie z powodu swojej amerykańskości. Verily natychmiast spostrzegł, że Calvin postarał się o fasadę manier, chroniącą go od najgorszych faux pas, nękających większość Amerykanów, którzy próbowali radzić sobie w Londynie. Chłopiec opowiadał o swoich próbach nauki francuskiego, żartując na temat straszliwego braku zdolności językowych; Verily widział jednak — jak wielu innych — że to tylko poza. Kiedy Calvin mówił po francusku, każde zdanie rozbrzmiewało z doskonałym akcentem, a jeśli nawet słownik miał dość ubogi, to z pewnością żadnych braków w gramatyce.

— Jeśli jest słaby w językach — szepnęła Verily'emy do ucha pewna dama — to boję się myśleć, w czym jest dobry.

W kłamstwie, pomyślał Verily. Z kłamstwem radzi sobie świetnie. Ale milczał, bo skąd mógł wiedzieć, że każde słowo Calvina jest fałszem? Wiedział tylko, że kiedy Calvin mówi, nic do siebie nie pasuje. Chłopiec fascynował go, choćby dlatego że kłamał, nawet jeśli

kłamstwo nie mogło mu przynieść żadnej korzyści. Całkiem jakby sprawiało mu radość.

Czy to jest produkt Ameryki? Kogoś takiego zrodziła kraina prawdy z marzeń Verily'ego? Może kapłani nie mylili się całkiem w sprawie ukrytych mocy… czy też „talentów", jak nazywali je Amerykanie.

— Panie Miller — odezwał się Verily. — Zastanawiam się, skoro jest pan Amerykaninem, czy posiada pan jakąś wiedzę o talentach.

Salon ucichł. Mówić o czymś takim… To tylko odrobinę mniej nieuprzejme niż mówić o higienie osobistej. A kiedy w dodatku pytał Verily Cooper, wschodząca gwiazda palestry…

— Słucham? Nie zrozumiałem — przyznał Calvin.

— Talenty — powtórzył Verily. — Tajemne moce. Wiem, że w Ameryce są legalne, a przecież Amerykanie uważają się za chrześcijan. Jestem więc ciekaw, jak racjonalizuje się te rzeczy, tutaj uznawane za dowód opętania przez Szatana, godny wyroku śmierci.

— Nie jestem filozofem, drogi panie — oświadczył Calvin.

Verily zrozumiał. Zauważył, że Amerykanin nagle pilnuje się bardziej niż poprzednio. Miał rację: Calvin Miller kłamie, ponieważ ma wiele do ukrycia.

— Tym lepiej — zapewnił. — Możliwe zatem, że pańska odpowiedź okaże się zrozumiała dla człowieka tak jak ja nie zorientowanego w materii.

— Wolałbym, żebyśmy rozmawiali o innych sprawach. Obawiam się, że możemy urazić towarzystwo.

— Nie wyobraża pan chyba sobie, że został pan tu zaproszony z powodu innego niż pańska amerykańskość. Dlaczego więc wzbrania się pan przed rozmową o najbardziej dziwacznej odmienności ludu Ameryki?

Rozległ się gwar przyciszonych głosów. Czy ktoś kiedyś widział, żeby Verily był otwarcie niegrzeczny, tak jak teraz?

Verily jednak wiedział, co robi. Nie po to przesłuchiwał tysiące świadków, żeby nie wiedzieć, jak wydobyć prawdę nawet od najbardziej bezczelnego, notorycznego kłamcy. Calvin Miller to człowiek, który mocno odczuwa zakłopotanie. Dlatego kłamie — żeby osłonić się przed wszystkim, co może go zawstydzić. Sprowokowany, zareaguje gorąco, a kłamstwa i wyrachowanie ustąpią gdzieniegdzie strzępom uczciwości. Krótko mówiąc, Calvin Miller dawał się ponosić temperamentowi.

— Dziwacznej? — powtórzył. — Może dziwne są raczej nie talenty, ale to, że się ich istnieniu zaprzecza, zrzucając winę na Szatana.

Teraz gwar był głośniejszy. Calvin szczerością bardziej zaszokował i obraził pobożnych słuchaczy, niż przedtem Verily swoją

nieuprzejmością. Jednak goście naprawdę byli światowcami i nie znalazł się wśród nich żaden kapłan. Nikt nie wyszedł z pokoju; wszyscy patrzyli i słuchali zafascynowani.

— Przyjmijmy to jako pańską przesłankę — zaproponował Verily. — Niech pan wyjaśni mnie i wszystkim obecnym, w jaki sposób te okultystyczne talenty pojawiły się na świecie, jeżeli nie w wyniku działań diabła. Z pewnością nie chce pan nam wmawiać, że my, Anglicy, palimy ludzi na stosie za posiadanie mocy zesłanej im przez Boga?

Calvin pokręcił głową.

— Widzę, drogi panie, że chce mnie pan sprowokować, abym przemówił w sposób zakazany tu prawem.

— Ależ skąd! Ma pan trzy tuziny świadków w tym salonie, którzy potwierdzą, że nie tylko nie zaczynał pan tej rozmowy, ale został do niej wciągnięty. Co więcej, nie proszę przecież o kazanie. Proszę, by opowiedział pan nam, jak naukowcom, w co Amerykanie wierzą. Opowiadanie o amerykańskich wierzeniach nie bardziej jest przestępstwem niż historie o muzułmańskich haremach czy paleniu wdów przez Hindusów. A w tym towarzystwie wszyscy chętnie się czegoś nauczą. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę.

Nikt nie próbował go poprawiać. Nie mogli się doczekać, żeby usłyszeć, co ma do powiedzenia młody Amerykanin.

— Szczerze wyznam, że nie ma zgody w tej kwestii — zaczął Calvin. — Więcej: nikt właściwie nie wie, co myśleć. Ludzie po prostu korzystają z talentów, które posiadają. Niektórzy twierdzą, że to wbrew Bogu. Inni powtarzają, że Bóg stworzył świat razem z talentami, a wszystko zależy od tego, czy używa się ich w dobrej sprawie. Słyszałem wiele rozmaitych opinii.

— A jaka jest najmądrzejsza z tych przez pana słyszanych? — nie ustępował Verily.

Wyczuł to w chwili, kiedy Calvin zdecydował się na odpowiedź: rodzaj kapitulacji. Calvin wyrywał się, ale w tym momencie ustąpił przed nieuniknionym. Postanowił jeśli nawet nie wyznać swoją prawdę, to przynajmniej prawdziwie zdać sprawę z cudzej.

— Pewien człowiek uważa, że talenty pojawiają się z powodu naturalnej zgodności między osobą a jakimś aspektem otaczającej tę osobę rzeczywistości. Nie od Boga ani Szatana, jak twierdzi. To przypadkowe zakłócenie świata. Mówi, że talent to tak naprawdę zyskanie zaufania pewnego fragmentu rzeczywistości. Uważa, że Czerwoni, którzy nie wierzą w talenty, odkryli prawdę, jaka za nimi stoi. Biały człowiek wmawia sobie, że ma talent, i od tego momentu pracuje tylko nad doskonaleniem jakiejś szczególnej zdolności. Ale gdyby, tak jak Czerwoni, widział w talencie aspekt sposobu, w jaki rzeczy połączone są razem, nie skupiałby się na jednej tylko zdolności,

lecz pracował nad wszystkimi. Czyli, zdaniem tego człowieka, talent to wynik zbyt wielkiego wysiłku włożonego w jedno, a niedostatecznego we wszystko pozostałe. Jak murarz, który nosi cegły ciągle na prawym ramieniu: jego ciało się zniekształci. Trzeba studiować wszystko, uczyć się wszystkiego. Każdy talent jest w naszym zasięgu, jak rozumiem, trzeba jedynie…

Ucichł.

Kiedy znów się odezwał, mówił głosem ostrym, czystym, jak człowiek wykształcony; musiał się tego nauczyć już po przybyciu do Anglii. Dopiero wtedy Verily uświadomił sobie, że akcent Calvina zmieniał się podczas tego długiego wykładu. Calvin Miller zrzucił z siebie cienką powłokę angielskości i pokazał to, co amerykańskie.

— Kim jest ów człowiek, który przekazał panu tę wiedzę? — zapytał.

— Czy to ważne? Co taki prostak wie o naturze? — Calvin odpowiedział drwiąco, ale znowu kłamał. Verily wiedział o tym.

— Ten „prostak", jak go pan nazwał… Podejrzewam, że mówił o wiele więcej niż te kilka słów, jakie zechciał nam pan dzisiaj powtórzyć.

— Och, nie można go uciszyć, tak się rozkoszuje własnym głosem. — Gorycz w tonie Calvina przekazała Verily'emu jasną wiadomość: to jest szczere. Calvin nie lubi tego filozofa z pogranicza. Bardzo nie lubi. — Nie chciałbym nudzić towarzystwa bredniami szaleńca z zachodu.

— Ale pan nie uważa go za szaleńca. Prawda, panie Miller? — spytał Verily.

Chwila milczenia. Szybko wymyśl odpowiedź, Calvinie Millerze. Znajdź sposób, żeby mnie oszukać, jeśli zdołasz…

— Nie powiem tego, drogi panie — oznajmił Calvin. — Nie sądzę, żeby rozumiał choć połowę z tego, o czym mówi, ale nie nazwałbym własnego brata kłamcą.

Nastąpiła gwałtowna erupcja gwaru. Calvin Miller miał brata, który filozofował na temat talentów i uważał, że nie pochodzą od Szatana!

Dla Verily'ego ważniejszy był fakt, że słowa Calvina w żaden sposób nie pasowały do świata, w który realnie wierzył. Kłamstwa, kłamstwa… Calvin wyraźnie uważał, że jego brat jest bardzo mądrym człowiekiem, prawdopodobnie wiedzącym więcej, niż Calvin chciał przyznać.

W tej właśnie chwili, nie zdając sobie z tego sprawy, Verily Cooper powziął decyzję o wyjeździe do Ameryki. Kimkolwiek był brat Calvina, wiedział coś, czego Verily rozpaczliwie pragnął się nauczyć. W ideach tego człowieka dźwięczała prawda. Gdyby mógł się z nim spotkać i porozmawiać, może ów człowiek wyjaśniłby mu jego talent. Wytłumaczyłby, dlaczego ma taki właśnie i dlaczego talent przetrwał,

choć ojciec próbował go wybić.

— Jak ma na imię pański brat? — zapytał.

— Czy to ważne? — rzucił Calvin z lekką drwiną w głosie. — Wybiera się pan niedługo w dzicz?

— Stamtąd pan pochodzi? Z dziczy?

Calvin wycofał się natychmiast.

— Właściwie nie, trochę przesadziłem. Mój ojciec był młynarzem.

— A jak zginął ten biedny człowiek?

— On żyje.

— Ale mówił pan o nim w czasie przeszłym. Jakby nie był już młynarzem.

— Nadal prowadzi młyn — odparł Calvin.

— Wciąż mi pan nie zdradził imienia swego brata.

— Takie samo jak ojca: Alvin.

— Alvin Miller? — upewnił się Verily.

— Kiedyś tak. Ale w Ameryce nadal zmieniamy nazwiska wraz z zawodem. On jest teraz kowalskim czeladnikiem i nazywa się Alvin Smith.

— A pan pozostał Calvinem Millerem, ponieważ…

— Ponieważ nie wybrałem sobie jeszcze zajęcia.

— Ma pan nadzieję odkryć je we Francji?

Calvin poderwał się, jakby odkryto jego najstraszliwszą tajemnicę.

— Muszę już iść.

Verily także wstał.

— Drogi przyjacielu, obawiam się, że moja natarczywość popsuła panu nastrój. Natychmiast zaprzestanę wypytywania pana i przeproszę całe towarzystwo, że poruszyłem dziś tak trudne tematy. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan moją nienasyconą ciekawość.

Wiele głosów natychmiast go zapewniło, że dyskusja była nad wyraz interesująca, że nikt na nikogo się nie gniewa ani nie został przez nikogo urażony. Rozmowa rozpadła się na wiele osobnych pogawędek.

Po chwili Verily przysunął się bliżej do młodego Amerykanina.

— Pański brat, Alvin Smith — powiedział. — Niech pan zdradzi, gdzie mogę go znaleźć.

— W Ameryce — odparł Calvin; a że rozmowa toczyła się na osobności, nie krył swojej pogardy.

— To tylko trochę dokładniej, niż powiedzieć, bym szukał go na Ziemi — zauważył Verily. — Wyraźnie go pan nie lubi. Nie chcę sprawiać kłopotu i prosić, by powiedział pan coś więcej o jego teoriach. Ale nic pana nie kosztuje wyjawienie mi, gdzie on mieszka, żebym sam mógł go odnaleźć.

— Chce pan przepłynąć ocean, żeby porozmawiać z chłopakiem, który mówi jak wiejski prostak, bo chce się pan dowiedzieć, co myśli o

talentach?

— Czy wyruszę w taką podróż, czy tylko napiszę list, to już nie pańska sprawa. W przyszłości z pewnością przyjdzie mi bronić ludzi oskarżonych o czary. Pański brat może mi dostarczyć argumentów, które pozwolą uratować życie klienta. Takich argumentów próżno by szukać tutaj, w Anglii. Zbytnie wgłębianie się w dzieła Szatana może tutaj zrujnować komuś karierę.

— Dlaczego więc nie obawia się pan zrujnowania własnej? — zapytał Calvin.

— Ponieważ cokolwiek on wie, jest dostatecznie prawdziwe, żeby takiego kłamcę jak pan przegnać przez połowę świata w ucieczce przed prawdą.

Twarz Calvina nagle zbrzydła z nienawiści.

— Jak pan śmie zwracać się do mnie w ten sposób! Mógłbym…

A zatem Verily dobrze odgadł, Calvin nie pasował do swojej rodziny w Ameryce.

— Nazwa miasta, a pan i ja już nigdy nie będziemy musieli rozmawiać.

Calvin zastanowił się, ważąc w myślach decyzję.

— Dobrze. Trzymam pana za słowo, panie Wschodząca Gwiazdo Palestry. Miasto nazywa się Vigor Kościół, w Terytorium Wobbish. W pobliżu ujścia Rzeki Chybotliwego Kanoe. Niech pan jedzie i znajdzie mojego brata, jeśli pan potrafi. Niech się pan uczy od niego, jeśli pan potrafi. A potem przez resztę życia może się pan zastanawiać, czy może lepiej by pan wyszedł, ucząc się ode mnie.

Verily zaśmiał się cicho.

— Nie przypuszczam. Umiem już kłamać, a niestety, to jedyny z posiadanych przez ciebie talentów, który wyćwiczyłeś do stopnia mistrzowskiego.

— W innych okolicznościach zastrzeliłbym cię za takie słowa.

— Ale żyjemy w wieku, który kocha kłamców — dokończył Verily. — Dlatego tak wielu z nas żyje udając. Nie wiem, co masz nadzieję znaleźć we Francji, ale jestem pewien, że będzie to całkiem bezwartościowe, jeśli całe twoje życie do tej chwili opierało się na kłamstwie.

— A teraz jesteś prorokiem? Umiesz zajrzeć komuś do serca? — Calvin uśmiechnął się drwiąco i odstąpił o krok. — Zawarliśmy umowę. Powiedziałem, gdzie mieszka mój brat. Teraz trzymaj się ode mnie z daleka.

Verily opuścił przyjęcie, a po kilku chwilach wyszedł także Calvin Miller. Niegrzeczne zachowanie Verily'ego wywołało prawdziwy skandal. Czy wypada nadal go zapraszać?

Po tygodniu kwestia ta przestała mieć znaczenie. Verily Cooper zniknął: odszedł z firmy prawniczej, zamknął konta bankowe, odnajął

mieszkanie. Rodzicom wysłał krótki list, informując, że wyjeżdża do Ameryki, by przesłuchać pewnego człowieka w sprawie, nad którą właśnie pracuje. Nie dodał, że to najważniejsza sprawa życia: proces jego samego o czary. Nie zdradził także kiedy, jeśli w ogóle, ma zamiar wrócić do Anglii. Popłynął na zachód. Na miejscu zamierzał każdym dostępnym środkiem transportu, a choćby i pieszo po wyboistych ścieżkach, wyruszyć na spotkanie Alvina Smitha, który powiedział pierwszą rozsądną rzecz o talentach, jaką Verily w życiu usłyszał.

Tego dnia, gdy statek Verily'ego Coopera postawił żagle w Liverpool, Calvin Miller wsiadał na łódź do Calais. Od tej chwili mówił wyłącznie po francusku, zdecydowany nabyć płynności, zanim jeszcze spotka Napoleona. Przez kilka lat ani razu nie pomyślał o Verilym Cooperze. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Nie obchodziło go, co o nim sądzi jakiś londyński prawnik.

ROZDZIAŁ 10 — WITAJ W DOMU

Z własnej chęci Alvin nie wróciłby do Hatrack River. Oczywiście, tu się urodził, ale że jego rodzina ruszyła dalej, zanim jeszcze potrafił samodzielnie usiąść, nie miał żadnych wspomnień z tamtego okresu. Wiedział, że najstarszymi osadnikami byli Horacy Guester, Makepeace Smith i stary Vanderwoort, holenderski kupiec, zatem kiedy przyszedł na świat, musiały tam już stać zajazd, kuźnia i sklep. Ale w pamięci nie umiał przywołać obrazów tamtej niewielkiej osady.

Znał Hatrack River z innych czasów — tu terminował. Pamiętał rynek, kościół i kaznodzieję, Whitleya Physickera opiekującego się chorymi, a nawet urząd pocztowy i dość rodzin z dziećmi, by zebrali pieniądze i zatrudnili nauczycielkę. Tak więc było to już prawdziwe miasteczko, ale dla Alvina nie miało to znaczenia. Tkwił tam od jedenastego roku życia, związany z chciwym mistrzem, który wyciskał ze „swojego" chłopaka ostatnią uncję potu, a uczył go jak najmniej. Alvin prawie nie miał pieniędzy ani czasu, żeby czerpać z pobytu tutaj jakąś przyjemność, czy też korzystać z przyjemności, które można kupić, jeśli ma się czas.

Choć jednak przeżył u kowala trudne chwile, mógłby ciepło wspominać Hatrack River. Była tam żona Makepeace'a, Gertie, chytra kobieta, która jednak wspaniale gotowała i od czasu do czasu okazywała chłopcu dobre serce. Był też Horacy i stara Peg Guester, pamiętający jego narodziny, którzy z radością go witali, kiedy tylko znalazł wolną chwilę, by ich odwiedzić, a czasem w czymś pomóc. Alvin zyskał też pewną sławę jako twórca doskonałych heksów i kowal lepszy od swojego mistrza, więc ludzie z miasteczka odwiedzali go często, prosząc o to czy tamto, i cały czas udając niewiedzę o tym, że Alvin jest prawdziwym mistrzem w kuźni. Nie warto denerwować starego Makepeace'a, bo potem odegra się na chłopaku, prawda? A sprawne ma ręce ten Alvin.

Dlatego Alvin mógłby zachować jakieś szczęśliwe wspomnienia z tego miejsca, tak jak ludzie zwykle potrafią spojrzeć we własną przeszłość i znaleźć tam miłe chwile, nawet jeśli te same chwile były bolesne, smutne czy wręcz potworne, kiedy je przeżywali.

Lecz dla Alvina wszystkie te dziecięce i młodzieńcze wspomnienia przyćmiło ich zakończenie. Akurat w najszczęśliwszej chwili, kiedy próbując zdobyć trochę rzetelnego książkowego wykształcenia zakochał się w pannie Larner, Odszukiwacze Niewolników przybyli po małego Arthura Stuarta i wszystko potoczyło się fatalnie. Zmusili nawet Alvina, żeby wykuł kajdany, w których Arthur miał wrócić do swego właściciela. Potem Alvin i Horacy Guester, ryzykując życie, odebrali Arthura, a Alvin zmienił go do głębi i zmył w Hio jego dawną

tożsamość, żeby Odszukiwacze nigdy go już nie dopasowali do kawałków ciała i włosów w skarbczyku. Nawet wtedy mógł jeszcze zachować miłe wspomnienie trudnych chwil, które prowadziły do szczęśliwego końca.

Ostatniej nocy, sam na sam w kuźni z panną Larner, Alvin powiedział, że ją kocha, i poprosił, żeby została jego żoną. Mogła powiedzieć „tak", widział to w jej oczach, mogła się zgodzić… ale właśnie w tym momencie stara Peg Guester zabiła jednego z Odszukiwaczy i sama zginęła z ręki drugiego. Dopiero wtedy dowiedział się, że panna Larner to w rzeczywistości mała Peggy, zaginiona córka Peg i Horacego Guesterów, żagiew, która ocaliła Alvinowi życie, kiedy był jeszcze mały. To niezwykłe, dowiedzieć się czegoś takiego o ukochanej kobiecie dokładnie w chwili, gdy traci się ją na zawsze.

Ale wtedy nie myślał o tym, że traci pannę Larner. Myślał tylko o starej Peg, gburliwej, złośliwej, kochającej Peg, zabitej przez Odszukiwacza. Nieważne, że pierwsza zastrzeliła jednego z nich — weszli do jej domu bez pozwolenia, włamali się, a chociaż działali zgodnie z prawem, było to złe prawo i złem było zarabianie tym prawem na życie. Zresztą nic wtedy nie miało znaczenia, ponieważ Alvin był tak wściekły, że nie potrafił rozsądnie myśleć. Dogonił tego, co zabił starą Peg, i jedną ręką skręcił mu kark, a potem walił jego głową o ziemię, aż czaszka popękała jak garnek w worku.

A kiedy wściekłość przygasła, kiedy zniknęła gorąca pasja, kiedy sprawiedliwość przestała wymagać śmierci zabójcy, pozostało tylko połamane ciało na rękach, krew na fartuchu i pamięć o morderstwie. Nieważne, że nikt w Hatrack River nie nazwałby go zabójcą za to, co uczynił tej nocy. W głębi serca wiedział, że zniszczył własne Stwarzanie, że w tej strasznej chwili stał się narzędziem w rękach Niszczyciela.

To mroczne wspomnienie sprawiało, że żadne inne nie mogło rozjaśnić serca Alvina. I dlatego nigdy by pewnie z własnej woli nie wrócił do Hatrack River.

Ale przecież nie był sam. Miał ze sobą Arthura Stuarta, a dla chłopca miasteczko Hatrack River oznaczało tylko jasne, szczęśliwe dzieciństwo. Oznaczało obserwowanie Alvina przy pracy, a czasem nawet dmuchanie w miechy. Oznaczało słuchanie piosenki drozda i rozumienie wszystkich słów. Oznaczało poznawanie plotek i powtarzanie ich tak sprytnie, że wszyscy dorośli śmiali się i klaskali. Oznaczało mistrzostwo w ortografii w całym miasteczku, chociaż z jakiegoś powodu nie pozwolili mu chodzić do normalnej szkoły. Owszem, zabili tam kobietę, którą nazywał mamą, ale Arthur nie widział tego na własne oczy, zresztą przecież i tak musiał wrócić, prawda? Stara Peg, która zastąpiła mu matkę, która w jego obronie

zabiła człowieka i sama zginęła, leżała pochowana na wzgórku przy zajeździe. W grobie na tym samym wzgórku leżała też prawdziwa matka Arthura, czarna niewolnica, która użyła tajemnej afrykańskiej magii, żeby wyrosły jej skrzydła; odleciała z dzieckiem w rękach daleko na północ, gdzie malec był bezpieczny, choć ona sama umarła z wyczerpania. Jak Arthur Stuart mógł nie wracać do tego miejsca?

Oczywiście, Arthur Stuart nie prosił Alvina, żeby tam poszli. Arthur nie robił takich rzeczy. Maszerował u boku przyjaciela i niczego nie sugerował. Tyle że kiedy rozmawiali, ciągle mówił o tym czy innym wspomnieniu z Hatrack River, aż Alvin sam doszedł do właściwych wniosków. Domyślił się, że Arthur Stuart byłby szczęśliwy, odwiedzając miasteczko swego dzieciństwa; nie przyszło mu nawet do głowy, że jego własny smutek może przeważyć nad radością chłopca. Dlatego od razu wyruszył z Irrakwa, gdzie przypadkiem znaleźli się pod koniec sierpnia 1820 roku. Opuścili krainę kolei i fabryk, węgla i stali, barek, wozów i konnych posłańców pędzących w pilnych sprawach. Opuścili całą krzątaninę i ruszyli przez ciche lasy, przekraczając szepczące strumienie, wzdłuż ścieżek jeleni i polnych dróg, aż okolica zaczęła wyglądać znajomo i Arthur Stuart powiedział:

— Byłem tu kiedyś. Znam to miejsce. — A potem dodał zachwycony: — Przyprowadziłeś mnie do domu, Alvinie.

Nadeszli z północnego wschodu, mijając miejsce, gdzie rozgałęziały się tory i odnoga przebiegała w pobliżu Hatrack River, przez Hio i dalej, do Appalachee. Przekroczyli Hatrack krytym mostem, zbudowanym przez ojca Alvina i jego braci niczym pomnik dla zmarłego najstarszego Vigora, przygniecionego drzewem podczas przeprawy. Weszli do miasta tą samą drogą co kiedyś jego rodzina. Jak oni minęli kuźnię i usłyszeli dzwonienie młota na kowadle.

— Czy to nie kuźnia? — zapytał Arthur Stuart. — Chodź, odwiedzimy Makepeace'a i Gertie.

— Raczej nie — odparł Alvin. — Przede wszystkim Gertie nie żyje.

— No tak — przyznał chłopiec. — Żyłka jej pękła, kiedy wrzeszczała na Makepeace'a, prawda?

— Gdzie to słyszałeś? — zdziwił się Alvin. — Żadna plotka cię nie ominie, co?

— Nic nie poradzę, że ludzie rozmawiają, kiedy stoję obok — wyjaśnił Arthur Stuart, po czym wrócił do początkowego pomysłu. — Pewno byłoby lepiej odwiedzić Makepeace'a, zanim zobaczymy się z tatą.

Alvin nie tłumaczył mu, że Horacy Guester nie znosi, kiedy Arthur nazywa go tatą. Ludzie mogliby sobie pomyśleć, że to sam Horacy jest białą połówką małego mieszańca, choć to nieprawda, ale

ludzie różnie gadają. Kiedy Arthur urośnie, Alvin wytłumaczy mu, że nie powinien tak się zwracać do Horacego. Ale na razie Horacy jest mężczyzną, a mężczyzna zniesie nieumyślną urazę ze strony chłopca pełnego dobrych chęci.

Zajazd okazał się dwa razy większy. Horacy dobudował nowe skrzydło, przez co front się wydłużył, a weranda biegła wzdłuż całego budynku. Ale to nie jedyna różnica: całość wyłożył deskami, pobielonymi i pięknymi na tle ciemnej zieleni lasu podchodzącego blisko pod dom.

— No, Horacy wyelegancił zajazd — ocenił Alvin.

— Nic niepodobny do starego — dodał Arthur Stuart.

— Zupełnie — poprawił go Alvin.

— Jeśli ty mówisz „wyelegancił", to ja mogę „nic". Ni ma tu panny Larner, żeby nas cięgiem poprawiała.

— Powinno być „ciągle" albo „nadal" — orzekł Alvin i obaj ze śmiechem weszli na werandę.

Drzwi otworzyły się nagle i z wnętrza wyszła dość korpulentna kobieta w średnim wieku. Prawie się z nimi zderzyła. Pod pachą niosła koszyk, w drugiej ręce parasolkę, chociaż nie zanosiło się na deszcz.

— Przepraszam — powiedział Alvin.

Widział, że jest okryta heksami i urokami. Jeszcze kilka lat temu oszukałaby go, jak każdego — choć zawsze wiedział, jakie to uroki i jak działają heksy. Teraz jednak nauczył się spoglądać przez heksy iluzji, a właśnie takich używała kobieta. Dostrzeganie prawdy przychodziło mu tak naturalnie, że musiał podjąć wysiłek, by zobaczyć iluzję. Podjął go zatem i trochę go zasmuciło, że kobieta jest niemal wzorcem damskiej urody. Czy nie mogła być bardziej twórcza, bardziej interesująca? Od razu ocenił, że ta prawdziwa, w średnim wieku, trochę za szeroka w talii i z włosami przyprószonymi siwizną, jest bardziej atrakcyjnym z dwóch wizerunków. I o wiele bardziej interesującym.

Zauważyła, że się jej przygląda, ale z pewnością uznała, że zachwycił się jej urodą. Na pewno była przyzwyczajona do mężczyzn, którzy się w nią wpatrują; zdawało się, że ją to bawi. Spojrzała wprost na niego, chociaż z pewnością nie szukała w nim urody.

— Urodziłeś się tutaj — oznajmiła. — Ale nigdy cię przedtem nie widziałam. — Odwróciła się do Arthura Stuarta. — A ty urodziłeś się na południu.

Arthur kiwnął tylko głową; nieśmiałość odebrała mu głos, nieśmiałość i porażająca siła jej stwierdzenia. Mówiła, jakby nie tylko jej słowa były prawdą, ale jakby wypierały wszelkie inne prawdy, o jakich ktoś wcześniej pomyślał.

— Urodził się w Appalachee, psze pani…

Na próżno Alvin czekał na odpowiedź. Dopiero po chwili

uświadomił sobie, że widząc jej młody i piękny fałszywy wizerunek, powinien się do niej zwrócić „panienko”, nie „proszę pani”.

— Zmierzasz do Carthage City — oświadczyła kobieta, znowu dość chłodno zwracając się do Alvina.

— Raczej nie. Nie mam tam nic do roboty.

— Jeszcze nie, na razie — zgodziła się. — Ale teraz już cię poznałam. Musisz być Alvinem, terminatorem, o którym Makepeace stale opowiada.

— Jestem czeladnikiem, psze pani. Jeśli Makepeace o tym nie wspomniał, to zastanawiam się, ile jeszcze jest prawdy w jego gadaniu.

Uśmiechnęła się, ale oczy pozostały poważne, wyrachowane.

— Aha… Widzę w tym zaczątki dobrej opowieści. Wystarczy trochę zamieszać.

Alvin natychmiast pożałował, że tyle jej zdradził. A w ogóle dlaczego odezwał się tak śmiało? Zwykle nie paplał z obcymi, zwłaszcza nie nazywał innych kłamcami, a to właśnie przed chwilą zrobił. Nie chciał kłopotów z Makepeace'em, ale teraz wyglądało, że i tak się pojawią.

— Chciałbym wiedzieć, z kim rozmawiam, psze pani.

Ale to nie ona odpowiedziała. W drzwiach stanął Horacy Guester.

— Jest poczmistrzynią w Hatrack River, a to dlatego że szwagier jej wuja jest kongresmanem z jakiegoś okręgu w Susquahenny i ma podobno wpływy u prezydenta. Wszyscy żywimy nadzieję, że jesienią znajdziemy kandydata, który obieca ją wyrzucić. Tylko na takiego będziemy głosować. Jeśli się nie uda, trzeba ją będzie zwyczajnie powiesić.

Poczmistrzyni uśmiechnęła się z przymusem.

— I pomyśleć, podobno Horacy Guester ma talent sprawiania, że ludzie dobrze się u niego czują.

— A o co ją oskarżycie? — spytał Alvin.

— Zbrodnicze plotki — wyjaśnił Horacy. — Takież pogłoski. Ociekanie złośliwością. Odgryzanie się w celach zabójczych. Oczywiście, mówię to w najmilszym możliwym sensie.

— Nic takiego nie robię — zapewniła kobieta. — A jako że Horacy nie raczył wymienić mojego imienia, nazywam się Vilate Franker. Moja babcia nie bardzo się znała na ortografii, więc nazwała matkę Violet, ale zapisała Vilate. Kiedy mama dorosła, tak się wstydziła analfabetyzmu babci, że zmieniła wymowę, jak w rymie do „glejt”. Ja jednak nie wstydzę się babci, więc wymawiam moje imię Violet, jak kolor pięknych kwiatków.

— Do rymu ze słowem „pistolet” — dodał Horacy.

— Rzeczywiście, dużo pani mówi, psze pani — odezwał się Arthur Stuart.

Powiedział to niewinnie, po prostu opisując fakt, który zaobserwował. Horacy jednak wybuchnął śmiechem, a Vilate zaczerwieniła się, cmoknęła językiem, otworzyła szeroko usta i nagle górne zęby opadły jej na dolne. Sztuczne zęby! Taki ohydny obraz… Ale ani Arthur, ani Horacy nie widzieli chyba, co zrobiła. Wierzyła pewnie, że za swoim murem iluzji może sobie pozwolić na wszelkie brzydkie, pogardliwe gesty. No cóż, Alvin nie miał zamiaru wyprowadzać jej z błędu. Na razie.

— Proszę chłopcu wybaczyć — powiedział. — Nie nauczył się jeszcze, że czasem niegrzecznie jest mówić wszystko, co się pomyśli.

— Miał rację — odparła. — Dlaczego nie powinien tego powiedzieć? — Ale jeszcze raz kłapnęła sztuczną szczęką. — Nie mogę się powstrzymać przed opowiadaniem różnych historii — podjęła. — Nawet jeśli moi słuchacze nie mają na nie ochoty. To moja najgorsza wada. Istnieją jednak gorsze i Bogu dziękuję, że mi ich oszczędził.

— Ja też lubię historie! — zawołał Arthur Stuart. — Mogę czasem przyjść i posłuchać?

— Kiedy tylko zechcesz, mój chłopcze. Masz jakieś imię?

— Arthur Stuart.

Tym razem to Vilate wybuchnęła śmiechem.

— Masz coś wspólnego z szacownym królem z Camelotu?

— Dostałem imię na jego pamiątkę. Ale, o ile wiem, nie jesteśmy krewnymi.

— Vilate — odezwał się znowu Horacy. — Zyskałaś wyznawcę, ponieważ chłopiec nie ma dość sprytu, a rozsądku jeszcze mniej. Ale teraz proszę, odsuń się od drzwi, żebym mógł przywitać tego człowieka, który urodził się w moim domu, i tego chłopca, który się w nim wychował.

— Widzę, że pewnych fragmentów tej historii jeszcze nie znam — odparła Vilate. — Ale nie rób sobie kłopotu: jestem pewna, że inni przedstawią mi pełniejszą jej wersję, niż usłyszałabym od ciebie. Do zobaczenia, Horacy. Do widzenia, Alvinie. Do widzenia, mój mały królewiczu. Odwiedź mnie koniecznie, ale nie przynoś jabłecznika od Horacego. Gdyby wiedział, że to dla mnie, na pewno by go zatruł.

Zeszła z werandy i ruszyła po ubitej ścieżce. Alvin widział, jak iluzje rozbłyskują i migoczą z każdym jej ruchem. Od tyłu heksy nie były tak doskonałe; zastanowił się, czy ktoś ją kiedyś przejrzał, gdy odchodziła.

Horacy przyglądał się jej ponuro.

— Udajemy, że tylko udajemy, że się nienawidzimy, ale ta kobieta jest zła i wcale nie przesadzam. Ma talent do zgadywania, skąd coś czy ktoś pochodzi i dokąd trafi, ale wykorzystuje to, żeby rozpuszczać najpaskudniejsze plotki. Przysiągłbym, że czyta cudze listy.

— No, nie wiem… — mruknął Alvin.

— Zgadza się, chłopcze, nie było cię tu od roku i nie wiesz. Wiele się przez ten czas zmieniło.

— Niech pan mnie wpuści, panie Guester, żebym mógł usiąść, może zjeść trochę dzisiejszej potrawki i czegoś się napić. Nawet zatrutego jabłecznika.

Horacy zaśmiał się i objął Alvina.

— Tak długo cię nie było, aż zapomniałeś, że mam na imię Horacy? Wejdź, wejdź. Ty też, młody Arthurze Stuarcie. Zawsze z radością was widzę.

Ku uldze Alvina, Arthur Stuart nie powiedział ani słowa, więc wśród tych, których nie wymówił, było też słowo „tato".

Aż do chwili, kiedy położyli się spać w najlepszym pokoju, byli pod opieką Horacego. Nakarmił ich, podał gorącą wodę, żeby umyli twarze, ręce i nogi, zabrał brudną odzież do prania, nakarmił jeszcze raz i osobiście ułożył w łóżkach, najpierw w ich obecności zakładając świeżą pościel, „żebyście wiedzieli, że nadal utrzymuję wysoki standard czystości mojej kochanej Peg, chociaż jestem tylko starym, samotnym wdowcem".

Wspomnienie o zmarłej żonie wystarczyło, by obudzić wspomnienia. Łzy pociekły z oczu Arthura Stuarta. Horacy natychmiast zaczął się usprawiedliwiać, lecz Alvin uciszył go uśmiechem i gestem.

— Nic mu nie będzie — zapewnił. — Wrócił do domu, gdzie już jej nie ma. To dobre łzy i dobrze, że je wypłakał.

Arthur poklepał Horacego po ręku.

— Nic mi nie będzie, tato.

Alvin zerknął na Horacego i z ulgą wyczytał w jego oczach nie irytację, lecz rodzaj smutnego zadowolenia. Może Horacy pomyślał o jedynej osobie, która miała naturalne prawo tak do niego mówić, o Peggy. Wróciła do domu w przebraniu i odjechała zbyt szybko. Kto wie, czy kiedy znów ją zobaczy. A może myślał o tej, która nauczyła Arthura Stuarta mówić „tato", o swojej ukochanej żonie, której ciało spoczęło na wzgórzu za zajazdem, kobiecie zawsze mu wiernej, chociaż nie zasługiwał na jej dobroć, gdyż był — w co wierzył on jeden na świecie — złym człowiekiem.

Po chwili Horacy wycofał się z pokoju i zamknął drzwi, a Arthur Stuart płacząc zasnął w ramionach Alvina. Alvin chciał jeszcze pomyśleć przez chwilkę. Dobrze jest wrócić do domu, czy też do miejsca tak przypominającego dom, jak to tylko możliwe, kiedy prawdziwy dom jest niedostępny. Więc zdąża do Carthage City, tak? Po co miałby wyruszyć tam i zamieszkać? A może miał tam tylko dotrzeć i zginąć? Co ta Vilate Franker naprawdę wie? Leżał i myślał o niej, zastanawiał się, czy naprawdę jest taka zła, jak mówił Horacy

Guester. Alvin spotkał w życiu prawdziwe zło, ale wciąż uważał, że jest bardzo rzadkie, a słowa tego używa zbyt wielu ludzi, nie wiedzących, co naprawdę oznacza.

Nie chciał myśleć o innej kobiecie, która także okrywała się heksami. I żeby nie pamiętać panny Larner, czyli w rzeczywistości małej Peggy, w końcu odpłynął w sen.

* * *

Jaki to ciekawy chłopak, myślała Vilate, oddalając się od zajazdu. Całkiem niepodobny do tego przebiegłego szczura, jakiego sobie wyobrażałam po tym wszystkim, co opowiadał Makepeace Smith. Ale z drugiej strony, nikt nie ufa przebiegłym szczurom tak, żeby pozwolić im się zdradzić. To silni, przystojni mężczyźni zwodzą ludzi, gdyż wzbudzają wiarę, że mają serca tak szczere jak twarze. W takim razie każde słowo Makepeace'a może być prawdą. Może Alvin rzeczywiście ukradł jakiś złoty skarb, znaleziony przy kopaniu studni. Może potem zasypał tę studnię, gdzie znalazł złoto, i wykopał drugą kawałek dalej, licząc, że nikt nie zauważy. Może wytopił z tego złota kształt pługa i udawał, że zmienił żelazo w złoto, żeby uciec ze skarbem Makepeace'a. Co mnie to obchodzi? Przecież to nie było moje złoto i nigdy nie będzie, dopóki należy do Makepeace'a. Ale jeżeli w tym worku, który Alvin nosi na ramieniu, przypadkiem znalazł się złoty pług, może się okazać, że to złoto kogoś innego.

Na przykład ktoś dostatecznie silny może odebrać mu je przemocą. Ktoś dostatecznie okrutny może Alvina zabić i okraść ciało. Ktoś dostatecznie cichy mógłby je wynieść z pokoju, gdy Alvin będzie spał. Ktoś dostatecznie bogaty mógłby wynająć adwokatów, aby wykazali coś w sądzie przeciw Alvinowi i odebrać mu pług z mocy prawa. Wiele jest sposobów, jeśli komuś by naprawdę zależało.

Vilate nigdy nie zniżała się do przymusu. Nie chciałaby nawet złotego pługa, gdyby istniał, chyba żeby go dostała. Jako prezent. Może dowód miłości. Albo… Zresztą zgodzi się na podarunek mający uspokoić wyrzuty sumienia. Alvin wyglądał na człowieka honoru, ale patrzył na nią tak… Cóż, znała to spojrzenie. Ten człowiek został porażony. Należał do niej, jeśli tylko go zechce.

Tylko dobrze to rozegraj, upominała się. Przygotuj scenę. Niech on przyjdzie do ciebie. Żeby nikt nie powiedział, że zastawiasz na niego sidła.

Jej najlepsza przyjaciółka czekała w kuchni za urzędem poczty.

— I co myślisz o Alvinie? — spytała, zanim jeszcze Vilate zdążyła

się z nią przywitać.

— Jak zwykle wiesz o wszystkim, zanim ci powiem. — Vilate zaczęła rozpalać ogień w pięknym żelaznym piecu z piekarnikiem, obiekcie zazdrości wszystkich kobiet w Hatrack River.

— Pięć osób widziało cię na werandzie zajazdu, jak z nim rozmawiasz, Vilate, a wiadomość dotarła do mnie, nim jeszcze dotknęłaś stopą drogi.

— Więc to próżne osoby, powiem szczerze, i jestem pewna, że diabeł porwie ich dusze.

— Z pewnością wiesz takie rzeczy. Diabeł daje ci listę za każdym razem, kiedy zdobędzie nowego rekruta.

— Oczywiście, że daje. Wszyscy przecież wiedzą, że diabeł mieszka tutaj, w moim ślicznym piekarniku. — Vilate zachichotała radośnie.

— A więc… — przypomniała jej przyjaciółka — co o nim myślisz?

— Nie wydaje mi się, żeby był taki ważny. Ręce robotnika, naturalnie, i opalony jak każdy chłopak z niższych klas. Mówi dość prosto i z wiejska. Zastanawiam się, czy w ogóle potrafi czytać.

— Och, czytać potrafi, to pewne. Nauczycielka mu pokazała, kiedy tu mieszkał.

— A tak, legendarna panna Larner, taka mądra, że jej najlepszy uczeń wygrał turniej ortografii, przez co Odszukiwacze usłyszeli o chłopcu mieszańcu i w rezultacie zabili żonę Horacego Guestera, matkę panny Larner. Niezwykła kobieta.

— Zawsze znajdziesz sposób, żeby historia brzmiała paskudnie.

— A ma ładniejszą wersję? — zdziwiła się Vilate.

— To opowieść o miłości. Nauczycielka stara się zmienić życie małego mieszańca i jego przyjaciela, kowalskiego terminatora. Zakochuje się w młodym kowalu, a mieszańca zmienia w mistrza ortografii. Siły zła zwracają na nich uwagę…

— A może Bóg postanowił ukarać jej pychę!

— Myślę, że jesteś o nią zazdrosna, Vilate — stwierdziła jej przyjaciółka. — Naprawdę tak uważam.

— Zazdrosna?

— Ponieważ zdobyła serce Alvina Smitha. Być może, wciąż do niej należy.

— O ile wiem, serce ciągle bije w jego własnej piersi.

— A złoto ciągłe błyszczy w jego worku?

— Opowiadasz o słodkiej pannie Larner, ale ciągle zakładasz, że to ja mam złe zamiary.

Vilate rozpaliła już w piecu, postawiła na nim czajnik i zaczęła ciąć do garnka fasolkę szparagową.

— Ponieważ dobrze cię znam, Vilate.

— Myślisz, że znasz, ale czeka cię jeszcze wiele niespodzianek.

— Nie kłap na mnie zębami, obrzydliwa istoto.

— Opadły mi przypadkiem — zapewniła Vilate. — Nigdy nie robię tego specjalnie.

— Kłamczucha.

— Ale piękna kłamczucha, nie sądzisz? — błysnęła zębami w swym najlepszym uśmiechu.

— Nie rozumiem, co mężczyźni widzą w kobietach — odparła jej przyjaciółka. — Heksy czy nie, dopóki kobieta jest ubrana, i tak nie zobaczą tego, co ich interesuje.

— Nie wiem, jak mężczyźni w ogóle. Ale sądzę, że przynajmniej niektórzy kochają mnie ze względu na mój charakter.

— Charakter szczery jak srebro, to pewne. Nieważne, że trochę zmatowiałe, to schodzi przy polerowaniu.

— A inni kochają mnie dla mojego dowcipu i uroku.

— Nie wątpię; jeśli tylko od czterdziestu lat mieszkali w jaskini i przez cały ten czas nie widzieli cywilizowanej kobiety.

— Możesz się ze mną drażnić, ile chcesz, ale i tak wiem, że jesteś zazdrosna, bo Alvin Smith już się we mnie zakochuje, biedaczysko, a na ciebie nawet nie spojrzy. Męcz się, skarbie.

Jej najlepsza przyjaciółka siedziała nadąsana. Tym razem Vilate trafiła celnie. Zasyczał czajnik. Jak zawsze, Vilate postawiła dwie filiżanki. Ale, jak zawsze, jej przyjaciółka powąchała tylko herbatę i jej nie tknęła. Co z tego? Vilate zawsze była nienagannie uprzejma i tylko to się liczy.

— Makepeace pozwie go do sądu.

— Ha! — zawołała Vilate. — O tym też już słyszałaś?

— Nie. Nie jestem nawet pewna, czy Makepeace Smith już wie, że jego uczeń pojawił się w mieście… chociaż, jeśli do mnie wiadomość dotarła tak szybko, to do niego jeszcze szybciej. Wiem tylko, że Makepeace tyle wygadywał o tym, jak Alvin go okradł, że jeśli teraz nie pójdzie do sądu, wszyscy się dowiedzą, że to tylko jego wymysły. Czyli musi doprowadzić do procesu. Rozumiesz?

Vilate uśmiechnęła się do siebie.

— Już planujesz, co mu zaniesiesz do więzienia? — spytała jej najlepsza przyjaciółka.

— Coś w tym rodzaju — odparła Vilate.

* * *

Alvin przebudził się i zobaczył, że Arthur Stuart wyszedł, a pokój

pogrążony jest w półmroku. Podróż musiała być bardziej męcząca, niż sądził, skoro przespał cały dzień.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Otwórz, Alvinie! — zawołał Horacy. — Szeryf wykonuje tylko swoje obowiązki, tak przynajmniej mówi, ale nie ma innego wyjścia.

Czyli to stukanie pewnie go obudziło. Alvin zsunął nogi z łóżka i jednym krokiem znalazł się przy drzwiach.

— Nie były zaryglowane — zapewnił, otwierając. — Wystarczyło popchnąć.

Szeryf Po Doggly był wyraźnie zmieszany.

— To tylko Makepeace Smith, Alvinie. Wszyscy wiedzą, że we łbie mu się pomieszało, ale załatwił dla ciebie pozew i oskarża o kradzież swojego skarbu.

— Skarbu? — zdziwił się Alvin. — Nic nie wiem o żadnym skarbie.

— Twierdzi, że znalazłeś złoto, kiedy kopałeś dla niego studnię, więc przesunąłeś tę studnię, żeby nikt się nie dowiedział…

— Przesunąłem studnię, bo trafiłem na litą skałę — wyjaśnił Alvin. — Gdybym znalazł złoto, po co miałbym ją przesuwać? To przecież nie ma sensu.

— I właśnie tak powiesz w sądzie, a przysięgli ci uwierzą — zapewnił szeryf Doggly. — Wszyscy wiedzą, że Makepeace plecie bzdury.

Alvin westchnął. Słyszał krążące tu i tam plotki o złotym pługu i jak to został skradziony kowalowi, u którego Alvin terminował. Nie sądził jednak, że Makepeace'owi wystarczy odwagi, by iść do sądu, gdzie przecież wyjdzie na kłamcę.

— Dam wam słowo, szeryfie, że nie wyjadę z miasta, dopóki ta sprawa się nie rozstrzygnie — obiecał. — Ale muszę się przecież opiekować Arthurem Stuartem i bardzo bym nie chciał, żeby mnie pan zamknął.

— No i dobrze — zgodził się Doggly. — W nakazie jest napisane, że masz wybór. Albo oddasz mi pług na przechowanie aż do procesu, albo pójdziesz do więzienia razem z pługiem.

— Czyli pług to jedyna kaucja, jaką mogę wpłacić?

— Tak właśnie jest, jak by nie patrzeć.

— Horacy, będziesz chyba musiał zająć się chłopcem — zwrócił się Alvin do oberżysty. — Nie po to go tu przyprowadziłem, żeby znów oddać ci pod opiekę, ale sam widzisz, że nie mam wyboru.

— Mógłbyś przecież oddać pług Po na przechowanie — zauważył Horacy. — Nie żeby chłopak mi przeszkadzał.

— Bez urazy, szeryfie, ale nie przechowalibyście tego pługa nawet przez jedną noc. — Alvin uśmiechnął się blado.

— Myślę, że jakoś bym se poradził. — Po był trochę urażony.

— Znaczy, przecież nawet jak cię zamknę, nie myślisz chyba, że pozwolę ci trzymać pług u siebie w celi?

— Myślę, że tak.

— Chyba nie.

— Myślę, że wierzycie, że umiecie go ochronić przed ludźmi — oświadczył Alvin. — Ale nie wiecie, jak ochronić ludzi przed pługiem.

— Więc przyznajesz, że go masz?

— Zrobiłem go na egzamin czeladniczy — wyjaśnił Alvin. — Są świadkowie. Całe to oskarżenie jest bzdurne, a pan i wszyscy o tym dobrze wiedzą. Ale o co mnie oskarżą, jeśli oddam wam pług, ktoś zajrzy do worka i oślepnie? Co mi wtedy grozi?

— Oślepnie? — Po Doggly zerknął na Horacego, jakby stary przyjaciel mógł zdradzić, czy go nie nabierają.

— Myślicie, że zabronicie swoim chłopcom zaglądać do worka i to wystarczy? Nie spróbują choćby trochę popatrzeć?

— Oślepnie, tak? — powtórzył Po.

Alvin podniósł worek z miejsca, gdzie go położył obok siebie na łóżku.

— A kto będzie niósł ten pług, Po?

Szeryf Doggly sięgnął po worek, ale kiedy tylko dotknął go ręką, poczuł, że twardy metal wewnątrz przesuwa się i ucieka mu spod palców.

— Natychmiast przestań, Alvinie! — zażądał.

— Ja tylko trzymam ten worek. Na jakiej półce chcecie go położyć?

— Zamknij się już, chłopcze — mruknął Doggly. — Pozwolę ci trzymać go w celi. Ale jeśli przyłożysz nim komuś po łbie i uciekniesz, znajdę cię, a wtedy oskarżę nie o takie bzdury, co je Makepeace Smith opowiada. Obiecuję.

Alvin pokręcił głową i uśmiechnął się. A Horacy wybuchnął śmiechem.

— Po, gdyby Al chciał uciec z twojego więzienia, nikogo nie musiałby walić po łbie.

— Ja tylko ostrzegam, Al. Nie przesadzaj. Wciąż obowiązuje nakaz ekstradycji z Appalachee; chodzi o sprawę śmierci pewnego Odszukiwacza.

Dobrotliwy nastrój Horacego zmienił się w jednej chwili. Szybkim ruchem chwycił szeryfa i przycisnął do futryny tak mocno, jakby chciał na stałe zmienić mu sylwetkę.

— Po — rzekł — przez wiele lat byłeś mi najdroższym przyjacielem. W mroku nocy robiliśmy to, za co by nas powiesili, gdybyśmy spróbowali tego w jasny dzień. Cały czas razem narażaliśmy życie. Jeśli kiedyś oskarżysz, a choćby spróbujesz wydać chłopaka za to, że zabił Odszukiwacza, który zastrzelił moją Margaret

w moim własnym domu, tymi dwoma rękami wymierzę ci sprawiedliwość.

Po Doggly zezem spojrzał oberżyście w oczy.

— To ma być groźba, Horacy? Chcesz, żebym dla ciebie złamał przysięgę?

— Jak mogłaby to być groźba? Wiesz, że mówiłem to w najmilszym możliwym sensie.

— Chodźmy do aresztu, Alvinie — powiedział Doggly. — Tak sobie myślę, że jeśli damy z miasta nie przyniosą ci jedzenia, codziennie dostaniesz potrawkę od Horacego.

— Zatrzymam pług? — upewnił się Alvin.

— Nawet się do niego nie zbliżę — obiecał szeryf. — Jeżeli to pług. I jeżeli jest złoty.

Wskazał mu drzwi. Alvin wyszedł na korytarz, a Po Doggly podążył za nim. W głównej sali około dwudziestu osób czekało, by zobaczyć, po co szeryf zjawił się w zajeździe.

— Alvinie, miło cię znowu widzieć! — zawołało kilkoro z nich.

Byli trochę zakłopotani widząc, że Alvin jest aresztowany. — Ładnie cię przywitali, nie ma co — oświadczyła ponuro Ruthie Baker. — Słowo daję, tym razem Makepeace Smith zgryzł za wielką kość.

— Przynieście mi tylko do więzienia wasze ciasteczka — poprosił Alvin. — Tęskniłem za nimi przez całą drogę.

— Głowę daję, że wszystkie panie z miasta po całych dniach będą się kłócić, która ma cię karmić. Chciałabym tylko, żeby kochana Peg mogła cię przywitać. — Ruth zalała się łzami. — To straszne, że tak łatwo płaczę.

Alvin uścisnął ją, po czym obejrzał się na szeryfa.

— Nie wsunęła mi pilnika, żebym mógł przepiłować kraty — powiedział. — Więc mogę chyba…

— Daj spokój, Alvinie — westchnął Po Doggly. — Po co, u diabła, tu wracałeś?

W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi i wkroczył sam Makepeace Smith.

— Tam jest! Nareszcie złodziej został schwytany! Szeryfie, każcie mu oddać mój pług!

Po Doggly spojrzał mu prosto w oczy. Makepeace był potężnym mężczyzną, z masywnymi ramionami i nogami jak pnie drzew, ale przed szeryfem zwiądł niby kwiat.

— Zejdź mi z drogi, Makepeace. I to już.

— Chcę odebrać swój pług — upierał się kowal, ale ustąpił spod drzwi.

— To nie jest twój pług, dopóki sąd nie powie, że jest. Jeżeli w ogóle tak powie.

— To nie jest twój pług, dopóki nie pokażesz, że umiesz zrobić

taki sam — wtrącił Horacy Guester.

Alvin nie powiedział ani słowa. Wyszedł z zajazdu i zatrzymał się w progu tylko po to, żeby uprzedzić Horacego:

— Pozwalaj Arthurowi mnie odwiedzać, kiedy tylko zechce. Pamiętaj.

— Wiesz przecież, Alvinie, że będzie chciał spać z tobą w celi. Alvin roześmiał się.

— Jest taki chudy, że mógłby przecisnąć się przez kraty.

— To ja robiłem te kraty! — wrzasnął Makepeace Smith. — Są za gęste, żeby ktokolwiek się przecisnął!

— Jeśli to ty — krzyknęła równie głośno Ruth Baker — mały Arthur potrafi je odgiąć!

— Spokojnie, ludzie! — przerwał im szeryf Doggly. — Dokonuję tu niewielkiego aresztowania, więc odsuńcie się i pozwólcie wyprowadzić więźnia. A ciebie, Makepeace, jeszcze tylko trzy słowa dzielą od aresztowania za utrudnianie działania wymiarowi sprawiedliwości i zakłócanie porządku.

— Mnie aresztować! — oburzył się Makepeace.

— Teraz już tylko jedno słowo. No dalej, wystarczy jakiekolwiek. Powiedz je. Pozwól mi cię zamknąć, Makepeace. Wiesz, że nie mogę się doczekać.

Makepeace wiedział. Zamknął usta i cofnął się. Ale patrzył z uśmiechem, jak szeryf prowadzi Alvina ulicą do aresztu na tyłach budynku sądu.

ROZDZIAŁ 11 — WIĘZIENIE

Francuski Calvina nie był zbyt dobry — ale Calvin wcale się tym nie przejmował. Rozmawiał z Anglikami, i to sporo, dopóki nie nauczył się naśladować kulturalnej wymowy eleganckiego dżentelmena. Tutaj, w Paryżu, rozmowy były niepotrzebne, a nawet mogły szkodzić. Nie dzięki pogaduszkom człowiek staje się postacią znaną i legendarną. Tego jednego Calvin nauczył się od Alvina, chociaż Alvin wcale nie chciał go tego nauczyć.

Alvin nigdy nie dął we własny róg. Dlatego każdy Tom, Dick i Sally dęli za niego. Im był bardziej milczący, tym bardziej go wychwalali. I tak też poczynał sobie Calvin od chwili, gdy przybył do Paryża: zachowywał milczenie i uzdrawiał ludzi.

Pracował nad uzdrawianiem — jak słusznie powiedział Bajarz, taki talent bardziej będą podziwiać niż zabijanie chrząszczy. Nie znał się jednak na subtelnościach, o jakich opowiadał Alvin: nie widział maleńkich stworzonek przenoszących choroby, nie rozumiał działania kawałeczków życia, z których zbudowane są ludzkie ciała. Ale pewne rzeczy umiał pojąć: rzeczy duże, na przykład ściągnięcie brzegów otwartej rany i zabliźnienie skóry — Calvin właściwie nie rozumiał, jak mu się to udaje, ale tak jakby zaciskał tę ranę w myślach, a blizna zarastała.

Rozdzielenie skóry, żeby wypłynęła ropa — to robiło wrażenie, zwłaszcza kiedy Calvin leczył w ten sposób nędzarzy na ulicach. Oczywiście, wielu z nich miało fałszywe rany. Tych Calvin nie mógł uleczyć, zresztą nie zyskałby wielu przyjaciół, gdyby namalowane blizny spłynęły z twarzy żebraków. Ale te prawdziwe… Niektórym ludziom potrafił pomóc, a wtedy pilnował, żeby jak najwięcej gapiów dokładnie widziało, co się dzieje. Oglądali cud uzdrowienia, ale nie słyszeli, żeby się chwalił, ani nawet z góry obiecywał, co nastąpi. Zwykle robił z tego całe przedstawienie; stawał przed żebrakiem, nie zwracając uwagi na wyciągniętą rękę czy podstawiony kubek, i wpatrywał się w ranę, wrzód czy opuchliznę. Wreszcie żebrak milkł, a wraz z nim gapie, którzy skupiali uwagę wyłącznie na punkcie, w który patrzył Calvin. Tymczasem on miał już w głowie obraz rany, zbadał ją przenikaczem, przemyślał, co należy zrobić. I kiedy zapadała cisza, wysyłał swój przenikacz i nadawał skórze nowy kształt. Ciało rozstępowało się albo rana zamykała, zależnie od potrzeby.

Gapie wstrzymywali oddech, potem pomrukiwali, wreszcie zaczynali rozmawiać. I kiedy któryś miał go już zaczepić, Calvin odchodził, nie mówiąc ani słowa.

Milczenie działało mocniej niż wszelkie tłumaczenia. Plotki o nim rozchodziły się szybko; wiedział o tym, bo w kawiarni, gdzie jadał

(choć nikogo nie uzdrawiał), słyszał, jak ludzie rozmawiają o tajemniczym, milczącym cudotwórcy, który krąży po mieście i czyni dobro niczym Jezus.

Calvin miał tylko nadzieję, że nie rozejdzie się wiadomość, iż tak naprawdę wcale nie leczy ludzi, co najwyżej przypadkiem. Alvin potrafił dotrzeć do głęboko ukrytych tajemnic ciała i rzeczywiście uzdrowić, ale Calvin nie widział tak małych rzeczy. Owszem, mógł osuszyć i zamknąć ranę, jeśli jednak była zakażona, musiała otworzyć się znowu. Mimo to niektórych pewnie uleczył. Co nie znaczy, że im w ten sposób pomógł — jak mogli żebrać bez ran? Gdyby mieli dość rozumu, uciekaliby przed nim, zanim odbierze im monetę, za którą kupują współczucie. Ale nie, prawdziwi kalecy chcieli zdrowia bardziej niż pożywienia. Ból i cierpienie zmieniają ludzi. Kiedy czuli się dobrze, mogli być mądrzy i ostrożni; wystarczyło dodać do tej mieszanki trochę bólu, a pragnęli tylko czegoś, co ten ból ukoi.

Minął zadziwiająco długi czas, zanim zjawił się przy nim ktoś z tajnej policji cesarza. Oczywiście, jeden czy dwóch żandarmów widziało, co robi, ale że nikogo nie dotykał i nic nie mówił, oni także nic nie zrobili. Żołnierze też go widzieli, a nawet zaczynali szukać, ponieważ wielu weteranów nosiło rany z czasów służby; połowa inwalidów, którym pomógł Calvin, miała dawnych towarzyszy z frontu, których odwiedzali, żeby pochwalić się cudem ozdrowienia. Jednak w tłumie gapiów nigdy nie pojawił się ktoś przejawiający tę ukradkową czujność, typową dla tajnego policjanta. Trwało to długie trzy tygodnie; przez ten czas Calvin musiał przenosić się z jednej części miasta do drugiej, żeby ktoś, komu już raz pomógł, nie zjawił się po kolejną kurację. Wszystkie jego wysiłki poszłyby na marne, gdyby rozniosła się plotka, że ci, których uleczył, nie na długo pozostają uleczeni.

Wreszcie zjawił się człowiek — w średnim wieku, w ubraniu mieszczucha i o skromnej postawie, ale Calvin zauważył napięcie, czujność… a przede wszystkim ciężar pistoletów ukrytych w kieszeniach płaszcza. Ten człowiek zamelduje o wszystkim cesarzowi. Calvin dopilnował więc, by tajny policjant zajął dobre miejsce i widział wszystko, co się dzieje przy uzdrawianiu żebraka. Nie zaszkodziło też, że nim zapadła cisza, słychać było szepty w stylu: „Czy to on? Podobno uzdrowił jednonogiego kalekę przy Montmartre”, chociaż Calvin nigdy nie próbował leczyć kogoś, kto stracił kończynę. Tego może i sam Alvin by nie potrafił. Ale nie przeszkadzało mu, że krążą takie plotki. Przyda się wszystko, co doprowadzi go przed oblicze cesarza, bo przecież wszyscy wiedzieli, że cierpi na artretyzm. Bolące nogi… Każe mnie przyprowadzić, żeby się pozbyć bólu w nogach. I za to nauczy mnie wszystkiego, co wie, byle ukoić ból.

Uzdrawianie dobiegło końca i Calvin odszedł, jak zwykle. Ze zdziwieniem jednak spostrzegł, że tajny policjant oddalił się inną drogą. Czy nie powinien mnie śledzić? — zastanawiał się. Szepnąć do ucha, że cesarz mnie potrzebuje? Czy pójdę z nim, by służyć cesarzowi? Niestety, nie jestem pewien, czy zdołam cesarzowi pomóc. Zrobię, co mogę, ale niektóre choroby są uparte i nie pozwalają się w pełni wyleczyć. Tak jest, Calvin niczego nie zamierzał obiecywać. Niech za niego przemówią czyny. Na pewno noga cesarza przestanie boleć na jakiś czas; tego potrafi dokonać. Ale nikt nie powie, że Calvin Miller obiecywał trwałe uzdrowienie, ani że w ogóle cokolwiek wyleczy.

Ale nie miał możliwości, by powiedzieć to wszystko, gdyż tajny policjant nie ruszył za nim.

Tego wieczoru, kiedy w kawiarni czekał na kolację, do sali weszło czterech żandarmów, roześmianych, jak gdyby właśnie skończyli służbę. Dwaj ruszyli do kuchni — najwyraźniej kogoś tam znali — a dwaj pozostali niezgrabnie i hałaśliwie przepychali się między stolikami. Calvin uśmiechnął się lekko i spojrzał w okno.

Śmiech ucichł. Silne ręce chwyciły go za ramiona i podniosły z krzesła. Otoczyli go wszyscy czterej żandarmi, już wcale nie weseli. Związali mu ręce, spętali nogi i prawie wywlekli na ulicę.

To było zdumiewające, nieprawdopodobne. Zapewne nastąpiło w wyniku raportu złożonego przez tajnego policjanta. Ale dlaczego został aresztowany? Jakie prawo złamał? Może chodziło o to, że mówił po angielsku? Przecież potrafią tu chyba odróżnić Anglika od Amerykanina. Anglicy prowadzili z Francją wojnę, czy raczej coś w rodzaju wojny, ale Amerykanie pozostawali mniej więcej neutralni. Jak oni śmieli?

Z trudem nadążając za żandarmami, którzy narzucili szybkie tempo, Calvin pomyślał, czy nie skorzystać z talentu Stwórcy, by rozluźnić i zrzucić więzy. Ale cała czwórka miała broń i wolał ich nie prowokować.

Nie marnował też sił na próby tłumaczenia, że z pewnością zaszła jakaś straszna pomyłka. Po co? Wiedzieli, kim jest; ktoś im rozkazał go aresztować. Nie dbali, czy to pomyłka, czy nie. Jeśli nawet, to przecież nie oni się pomylili.

Pół godziny później, w samej koszuli, został wrzucony do nędznej, cuchnącej celi w Bastylii.

— Witaj w Krainie Gilotyny! — krzyknął ktoś w głębi korytarza. — Witaj, pielgrzymie, w Kaplicy Świętego Ostrza!

— Stul pysk! — wrzasnął inny więzień.

— Dzisiaj przecięli szyję człowieka, który siedział w tej samej celi co ty teraz, nowy chłopcze! To czeka każdego Anglika, jeśli gdzieś uznają, że jest szpiegiem!

— Ale ja nie jestem Anglikiem! — zawołał Calvin.

Odpowiedział mu wybuch śmiechu.

* * *

Peggy znużona odłożyła pióro i z niechęcią przymknęła oczy. Czy jest w tym jakiś plan? Czy Ten, kto przysłał Alvina na świat, ochraniał go i przygotowywał do wielkiego dzieła budowy Kryształowego Miasta, miał jakiś plan? Czy może żadnego? Nie, z pewnością ma jakieś znaczenie fakt, że Calvin trafił do więzienia w Paryżu tego samego dnia co Alvin w Hatrack River. Bastylia, oczywiście, bardzo się różniła od pokoiku na piętrze w tylnej części budynku sądu, ale więzienie to więzienie — obaj siedzieli w celach bez żadnego rozsądnego powodu, nie mając pojęcia, jak to się wszystko skończy.

Ale Peggy miała pojęcie. Widziała wszystkie ścieżki. Wreszcie schowała pióro, złożyła papiery i wyszła, by powiadomić gospodarzy, że wyjedzie wcześniej, niż planowała.

— Jestem chyba potrzebna gdzie indziej.

* * *

Bratanek Bonapartego był łasicą, która uważa się za gronostaja. Ale niech ma takie złudzenia. Gdyby ludzie nie mieli złudzeń, Bonaparte nie zostałby cesarzem Europy i Prawodawcą Ludzkości. Ich złudzenia były jego prawdą; ich potrzeby pragnieniem jego serca. W cokolwiek chcieli wierzyć, Bonaparte pomagał im wzmocnić tę wiarę, w zamian za panowanie nad ich życiem.

Chłopak nazywał siebie Małym Napoleonem. Połowa młodych krewniaków Bonapartego otrzymała imię Napoleona w nadziei na jego łaskę, ale tylko jeden miał dość tupetu, by używać tego imienia na dworze. Bonaparte nie był całkiem pewien, czy Mały Napoleon jest bardziej zuchwały niż pozostali, czy też zwyczajnie zbyt głupi, żeby uświadomić sobie niebezpieczeństwo używania imienia cesarza; może chciał sobie zapewnić sukcesję? Widząc go teraz, maszerującego niczym nakręcany żołnierzyk — jak gdyby dokonał niezwykłych czynów, o których nikt nie wiedział, ale które dały mu prawo kroczenia dumnie jak generał — Bonaparte miał ochotę roześmiać mu się w twarz. Miał ochotę odkryć całemu światu marzenia Małego

Napoleona: o tronie, o władzy nad światem, o prześcignięciu wszystkich dokonań stryja. Miał ochotę spojrzeć mu prosto w oczy i powiedzieć: „Nawet na moim nocniku nie mógłbyś zasiąść, mój ty próżny oszuście". Zamiast tego powiedział:

— Jakież to dobre wiatry cię tu przywiały, mój Mały Napoleonie?

— Twój artretyzm — odparł chłopak.

No nie… Jeszcze jedno lekarstwo. Leki odkryte przez głupców zwykle bardziej szkodzą, niż pomagają. Ale artretyzm to przekleństwo i… Przekonajmy się, co znalazł.

— Jest pewien Anglik — wyjaśnił Mały Napoleon. — A dokładniej Amerykanin. Moi szpiedzy go obserwowali…

— Twoi? Czy to inni szpiedzy od tych, którym ja płacę?

— Szpiedzy, których przydzieliłeś mi pod komendę, stryju.

— Ach, ci szpiedzy… Pamiętają, że ciągle pracują dla mnie, mam nadzieję?

— Pamiętają tak dobrze, że zamiast po prostu wykonywać rozkazy i uważać na wrogów, obserwowali także kogoś, kto może potrafi ci pomóc.

— Wszyscy Anglicy w Europie to szpiedzy. Któregoś dnia, kiedy jakiś ważny czyn zyska mi wielką popularność, wyłapię ich i zgilotynuję. Monsieur Guillotin… to użyteczny człowiek. Wynalazł coś ostatnio?

— Pracuje nad pojazdem napędzanym parą, stryju.

— One już istnieją. Nazywamy je lokomotywami, a ich tory przecinają całą Europę.

— Ale on pracuje nad taką, która nie musi jeździć po torach.

— A dlaczego nie parowy balon? Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie działał. Motor popychałby balon, a para, zamiast bez pożytku ulatywać w atmosferę, wypełniałaby balon i utrzymywała całość w powietrzu.

— Ja zrozumiałem, stryju, problem polega na tym, że jeśli zabierze się dosyć paliwa, aby pokonać więcej niż dziesięć metrów, całość jest zbyt ciężka i nie zdoła oderwać się od ziemi.

— Po to właśnie istnieją wynalazcy, prawda? Żeby rozwiązywać takie problemy. Każdemu durniowi może wpaść do głowy zasadnicza idea. Na przykład mnie wpadła. A jeśli chodzi o takie sprawy, oczywiście jestem głupcem, jak większość ludzi. — Bonaparte już dawno się przekonał, że takie uwagi świadczące o skromności zawsze są powtarzane na dworze i pomagają zachować miłość poddanych. — A już zadaniem pana Guillotin jest… Zresztą mniejsza z tym, maszyna nosząca jego imię jest dostatecznie cennym darem dla ludzkości. Szybkie, pewne i bezbolesne egzekucje to dobrodziejstwo dla najmniej godnych go ludzi. Chrześcijański wynalazek, pozwalający na miłosierdzie wobec ostatnich z Jezusowego stada.

To zdanie powtórzą kapłani, i to na kazaniach.

— Wracając do tego Calvina Millera… — I mojego artretyzmu…

— Widziałem, jak osuszył spuchniętą nogę; a jedynie stał na ulicy i patrzył na ropiejącą ranę żebraka.

— Ropiejąca rana to nie to samo co artretyzm.

— Żebrak miał rozerwane spodnie, żeby wszyscy widzieli ranę, a ten Amerykanin stał tam i wyglądał zupełnie, jakby drzemał. I nagle spod skóry pociekła ropa, wypłynęła cała, a rana zamknęła się bez jednego szwu. Ani on, ani nikt inny nie dotykał tej nogi. Wspaniała demonstracja zadziwiającej mocy uzdrawiania.

— Sam to widziałeś?

— Na własne oczy. Ale tylko raz. Trudno mi w tajemnicy wychodzić na ulice, stryju. Za bardzo jestem do ciebie podobny.

Mały Napoleon z pewnością uważał to za komplement. Ale wypowiedź spowodowała u Bonapartego niesmak.

— Kazałeś aresztować tego uzdrowiciela?

— Oczywiście. Czeka teraz, kiedy go wezwiesz.

— Niech się poci.

Mały Napoleon przekrzywił głowę; obserwował stryja i pewnie się zastanawiał, jakie plany ma Bonaparte wobec uzdrowiciela i dlaczego natychmiast po niego nie posłał. Ale cesarz był pewny, że jedna rzecz nigdy nie wpadnie młodzikowi do głowy: że jego wuj nie ma najmniejszego pojęcia, co począć z uzdrowicielem naprawdę dysponującym mocą. Sama myśl o tym budziła niepokój. Przypomniał sobie młodego chłopca, który w Forcie Detroit złożył mu wizytę w towarzystwie czerwonego generała Ta-Kumsawa. Czyżby ten Amerykanin był tą samą osobą?

Właściwie dlaczego w ogóle ci dwaj mu się skojarzyli? I jakie znaczenie ma ten chłopak z Detroit dzisiaj, po tylu latach? Bonaparte nie był pewien, co to wszystko znaczy, ale miał przeczucie, że działają tu potężne siły, jak gdyby ten Amerykanin w Bastylii był dla niego ważny. A może nie dla niego? Dla kogoś.

Poczuł ból w nodze. Zaczynał się kolejny atak artretyzmu.

— Odejdź — polecił Małemu Napoleonowi.

— Czy zażądasz pomocy od Amerykanina? — spytał chłopak.

— Nie. Zostaw go samego. A skoro już o tym mowa, to mnie również.

* * *

W więzieniu ciągłym strumieniem odwiedzali Alvina goście.

Wydawało się, że wszyscy mają ten sam pomysł. Zbliżali się do prętów, kiwali na niego, by podszedł, i szeptali, jakby zastępca szeryfa i tak nie wiedział, o czym mówią:

— Alvinie, czy potrafiłbyś jakoś się stąd wymknąć?

Czyżby sądzili, że o tym nie pomyślał? Prosta sprawa: wystarczy zmiękczyć kamień i wyrwać jeden z prętów. Zresztą mógłby też sprawić, żeby pręt wypłynął z kamienia, w którym został osadzony. Albo rozpuścić pręt bez śladu. Albo przejść przez mur na wskroś. Takie rzeczy były dla niego proste. Jako dzieciak bawił się kamieniami i znalazł w nich miękkość, słabość. Jako uczeń kowalski dogłębnie zrozumiał żelazo. Czy nie wpełzł do paleniska i nie zmienił żelaznego pługa w żywe złoto?

Teraz, zamknięty w celi, myślał o ucieczce; myślał o niej bez przerwy. Myślał, czy nie wyrwać się do puszczy, razem z Arthurem Stuartem, albo i bez niego — chłopiec był tu szczęśliwy, więc po co go zabierać? Myślał o słońcu grzejącym plecy, o wietrze dmuchającym w twarz, o zielonej pieśni lasu — ledwie ją słyszał zza murów i krat.

Ale powtarzał sobie to samo, co mówił ludziom, którzy życzyli mu przecież jak najlepiej.

— Zanim odejdę, muszę zamknąć tę sprawę raz na zawsze. Dlatego stanę przed sądem, zostanę uniewinniony i wyruszę bez lęku, że ktoś mnie wyśledzi i zacznie powtarzać te same kłamstwa.

Potem zawsze robili to samo. Kiedy nie zdołali namówić go do ucieczki, zerkali na worek i pytali szeptem:

— Czy on tam jest?

A najodważniejsi prosili o to, czego pragnęli wszyscy.

— Czy mógłbym go zobaczyć?

Zawsze odpowiadał tak samo. Pytał o pogodę.

— Zapowiada się chyba ostra zima?

Niektórzy pojmowali wolniej od innych, ale po jakimś czasie wszyscy rozumieli, że Alvin nie piśnie słówka ani o złotym pługu, ani o zawartości swojego worka. Wtedy gadali jeszcze trochę i zabierali brudne naczynia, jeśli przynieśli jedzenie, ale nigdy nie trwało to długo. Wkrótce wychodzili z budynku i opowiadali znajomym i krewnym, że Alvin trochę posmutniał, ale milczy na temat złotego pługa, o którym Makepeace twierdzi, że to jego złoto ukradzione przez Alvina, kiedy u niego terminował.

Pewnego dnia szeryf Doggly przyprowadził człowieka, którego Alvin rozpoznał, chociaż nie pamiętał, kto to jest ani skąd go zna.

— To ten — oświadczył obcy. — Nie ma szacunku dla niczyjego talentu oprócz własnego.

Wtedy Alvin sobie przypomniał: to różdżkarz, który wskazał Makepeace'owi Smithowi miejsce kopania studni. Miejsce, gdzie Alvin dokopał się aż do twardej skalnej płyty, nie znajdując wcześniej ani

kropli wody. Makepeace na pewno chce go wykorzystać jako świadka, który potwierdzi, że studnia Alvina nie powstała we wskazanym miejscu. No cóż, to prawda, nie ma wątpliwości. Ten różdżkarz nie wyjawi nic, do czego Alvin sam by się nie przyznał. Więc niech sobie knują. Za Alvinem przemawia prawda i to powinno wystarczyć dwunastu sędziom wybranym spośród mieszkańców Hatrack River.

Cieszył się właściwie tylko z odwiedzin Arthura. Dwa, trzy razy dziennie chłopiec wpadał do środka niczym liść pchnięty podmuchem wiatru w otwarte drzwi.

— Musisz poznać tego, no, Johna Bindera — mówił. — Powróźnika. Niektórzy żartują sobie, że jeśli postanowią cię powiesić, to on zrobi sznur. Ale on odpowiada zawsze, powinieneś to słyszeć, Alvinie, „Na żadnym moim powrozie nie zawiśnie żaden Stwórca". Tak mówi. I chociaż nigdy go nie spotkałeś, możesz go uważać za przyjaciela. Ale mówię ci, podobno jego liny nigdy się nie rozkręcają, nigdy się nawet nie strzępią, choćby nie wiem jak je przecinać. Niezły talent, prawda?

A później, tego samego dnia, opowiadał już o kimś innym.

— Poszłem szukać Fredy Matthews, kuzynki Sophii, wiesz, mieszka w szopie nad rzeką, ale rzeka jest długa i kręta, więc nie mogłem jej znaleźć, w dodatku robiło się ciemno i właściwie sam też się zgubiłem. I nagle staje przede mną kapitan Alexander, wiesz, on jest kapitanem statku morskiego, tylko nie wiadomo, co robi tak daleko od morza. W każdym razie tu mieszka, czasem łata garnki albo coś naprawia, a Vilate Franker uważa, że popełnił jakąś straszną zbrodnię i musi się chować, a może straszny morski potwór połknął cały jego statek i tylko on ocalał, i teraz nie wraca na morze, bo się boi tego potwora. Ona go nazywa La Vaya Than, ale Goody Trader twierdzi, że to po hiszpańsku znaczy „Ależ to paskudne kłamstwo", a w ogóle to znasz Goody Trader?

— Spotkałem ją — odpowiadał Alvin. — Przyniosła mi pastylki anyżkowe. Najpaskudniejsze cukierki, jakich w życiu próbowałem, ale pewnie całkiem smaczne dla tych, co lubią anyżek. Dziwna kobieta. Kucnęła przed drzwiami i rozmyślała strasznie długo, a potem mówi: „Ha, jesteś pierwszym człowiekiem, jakiego widzę, który zupełnie niczego nie potrzebuje, a siedzisz w więzieniu".

— To podobno jej talent: wie, czego komu potrzeba, nawet jeśli on sam tego nie wie — wyjaśnił Arthur. — Chociaż moim zdaniem Vilate Franker uważa, że Goody Trader z tym swoim talentem to blaga, całkiem jak ten chłopiec-aligator na wystawie dziwolągów w Dekane, gdzie mnie nie zabrałeś, bo powiedziałeś, że jeżeli jest prawdziwy, okrutnie tak się na niego gapić, a…

— Pamiętam, co powiedziałem, Arthurze Stuarcie. Nie musisz ze mną plotkować na mój temat.

— A o czym ja mówiłem?

— Zgubiłeś się w lesie, kiedy szukałeś pijanej Fredy.

— No. W każdym razie wpadam na tego kapitana, a on patrzy mi w oczy i mówi: „Chodź ze mną". Idziemy jakieś dziesięć kroków i stajemy w samym środku ścieżki jeleni, a on powiada: „Pójdziesz tą drogą, a kiedy znowu staniesz nad rzeką, skręcisz w górę; jakieś trzy pręty". I wiesz co? Zrobiłem, co mi kazał, i wiesz co?

— Znalazłeś Fredę.

— Alfredę Matthews. Była pijana jak bela, oczywiście, ale pokropiłem jej twarz wodą i postąpiłem tak, jak mówiłeś, że należy: wylałem jej dzbanek. Rany, ale się wściekała! Musiałem odskakiwać, żeby mnie nie trafiła kamieniem.

— Biedna kobieta — westchnął Alvin. — Ale nic z tego nie będzie, dopóki znajdzie się ktoś, kto przyniesie jej pełny dzbanek.

— A nie mógłbyś z nią tak zrobić jak kiedyś z Czerwonym Prorokiem?

Alvin spojrzał na niego czujnie.

— A niby co o tym wiesz?

— To, co twoja mama mi opowiedziała w Vigor Kościele: że wziąłeś pijanego, jednookiego Czerwonego i zrobiłeś z niego proroka.

Alvin pokręcił głową.

— Nie, mój drogi. Całkiem pokręciła. On przez cały czas był prorokiem. I nie był pijakiem, jak Freda. Wlewał w siebie whisky, żeby zagłuszyć straszny, czarny hałas śmierci. Naprawiłem to i nie potrzebował już alkoholu. Ale Freda… Ona pragnie czegoś innego, czego jeszcze nie rozumiem.

— Poradziłem jej, żeby do ciebie przyszła, więc pomyślałem, że cię uprzedzę. Ona tu idzie, żebyś ją uleczył.

Alvin westchnął.

— Źle zrobiłem? — przestraszył się Arthur Stuart.

— Dobrze — uspokoił go Alvin. — Ale nie mogę jej pomóc, jeśli sama sobie nie pomoże. Wie przecież, że alkohol ją trawi, że odbiera jej życie. Ale porozmawiam z nią i zobaczę, co da się zrobić.

— Podobno umie zgadnąć, kiedy będzie deszcz. Jeśli jest trzeźwa.

— To skąd wiadomo, że ma taki talent?

Arthur śmiał się, i śmiał, i śmiał.

— Pewno raz była trzeźwa i akurat padało.

Kiedy Arthur wychodził, Alvin rozmyślał o jego opowieściach. Część tych historii była tylko plotkami. W Hatrack River żyły ostatnio wielkie plotkarki, a największe z nich to Vilate Franker, którą Alvin poznał i wiedział, że kryje się za zasłoną oszukańczych heksów, i Goody Trader, której właściwie nie znał, widział tylko raz, kiedy go odwiedziła. Naprawdę miała na imię Chastity albo Charity — Vilate twierdziła, że Chastity, od cnoty, bo niby jest taka cnotliwa, ale

pozostali uważali, że raczej Charity, od miłosierdzia. Nazywano ją Goody od gospodyni, gdyż trzy razy była mężatką i jej mężowie żyli w szczęściu aż do śmierci, za każdym razem przypadkowej. Chociaż Vilate znowu potrafiła wzbudzić w Arthurze wrażenie, że jednak nie całkiem przypadkowej. Obie kobiety prowadziły ze sobą nieustanną wojnę, to jasne — prawie każdemu słowu jednej natychmiast zaprzeczała druga. Trzeba przyznać, że nie te panie wymyśliły plotki, w Hatrack River już wcześniej krążyły różne pogłoski i opowieści, zanim obie jeszcze się tu wprowadziły. Ale Arthur codziennie je odwiedzał i napychały go plotkami, aż Alvin przestawał rozumieć, o co chodzi, a Arthur Stuart z pewnością nie rozumiał nawet połowy.

Alvin sam widział, że Vilate jest nieszczera i złośliwa. Ale Goody mogła być taka sama, albo i gorsza, tyle że lepiej to ukrywała. Trudno powiedzieć. I jeszcze ta sprawa z Goody Trader, kiedy stwierdziła, że Alvinowi niczego nie trzeba — o co jej chodziło?

Ale poza kłótniami i plotkami jeszcze coś wydało się Alvinowi niezwykłe. W Hatrack River aż gęsto było od potężnych talentów. W prawie każdym miasteczku żył ktoś z zauważalnym talentem. Chociaż talenty bywały na ogół całkiem zwyczajne: talent do gotowania zupy albo widzenia tropów zwierząt. Użyteczne, ale nie takie, żeby opisywać je w liście do rodziców. Często ludzie nie mieli pojęcia o własnym talencie, ponieważ chodziło o coś dla nich zupełnie prostego i nie aż tak niezwykłego w oczach innych. Ale tutaj, w Hatrack River, spotykało się talenty zdumiewające. Kapitan statku, który pomagał komuś znaleźć drogę, nawet kiedy ten ktoś sam nie wiedział, że się zgubił. Albo Freda… Alvin żartował o tym z Arthurem, ale niektórzy w miasteczku przysięgali, że nie tylko przepowiada deszcz; kiedy wytrzeźwieje podczas suszy, potrafi go sprowadzić. A Melyn, dziewczyna z Walii — potrafiła śpiewać i grać na harfie tak, że człowiek o wszystkim zapominał i tylko siedział głupio uśmiechnięty, taki był szczęśliwy. Przyszła kiedyś zagrać dla Alvina i poczuł, jak dźwięk, niczym przenikacz sunący w ziemi, płynie od niej i sięga do jego wnętrza, znajduje wszystkie supły, rozluźnia je i pozwala zwyczajnie dobrze się czuć.

Takiej mocy próbował nauczyć sąsiadów w Vigor Kościele, ale oni nie rozumieli, ledwie czasem dostrzegali jakiś przebłysk. A tutaj talenty zalegały tak grubą warstwą, że można by je grabić jak liście. Maggie, która pomagała w sklepie Goody Trader, potrafiła dosiąść każdego konia, nawet całkiem dzikiego; wielu to widziało. I ta, która Alvina trochę przestraszyła — dziewczyna o imieniu Dorcas Bee; malowała ludziom portrety, na których nie tylko wyglądali jak w życiu, ale które ukazywały całe ich wnętrze. Alvin nie wiedział, co o tym myśleć, i nawet widząc na własne oczy, nie rozumiał, jak ona to robi.

Każda z tych osób budziłaby podziw, gdziekolwiek by zamieszkała, choćby i w wielkim mieście, takim jak Nowy Amsterdam albo Filadelfia. Mimo to osiedlali się w małym miasteczku, akurat w Hatrack River; liczba mieszkańców rosła stale, a jednak nikt jakoś nie uznał takiego nagromadzenia talentów za niezwykłe.

Istnieje jakaś przyczyna, myślał Alvin. Musi być powód. I muszę go poznać, bo spośród tych utalentowanych ludzi wybiorą ławę przysięgłych i to oni zdecydują, czy Makepeace Smith jest kłamcą, czy może ja. W tym mieście pełno jest kłamstwa, ponieważ to, co mówi Vilate Franker, i to, co mówi Goody Trader, nie może być równocześnie prawdą. Pełno kłamstwa i… tak, i nieszczęścia. Alvin wyczuwał, że dzieją się tu jakieś sztuczki Niszczyciela, ale nie umiał wskazać palcem, o co konkretnie chodzi. Trudno Niszczyciela znaleźć, kiedy nie chce być znaleziony. A już szczególnie trudno w celi więziennej, gdzie ma się do dyspozycji jedynie plotki i krótkie wizyty gości.

Co prawda nie wszystkie były krótkie. Vilate Franker odwiedzała go często i zostawała nawet godzinę, chociaż przed celą nie miała nawet na czym usiąść. Alvin nie potrafił zgadnąć, po co przychodzi. Nie plotkowała z nim, prawdę mówiąc — wszystkie jej plotki Alvin poznawał z drugiej ręki, przez Arthura Stuarta. Nie, Vilate rozmawiała o filozofii, o poezji i innych sprawach, o jakich nikt z nim nie rozmawiał od czasów panny Larner. Zastanawiał się, czy może chce go oczarować, ale ponieważ nie widział jej fałszywego obrazu, stwarzanego przez heksy, właściwie nie wiedział. Z pewnością nie wydawała mu się piękna. Ale im więcej mówiła, tym bardziej ją lubił, aż wreszcie zaczął niecierpliwie wyglądać jej codziennych odwiedzin. Bardziej niż innych, szczerze mówiąc, z wyjątkiem Arthura Stuarta. Kiedy rozmawiali, kładł się na pryczy i przymykał oczy, nie widząc ani jej braku urody, ani heksów; słyszał tylko słowa, rozmyślał o ideach, widział obrazy, jakie mu opisywała. Mówiła wiersze i słuchał tego jak muzyki. Mówiła o Platonie, a Alvin rozumiał i czuł się mądry jak nigdy.

Czy to był jej talent? Alvin nie wiedział, zwyczajnie nie umiał tego określić. Wiedział tylko, że jedynie podczas jej wizyt potrafił zapomnieć, że siedzi w więzieniu. A po mniej więcej tygodniu przyszło mu do głowy, że może się w niej zakochał. Uczucia, jakie żywił dotąd jedynie dla panny Larner, teraz, tylko odrobinkę, rozbudzała Vilate Franker. Czy to nie dziwne? Panna Larner była piękna i młoda; używała heksów, które czyniły z niej zwykłą kobietę w średnim wieku. A tutaj spotykał zwykłą kobietę w średnim wieku, która używała heksów, by wydać się ludziom piękna i młoda. Czy mogą istnieć większe przeciwieństwa? Ale w obu przypadkach zachwycała go dojrzała kobieta, nie oszałamiająca urodą.

A jednak w samotności, zwłaszcza po zmierzchu, kiedy się zastanawiał, czy zaczyna kochać się w Vilate Franker, wyobrażał sobie całkiem inną twarz. Twarz młodej dziewczyny z Vigor Kościoła, której kłamstwa wygnały go z domu, która twierdziła, że robił z nią rzeczy zakazane. I myślał o tych rzeczach zakazanych, a głęboko w sercu tkwił ukryty żal, że nic takiego się nie zdarzyło. Oczywiście, wtedy musiałby się z nią ożenić. Właściwie musiałby się z nią ożenić wcześniej, ponieważ tak nakazywała przyzwoitość i prawo, a Alvin nie należał do takich, co to krzywdzą kobiety albo łamią prawo. Ale w ciemności, w jego wyobraźni, prawo nie istniało, nie istniała słuszność i grzech; budził się spocony ze snu, w którym dziewczyna wcale nie kłamała. I było mu wstyd. Nie rozumiał, co się z nim dzieje, jak może kochać się za dnia w kobiecie pełnej słów, idei, doświadczeń, a w nocy płonąć namiętnością dla głupiej, kłamliwej dziewczyny, która przypadkiem była ładna i kiedyś po prostu w nim zakochana.

Jestem złym człowiekiem, myślał w takich chwilach. Złym i niestałym. Nie lepszym od tych niewiernych mężczyzn, którzy żadnej kobiecie nie przepuszczą. Jestem jednym z takich ludzi, jakimi od dawna pogardzałem.

Ale nawet to nie było prawdą, ponieważ nie zrobił przecież nic złego. Niczego nie zrobił. Tylko sobie wyobrażał. Wyobrażał… i to mu się podobało. Czy to dość, by uczynić go złym? „Człowiek jest tym, co ma w sercu”, mawiała mama. Alvin zapamiętał te słowa, ponieważ powtarzała je bez przerwy, aż ojciec warczał: „Chcesz mnie przekonać, że wszyscy mężczyźni to diabły wcielone!” Zastanawiał się, czy to prawda — jeżeli wszyscy mężczyźni mają diabła w sercu, to może ci dobrzy umieją tylko tak nad sobą panować, że postępują wbrew pragnieniom serca. Ale skoro tak, to nie istnieje ani jeden dobry człowiek.

Ale czy Święta Księga tego nie twierdziła?

Ani jeden człowiek nie jest dobry. Ja też nie. Ja może nawet najmniej ze wszystkich.

I tak płynęło jego życie w Hatrack River. Snuł coraz ciemniejsze myśli o swojej niegodziwości. Zaczynał kochać dwie kobiety naraz, pochwycony w sieć plotek w miasteczku, gdzie wyraźnie działał Niszczyciel, a talenty były liczne.

* * *

Calvin nieźle sobie radził z kamieniem — zawsze osiągał to, co zamierzał. No nie, może nie zawsze. Nie urodził się ze zdolnością

wyszukiwania w kamieniu naturalnych słabości. Jednak kiedy Alvin wyruszył terminować u kowala, Calvin zaczął próbować robić to, co podpatrzył i podsłuchał u starszego brata. Wtedy miał jeszcze nadzieję, że przekona Alvina o swoim talencie, że usłyszy: „Coś podobnego, Calvinie, jesteś prawie tak dobry jak ja". Ale Alvin nigdy tego nie powiedział. A była to prawda, przynajmniej w odniesieniu do kamienia. Właściwie kamień jest łatwy, nie to co ciało i kości. Do kamienia Calvin potrafił dotrzeć, rozszczepić go, przemieścić.

Oczywiście, w Bastylii natychmiast tym właśnie się zajął. Nie miał pojęcia, dlaczego tajna policja umieściła go w tych wilgotnych, zimnych murach. Nie był to loch, przynajmniej nie taki jak w bajkach, gdzie więzień widzi światło tylko wtedy, kiedy przechodzi strażnik z pochodnią, i może oślepnąć, nie zdając sobie z tego sprawy. Tutaj światła nie brakowało; Calvin miał też krzesło do siedzenia i pryczę do spania, i nocnik, który opróżniano raz dziennie, kiedy już się zorientował, że trzeba go stawiać przy drzwiach.

A jednak było to więzienie.

Calvin w pięć minut się przekonał, że może bez trudu rozpuścić cały mechanizm zamka, ale w porę przypomniał sobie, że wyjście z celi to jednak nie to samo co wyjście z Bastylii. Nie potrafił uczynić się niewidzialnym, a kula z muszkietu tak samo powali, okaleczy lub zabije Stwórcę, jak zwykłego człowieka.

Musiał znaleźć inny sposób. A to oznaczało przejście wprost przez mur, przez kamień. Kłopot polegał na tym, że nie miał pojęcia, czy znalazł się czterdzieści stóp powyżej, czy dwadzieścia poniżej poziomu ziemi. Ani czy za tylną ścianą celi leży ulica, czy wewnętrzny dziedziniec. Kto może zobaczyć otwór pojawiający się w murze? Zresztą nie mógł tak po prostu usunąć kamieni — musiał wyjmować je w całości, żeby w razie potrzeby dały się wsunąć z powrotem.

Odczekał do nocy, po czym zajął się kamiennym blokiem tuż nad podłogą. Blok był ciężki, a Calvin nie znał sposobu, by zmniejszyć jego ciężar. Nie miał też metody dyskretnego przesuwania kamienia po kamieniu. W końcu zmiękczył blok, wsunął w niego palce i utwardził, zyskując pewny uchwyt. Kiedy pociągnął, zmienił w ciecz cienką warstwę kamienia u dołu i po bokach, żeby blok przesuwał się łatwiej i bez hałasu, jeśli nie liczyć głuchego stuknięcia, kiedy z niewielkiej wysokości upadł na podłogę.

Wiatr dmuchnął do celi. Calvin odciągnął kamień na bok i wsunął do otworu głowę i ramiona.

Był jakieś dwanaście stóp nad ziemią i dokładnie nad głowami oddziału żołnierzy maszerujących skądś dokądś. Na szczęście żaden nie spojrzał w górę, ale serce i tak niemal wyskoczyło Calvinowi z piersi. Uznał jednak, że kiedy już przejdą, może wsunąć się do otworu nogami do przodu, zeskoczyć na ziemię i zwyczajnie zniknąć na

ulicach Paryża. To ich nauczy, że nie należy zamykać w więzieniu ludzi, którzy leczą żebraków.

Już był gotów do ucieczki, już wsunął nogi w otwór, kiedy uświadomił sobie, że to bardzo głupia decyzja. Przecież przybył tu, żeby dotrzeć do cesarza. Jeśli stanie się uciekinierem, na pewno mu to nie pomoże. Bonaparte posiadał moc, o jakiej nawet Alvin nie miał pojęcia. Calvin musiał się jej nauczyć, jeśli tylko zdoła. Rozsądek nakazuje zatem siedzieć tu spokojnie i czekać, aż ktoś w dowództwie zrozumie w końcu, że człowiek leczący żebraków może też pomóc na słynny artretyzm Bonapartego.

Przyłożył się do pracy, podniósł kamień do otworu i wcisnął na miejsce. Zostawił dziury po palcach — w głębi celi było ciemno, zresztą gdyby ktoś je zobaczył, może nabrałby szacunku dla jego zdolności.

A może nie? Skąd mógł wiedzieć? Nad niczym teraz nie panował i nienawidził tego uczucia. Ale jeśli człowiek chce coś osiągnąć, musi czasem trochę się poświęcić.

Nie próbował już ucieczki, ale wiedział, że może uciec, kiedy zechce. Po całych dniach i nocach leżał na pryczy albo krążył po celi. Nie radził sobie z samotnością. Przekonał się o tym podczas swej wędrówki po lesie, kiedy odszedł z Vigor Kościoła. Może Alvinowi odpowiadało bieganie po puszczy na modłę Czerwonych, ale Calvin szybko porzucił leśne ścieżki i wyszedł na trakt, gdzie podwiózł go wozem jakiś farmer, potem drugi i trzeci. Nawiązywał znajomości i rozmawiał przez całą drogę.

Teraz ciążyła mu samotność, a gdyby nawet strażnicy byli chętni do pogaduszek, to postanowił nie zdradzać się ze znajomością ich języka. Nie przejmował się tym wcześniej, kiedy swobodnie krążył po ulicach Paryża, wśród gwaru miejskiego życia. Tutaj jednak, gdy nie chciał spytać nawet o dzień tygodnia… Czuł się jak kaleka.

Wreszcie zaczął zabawiać się figlami. Bez trudu wysłał przenikacz do mechanizmu zamka i zniszczył strażnikowi klucz, zmiękczając go zaraz po wsunięciu do dziurki. Kiedy strażnik go wyjął, klucz nie miał zębów, a drzwi wciąż były zamknięte. Rozzłoszczony strażnik odszedł po zapasowy i tym razem Calvin pozwolił mu otworzyć drzwi bez trudności. Ale jakim cudem pierwszy klucz stracił zęby?

Zresztą Calvin nie ograniczał się tylko do własnego zamka. Wysłał przenikacz na zwiad i zlokalizował zajęte cele. Pobawił się ich zamkami: zatopił niektóre tak, że żaden klucz nie mógł ich otworzyć, inne z kolei zepsuł i w ogóle nie dały się zamknąć. Krzyki, bieganie i tupania rozbawiły Calvina do łez, zwłaszcza kiedy sobie wyobrażał, co myślą strażnicy. Duchy? Szpiedzy? Kto wyczynia takie rzeczy z zamkami w Bastylii?

Nauczył się także kilku rzeczy. W Vigor, kiedy tylko usiadł na

chwilę, zaraz albo się niecierpliwił, wstawał i gdzieś szedł, albo zaczynał myśleć o Alvinie i się irytował. W każdym razie od powrotu Alvina do domu nie poświęcał wiele czasu na badanie swej mocy. Teraz przekonał się, że potrafi wysłać przenikacz bardzo daleko, do miejsc, jakich nigdy nie oglądał na własne oczy. Przyzwyczaił się do przesuwania go w kamieniu, wyczuwania różnych twardości, wykrywania drewnianych ram ciężkich drzwi, metalowych zawiasów i zamków. Do licha, naprawdę dobrze sobie radził.

Przenikaczem badał też własne ciało i ciała innych, szukając tego, co widział tam Alvin; próbował zajrzeć w głąb. Trochę eksperymentował na współwięźniach, dokonując im w nogach takich zmian, jakie mogą się okazać konieczne u Bonapartego. Oczywiście, żeden z nich nie cierpiał na artretyzm — była to choroba ludzi bogatych, a w więzieniu rzadko siedzieli bogacze. Musiał się jednak zorientować, czego trzeba, by przywrócić zdrowie cesarzowi.

Prawdę mówiąc, po tygodniu doświadczeń niewiele więcej rozumiał z budowy nóg niż na początku.

Tydzień. Półtora tygodnia. Codziennie, i to coraz częściej, podchodził do ściany i wsuwał palce do dziur w kamieniu. Wyciągał blok troszeczkę, czasem bardziej, a raz czy dwa całkowicie. Miał ochotę wyjść przez otwór na wolność. I zawsze po chwili zastanowienia wsuwał blok na miejsce. Ale codziennie musiał zastanawiać się dłużej. A pragnienie ucieczki stawało się coraz silniejsze.

Jeśli chwilę pomyśleć, to plan Calvina nie był zbyt mądry, jak zresztą prawie wszystkie jego plany. Był durniem wierząc, że jakiegoś nieznanego chłopca z Ameryki dopuszczą przed oblicze cesarza.

Wyjął blok ze ściany może po raz ostatni, a wtedy usłyszał kroki na korytarzu. Nikt nigdy tędy nie przechodził o tak późnej porze! Nie miał czasu, żeby wsunąć kamień na miejsce. Zatem… uciekać czy zostać? Cokolwiek zrobi, na pewno zobaczą otwór. Czy więc chce zostać i przyjąć na siebie konsekwencje, co może oznaczać spotkanie z cesarzem, ale też spotkanie z gilotyną, czy raczej przeciśnie się przez otwór i znajdzie na ulicy, zanim zdążą otworzyć drzwi?

* * *

Mały Napoleon był zły. Przez wszystkie te dni cesarz w każdej chwili mógł spytać o amerykańskiego uzdrawiacza. Ale nie, musiał to zrobić w środku nocy, akurat dzisiaj, kiedy Mały Napoleon zarezerwował najlepszą lożę na premierze nowej opery jakiegoś

Włocha, jak mu było… Chciał już odpowiedzieć, że dzisiejszą noc ma zajętą, niech stryj znajdzie kogoś innego. Wtedy jednak cesarz uśmiechnął się i zasugerował, że jest wielu innych, którzy wykonają to proste zlecenie, więc może nie będzie marnować czasu bratanka na drobiazgi… I co Mały Napoleon mógł zrobić? Nie wolno dopuścić, by cesarz uznał, że może go zastąpić jakimś lokajem. Nie, uparł się. Nie, stryju, pójdę osobiście, z największą radością.

— Mam tylko nadzieję, że potrafi dokonać tego, co obiecałeś — dodał Bonaparte.

Drań bawił się nim, to jasne. Wiedział doskonale, że Mały Napoleon nie składał żadnych obietnic, jedynie raport. Ale jeśli cesarz miał ochotę, by bratanek pocił się ze strachu, że zrobi z siebie głupca, to cóż, cesarzom wolno igrać z uczuciami innych ludzi.

Strażnik głośno tupał w korytarzu i długo wybierał klucz.

— Co jest, durniu? Chcesz ostrzec więźnia, żeby przestał kopać tunel i ukrył ślady?

— Z tego piętra nie można kopać tunelu, panie — odparł strażnik.

— Wiem, durniu. Ale dlaczego się tak grzebiesz z kluczami?

— Większość jest nowa, panie, więc nie poznaję jeszcze, który z nich otwiera które drzwi. Nie tak łatwo jak kiedyś.

— Więc przynieś stare klucze i nie marnuj mojego czasu!

— Stare klucze są bez zębów albo zamki się popsuły, panie. Istne szaleństwo. Nie uwierzyłbyś.

— I nie wierzę — burknął Mały Napoleon.

Ale wierzył; słyszał już o jakimś sabotażu czy też rzadkiej odmianie rdzy, atakującej zamki w Bastylii.

Klucz trafił wreszcie do dziurki, drzwi uchyliły się ze zgrzytem. Strażnik wszedł do celi z uniesioną latarnią, sprawdzając, czy więzień jest na miejscu i nie czai się, by zaatakować i wyrwać klucze. Nie, amerykański chłopak siedział daleko od drzwi, oparty o przeciwległą ścianę.

Ale na czym siedział? Strażnik zbliżył się o krok, podniósł wyżej latarnię…

— Mon Dieu! — szepnął Mały Napoleon.

Amerykanin siedział na kamiennym bloku, a w murze ział otwór prowadzący prosto na ulicę. Nikt nie zdołałby gołymi rękami wyrwać takiego bloku ze ściany, zresztą jak by go chwycił? Ale skoro już mu się to udało, dlaczego ten amerykański dureń siedzi i czeka? Dlaczego nie uciekł?

Amerykanin uśmiechnął się, po czym wstał — wciąż zerkając na Małego Napoleona — i aż po łokcie wsunął ręce w lity kamień, tak łatwo, jakby to była misa z wodą.

Strażnik jęknął i skoczył do drzwi.

Amerykanin wyjął ręce z bloku; w jednej coś ściskał. Podał to

Małemu Napoleonowi. Ten wziął i zważył w dłoni: zwykły kamień, twardy jak zawsze, ale ukształtowany w odcisk ludzkiej dłoni i palców. Ten człowiek potrafił jakoś sięgnąć w głąb skały i wyrwać z niej grudę, jakby to była glina.

Mały Napoleon poszukał w pamięci kilku angielskich słów, poznanych jeszcze w szkole.

— Jak się nazywamy? — zapytał.

— Calvin Maker — odparł Amerykanin.

— Mówić ty francuski?

— Ani słowa.

— Idź avec ja — polecił Mały Napoleon. — Avec…

— Ze — podpowiedział chłopak. — Chodź ze mną.

— Oui. Tak.

Cesarz zapytał w końcu o chłopaka. Teraz jednak Mały Napoleon miał poważne wątpliwości. Nic nie wskazywało, że ktoś, kto uzdrawia żebraków, ma także władzę nad kamieniem. A jeśli ten Calvin Maker wpędzi Małego Napoleona w kłopoty? A jeśli — to niewyobrażalne, ale musiał to sobie wyobrazić — jeśli zabije stryja?

Ale cesarz kazał go przyprowadzić. Tego nie można już cofnąć. Co zrobi? Powie stryjowi, że chłopak, który miał wyleczyć jego artretyzm, może — tylko może — wsunąć ręce w posadzkę, wyrwać kawał marmuru i rozbić mu głowę? To przecież polityczne samobójstwo. Ani się obejrzy, jak będzie pasł owce na Korsyce. Jeśli nie popatrzy na wirujący świat, kiedy jego głowa potoczy się do kosza spod ostrza gilotyny.

— Idź, idź, idź — zachęcił Amerykanina. — Se mną.

Strażnik kulił się w kącie korytarza. Mały Napoleon wymierzył mu kopniaka, a człowiek ten był tak przerażony, że nawet się nie odsunął. Z jękiem przetoczył się na bok jak główka kapusty.

Amerykanin roześmiał się głośno, a Małemu Napoleonowi wcale się ten śmiech nie spodobał. Pomyślał, czy nie sięgnąć po sztylet i nie zabić chłopaka na miejscu. Ale tłumaczenie tego cesarzowi może być ryzykowne. „Od tygodni chciałeś, żebym go przyjął, a on przez cały ten czas był skrytobójcą?” Nie, cokolwiek się zdarzy, Amerykanin stanie przed Bonapartem.

Tak, Calvin Maker zobaczy cesarza Napoleona… A Mały Napoleon przekona się, czy Bóg wysłucha jego najgorętszych modłów.

ROZDZIAŁ 12 — PRAWNICY

Wiecie, że chłopak młynarza, Alvin, siedzi w więzieniu w Hatrack River? — Obcy z uśmiechem pochylił się nad ladą.

— Faktycznie, coś słyszeliśmy — przyznał Armor-of-God Weaver.

— Przyjechałem tu, żeby dowiedzieć się prawdy o Alvinie. Dzięki temu przysięgli w Hatrack będą mogli wydać sprawiedliwy wyrok. Jednak z pewnością nie znają Alvina tak dobrze jak ludzie w tych okolicach. Muszę tylko zdobyć kilka potwierdzonych zeznań o jego charakterze. — Obcy znów się uśmiechnął.

Armor-of-God pokiwał głową.

— To odpowiednie miejsce dla zeznań, jeśli szukacie prawdy.

— Jej właśnie. Rozumiem, że sami znacie tego młodego człowieka?

— Dość dobrze. — Armor-of-God uznał, że jeśli chce się dowiedzieć, o co obcemu chodzi, lepiej się nie przyznawać, że jest mężem siostry Alvina. — Ale chyba nie wiecie, przyjacielu, na co się tutaj narażacie. Usłyszycie więcej, niżbyście chcieli.

— Słyszałem o masakrze nad Chybotliwym Kanoe i o klątwie, jaka spadła na tutejszych. Jestem prawnikiem. Często muszę wysłuchiwać mrocznych opowieści ludzi, których bronię.

— Bronicie, tak? Jesteście prawnikiem, który broni ludzi? Dobrze rozumiem?

— Z tego jestem znany w domu, w Carthage City. Armor znów kiwnął głową. Może ten człowiek mieszkał obecnie w Carthage City, ale jego akcent zdradzał Nową Anglię. Próbuje mówić jak farmer, ale robi to po prawniczemu, żeby ludzie mu zaufali. Taki człowiek, jeśli zechce, potrafi przemawiać jak sama Biblia. Albo jak Milton. Jednak Armor nie dał po sobie poznać, że mu nie ufa. Jeszcze nie.

— Czyli kiedy tutejsi opowiedzą wam, jak wymordowali Czerwonych, co to nikomu nie zrobili krzywdy, wysłuchacie tego bez mrugnięcia okiem?

— Nie mogę zagwarantować, że nie mrugnę, panie Weaver. Ale wysłucham wszystkiego, a kiedy skończą, przejdę do spraw, które mnie tu sprowadziły.

Teraz nadeszła właściwa chwila…

— A co to za sprawy? — zapytał Armor.

Mężczyzna zamrugał. Już mruga, pomyślał Armor. Szybko mu poszło.

— Mówiłem już, panie Weaver. Poszukuję zeznań dotyczących Alvina, syna młynarza.

— Aby ludziom w Hatrack River opowiedzieć o jego prawdziwym charakterze. Rzeczywiście, pamiętam. Kłopot w tym, że z ostatnich

ośmiu lat Alvin siedem spędził w Hatrack River, a tylko rok tutaj, w Vigor Kościele. Znaliśmy go jako dziecko, to pewne, ale właśnie w Hatrack River znają go najlepiej. Zgaduję więc, że chcecie tu znaleźć obraz Alvina, jakiego ludzie w Hatrack River nie poznali. A jedyny tego powód to ten, że chcecie zmienić ich opinię o chłopaku. Ponieważ wiem, że Alvin jest w Hatrack szanowany, mogliście tu przyjechać tylko po to, żeby wykopać trochę brudu i mu zaszkodzić. Czy dobrze to zrozumiałem, przyjacielu?

Nagłe zniknięcie uśmiechu z twarzy prawnika było tego wystarczającym dowodem.

— Wyciąganie brudów jest najdalsze od moich planów. Przybywam tu z otwartym umysłem.

— Z otwartym umysłem i historyjką, jak to bronicie ludzi i w ogóle. Przez to mamy uwierzyć, że jesteście po stronie Alvina, a nie że wynajęli was, by zmienić dobrą o nim opinię. Moim zdaniem fakt, że tu jesteście, oznacza, że przyjaciele Alvina powinni znaleźć kogoś innego, kto zacznie zbierać zeznania na jego korzyść. Wy nie ustaniecie, dopóki nie wygrzebiecie jakichś kłamstw.

Prawnik sztywno cofnął się o krok.

— Widzę, że ta sprawa nie jest wam obojętna. Wyjaśnicie, mam nadzieję, co takiego powiedziałem, co was uraziło.

— Tylko to, żeście uznali mnie za durnego jak psi zadek, bo nie jestem prawnikiem.

— Zresztą nieważne, jakie wnioski wyciągacie. Zapewniam was, że jako przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości szukam tu jedynie prawdy.

— Przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości? Przypadkiem wiem, że wszystkich prawników nazywa się przedstawicielami wymiaru sprawiedliwości. Nawet kiedy wynajmuje ich prywatna osoba, żeby komuś szkodzili. Ale pewne jest jak to, że Bóg istnieje, że nie przysyła was sędzia w Hatrack, bo on dałby wam list wprowadzający, a wy byście nie wyczyniali tych podstępnych, oszukańczych, kłamliwych sztuczek.

Przybysz mocno wcisnął na głowę kapelusz. Armor z trudem się powstrzymał, żeby nie wcisnąć mu go jeszcze mocniej. I kiedy obcy dotarł już do drzwi, wykrzyknął za nim ostatnie pytanie:

— Macie jakieś nazwisko, żebyśmy mogli sprawdzić w krajowym związku adwokatów, czy wam czegoś nie zarzucają?

Prawnik odwrócił się i uśmiechnął jeszcze szerzej niż poprzednio, kiedy usiłował wywieść Armora w pole.

— Nazywam się Daniel Webster, panie Weaver, a moim klientem jest prawda i sprawiedliwość.

— Prawda i sprawiedliwość muszą płacić w Nowej Anglii o wiele lepiej niż tutaj. Bo jesteście z Nowej Anglii, prawda?

— Tam się urodziłem i wychowałem, ale nie widziałem dla siebie przyszłości w tej nędznej okolicy. Dlatego przybyłem do Stanów Zjednoczonych, gdzie podstawą wszelkich praw są prawa człowieka, a nie dynastyczne przywileje monarchów i wytarta teologia purytan.

— Aha. Zatem nikt wam nie płaci?

— Tego nie powiedziałem, panie Weaver.

— Więc kto? Nie sędzia okręgowy i nie państwo. I na pewno nie Makepeace Smith, bo on ledwie znajdzie dwa miedziaki, żeby nimi pobrzęczeć.

— Reprezentuję konsorcjum zatroskanych obywateli Carthage City, którzy postanowili dopilnować, by sprawiedliwość zatryumfowała nawet w prymitywnym, zacofanym stanie Hio.

— Konsorcjum… To coś w rodzaju domu publicznego? Zamtuza?

— Bardzo zabawne.

— Podajcie jakieś nazwisko, panie Webster. Tak się składa, że jestem burmistrzem tego miasta, a wy tu w pewnym sensie praktykujecie. Mam chyba prawo wiedzieć, kto przysyła mi adwokatów, żeby zbierali kłamstwa na temat naszych szanowanych obywateli.

— Czy posiada pan broń palną, panie Weaver?

— Istotnie, przyjacielu.

— Dlaczego zatem mam zdradzać nazwiska swoich klientów uzbrojonemu i rozgniewanemu człowiekowi z miasta, które jest tak dumne z miana gniazda morderców, że opowiada swoją straszliwą historię każdemu nieszczęsnemu przybyszowi, jaki tu trafi? W dodatku burmistrze nie mają prawa wymagać od adwokata informacji o jego stosunkach z klientami. Miłego dnia, panie Weaver.

Armor wzrokiem odprowadził Webstera do drzwi, potem sięgnął po kapelusz i zawołał swojego najstarszego, żeby zostawił produkcję mydła i przypilnował sklepu. Wyszedł i ruszył biegiem przez wzgórze, do domu teściów. Na pewno zastanie tam żonę, ponieważ była wśród kobiet najlepsza w Alvinowych, Stwórczych zajęciach i często wzywano ją jako nauczycielkę, stawiającą — choć Armor ich nienawidził — heksy. Rodzina powinna wiedzieć, co się dzieje: że Alvin ma w stolicy wrogów, gotowych płacić prawnikowi, by tu przyjechał i wygrzebał o nim jakieś brudy. Nie ma innego wyjścia, sami też muszą znaleźć prawnika. I to nie żadnego wiejskiego kuzyna, ale miejskiego adwokata, znającego te same sztuczki co ten Webster. Armor przypominał sobie niejasno, że kiedyś już o nim słyszał. W pewnych kręgach wspominano go z podziwem. A że rozmawiał z nim, słyszał jego złocisty głos, szybkie odpowiedzi i jak kłamstwo w jego ustach brzmiało niby najczystsza prawda, choć człowiek pamiętał, że to oszustwo… cóż, Armor wiedział, że trudno będzie znaleźć adwokata, który by go pokonał. Tym trudniej że pojawi się inny

problem: zapłaty.

* * *

Calvin nie miał pojęcia, jak powinien się zachować, stając przed obliczem cesarza. Tytuł Napoleona pochodził ze starożytnego Rzymu, Persji czy Babilonu. Ale sam cesarz siedział na krześle z prostym oparciem, otoczony nie przez dworzan, lecz przez sekretarzy; każdy z nich pisał przy pulpicie, kiedy zaś skończył notować rozkaz, list czy edykt, podrywał się i wybiegał z pokoju, a kolejny sekretarz zaczynał zapisywać gorączkowo to, co Bonaparte dyktował w swym ostrym, śpiewnym, niemal włosko brzmiącym francuskim.

Dyktowanie trwało, a Calvin, stojąc między strażnikami (jakby mogło go to powstrzymać od załamania podłogi pod cesarzem, gdyby tylko zechciał), obserwował w milczeniu. Oczywiście, nie zaproponowali mu stołka; nawet Mały Napoleon, bratanek cesarza, stał posłusznie. Zdawało się, że tylko sekretarze mają prawo siedzieć, bo trudno sobie wyobrazić, żeby pisali na stojąco.

Z początku Calvin rozglądał się po komnacie; potem zaczął studiować twarz cesarza, jak gdyby jej lekko zbolały wyraz mógł, po odpowiednio długim wpatrywaniu, zdradzić sekrety sfinksa. Wkrótce jednak Calvin zwrócił uwagę na nogę. Musiał wyleczyć ten artretyzm, jeśli w ogóle zamierzał coś osiągnąć. A przecież nie miał pojęcia, co wywołuje chorobę ani nawet jak tego szukać. To była dziedzina jego brata.

Przyszło mu do głowy, że powinien może prosić o pozwolenie na wysłanie listu do Alvina; przyjechałby wtedy, wyleczył cesarza i zyskał wolność dla Calvina. Ale natychmiast odrzucił tę tchórzliwą myśl. Jestem Stwórcą czy nie? Jeśli tak, to jestem równy Alvinowi. A jeśli jestem, po co mam go sprowadzać, żeby pomógł mi w sytuacji, która — o ile wiem — wcale jego pomocy nie wymaga?

Wysłał przenikacz do nogi Napoleona.

Nie była to zwykła opuchlizna, jaką Calvin poznawał w ropiejących wrzodach żebraków. Nie wiedział, co to za płyny — w każdym razie nie ropa — i nie śmiał zwyczajnie skierować ich z powrotem do krwi. Mogły przecież być trujące i zabić człowieka, od którego chciał się uczyć.

A czy wyleczenie cesarza naprawdę leżało w jego interesie? To nie znaczy, że wiedział, jak to zrobić, ale nie był pewien, czy w ogóle próbować. Potrzebował bowiem nie chwilowej wdzięczności zdrowego człowieka, ale trwałej zależności cierpiącego, któremu niezbędny jest

ten, kto niesie ulgę. Krótkotrwałą ulgę.

To Calvin umiał, przynajmniej w pewnym zakresie. Już dawno nauczył się u psów czy wiewiórek znajdować nerwy i skręcać je — jakby zaciskać w niewidoczny sposób. Czasami zwierzę piszczało i wyło, aż Calvin umierał ze śmiechu. Kiedy indziej nie okazywało bólu, ale kulało, jak gdyby ta zaciśnięta noga wcale nie istniała. Kiedyś całkiem zdrowy pies wlókł za sobą zad, aż zdarł skórę z brzucha i nóg, a ojciec już chciał zastrzelić biedaka. Calvin się wtedy zlitował i uwolnił nerw, ale pies nigdy już nie chodził normalnie, tylko tak jakby się trochę zataczał; Calvin nie wiedział, czy to z powodu zaciśnięcia, czy z tego, że prawie tydzień wlókł pokrwawiony zadek po ziemi.

Ważne było to, że zaciśnięcie nerwu usuwa wszelkie czucie — Napoleon może utykać, ale nie będzie cierpiał bólu. Ulga, nie lekarstwo.

Który nerw? Calvin nie wyrysował ich. Takie metodyczne działanie było sprawą Alvina. W Anglii Calvin uświadomił sobie, że to jedna z podstawowych różnic między nim a bratem. Istniało nowe słowo, właśnie wymyślone w Cambridge, określające ludzi tak nudnie metodycznych jak Alvin: naukowiec. Podczas gdy Calvin, mający zapał i styl, werwę, a nade wszystko ducha improwizacji, był artystą. Problem w tym, że w kwestii nerwów w nodze Bonapartego nie mógł właściwie eksperymentować. Trudno byłoby liczyć na przyjaźń między nimi, gdyby cesarz nagle zaczął piszczeć i wyć jak udręczona wiewiórka.

Myślał nad tym, kiedy kolejny sekretarz poderwał się i wybiegł. Calvinowi przyszło wtedy do głowy, że nogi Napoleona nie są jedynymi w komnacie. Teraz, kiedy musiał dokładnie ustalić, który nerw za co odpowiada, żeby jego zaciśnięcie uśmierzyło ból, zamiast go sprawiać, musiał zachować się jak naukowiec, badając wiele nóg.

Zaczął od następnego w kolejce sekretarza, niskiego człowieka (niższego nawet od cesarza, mającego skromną posturę), który wiercił się trochę na stołku. Niewygodnie? — zapytał go w myślach Calvin. Zobaczymy, czy znajdzie się na to rada.

Posłał przenikacz do prawej nogi sekretarza, znalazł najgrubszy nerw i zacisnął. Nic, ani skrzywienia, ani grymasu. Zacisnął mocniej. Wciąż nic.

Pierwszy w linii sekretarzy poderwał się i wybiegł pędem. Przyszła kolej na niskiego. Spróbował się przesunąć, poprawił ułożenie pulpitu, ale — ku zachwytowi Calvina — na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia, a potem rumieniec; sięgnął w dół i rękami przesunął nogę.

No tak… Ten gruby nerw, czy może wiązka bardzo cienkich nerwów, nie ma nic wspólnego z czuciem. Natomiast wydaje się, że kieruje ruchem. Ciekawe.

Niski człowiek pisał w milczeniu, ale Calvin wiedział, że myśli tylko, co się stanie, kiedy będzie musiał wstać. I rzeczywiście, gdy edykt został zapisany — chodziło o przyznanie wyjątkowego zwolnienia od podatków pewnym właścicielom winnic na południu Francji ze względu na nieurodzaj — sekretarz poderwał się, obrócił i rozciągnął na podłodze; obie nogi splątały mu się niczym linki od wędek u dzieciaków.

Wszystkie oczy zwróciły się ku biedakowi, ale nie padło ani jedno słowo. Calvin obserwował z rozbawieniem, jak sekretarz podnosi się na rękach i lewym kolanie; prawa noga zwisała bezwładnie. Oczywiście, kolano mogło się zginać, więc wyglądało na to, że jednak wstanie. Dwa razy jednak próbował się na nim oprzeć i dwa razy upadał.

Wreszcie odezwał się wyraźnie zirytowany Bonaparte:

— Jest pan sekretarzem, mój panie, czy klaunem?

— Moja noga, sire — wykrztusił urzędnik. — Moja prawa noga w tej chwili nie działa.

Bonaparte zwrócił się do strażników pilnujących Calvina.

— Pomóżcie mu wyjść. I przyślijcie kogoś, żeby starł rozlany atrament.

Strażnicy podnieśli sekretarza i ruszyli z nim do drzwi. Przyszła pora, by Mały Napoleon przypomniał o swojej obecności.

— Weźcie jego pulpit, durnie — polecił. — I kałamarz, i pióro. I edykt, jeśli nie jest poplamiony.

— A jak mają to zrobić? — spytał kwaśno Bonaparte. — Przecież muszą podtrzymywać tego jednonogiego durnia.

I spojrzał wyczekująco na bratanka.

Chwilę trwało, nim Mały Napoleon zrozumiał, czego cesarz od niego oczekuje, i jeszcze dłuższą, nim zdołał przełknąć swą dumę i to zrobić.

— Oczywiście, stryju — rzekł z wystudiowanym spokojem. — Chętnie sam je podniosę.

Calvin uśmiechnął się skrycie widząc, jak dumny człowiek, który go aresztował, teraz klęka, zbiera papiery, pulpit, pióro i kałamarz, pilnie uważając, by nie poplamić się ani kroplą atramentu. Sekretarz, którego nerw Calvin zacisnął, został wyprowadzony z pokoju. Calvin pomyślał, czy wysłać za nim przenikacz i uwolnić biedaka. Ale nie był pewien, dokąd go odprowadzono, zresztą czy warto? Przecież to tylko sekretarz.

Kiedy Mały Napoleon wyszedł, Bonaparte znowu zaczął dyktować, ale teraz już nie tak ostro i szybko. Przerywał często, poprawiał się od czasu do czasu, niekiedy milkł na długą chwilę, a sekretarz czekał z piórem zawieszonym nad papierem. W takich chwilach Calvin sprawiał, że atrament ściekał z pióra na sam czubek i

spadał nagle na papier… Ach, to wściekłe osuszanie kleksa… Oczywiście, wszystko to jeszcze bardziej rozpraszało cesarza.

Pozostała jednak kwestia nóg. Calvin zbadał każdego z sekretarzy po kolei, szukając innych nerwów i zaciskając je lekko. Nerwy ruchu pozostawił na razie w spokoju; teraz szukał nerwów bólu, znacząc postępy badań szeroko otwartymi oczami, zaczerwienionymi twarzami i czasem syknięciami nieszczęsnych sekretarzy. Bonaparte dostrzegał to i coraz trudniej było mu się skupić. Wreszcie, kiedy któryś z sekretarzy głośno jęknął po wyjątkowo mocnym zaciśnięciu — Calviowi brakowało precyzji z obiektami tak cienkimi jak nerwy — skrzywiony Bonaparte odwrócił się w fotelu i, o ile Calvin dobrze zrozumiał jego francuski, powiedział:

— Czy drwicie ze mnie tymi sykami i jękami? Siedzę tu i cierpię, ale nie wydaję żadnych dźwięków. Tymczasem wy, którym dolega co najwyżej zbyt długie siedzenie w miejscu, jęczycie, sapiecie i wzdychacie, aż wydaje mi się, że wpadłem między stado hien!

W tej właśnie chwili Calvin znalazł to, czego szukał. Zaaplikował akurat odpowiedni nacisk na nerw bólu jednego z sekretarzy i wszelkie czucie zniknęło. Zamiast skrzywienia, na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz ulgi.

Mam, pomyślał Calvin. Tak się to robi.

Niewiele brakowało, a od razu wysłałby przenikacz do nogi Bonapartego i lekkim zaciśnięciem ukoił jego ból. Na szczęście przeszkodziło mu nagłe otwarcie drzwi. Weszła pomywaczka z wiadrem i szmatą, żeby zetrzeć atrament z marmurowej podłogi. Bonaparte spojrzał na nią tak gniewnie, że niemal upuściła swoje rzeczy i uciekła; jednak złagodniał natychmiast.

— Złoszczę się na swój ból, dziewczyno — powiedział. — Wejdź i bierz się do pracy; nikomu nie przeszkadzasz.

Zebrała się na odwagę, podeszła do prawie suchej plamy atramentu, z brzękiem i chrupnięciem postawiła wiadro i zaczęła szorować.

Ale Calvin już się opanował. Co mu przyjdzie z uśmierzenia bólu Bonapartego, skoro cesarz nie wie, że to jego zasługa? Dlatego zaczął ćwiczyć na sekretarzach, ku ich wyraźnej uldze. Stopniowo zauważył — w chwili gdy zaciskał nerw niosący ból — rodzaj płynącego prądu, jakby wibrację. Dzięki temu mógł działać jeszcze dokładniej, likwidując nie całe czucie w nodze, tylko ból. W końcu spróbował z pomywaczką, z bólem kolan, który dręczył ją wskutek klęczenia przy pracy na zimnych, twardych podłogach. Tak nagle poczuła ulgę, tak silne i długotrwałe było cierpienie, że aż krzyknęła głośno. Bonaparte znów spojrzał na nią gniewnie.

— Wybacz mi, sire — powiedziała. — Nagle przestały mnie boleć kolana!

— Masz szczęście — przyznał cesarz. — A czy oprócz wieści o cudzie możesz powiedzieć, że nie widzisz już atramentu na podłodze?

Spuściła głowę.

— Sire, chociaż długo szorowałam, nie zmyłam całej plamy. Obawiam się, że atrament wsiąkł w kamień.

Calvin natychmiast posłał swój przenikacz pod powierzchnię marmuru. Odkrył, że atrament istotnie przesączył się poza zasięg szorowania. Dzięki temu zyskał szansę, by Bonaparte go zauważył nie jako więźnia — nawet strażnicy wyszli — ale jako człowieka obdarzonego mocą.

— Może ja zdołam pomóc — oświadczył po angielsku.

Bonaparte spojrzał tak, jakby dopiero teraz go zauważył, choć Calvin zdawał sobie sprawę, że przez ostatnie pół godziny cesarz przyglądał mu się kilka razy.

— Czy pracy pomywacza szukasz w Paryżu, mój amerykański przyjacielu? — zapytał Bonaparte, mocno akcentując angielskie słowa.

— Przybyłem, aby ci służyć, panie — odparł Calvin. — Czy przy zaplamionym marmurze, czy bolącej nodze, to bez znaczenia.

— Najpierw sprawdzimy z marmurem. Dziewczyno, daj mu wiadro i szmatę!

— Nie są mi potrzebne. Już skończyłem. Niech przetrze jeszcze raz, a plama zniknie.

Bonapartemu nie podobało się, że ma służyć za tłumacza między amerykańskim więźniem i posługaczką, ale ciekawość zwyciężyła w starciu z godnością i wydał dziewczynie polecenie. Tym razem atrament zmył się natychmiast, a kamień pozostał czysty. Dla Calvina była to dziecinna zabawa, ale zachwyt na twarzy służącej był najlepszą pochwałą jego cudownej mocy.

— Sire! — zawołała. — Wystarczyło raz przejechać szmatą i plama zniknęła bez śladu!

Sekretarze zerkali czujnie na Calvina; nie byli głupcami i wyraźnie podejrzewali, że to on wywołał ich ból, a potem ulgę; niektórzy wciąż szczypali się po nogach, by przywrócić czucie po jego pierwszych, niezdarnych próbach. Teraz Calvin zajrzał do ich nóg, przywrócił czucie, po czym delikatnie usunął ból.

Bonaparte spoglądał to na swoich urzędników, to na więźnia.

— Widzę, że zajmowałeś się strojeniem sobie żartów z moich sekretarzy.

Calvin bez słowa sięgnął do nogi cesarza i na chwilę uśmierzył wszelkie cierpienie. Ale tylko na chwilę.

Twarz Bonapartego pociemniała.

— Co z ciebie za człowiek, skoro na moment łagodzisz moje cierpienie, a potem mi je przywracasz?

— Wybacz mi, panie. Łatwo jest wyleczyć ból, który sam

wywołałem u twoich ludzi. Czy nawet ból spowodowany długimi godzinami klęczenia i szorowania podłóg. Ale artretyzm… To trudna choroba, panie; nie znam na nią lekarstwa ani sposobu, by ulga trwała dłużej niż krótką chwilę.

— Ale dłuższą niż pięć sekund… Założę się, że potrafisz ją przedłużyć.

— Mogę spróbować — obiecał.

— Chytry jesteś — ocenił Bonaparte. — Ale ja potrafię rozpoznać kłamstwo. Potrafisz ukoić ból, ale nie chcesz tego zrobić. Jak śmiesz czynić ze mnie zakładnika mojego cierpienia?

Calvin odpowiedział spokojnie, choć zdawał sobie sprawę, że jego życie wisi na włosku. Takie słowa były groźne niezależnie od tonu. Zwłaszcza że przemówił po francusku.

— Panie, całe moje ciało trzymałeś w więzieniu przez długi czas, choć przedtem byłem wolny. A teraz, kiedy już wcześniej stałeś się więźniem swego cierpienia, czynisz mi wyrzuty, że cię nie uwalniam?

Sekretarze syknęli znowu, choć tym razem nie z bólu. Nawet służąca była tak zaszokowana, że aż przewróciła wiadro, rozlewając na podłogę pienistą, atramentową ciecz.

Calvin szybko zmusił wodę, by wyparowała, a resztki atramentu zmienił w niewidoczny pył.

Posługaczka wybiegła z krzykiem. Sekretarze również się poderwali.

— Jeśli dotrą do mnie jakiekolwiek plotki o tym wydarzeniu — uprzedził ich Bonaparte — wszyscy traficie do Bastylii. Odszukajcie dziewczynę i uciszcie ją, ale tylko perswazją lub uwięzieniem. Nie zasłużyła na tortury. Teraz zostawcie mnie samego z tym magikiem; dowiem się, co chce ode mnie otrzymać.

Wszyscy wyszli. W tej właśnie chwili do komnaty powrócił Mały Napoleon ze strażnikami, ale Bonaparte odesłał ich także, ku źle skrywanej wściekłości bratanka.

— No dobrze, jesteśmy sami — stwierdził po chwili. — Czego chcesz?

— Chcę uleczyć twój ból.

— Więc lecz; zobaczymy.

Calvin przyjął wyzwanie, zacisnął nerwy tak jak trzeba i zobaczył, że oblicze Bonapartego łagodnieje.

— Taki dar — mruknął cesarz — a marnujesz go na czyszczenie podłóg i wyciąganie głazów z więziennego muru.

— To nie potrwa długo — ostrzegł Calvin.

— Chcesz powiedzieć, że nie pozwolisz, by długo trwało — poprawił go Bonaparte.

Calvin podjął niezwykłą dla siebie decyzję wyznania całej prawdy. Wyczuwał, że Bonaparte odkryje każde kłamliwe słowo.

— To nie jest lekarstwo. Artretyzm wciąż tkwi w nodze. Nie rozumiem go i nie potrafię wyleczyć. Mogę tylko usunąć ból.

— Ale nie na długo.

— Nie wiem, na jak długo — odparł szczerze Calvin.

— A za jaką cenę? — spytał cesarz. — No dalej, chłopcze, wiem, że czegoś chcesz. Wszyscy chcą.

— Ale jesteś, panie, Napoleonem Bonaparte. Myślałem, że wiesz, czego chce każdy z ludzi.

— Bóg nie szepcze mi do ucha, jeśli o to ci chodzi. Owszem, wiem, czego chcesz, ale nie umiem zgadnąć, dlaczego przyszedłeś po to właśnie do mnie. Pragniesz zostać największym człowiekiem na świecie. Spotkałem już ludzi z podobnymi ambicjami… Niestety, takie ambicje niełatwo mi nagiąć tak, żeby posłużyły moim interesom. Na ogół muszę ich zabijać, ponieważ stanowią zagrożenie.

Te słowa niczym nóż przebiły serce Calvina.

— Ale ty jesteś inny — mówił dalej Bonaparte. — Nie chcesz mi zaszkodzić. Właściwie jestem dla ciebie tylko narzędziem. Środkiem zyskania przewagi. Nie chcesz mojego królestwa. Rządzę całą Europą, północną Afryką i znaczną częścią starożytnego Wschodu, a jednak ty pragniesz tylkOj żebym cię uczył, przygotowywał do gry o dużo większą stawkę. Jakaż to gra, na zielone łąki boże?

Cavin nie zamierzał nic zdradzać, ale słowa same wyrwały się z ust.

— Mam brata, starszego brata, którego moc jest tysiąc razy większa od mojej.

Słowa drażniły go, paliły gardło, gdy tylko je wypowiedział.

— I cnota także, jak podejrzewam — dokończył Bonaparte.

Ale to słowo było Calvinowi obojętne. Cnota, jak ją definiował Alvin, oznaczała tylko słabość i marnotrawstwo. Calvin był dumny, że ma jej niewiele.

— Dlaczego twój brat nie rzucił mi wyzwania? Dlaczego przez tyle lat nie pokazał się tutaj?

— Nie jest ambitny.

— To kłamstwo — oznajmił Bonaparte. — Nawet jeśli w nie wierzysz w swej ignorancji. Nie istnieje coś takiego jak żyjąca ludzka istota bez ambicji. Święty Paweł ujął to najlepiej: wiara, ambicja i miłość to trzy siły napędowe ludzkiego życia.

— Wydaje mi się, że to była nadzieja — zauważył Calvin. — Nadzieja i miłosierdzie.

— Nadzieja to słodka, słaba siostrzyczka ambicji. Nadzieja to ambicja, która chce, żeby ją lubiono.

Calvin uśmiechnął się.

— Po to właśnie przybyłem.

— Nie żeby leczyć mój artretyzm?

— Aby zmniejszyć twój ból, panie, gdy ty zmniejszysz moją ignorancję.

— Masz tak wielką moc, po co ci potrzebne moje skromne zdolności podbijania świata? — Ironia Bonapartego była wyraźna i bolesna.

— Moja moc jest niczym wobec mocy mojego brata, a on jest jedynym mistrzem, który może mnie jej nauczyć. Dlatego potrzebuję też innej mocy, której mu brakuje.

— Mojej.

— Tak.

— A skąd mam wiedzieć, że nie zwrócisz się przeciwko mnie i nie spróbujesz mi odebrać imperium?

— Gdybym chciał, mógłbym to zrobić w każdej chwili — zapewnił Calvin.

— Można zastraszyć ludzi pokazami siły — rzekł Bonaparte. — Ale strach zyskuje ci posłuszeństwo tylko wtedy, kiedy jesteś na miejscu. Ja posiadam moc skłaniania ludzi do posłuszeństwa nawet wtedy, kiedy odwracam się plecami, nawet kiedy nie ma najmniejszej szansy, że przyłapię ich na jakimś przewinieniu. Kochają mnie i służą całym sercem. Choćbyś zburzył wszystkie domy w Paryżu, nie zyskałbyś tym lojalności ludzi.

— Wiem o tym i dlatego tu jestem.

— Ponieważ chcesz zdobyć lojalność przyjaciół swego brata — stwierdził Bonaparte. — Chcesz, żeby się od niego odwrócili i ciebie postawili na jego miejscu.

— Nazwij mnie Kainem, jeśli zechcesz, ale tak — przyznał Calvin. — Tak.

— Tego mogę cię nauczyć — zgodził się Bonaparte. — Ale żadnego bólu. I żadnych gierek z bólem. Jeśli ból powróci, każę cię zabić.

— Nie zdołasz nawet zatrzymać mnie w więzieniu, jeśli nie będę chciał tam zostać.

— Kiedy postanowię cię zabić, chłopcze, niczego nie będziesz się spodziewał.

Calvin uwierzył cesarzowi.

— Powiedz mi, chłopcze…

— Calvinie…

— Nie przerywaj mi, chłopcze, i nie poprawiaj mnie. — Bonaparte uśmiechnął się łagodnie. — Powiedz mi zatem, Calvinie, czy nie bałeś się, że zyskam twoją lojalność i wykorzystam twe dary w mojej służbie?

— Sam mówiłeś, panie, że twoja moc nikły wywiera skutek na ludzi o ambicjach tak wielkich jak moje. Tylko dobro w ludziach potrafisz obrócić przeciwko nim. Ich wielkoduszność. Czy mam rację?

— W pewnym sensie, choć to bardziej skomplikowane. Ale tak.

— Sam widzisz, panie. — Calvin uśmiechnął się szeroko. — Wiedziałem, że jestem bezpieczny.

Bonaparte zmarszczył czoło.

— Taki jesteś pewny? Taki dumny. Taką dumą cię napawa fakt, że jesteś całkowicie pozbawiony wielkoduszności?

Uśmiech Calvina przybladł nieco.

— Stary Bonaparte, postrach Europy, obalacz imperiów… jest zaszokowany moim brakiem wielkoduszności?

— Tak — potwierdził cesarz. — Nigdy nie myślałem, że spotkam kogoś takiego. Człowieka, nad którym nie będę miał żadnej władzy… A jednak pozwolę ci zostać przy moim boku, dla dobra mojej nogi. I nauczę cię wszystkiego, czego można nauczyć. Dla dobra mojej nogi.

Calvin roześmiał się i pokiwał głową.

— Zatem mamy umowę.

Dopiero później, kiedy odprowadzono go do luksusowego apartamentu w pałacu, zaczął się zastanawiać, czy nie jest zwykłym wybiegiem stwierdzenie Napoleona, że nie ma władzy nad Calvinem. Może Bonaparte już nad nim zapanował, ale — jak wszystkie inne narzędzia cesarza — Calvin nadal wierzy, że jest wolny.

Nie, powiedział sobie. Nawet jeśli to prawda, co mi przyjdzie z takich rozmyślań? Rzecz się już stała albo nie, ale ja nadal jestem sobą i muszę poradzić sobie z Alvinem. Tysiąc razy potężniejszy ode mnie! Tysiąc razy bardziej cnotliwy! Zobaczymy; w końcu nadejdzie czas, kiedy odbiorę ci przyjaciół, Alvinie, jak ty ukradłeś mi moje dziedzictwo, ty złodziejski Ezawie, Rubenie studnię kopiący, zazdrosny szydzący Izmaelu. Bóg pozwoli mi odzyskać dziedzictwo, a żeby coś z nim osiągnąć, dał mi za nauczyciela Bonapartego.

* * *

Alvin nie zdawał sobie sprawy, że to robi. Za dnia myślał, że znosi więzienie całkiem dobrze, witał gości z wesołą miną, czasem śpiewał — razem ze strażnikami, jeśli znali piosenkę i chcieli się włączyć. Było to dość wesołe więzienie i wszyscy powtarzali, że wstyd w ogóle zamykać Alvina, ale chłopak znosi to mężnie, jak żołnierz.

We śnie jednak jego nienawiść do więziennych murów, do niezmienności, martwoty tego miejsca, budziła inną pieśń, wewnętrzną muzykę zharmonizowaną z zieloną pieśnią, jaka kiedyś wypełniała tę część świata. Była nią muzyka drzew i mniejszych roślin, owadów i pająków, owłosionych i łuskowatych stworzeń,

mieszkających w liściach, na ziemi, pod ziemią albo w zimnych strumieniach i gwałtownych nurtach rzek. Alvin był do niej dostrojony, znał wszystkie melodie i dlatego, zamiast ze strażnikami, jego serce śpiewało z istotami wolnymi.

Słyszały jego pieśń, niesłyszalną dla ludzkich uszu, w smętnych resztkach pradawnych puszcz, w nowym życiu na porzuconych polach, od czterech albo i dziesięciu lat leżących odłogiem; słyszały go ostatnie nieliczne bizony, spokojne jelenie, drapieżne koty, towarzyskie kojoty i wilki. Słyszały go ptaki pod niebem i one przybyły pierwsze; parami, dziesiątkami, setkami odwiedzały miasteczko i przez chwilę śpiewały melodię muzyki Alvina. Ptaki dzienne przylatywały nocą i wszystkich mieszkańców budził hałas wielu pieśni. Przylatywały, śpiewały przez godzinę i odlatywały, ale wspomnienie ich pieśni trwało.

Najpierw ptaki, a potem śmiechy kojotów i wycie wilków, nie aż tak bliskie, by przerażało, ale dostatecznie, by wypełnić nie dostrojone serca mieszkańców rodzajem lęku, kiedy budzili się zlani potem. Wszędzie widzieli ślady rosomaków, które jednak nie rozrywały niczego ani nie kradły; nie więcej niż zwykła liczba kur znikała nocą, choć lisie łapy biegały po dachu każdego kurnika. Wiewiórki zbierające orzechy pędziły nieustraszenie przez miasto i zostawiały skromne dary przy budynku sądu. Ryby skakały w Hatrack i w pobliskich strumieniach, tańczyły srebrzyście w zalanej księżycowym blaskiem wodzie, a krople niczym gwiazdy opadały z powrotem w toń.

Alvin spał w tym czasie, tak jak spała większość mieszkańców Hatrack, więc bardzo powoli rozchodziła się pogłoska, że cały świat się roztrzepotał. Nawet wtedy tylko nieliczni wiązali to z pobytem Alvina w więzieniu. Ludzie myślący logicznie twierdzili, że nie może istnieć żaden związek. Doktor Whitley Physicker śmiało powtarzał, kiedy go pytano (a czasem nawet bez pytania): „Pierwszy powiem, że źle jest trzymać tego chłopca w celi. Ale nie wynika z tego, że roje nie żądlących pszczół, jakie przeleciały wczoraj w nocy przez miasto, oznaczają coś więcej niż wróżbę ostrej zimy. Albo łagodnej; nie znam się na pszczołach. Ale nie ma to żadnego związku z Alvinem w więzieniu, ponieważ natura nie przejmuje się naszymi prawnymi dysputami".

To prawda, lecz — jak mógłby powiedzieć prawnik — nie ma związku ze sprawą. To nie uwięzienie Alvina wzbudziło niepokój w naturze; to Alvin śpiewający przez sen przywoływał wszystkie żywe istoty. A ci nieliczni w miasteczku, którzy słyszeli słabe echo jego pieśni — tacy jak na przykład John Binder albo kapitan Harrison, który wyczuwał takie drgnienia przez całe życie — no cóż, oni nie budzili się od śpiewu ptaków, chichotu kojotów i wycia wilków czy

skrobania wiewiórczych łapek po dachówkach. Takie zjawiska wkomponowywały się w ich sny, gdyż tam było ich miejsce, tam wszystko pasowało, a pieśń Alvina i naturalna zielona pieśń lasu przemawiały spokojem w głębi ich serc. Słyszeli pogłoski, ale nie rozumieli, o co tyle zamieszania. A jeśli Pijana Freda piła trochę mniej i spała nieco lepiej, kto mógł to zauważyć oprócz niej samej?

* * *

Verily Cooper dotarł do Vigor Kościoła po wielu trudach, ale w końcu nikomu nie było łatwo. Wszyscy słyszeli, że w miasteczku każą przyjezdnym słuchać posępnej, mrocznej opowieści, więc nic dziwnego, że nie jeździły tamtędy dyliżanse. Torów kolejowych nie doprowadzono jeszcze tak daleko na zachód, ale nawet kiedy tu dotrą, raczej nie powstanie odnoga w tę stronę i nie będzie stacji Vigor. Miasteczko, które według Armora-of-God Weavera miało być bramą na zachód, stało się wieczną prowincją.

Verily ruszył więc pociągiem — roztrzęsionym i cuchnącym, ale szybkim i tanim — do Dekane. Dalej pojechał dyliżansem. Zupełnym przypadkiem szlak poprowadził go przez miasto Hatrack River, gdzie w więzieniu siedział zamknięty człowiek, którego poszukiwał: brat Calvina, Alvin. Jednak był to ekspresowy dyliżans, nie zatrzymał się w Hatrack na posiłek w zajeździe Horacego Guestera. Verily posłuchałby tam plotek i przerwał podróż, a tak dojechał do Carthage City, przesiadł się na powolny dyliżans zdążający na północny zachód, do Wobbish, wysiadł w sennym miasteczku z przeprawą promową, po czym kupił konia i jucznego muła, żeby zapakować bagaż, którego miał niewiele, ale więcej niż chciałby wieźć na siodle. Jechał na północ przez cały dzień, zatrzymał się na noc na jakiejś farmie, jechał kolejny dzień, aż wreszcie, późnym popołudniem, tuż przed zachodem słońca, wszedł do sklepu Armora, gdzie paliły się lampy i Verily miał nadzieję znaleźć nocleg.

— Przykro mi — oświadczył człowiek, który otworzył mu drzwi. — Nie udzielamy noclegów, zresztą nieczęsto są w tym mieście potrzebne. Rodzina młynarza, trochę dalej drogą, przyjmuje podróżnych, jacy tu trafią. Ale… Cóż, przyjacielu, wejdź, ponieważ prawie cała rodzina młynarza siedzi teraz w moim sklepie, a poza tym muszą wam opowiedzieć pewną historię, zanim wy i oni pójdziecie spać.

— Słyszałem o niej — zapewnił Verily Cooper. — I nie lękam się jej wysłuchać.

— Czyli nie przybyliście tu przypadkiem.

— Przy tych wszystkich znakach na drodze ostrzegających wędrowców? — Verily przestąpił próg. — Mam konia i muła, którymi trzeba się zająć…

Usłyszeli go ludzie siedzący na stołkach i krzesłach wokół sklepowej lady. Natychmiast przeskoczyli ją dwaj młodzi mężczyźni o identycznych twarzach.

— Ja wezmę konia — rzekł jeden.

— Więc dla mnie zostaje muł… i pewnie bagaż.

— Ale ja mam też siodło, więc wychodzi po równo.

Verily Cooper wyciągnął rękę z amerykańską bezpośredniością, której zdążył się nauczyć.

— Jestem Verily Cooper.

— Wastenot Miller — przedstawił się pierwszy chłopak.

— A ja jestem Wantnot — dodał drugi.

— Purytanie, sądząc po imionach.

— Raczej nie — odezwał się ociężały mężczyzna w średnim wieku, siedzący na stołku w kącie. — Nazywanie dzieci od cnót nie jest monopolem religijnych fanatyków z Nowej Anglii.

Po raz pierwszy Verily wyczuł ciężką atmosferę podejrzliwości. Zrozumiał, że się zastanawiają, kim jest i po co tu przybył.

— W tym mieście nie ma pewnie drugiego młynarza? — zapytał.

— Tylko ja.

— Więc musi pan być Alvinem Millerem seniorem. — Verily podszedł do niego z wyciągniętą ręką.

Młynarz uścisnął ją z wahaniem.

— Zgadliście, młodzieńcze, a ja o was wiem tylko tyle, że przychodzicie wieczorem, że nikt się was nie spodziewał i że gadacie jak napuszony Anglik z wykształceniem. Mieliśmy tu kaznodzieję, który też tak gadał. Już go nie ma.

Z tonu głosu Verily wywnioskował, że nie rozstali się w przyjaźni.

— Nazywam się Verily Cooper — przedstawił się. — Mój ojciec robił beczki, a ja w dzieciństwie wyuczyłem się tego fachu. Ale ma pan rację, zdobyłem wykształcenie i jestem teraz barristerem.

Młynarz zdziwił się.

— Z bednarza na barristera — mruknął. — Powiem szczerze, że nie wiem, co to za różnica.

— Barrister to angielski prawnik — podpowiedział człowiek, który otworzył drzwi.

Jego niechętny głos i to, jak wszyscy nagle zesztywnieli, zdradziły Verily'emu, że nie lubią tutaj prawników.

— Zapewniam, że porzuciłem ten zawód, kiedy opuściłem Anglię. Wątpię, czy pozwolą mi praktykować w Stanach Zjednoczonych bez jakiegoś egzaminu. Zresztą nie po to przyjechałem.

Żona młynarza — tak wywnioskował Verily z jej wieku, bo nie siedziała przy mężu — przemówiła o wiele mniej wrogo:

— Człowiek przybywa aż z Anglii akurat do tego amerykańskiego miasta, które każdy swój dzień przeżywa w hańbie. Przyznaję, że jestem ciekawa. Prawnik czy nie, jaki tu macie interes?

— Spotkałem kiedyś waszego syna, jak sądzę. Powiedział… To było niemal śmieszne, jak wszyscy nagle pochylili się w jego stronę.

— Widzieliście Calvina?

— Tego samego — potwierdził Verily. — Bardzo interesujący młody człowiek.

Powstrzymali się od komentarzy.

No cóż, Verily nauczył się jako prawnik, że nie musi każdej chwili milczenia wypełniać własną przemową. Nie miał pewności, jaki jest stosunek rodziny do Calvina. Chłopak był przecież kłamcą tak wytrawnym, że musiał praktykować tę sztukę tutaj, w domu, zanim zaczął ją wykorzystywać w wielkim świecie. Dlatego mógł być znienawidzony. Albo kochany i utęskniony. Verily nie chciał popełnić błędu.

Wreszcie, co było do przewidzenia, odezwała się matka Calvina.

— Widzieliście mojego chłopca? Gdzie to było? Co się z nim dzieje?

— Spotkałem go w Londynie. Mówił i zachowywał się jak rozsądny młodzieniec. Jest w dobrym zdrowiu.

Pokiwali głowami i Verily zauważył, że z ulgą przyjęli wieści. A więc kochali go i obawiali się o niego.

Wysoki, szczupły mężczyzna, mniej więcej w wieku Verily'ego, wyciągnął długie nogi.

— Jestem pewien, panie Cooper, że nie przyjechaliście aż tutaj tylko po to, żeby nam powiedzieć, jak to Calvin dobrze sobie radzi.

— Nie, w samej rzeczy. Chodziło o coś, co Calvin powiedział. — Verily raz jeszcze przyjrzał się im uważnie. Duża rodzina, jednocześnie gościnna i podejrzliwa wobec obcego, zatroskana o syna i nieufna. — Mówił o swoim bracie.

Verily zerknął na szczupłego, który przed chwilą się odezwał.

— O człowieku obdarzonym talentem przewyższającym jego własny.

Szczupły zaśmiał się głośno, kilkoro innych zachichotało.

— Nie opowiadajcie tu bajek! Calvin nigdy by tak Alvina nie określił.

Czyli jednak szczupły nie jest Alvinem juniorem.

— Cóż, powiedzmy, że czytałem między wierszami, jak się to mówi. Wiecie, że w Anglii używanie tajemnych sił i wiedzy jest surowo karane. Dlatego my, Anglicy, jesteśmy w tych sprawach ignorantami. Zrozumiałem jednak, że jeśli jest na świecie ktoś, kto

pomoże mi zrozumieć te kwestie, jest nim Alvin, brat Calvina.

Wszyscy przytaknęli i pokiwali głowami, niektórzy nawet z uśmiechem. Tylko ojciec nadal był podejrzliwy.

— Dlaczego angielski prawnik chce się tego dowiedzieć?

Verily ze zdumieniem odkrył, że zabrakło mu nagle słów.

Myślał tylko o znalezieniu Alvina, syna młynarza… Ale oczywiście, musi wytłumaczyć, dlaczego interesują go tajemne moce. Co może powiedzieć? Przez całe życie ukrywał swój dar, swoje przekleństwo; teraz nie potrafił go wyjawić, czy nawet zasugerować.

Podszedł do lady i chwycił dwie duże szpule nici; stały tam zapewne, żeby każdy mógł sobie odmierzyć potrzebną długość i nawinąć na mniejszą szpulkę. Zetknął szpule razem i dopasował idealnie, tak że nikt nie mógłby ich rozdzielić.

Złączone szpule wręczył młynarzowi. Alvin Miller spróbował je rozsunąć, ale nie był zdziwiony, kiedy mu się nie udało. Z uśmiechem spojrzał na żonę.

— Popatrz no — rzucił. — Prawnik, który potrafi zrobić coś pożytecznego. Istny cud.

Szpule przechodziły z ręki do ręki, aż dotarły do szczupłego mężczyzny. Bez namysłu rozdzielił je i postawił na ladzie.

— Takie połączone szpulki do niczego się nie nadają — zauważył.

Verily był wstrząśnięty.

— Ty jesteś Alvinem! — szepnął.

— Nie. Mam na imię Measure, ale ćwiczyłem sztukę brata. Ostatnio tym się właśnie zajmował: uczył ludzi tego swojego Stwarzania, a ja byłem nie gorszym uczniem od innych. Ale wy… Wiem, że chciałby was poznać.

— Tak… — Verily nie próbował nawet ukrywać entuzjazmu. — Po to przyjechałem: żeby się od niego uczyć. Tak się cieszę, że i on chce nauczać.

— Owszem. — Measure uśmiechnął się. — On chce nauczać, a wy chcecie się uczyć. Ale mam przeczucie, że zanim to nastąpi, musicie mu wyświadczyć inną przysługę.

Verily nie zdziwił się. Oczywiście, nauka ma swoją cenę. Może chodzi o próbę lojalności…

— Zrobię wszystko co konieczne, żeby Stwórca pokazał mi, dlaczego otrzymałem ten dar i jak z niego korzystać.

Pani Miller pokiwała głową.

— Myślę, że możecie się nadać — stwierdziła. — Może Bóg was tu zesłał.

Młynarz burknął coś niechętnie.

— Wystarczyłoby, gdybyście nauczyli mojego męża dobrych manier — dodała — ale obawiam się, że przekracza to możliwości nawet dobrotliwego Boga.

— Nie znoszę, kiedy mówisz jak wielebny Thrower — oświadczył ponuro młynarz.

— Wiem o tym, kochanie. Panie Cooper, a gdybyście jednak chcieli praktykować, nie w Wobbish, ale w stanie Hio, jak długo musielibyście się przygotowywać?

— Sam nie wiem… — odparł. — Zależy, jak bardzo przepisy prawa w Ameryce różnią się od wymiaru sprawiedliwości i prawa w Anglii. Może tylko kilka dni, a może o wiele dłużej. Ale zapewniam was, że nie przyjechałem tu, by praktykować prawo, lecz studiować prawa wyższego rzędu.

— Chcecie wiedzieć, dlaczego spotkaliśmy się wszyscy w sklepie Armora? — zapytał młynarz. — Radziliśmy, jak zdobyć pieniądze na prawnika. Wiedzieliśmy, że potrzebny nam dobry prawnik, pierwszej klasy, ale wiemy też, że jakaś bogata i sekretna grupa w Carthage wynajęła już najlepszych adwokatów w Hio do pracy przeciw nam. Czyli problem jest, kogo znaleźć i jak, na miłość boską, mu zapłacić. Moja żona uważa, że Bóg was zesłał, ale moim zdaniem sami żeście się tu sprowadzili albo, gdyby spojrzeć na to z innej strony, mój chłopak Alvin was sprowadził. Chociaż kto to wie, zawsze powtarzam. Jesteście u nas. I jesteście prawnikiem. I chcecie czegoś od Alvina.

— Proponuje pan wymianę usług? — upewnił się Verily.

— Właściwie nie — wtrącił Measure, wstając. Verily zawsze uważał się za człowieka wysokiego, ale ten młody mężczyzna wyrastał nad nim jak wieża. — Alvin będzie was uczył za darmo, jeśli tylko sami tego chcecie. Kłopot w tym, że naprawdę musicie wyświadczyć nam usługę jako prawnik, zanim Alvin przyjmie was na ucznia. Tak się złożyło.

Verily zdziwił się. Jeśli to nie wymiana usług, to co?

— Wyraźnie się nie rozumiemy, panie Cooper — odezwał się kupiec za jego plecami. — Jesteście nam potrzebni, żeby bronić Alvina juniora w sądzie. W tej chwili siedzi w więzieniu w Hatrack River, oskarżony o kradzież cudzego złota. Domyślam się, że wniosą też masę innych oskarżeń. Koniecznie chcą na długo wsadzić chłopaka do więzienia, może nawet powiesić. A wy zjawiacie się akurat w takiej chwili… Rozumiecie chyba, że to nadzwyczaj szczęśliwy przypadek.

— W więzieniu… — powtórzył Verily.

— W Hatrack River — dodał Armor.

— Przejeżdżałem tamtędy niecały tydzień temu.

— No to mijaliście budynek sądu, gdzie go trzymają.

— Dobrze, zajmę się tym. Kiedy proces?

— Właściwie kiedy tylko zechcecie. Tamtejszy sędzia jest przyjacielem Alvina, podobnie jak większość mieszkańców, a przynajmniej tych, którzy coś znaczą. Nie mogą go wypuścić, choćby i chcieli, ale odsuną proces, na ile będzie trzeba, żeby was przyjęli do

palestry.

Verily pokiwał głową.

— Zrobię to. Ale… dziwię się. Nie wiecie nawet, czy jestem dobrym adwokatem.

Measure zaśmiał się głośno.

— Dajcie spokój, przyjacielu. Myślicie, że nam wzrok odebrało? Spójrzcie na swoje ubranie! Jesteście bogaci i nie wzbogaciliście się tak na bednarstwie.

— Poza tym — dorzucił Armor — macie angielski akcent i eleganckie maniery. Ława przysięgłych w Hatrack będzie po stronie Alvina. Wszystko, co powiecie, i tak wyda im się strasznie mądre.

— Mówi pan, że tak naprawdę nie muszę być dobry. Wystarczy, że będę Anglikiem, adwokatem, żywym i obecnym na sali sądowej.

— Mniej więcej tak.

— W takim razie macie adwokata. A właściwie wasz syn ma. Jeśli mnie zechce.

— Alvin chce wyjść z więzienia oczyszczony z zarzutów — wyjaśnił z powagą Measure. — I chce uczyć ludzi, jak być Stwórcami. Myślę, że pasujecie do jego zamiarów.

— Podejdźcie tu!

Polecenie wydała pani Miller, a Verily zbliżył się posłusznie. Chwyciła oburącz jego prawą dłoń.

— Panie Verily Cooper — powiedziała. — Czy będziecie szczerym przyjacielem mojego syna?

Uświadomił sobie, że oczekuje od niego przysięgi, i to złożonej z całego serca.

— Tak, proszę pani. Będę jego szczerym przyjacielem.

Po tym przyrzeczeniu nie zapadła cisza, tylko rozległ się odgłos długo wstrzymywanego oddechu, teraz wypuszczonego. Verily nigdy jeszcze nie dał tak wprost odpowiedzi na pragnienie czyjegoś serca. Podniecało go to, ale i budziło odrobinę lęku.

Wrócili Wastenot i Wantnot.

— Koń i muł są rozsiodłane, nakarmione, napojone i wyczyszczone.

— Dziękuję bardzo — powiedział Verily.

Bliźniacy rezejrzeli się.

— Z czego wszyscy się tak cieszą?

— Znaleźliśmy prawnika dla Alvina — wyjaśnił Measure.

Wastenot i Wantnot także uśmiechnęli się szeroko.

— Świetnie. W takim razie wracajmy do domu, do łóżek.

— Nie — sprzeciwił się młynarz. — Mamy tu jeszcze jedną sprawę.

Radosny nastrój zniknął w jednej chwili.

— Siadajcie, panie Cooper — zaprosił młynarz. — Mamy do

opowiedzenia pewną historię. Smutną historię, a na jej końcu wszyscy ludzie w tym mieście, z wyjątkiem tych oto Armora i Measure'a, okrywają się hańbą.

Verily usiadł i słuchał.

ROZDZIAŁ 13 — MANEWRY

Vilate znowu przyniosła mu zapiekankę.

— Nie skończyłem jeszcze poprzedniej — zaprotestował Alvin. — Myślicie, że w brzuchu mam bezdenną otchłań?

— Taki wielki mężczyzna jak ty potrzebuje czegoś, co utrzyma mu mięso na kościach — odparła. — A nie nauczyłam się jeszcze robić połowy zapiekanki.

Alvin zachichotał. Ale kiedy wsunęła zapiekankę pod zakratowanymi drzwiami, zauważył, że ma na sobie nowe heksy, a do tego jeszcze wezwania i przywołania. Większość heksów rozpoznawał bez trudu — swego czasu sam je układał, dla ochrony i strzeżenia, czy nawet skrycia i ułagodzenia serca, które lepiej zabezpieczały, ale też były o wiele trudniejsze. Jednak to, co miała na sobie Vilate, przekraczało jego możliwości. A że heksy i tak pewnie na niego nie działały, nie mógł zgadnąć, do czego służą. I nie mógł jej zapytać.

Chyba jakieś ukrycie. Heks wydawał się podobny do przeoczmnie, który zawsze jest bardzo subtelny i zwykle działa tylko w jednym kierunku.

Schylił się, podniósł zapiekankę i odstawił na mały stolik, jaki pozwolili mu wstawić do celi.

— Alvinie — odezwała się cicho.

— Słucham.

— Psst…

Spojrzał zdziwiony, nie pojmując, skąd taka tajemniczość.

— Nie chcę, żeby mnie słyszeli — szepnęła.

Zerknęła na drzwi biura szeryfa, gdzie strażnik z pewnością podsłuchiwał. Skinęła na Alvina.

To, co przeszło mu wtedy przez głowę, trochę go zawstydziło. Czyżby snuła o nim takie same romantyczne myśli, jak czasem jego nawiedzały w samotne noce? Może skądś wiedziała, że widzi poprzez jej fałszywą urodę i lubi ją taką, jaka jest naprawdę? Może zobaczyła w nim kogoś, kogo mogła pokochać, tak jak on o niej myślał, widząc, że pierwsza miłość jest dla niego stracona?

Podszedł bliżej.

— Alvinie, czy chcesz stąd uciec? — spytała szeptem.

Pochyliła się do kraty i przytknęła czoło do prętów. Czyżby nieśmiało oferowała mu pocałunek?

Dotknął jej podbródka, uniósł twarz. Czy chciała, żeby ją pocałował? Uśmiechnął się smutnie.

— Vilate, gdybym chciał stąd uciec…

Nie zdążył dokończyć zdania, powiedzieć: „to mógłbym stąd wyjść bez trudu”. Ponieważ w tej właśnie chwili strażnik otworzył

drzwi i zajrzał do aresztu. Natychmiast zrobił przerażoną minę; patrzył przez nich oboje, jakby wcale ich nie widział.

— Jak, do diabła?! — wrzasnął i wybiegł.

Alvin usłyszał tupot jego nóg i wołania:

— Szeryfie! Szeryfie Doggly! Alvin przyjrzał się Vilate.

— Co mu się stało? — zapytał.

Kłapnęła na niego sztucznymi zębami, po czym uśmiechnęła się niewinnie.

— Skąd mogę wiedzieć? Ale to chyba zbyt niebezpieczna chwila, żeby rozmawiać.

Podkasała spódnice i wymaszerowała z aresztu.

Alvin nie miał pojęcia, o co jej chodziło, ale wiedział tyle: działanie heksów dotyczyło zastępcy szeryfa i tego, co zobaczył, kiedy otworzył drzwi. A że wyczuł też wezwanie i przywołanie, to Vilate mogła być powodem jego wejścia, a także przyczyną, że tak się przestraszył i uciekł, niczego nie sprawdzając.

Kłapnęła górnymi zębami, żeby okazać mi pogardę, myślał Alvin. Tak jak do Horacego, jej wroga. W jakiś sposób stałem się jej wrogiem.

Zerknął na zapiekankę. Potem przyniósł ją i przesunął pod drzwiami.

Pięć minut później zastępca wrócił z szeryfem i prokuratorem okręgowym.

— Co się tu dzieje, do licha? — dopytywał się szeryf Doggly. — Przecież jest tam, tak samo jak zawsze! Billy, piłeś coś?

— Przysięgam, że nie było tu ani żywej duszy — przekonywał strażnik. — Widziałem, jak Vilate Franker wchodzi z zapiekanką…

— Szeryfie, o czym on mówi? — zapytał Alvin. — Jakieś pięć minut temu wszedł tu, a potem zaczął wrzeszczeć i wybiegł. Tak wystraszył biedną Vilate, że uciekła, jakby ją gonił niedźwiedź.

— Nie było go tutaj, klnę się na Boga i wszystkie anioły! — zapewniał Billy Hunter.

— Stałem przy drzwiach — oświadczył Alvin.

— Może się schylił, żeby wziąć tę zapiekankę, a ty go nie zauważyłeś — zgadywał szeryf.

— Nie. — Alvin nie chciał kłamać. — Stałem wyprostowany. Tam leży zapiekanka. Możecie ją zjeść, jeśli macie ochotę. Mówiłem pannie Vilate, że jeszcze nie skończyłem poprzedniej.

— Nie chcę twojego jedzenia — odparł Billy Hunter. — Nie wiem, co zrobiłeś, ale przez ciebie wyszedłem na durnia.

— Na to nie trzeba ci pomocy Alvina — mruknął Po Doggly.

Marty Laws, prokurator okręgowy, zarechotał głośno. Zwykle śmiał się w najgorszej możliwej chwili i tylko wszystko komplikował.

Billy spojrzał gniewnie na Alvina.

— Cóż, Alvinie, musimy chyba zwolnić cię warunkowo — stwierdził Marty. — Nie możesz tak wyskakiwać sobie z więzienia na spacer, kiedy ci przyjdzie ochota.

— Czyli mi wierzycie — odetchnął zastępca szeryfa. Marty wzniósł oczy ku niebu.

— Ja tam nikomu nie wierzę — oznajmił szeryf Doggly. — A Alvin nigdzie nie wyskakiwał. Prawda, Alvinie?

— Nie, panie szeryfie. Nawet palca nie wysunąłem z celi. Żaden z nich nie próbował nawet udawać, że Alvin nie mógłby wyjść, gdyby zechciał.

— Chcesz powiedzieć, że jestem kłamcą? — obruszył się Billy.

— Chcę powiedzieć, że się pomyliłeś — wyjaśnił Alvin. — Może ktoś cię oszukał, żebyś pomyślał to, co pomyślałeś, i zobaczył to, co zobaczyłeś.

— Ktoś tu kogoś oszukuje — zgodził się Billy Hunter.

Wyszli. Alvin usiadł na pryczy i przyglądał się, jak mrówka biega po podłodze celi, szukając czegoś do jedzenia. Niedaleko stoi zapiekanka, całkiem blisko… I rzeczywiście, mrówka zawróciła, zgodnie z poradą, chociaż słowa były zbyt trudne, by zmieścić się w jej maleńkim umyśle. Nie, mrówka odebrała tylko wiadomość o pożywieniu i kierunku; po minucie czy dwóch wdrapała się na talerz i ruszyła wokół ciasta. A potem odeszła, by poszukać koleżanek i sprowadzić je tutaj na obiad. Może komuś jednak przyda się ta zapiekanka.

Heksy Vilate służyły ukryciu, zgadza się; były skierowane na drzwi. Skłoniła go, żeby stanął blisko, objęty silnym przeocz-mnie, więc kiedy zajrzał Billy Hunter, nikogo nie zauważył.

Ale dlaczego? Co mogło jej przyjść z takiej sztuczki?

Mimo zdziwienia, w Alvinie wrzała złość. Nie tyle na Vilate, ile na siebie, że okazał się takim głupcem. Robił słodkie oczy do kobiety ze sztucznymi zębami i heksami urody. Lubił ją, choć wiedział, że jest zwykłą plotkarką, że połowa opowiadanych przez nią historii jest pewnie zmyślona.

A najgorsze, że kiedy znowu zobaczy Peggy — jeśli znowu zobaczy Peggy — będzie wiedziała, jakim okazał się głupcem, bo niemal zakochał się w kobiecie, o której wiedział, że składa się tylko ze sztuczek i kłamstw.

Drzwi otworzyły się, Bill Hunter podszedł do celi i podniósł zapiekankę.

— Szkoda, żeby się zmarnowała, nawet jeśli jesteś kłamcą — oświadczył.

— Jak mówiłem, Billy, możesz ją sobie zjeść. Chociaż właściwie przed chwilą prawie obiecałem ją mrówce.

Billy spojrzał ponuro, z pewnością przekonany, że Alvin się z

niego naśmiewa, a nie mówi samą prawdę. Rzeczywiście, trochę się naśmiewał, choć raczej z sytuacji niż ze strażnika. Musi omówić to z Arthurem Stuartem, jak tylko chłopiec go odwiedzi; może on zgadnie, o co chodziło Vilate.

Mrówka powróciła na czele kolumny sióstr. Znalazły tylko trochę okruchów, ale to też coś, prawda? Alvin obserwował, jak z wysiłkiem manewrują sporymi kawałkami ciasta. Żeby im pomóc, wysłał swój przenikacz i rozkruszył ciasto na mniejsze części. Mrówki poradziły sobie z nimi bez trudu i odmaszerowały. Na pewno w mrowisku będzie dzisiaj bankiet.

W brzuchu mu zaburczało. Szczerze mówiąc, zjadłby tę zapiekankę i pewnie nie zostawiłby wiele. Ale nie miał zamiaru jeść niczego, co pochodzi od Vilate Franker. Już nigdy. Nie wolno ufać tej kobiecie.

Kłapnęła na mnie zębami. Nienawidzi mnie. Dlaczego?

* * *

Nic się nie dało zrobić. Nawet przy najszczęśliwszym doborze ławy przysięgłych, nawet z tym nowym angielskim prawnikiem jako adwokatem, mała Peggy widziała co najwyżej trzy szanse na cztery, że Alvin zostanie uniewinniony, a to za mało. Powinna jechać do niego, powinna być na miejscu, gdyby przyszło zeznawać. Co prawda w Hatrack zamieszkało wielu nowych przybyszów, ale jedno było pewne: jeśli żagiew Peggy powie, że coś jest prawdą, uwierzą. Ludzie w Hatrack wiedzieli, że widzi prawdę; przekonali się też — czasem płacąc sporą cenę — że nigdy nie mówiła czegoś, co prawdą nie jest, choć często byli wdzięczni, że nie zdradza jej całej.

Tylko Peggy mogła wiedzieć, o jak wielu strasznych, wstydliwych czy smutnych tajemnicach nie wspomniała. Ale milczała. Przyzwyczaiła się do przechowywania ludzkich tajemnic, przyzwyczaiła się od najmłodszych lat, kiedy musiała żyć z mrocznym sekretem ojca — z jego wspomnieniem cudzołóstwa. Od tego czasu nauczyła się nie osądzać. Pokochała nawet panią Modesty, kobietę, z którą zdradził matkę jej ojciec, stary Horacy Guester. Pani Modesty sama stała się dla niej drugą matką, dając życie nie ciału, ale duszy, życie eleganckiego towarzystwa, życie gracji i piękna, które Peggy, być może, zbyt wysoko ceniła.

Zbyt wysoko, bo niewiele będzie gracji i piękna w przyszłym życiu Alvina, a z jego przyszłością Peggy była związana, czy tego chciała, czy nie.

Ależ kłamstwo, pomyślała. „Chciała czy nie”, akurat. Gdybym mogła, odeszłabym od Alvina, nie dbając, czy zostanie w więzieniu, czy utopi się w Hio. Jestem związana z Alvinem Smithem, ponieważ go kocham, kocham tego, kim się stanie, i chcę uczestniczyć w tym, co uczyni. Nawet z tym, co trudne. Nawet z tym, co niewdzięczne, niewychowane i głupie.

Ruszyła zatem do Hatrack. Powoli.

Pewnego dnia przejeżdżała przez miasto Wheelwright w północnym Appalachee. Leżało nad Hio, trochę powyżej ujścia Hatrack — tak blisko domu, że mogła wynająć powóz i odpłynąć ostatnim promem, ufając, że księżyc i zdolności żagwi doprowadzą ją bezpiecznie do celu. Mogła, ale zatrzymała się na obiad w restauracji, gdzie już kiedyś bywała, gdzie jedzenie było świeże, zapachy przyjemne, a towarzystwo przyzwoite — we wszystkich trzech kategoriach miła odmiana po długich dniach spędzonych w drodze.

Kiedy jadła, usłyszała jakiś gwar na ulicy — grała orkiestra, dość fałszywie, ale z wyraźnym entuzjazmem. Ludzie krzyczeli.

— Jakaś parada? — spytała kelnera.

— Przecież wie pani, że już za parę tygodni mamy wybory prezydenta — odpowiedział.

Wiedziała, ale nie zwracała na to uwagi. Prawie w każdym mijanym miasteczku ktoś stawał przeciwko komuś innemu w walce o jakiś urząd. Ale to nieistotne wobec zniesienia niewolnictwa, nie mówiąc już o jej troskach związanych z Alvinem. Nie przejmowała się — aż do dzisiaj — kto wygrywa w tych wyborach. W Appalachee, tak jak w innych stanach niewolniczych, nie znalazł się nikt tak odważny, by otwarcie przedstawić program walki z niewolnictwem. Gwarantowałoby mu to darmowy kostium ze smoły i pierza oraz wyjazd z miasta, jeśli nie gorzej; ci, co kochali niewolnictwo, mieli twarde serca, a ci, co go nienawidzili, byli zwykle pokorni i nie potrafili stanąć razem. Jeszcze nie.

— Ktoś przemawia?

— Pewnie Chybotliwy Kanoe.

Drgnęła, od razu pojmując, o kim mówi kelner.

— Harrison?

— Myślę, że wygra w Wheelwright. Ale już nie na południu, gdzie plemię Cherriky jest bardzo liczne. Uważają, że chce im odebrać prawa. I niewiele zdziała w Irrakwa, bo to kraj Czerwonych. Ale widzi pani, Biali nie są szczęśliwi, że Irrakwa rządzą kolejami, a Cherriky mają płatne drogi przez góry.

— Biali będą z czystej zazdrości głosować na mordercę?

Kelner uśmiechnął się blado.

— Niektórzy mówią, że jeśli jakiś czerwony szaman rzucił czar na Chybotliwego Kanoe, to jeszcze nie znaczy, że chłop zrobił coś złego.

Czerwoni wściekają się o byle co.

— Rzeź tysięcy niewinnych kobiet i dzieci… Rzeczywiście, jak coś takiego mogło ich urazić…

Kelner wzruszył ramionami.

— Nie stać mnie na zdecydowane opinie w sprawach politycznych, psze pani.

Ale widziała, że miał zdecydowane opinie i całkiem inne od niej.

Zapłaciła za posiłek i zostawiła napiwek na stole — dlaczego z powodu poglądów politycznych odbierać komuś chleb? Potem wyszła zobaczyć, co się dzieje. Na ulicy niedaleko restauracji stał wóz przerobiony pospiesznie na trybunę, ozdobiony czerwonymi, białymi i niebieskimi wstęgami sztandaru Stanów Zjednoczonych. Ani śladu czerwieni i zieleni, dawnej flagi niepodległego Appalachee, zanim przyłączyło się do związku. Oczywiście — to były barwy Cherriky: czerwony od Czerwonych, zielony od lasów. Patrick Henry i Thomas Jefferson przyjęli je jako kolory wolnego Appalachee; dla tego sztandaru zginął George Washington. Teraz jednak, choć inni politycy wciąż odwoływali się do dawnej lojalności, Harrison nie mógł raczej przypominać sojuszu Czerwonych i Białych, który wywalczył wolność i zwyciężył króla w Camelocie. Nie z tymi zakrwawionymi rękami.

Rękami, które, ściskając pulpit, nawet w tej chwili ociekały krwią. Peggy, stojąc na drewnianym chodniku po drugiej stronie ulicy, ponad radosnym tłumem widziała twarz Williama Henry'ego Harrisona. Najpierw popatrzyła mu w oczy, jak każda kobieta patrzyłaby na każdego mężczyznę, by odkryć jego charakter. Potem jednak spojrzała głębiej, w płomień serca; zobaczyła rozwijającą się przed nim przyszłość. Nie miał przed nią tajemnic.

Zobaczyła, że wszystkie ścieżki prowadzą do jego zwycięstwa w wyborach. I to nie minimalnego zwycięstwa. Jego główny przeciwnik, pechowy prawnik Andrew Jackson z Tennizy, zostanie zmiażdżony i poniżony — a potem będzie cierpiał na wstydliwym stanowisku wiceprezydenta, które musiał przyjąć prowadzący wśród przegranych. Peggy uważała ten system za okrutny, za polityczny odpowiednik trzymania człowieka przez cztery lata w dybach. Ciekawe, że obaj kandydaci pochodzili z nowych, zachodnich stanów; jeszcze bardziej ciekawe, że obaj z terytoriów, gdzie dopuszczalne było niewolnictwo. Sprawy zmierzały w złym kierunku. Ale gorsze było to, co dostrzegła w myślach Harrisona: plany, jakie chciał zrealizować wraz ze swymi politycznymi kompanami.

Ich najdziwaczniejsze pomysły miały niewielką szansę na sukces — tylko kilka ścieżek w płomieniu serca Harrisona prowadziło do unii z Terytoriami Korony, na którą liczył. Nigdy nie będzie diukiem, to tylko politowania godne marzenia. Ale z pewnością powiedzie mu się polityczna destrukcja Czerwonych Irrakwa i Cherriky, ponieważ Biali,

zwłaszcza na zachodzie, byli na nią gotowi, chętni złamać potęgę ludzi, o których Harrison ośmielał się mówić jak o dzikusach.

— Bóg nie po to sprowadził chrześcijan na tę ziemię, żeby dzielili ją z poganami i barbarzyńcami! — krzyczał Harrison, a ludzie wiwatowali.

Harrisonowi uda się także rozszerzyć niewolnictwo poza jego obecne tereny: pozwoli właścicielom trzymać niewolników w swoich posiadłościach w wolnych stanach, z zachowaniem prawa własności, i zmuszać nieszczęśników do pracy — pod warunkiem że właściciel nadal będzie posiadał choćby skrawek ziemi w stanie niewolniczym i tam głosował. Dla osiągnięcia tego właśnie celu poparli Harrisona pewni ludzie. Kwestia Czerwonych wyniesie go na urząd, ale gdy zostanie prezydentem, kwestia niewolnictwa stanie się źródłem jego wpływów w Kongresie.

To było nie do zniesienia… Ale znosiła to, patrząc, jak zachęcał i ostrzegał, jak co pewien czas wznosił swe pokrwawione ręce.

— Doświadczyłem zdradzieckiego przekleństwa tajemnych mocy czerwonego człowieka i powiadam wam: jeśli tyle tylko potrafią, cieszmy się, bowiem to niewiele! Pewno, muszę częściej prać koszule… — Śmiali się z tego wiele razy, z każdego szczegółu trudnego życia z zakrwawionymi rękami. — I nikt nie chce mi pożyczyć chusteczki… — Znowu śmiech. — Ale nie powstrzymają mnie przed powiedzeniem prawdy, tak jak nie powstrzymają chrześcijan przed wyborem jedynego człowieka, który potrafił stanąć przeciwko czerwonym zdrajcom, przeciwko barbarzyńcom, co ubierają się jak Biali, ale w tajemnicy planują wziąć w posiadanie wszystko, tak jak wzięli już koleje i drogi…

I tak dalej. Bezsensowny bełkot, oczywiście, ale tłum rósł przez całe popołudnie. A kiedy o zmroku Harrison wreszcie zszedł z mównicy, ponieśli go na ramionach, żeby napoić piwem albo napchać jedzeniem, dzięki czemu uznają go za swojego. A Peggy Larner ściskała barierkę i na każdej ścieżce widziała, że ten człowiek zniszczy wszystkie jej dzieła, że stanie się przyczyną śmierci i cierpienia niezliczonych Czerwonych, o wiele większej ich liczby, niż dotąd cierpiała i zginęła z jego rąk.

Gdyby miała w ręku muszkiet, może ruszyłaby za nim i przebiła mu serce kulą.

Ale mordercza pasja minęła szybko, pozostawiając zawstydzenie. Nie jestem tą, która zabija. Jestem tą, która — jeśli może — uwalnia niewolnika; nie morduje jego pana.

Musi być jakiś sposób, by Harrisona powstrzymać. Alvin będzie znał ten sposób. A więc trzeba jak najszybciej dotrzeć do Hatrack River, nie tylko po to, by pomóc Alvinowi w czasie procesu, ale i zyskać jego pomoc w powstrzymaniu Harrisona. Może gdyby pojechał

do domu Bekki, przeszedł przez drzwi w jej starej chacie, zobaczył Tenska-Tawę… Może Czerwony Prorok potrafiłby zmienić swoją klątwę na bardziej skuteczną. Nie dostrzegała nic takiego w ścieżkach płomienia serca Alvina, ale nie wiedziała też, czy coś, co zrobi ona sama albo ktoś inny, nie otworzy nowych ścieżek, dających więcej nadziei.

Ale dzisiaj było już za późno. Musi spędzić noc w Wheelwright i jutro wyruszyć w drogę do Hatrack River.

* * *

— Przywożę panu, sir, najlepsze życzenia od pańskiej rodziny — oświadczył przybysz.

— Przyznaję, że nie dosłyszałem waszego nazwiska. — Alvin podniósł się z pryczy. — Jest już dość późno.

— Verily Cooper — przedstawił się obcy. — Proszę mi wybaczyć późny przyjazd. Pomyślałem, że lepiej porozmawiać z panem jeszcze dziś wieczorem, chodzi bowiem o obronę przed sądem jutro rano.

— Słyszałem, że sędzia w końcu zamierza wybrać przysięgłych.

— Tak, to ważne, oczywiście. Ale za radą przyjezdnego prawnika, pana Webstera, prokurator okręgowy wystąpi z kilkoma nieprzyjemnymi wnioskami. Na przykład z takim, by sporna własność została przekazana pod nadzór sądu.

— Sędzia na to nie pójdzie — stwierdził Alvin. — Wie, że jak tylko zabiorą pług z moich rąk, paru niespokojnych chłopców znad rzeki, nie wspominając o kilku co bardziej chciwych duszyczkach z miasta, poruszy niebo i ziemię, żeby go zdobyć. Jest ze złota; to wszystko, co wiedzą i co do nich przemawia. Ale kim jesteście, panie Cooper, i co to wszystko ma z wami wspólnego?

— Jestem pańskim obrońcą, panie Smith, jeśli mnie pan przyjmie.

Wręczył Alvinowi list.

Alvin natychmiast rozpoznał pismo Armora-of-God i podpisy swoich rodziców, braci i sióstr. Wszyscy potwierdzali, że uznali pana Coopera za człowieka o dobrym charakterze, a także informowali, że ktoś płaci wpływowemu prawnikowi z Nowej Anglii, nazwiskiem Daniel Webster, by kręcił się po okolicy i zbierał kłamstwa od wszystkich z Vigor Kościoła, którzy mają do Ahrina jakieś pretensje.

— Przecież nikogo nie skrzywdziłem! — zawołał Alvin. — Dlaczego mieliby kłamać?

— Panie Smith, muszę…

— Nazywajcie mnie Alvinem, dobrze? „Pan Smith” brzmi,

jakbyście mówili do mojego dawnego mistrza Makepeace'a, który mnie tutaj wpakował.

— Dobrze, Alvinie — powiedział Cooper. — A ty musisz mnie nazywać Verily.

— Jak tylko chcecie.

— Alvinie, doświadczenie mówi mi, że im lepszym jesteś człowiekiem, tym więcej ludzi czuje do ciebie niechęć z tego powodu. Szuka okazji, żeby rozzłościć się na ciebie, choćbyś nie wiem jak delikatnie z nimi postępował.

— No to nic mi nie grozi, jako że nie jestem takim wyjątkowo dobrym człowiekiem.

Cooper uśmiechnął się.

— Znam twojego brata Calvina — oznajmił.

Alvin uniósł brew.

— Chciałbym powiedzieć, że przyjaciel Calvina jest moim przyjacielem, ale nie mogę.

— Nienawiść Calvina do ciebie to chyba najlepsza rekomendacja twojego charakteru, jaką tylko mogę sobie wyobrazić. To ze względu na jego opowieść o tobie przybyłem, żeby się z tobą spotkać. Poznałem go w Londynie, rozumiesz, i postanowiłem natychmiast zamknąć tam moją praktykę, aby płynąć do Ameryki. Chciałem stanąć przed człowiekiem, który potrafi mnie nauczyć, kim jestem i po co mam takie zdolności.

Mówiąc to, Cooper podniósł leżące na podłodze Pismo Święte. Zamknął książkę i wręczył Alvinowi.

Alvin spróbował ją otworzyć, ale strony były spojone ze sobą tak mocno i ściśle, jakby trzymał w ręku klocek drewna w skórzanej oprawie.

Verily jeszcze raz wziął książkę i znów mu ją oddał. Tym razem otworzyła się sama na stronie, którą Alvin czytał.

— W Anglii mógłbym za to zginąć — rzekł Verily. — Mądrość rodziców i moja umiejętność ukrywania tego daru pozwoliły mi przeżyć. Ale muszę wiedzieć, co to jest. Muszę wiedzieć, dlaczego Bóg obdarza niektórych taką mocą. I co z nią robić. I kim ty jesteś.

Alvin położył się na pryczy.

— Nie do wiary — stwierdził. — Przepłynąłeś ocean, żeby się ze mną spotkać?

— Nie miałem pojęcia, że mogę ci się przydać. Szczerze mówiąc, przyszło mi nawet do głowy, że może to ręka opatrzności pchnęła mnie do studiów prawniczych, zamiast do bednarstwa, fachu ojca. Może było wiadomo, że pewnego dnia staniesz przeciwko srebrnemu językowi Daniela Webstera.

— A ty masz język ze złota, Verily?

— Łączę rzeczy. To mój… talent, jak mawiacie w Ameryce. I tym

też zajmuje się prawo. Wykorzystuję prawo, by spajać. Widzę, jak rzeczy do siebie pasują.

— A ten Webster… On chce użyć prawa, żeby rzeczy rozerwać.

— Na przykład ciebie i pług.

— Mnie i moich sąsiadów — dodał Alvin.

— A więc rozumiesz problem. Do dzisiaj znany byłeś jako człowiek wielkoduszny i dobry wobec wszystkich. Ale masz złoty pług i nikomu go nie pokazujesz. Masz fantastyczne bogactwo i się nie dzielisz. To jest ten klin, który Webster spróbuje wbić, aby odłupać cię od społeczności niby deskę od pnia.

— Kiedy chodzi o złoto, ludzie przekonują się, ile jest dla nich warta przyjaźń i lojalność. W przeliczeniu na pieniądze.

— I to wstyd, jak niska okazuje się czasem ta cena. — Verily uśmiechnął się smutno.

— A jaka jest twoja cena?

— Kiedy wyjdziesz stąd wolny, pozwolisz mi iść z tobą, uczyć się od ciebie, obserwować cię, uczestniczyć w tym, co robisz.

— Nie znasz mnie nawet, a proponujesz małżeństwo?

Verily zaśmiał się.

— Rzeczywiście, tak to zabrzmiało.

— W dodatku bez zwykłych korzyści — dodał Alvin. — Nie przeszkadza mi wędrówka z Arthurem Stuartem, bo on wie, kiedy milczeć. Ale nie wiem, czy mogę brać kogoś, kto chce podpatrzyć moje myśli, kto pilnuje mnie bez chwili przerwy.

— Jestem prawnikiem, więc mój fach to przemowy, ale zapewniam, że gdybym nie wiedział, kiedy i gdzie zachować milczenie, nie dożyłbym swoich lat w Anglii.

— Nie mogę ci niczego obiecać — stwierdził Alvin. — Czyli chyba jednak nie będziesz moim obrońcą. Nie mam czym zapłacić.

— Jedną obietnicę na pewno możesz mi złożyć — odparł Verily. — Że uczciwie dasz mi szansę.

Alvin przyjrzał mu się z uwagą i uznał, że młody człowiek raczej mu się podoba. Żałował, że nie ma talentu Peggy i nie może zajrzeć mu w umysł, zamiast oceniać tylko wygląd zewnętrzny.

— Tak, Verily, taką obietnicę mogę ci chyba złożyć — powiedział. — Dostaniesz uczciwą szansę, a jeśli taka zapłata ci wystarcza, to jesteś moim obrońcą.

— Umowa stoi. Teraz pozwolę ci znów się położyć. Jeszcze tylko jedno pytanie.

— Pytaj.

— Ten pług… Jak ważne jest, żeby pozostał w rękach twoich i nikogo innego?

— Jeśli sąd zażąda, żebym go oddał, wyrwę się z tego więzienia i do końca swych dni będę żył w ukryciu, zanim pozwolę komuś

dotknąć pługa.

— Może dokładniej. Czy to posiadanie jest ważne, czy samo widzenie go i dotykanie?

— Nie bardzo rozumiem.

— Czy ktoś mógłby go zobaczyć i dotknąć w twojej obecności?

— Co mu z tego przyjdzie?

— Webster będzie utrzymywał, że sąd ma prawo i obowiązek ustalić, czy pług naprawdę istnieje i czy naprawdę zrobiony jest ze złota, a to w celu ustalenia sprawiedliwej rekompensaty, gdybyś musiał spłacić panu Makepeace'owi Smithowi wartość przedmiotu sporu w gotówce.

Alvin huknął śmiechem.

— Przez cały ten czas w więzieniu ani razu nie przyszło mi do głowy, że mógłbym Makepeace'a spłacić.

— Nie sądzę, żeby to było możliwe — odparł Verily. — Myślę, że zależy mu na pługu i zwycięstwie, nie na pieniądzach.

— Racja, ale gdyby mógł dostać tylko pieniądze…

— Powiedz zatem: dopóki pług pozostaje w twoim posiadaniu…

— To chyba zależy, kto miałby patrzeć i dotykać.

— Póki tu jesteś, nikt nie zdoła go ukraść, prawda?

— Chyba nie.

— Więc jak dalece dajesz mi wolną rękę?

— Makepeace nie może go dotknąć — oświadczył Alvin. — Nie ze złośliwości to mówię, ale widzisz, ten pług jest żywy.

Verily uniósł brew.

— Nie oddycha, nie je ani nic takiego — tłumaczył Alvin. — Ale pług żyje pod ręką człowieka. Zależnie od człowieka. A dla Makepeace'a dotknięcie pługa w czasie, kiedy pogrążony jest w czarnym kłamstwie… Nie wiem, co by się z nim stało. Nie wiem, czy mógłby znowu bezpiecznie dotknąć metalu. Nie wiem, co by mu zrobiły młot i kowadło, gdyby z tak czarnym sercem dotknął pługa.

Verily oparł czoło o kraty i przymknął oczy.

— Źle się czujesz? — spytał Alvin.

— To podniecenie, że wreszcie spojrzałem wiedzy w twarz — odparł Verily. — Słabo mi.

— Tylko się nie wyrzygaj na podłogę, bo będę to musiał wąchać przez całą noc. — Alvin uśmiechnął się szeroko.

— Myślałem raczej o omdleniu — zapewnił Verily. — A zatem nie Makepeace ani nikt inny, kto żyje w… w czarnym kłamstwie. To przywodzi mi na myśl mojego przeciwnika, Daniela Webstera.

— Nie znam go. Ale może być uczciwym człowiekiem. Kłamca może przecież wynająć porządnego prawnika, nie sądzisz?

— Mógłby — przyznał Verily. — Ale taka kombinacja w końcu zniszczyłaby kłamcę.

— Do licha, Verily, kłamca sam siebie w końcu niszczy.

— Jesteś pewien? To znaczy w taki sposób, jak jesteś pewien, że pług żyje?

— Chyba nie. Ale muszę wierzyć, że to prawda. Inaczej jak mógłbym komuś zaufać?

— Myślę, że na dalszą metę masz rację. Na dalszą metę kłamstwo zakręca się w supły i ludzie w końcu widzą, że to kłamstwo. Ale ta meta jest bardzo daleko. Dalej niż życia wystarczy. Możesz od dawna być martwy, Alvinie, zanim umrze kłamstwo.

— Ostrzegasz mnie przed czymś konkretnym? — zdziwił się Alvin.

— Raczej nie. Ale te słowa brzmiały jak coś, co musiałem powiedzieć, a ty musiałeś usłyszeć.

— Powiedziałeś je. A ja usłyszałem. — Alvin uśmiechnął się. — Dobrej nocy, Verily Cooper.

— Dobrej nocy, Alvinie Smith.

* * *

Peggy Larner stanęła przy promie wczesnym rankiem, pośpiech zatykał jej dech jak ciasny gorset. Biały Morderca Harrison będzie prezydentem Stanów Zjednoczonych. Musiała porozmawiać z Alvinem, a ta rzeka, Hio, leżała jej na drodze.

Ale prom stał na drugim brzegu, co było rozsądne, ponieważ farmerzy potrzebowali go pierwsi, żeby dostarczyć towar na targ. Musiała więc czekać, chociaż się spieszyła. Na szczęście przewoźnicy pchnęli żerdziami i prom ruszył. Był przywiązany do metalowego pierścienia sunącego wzdłuż grubej liny przecinającej rzekę jakieś czterdzieści stóp nad głową. Tylko to słabe połączenie nie pozwalało mu spłynąć z prądem. Domyśliła się, że kiedy rzeka wzbiera, prom wcale nie kursuje, bo choćby lina była dość mocna, nie było drzew wystarczająco potężnych, by przywiązać do nich końce bez obawy, że jedno czy drugie wyrwie się z ziemi. Nad wodą nie da się zapanować linami, pierścieniami i sznurami, nie da się też tamami i mostami, łodziami czy tratwami, rurami czy rowami, dachami, oknami, ścianami i drzwiami. W dzieciństwie, kiedy obserwowała Alvina, dobrze poznała zdradliwość wody i jej chytrość.

Musiała pokonać rzekę i pokona ją.

Tak jak wielu przed nią. Myślała, ile to razy jej ojciec przekradał się do rzeki i ruszał łodzią na drugi brzeg, by ratować jakiegoś zbiegłego niewolnika i doprowadzić go w bezpieczne miejsce. Myślała,

jak wielu nieszczęśników docierało do tej rzeki bez pomocy; nie umieli pływać i albo poddawali się rozpaczy i czekali, aż dopadną ich Odszukiwacze z psami, albo ruszali dalej, szli przez wodę, aż stopy traciły oparcie w dennym mule i prąd ich porywał. Ciała tych ludzi zawsze odnajdywano na brzegu, w zatoczce czy na mieliźnie, pobielałe od wody, nabrzmiałe i straszne po śmierci. Ale duch, tak, duch był wolny; właściciel, który sądził, że posiada mężczyznę czy kobietę, tracił swoją własność, gdyż własność nie chciała być posiadana — niezależnie od ceny, jaką przyszło jej płacić.

Woda zabijała, to prawda, ale samo dotarcie do rzeki oznaczało wolność, w takim czy innym sensie, dla tych, którzy mieli dość odwagi albo gniewu, by po nią sięgnąć.

Harrison jednak odbierze tej rzece wszelkie znaczenie. Jeśli wprowadzi swoje prawa, to niewolnik, który przekroczy rzekę, wciąż będzie niewolnikiem; tylko ten, co zginie, odzyska wolność.

Jeden z przewoźników wydawał się znajomy. Już go kiedyś spotkała, choć wtedy nie brakowało mu ucha i nie miał takiej blizny na policzku. Teraz wąska biała linia znaczyła ślad po cięciu nożem, trochę krzywa i skręcona przy brwi i nad wargą. To była twarda walka. Kiedyś nikt nie mógł nawet tknąć tego brutalnego mężczyzny, a że wiedział o tym, stał się dręczycielem. Ale ktoś odebrał mu ochronny heks. Alvin walczył z tym człowiekiem, walczył w obronie Peggy, a kiedy walka dobiegła końca, rzeczny szczur został pokonany. Cóż, nie do końca: żył jeszcze, prawda?

— Mike Fink — powiedziała półgłosem, kiedy zeskoczył na brzeg.

Spojrzał na nią czujnie.

— Czy ja panią znam, psze pani?

Oczywiście, że jej nie znał. Kiedy spotkali się poprzednio, niecałe dwa lata temu, okrywała się heksami i wyglądała na starszą o wiele lat.

— Nie sądzę, żebyś mnie pamiętał — odparła. — Na pewno co rok przewozisz przez rzekę tysiące ludzi.

Pomógł jej wnieść torby na prom.

— Niech pani siądzie na środku, psze pani.

Siadła na ławeczce biegnącej przez całą długość promu. Mike Fink stanął przy niej i czekał; na pokład weszło jeszcze kilka osób, z pewnością miejscowych, bo nie mieli bagażu.

— Jesteście teraz przewoźnikiem — stwierdziła. Zerknął na nią.

— Kiedy was poznałam — ciągnęła — byliście twardym rzecznym szczurem.

Uśmiechnął się blado.

— Pani była tą damą — odgadł. — Zaheksowaną na sześć sposobów.

Zdziwiła się.

— Przejrzeliście je?

— Nie, psze pani. Ale je czułem. Patrzyła pani, jak się biję z tym chłopakiem z Hatrack River.

— Istotnie.

— Odebrał mi heks matki.

— Wiem.

— Tak sobie myślę, że wie pani prawie wszystko.

Przyjrzała mu się znowu.

— Wy też pełni jesteście wszelkiej wiedzy.

— Jest pani żagwią Peggy z Hatrack River. A ten chłopak, co mnie stłukł i odebrał heks, siedzi teraz w więzieniu w Hatrack za kradzież złota swojemu mistrzowi. Jeszcze za czasów, kiedy terminował u kowala.

— Przypuszczam, że was to cieszy?

Mike Fink pokręcił głową.

— Nie, psze pani.

I rzeczywiście, kiedy zajrzała w płomień jego serca, nie znalazła żadnej przyszłości, w której skrzywdziłby Alvina.

— A dlaczego wciąż tkwicie tutaj? Niecałe dziesięć mil od Hatrack, gdzie was pokonał?

— Gdzie zrobił ze mnie mężczyznę — poprawił ją Mike.

Wtedy naprawdę ją zdumiał.

— Tak to widzicie?

— Matka chciała, żebym był bezpieczny. Dlatego wytatuowała mi heks na tyłku. Ale nigdy nie pomyślała, co za człowiek wyrośnie z kogoś, kto nigdy nie obrywa, choćby nie wiem jak krzywdził innych. Zabijałem ludzi; niektórych złych, a niektórych nie tak złych. Odgryzałem uszy i nosy, łamałem ręce, a przez cały czas ni diabła mnie to obchodziło, wybaczy pani śmiałe słowo. Bo nikt mnie nigdy nie zranił ani nawet nie dotknął.

— A kiedy Alvin zabrał wam heks, przestaliście ranić ludzi?

— Nie, do diabła! — zawołał Mike Fink i ryknął śmiechem. — Zupełnie się pani nie zna na rzece, ot co! Nie. Każdy, kogo pobiłem, musiał mnie znaleźć, jak tylko się rozeszło, że chłopak od kowala spuścił mi takie lanie, aż wyłem. Musiałem walczyć z każdym grzechotnikiem i łasicą, każdym szczurem i kupą świńskiego gówna nad rzeką. I to nieraz. Widzi pani tę bliznę na twarzy? Widzi pani, jak włosy opadają mi prosto z boku głowy? To ślady dwóch walk, które prawie przegrałem. Ale resztę wygrałem. Dobrze mówię, Holly? Drugi przewoźnik obejrzał się.

— Nie słucham twoich przechwałek, nędzny strupożerco — odpowiedział spokojnie.

— Tłumaczyłem tej damie, że wygrałem każdą walkę, co do jednej.

— To by się zgadzało — przyznał Holly. — Pewno, zwykle strzelałeś do nich, jak tylko brali się do bitki.

— Za takie kłamstwa jak nic trafisz do piekła.

— Już tam sobie wybrałem pokój. A ty dwa razy dziennie będziesz opróżniał mój nocnik.

— Tylko po to, żebyś go potem wylizał! — huknął Mike Fink.

Oczywiście, Peggy czuła niechęć do ich wulgarności; ale też wyczuwała w tych przekomarzaniach ducha przyjaźni.

— Nie rozumiem tylko, panie Fink, dlaczego nigdy nie próbowaliście się mścić na chłopcu, który was pobił.

— On nie był chłopcem — oświadczył Mike. — Był mężczyzną. Pewno już taki się urodził. To ja byłem chłopcem. Chłopcem i draniem. On znał ból, a ja nie. On walczył w słusznej sprawie, a ja nie. Myślę o nim przez cały czas, psze pani. O nim i o pani. Jak pani na mnie patrzyła: jakbym był złośliwą ropuchą na czystej pościeli. Słyszałem, że on jest Stwórcą.

Kiwnęła głową.

— To dlaczego pozwala się trzymać w więzieniu?

Spojrzała tajemniczo.

— Niech pani nie udaje. Ktoś, kto mógł zmazać mi z tyłka tatuaż, a nawet go nie dotykał, nie da się zamknąć w żadnym zwyczajnym więzieniu.

To prawda…

— Myślę, że uważa się za niewinnego, a zatem chce stanąć przed sądem, udowodnić to i oczyścić swoje imię z niesławy.

— To jest piekielnym głupcem i mam nadzieję, że mu to pani powie, kiedy się spotkacie.

— A dlaczegóż to mam mu przekazać tę niezwykłą wiadomość?

Fink wyszczerzył zęby.

— Ponieważ wiem coś, czego on nie wie. Wiem, że jest taki gość w Carthage City, który chce śmierci Alvina. Planuje ekserdycję do Kenituck…

— Ekstradycję?

— Znaczy się, jeden stan prosi drugi, żeby im oddali więźnia.

— Wiem, co to znaczy — zapewniła Peggy.

— To czemu pani pytała?

— Mówcie dalej.

— Tylko że kiedy już zabiorą Alvina w łańcuchach, ze strażnikami, co go będą pilnować dzień i noc, to nie dowiozą go do Kenituck na żaden proces. Znam paru chłopców, których wynajęli, żeby go przewieźć. Na sygnał mają sobie pójść i zostawić go samego w łańcuchach.

— Dlaczego nie powiedzieliście nic szeryfowi?

— Mówię pani — odparł Mike Fink. — A wcześniej powiedziałem

już sobie i Holly'emu.

— Łańcuchy go nie zatrzymają — stwierdziła Peggy.

— Myśli pani? Był jakiś powód, że chłopak zdjął mi z tyłka tatuaż. Gdyby heksy nie miały nad nim władzy, nie musiałby zmazywać mojego, prawda? Czyli ci, co się znają na heksach, mogą zrobić łańcuchy, które go przytrzymają. Przynajmniej tak długo, żeby ktoś podszedł ze strzelbą i rozwalił mu łeb.

Nic takiego nie dostrzegła w przyszłości.

— Oczywiście, nic takiego się nie stanie — dodał Mike Fink.

— Dlaczego? — zdziwiła się.

— Bo jestem mu winien życie. A przynajmniej swoje życie mężczyzny, człowieka, na którego warto popatrzeć w lustrze, chociaż nie jestem już taki przystojny, jak byłem, zanim mnie załatwił. Miałem tego chłopaka w rękach, psze pani. Chciałem go zabić, a on to wiedział. I nie zabił mnie. Więcej: w tej walce połamał mi obie nogi. Ale potem się zlitował. Okazał łaskę. Musiał wiedzieć, że z połamanymi nogami nie przeżyję nocy. Miałem wielu wrogów, nawet tam, wśród moich kumpli. A on wtedy położył mi rękę na nogach i je uzdrowił. Naprawił mi nogi tak, że kości mam mocniejsze niż przedtem. Jaki człowiek robi coś takiego komuś, kto przed chwilą chciał go zabić?

— Dobry człowiek.

— Ha! Wielu dobrych ludzi by chciało, ale tylko jeden dobry człowiek miał moc. A jeśli miał moc, żeby tego dokonać, to miał też moc, żeby mnie zabić, nie dotykając palcem. Miał moc, żeby zrobić, co by mu tylko przyszło do łba, wybaczy pani słowo. Ale okazał mi łaskę.

To prawda… Peggy dziwiło tylko, że Mike Fink to rozumiał.

— Chcę mu spłacić dług. Dopóki żyję, nic złego nie przydarzy się Alvinowi Smithowi.

— I dlatego tu jesteście — domyśliła się.

— Przyjechałem z Hollym, jak tylko się dowiedziałem, co planują.

— Ale czemu tutaj?

Mike Fink parsknął śmiechem.

— Portomistrz w ujściu Hatrack zna mnie dobrze i mi nie ufa; ciekawe czemu. Jak pani myśli, czy długo by trwało, zanim szeryf z Hatrack przyczepiłby się do mnie jak mokra koszula do pleców?

— To chyba wyjaśnia także, dlaczego nie porozumieliście się bezpośrednio z Alvinem.

— A co by pomyślał, gdyby mnie zobaczył? Że chcę wyrównać rachunki. Nie. Obserwuję, gram na czas, nie wchodzę w oczy ani prawu, ani Alvinowi.

— Ale mnie powiedzieliście.

— Bo i tak by pani wiedziała, i to szybko.

Pokręciła głową.

— Wiem tyle: na żadnej ścieżce waszej przyszłości nie ratujecie Alvina przed złoczyńcami.

Spoważniał nagle.

— Ale ja muszę, psze pani.

— Dlaczego?

— Bo porządny człowiek spłaca swoje długi.

— Alvin nie uważa was za dłużnika.

— Nie obchodzi mnie, co on uważa. Ja uważam, że dług to dług i spłacić go trzeba.

— Nie chodzi tylko o dług, prawda?

Mike roześmiał się głośno.

— Pora pchnąć tę tratwę na północny brzeg, nie myśli pani?

Huknął dwa razy, głośno, jakby udawał syrenę parową. Holly odpowiedział tym samym. Oparli drągi o pływający pomost i odsunęli prom. Potem, płynnie jak tancerze, zaczęli popychać go przez rzekę, tak gładko i zręcznie, że sznur wiążący ich z liną ani razu się nie naprężył.

Peggy nie odzywała się do Mike'a, ale patrzyła, jak mięśnie falują mu pod skórą, z jaką gracją przysiada i prostuje nogi, tańcząc w rytmie rzeki. Było w tym piękno. Patrząc, przypomniała sobie Alvina w kuźni, Alvina przy kowadle, ramiona błyszczące od potu w blasku paleniska, wśród iskier strzelających z kutego metalu, naprężone mięśnie, kiedy zaginał i kształtował żelazo. Alvin mógłby wykonać tę pracę nie kiwając palcem, używając swojego talentu. Ale radość tkwiła w wysiłku, w tworzeniu własnymi rękami. Sama nigdy tego nie doświadczyła — swoją pracę wykonywała umysłem i słowami, jakie wypowiadała. Jej życie polegało na wiedzy i nauczaniu, życie Alvina — na czuciu i tworzeniu. Więcej miał wspólnego z tym jednouchym rzecznym szczurem z blizną na twarzy niż z nią. Ten taniec ludzkiego ciała, zmagającego się z rzeką, przypominał zapasy, a Alvin lubił zapasy. I brutalny Mike Fink był z pewnością jego naturalnym przyjacielem.

Dotarli na drugą stronę, uderzyli o pomost, a ktoś z brzegu przycumował tratwę do nabrzeża. Ludzie bez bagażu od razu zeszli na brzeg. Mike Fink odłożył drąg; kropelki potu spływały mu z ramion, nosa i splątanej brody. Sięgnął po jej torby.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

— Panie Fink — powiedziała. — Chciałby pan zostać przyjacielem Alvina.

— Raczej jego obrońcą, psze pani — odparł cichym głosem.

— Myślę, że tak naprawdę chcielibyście zostać jego przyjacielem.

Mike Fink milczał.

— Boicie się, że was odepchnie, jeśli otwarcie zaproponujecie mu

przyjaźń. Powiem panu, że nie odepchnie. Przyjmie was takiego, jaki jesteście.

Mike pokręcił głową.

— Nie chcę, żeby mnie takiego przyjmował.

— Owszem, chcecie, bo jesteście teraz człowiekiem, który chce być dobry, chce odczynić zło, jakie popełnił. A to najlepsze, czego można od kogokolwiek oczekiwać.

Mike pokręcił głową gwałtowniej, aż krople potu poleciały na wszystkie strony. Peggy nie przeszkadzały te, które zwilżyły jej skórę. To był pot wyciśnięty uczciwą pracą, pot przyjaciela Alvina.

— Stańcie przed nim twarzą w twarz, panie Fink. Bądźcie jego przyjacielem zamiast wybawcą. Przyjaciół bardziej potrzebuje. Powiem wam, a wiecie, że to prawda: Alvin niewielu będzie miał w życiu prawdziwych przyjaciół. Jeśli będziecie z nim szczery, nie zdradzicie go nigdy, jeśli zawsze będzie mógł wam ufać, to obiecuję, że choć może kilku przyjaciół kochać równie mocno, to żadnego nie pokocha bardziej.

Mike Fink przyklęknął i odwrócił twarz w stronę rzeki. Dostrzegła błysk w jego oczach i wiedziała, że są pełne łez.

— Psze pani — szepnął. — To więcej, niż śmiałem mieć nadzieję.

— Potrzebujecie zatem więcej odwagi, przyjacielu. Musicie mieć nadzieję na to, co dobre, nie tylko na to, co dość dobre. — Wstała. — Alvin nie potrzebuje od was przemocy. Ale wasz szacunek na pewno mu się przyda.

Podniosła obie torby.

— Proszę, niech pani pozwoli…

Uśmiechnęła się.

— Widziałam, jaką radość czerpiecie ze zmagania z rzeką. I mnie też się zachciało odrobiny fizycznego wysiłku. Pozwolicie chyba?

Szeroko otworzył oczy.

— Słyszałem tu wiele opowieści o pani, ale nikt nie wspomniał, że jest pani szalona.

— Możecie zatem dodać coś do legendy.

Mrugnęła porozumiewawczo i z torbami w dłoniach zeszła na pomost. Były ciężkie. Niemal pożałowała, że odrzuciła jego pomoc.

— Wysłuchałem wszystkiego — powiedział Mike Fink, stając za nią. — Ale niech mnie pani nie zawstydza, każąc stać z pustymi rękami, gdy piękna dama sama niesie bagaż.

Odwróciła się z wdzięcznością i wręczyła mu torby.

— Dziękuję — powiedziała. — Myślę, że do pewnych rzeczy trzeba dojrzeć.

Wyszczerzył zęby.

— Może ja też dojrzeję, by spotkać się z Alvinem twarzą w twarz.

Zajrzała w płomień jego serca.

— Jestem tego pewna, panie Fink.

Kiedy Fink układał jej bagaż w powozie, gdzie już niecierpliwie czekali na nią inni pasażerowie promu, zastanawiała się. Właśnie zmieniłam bieg wydarzeń, myślała; doprowadziłam Mike'a Finka bliżej Alvina, niż zdołałby dotrzeć samodzielnie. Czy zrobiłam coś, co w końcu uratuje Alvina? Czy dałam mu przyjaciela, który zmyli jego wrogów?

Płomień serca Alvina znalazła prawie bez szukania. I nie, nie dostrzegła w nim zmian, żadnych zmian prócz tego dnia, kiedy Mike Fink odejdzie od więziennej celi we łzach, wiedząc, że Alvin na pewno umrze, jeśli jego tam nie będzie, ale wiedząc też, że Alvin nie przyjął pomocy, nie pozwolił mu stać na straży.

Ale nie działo się to w więzieniu w Hatrack River ani nie działo się to szybko. Nawet jeśli niewiele zmieniła przyszłość, to przecież trochę zmieniła. Pojawią się też inne zmiany, aż wreszcie jedna z nich okaże się decydująca. Jedna z nich osłoni Alvina przed ciemnością, która ma pochłonąć koniec jego życia.

— Niech Bóg ma panią w opiece, psze pani — szepnął Mike Fink.

— Nazywajcie mnie, proszę, panną Larner — poprawiła go Peggy. — Nie jestem zamężna.

— Przynajmniej na razie — odparł.

* * *

Chociaż prawie nie spał w nocy, Verily był zbyt podniecony, by czuć senność na sali rozpraw. Po wielu tygodniach poszukiwań spotkał wreszcie Alvina Smitha, a rozmowa okazała się warta zabiegów. Nie dlatego że Alvin oszołomił go swą mądrością — przyjdzie czas, żeby się od niego uczyć. Nie; wielką i przyjemną niespodzianką było odkrycie, że go lubi. Był może trochę szorstki, trochę bardziej amerykański i wiejski od Calvina, ale co z tego? Humor błyskał mu w oczach, był taki bezpośredni, taki otwarty…

I jestem jego obrońcą.

Amerykańska sala sądowa okazała się urządzona dość swobodnie w porównaniu z angielskimi, w jakich Verily dotąd występował. Sędzia nie nosił peruki, a togę miał miejscami trochę wytartą. Trudno tu mówić o majestacie prawa, ale jednak prawo jest prawem, a sprawiedliwość nie jest z nim tak zupełnie nie powiązana. Zwłaszcza jeśli sędzia jest uczciwy, a przecież nie ma powodu sądzić, żeby było inaczej.

Sędzia otworzył rozprawę i zapytał o wnioski. Wstał Marty Laws.

— Wniosek o odebranie więźniowi złotego pługa i przekazanie go do dyspozycji sądu. To nie ma sensu, żeby przedmiot skargi pozostawał własnością więźnia, jeżeli…

— Nie prosiłem o uzasadnienie — przerwał mu sędzia. — Tylko o wnioski. Jeszcze jakieś?

— Jeśli Wysoki Sąd pozwoli, wnioskuję o oddalenie wszystkich zarzutów przeciw mojemu klientowi — powiedział Verily.

— Głośniej, młody człowieku. Nie słyszałem ani słowa.

Verily powtórzył głośniej.

— To by było niezłe — mruknął sędzia.

— Kiedy Wysoki Sąd zechce, przedstawię uzasadnienie tego wniosku.

— Proszę przedstawić teraz — zażądał sędzia trochę zirytowany.

Verily nie rozumiał, gdzie popełnił błąd, ale wykonał polecenie.

— Przedmiotem sporu jest pług, co do którego wszyscy się zgadzają, że został wykonany z litego złota. Nie istnieje nawet scintilla dowodu, że Makepeace Smith kiedykolwiek posiadał taką ilość złota, a zatem nie ma podstaw do wniesienia oskarżenia.

— Wysoki Sądzie — wtrącił natychmiast Marty Laws. — Proces ma właśnie to rozstrzygnąć, a co do dowodów, to nie mam pojęcia, co znaczy scintilla, chyba że ma to jakiś związek z „Odyseją”…

— Zabawne odniesienie — stwierdził sędzia. — I dosyć dla mnie pochlebne, jestem pewien. Ale proszę siedzieć spokojnie na swojej ławrybdzie, dopóki nie spytam o sprzeciwy, o które zresztą nie muszę pytać, ponieważ wniosek o oddalenie zarzutów zostaje odrzucony. Jeszcze jakieś wnioski?

— Mam jeszcze jeden, Wysoki Sądzie — oświadczył Marty. — Wniosek o odroczenie sprawy ekstradycji do czasu…

— Ekstradycji?! — zawołał sędzia. — A cóż to za nonsens?!

— Odkryto, że wciąż obowiązuje nakaz ekstradycji dotyczący więźnia, żądający jego odesłania do Kenituck, by tam stanął przed sądem za zabójstwo Odszukiwacza Niewolników w trakcie wypełniania obowiązków.

Verily był zaskoczony. Ale czy naprawdę? Rodzina opowiedziała mu tę historię: jak to Alvin zmienił pół-Czarnego, chłopca, żeby Odszukiwacze nie mogli go znaleźć, ale ci w poszukiwaniach wdarli się do zajazdu, gdzie mieszkali przybrani rodzice chłopca; wtedy matka zabiła jednego z nich, a drugi ją zabił, potem zjawił się Alvin i zabił jego, ale wcześniej Odszukiwacz go postrzelił, więc samoobrona była oczywista.

— Jak można go za to sądzić? — zapytał Verily. — Pauley Wiseman, pełniący wtedy obowiązki szeryfa, stwierdził, że oskarżony zabił w obronie własnej.

Marty obejrzał się na człowieka, który do tej chwili siedział w

milczeniu obok niego. Ten wstał powoli.

— Mój uczony przyjaciel z Anglii nie zna dokładnie miejscowego prawa, Wysoki Sądzie. Czy Wysoki Sąd pozwoli pomóc mu w tej kwestii?

— Proszę, panie Webster — zgodził się sędzia.

A więc sędzia miał już do czynienia z Websterem, domyślił się Verily. To może znaczyć, że nabrał uprzedzeń. W którą stronę?

— Panie… Cooper, prawda? A więc panie Cooper, kiedy Kenituck, Tennizy i Appalachee zostały przyjęte do Unii, Traktat o zbiegłych niewolnikach stał się Ustawą o zbiegłych niewolnikach. Ta ustawa stanowi, że kiedy ktoś utrudnia Odszukiwaczowi wykonywanie obowiązków na terenie jednego z wolnych stanów, zostaje osądzony w stanie, gdzie zamieszkuje właściciel ściganego niewolnika. W chwili popełnienia przestępstwa stanem tym było Appalachee, ale właściciel wzmiankowanego niewolnika, pan Cavil Planter, przeniósł się do Kenituck. Zatem zgodnie z prawem tam właśnie powinna nastąpić ekstradycja pana Alvina Smitha w celu osądzenia. Jeśli okaże się, że działał w obronie własnej, zostanie oczywiście uwolniony. Nasz wniosek dotyczy odroczenia tej sprawy do czasu zakończenia obecnego procesu. Zgodzi się pan, jestem przekonany, że leży to w interesie pańskiego klienta.

Tak mogło się z pozoru wydawać, ale Verily nie był głupcem — gdyby rzeczywiście leżało to w interesie Alvina Smitha, Daniel Webster na pewno by nie nalegał. Najbardziej oczywistym motywem była chyba próba wpłynięcia na decyzję przysięgłych. W Hatrack na ogół lubiono Alvina. Jeśli sędziowie uwierzą, że skazując go za kradzież pługa, ratują przed ekstradycją do stanu, gdzie z pewnością zawiśnie, mogą go skazać dla jego własnego dobra.

— Wysoki Sądzie, mój klient sprzeciwia się temu wnioskowi i domaga się jak najszybszego rozstrzygnięcia sprawy ekstradycji. Chciałby być oczyszczony z zarzutów, zanim odpowie na oskarżenia wysunięte tutaj.

— Nie podoba mi się ten pomysł — stwierdził sędzia. — Jeśli odbędzie się rozprawa i udzielimy zgody na ekstradycję, wtedy ten proces stanie się mniej ważny i oskarżony wyjedzie do Kenituck.

— Nie bądź durniem, chłopie — szepnął Verily'emu Marty Laws. — Sam namówiłem do tego Webstera. To szaleństwo odsyłać go do Kenituck.

Verily wahał się przez chwilę. Ale zdążył już zrozumieć, jak pasowali do siebie Webster i Laws. Laws mógł wierzyć, że namówił Webstera do odroczenia ekstradycji, ale Verily miał niemal pewność, że w rzeczywistości było odwrotnie. Webster chciał odroczenia. A zatem Verily nie chciał.

— Zdaję sobie z tego sprawę — oświadczył, choć zdanie to stało

się prawdziwe przed ledwie pięcioma sekundami. — Jednakże proszę o jak najszybsze przesłuchanie w sprawie ekstradycji. Wierzę, że mój klient ma do tego prawo. Nie chcemy, aby ława przysięgłych decydowała, mając w świadomości wiszącą nad moim klientem groźbę.

— Ale nie chcemy, żeby pozwany opuścił stan, wciąż będąc w posiadaniu złota Makepeace'a Smitha! — krzyknął Webster.

— Jeszcze nie wiemy, czyje to złoto — zauważył sędzia. — Wszystko to jest strasznie zagmatwane. Mam wrażenie, że prokurator występuje w obronie więźnia, a obrona przeciwnie. Ale dla zasady skłonny jestem przyznać oskarżeniu o zbrodnię pierwszeństwo przed sprawą kradzieży. Zatem przesłuchanie w kwestii ekstradycji odbędzie się… Ile czasu wam trzeba, chłopcy?

— Możemy się przygotować na dzisiejsze popołudnie — zapewnił Marty.

— Nie, nie możecie — sprzeciwił się Verily. — Ponieważ musicie przedstawić dowody, które w tej chwili prawie na pewno znajdują się w Kenituck.

— Dowody? — Marty był szczerze zdziwiony. — Dowody na co? Wszyscy świadkowie zabójstwa Odszukiwacza przez Alvina żyją przecież w tym mieście.

— Przestępstwem, które nakazuje ekstradycję, nie jest zabicie Odszukiwacza tak po prostu. Jest nim uniemożliwienie Odszukiwaczowi wykonywania jego legalnych obowiązków. Musicie zatem nie tylko wykazać, że mój klient zabił Odszukiwacza, ale też że Odszukiwacz zgodnie z prawem ścigał konkretnego niewolnika.

Verily musiał wierzyć w to, co powiedziała mu rodzina Millerów w Vigor: że Alvin przemienił chłopca i Odszukiwacze nie mogli go już odszukać.

Marty Laws pochylił się do Daniela Webstera i przez chwilę naradzali się szeptem.

— Myślę, że musimy tu sprowadzić Odszukiwacza zza rzeki, z Wheelwright — oświadczył. — I przywieźć skarbczyk. Ale skarbczyk jest w Carthage City, więc… konno, a potem koleją… Pojutrze.

— Mnie to odpowiada — stwierdził sędzia.

— Jeśli Wysoki Sąd zechce… — odezwał się Webster.

— Właściwie to nic mi się dzisiaj nie chce. Ale proszę mówić dalej, panie Webster.

— Ponieważ słyszeliśmy interesujące historie o ludziach ukrywających rzeczonego niewolnika, chcielibyśmy, aby znalazł się w areszcie. Natychmiast. Jak się zdaje, chłopiec przebywa w tej chwili na sali sądowej.

Obejrzał się i spojrzał prosto na Arthura Stuarta.

— Wręcz przeciwnie — zaprotestował Verily Cooper. — O ile

wiem, chłopiec, którego wskazuje pan Webster, jest adoptowanym synem pana Horacego Guestera, właściciela zajazdu, w którym zamieszkałem, a zatem posiada domniemane prawa obywatela stanu Hio, co oznacza, że pozostaje wolnym człowiekiem, dopóki nie zostanie udowodnione, że jest inaczej.

— Niech to diabli! — zirytował się Marty Laws. — Panie Cooper, wszyscy przecież wiedzą, że Odszukiwacze wskazali chłopaka i zabrali za rzekę w łańcuchach.

— Mój klient utrzymuje, że uczynili to omyłkowo i że zespół nie związanych ze sprawą Odszukiwaczy nie zdoła, korzystając jedynie ze skarbczyka, wskazać chłopca wśród grupy innych, których rasę ukryjemy. Wnioskujemy, by wykazać to przed sądem. Jeśli taki zespół nie potrafi wskazać chłopca, to Odszukiwacze, którzy zginęli w tym mieście, nie wykonywali swych legalnych obowiązków, a zatem Kenituck nie ma jurysdykcji nad więźniem, ponieważ nie stosuje się tu Ustawa o zbiegłych niewolnikach.

— Przyjechał pan z Anglii i nie ma pan bladego pojęcia, co potrafią ci Odszukiwacze — rzekł Marty, wyraźnie rozzłoszczony. — Chce pan, żeby wywieźli Arthura Stuarta w łańcuchach? Żeby powiesili Alvina?

— Panie Laws — upomniał go sędzia. — W tej sprawie jest pan przedstawicielem stanu, nie pana Smitha ani pana Stuarta.

— Na miłość boską… — mruknął Marty.

— A jeśli Ustawa o zbiegłych niewolnikach nie ma zastosowania, to zwracam uwagę Wysokiego Sądu, że szeryf i prokurator okręgu Hatrack uznali, iż mój klient działał w stanie obrony koniecznej, a więc wnoszenie przeciw niemu oskarżenia w tej chwili grozi mu dwukrotnym osądzeniem tego samego czynu, co jest zakazane…

— Dokładnie wiem, kto i co zakazuje dwukrotnego osądzania — przerwał mu sędzia, rozzłoszczony na Verily'ego.

Co robię źle? — zastanawiał się Verily.

— No dobrze — podjął sędzia. — Skoro chodzi o szyję pana Smitha, odrzucam wniosek oskarżenia i podtrzymuję wniosek obrony o dokonanie ślepego testu zespołu Odszukiwaczy. Dołóżmy jeszcze dzień: spotkamy się w piątek i zobaczymy, czy potrafią zidentyfikować Arthura Stuarta. Co do aresztowania Arthura, to zwrócę się z pytaniem do jego przybranego ojca… Czy Horacy jest na sali?

Horacy wstał.

— Jestem, sir.

— Czy będziesz utrudniał mi życie, ukrywając chłopaka, przez co zmusisz mnie do zamknięcia cię w więzieniu do końca naturalnego żywota za obrazę sądu? Czy też nie będziesz go ukrywał i doprowadzisz do sądu na tę próbę?

— Doprowadzę — obiecał Horacy. — Zresztą on i tak nigdzie się

nie wybiera, dopóki Alvin siedzi w więzieniu.

— Nie bądź taki sprytny, Horacy. Ostrzegam cię.

— Nie próbowałem być sprytny, do diaska — mruknął Horacy, siadając.

— I proszę nie przeklinać w sądzie, panie Guester, ani obrażać mnie założeniem, że skoro mam siwe włosy, to jestem głuchy. — Sędzia stuknął młotkiem. — To kończy wnioski i…

— Wysoki Sądzie! — przerwał mu Verily.

— To ja. Co jest, ma pan jeszcze jakiś wniosek?

— Istotnie.

— Jest też sprawa uzasadnienia wniosku o przejęcie pługa — podpowiedział uprzejmie Marty Laws.

— Do diaska! — burknął sędzia.

— Słyszałem to, panie sędzio! — zawołał Horacy Guester.

— Woźny, proszę wyprowadzić pana Guestera.

Wszyscy zaczekali, aż Horacy wstanie i wyjdzie z sali.

— Jak brzmi pański wniosek, panie Cooper?

— Z całym szacunkiem chciałbym poznać funkcję pana Webstera w tym procesie. Jak się zdaje, nie jest przedstawicielem okręgu Hatrack ani stanu Hio.

— Nie jest pan oskarżycielem posiłkowym czy czymś podobnie bzdurnym? — zwrócił się sędzia do Daniela Webstera.

— Tak właśnie — potwierdził adwokat.

— No to już pan wie, panie Cooper.

— Proszę o wybaczenie, Wysoki Sądzie, ale jest chyba oczywiste, że władze okręgu nie płacą panu Websterowi honorarium. Z całym szacunkiem proszę o informację, kto mu płaci. A może pan Webster działa tutaj z czystej dobroci serca?

Sędzia spojrzał na Webstera z zaciekawieniem.

— Skoro pan już o tym wspomniał, to rzeczywiście, nie przypominam sobie, żeby pan Webster kiedyś reprezentował kogoś, kto nie jest bardzo bogaty albo bardzo sławny. Kto panu płaci, panie Webster?

— Bezpłatnie ofiarowałem swoje usługi.

— Gdybym więc kazał panu złożyć przysięgę i poprosił, żeby pan wyjaśnił, czy za pański czas i wydatki tutaj płaci ktoś inny niż pan osobiście, czy powiedziałby pan, że nie otrzymuje zapłaty? Pod przysięgą?

Webster uśmiechnął się blado.

— Jestem wynagradzany ryczałtowo, więc ktoś zwraca mi poniesione koszty, ale nie konkretnie na tę sprawę.

— Może zapytam w inny sposób. Jeśli nie chce pan, żeby woźny usunął pana z sali razem z panem Guesterem, proszę powiedzieć, kto panu płaci.

— Zatrudnia mnie Krucjata Prawa Własności, mieszcząca się przy ulicy Harrisona numer 44 w Carthage City, stan Wobbish.

— Czy to odpowiada na pańskie pełne szacunku pytania, panie Cooper? — spytał sędzia.

— Tak jest, Wysoki Sądzie.

— A zatem ogłaszam…

— Wysoki Sądzie! — zakrzyknął Marty Laws. — Sprawa posiadania pługa.

— Rzeczywiście, panie Laws — zgodził się sędzia. — Pora na krótkie uzasadnienie.

— Absurdem jest, żeby pozwany zachowywał w posiadaniu przedmiot sporu. To wszystko.

— Jako że sam pozwany znajduje się w miejscowym więzieniu — odpowiedział Verily Cooper — a pług pozostaje w jego posiadaniu, zatem, podobnie jak jego ubranie, jego pióro, papier i atrament, a także wszystko inne, co ma w posiadaniu, pług także znajduje się w dyspozycji tutejszego więzienia. Wniosek oskarżenia jest bezprzedmiotowy.

— Skąd mamy wiedzieć, że pozwany w ogóle ma pług? — zapytał Marty. — Nikt go przecież nie widział.

— Ze względu na szczególne własności pługa — wyjaśnił Verily — pozwany uważa za nierozsądne spuszczanie go z oczu choćby na chwilę. Jeśli jednak Wysoki Sąd zechce wyznaczyć trzech przedstawicieli prawa, którzy go zobaczą…

— Nie komplikujmy sprawy — rzekł sędzia. — Pan Laws, pan Cooper i ja pójdziemy obejrzeć ten pług jeszcze dzisiaj, jak tylko skończymy tutaj.

Daniel Webster — co Verily zauważył z satysfakcją — zaczerwienił się ze złości, kiedy zrozumiał, że nie będzie traktowany jak równy i zaproszony na wizję lokalną. Pociągnął Lawsa za rękaw i coś mu szepnął do ucha.

— Ehm… Wysoki Sądzie — odezwał się Laws.

— Jaką to wiadomość od pana Webstera chce pan przekazać? — zapytał sędzia.

— Nie można przecież powołać mnie, pana ani pana Coopera na świadków, skoro jesteśmy hm… tym, kim jesteśmy.

— Zdawało mi się, że chodzi o ustalenie faktu istnienia pługa. Jeśli pan, ja i pan Cooper go zobaczymy, to możemy z rozsądną dozą pewności oświadczyć wszystkim, że istnieje.

— Ale w czasie rozprawy istnienie pługa muszą potwierdzić też inne osoby, nie tylko pan Makepeace Smith i pozwany.

— Mamy czas, żeby martwić się o to później. Jestem pewien, że znajdziemy kilku świadków, którzy go wkrótce zobaczą. Ilu chcecie?

Kolejna szeptana narada.

— Ośmiu zupełnie wystarczy — zapewnił Laws.

— Pan i pan Cooper spotkajcie się przy okazji i ustalcie, których ośmiu ludzi was zadowoli. A tymczasem nasza trójka odwiedzi pana Alvina Smitha w więzieniu i napatrzy się na ten cudowny, legendarny, mityczny złoty pług, mający… jak pan to ujął, panie Cooper?

— Szczególne własności — podpowiedział Verily.

— Wy, Anglicy, umiecie znaleźć piękne słowa.

I znowu Verily wyczuł coś w rodzaju złośliwości, skierowanej ku niemu przez sędziego. I — jak poprzednio — nie wiedział, co takiego zrobił, by ją sprowokować.

Jednak pomijając niezrozumiałą irytację sędziego, sprawy ułożyły się dość dobrze.

Chyba że Millerowie mylili się i Odszukiwacze potrafią rozpoznać w Arthurze Stuarcie poszukiwanego zbiega. Wtedy zaczną się kłopoty. Ale… Najprzyjemniejsze w tej sprawie było to, że choćby nawet Verily bronił fatalnie i zapewnił Alvinowi szubienicę, a Arthurowi Stuartowi powrót w kajdanach do właściciela, to Alvin — jako Stwórca — zawsze może uwolnić chłopca i odejść. Nikt nie zdoła ich zatrzymać, jeśli nie zechce być zatrzymany, ani ich odnaleźć, jeśli nie zechce być odnaleziony.

Ale Verily nie miał zamiaru źle bronić. Zamierzał widowiskowo zwyciężyć. Zamierzał oczyścić imię Alvina ze wszystkich oskarżeń, żeby Stwórca mógł wreszcie nauczyć go wszystkiego, co chciał wiedzieć. Miał też inny, głębszy motyw, którego nie krył przed sobą, ale którego nigdy nie zdradziłby nikomu innemu: chciał, żeby Stwórca go szanował. Chciał, żeby Alvin Smith spojrzał mu prosto w oczy i powiedział: „Dobra robota, przyjacielu”.

To by było dobrze. Tego pragnął Verily.

ROZDZIAŁ 14 — ŚWIADKOWIE

Właściwie oczekiwanie nie było takie złe. W więzieniu nic się nie działo, ale Alvinowi nie przeszkadzała samotność i nieróbstwo. Dawały mu czas na myślenie, a myślenie, uznał, to przecież stwarzanie. Nie takie jak za chłopięcych czasów, kiedy splatał małe koszyki z trawy, by odepchnąć od siebie Niszczyciela. Nie, myślenie to stwarzanie rzeczy we własnej głowie. Próbował sobie przypomnieć Kryształowe Miasto takie, jakie widział w wodnym wirze z Tenska-Tawą. Próbował się zastanowić, jak można stworzyć coś takiego.

Nie mogę uczyć ludzi, jak je budować, dopóki sam nie wiem, co to jest.

Wiedział, że poza murami więzienia wędruje po świecie Niszczyciel: tutaj coś rozedrze, tam coś zburzy, wciśnie klin w każdą znalezioną szczelinę. I zawsze byli ludzie poszukujący Niszczyciela, poszukujący jakiejś straszliwej, niszczącej siły na zewnątrz siebie. Biedni głupcy; sądzą, że Zniszczenie to tylko zniszczenie, że wykorzystają je, a kiedy skończą, przystąpią do budowania. Ale nie można budować na fundamencie zniszczenia. Na tym polega mroczna tajemnica Niszczyciela, myślał Alvin. Kiedy raz każe ci burzyć, trudno potem wziąć się do budowy, trudno odzyskać własne ja. Kopiący zużywa ziemię i łopatę. Kto raz zostanie narzędziem w ręku Niszczyciela, ten się zużyje, rozpadnie, stępi i podziurawi, a przez cały czas będzie wierzył, że jest ostry, gładki, jasny i cały. Nigdy się nie zorientuje, dopóki Niszczyciel go nie wypuści, nie odrzuci. Co tak zagrzechotało? Ojej, to ja. To ja, brzmiący jak zużyte narzędzie. Dlaczego mnie zostawiasz? Wciąż mogę się na coś przydać!

Ale nie możesz, nie wtedy, kiedy pochwycił cię Niszczyciel.

Alvin doszedł do wniosku, że przy Stwarzaniu człowiek nie wykorzystuje innych jako narzędzi. Nie zużywa ich, aby osiągnąć swój cel. Zużywa raczej siebie, żeby im pomóc osiągnąć ich cele. Zużywa się, nauczając i kierując, przekonując i słuchając rad, pozwalając się przekonać, jeśli akurat mają rację. I wtedy, zamiast jednego władcy i stosu zużytych narzędzi, powstaje całe miasto Stwórców, wolnych współobywateli, pracujących z zapałem…

Był tylko jeden problem: Alvin nie potrafił nauczyć Stwarzania. Oczywiście, mógł pomóc ludziom, żeby jakoś ułożyli odpowiednio swoje umysły, a wtedy ich praca stawała się trochę lepsza. A kilka osób, przede wszystkim Measure i ich siostra Eleanor, nauczyli się tego czy owego, dostrzegli błysk. Większość pozostawała w mroku.

Aż nagle zjawił się ten prawnik z Anglii, ten Verily Cooper, który od urodzenia potrafił w jednej chwili dokonać tego, z czym Measure zmagał się cały dzień. Żeby tak zapieczętować książkę w jeden blok

drewna i skóry, a potem znów ją otworzyć, nie uszkadzając kartek, z literami wciąż tkwiącymi na stronach… To było prawdziwe Stwarzanie.

Dlaczego miał go uczyć? Przecież Verily urodził się z wiedzą. Jak można uczyć kogoś, kto wie od urodzenia? Zresztą jak można uczyć czegokolwiek, jeśli nie wie się nawet, jak uzyskać kryształ, z którego trzeba zbudować miasto?

Nie buduje się miasta ze szkła; szkło pęka, nie utrzymuje ciężaru. Nie można budować z lodu, ponieważ nie jest dostatecznie czysty, no i co robić latem? Diamenty są dość mocne, ale miasto z diamentów, nawet gdyby znalazł albo wytworzył ich dosyć… Nie, taki materiał nie nadaje się na budowę, ludzie rozebraliby je od razu; każdy ukradłby tylko kawałek muru, żeby się wzbogacić, i wkrótce miasto byłoby jak szwajcarski ser: więcej dziur niż murów.

Tak, Alvin potrafił zatonąć w takich rozmyślaniach i marzeniach, płynąc przez wspomnienia, przez słowa książek, jakie czytał, kiedy panna Larner… kiedy Peggy go uczyła. Umiał zająć umysł i zapomnieć o samotności, chociaż nigdy mu nie przeszkadzały odwiedziny Arthura Stuarta.

Dziś jednak zbyt wiele się działo. Verily Cooper sprzeciwiał się wnioskom o to czy o tamto, a nawet jeśli jest dobrym prawnikiem, to przecież znalazł się daleko od Anglii i nie zna tutejszych przepisów. Mógł popełniać błędy, a Alvin w żaden sposób nie potrafił temu zaradzić. Musiał polegać na innych ludziach, a tego nie znosił.

— Nikt tego nie lubi — odezwał się dobrze znany głos, wyśniony, wytęskniony głos, z którym wiele razy dyskutował w myślach, wiele razy spierał się w wyobraźni. Głos, o którym marzył, że szepcze mu delikatnie do ucha nocą i o poranku.

— Peggy — szepnął. I otworzył oczy.

Stała przed nim, całkiem tak jakby przywołał jej obraz — ale prawdziwa, wcale nie wyczarowana.

Przypomniał sobie o dobrych manierach i wstał.

— Panno Larner — powiedział. — To miło, że przyjechała mnie pani odwiedzić.

— Nie tyle miłe, ile konieczne — odparła rzeczowym tonem. Rzeczowym…

Westchnął bezgłośnie.

Rozejrzała się za krzesłem.

Alvin podniósł stołek stojący obok pryczy i impulsywnie, bez zastanowienia, podał jej przez kratę. Prawie nie zauważył, że zmusił cząstki żelaznego pręta i włókna drewna, by się rozsunęły i przepuściły siebie nawzajem. Dopiero kiedy zobaczył szeroko, bardzo szeroko otwarte oczy Peggy, uświadomił sobie, że pierwszy raz widziała, jak ktoś przesuwa drewno przez żelazo.

— Przepraszam — powiedział. — Nigdy jeszcze tego nie robiłem. To znaczy bez ostrzeżenia i w ogóle.

Przyjęła stołek.

— Bardzo ładnie z twojej strony — zapewniła. — Zadbałeś, żebym miała na czym usiąść.

Alvin usiadł na pryczy. Zatrzeszczała pod nim. Gdyby nie wzmocnił materiału, zarwałaby się już dawno. Był solidnie zbudowany i korzystał z mebli dość brutalnie; nie przeszkadzało mu, że od czasu do czasu skarżą się głośno.

— O ile wiem, dziś w sądzie składają wnioski procesowe.

— Obserwowałam to przez chwilę. Twój obrońca jest znakomity. Verily Cooper?

— Myślę, że zostaniemy przyjaciółmi — oświadczył Alvin.

Czekał na jej reakcję.

Skinęła głową i uśmiechnęła się lekko.

— Naprawdę chcesz, żebym ci powiedziała, co wiem o możliwych drogach, jakimi podąży ta przyjaźń?

Alvin westchnął.

— Chcę i nie chcę, i dobrze o tym wiecie, panno Larner.

— Powiem ci zatem, że cieszę się z jego obecności. Bez niego nie miałbyś żadnej szansy przetrwania tego procesu.

— To znaczy, że teraz wygram?

— Wygrana to nie wszystko, Alvinie.

— Ale przegrana jest niczym.

— Jeśli przegrasz sprawę, ale zachowasz życie i dzieła życia, to przegrana będzie lepsza niż zwycięstwo i śmierć z tego powodu. Prawda?

— To nie jest proces o moje życie!

— Owszem, jest — zapewniła Peggy. — Kiedy już prawo złapie cię w ręce, ci, którzy używają go dla własnej korzyści, obrócą je przeciw tobie. Nie ufaj prawom ludzkim, Alvinie. Zostały spisane przez silnych, żeby umocnić ich władzę nad słabszymi.

— To nieuczciwe, panno Larner — zaprotestował Alvin. — Ben Franklin i inni, co ułożyli pierwsze prawa…

— Mieli dobre zamiary. Ale w rzeczywistości, Alvinie, kiedy trafisz do więzienia, twoje życie jest w wielkim niebezpieczeństwie.

— Przyszliście mi to powiedzieć? Wiecie, że mogę stąd wyjść, kiedy tylko zechcę.

— Przyjechałam powiedzieć ci, kiedy masz odejść, jeśli zajdzie taka potrzeba.

— Chcę się oczyścić z kłamstw Makepeace'a.

— W tym także zamierzam ci pomóc. Będę zeznawać. Alvin przypomniał sobie tę noc, kiedy zginęła pani Guester, matka Peggy. Nie wiedział wtedy, że panna Larner to naprawdę Peggy Guester,

dopóki nie uklękła z płaczem nad ciałem matki. W chwili kiedy usłyszeli pierwszy strzał, niewiele już brakowało, by on i Peggy wyznali sobie miłość i postanowili się pobrać. Ale potem jej matka zabiła Odszukiwacza, a ją zabił drugi Odszukiwacz, Alvin zaś dotarł na miejsce za późno, żeby wyleczyć postrzał. Mógł tylko zabić mordercę, zabić gołymi rękami. Co mu z tego przyszło? Co w ten sposób osiągnął?

— Nie chcę, żebyście zeznawali — oświadczył.

— Ja też się do tego nie palę — zapewniła. — Nie zrobię tego, póki nie będzie potrzeby. Ale musisz powiedzieć Verily'emu Cooperowi, kim jestem, i że kiedy przesłucha już pozostałych świadków, ma spojrzeć na mnie. Jeśli skinę głową, powoła mnie i żadnej dyskusji. Rozumiesz? Lepiej od was będę wiedziała, czy moje zeznanie jest potrzebne, czy nie.

Alvin słyszał jej słowa i wiedział, że posłucha tej rady, ale wrzał z gniewu, chociaż nie znał przyczyny. Już ponad rok marzył, by ją zobaczyć, i nagle stanęła przed nim, a on miał ochotę na nią wrzasnąć.

Nie wrzasnął. Ale gdy się odezwał, jego głos wcale nie brzmiał uprzejmie.

— Czy po to przyjechaliście? Żeby powiedzieć biednemu głupiemu Alvinowi i jego biednemu głupiemu obrońcy, co mają robić?

Spojrzała na niego surowo.

— Na promie spotkałam twojego starego przyjaciela. Poczuł, że serce mu drży.

— Ta-Kumsawa? — wyszeptał.

— Na miły Bóg, nie. O ile wiem, jest na zachodzie, za Mizzipy. Mówiłam o pewnym człowieku, który miał tatuaż na niewymownej części ciała. Pan Mike Fink.

Alvin westchnął ciężko.

— Niszczyciel chce chyba zebrać w jednym miejscu wszystkich moich wrogów.

— Wręcz przeciwnie — zapewniła go Peggy. — Myślę, że Mike nie jest twoim wrogiem. Jest przyjacielem. Przysięga, że zamierza tylko cię chronić, a ja mu wierzę.

Wiedział, że to miało go przekonać, iż można ufać Mike'owi Finkowi. Był jednak uparty, więc milczał.

— Zaczął pracować na promie w Wheelwright, żeby być blisko ciebie i mieć cię na oku. Istnieje spisek; chcą doprowadzić do twojej ekstradycji do Kenituck na podstawie Ustawy o zbiegłych niewolnikach.

— Po Doggly powiedział mi, że nie zamierza się tym przejmować.

— Ale Daniel Webster przyjechał właśnie w tym celu. Ma dopilnować, żebyś niezależnie od wyniku rozprawy został odesłany do Kenituck, aby tam stanąć przed sądem.

— Nie pojadę — oświadczył Alvin. — Nie pozwolą, żeby proces się odbył.

— Nie, na to nie pozwolą. I dlatego Mike Fink postanowił na ciebie uważać.

— Dlaczego jest po mojej stronie? Odebrałem mu heks ochronny. Był bardzo mocny, prawie doskonały.

— Od tego czasu zyskał kilka blizn i stracił ucho. Ale też nauczył się współczucia. Nie żałuje tej zamiany. W dodatku uleczyłeś mu nogi. Dałeś szansę obrony.

Alvin zastanowił się chwilę.

— Nigdy nic nie wiadomo. Uważałem go za urodzonego mordercę.

— Myślę, że dobry człowiek może czasem popełniać złe uczynki z niewiedzy albo ze słabości, ale kiedy nadejdą trudne chwile, dobro jednak zwycięża. Za to człowiek zły często wydaje się dobry i godny zaufania, czasem bardzo długo, ale kiedy nadejdą trudne chwile, ujawnia się jego zło.

— Może więc czekamy tylko na odpowiednio trudne chwile, żeby się okazało, jaki ja jestem zły.

Uśmiechnęła się lekko.

— Skromność jest cnotą, ale zbyt dobrze cię znam, by choć przez chwilę wierzyć, że uważasz się za złego człowieka.

— Nie zastanawiam się specjalnie, czy jestem dobry, czy zły. Często myślę, czy będę kiedyś coś wart, czy nic. W tej chwili uważam, że diabła jestem wart.

— Alvinie! Nigdy dotąd nie przeklinałeś w mojej obecności.

Dotknęła go ta przygana, ale też spodobało mu się, że ją irytuje.

— To chyba zło ze mnie wychodzi.

— Musisz bardzo się na mnie gniewać.

— Cóż, wiecie wszystko, widzicie wszystko…

— Byłam zajęta, Alvinie. Ty wykonywałeś pracę swojego życia, a ja swojego.

— Kiedyś miałem nadzieję, że będzie to ta sama praca.

— Nigdy nie będzie ta sama. Chociaż nasze wysiłki mogą się uzupełniać. Nigdy nie zostanę Stwórcą. Widzę tylko to, co można zobaczyć. Ty za to wyobrażasz sobie, co można zrobić, i robisz to. Mój dar jest skromniejszy i na ogół całkiem dla ciebie bezużyteczny.

— To najczystsza bzdura, jaką w życiu słyszałem.

— Nie opowiadam bzdur — upomniała go surowo. — Jeśli ci się wydaje, że moje słowa nie są prawdą, to pomyśl jeszcze raz. W końcu je zrozumiesz.

Wyobraził ją sobie taką, jaką znał kiedyś: surowa nauczycielka, przynajmniej o dziesięć lat starsza niż w rzeczywistości. Wciąż potrafiła używać głosu jak uderzenia linijką po ręce.

— Wiedza, co niesie przyszłość, wcale nie jest bezużyteczna.

— Ale ja nie wiem, co niesie przyszłość. Wiem tylko, co może się zdarzyć. Co jest prawdopodobne. Tyle jest ścieżek, którymi przyszłość może podążyć. Ludzie w większości brną przed siebie na ślepo, skręcają w tę czy tamtą ścieżkę, którą widzę w płomieniach ich serc, zmierzają do katastrofy albo szczęścia. Nieliczni tylko mają taką moc jak ty, Alvinie: moc otwierania nowych ścieżek, które przedtem nie istniały. W żadnej przyszłości nie widziałam, jak przesuwasz ten stołek przez kraty, a jednak z twojej strony było to nieuniknione. Zwykły wyraz impulsywności młodego człowieka. W płomieniach serc ludzi widzę przyszłość, jej różne warianty w naturalnym biegu rzeczy. Ty nie dbasz o prawa natury, więc nie można przewidzieć, co zrobisz. Czasem widzę wyraźnie, ale zawsze są tam szczeliny, głębokie i szerokie.

Wstał z pryczy, podszedł do prętów i uklęknął przed nią.

— Powiedz, skąd się dowiem, jak zbudować Kryształowe Miasto.

— Nie wiem, jak to zrobisz. Ale widziałam tysiące wariantów przyszłości, w których ci się to udaje.

— Więc powiedz, gdzie szukać, żebym mógł się nauczyć!

— Nie wiem. Jakkolwiek to zrobisz, nie będzie to wynikało z praw natury. Myślę, że właśnie z tego powodu nic nie widzę.

— Vilate Franker twierdzi, że moje życie skończy się w Carthage City — oznajmił Alvin.

Peggy zesztywniała.

— Skąd ona może o tym wiedzieć?

— Wie, skąd rzeczy pochodzą i dokąd zmierzają.

— Nie jedź do Carthage City. Nigdy tam nie jedź.

— Więc ma rację…

— Nie jedź tam — powtórzyła. — Proszę.

— Nie wybieram się — zapewnił.

A w głębi serca pomyślał: a jednak martwi się o mnie. Wciąż jej na mnie zależy.

Mógłby powiedzieć to głośno, ona zaś mogłaby odezwać się bardziej czule, a mniej rzeczowo. Mogliby, lecz właśnie w tej chwili otworzyły się drzwi i do aresztu weszli szeryf, sędzia, Marty Laws i Verily Cooper.

— Przepraszamy — powiedział szeryf Doggly — ale mamy tu do załatwienia sprawę sądową.

— Jestem do usług, panowie. — Alvin podniósł się natychmiast.

Peggy także wstała i odsunęła stołek sprzed drzwi. Szeryf spojrzał podejrzliwie.

— To miło z pańskiej strony, szeryfie, że pozwolił pan Alvinowi wystawić dla mnie stołek — rzuciła Peggy.

Po Doggly spoglądał, nie rozumiejąc. Nie wydawał takiego

polecenia, ale postanowił nie wgłębiać się w tę sprawę. Alvin to w końcu Alvin.

— Proszę wyjaśnić pańskiemu klientowi okoliczności — zwrócił się sędzia do Verily'ego Coopera.

— Tak jak to omówiliśmy zeszłej nocy, konieczne jest, aby pewna liczba świadków obejrzała pług. Nasza trójka wystarczy do ustalenia, że pług istnieje i wydaje się wykonany ze złota. Ponadto…

— Oczywiście — przerwał mu Alvin.

— Zgodziliśmy się również, że kiedy zostaną powołani przysięgli, wybierzemy kolejnych ośmiu świadków, którzy przed sądem potwierdzą istnienie i naturę pługa.

— Dopóki pług zostanie u mnie, proszę bardzo. — Alvin zerknął na szeryfa Doggly'ego.

— Szeryf już wie — rzekł sędzia — że nie jest jednym z wybranych świadków.

— Niech to licho, panie sędzio! — zawołał Doggly. — Ten pług od tygodni leży w moim areszcie, a ja nie mogę go nawet zobaczyć?

— Nie przeszkadza mi, jeśli szeryf zostanie — zapewnił Alvin.

— Ale mnie tak — odparł sędzia. — Lepiej, żeby nie raczył swoich zastępców opowieściami o tym, jaki obiekt jest duży i jaki złoty. Wiem, że panu Doggly'emu możemy zaufać. Po co jednak amplifikować pokusy, które już teraz z pewnością dręczą przynajmniej niektórych z jego ludzi.

Alvin parsknął śmiechem.

— Co pana tak rozbawiło, panie Smith? — zdziwił się sędzia.

— To, jak wszyscy zawzięcie udają, że niby wiedzą, co to znaczy „amplifikować”.

Wszyscy się roześmiali.

Kiedy ucichli, szeryf wciąż stał przed celą.

— Czekam, żeby wyprowadzić stąd damę — poinformował.

Alvin westchnął.

— Przecież widziała pług tej nocy, kiedy został stworzony.

— Nie szkodzi. — Sędzia poparł szeryfa. — Tylko trzej świadkowie będą dzisiaj obecni. Może pan pokazywać ten pług wszystkim swoim gościom, jeśli tylko ma pan ochotę, panie Smith. Ale dzisiaj zgodziliśmy się na trójkę i trójka zostanie.

Peggy uśmiechnęła się.

— Jest pan człowiekiem o niezwykłej prawości — stwierdziła. — Cieszę się, że to pan przewodniczy rozprawie.

Kiedy wyszła, a szeryf zamknął drzwi aresztu, sędzia spojrzał pytająco na Alvina.

— To była Peggy Guester? Ta żagiew?

Alvin przytaknął.

— Wyrosła ładniejsza, niż się spodziewałem. Chciałbym tylko

wiedzieć, czy była sarkastyczna.

— Nie przypuszczam — zapewnił Alvin. — Chociaż macie rację, potrafi mówić nawet miłe rzeczy tak, jakby ledwie się powstrzymywała od powiedzenia paru słów wcale niemiłych.

— Ktokolwiek się z nią ożeni — uznał sędzia — powinien mieć grubą skórę.

— Albo solidny kij — dodał Marty Laws i wybuchnął śmiechem. Ale śmiał się sam i po chwili zamilkł, trochę zakłopotany i niepewny, dlaczego żart się nie udał.

Alvin sięgnął pod pryczę i wysunął worek z pługiem. Odsłonił tkaninę; pług leżał wśród juty, lśniąc złociście w blasku padającego przez okno światła.

— Niech mnie licho! — szepnął Marty Laws. — To rzeczywiście pług… I rzeczywiście jest złoty…

— Wygląda na złoty — poprawił go sędzia. — Jeśli mamy uczciwie o tym zaświadczyć, musimy go dotknąć.

— Nie przeszkadzam panom — uśmiechnął się Alvin.

Sędzia westchnął i zwrócił się do prokuratora.

— Zapomnieliśmy poprosić szeryfa, żeby otworzył celę.

— Zawołam go. — Marty ruszył do drzwi.

— Proszę zasłonić pług, panie Smith — poprosił sędzia.

— To niepotrzebne.

Alvin wyciągnął rękę i otworzył drzwi. Zamek nawet nie szczęknął, zawiasy nie zgrzytnęły. Po prostu drzwi otworzyły się bezgłośnie.

Sędzia przyjrzał się zamkowi.

— Jest popsuty?

— Nie martwcie się — uspokoił go Alvin. — Działa jak należy. Wejdźcie i dotknijcie pługa, jeśli chcecie.

Teraz, kiedy drzwi stały otworem, wszyscy trzej się zawahali. Wreszcie Verily Cooper wszedł do celi, a za nim sędzia. Marty się zatrzymał.

— Coś dziwnego jest w tym pługu — powiedział.

— Nie macie się czym martwić — zapewnił Alvin.

— Zdenerwował się pan, bo drzwi otworzyły się tak łatwo — stwierdził sędzia. — Niech pan wchodzi, panie Laws.

— Patrzcie — szepnął Marty. — On drży.

— Przecież mówiłem — przypomniał Alvin. — Jest żywy.

Verily uklęknął i wyciągnął rękę. Choć nikt go jeszcze nie dotknął, pług ruszył ku niemu, ciągnąc za sobą worek.

Marty krzyknął i odwrócił się, przyciskając czoło do ściany korytarza.

— Niewiele będzie pan mógł zaświadczyć, stojąc plecami do pługa — zauważył sędzia.

Pług przysunął się do Verily'ego. Adwokat położył na nim dłoń. Pług obrócił się wolno, jeszcze raz, i znowu, dookoła, gładko jak łyżwiarz na lodzie.

— On żyje — oznajmił Verily.

— W pewnym sensie — potwierdził Alvin. — Ma własny rozum, że tak powiem. Znaczy, nie poskromiłem go ani nic takiego.

— Mogę go podnieść?

— Nie wiem. Nikt oprócz mnie nigdy nie próbował.

— Byłoby lepiej — oświadczył sędzia — gdybyśmy mogli go potrzymać i ocenić, czy waży jak złoto, czy może jakiś lżejszy stop.

— To najczystsze złoto, jakie widzieliście — zapewnił Alvin. — Ale podnoście, jeśli zdołacie.

Verily przykucnął, wsunął dłonie pod pług i podniósł go. Widać było, że pług drży.

— Chce się obracać — oznajmił Verily.

— To pług. Pewno szuka dobrej ziemi.

— Chyba nie chce pan nim orać? — zdziwił się sędzia.

— Po co bym go robił, jeśli nie dla orki? Wiecie, gdyby to miał być dzbanek, to chyba kształt ma niewłaściwy.

— Może mi go pan podać?

— Oczywiście — zgodził się Verily.

Podszedł i przytrzymał pług, a sędzia chwycił go w ręce. Wtedy Verily puścił.

Pług natychmiast zaczął się szarpać. Zanim sędzia zdążył go upuścić, Alvin oparł dłoń na złotej powierzchni i pług znieruchomiał.

— Dlaczego nie zachowywał się tak u pana Coopera? — zapytał sędzia nieco drżącym głosem.

— On chyba wie, że Verily Cooper jest moim obrońcą — wyjaśnił z uśmiechem Alvin.

— A ja jestem bezstronny… Może pan Laws słusznie nie chce go dotykać.

— Ale przecież musi — wtrącił Verily. — Przede wszystkim on musi ocenić pług, a potem zapewnić pana Webstera i Makepeace'a Smitha, że to prawdziwy pług, złoty pług, i że w celi jest bezpieczny.

Sędzia wręczył pług Alvinowi, po czym wyszedł z celi i położył Marty'emu dłoń na ramieniu.

— No dalej, panie Laws. Miałem go w ręku. Trochę się szarpie, ale na pewno nic panu nie zrobi.

Laws pokręcił głową.

— Marty — odezwał się Alvin. — Nie wiem, czego się boisz, ale obiecuję, że ani pług nie zrobi ci krzywdy, ani ty nie skrzywdzisz pługa.

Marty obejrzał się.

— Był taki jasny — szepnął. — Oślepił mnie.

— To tylko promień słońca — zapewnił sędzia.

— Wcale nie — upierał się Marty. — Nie, panie sędzio. Był jasny. Jaśniał gdzieś z głębi siebie. Błyszczał na mnie. Czułem to.

Sędzia obejrzał się na Alvina.

— Nie wiem — zapewnił Alvin. — W końcu nie pokazuję go tak często.

— Ja wiem, o czym on mówi — oznajmił Verily. — Nie widziałem go aż tak jaskrawym. Czułem tylko ciepło. Kiedy Alvin otworzył worek, w całej celi zrobiło się cieplej. Ale to nic groźnego, panie Laws. Proszę… Potrzymam go panu.

— I ja — dodał sędzia.

Alvin podał im pług.

Marty odwrócił się trochę, żeby widzieć, co robią. Dwaj pozostali świadkowie chwycili pług. Dopiero wtedy zbliżył się i ostrożnie dotknął palcami złotego lemiesza. Pocił się straszliwie i Alvinowi było go żal, ale zupełnie nie rozumiał, co przeżywa ten człowiek. Jemu pług zawsze wydawał się łagodny i przyjazny. Jaki jest dla Marty'ego?

Kiedy pług go nie zranił, Marty nabrał odwagi i chwycił mocniej, żeby poczuć jego ciężar. Wciąż jednak mrużył powieki i odwracał głowę, jakby chciał chronić jedno oko na wypadek, gdyby drugie zostało oślepione.

— Chyba sam go utrzymam — powiedział.

— Niech pan Smith położy na nim rękę, żeby się nie wyrwał — poradził sędzia.

Alvin zostawił więc rękę na lemieszu, a dwaj pozostali odstąpili. Marty trzymał pług sam.

— Chyba waży jak ze złota — stwierdził.

Alvin chwycił pług od dołu.

— Trzymam go, Marty — powiedział.

Marty puścił — z wahaniem, jak wydało się Alvinowi.

— Teraz chyba widzicie, panowie, dlaczego nie pokazuję go wszystkim.

— Nie chcę nawet myśleć, jak bym wyglądał, gdybym go sobie upuścił na nogę — mruknął sędzia.

— Ląduje delikatnie — zapewnił Alvin.

— Naprawdę jest żywy — powiedział cicho Verily.

— Dzielny z pana człowiek — pochwalił Alvina sędzia. — Pański obrońca nie ustąpił ani na krok, żądając przesłuchania w sprawie ekstradycji jeszcze przed wyborem przysięgłych w procesie o kradzież.

Alvin zerknął na Verily'ego.

— Myślę, że mój obrońca wie, co robi.

— Powiedziałem — zaczął wyjaśniać Verily — że zamierzam oprzeć obronę na wykazaniu, iż Odszukiwacz nie wypełniał swych legalnych obowiązków, ponieważ na podstawie posiadanego

skarbczyka w żaden sposób nie mógł zidentyfikować Arthura Stuarta.

Alvin wiedział, że to raczej pytanie niż stwierdzenie.

— Przeszli tamtej nocy tuż obok Arthura Stuarta.

— Zamierzamy sprowadzić z Wheelwright kilku Odszukiwaczy i sprawdzić, czy zdołają wskazać Arthura Stuarta w grupie chłopców w zbliżonym wieku. Oczywiście, zasłonimy im twarze i dłonie.

— Dopilnujcie — poradził Alvin — żeby dołączyć tam paru chłopców Mocka Berry'ego, razem z białymi dzieciakami. Myślę, że ci, co całe życie szukają Czarnych, potrafią jakoś ich rozpoznać, nawet w rękawiczkach i workach na głowach.

— Mock Berry? — zapytał sędzia.

— To Czarny — wyjaśnił Marty Laws. — Ale wolny Czarny. On i jego żona, Anga, chowają całą gromadę w chacie w lesie, niedaleko zajazdu.

— Owszem, to dobry pomysł, żeby dołączyć czarnych chłopców — zgodził się sędzia. — Może wymyślę jeszcze coś, co zapewni, że próba będzie uczciwa. — Wyciągnął dłoń do pługa, który wciąż spoczywał na rękach Alvina. — Pozwoli pan jeszcze raz go dotknąć?

Dotknął; pług zadrżał pod jego dłonią.

— Jeśli przysięgli uznają, że to istotnie złoto Makepeace'a Smitha, ciekawe, jak go zabierze do domu.

— Panie sędzio… — zaprotestował Marty Laws.

Sędzia spojrzał groźnie.

— Niech pan nawet nie próbuje sobie wyobrażać, że prowadząc ten proces, nie będę całkowicie bezstronny i obiektywny.

Marty pokręcił głową i uniósł ręce, jakby odpychał samą myśl o stronniczości.

— Poza tym — dodał sędzia — pan również widział to, co widział. Przekaże pan teraz sprawę panu Websterowi, kiedy sam pan był świadkiem, jak pług rusza się i błyszczy?

Marty pokręcił głową.

— Sąd ma zdecydować, czy Alvin Smith wykonał pług ze złota będącego własnością Makepeace'a. Jaki jest ten pług, jakie ma własności to, moim zdaniem, kwestia całkiem nieistotna.

— Otóż to — przytaknął sędzia. — W tej chwili mieliśmy tylko ustalić, że on istnieje, że jest złoty i że powinien pozostać pod opieką Alvina, dopóki Alvin pozostaje pod opieką szeryfa. Myślę, panowie, że ustaliliśmy te trzy fakty w sposób satysfakcjonujący nas wszystkich. Mam rację?

— Tak jest — potwierdził Marty.

Verily uśmiechnął się.

Alvin schował pług do worka.

Kiedy wyszli z celi, sędzia starannie zamknął drzwi; szczęknął zamek. Sędzia spróbował je otworzyć, ale bez skutku.

— Cieszę się, że areszt jest zabezpieczony — rzekł.

Nie uśmiechnął się przy tym. Nie musiał.

Po Doggly wychodził z siebie z ciekawości, kiedy wyszli z aresztu do jego biura. W jednej chwili stanął przed celą i spojrzał przez kraty w nadziei, że dostrzeże błysk złota.

— Przykro mi, szeryfie — powiedział Alvin. — Wszystko już sprzątnięte.

— Psujesz innym zabawę, Alvinie. Nie mógłbyś zostawić tego worka troszkę rozchylonego?

— Nie będę protestował, jeśli zostaniecie jednym z ośmiu. Zobaczymy, co się stanie.

— Niezły pomysł — przyznał Doggly. — I dzięki, że nie będziesz protestował. Ale raczej nie. Lepiej wybrać ośmiu zwyczajnych obywateli, zamiast funkcjonariuszy publicznych. Tyle że wiesz, jestem ciekawy. Przez całe życie nie widziałem tyle złota. Chciałbym kiedyś opowiedzieć o nim wnukom.

— Ja też bym chciał — zgodził się Alvin. — Szeryfie, Peggy Larner pewnie już sobie poszła, co?

— Przykro mi, Al. Poszła. Chyba do domu, przywitać się z ojcem.

— Pewno tak. Nieważne.

* * *

Arthur Stuart nigdy nie nazwałby siebie szpiegiem. Ale to przecież nie jego wina, że był niski. Ani że skórę miał ciemną, a jako nieśmiały chłopiec, zwykle stawał w cieniu i był bardzo, bardzo spokojny, więc ludzie go nie zauważali. Nie wiedział, że fragmenty zielonej pieśni, pozostałej po wędrówkach z Alvinem, wciąż grają mu w głębi duszy, więc krok miał niezwykle cichy, gałązki odchylały mu się z drogi, a deski rzadko skrzypiały pod jego ciężarem.

Ale kiedy przyszedł odwiedzić dom Vilate Franker, no cóż, to nie był przypadek, że go nie zobaczyła. Specjalnie nie wchodził na ganek budynku poczty, więc nie mógł też otworzyć frontowych drzwi, w wyniku czego dzwonek nie zadzwonił. A kiedy obszedł dom dookoła, nie zastukał do tylnych drzwi ani nie poprosił o pozwolenie, żeby się wspiąć na beczkę deszczówki, wychylić i przez okno zajrzeć do kuchni, gdzie imbryk bulgotał na piecu, a Vilate popijała herbatę i prowadziła ożywioną rozmowę z…

Z salamandrą.

Nie jaszczurką — nawet z okna Arthur Stuart widział, że zwierzak nie ma łusek. Zresztą nie trzeba geniuszu, żeby na pięć kroków

odróżnić jaszczurkę od salamandry. Arthur Stuart był chłopcem, a chłopcy zwykle wiedzą takie rzeczy. Co więcej, Arthur Stuart był chłopcem samotnym i ciekawym świata, a także umiał postępować ze zwierzętami. Choć więc inny chłopiec mógłby się pomylić, Arthur Stuart na pewno nie. To salamandra.

Vilate mówiła coś, potem popijała herbatę, od czasu do czasu zerkała nad brzegiem filiżanki, kiwała głową i mruczała coś jakby „Mhm", „Wiem dobrze" albo „Czy to nie straszne?", jakby salamandra jej odpowiadała.

Ale salamandra nic nie mówiła. Nawet na nią nie patrzyła. Co prawda zwykle trudno powiedzieć, gdzie patrzy salamandra, bo kiedy jedno oko spogląda tam, drugie może zerkać tutaj, więc jak można zgadnąć? Mimo to Arthur był prawie pewien, że salamandra patrzy na niego. Wiedziała, że stoi za oknem. Ale nie przestraszyła się ani nic, więc Arthur dalej obserwował i słuchał.

— Mężczyzna nie powinien igrać z uczuciami damy — mówiła Vilate. — Kiedy już tak postąpi, dama ma prawo bronić się najlepiej, jak potrafi.

Łyk herbaty. Skinięcie głową.

— Och, wiem. A najgorsze, że ludzie zaczną źle o mnie myśleć. Ale wszyscy przecież wiedzą, że Alvin Smith ma tajemną moc. Oczywiście, nie mogłam się powstrzymać.

Znów łyk herbaty. I nagle łzy pociekły jej z oczu.

— Moja droga, moja kochana, moja jedyna zaufana przyjaciółko, jak ja mogę zrobić coś takiego? Naprawdę obchodzi mnie ten chłopiec. Naprawdę mi na nim zależy. Dlaczego, dlaczego nie mógł mnie pokochać? Dlaczego musiał mnie odepchnąć i zmusić do takiego czynu?

I tak dalej. Arthur nie był głupi. Od razu zrozumiał, że Vilate Franker planuje jakieś diabelstwo przeciwko Alvinowi. Miał nadzieję, że wspomni, o co chodzi. Chociaż chyba nie, bo mówiła tylko, jak jej z tym źle, jak nie chce tego robić, ale dama ma prawo bronić swego honoru, nawet jeśli jej postępowanie wywoła wrażenie, że wcale nie ma honoru, ale właśnie dlatego dobrze jest mieć taką dobrą, szczerą, cudowną przyjaciółkę.

Ach, jak rzęsiste płynęły łzy! Ach, jak żałośnie wzdychała Vilate! Ach, ileż herbaty wypiła! A Arthur Stuart wciąż słuchał i obserwował.

To dziwne, ale kiedy tylko przestawała płakać, jej twarz była czysta. Ani wilgotnych śladów, ani zaczerwienionych oczu. Żadnego znaku, że uroniła choć jedną łzę.

W końcu herbata odniosła skutek. Vilate odsunęła krzesło i wstała. Arthur wiedział, gdzie jest wygódka; natychmiast zeskoczył z kadzi, obiegł dom i stanął przed frontowymi drzwiami, zanim jeszcze otworzyły się kuchenne. Wiedząc, że Vilate nie usłyszy dzwonka,

wszedł do biura poczty, przelazł przez ladę i ruszył do kuchni. Salamanadra zlizywała krople herbaty, które wylały się z talerzyka. Kiedy wszedł Arthur, podniosła głowę. Potem zaczęła biegać, kreśląc na blacie figurę. Trójkąt. I drugi, przecinający ten pierwszy.

Heks.

Arthur podszedł do krzesła Vilate. Stojąc, miał głowę mniej więcej na tej samej wysokości, co ona siedząc. Kiedy pochylił się nad krzesłem, salamadra uległa przemianie.

Nie, właściwie nie. Raczej całkiem zniknęła. Pojawiła się za to kobieta, siedząca na krześle naprzeciwko.

— Zły z ciebie chłopak — powiedziała, uśmiechając się smutnie.

Arthur prawie nie zwrócił uwagi na to, co mówi. Ponieważ ją znał: to była stara Peg Guester. Kobieta, którą nazywał mamą. Kobieta pogrzebana pod kamiennym nagrobkiem na wzgórzu za zajazdem, niedaleko jego prawdziwej matki, zbiegłej niewolnicy, której nigdy nie poznał. Tam była stara Peg.

To tutaj to nie ona. To salamandra.

— Wyobrażasz sobie różne rzeczy, paskudny chłopaku. Zmyślasz historie.

Peg nazywała go czasem „paskudnym", ale to były tylko żarty… Zwykle wtedy, kiedy opowiadał, co powiedział ktoś inny. Śmiała się, mówiła, że jest paskudny, a potem ściskała go i upominała, żeby tej uwagi nikomu nie powtarzał.

Ale ta kobieta, ta fałszywa Peg, nie żartowała. Naprawdę uważała go za paskudnego.

Odsunął się od krzesła; salamandra wróciła na stół, a Peg zniknęła. Arthur przyklęknął obok stołu, by spojrzeć salamandrze prosto w oczy. Ona też patrzyła.

Dawniej całymi godzinami bawił się tak ze zwierzętami w lesie. Kiedy był bardzo mały, nawet je rozumiał. Potem pamiętał ich historie. Ale ta zdolność stopniowo zanikała i teraz zdarzały się tylko krótkie przebłyski zrozumienia. Z drugiej strony nie spędzał już tyle czasu w towarzystwie zwierząt. Może gdyby się bardzo postarał…

— Nie zapominaj o mnie, salamandro — szepnął. — Chcę poznać twoją historię. Chcę wiedzieć, kto cię nauczył rysować heksy na stole.

Wyciągnął rękę i bardzo ostrożnie dotknął palcem jej głowy. Nie uciekła, nie ruszyła się nawet. Tylko patrzyła.

— Co robisz w domu? Nie podoba ci się tutaj. Chcesz być na dworze. Blisko wody. W błocie. W liściach. Z muchami.

Kiedyś tak właśnie szeptał do zwierząt, podpowiadając im różne rzeczy.

— Jeśli chcesz, mogę cię zanieść do błota. Chodź ze mną, jeśli chcesz. Chodź, jeśli możesz.

Salamandra uniosła przednią nogę i opuściła ją — o krok bliżej

Arthura.

Miał wrażenie, że wyczuwa w niej głód, tęsknotę za jedzeniem, ale bardziej… za wolnością. Salamandrze nie podobało się, że jest więźniem.

Otworzyły się drzwi.

— Ależ to Arthur Stuart! — zawołała Vilate Franker. — Nie wiedziałam, że mnie odwiedzisz.

Arthur miał dość rozsądku, by nie poderwać się na nogi, jakby robił coś złego.

— Czy są jakieś listy do Alvina? — zapytał.

— Ani jednego.

Nie wspomniał o salamandrze i chyba słusznie, bo Vilate nawet na nią nie spojrzała. A przecież dama zaskoczona z żywą salamandrą — z martwą zresztą też — powinna chyba jakoś to wytłumaczyć.

— Napijesz się herbaty? — spytała.

— Muszę już iść.

— Więc następnym razem. Przekaż pozdrowienia Alvinowi. — Uśmiechała się słodko i pięknie.

Arthur wyciągnął rękę i na jej oczach pogładził salamandrę po grzbiecie. Vilate nie zauważyła. A przynajmniej nie dała tego po sobie poznać.

Cofnął się, wyszedł, przeskoczył ladę i wybiegł z budynku. Za sobą usłyszał jeszcze dzwonek nad drzwiami.

Jeśli salamandra jest więźniem, to kto ją pojmał? Nie Vilate — salamandra kreśliła heksy, żeby Vilate dała się oszukać i widziała kogoś innego. Arthur był też gotów się założyć, że tym kimś nie jest stara Peg Guester. Ale salamandra nie oszukiwała Vilate z własnej woli, ponieważ sama chciała tylko stać się znowu zwyczajną salamandrą.

Arthur musiał opowiedzieć o tym Alvinowi, to pewne. Vilate zamierzała wyrządzić mu coś złego, a salamandra ścieżkami swego biegu rysująca heksy na kuchennym stole miała jakiś związek z jej planem.

Czy Vilate mogła być tak ślepa, że nie widziała, jak dotykam jej salamandry? Dlaczego się nie zezłościła, kiedy wracając z wygódki, zastała mnie w kuchni?

Może chciała, żebym zobaczył salamandrę? A może chciał ktoś inny?

Chciał, żebym zobaczył mamę.

Przez chwilę Arthur Stuart nie panował nad sobą; niemal się rozpłakał, myśląc o mamie, o tym, jak siedziała naprzeciw niego przy stole.

Nie była prawdziwa, powtarzał sobie. To oszustwo. Fałsz. Sztuczka. Ktokolwiek to sprawił, był kłamcą, i to złośliwym kłamcą.

Paskudny chłopak, akurat. Zły chłopak… Wcale nie był zły, był dobry, a prawdziwa Peg Guester to wiedziała. Nie powiedziałaby mu czegoś takiego. Prawdziwa Peg Guester by go przytuliła i szepnęła: „Mój dobry, mój kochany synek".

Szedł przed siebie zakurzoną ulicą w Hatrack River. Łzy mu obeschły, a smutek odpłynął, zastąpiony innym uczuciem. Arthur Stuart był wściekły. Ten ktoś nie miał prawa pokazywać mu mamy. Nie miał prawa. Kimkolwiek jesteś, nienawidzę cię za to, że pokazałeś mi mamę, która tak do mnie mówiła.

Wbiegł schodami do budynku sądu. Jedyną zaletą tego, że Alvin siedzi w więzieniu, było to, że zawsze wiedział, gdzie go szukać.

* * *

Napoleonowi trudno było uwierzyć, że tak niewiele brakowało, by zabił tego amerykańskiego chłopaka, Calvina. Trudno uwierzyć, jaki był przerażony, kiedy pierwszy raz przekonał się o jego mocy. Przez kilka dni kazał go pilnie obserwować; nie mógł zasnąć ze strachu, że Calvin coś mu zrobi. Na przykład amputuje nogi. To by było lekarstwo na artretyzm! Coś takiego przyszło mu do głowy, ponieważ wiele razy, trawiony bólem, marzył, by w bitwie pocisk armatni urwał mu nogę. Lepiej kuśtykać o kulach, niż tak cierpieć. A chłopiec przyniósł ulgę… Nie lekarstwo, ale ukojenie bólu.

W zamian za to Napoleon pozwalał mu sobą manipulować. Wiedział, kto tu naprawdę jest panem i tym kimś nie był ambitny, naiwny amerykański chłopak. Myślał, że jest sprytny, wydzielając dzienną ulgę w zamian za kolejną lekcję rządzenia ludźmi. Czy naprawdę wyobrażał sobie, że Napoleon nauczy go czegoś, co da mu przewagę? Wręcz przeciwnie; z każdą godziną, z każdym dniem umacniała się i pogłębiała władza Napoleona nad tym chłopcem, który mógł się przecież okazać nie do opanowania.

Oni nigdy tego nie rozumieli; żaden z nich. Wierzyli, że służą Napoleonowi z miłości i podziwu, czasem z zachłanności i egoizmu albo ze strachu i ostrożności. Niezależnie od motywu, Napoleon wzmacniał go i ujarzmiał. Niektórych pchał wstyd lub poczucie winy, innych ambicja czy żądza, niektórych nawet nadmierna pobożność — gdyż w miarę potrzeby Napoleon umiał przekonać zgłodniałą duchowej strawy duszyczkę, że jest wybranyJn sługą bożym na ziemi. To nietrudne. Nic nie jest trudne, jeśli rozumie się ludzi tak dobrze jak Napoleon. Wyczuwał ich pragnienia jak pot, jak zapach atlety po walce albo żołnierza po bitwie, jak zapach kobiety. Nie musiał się

nawet zastanawiać, wypowiadał tylko właściwe słowa, te właśnie, które powinni usłyszeć, by stać się jego sługami.

A w tych rzadkich przypadkach, kiedy ktoś okazywał się niewrażliwy na jego słowa, kiedy miał jakiś ochronny amulet czy heks, za każdym razem chytrzejszy niż poprzedni, to cóż, od tego właśnie były straże. Po to istniała gilotyna. Ludzie wiedzieli, że Napoleon nie jest człowiekiem okrutnym i niewielu spotyka kara pod jego panowaniem. Rozumieli, że jeśli posyła kogoś na gilotynę, to dlatego że świat stanie się lepszy, kiedy te konkretne usta oddzielą się od tych płuc, kiedy ręce pożegnają się z głową.

Calvin? Owszem, chłopak mógł być groźny. Miał moc uratowania się spod gilotyny, powstrzymania ostrza przed uderzeniem w szyję. Mógłby obronić się przed wszystkim, co by nie zaskoczyło go zupełnie. Jak cesarz zdołałby go pokonać? Może odrobiną opium dla otępienia zmysłów; musiał przecież kiedyś spać. Ale to nieważne. Jego śmierć okazała się zbędna. Wystarczyło trochę badań, trochę cierpliwości i już należał do Napoleona.

Nie jako sługa; nie, na to Amerykanin był za sprytny. Pilnował się, czujny na każdą próbę przemienienia go w niewolnika, jednego z tych, co wodzili za cesarzem zachwyconymi oczami. Od czasu do czasu Napoleon rzucał jakąś uwagę, rodzaj finty, by Calvin wierzył, że odbija najlepsze pchnięcia władcy. Ale w rzeczywistości Napoleon nie potrzebował jego lojalności. Jedynie zdolności kojenia bólu.

Tego chłopca trawiła zazdrość. Kto by się domyślił? Cała ta jego wrodzona moc, takie dary od Boga, Natury czy skąd tam jeszcze, a on marnował je z powodu zazdrości wobec swojego starszego brata Alvina. No cóż, Napoleon nie zamierzał tłumaczyć, że Calvin powinien walczyć z tym uczuciem. Wręcz przeciwnie: podsycał je subtelnie. Od czasu do czasu pytał, jak Alvin dałby sobie radę z tym czy tamtym; wygłaszał uwagi, jak to ciężko wytrzymać z młodszymi braćmi, którzy zwyczajnie nie potrafią człowiekowi dorównać. Wiedział, jak to zaboli, będzie drażnić duszę Calvina jak robak, będzie drążyło chłopca, pozbawi go rozsądku… Mam cię, mam cię… Patrz za ocean, wypatruj swojego brata; mogłeś rzucić mi wyzwanie tutaj, mogłeś walczyć o imperium, o połowę świata, ale potrafisz myśleć tylko o jakimś nieważnym człowieczku, ubranym w samodział czy skóry, który umie gołymi rękami wygładzać kamień i uzdrawiać chorych.

Uzdrawiać chorych… W tej chwili Napoleon nad tym właśnie pracował. Dobrze wiedział, że Calvin umyślnie go nie wyleczył; wiedział też, że jeśli tylko Calvin zorientuje się w jego władzy nad sobą, ucieknie i pozostawi go z artretyzmem. Utrzymywał więc delikatną równowagę: drażnił, ponieważ jego brat umiał leczyć, on zaś nie, a równocześnie przekonywał, że nauczył się już wszystkiego, co cesarz miał do pokazania, i jest już tylko kwestią praktyki, by był

równie skuteczny w kierowaniu ludźmi.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, chłopiec — pewien, że wycisnął już z Napoleona ostatnią kroplę wiedzy — w końcu zechce pokazać, że dorównuje bratu. Wyleczy cesarza, po czym natychmiast opuści dwór i odpłynie do Ameryki, by rzucić bratu wyzwanie, by spróbować — wykorzystując nauki Napoleona — zyskać nad nim władzę.

Oczywiście, kiedy tam dotrze i nic, czego się nauczył, nie poskutkuje, wróci żądny zemsty. Ale Napoleon naprawdę go uczył. Dosyć, by rozgrywać słabości ludzi słabych, lęki ludzi lękliwych, ambicje ludzi dumnych, ignorancję ludzi głupich. Calvin nie zauważył jednak, że Napoleon nie demonstruje mu naprawdę trudnej sztuki: jak obrócić cnoty dobrych ludzi przeciwko nim.

A najzabawniejsze, że Calvina otaczali właśnie ci najlepsi, najtrudniejsi, jakich Napoleon opanował. Na przykład markiz de La Fayette — był służącym, który kąpał Calvina, tak samo jak kąpał cesarza. Calvinowi nie przyszło do głowy, że Napoleon trzyma przy sobie najgroźniejszych wrogów, nie dostrzegających nawet, jak bardzo ich poniża. Gdyby zrozumiał, pojąłby, na czym polega prawdziwa moc. Ludzie źli, ludzie słabi, ludzie lękliwi — tymi łatwo jest manipulować. Dopiero kiedy ludzie dobrzy znaleźli się w jego władzy, Napoleon odważył się sięgnąć po tron, strącić króla i zająć jego miejsce, zdobyć Europę i narzucić pokój walczącym narodom.

Calvin nigdy się w tym nie zorientuje, ponieważ sam jest człowiekiem ambitnym i lękliwym; nie pojmuje, że inni mogą być nieustraszeni i wielkoduszni. Nic dziwnego, że tak bardzo nie znosi swojego brata! Z tego, co o nim mówił, Napoleon wnioskował, że Alvin byłby naprawdę trudnym przypadkiem. Sama wiedza o jego istnieniu wystarczyła, by odłożył plan uformowania w Kanadzie armii zdolnej do podbicia trzech angielskojęzycznych narodów Ameryki. Nie warto robić czegoś, co sprawi, że Alvin zwróci wzrok na wschód. Do takiej konfrontacji Napoleon wolał nie przystępować.

Zamiast tego wyśle tam Calvina, zbrojnego w sztukę zdrady, oszustwa, korupcji i manipulacji. Nie zapanuje nad Alvinem, oczywiście, ale z pewnością potrafi go oszukać. Napoleon dobrze wiedział, że tak jak źli, słabi i lękliwi dopatrują się w działaniach innych własnych niskich motywów, tak ludzie szlachetni spodziewają się u innych najszlachetniejszych zamiarów. Właśnie dlatego tak wielu potwornych kłamców potrafi nabierać niewinnych. Gdyby dobrzy nie ufali tak bardzo złym, rodzaj ludzki wymarłby już dawno: kobiety nie dopuściłyby blisko siebie większości mężczyzn.

Niech bracia rozstrzygną to między sobą, myślał Napoleon. Jeśli ktokolwiek potrafi usunąć groźbę Alvina Smitha, to tylko jego własny brat, który zdoła się do niego zbliżyć — nie ja z moimi armiami, z całą moją sztuką. Niech walczą.

Ale najpierw niech młodszy wyleczy moją nogę.

— Drogi Leonie, nie możesz tak zasypiać odkryty.

To La Fayette zajrzał do niego przed snem. Napoleon pozwolił mu okryć się kołdrą. Noc była chłodna; dobrze jest wiedzieć, że można liczyć na taką czułą troskę wiernego człowieka, odpowiedzialnego, twórczego i godnego zaufania. Mam w rękach najlepszych z ludzi, a pod butem najgorszych z nich. To wynik dużo lepszy od boskiego. Najwyraźniej staruszek wybrał niewłaściwego syna jako swojego następcę. Gdybym to ja był w Jerozolimie zamiast tego nudziarza Jezusa, na pewno nie pozwoliłbym się ukrzyżować. Szybko zdobyłbym władzę w Rzymie, a moją doktrynę wyznawałby cały świat.

Może tym właśnie jest Alvin — drugą próbą Boga? No cóż, Napoleon nie zamierza mu pomagać. Napoleon pośle do niego Judasza.

— Potrzebujesz snu, Leonie — oświadczył La Fayette.

— Myślę o tylu sprawach…

— O szczęśliwych sprawach, mam nadzieję.

— Istotnie szczęśliwych.

— Nie czujesz bólu w nodze? Dobrze, że jest tutaj ten chłopiec z Ameryki. Ratuje cię przed tym strasznym cierpieniem.

— Wiem, że kiedy cierpię, trudno ze mną wytrzymać.

— Ależ skąd! Być przy tobie to jedynie radość.

— Czy nigdy nie tęsknisz, markizie? Za armiami, za władzą? Za rządami, polityką, intrygami?

— Och, Leonie! Jak mógłbym za tym tęsknić? Przeżywam to wszystko za twoim pośrednictwem. Obserwuję twoje czyny i zachwycam się. Ja sam nigdy bym sobie nie poradził tak znakomicie. Przy tobie codziennie jestem w szkole; jesteś wspaniałym mistrzem.

— Kim jestem?!

— Mistrzem. Mistrzem nas wszystkich, mój drogi Leonie. Jakże słusznie nazwali twój ród na Korsyce: Buona Parte, dobre role. Istotnie, jesteś lwem dobrych ról.

— Jakże miło usłyszeć to od ciebie, markizie. Dobrej nocy.

— Niech Bóg cię błogosławi.

Świeca odpłynęła z komnaty, a powróciło blade światło księżyca lśniącego za firankami.

Wiem, że mnie obserwujesz, Calvinie. Wysyłasz swój przenikacz, jak go malowniczo nazwałeś, w moje nogi, aby znaleźć przyczynę artretyzmu. Postaraj się. W tym jednym dorównaj swemu bratu, żebym mógł pozbyć się ciebie i bólu jednocześnie.

* * *

Verily poznał w życiu wielu zepsutych ludzi. Od czasu do czasu proponowali mu wielkie sumy za to, by ich bronił. Ale jego sumienie nie było na sprzedaż. Dobrze zapamiętał jednego, który — sądząc, że jego podwładni nie wyjaśnili dokładnie, o jak wielką sumę chodzi — odwiedził Verily'ego osobiście. Kiedy wreszcie zrozumiał, że problem nie polega na wysokości honorarium, wydawał się urażony.

— Niech mi pan powie, panie Cooper, w czym moje pieniądze gorsze są od innych?

— Nie chodzi o pańskie pieniądze, drogi panie — odparł wtedy Verily.

— O co więc? Dlaczego pan odmawia?

— Bo ciągle myślę, co by się stało, gdybym w wyniku strasznej pomyłki sprawiedliwości jednak wygrał.

Człowiek ów, rozwścieczony, rzucił na pożegnanie kilka gróźb i wyszedł. Verily nie wiedział, czy to on, czy kto inny nasłał na niego zabójcę. Zobaczył w ciemności ostrze i mściwy uśmiech mordercy — najwyraźniej zbir wybrał sobie zawód pozwalający zaspokoić własne zamiłowania. Verily sprawił, że ostrze odpadło od rękojeści i roztrzaskało się u stóp napastnika, który nie mógł być chyba bardziej zawiedziony, nawet gdyby Verily zrobił z niego eunucha.

Ludzie zepsuci mieli jedną wspólną cechę: okazywali wielki szacunek dla cnoty i próbowali przebierać się w jej kostium. Hipokryzja, mimo swej fatalnej reputacji, zdradzała jednak poważanie dla dobroci.

Ci Odszukiwacze jednak nie byli dostatecznie szlachetni, by okazywać hipokryzję. Nie wznieśli się ponad poziom gadów czy rekinów, nie byli więc świadomi, jak są godni pogardy, i nie starali się tego ukrywać. Człowiek miał niemal ochotę podziwiać ich bezczelność — dopóki nie przypomniał sobie tego lekceważenia przyzwoitości, niezbędnego, by w zamian za brudne pieniądze poświęcać życie ściganiu najbardziej bezbronnych ludzkich istot, żyjących w okowach, w niewoli i w rozpaczy.

Verily zauważył z zadowoleniem, że Daniel Webster czuje do nich niechęć prawie równie wielką. Prawnik z Nowej Anglii nie zniżył się do podania im ręki — kiedy wchodzili, starannie przeglądał papiery. Nie starał się nawet zapamiętać ich nazwisk; kiedy ustalił, że cała wezwana grupa zebrała się w sali, zwracał się do nich tylko jako do grupy, żadnemu nie patrząc w oczy. Jeśli spostrzegli tę obojętność, nie komentowali jej i nie okazywali urazy. Może zawsze tak ich traktowano. Może ci, którzy wynajmowali ich usługi, zawsze czynili to z niesmakiem, myli ręce po przekazaniu im skarbczyka poszukiwanego i jeszcze raz po wypłaceniu należności. Czy nie rozumieli, że to morderca jest zbrukany, nie nóż?

O dziesiątej trzydzieści rano Odszukiwacze, usadzeni przy długim stole przed sędzią, uznali, że uzyskali wystarczające informacje ze skarbczyka, należącego do niejakiego Cavila Plantera z Oily Spring w Kenituck. Skarbczyk, przekazany w depozyt sędziemu, został dostarczony przez pana Webstera z domu pana Plantera w Carthage City w stanie Wobbish. Planter próbował zaznaczyć, że w skarbczyku znajdują się ścinki włosów i paznokci oraz kawałek zasuszonej skóry pobrane od niejakiego Arthura Stuarta z Hatrack River. Webster jednak uparł się, że dokładnie określi prawną sytuację: próbki w skarbczyku zostały pobrane od nienazwanego dziecka urodzonego na farmie pana Plantera w Appalachee, przez niewolnicę należącą w owym czasie do pana Plantera. Niewolnica ta uciekła wkrótce potem, a Planter nalegał, by dodać, że uciekła z pomocą diabła, który dał jej moc latania, a przynajmniej tak twierdzili niewykształceni i zabobonni niewolnicy.

Odszukiwacze byli gotowi. Chłopców wprowadzono i ustawiono przed nimi w szeregu. Wszyscy nosili zwyczajne ubrania i mieli mniej więcej podobny wzrost. Ręce zasłonięte im workami zawiązanymi powyżej łokci, głowy zakryto luźnymi kapturami z gęściej tkanego workowego materiału. Nie pozostał widoczny nawet skrawek skóry; dopilnowano też, by nie było żadnej szczeliny między guzikami koszul. Na wszelki wypadek każdemu z chłopców zawieszono na szyi dużą kartkę z numerem zasłaniającą cały przód koszuli.

Verily przyglądał się im uważnie. Czy jest jakaś różnica między czarnymi synami Mocka Berry i białymi chłopcami? Coś w ich chodzie, ich postawie? Oczywiście, chłopcy różnili się między sobą — ten udawał obojętność, tamten kręcił się nerwowo, ale Verily nie potrafił określić, którzy są biali, a którzy czarni. A już na pewno nie potrafił zgadnąć, który z nich jest Arthurem Stuartem, nie należącym do żadnej z dwóch ras. Co jednak nie oznacza, że Odszukiwacze tego nie wiedzieli albo nie mogli się domyślić.

Alvin zapewniał jednak, że ich talent na nic się nie przyda, ponieważ Arthur nie pasuje już do skarbczyka. I miał rację: Odszukiwacze byli wyraźnie zaskoczeni, kiedy wszedł ostatni z chłopców, a sędzia powiedział:

— A więc który z nich odpowiada zawartości skarbczyka? Spodziewali się chyba, że natychmiast rozpoznają swoją ofiarę. Szeptem zaczęli się naradzać.

— Żadnych konferencji — ostrzegł sędzia. — Każdy musi niezależnie od pozostałych sformułować swoje wnioski, zapisać na kartce numer chłopca, który jego zdaniem odpowiada skarbczykowi, i na tym skończyć.

— Czy jesteście pewni, że ktoś nie zatrzymał gdzieś chłopca, o którego chodzi? — zapytał jeden z Odszukiwaczy.

— Pyta mnie pan albo czy jestem skorumpowany, albo czy jestem głupcem. Czy zechce pan sprecyzować, o które konkretnie oskarżenie panu chodzi?

Po tych słowach Odszukiwacze zastanawiali się w milczeniu.

— Dżentelmeni — odezwał się sędzia; wymówił to słowo dość oschłym tonem. — Dostaliście trzy minuty. Mówiono mi, że identyfikacja jest natychmiastowa. Proszę, zapiszcie numer.

Zapisali. Podpisali swoje kartki. Wręczyli je sędziemu.

— Wracajcie na miejsca, a ja ocenię wyniki.

Verily musiał podziwiać absolutny spokój sędziego przeglądającego kartki. Ale niepokoił się. Czy nie dostrzeże żadnej sugestii wyniku?

— Jestem rozczarowany — oznajmił sędzia. — Oczekiwałem, że wychwalana moc i słynna niezawodność Odszukiwaczy da mi jednogłośną decyzję. Spodziewałem się, że albo zgodnie wskażecie tego samego chłopca, albo równie zgodnie stwierdzicie, że chłopiec nie znalazł się wśród tu obecnych. Tymczasem otrzymałem całkiem różne odpowiedzi. Trzech z was orzekło pod przysięgą, że żaden z chłopców nie pasuje do skarbczyka. Ale czterech, znów pod przysięgą, wskazało różnych chłopców. Dokładniej: czterech z was wskazało trzech chłopców. Ci dwaj, którzy zgadzają się ze sobą, przypadkiem siedzą obok siebie, po mojej prawej stronie. Ponieważ tylko wy dwaj zgodnie oskarżyliście tego samego chłopca, wasze wnioski sprawdzimy na początku. Woźny, proszę zdjąć kaptur chłopcu numer pięć.

Woźny wykonał polecenie. Chłopiec był czarny, ale nie był Arthurem Stuartem.

— Wy dwaj: czy jesteście pewni, czy przysięgacie przed Bogiem, że ten właśnie chłopiec odpowiada zawartości skarbczyka? Proszę pamiętać, że stawką jest licencja pozwalająca wam wykonywać zawód w stanie Wobbish. Jeśli okaże się, że nie jesteście godni zaufania ani uczciwi, nigdy nie uzyskacie pozwolenia, by zabrać niewolnika za rzekę.

Jednak obaj wiedzieli również, że jeśli się teraz wycofają, mogą być oskarżeni o krzywoprzysięstwo. A chłopak był czarny.

— Tak, Wysoki Sądzie, jestem pewien, że to właśnie ten chłopiec — oświadczył jeden z nich.

Drugi stanowczo kiwnął głową.

— A teraz obejrzymy pozostałych dwóch wskazanych chłopców. Proszę zdjąć kaptury numerom jeden i dwa.

Jeden z nich był czarny, a drugi biały. Odszukiwacz, który wskazał białego chłopca, ukrył twarz w dłoniach.

— I znowu pytam: wiedząc, że chodzi o wasze licencje, czy skłonni jesteście przysiąc, że wskazani przez was chłopcy dokładnie

odpowiadają zawartości skarbczyka?

— Nie wiem, po prostu nie wiem — wyjąkał Odszukiwacz, który wskazał białego chłopca. — Byłem pewien, myślałem, że…

— Odpowiedź jest prosta: czy nadal przysięga pan, że ten chłopiec dokładnie odpowiada skarbczykowi, czy też, wskazując go, skłamał pan pod przysięgą?

Odszukiwacze twierdzący, że skarbczyk do nikogo nie pasuje, teraz uśmiechali się szeroko. Wyraźnie wiedzieli, że koledzy kłamali, i teraz bawili się ich zakłopotaniem.

— Nie kłamałem — zapewnił Odszukiwacz, który wskazał białego chłopca.

— Ja też nie — zapewnił drugi. — I wciąż uważam, że miałem rację. Nie wiem, jak tamci mogli się tak pomylić.

— Ale pan? Pan nie uważa, że ma rację, prawda? Nie sądzi pan, że jakimś cudem niewolnicze dziecko stało się białe?

— Nie, panie sędzio. Musiałem się… pomylić.

— Poproszę o pańską licencję. Natychmiast.

Załamany Odszukiwacz wręczył sędziemu skórzaną teczkę.

Sędzia wyjął z niej kartkę papieru z urzędową pieczęcią, zapisał coś na marginesie, a potem na odwrocie złożył podpis i przybił własną pieczęć.

— Proszę — zwrócił się do Odszukiwacza. — Rozumie pan, że gdyby został pan schwytany na praktykowaniu odszukiwania niewolników w stanie Hio, zostanie pan aresztowany i osądzony, a wyrok, jaki panu grozi, to dziesięć lat więzienia?

— Rozumiem — zapewnił poniżony Odszukiwacz.

— Wie pan również, że Hio wiążą ustawy wzajemne ze stanami Huron, Suskwahenny, Irrakwa, Pensylwania i Nowa Szwecja? A więc ta sama lub podobna kara grozi panu w razie próby wykonywania zawodu w tych stanach?

— Wiem.

— Dziękuję panu za pomoc — zakończył sędzia. — Niech pan będzie wdzięczny, że okazał się pan jedynie niekompetentny. Gdybym miał przesłanki do podejrzenia o krzywoprzysięstwo, czekałoby pana więzienie i chłosta. Jeślibym uznał, że świadomie i fałszywie wskazał pan tego chłopca, nie miałbym litości. Może pan odejść.

Pozostali najwyraźniej zrozumieli, co chciał przez to powiedzieć. Kiedy nieszczęśnik wyszedł, pozostali trzej, którzy kogoś wskazali, przygotowali się na to, co ich czeka.

— Szeryfie Doggly! — zawołał sędzia. — Zechce nas pan łaskawie poinformować o tożsamości tych dwóch chłopców, wskazanych przez trzech z grupy Odszukiwaczy.

— Oczywiście, Wysoki Sądzie. To dwaj synowie Mocka Berry'ego, James i John. Peter jest już prawie dorosły, a Andrew i Zebedee za

mali. To James i John Berry.

— Jest pan tego pewien?

— Przez całe życie mieszkają w Hatrack River.

— Czy istnieje możliwość, by któryś z nich był w rzeczywistości dzieckiem zbiegłej niewolnicy?

— Wykluczone — zapewnił Po Doggly. — Przede wszystkim daty nie pasują. Obaj są za duzi. Chłopaki Berrych zawsze byli niscy jak na swój wiek, takie późno kwitnące róże, jeśli mnie Wysoki Sąd rozumie. Potem nagle strzelają w górę jak trawa; na przykład Peter jest chyba najwyższy w okolicy. Ale ci dwaj byli już sprytnymi maluchami, zanim urodził się ten niewolnik, do którego należy skarbczyk.

Sędzia zwrócił się do Odszukiwaczy.

— Co teraz? Zastanawiam się, jakim cudem chcieliście skazać na niewolę dwoje wolno urodzonych czarnych dzieci?

Jeden z nich odpowiedział natychmiast.

— Wysoki Sądzie, protestuję przeciwko całej tej procedurze! Nie po to przyjechaliśmy, żeby stanąć przed sądem, ale żeby wykonywać swój zawód i…

Młotek opadł z hukiem.

— Przyjechaliście wykonywać swój zawód, to prawda. Wasz zawód łączy się z tym, że dokonana przez was identyfikacja jest przez wszystkie sądy i organy wymiaru sprawiedliwości uznawana za uczciwą i dokładną. Kiedy wykonujecie swój zawód, czy tutaj, czy w terenie, stawką są wasze licencje. Wiecie o tym dobrze. A teraz mówcie: czy kłamaliście wskazując tych chłopców, czy tylko się pomyliliście?

— A może zgadywałem? — zasugerował inny.

Niewiele brakowało, by Verily wybuchnął śmiechem.

— Zgadywanie w tych okolicznościach oznacza kłamstwo. Przysięgliście bowiem, że wskazany chłopiec odpowiada skarbczykowi, a skoro musieliście zgadywać, to znaczy, że nie odpowiada. Zgadywaliście?

Odszukiwacz zastanowił się.

— Nie, Wysoki Sądzie. Nie kłamałem. Widzę, że musiałem się pomylić.

Drugi spróbował innej linii obrony.

— A skąd wiadomo, że szeryf nie kłamie?

— Ponieważ poznałem już tych chłopców — odparł sędzia — rozmawiałem z ich rodzicami i sprawdziłem świadectwa urodzenia w miejskim archiwum. Chcecie zadać jeszcze jakieś pytania, zanim zdecydujecie, czy wolicie stracić licencje, czy być oskarżeni o krzywoprzysięstwo?

Dwaj pozostali szybko się zgodzili, że nastąpiła pomyłka. Sędzia podpisał i opieczętował unieważnienie ich licencji.

— Możecie panowie odejść.

Wyszli.

Verily wstał.

— Wysoki Sądzie, proszę, aby ci młodzi ludzie, którzy nie zostali wskazani, mogli już zdjąć kaptury. Obawiam się, że jest im duszno.

— Ma pan rację. Woźny, rzeczywiście, najwyższa pora. Kaptury opadły. Wszyscy chłopcy odetchnęli z ulgą. Arthur Stuart uśmiechał się szeroko.

— Jesteście, panowie, związani przysięgą — zwrócił się sędzia do pozostałej trójki Odszukiwaczy. — Czy potwierdzacie, że żaden z tych chłopców nie odpowiada zawartości skarbczyka należącego do pana Cavila Plantera?

Wszyscy trzej potwierdzili.

— Muszę pochwalić panów za uczciwość przyznania się, że nie znaleźliście odpowiednika, gdy inni wyraźnie ulegli pokusie, by wskazać kogoś niezależnie od stanu faktycznego. Uważam waszą profesję za obrzydliwą, ale przynajmniej wasza trójka wykonuje ją uczciwie i stosunkowo kompetentnie.

— Dziękuję, Wysoki Sądzie — odpowiedział jeden z nich; pozostali chyba zrozumieli, że właśnie zostali obrażeni.

— Ponieważ rozprawa ta jest legalnym przesłuchaniem zgodnie z Ustawą o zbiegłych niewolnikach, wasze podpisy nie są potrzebne. Wolałbym jednak, żebyście panowie potwierdzili, że w szczególności ten młody człowiek, mieszaniec Arthur Stuart, absolutnie nie odpowiada zawartości skarbczyka. Czy możecie podpisać takie oświadczenie, będąc związani przysięgą przed Bogiem?

Mogli. Podpisali. Zostali zwolnieni.

— Panie Webster, doprawdy nie mam pojęcia, co takiego mógłby pan powiedzieć, ale że reprezentuje pan w tej sprawie pana Cavila Plantera, muszę prosić o oświadczenie, zanim ogłoszę swoje wnioski.

Webster podniósł się z wolna. Verily zastanawiał się, co będzie miał czelność powiedzieć wobec takich dowodów — jaką jękliwą, płaczliwą skargę czy protest wygłosi.

— Wysoki Sądzie — rzekł Webster — jest dla mnie oczywiste, że mój klient padł ofiarą oszustwa. Nie dzisiaj, Wysoki Sądzie, gdyż zastosowana procedura była bez wątpienia uczciwa. Nie; oszukano go ponad rok temu, kiedy dwaj Odszukiwacze w nadziei na honorarium, na które nie zapracowali, wskazali tego chłopca jako własność pana Plantera, a następnie popełnili morderstwo i sami zginęli, próbując pojmać wolnego człowieka. Mój klient, wierząc w ich uczciwość, starał się naturalnie o gwarantowane mu prawnie zadośćuczynienie. Teraz jednak, kiedy dowie się, że został tak srodze oszukany przez tamtych Odszukiwaczy, będzie równie wstrząśnięty jak ja w tej chwili, przerażony, że niewiele brakowało do porwania w niewolę wolnego

dziecka, a co gorsza do uzyskania ekstradycji i kary dla młodego człowieka nazwiskiem Alvin Smith, który, jak się teraz okazało, działał w dozwolonej obronie własnej, zabijając drugiego z tych złowrogich, kłamliwych, oszukańczych mężczyzn, udających Odszukiwaczy.

Webster usiadł.

To było wspaniałe przemówienie. Powinien zostać politykiem, myślał Verily. Głos Webstera brzmiał pięknie. Ten głos dodałby szlachetności salom kongresu w Filadelfii.

— Właściwie streścił pan moje podsumowanie — przyznał sędzia. — Sąd orzeka, że Arthur Stuart nie jest własnością Cavila Plantera, a zatem Odszukiwacze, próbujący wywieźć go do Appalachee, nie działali zgodnie z prawem. Tym samym działania przeciwko nim, podjęte przez Margaret Guester i Alvina Smitha, były legalne i odpowiednie do okoliczności. Sąd zwalnia Alvina Smitha z wszelkiej odpowiedzialności karnej czy cywilnej za śmierć tych Odszukiwaczy, a także pośmiertnie zwalnia od podobnej odpowiedzialności Margaret Guester. Zgodnie z postanowieniami Ustawy o zbiegłych niewolnikach, w każdych okolicznościach zakazane są wszelkie próby zniewolenia Arthura Stuarta, niezależnie od jakichkolwiek dodatkowych dowodów. Wyrok jest prawomocny i nie podlega apelacji. Podobnie zakazane są wszelkie próby postawienia Alvina Smitha przed sądem pod zarzutami wynikającymi ze skutków nielegalnej wyprawy podjętej przez fałszywych Odszukiwaczy, w tym ich śmierci. Ten wyrok również jest prawomocny i nie podlega apelacji.

Verily z radością słuchał tych słów. Wszystkie przepisy mówiące, że tego rodzaju postanowienia są prawomocne i ostateczne, wprowadzono do ustawy, by odebrać grupom antyniewolniczym szansę przeszkodzenia w schwytaniu zbiegłego niewolnika i ukaraniu tych, którzy mu pomagali. Tym razem jednak owa ostateczność zwróciła się przeciwko zwolennikom niewolnictwa. Własna strzelba wybuchła im w dłoniach.

Woźny zdjął worki z rąk chłopców. Sędzia, szeryf, Verily i Marty Laws uścisnęli im dłonie; chłopcy — oprócz Arthura Stuarta, naturalnie — dostali po dwa miedziaki za pomoc w działaniach sądu. Arthur za to otrzymał coś o wiele cenniejszego: kopię wyroku zakazującego niepokoić go przez kogokolwiek poszukującego zbiegłych niewolników.

Webster serdecznie uścisnął Verily'emu rękę. — Cieszę się, że sprawy tak się potoczyły — zapewnił. — Jak pan wie, w naszym zawodzie musimy czasem reprezentować klienta w pewnych czynnościach, choć wolelibyśmy, żeby ich nie podejmował.

Verily milczał — podejrzewał, że w odniesieniu do większości prawników jest to prawda.

— Cieszę się również, że moja obecność tutaj nie wpędzi nikogo w niewolnictwo ani że pańskiego klienta nie czeka ekstradycja pod fałszywymi zarzutami.

Tego Verily nie mógł już przemilczeć.

— I pewnie byłoby panu smutno, gdyby dzisiejsza rozprawa zakończyła się inaczej i ekstradycja jednak doszła do skutku.

— Ależ skąd. Gdyby Odszukiwacze zidentyfikowali młodego pana Stuarta, to sprawiedliwość wymagałaby oskarżenia pańskiego klienta przed sądem w Kenituck.

— Sprawiedliwość? — Verily nie starał się nawet ukryć pogardy w głosie.

— Prawo to sprawiedliwość, drogi przyjacielu — odparł Webster. — Nie znam innej miary dostępnej nam, zwykłym śmiertelnikom. Sprawiedliwość boska lepsza jest od naszej, ale dopóki na ławie przysięgłych nie zasiądą anioły, sprawiedliwość prawa jest najlepszą, na jaką nas stać. Ja, na przykład, jestem zadowolony, że ją mamy.

Jeśli Verily mógłby wcześniej odczuwać choćby ślad winy w związku z faktem, że według prawa Arthur Stuart naprawdę był niewolnikiem Cavila Plantera, a także — znów według prawa — Alvin Smith powinien zostać wydany do Kenituck, teraz nie było to już możliwe. Sprawiedliwości — czy wąsko pojmowanej przez Webstera, czy o wiele szerzej przez Verily'ego — stało się zadość. Boska sprawiedliwość wymagała, by Arthur pozostał wolnym człowiekiem, Alvin zaś nie podlegał karze, a zatem wyrok był sprawiedliwy. Ale i poczucie sprawiedliwości Webstera nie doznało uszczerbku, ponieważ litera prawa wymagała dopasowania skarbczyka do niewolnika; skoro tak się zdarzyło, że pewien Stwórca przemienił Arthura Stuarta i skarbczyk przestał pasować… Cóż, wobec prawa nie ma wyjątków. Skoro Webster uznał, że wszystko odbyło się zgodnie z prawem, to i wynik jest sprawiedliwy.

— Cieszę się, że poznałem pańską opinię w tej kwestii — oświadczył Verily. — Nie mogę się doczekać, kiedy w procesie mojego klienta o kradzież da pan poznać, jak bardzo jest oddany sprawiedliwości.

— Przekona się pan — odparł Webster. — Złoto należy do Makepeace'a Smitha, nie do jego byłego ucznia. A zatem sprawiedliwość wymaga, by Makepeace Smith odzyskał swoje złoto.

— Walka będzie twarda, panie Webster — rzekł Verily z uśmiechem.

— Kiedy dwaj olbrzymi spotykają się w bitwie — odparł Webster — jeden z nich musi upaść.

— I wielki hałas uczyni…

Webster niemal natychmiast się zorientował, że Verily pokpiwa z jego złotoustej przemowy. Zamiast jednak okazać urazę, roześmiał się

głośno, wesoło i z sympatią.

— Podoba mi się pan, panie Cooper. Cieszę się na to, co wkrótce nastąpi.

Verily pozwolił mu mieć ostatnie słowo. Ale w myślach odpowiedział: wcale nie, panie Webster. Wcale to pana nie ucieszy.

* * *

Nikt nie planował tego spotkania, ale wieczorem zjawili się pod celą Alvina niemal równocześnie, jakby ktoś ich wezwał. Verily Cooper przyszedł omówić sprawy związane z wyborem przysięgłych, a może też trochę się pochwalić łatwym zwycięstwem. Dołączył do niego Armor-of-God Weaver, który przywiózł listy od rodziny i życzenia od mieszkańców Vigor Kościoła. Arthur Stuart był tam już, oczywiście, jak prawie każdego wieczoru. Horacy Guester przyniósł miskę potrawki z zajazdu i dzbanek świeżego jabłecznika. Sfermentowanego Alvin nie pijał, bo to otępiało umysł.

Kiedy tylko zasiedli w otwartej celi, otworzyły się drzwi i zastępca wprowadził Peggy Larner oraz mężczyznę, którego nie rozpoznał nikt prócz Alvina.

— Mike Fink, niech trupem padnę! — powiedział Alvin.

— A wy jesteście tym chłopakiem od kowala, który połamał mi nogi i nos. — Mike Fink uśmiechnął się, ale krzywo, i nikt nie wiedział, czy nie zanosi się na bójkę.

— Widzę na was sporo nowych blizn, panie Fink — zauważył Alvin. — Ale z tego, że stoicie przed nami, wnioskuję, że to ślady wygranych walk.

— Wygranych uczciwie i niełatwo — przyznał Fink. — Ale nie zabiłem nikogo, kto sam się o to nie prosił, próbując wbić we mnie nóż i inaczej nie mogłem mu przeszkodzić.

— Co was sprowadza?

— Mam dług wobec was.

— Nie wiem o żadnym długu.

— Mam dług i chcę go spłacić.

Jego słowa były wieloznaczne. Arthur Stuart zauważył, że tata Horacy i Armor-of-God szykują się, by w razie potrzeby powstrzymać rzecznego szczura.

Dopiero Peggy wszystko wyjaśniła.

— Pan Fink przyszedł, aby przekazać nam informację o spisku na życie Alvina — zakończyła. — I zaproponować swoje usługi jako strażnika. Chce mieć pewność, że nie spotka cię nic złego.

— To miło, że chcieliście mnie ostrzec — zapewnił Alvin. — Wejdźcie i siadajcie. Możecie obok mnie, na podłodze, albo na pryczy; jest mocniejsza, niż się wydaje.

— Niewiele mam do opowiedzenia. Panna Larner przekazała, czego się dowiedziałem: chcieli was zabić w czasie podróży na proces w Kenituck. Ale ludzie, których znam… jeśli w ogóle można ich nazwać ludźmi… nie wyjechali stąd. Słyszałem dzisiaj po południu, że mają dostać pieniądze, nieważne, jak ta ekstradycja będzie rozsunięta…

— Rozstrzygnięta — podpowiedział uprzejmie Verily Cooper.

— Rozwinięta — poprawił się Fink. — Wszystko jedno. Mają się tym nie przejmować, bo i tak będą potrzebni. Plan jest taki, że nie wyjedziecie żywi z Hatrack River.

— Co z Arthurem Stuartem? — spytał Alvin.

— Ani słowa. Moim zdaniem diabła ich obchodzi mały mieszaniec. To tylko pretekst, żeby was zabić.

— Uważajcie… — zaczął łagodnie Alvin, chcąc przypomnieć o obecności Peggy, ale Fink nie czekał, aż skończy.

— Proszę o wybaczenie, panno Larner.

— Ale żem się zdziwił — rzekł zdumiony Alvin. — Mówi jak któryś z waszych uczniów.

Czyżby powiedział to złośliwie? Odpowiedź Peggy była złośliwa z całą pewnością.

— Wolę słuchać, jak przeklina, niż jak ty mówisz „żem się zdziwił” zamiast „zdziwiłem się”.

Alvin pochylił się do Mike'a Finka, chociaż nie spuszczał wzroku z Peggy.

— Widzicie, panna Larner zna wszystkie słowa i wie, jak powinny wyglądać.

Arthur Stuart widział, że się rozzłościła, ale milczała. Czyżby tych dwoje chciało się kłócić? I o co? Panna Larner zawsze ich poprawiała, kiedy uczyła Alvina i Arthura, pracując w Hatrack River.

Jeszcze bardziej zdumiało go, że starsi mężczyźni — nie Verily, ale Horacy, Armor-of-God, a nawet Mike Fink — tak jakby zerkali na siebie porozumiewawczo i uśmiechali się lekko, jak gdyby dokładnie wiedzieli, co się dzieje między Alvinem i Peggy. Jak gdyby rozumieli to lepiej niż ich dwoje.

Mike Fink odezwał się znowu:

— Wracając do spraw życia i śmierci, nie gramatyki…

— …i sprzeczek zakochanych… — mruknął pod nosem Horacy.

— Przykro mi, ale poza tym nic nie wiem o ich planach. Nie jesteśmy w końcu przyjaciółmi. Raczej byliby szczęśliwi, gdyby mogli dźgnąć mnie w plecy albo nasikać mi do butów, zależy, czy w ręku mieliby nóż, czy… no, czy coś innego.

Zerknął na Peggy Larner i zarumienił się. Zarumienił! Zarośnięta twarz, poharatana i pocięta w bójkach, pokryła się rumieńcem jak buzia chłopca skarconego przez nauczycielkę.

I zanim jeszcze ten rumieniec zbladł, Alvin chwycił Finka za rękę i pociągnął obok siebie, na podłogę.

— Wy i ja, Mike, czasem zapominamy, jak gadać elegancko przy jednych, a zwyczajnie przy drugich. Ale pomogę wam, jeśli wy mi pomożecie.

Tymi słowami pozwolił Mike'owi się opanować. Mówił szczerze i wszyscy rozumieli, że chce pomóc. I Mike Fink rzeczywiście poczuł się lepiej.

A kiedy Arthur Stuart patrzył, jak Alvin pomaga Finkowi, przypomniał sobie, jak kiedyś pomógł jemu.

— Może zaśpiewasz nam tę piosenkę, Alvinie? Teraz Alvin się zarumienił.

— Wiesz, że żaden ze mnie śpiewak, Arthurze. Raz ci zaśpiewałem…

— On ułożył piosenkę — wyjaśnił Arthur Stuart. — O tym, jak siedzi tu zamknięty. Razem ją wczoraj śpiewaliśmy.

Mike Fink pokiwał głową.

— Wychodzi na to, że Stwórca musi coś tworzyć.

— Nie mam tu nic do roboty, tylko myśleć albo śpiewać. Lepiej ty zaśpiewaj, Arthurze. Masz ładny głos.

— Zaśpiewam, jeśli chcesz — zgodził się chłopiec. — Ale to twoja piosenka. Ty ją ułożyłeś: i słowa, i melodię.

— Ty śpiewaj — upierał się Alvin. — Nie jestem nawet pewien, czy pamiętam wszystkie zwrotki.

Arthur Stuart posłusznie wstał i zaczai swym cienkim głosikiem:

Chciałem raz czeladnikiem być,
Krokami zmierzyć ziemię.
Lecz potem szybko niczym myśl
Rzuciłem rodzinne plemię.
Uciekłem, co tu kryć.

Obejrzał się na Alvina.

— I tak musisz ze mną zaśpiewać refren. Zaczęli razem:

Nad głową niebo miast gontów
I stopy biegną zmęczone.
Zmierzam do horyzontu, hej!
Zmierzam do horyzontu.

Potem Arthur zaczął następną zwrotkę, ale teraz Alvin także zaśpiewał, a ich głosy łączyły się harmonijnie.

Aż wyciągnęli mnie z łoża
Do celi z grubą kratą.
W myślach dziś moje podróże
Po wszystkich piekła szlakach.

Gdy Arthur zaczął kolejną zwrotkę, Alvin nie podjął śpiewu. Patrzył tylko zdziwiony.

Do świtu zły sen mi się śnił
O ludziach smętnie małych…

— Zaczekaj, Arthurze Stuart — przerwał. — Ta zwrotka nie należy właściwie do piosenki.

— Przecież pasuje, i sam ją śpiewałeś do tej melodii.

— Ale to głupi sen i nic nie znaczył.

— Mnie się podobało — zapewnił Arthur. — Mogę zaśpiewać?

Alvin machnął ręką, ale był wyraźnie zakłopotany.

Do świtu zły sen mi się śnił
O ludziach smętnie małych.
W krainie, gdzie dym słońce ćmił,
Groźnie pająki kąsały;
Zła złoty pierścień tkwił.

— A cóż to znaczy? — zdziwił się Armor-of-God.

— Nie wiem — przyznał Alvin. — Zastanawiam się, czy czasem nie trafiam przypadkiem w jakiś cudzy sen. Może ten należał do kogoś za dawnych dni, a może kogoś, kto się jeszcze nie urodził. Taki bezpański sen, a ja akurat w niego wpadłem.

— Kiedy byłem mały — wtrącił Verily Cooper — chciałem wiedzieć, czy ci dziwni ludzie, których spotykam w snach, nie są tak samo rzeczywiści jak ja. I czy ja też się im pojawiam we śnie.

— Miejmy tylko nadzieję, że nie obudzą się w nieodpowiedniej chwili — mruknął Mike Fink.

Arthur Stuart odśpiewał ostatnią zwrotkę:

Niesłusznie oskarżyli mnie,
Niewielu im wierzyło.
Cierpliwie zatem spędzam dnie,
Lecz nogi tu tracą siłę,
I w środku coś się gnie.

— To chyba najsmutniejsza piosenka, jaką słyszałem — ocenił Horacy Guester. — Czy w ogóle zdarzają ci się tu jakieś weselsze myśli?

— Refren jest całkiem raźny — zauważył Arthur Stuart.

— Dzisiaj miałem wesołe myśli — odparł Alvin. — Myślałem o czterech Odszukiwaczach tracących licencje, pozwalające im porywać wolnych ludzi na południe i zmieniać ich w niewolników. I teraz też jestem wesoły, bo wiem, że najsilniejszy człowiek, z jakim walczyłem, postanowił mnie strzec przed niebezpieczeństwem. Chociaż szeryf może nie być zadowolony, panie Fink. Uważa, że nic mi nie grozi, dopóki się mną opiekuje.

— Rzeczywiście nic ci nie grozi — zapewniła Peggy. — Nawet ci zastępcy szeryfa, którzy cię nie lubią, nigdy nie podniosą na ciebie ręki i nie pozwolą, żeby coś złego ci się stało.

— Czyli nie ma żadnego niebezpieczeństwa? — upewnił się Horacy Guester.

— Jest, i to bardzo poważne. Ale nie ze strony zastępców szeryfa, zwłaszcza dopóki nie skończy się rozprawa i Alvin nie zacznie się szykować do wyjazdu. Wtedy nie wystarczy strażnik, nawet chętny, by zginąć z nim razem. Tylko podstępem wywieziemy Alvina żywego z miasta.

— Kto powiedział, że zginę? — zaprotestował Mike Fink.

Peggy uśmiechnęła się blado.

— Przeciwko dowolnym pięciu mężczyznom wy dwaj poradzilibyście sobie doskonale.

— Czyli będzie ich więcej niż pięciu? — upewnił się Alvin.

— Może być. W tej chwili niczego nie widzę wyraźnie. Wszystko wiruje. Ale niebezpieczeństwo jest realne. Nakreślono plany i opłacono ludzi. Wiecie sami, że kiedy w grę wchodzą pieniądze, zabójcy czują się zobowiązani do wypełnienia kontraktu.

— Ale chwilowo nie musimy się martwić o życie nasze i Alvina? — podsumował Verily Cooper.

— Wystarczy zwykła rozwaga.

— Nie rozumiem, dlaczego w czarach pokładamy ufność — odezwał się Armor-of-God. — Zbawiciel wystarczy nam za obrońcę.

— Zbawiciel wskrzesi nas kiedyś — odparła Peggy. — Ale nie zauważyłam, żeby chrześcijanie byli mniej martwi od pogan, kiedy kończy się życie.

— Jedno jest pewne — poparł Armora Horacy Guester. — Gdyby nie czary, Alvin nie wpakowałby się w takie kłopoty.

— Podobała się wam piosenka? — zapytał Alvin. — Uważam, że Arthur Stuart wyśpiewał ją całkiem niczego sobie. Całkiem nieźle. Zupełnie dobrze.

Po każdej poprawce Peggy uśmiechała się szerzej.

— Zaśpiewał ładnie — powiedziała. — Ale każda wersja zdania była lepsza od poprzedniej.

— Mam jeszcze jedną zwrotkę — poinformował Alvin. — Nie należy właściwie do piosenki z takiego powodu, że to jeszcze nie jest prawda. Może chcecie posłuchać?

— Musisz śpiewać sam — odparł Arthur. — Ja nie znam więcej słów.

Alvin zaśpiewał:

Dowodów wszelkich było brak,
Przysięgli się sprawili.
Jutro wyruszam znów na szlak.
Huragan dmuchnie mi po chwili,
Zaśpiewam głośno tak:
Nad głową niebo miast gontów…

Wszyscy się śmiali i życzyli, żeby niedługo zaśpiewał to naprawdę. A kiedy wizyta dobiegła końca, postanowili, że Armor-of-God z Mike'em Finkiem do obrony wyruszą do Carthage City. Mieli dowiedzieć się jak najwięcej o ludziach płacących Danielowi Websterowi i sprawdzić, czy nie ci sami wynajęli wodne szczury i innych bandytów, żeby dokonali zamachu na życie Alvina. Poza tym wszystko było w rękach Verily'ego Coopera. A on twierdził, że wszystko zależy od świadków i przysięgłych, dwunastu uczciwych ludzi.

* * *

Długi rząd ludzi czekał przed magistratem, kiedy Peggy wchodziła do środka, by obejrzeć pierwszy dzień procesu Alvina.

— Wcześnie głosują — wyjaśnił jej Marty Laws. — Boją się, że w dzień wyborów pogoda im nie pozwoli. Kampania Chybotliwego Kanoe mocno tu ludzi poruszyła.

— Jak pan myśli, głosują za czy przeciw?

— Nie mam pewności. Ale to pani powinna wiedzieć. Peggy nie odpowiedziała. Owszem, mogła to sprawdzić. Mogłaby, gdyby tylko spojrzała. Ale bała się tego, co może zobaczyć.

— Po Doggly najlepiej się tu zna na polityce. Mówi, że gdyby chodziło tylko o Czerwonych, Chybotliwy Kanoe nie dostałby ani jednego głosu. Ale rozgrywa też dumę zachodu. Że niby pochodzi z tej strony Appalachów. Dla mnie to nie ma sensu, bo przecież Hickory,

znaczy się Andy Jackson, też jest z zachodu, nie gorzej od Harrisona. Ludzie się chyba martwią, że Jackson, w końcu z Tennizy przecież, pewnie za bardzo popiera niewolnictwo. A nie chcą głosować na kogoś, kto może tę sytuację choć trochę pogorszyć.

Peggy uśmiechnęła się blado.

— Żałuję, że nie znacie prawdziwej opinii pana Harrisona na temat niewolnictwa.

Marty uniósł brew.

— Wiecie coś, o czym ja nie wiem?

— Wiem, że Harrison jest tym kandydatem, którego zechcieli poprzeć ci, co planują rozciągnąć niewolnictwo na stany północne.

— Nie ma u nas nikogo, kto by tego pragnął.

— Tak się stanie, jeśli Harrison będzie prezydentem. Więc nie powinni na niego głosować.

Marty przyglądał się jej długo i uważnie.

— Czy wyrażacie własne zdanie, jak większość ludzi, mających opinie polityczne? Czy może wiecie to jako… jako…

— Wiem. Nie mówiłabym, gdyby chodziło tylko o moje zdanie.

Marty pokiwał głową i wpatrzył się w przestrzeń.

— A niech mnie… Tak, wy możecie to wiedzieć.

— Ostatnio jakoś często obstawiacie niewłaściwego konia — zauważyła Peggy.

— Trudno zaprzeczyć — przyznał Marty. — Od lat powtarzam Makepeace'owi Smithowi, że nie ma żadnych dowodów przeciwko Alvinowi i na pewno nie wydadzą go nam z Wobbish. Aż nagle Alvin zjawia się tutaj i co ja mogę zrobić? Mam tu Makepeace'a, a on ma jeszcze jednego świadka. Nigdy nie wiadomo, co zrobią przysięgli. Moim zdaniem to marny interes.

— Czemu więc nie wnioskujecie o oddalenie oskarżenia?

Marty spojrzał na nią ponuro.

— Tego mi zrobić nie wolno, panno Peggy, z tego prostego powodu, że jednak jest jakaś sprawa. Mam nadzieję, że ten angielski prawnik, co go rodzina Alvinowi przysłała, potrafi go wybronić. Ale nie mam zamiaru siedzieć z założonymi rękami. Nie rozumiecie czegoś, panno Peggy. Ja znam większość ludzi z tego okręgu i prawie za każdym razem w sądzie oskarżam kogoś, kogo lubię. Nie dlatego go oskarżam, że go nie lubię. Oskarżam, ponieważ źle postąpił, a ludzie z okręgu Hatrack po to mnie właśnie wybrali. Dlatego mam nadzieję, że Alvin będzie uniewinniony, ale jeśli tak się stanie, to nie dlatego że nie wypełniałem swoich obowiązków.

— Byłam w kuźni tej nocy, kiedy powstał pług. Dlaczego nie wezwiecie mnie na świadka?

— Widzieliście, jak go zrobił?

— Nie. Kiedy zobaczyłam pług, był już skończony.

— Więc czego tak naprawdę jesteście świadkiem?

Peggy nie odpowiedziała.

— Chcecie zeznawać, bo jesteście żagwią, a ludzie w Hatrack River o tym wiedzą. Kiedy powiecie, że Makepeace Smith kłamie, uwierzą wam. Ale martwi mnie pewien drobiazg, panno Peggy. Wiem, że wy i Alvin robiliście do siebie słodkie oczy; może to jeszcze nie minęło. I kiedy staniecie przed ławą, skąd mogę wiedzieć, że nie popełnicie strasznego grzechu przeciwko Bogu i nie skłamiecie, żeby tylko chłopak odzyskał wolność?

Peggy poczerwieniała ze złości.

— Wiecie, bo wiecie też, że moja przysięga nie jest gorsza od innych.

— Jeśli staniecie jako świadek, panno Peggy, obalę wasze zeznanie, wzywając innych, którzy zaświadczą, że przez wiele miesięcy żyliście w Hatrack River w przebraniu, że oszukiwaliście wszystkich w sprawie własnej tożsamości. Dzięki heksom udawaliście starą pannę, nauczycielkę w średnim wieku, i przez cały czas spotykaliście się z kowalskim terminatorem, udając, że go uczycie. Wiem, że mieliście ważne powody dla takiego zachowania. Wiem, że istniał też zapewne powód, dla którego owej nocy, kiedy zginęła wasza matka, widziano, jak wy i Alvin razem biegniecie z kuźni, tyle że Alvin był golusieńki. Rozumiecie, do czego zmierzam?

— Radzicie, żebym nie zeznawała.

— Mówię, że chociaż niektórzy wam uwierzą, inni będą pewni, że pomagacie Alvinowi jako jego wspólniczka. Moim obowiązkiem jest wzbudzić w przysięgłych wszelkie możliwe wątpliwości co do waszych zeznań.

— Czyli jednak jesteście nieprzyjacielem Alvina i nieprzyjacielem prawdy! — zawołała Peggy, próbując go urazić.

— Możecie mnie oskarżać — odparł Marty. — Ale moim obowiązkiem jest dowiedzenie, że Alvin ukradł to złoto. Wasze zeznanie, całkowicie oparte na niesprawdzalnym oświadczeniu żagwi, że Makepeace jest kłamcą, nie powinno zostać przyjęte bez wątpliwości. Gdyby tak się stało, to każdy niedopieczony tłumacz snów czy fałszywy prorok w okolicy mógłby mówić przed sądem, co mu tylko przyjdzie do głowy, a przysięgli by mu wierzyli. I co by się wtedy stało ze sprawiedliwością w Ameryce?

— Nie wiem, czy dobrze rozumiem. Chcecie mnie zdyskredytować, zniszczyć moją reputację i skazać Alvina, a wszystko to w imię sprawiedliwości w Ameryce?

— Już mówiłem — powtórzył Marty Laws. — Mam nadzieję, że wasz prawnik poradzi sobie z obroną Alvina nie gorzej niż ja z oskarżaniem. Mam nadzieję, że odkryje tyle dowodów pogrążających naszych świadków, ile pan Webster i ja znaleźliśmy przeciwko

Alvinowi. Bo szczerze mówiąc, wcale mi się nie podobają nasi świadkowie. Uważam, że Makepeace to chciwy drań i kłamca, który powinien trafić do więzienia za krzywoprzysięstwo, ale nie umiem tego dowieść.

— Jak możecie żyć, pracując w służbie zła, kiedy przecież wiecie, co jest dobre?

— Dobro nakazuje też, żeby oskarżyciel publiczny oskarżał, a nie sądził.

Peggy smętnie pokiwała głową.

— I rzadko zdarza się sprawa, w której ktoś ma po swojej stronie samo dobro, a jego przeciwnik jest całkiem zły.

— To szczera prawda, panno Peggy. Najszczersza prawda.

— Radzicie mi, żebym nie zeznawała.

— Nic z tych rzeczy. Ostrzegłem tylko, jaką cenę zapłacicie za zeznanie.

— Nasza rozmowa jest chyba nieetyczna, prawda?

— Odrobinę — przyznał Marty. — Ale wasz ojciec i ja znamy się od bardzo dawna.

— Nie wybaczy wam, jeśli zniszczycie moją reputację.

— Wiem, panno Peggy. A to złamie mi serce. — Skinął jej głową na pożegnanie i musnął palcem czoło, jak gdyby chciał pstryknąć w kapelusz, którego nie nosił w budynku. — Miłego dnia.

Peggy weszła za nim na salę rozpraw.

Pierwszego dnia zeznawało ośmiu świadków, którzy widzieli złoty pług. Jako pierwszy wystąpił Merlin Wheeler w fotelu na kółkach. Peggy wiedziała, że przed laty Alvin zaproponował mu uzdrowienie, by znowu mógł chodzić. Ale Merlin tylko spojrzał mu prosto w oczy i powiedział: „Straciłem czucie w nogach przez tych samych ludzi, którzy zabili mi żonę i dziecko. Jeśli potrafisz ich ożywić, możemy potem pogadać o moich nogach”. Alvin wtedy nie zrozumiał, a Peggy, szczerze mówiąc, nie rozumiała do dzisiaj. Czy jeżdżąc na wózku Merlin pomagał jakoś żonie i dziecku? A może sam sobie pomagał? Może ten fotel był jak czarna żałobna opaska, widoczny symbol, że okaleczyła go strata najbliższych? W każdym razie okazał się doskonałym świadkiem, głównie dlatego że ludzie wiedzieli o jego talencie widzenia, co jest sprawiedliwe i słuszne. Uznawano go za nieformalnego sędziego, chociaż nieczęsto obie strony sporu zgadzały się na jego osąd. Jedna lub druga zawsze jakoś uważała za niewygodne przekazanie sprawy do decyzji człowieka naprawdę bezstronnego i uczciwego. Przysięgli wysłuchali jego oświadczenia z uwagą.

— Nie mówię, że pług jest zaczarowany, bo nie wiem, w jaki sposób stał się taki, jaki jest. Mówię jedynie, że wygląda jak złoty, waży jak złoty i rusza się, choć nie kieruje nim niczyja ręka.

Wheeler narzucił ton pozostałym. Albert Wimsey był zegarmistrzem z talentem do metali. Uciekł do Ameryki, kiedy rywale w interesach oskarżyli go o wykorzystywanie czarów przy budowie mechanizmów zegarowych. Kiedy stwierdził, że widział złoto, powiedział to z przekonaniem i ława przysięgłych nie miała więcej wątpliwości, z jakiego metalu zbudowany jest pług. Jan Knickerbaker był dmuchaczem szkła i miał oko widzące różne rzeczy wyraźniej niż inni ludzie. Ma Bartlett, staruszka, pracowała kiedyś jako nauczycielka, a teraz mieszkała w starej chacie, którą zbudował sobie Po Doggly, kiedy dopiero osiedlił się w tej okolicy. Skądś przysyłano jej niewielką rentę; całe dnie spędzała pod dębem na brzegu Hatrack River, łapała ryby i wypuszczała je do wody. Ludzie zwracali się do niej, kiedy chcieli sprawdzić, czy mogą komuś zaufać. Nigdy się nie myliła, przez co wiele pączkujących romansów nie zdołało się rozwinąć. W końcu miejscowi przestali jej zadawać pewne pytania.

Billy Sweet robił cukierki; był młody i naiwny, nikt nie traktował go poważnie, ale nie można go było nie lubić, choćby nie wiadomo jakie głupstwa wyczyniał czy opowiadał. Naomi Lerner zarabiała trochę jako nauczycielka, ale talent miała do głupoty, nie nauki — głupotę wyczuwała na milę, choć nie bardzo potrafiła jej zaradzić. Jereboam Hemelett, rusznikarz, musiał mieć trochę talentu ogniowego, bo choćby dzień był najbardziej wilgotny, proch w karabinach Hemeletta zawsze się zapalał. A Goody Trader — której pierwsze imię brzmiało podobno Charity albo Chastity, co powtarzali z ironią ci, którzy jej nie lubili — prowadziła sklep przy końcu Main Street. Trzymała na półkach nie tylko towary, których ludzie szukali, ale też takie, których potrzebowali nieświadomie.

Wszyscy opowiadali, jak podnosili pług, jak się poruszał, brzęczał, drżał albo grzał im ręce, a wzrok przysięgłych wciąż kierował się ku workowi pod krzesłem Alvina. Alvin nie dotykał go ani nie robił nic, by zwrócić na niego uwagę, ale przesuwał się na krześle, jak gdyby pług w worku był środkiem ciężkości jego ciała. Przysięgli chcieliby zobaczyć ten pług na własne oczy, ale z miny Alvina poznawali, że to im się nie uda. Że tych ośmiu widziało w ich imieniu. To musi wystarczyć.

Ośmiu świadków było dobrze znanych w mieście, wszyscy cieszyli się zaufaniem (chociaż Billy Sweet tylko w ograniczonym zakresie, bo sam był tak ufny, że byle jaki kłamca potrafił mu wmówić każdą bzdurę) i powszechną sympatią, jeśli nie liczyć zwykłych codziennych kłótni. Peggy znała ich, znała lepiej niż oni siebie nawzajem, i może to właśnie nie pozwoliło jej dostrzec faktu, który zauważył chyba tylko Arthur Stuart.

Arthur siedział obok niej i z szeroko otwartymi oczami wysłuchiwał zeznań. Dopiero kiedy skończył ostatni świadek, chłopiec

pochylił się do Peggy i szepnął:

— W Hatrack River sporo jest ludzi z mocnymi talentami, prawda?

Peggy dorastała w tym miasteczku i chociaż wielu mieszkańców osiedliło się tutaj po jej odjeździe, zawsze miała uczucie, że zna wszystkich. Czy naprawdę? Pierwszy raz uciekła, zanim Alvin zjawił się, by terminować u Makepeace'a Smitha. W ciągu następnych ośmiu lat spędziła w miasteczku tylko rok — właściwie mniej niż rok — w przebraniu. Przez te osiem lat przybyło wielu nowych osadników, ze dwa razy więcej, niż żyło tu przed jej ucieczką. Obejrzała płomienie ich serc — odruchowo, ponieważ chciała wiedzieć, jacy ludzie ją otaczają.

Ale aż do wyszeptanej na ucho uwagi Arthura Stuarta nie uświadamiała sobie, jak wielu z nich ma zadziwiające talenty. Ośmiu świadków nie wyróżniało się specjalnie — po prostu wiele było tu talentów, więcej niż w jakimkolwiek innym miejscu, jakie odwiedziła.

Dlaczego? Co ich tu sprowadziło?

Odpowiedź była prosta i oczywista — tak oczywista, że Peggy natychmiast zaczęła w nią wątpić. Czy naprawdę coś przywiodło tych ludzi, ponieważ przebywał tu Alvin? Właśnie w Hatrack opanował swój talent, uczynił z niego wszechogarniającą potęgę. Tutaj zrobił żyjący pług. Czy to jego Stwarzanie ich ściągnęło? Roznieciło ogień i skłoniło stopy do wyruszenia w drogę, aż odpoczęły w miejscu, gdzie Stwarzanie unosiło się w powietrzu?

A może to coś więcej? Może Ktoś nimi kierował, i to nie Stwarzanie ich sprowadziło do Hatrack, ale ten sam Ktoś, kto doprowadził do miasta Alvina? Czy to znaczy, że wszystkie wydarzenia zmierzają do jakiegoś celu, realizują jakiś plan? Peggy pragnęła w to uwierzyć, ponieważ wtedy nie byłaby odpowiedzialna za to, by wszystko się dobrze ułożyło. Jeśli Bóg pilnuje tu spraw, to mogę odstawić miotłę, odłożyć igłę z nitką, gdyż nie mam nic do sprzątania ani szycia. Mogę się zająć własnym życiem.

Tak czy inaczej było jasne, że Hatrack River to coś więcej niż tylko miasteczko, gdzie w tej chwili Alvin siedzi w wiezieniu. To miejsce, gdzie w zadziwiającej ilości zbierają się ukryte moce. Verily Cooper przemierzył ocean, by spotkać się z AMnem; może inni także pokonali ocean, góry czy szerokie przestrzenie prerii i puszcz, by dotrzeć tam, gdzie Stwórca stworzył swój złoty pług. Niedawno te osiem osób dotknęło pługa, zobaczyło, jak się porusza, wiedziało, że jest żywy. Jak to na nich wpłynie?

Dla Peggy „zapytać” oznaczało „sprawdzić”: zajrzała w płomienie ich serc i zobaczyła rzecz zadziwiającą. Wcześniej u nikogo nie dostrzegła ścieżek związanych tak ściśle z przyszłością Alvina. Ale teraz przekonała się, że ich życie łączy się z jego życiem. U wszystkich

znalazła liczne ścieżki prowadzące do kryształowego miasta na brzegu rzeki.

Po raz pierwszy Kryształowe Miasto z wizji Alvina pokazało się w przyszłości kogoś innego.

Niemal zemdlała z poczucia ulgi. Miasto przestało być nieuformowanym marzeniem w sercu Alvina, bez żadnej ścieżki wskazującej, jak tam dotrzeć. Teraz mogło się stać rzeczywistością, rzeczywistością także dla tych ośmiu osób.

Dlaczego? Tylko z tego powodu, że dotknęli żywego pługa? Czyżby był narzędziem zmieniającym ludzi w obywateli Kryształowego Miasta, oazy wolności, o jakiej marzył Alvin?

Nie, niemożliwe. Kryształowe Miasto nie byłoby oazą wolności, gdyby jakaś potężna moc zmuszała ludzi do przemiany w jego obywateli. Pług otwierał raczej drzwi w ich życiu, dzięki czemu mogli wkroczyć w przyszłość, o jakiej najbardziej marzyli. W miejsce i czas, gdzie ich talenty rozkwitną w całej pełni, gdzie ludzie razem stworzą coś większego, niż potrafiliby zbudować samodzielnie.

Musiała powiadomić o tym Alvina. Powinien wiedzieć. W Vigor Kościele próbował ludzi o skromnych talentach uczyć tego, czego zrobić nie mogli, a jeśli nawet, to z wielkim trudem. Tymczasem tutaj, w miejscu gdzie przyszedł na świat, gromadzili się już przyszli mieszkańcy Kryształowego Miasta, posiadający naturalne dary i skłonności, które uczynią z nich Stwórców.

Coś jeszcze przyszło jej do głowy i spojrzała w płomienie serc przysięgłych. Kolejna grupa przypadkowo dobranych osób — i znowu, choć nie posiadali jakichś wyjątkowych talentów, to jednak talenty ich określały. Z pewnością mogli szukać odpowiedzi na pytania, co znaczą ich zdolności, po co je otrzymali. Ludzie, których coś — świadomie lub nie — ciągnęło do miejsca, gdzie narodził się Stwórca. Do miejsca gdzie żelazo zmieniło się w złoto, gdzie mały mieszaniec został przemieniony tak, że skarbczyk nie wskazywał go już jako niewolnika. Do miejsca gdzie ludzie obdarzeni talentami, zdolnościami i marzeniami mogą znaleźć wspólny cel, mogą zbudować coś wspólnie, mogą się stać Stwórcami.

Czy wiedzieli, jak bardzo potrzebują Alvina? Jak bardzo ich marzenia i nadzieje od niego zależą? Nie, oczywiście, że nie. Byli przysięgłymi, próbowali zachować bezstronność. Próbowali osądzić zgodnie z prawem. To dobrze. To też rodzaj Stwarzania — strzeżenie prawa, choćby serce miało od tego pęknąć. Utrzymywanie porządku w społeczności. Gdyby okazali stronniczość, faworyzowali kogoś dlatego, że go podziwiają, potrzebują, lubią czy nawet kochają, byłby to koniec sprawiedliwości. A gdy upadnie sprawiedliwość, kiedy otwarcie zostanie wzgardzona, rozsypie się także porządek. Korupcja wymiaru sprawiedliwości to sztuczka Niszczyciela. Verily Cooper musi

udowodnić, że Alvin ma rację, a przynajmniej wykazać bezzasadność zarzutów Makepeace'a; musi umożliwić ławie przysięgłych wydanie wyroku uniewinniającego.

A wtedy w płomieniach ich serc otworzą się ścieżki podobne do ścieżek świadków: kiedyś staną przy Alvinie, zbudują sięgające nieba wieże z lśniącego kryształu, chwytające światło i zmieniające je w prawdę — tak jak to się działo, kiedy Tenska-Tawa poprowadził Alvina do wnętrza wiru.

Czy powiedzieć Alvinowi, że współ-Stwórcy siedzą wokół niego na sali sądowej? Czy mu to pomoże, czy raczej wzbudzi nadmierną pewność siebie?

Mówić czy nie mówić — odwieczne pytanie, z którym zmagała się Peggy. W porównaniu z nim zagadka Hamleta była śmieszna i prosta. Rozważania o samobójstwie zawsze są dziełem Niszczyciela. Ale wyznanie prawdy i ukrycie prawdy — tego nie wiadomo. Konsekwencje są nieprzewidywalne.

Oczywiście, dla zwykłych ludzi konsekwencje zawsze są nieprzewidywalne. Tylko żagwie, takie jak Peggy, dźwigają brzemię dostrzegania wszystkich możliwości. A niewiele jest takich żagwi jak Peggy.

* * *

Makepeace, opryskliwy i nerwowy, nie był dobrym świadkiem we własnej sprawie. Pewnie dlatego Laws i Webster wezwali go jako pierwszego, żeby złe wrażenie zostało zapomniane po zeznaniach sympatyczniejszych — i bardziej wiarygodnych — świadków.

Najlepsze, co mógł w tym przypadku zrobić Verily, to pozwolić Makepeace'owi mówić tak, żeby przysięgli dobrze zapamiętali jego zeznania. Dlatego nie złożył protestu, kiedy Makepeace wzbogacił swoją wypowiedź oszczerstwami na temat charakteru Alvina. „Zawsze był najbardziej leniwym ze wszystkich moich uczniów". „Niczego nie potrafił zrobić, jeśli nie stałem nad nim i nie wrzeszczałem mu do ucha". „Wolno się uczył, wszyscy to wiedzieli". „Jadł jak świnia, nawet w takie dni, kiedy palcem nie kiwnął". Strumień pomówień był tak obfity, że wszyscy czuli się zakłopotani — nawet Marty Laws, który zerkał na Verily'ego, nie pojmując, dlaczego nie protestuje. Ale po co Verily miał protestować, kiedy przysięgli wiercili się nerwowo i odwracali wzrok przy każdym nowym ataku na Alvina? Wiedzieli, że to kłamstwa. Prawdopodobnie nie było wśród nich nikogo, kto choć raz nie zjawiłby się w kuźni z nadzieją, że to Alvin, nie jego mistrz,

wykona pracę. Alvin był znany ze swych umiejętności, czego Verily dowiedział się z przypadkowej rozmowy w zajeździe przy kolacji. Zatem Makepeace podważał tylko własną wiarygodność.

Za to biedny Marty wpadł w pułapkę. Nie mógł przerwać zeznań Makepeace'a, gdyż były one podstawą całej sprawy. I tak przesłuchanie trwało dalej, i odpowiedzi, i obmowy.

— Zrobił pług ze zwykłego żelaza. Ja żem go widział, i jeszcze Pauley Wiseman, co to był wtedy szeryfem, i Arthur Stuart, i dwóch zabitych Odszukiwaczy. Pług stygł na warsztacie, kiedy przyszli i zamówili u mnie kajdany dla chłopaka. Ale kajdany to nie u mnie, o nie. To nie jest robota dla porządnego kowala, takie kajdany, co w nich wolnego chłopca powiozą do niewolnictwa. I co powiecie? Sam Alvin, podobno taki wielki przyjaciel Arthura Stuarta, podchodzi i mówi, że on zrobi kajdany. Taki z niego był chłopak, i wtedy, i dzisiaj: żadnej lojalności, żadnej przyzwoitości, nic!

Alvin pochylił się do Verily'ego i szepnął mu do ucha:

— Wiem, że to niełądnie, ale mam straszną ochotę sprowadzić na Makepeace'a ostre świerzbienie tyłka.

Niewiele brakowało, a Verily roześmiałby się głośno. Sędzia spojrzał na niego groźnie, ale nie chodziło mu o tę niewczesną wesołość.

— Panie Cooper, nie zamierza pan zgłosić protestu przeciwko tym ubocznym komentarzom o charakterze pańskiego klienta?

Verily wstał powoli.

— Wysoki Sądzie, jestem pewien, że przysięgli dokładnie wiedzą, jak poważnie należy traktować zeznania pana Makepeace'a Smitha. Odpowiada mi, że zapamiętają zarówno jego złośliwość, jak i brak precyzji.

— Cóż, może tak postępuje się w Anglii. Ja jednak poinstruuję przysięgłych, żeby nie brali pod uwagę złośliwości pana Smitha, ponieważ nie wiadomo, czy złośliwość ta jest skutkiem wydarzeń, o jakich mówił, czy też je poprzedzała. Co więcej, poinstruuję pana Smitha, by zaprzestał rzucania oszczerstw dotyczących charakteru pozwanego, ponieważ uwagi takie odnoszą się do opinii, nie faktów. Zrozumiałeś, Makepeace?

Makepeace zmieszał się lekko.

— Niby tak.

— Proszę kontynuować, panie Laws.

Marty westchnął.

— A więc widział pan żelazny pług, natomiast Alvin zrobił kajdany. Co potem?

— Poradziłem mu, żeby przedstawił te kajdany na egzamin czeladniczy. Pomyślałem, że dobrze by to zrobiło takiemu zdradzieckiemu kundlowi, gdyby przez całe życie pamiętał, jak te

kajdany, które zrobił dla przyjaciela, są…

Sędzia przerwał mu, znów patrząc gniewnie na Verily'ego.

— Makepeace, takie określenia jak „zdradziecki kundel” doprowadzą do tego, że oskarżę cię o obrazę sądu. Rozumiesz?

— Przez całe życie nazywałem łopatę łopatą, Wysoki Sądzie! — oświadczył Makepeace Smith.

— A w tej chwili kopiesz sobie tą łopatą głęboki grób — odparł sędzia. — I sam cię w nim pochowam, jeżeli nie zaczniesz uważać, co mówisz.

Makepeace spoważniał i zwrócił się do przysięgłych.

— Proszę o wybaczenie, Wysoki Sądzie, że chciałem dotrzymać przysięgi, by mówić prawdę, całą prawdę i tylko…

Młotek opadł.

— Nie pozwolę też na sarkazm skierowany do tej ławy, panie Smith. Proszę, panie Laws.

I tak to szło, aż Makepeace skończył swoją opowieść. Była to nędzna, płaczliwa skarga. Najpierw widział żelazny pług, z żelaza, które sam dostarczył terminatorowi. A następnie pojawił się pług z czystego złota. Według Makepeace'a, istniały tylko dwie możliwości. Pierwsza, że Alvin wykorzystał jakieś heksy, by zmienić żelazo w złoto, a wtedy powstało ono z żelaza, które dostał od niego, więc zgodnie ze starą tradycją i umową terminatorską, pług należy do Makepeace'a. Albo to inny pług, nie z żelaza dostarczonego przez Makepeace'a, a wtedy skąd Alvin wziął tyle złota? Tylko raz rył w ziemi tak głęboko, że mógł znaleźć ukryty skarb — kiedy kopał studnię, która powstała w niewłaściwym miejscu. Makepeace uważał, że Alvin kopał najpierw tam, gdzie powinien, znalazł złoto i ukrył je, kopiąc studnię gdzie indziej. A jeśli złoto zostało znalezione na ziemi Makepeace'a, to też należało do Makepeace'a.

Verily zadał świadkowi tylko dwa pytania.

— Czy widział pan, jak Alvin wydobywa z ziemi złoto lub coś podobnego do złota?

Rozgniewany Makepeace zaczął się tłumaczyć, a Verily czekał spokojnie, aż sędzia pouczy go, by odpowiadał „tak” lub „nie”.

— Nie.

— Czy widział pan przemianę żelaznego pługa w złoty?

— Co z tego, że nie widziałem? Nie ma żelaznego pługa, więc gdzie się podział?

I znowu sędzia przypomniał, że ma odpowiadać „tak” lub „nie”.

— Nie — przyznał Makepeace.

— Nie mam więcej pytań — oświadczył Verily.

Kiedy Makepeace wstał i opuścił miejsce dla świadków, Verily zwrócił się do sędziego.

— Wysoki Sądzie, obrona składa wniosek o natychmiastowe

oddalenie wszelkich zarzutów, z tej przyczyny, że zeznanie świadka nie wystarcza dla podtrzymania oskarżenia.

Sędzia westchnął ciężko.

— Mam nadzieję, że nie będę musiał wysłuchiwać takich wniosków po przesłuchaniu każdego świadka.

— Tylko po tych żałosnych, Wysoki Sądzie.

— Przekazał nam pan swoją opinię. Oddalam wniosek. Panie Laws, kto jest pańskim następnym świadkiem?

— Chciałbym powołać żonę Makepeace'a, Gertie, ale zmarła ponad rok temu. Zamiast niej, za pozwoleniem Wysokiego Sądu, wzywam kobietę, która pomagała jej w kuchni tego dnia, kiedy pług został po raz pierwszy… dostrzeżony. Anga Berry.

Sędzia spojrzał pytająco na Verily'ego.

— Jej zeznanie będzie oparte, w pewnym sensie, na pogłoskach. Nie zgłasza pan sprzeciwu, panie Cooper?

Alvin zapewnił już Verily'ego, że nic, co powie Anga, nie może mu zaszkodzić.

— Nie, Wysoki Sądzie.

* * *

Alvin z uwagą słuchał zeznań Angi Berry. Nie była świadkiem niczego, Gertie powiedziała jej tylko o oskarżeniach Makepeace'a już następnego ranka, co dowodziło, że nie wymyślił sobie później wszystkich zarzutów.

Verily bardzo uprzejmie zapytał, czy Gertie Smith mówiła kiedykolwiek coś, co by sugerowało, że Alvin jest takim złym chłopcem, za jakiego uważał go Makepeace.

Marty poderwał się.

— To tylko pogłoski, Wysoki Sądzie.

— No cóż, Marty — odparł zniecierpliwiony sędzia. — Wiemy, że to pogłoski. Dla pogłosek w ogóle ją wezwałeś.

Marty Laws usiadł zawstydzony.

— Nigdy nie wspominała o jego kowalstwie ani nic — oświadczyła Anga. — Ale wiem, że Gertie lubiła tego chłopca. Zawsze jej pomagał. Nosił wodę, kiedy tylko poprosiła, a to najgorsza robota. Był dobry dla dzieci i… no, pomocny. Nigdy nie powiedziała o nim złego słowa i wydaje mi się, że ceniła jego dobroć.

— Czy Gertie wspomniała, że kiedyś ją okłamał lub oszukał? — zapytał Verily.

— Nie, chyba że policzyć ukrywanie jakiejś pracy, dopóki jej nie

skończył, żeby zrobić niespodziankę. Jeśli to jest oszukiwanie, to owszem, oszukał ją kilka razy.

I to wszystko. Alvin przekonał się z ulgą, że Gertie nie krytykowała go za plecami, że nawet po śmierci pozostała mu przyjacielem. Zdziwił się tylko, że Verily jest taki smutny, kiedy siadał na ławie obok niego. Marty wezwał kolejnego świadka, niejakiego Hanka Dowsera, lecz jego opowieści Alvin mógł się domyślić. Ten człowiek miał w sobie złość i wysłuchanie go nie będzie przyjemne. Naturalnie, on również niczego nie widział, a przecież kopanie studni nie ma nic wspólnego z pługiem. Dlaczego więc Verily jest taki nieszczęśliwy?

Alvin zapytał go.

— Bo Marty Laws nie miał żadnego powodu, żeby powoływać tę kobietę. Zeznawała przeciwko oskarżeniu, a przecież musiał to wiedzieć z góry.

— Więc po co ją wezwał?

— Bo chciał pod coś położyć fundament. A że w normalnych zeznaniach nie powiedziała nic nowego, ten fundament znalazł się w odpowiedzi na moje pytania.

— Zapytałeś Angę, czy Gertie miała o mnie taką samą złą opinię jak jej mąż.

Verily zastanowił się.

— Nie. Zapytałem też, czy kiedykolwiek oszukałeś Gertie Smith. Ależ jestem głupcem! Gdybym tylko mógł cofnąć te słowa!

— A co w nich złego? — zdziwił się Alvin.

— Na pewno ma świadka, który nazwie cię oszustem. Świadka, który poza tym nie ma żadnego związku ze sprawą.

Tymczasem bardzo oburzony Hank Dowser opowiadał, jaki zarozumiały był uczeń Makepeace'a, jak ośmielił się tłumaczyć różdżkarzowi, gdzie szukać wody.

— Nie ma szacunku dla niczyjego talentu oprócz własnego.

— Protestuję, Wysoki Sądzie! — zawołał Verily. — Świadek nie ma kompetencji do oceny szacunku bądź braku szacunku mojego klienta dla talentów innych ludzi w ogólności.

Protest został podtrzymany. Hank Dowser okazał się bystrzejszy niż Makepeace i więcej nie sprawiał kłopotów. Szybko ustalono, że uczeń kowala istotnie wykopał studnię w innym miejscu, niż wskazał Hank.

Verily miał tylko jedno pytanie.

— Czy tam, gdzie wykopał studnię, była woda?

— To nie ma nic do rzeczy! — oznajmił z oburzeniem Hank Dowser.

— Z przykrością muszę pana poinformować, panie Dowser, że w tej chwili jestem uprawniony przez sąd do stawiania pytań. I zadałem

panu pytanie. Chciałbym poznać pańską odpowiedź. W tej chwili.

— Jakie to było pytanie?

— Czy mój klient dokopał się do wody?

— Dotarł do jakiejś wody, rzeczywiście. Ale w porównaniu z tą czystą wodą, jaką ja znalazłem, jestem pewien, że jego okazała się zamulona, brudna, paskudna w smaku.

— Mam rozumieć, że pańska odpowiedź brzmi „tak”?

— Tak.

To było wszystko.

Wzywając następnego świadka, Marty wykrzyknął nazwisko, od którego Alvinowi ciarki przeszły po plecach.

— Amy Sump.

Atrakcyjna dziewczyna wstała z ławki w tylnej części sali i wyszła na środek.

— Kim ona jest? — zapytał Verily.

— To dziewczyna z Vigor. Ma bardzo bujną wyobraźnię.

— A co sobie wyobraża?

— Jak to ona i ja robiliśmy coś, czego żaden mężczyzna nie powinien robić z tak młodą dziewczyną.

— Robiliście?

Alvina zirytowało to pytanie.

— Nigdy. Ona zaczęła opowiadać zmyślone historie i tak to się zaczęło.

— A co potem?

— Odszedłem z Vigor Kościoła, żeby jej kłamstwa miały czas przycichnąć.

— Zaczęła opowiadać o tobie historie, a ty uciekłeś?

— A jaki to ma związek z pługiem i Makepeace'em Smithem?

Verily skrzywił się.

— Wykaże, czy oszukujesz ludzi, czy nie. Marty Laws ma mnie na haku.

Marty tłumaczył właśnie sędziemu, że nie mógł wcześniej porozmawiać ze świadkiem, więc to jego oświecony kolega poprowadzi przesłuchanie.

— Dziewczyna jest młoda i wrażliwa, ale ufa panu Websterowi.

Verily pomyślał, że zaufanie Amy do Webstera źle wróży szczerości jej zeznań, ale musiał być ostrożny. Była jeszcze dzieckiem, w dodatku dziewczyną. Nie może zachowywać się wobec niej wrogo ani zbyt gwałtownie protestować. W swoich pytaniach powinien być delikatny, bo pomyślą, że się nad nią znęca.

W przeciwieństwie do Makepeace'a Smitha i Hanka Dowsera, w oczywisty sposób rozzłoszczonych i niechętnych Alvinowi, Amy Sump była absolutnie wiarygodna. Mówiła z wahaniem, jakby trochę zawstydzona.

— Nie chcę, żeby Alvin miał przeze mnie kłopoty, proszę pana — powiedziała.

— A to dlaczego? — zapytał Daniel Webster.

— Bo wciąż go kocham — szepnęła.

— Pani… pani wciąż go kocha? — Webster był świetnym aktorem, godnym występów na scenach Drury Lane. — Ale jak… jak to możliwe?

— Noszę w sobie jego dziecko — wyjaśniła, wciąż szeptem.

W sali podniósł się gwar, a Webster znowu udał zaskoczenie.

— Nosi pani… Czy pani jest zamężna, panno Sump?

Pokręciła głową. Lśniące łzy spłynęły jej z oczu i kapnęły na sukienkę.

— A jednak nosi pani dziecko. Dziecko człowieka, któremu zabrakło uczciwości, by uczynić z pani przyzwoitą kobietę. Czyje to dziecko, panno Sump?

To już była przesada. Verily poderwał się z miejsca.

— Wysoki Sądzie, zgłaszam protest! Zeznanie nie ma żadnego związku ze…

— Mówi o kwestii oszustwa, Wysoki Sądzie! — krzyknął Daniel Webster. — Mówi o człowieku, który powie wszystko, co trzeba, by osiągnąć cel, a potem ucieka bez pożegnania, zabrawszy przedtem to, co najcenniejsze, od kogoś, kto mu zaufał!

Sędzia zastukał młotkiem.

— Panie Webster, była to przemowa tak świetna, że mam ochotę spytać przysięgłych o decyzję i zakończyć rozprawę. Niestety, to jeszcze nie koniec, więc byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan się powstrzymać od mów, póki nie przyjdzie na nie pora.

— Odpowiedziałem na protest mojego szanownego przeciwnika.

— Widzisz, Danielu, tu właśnie popełniłeś błąd. Ponieważ protest ów był skierowany do mnie, jako że ja tu jestem sędzią i nie potrzebowałem twojej pomocy. Ale cieszy mnie fakt, że gotów jej jesteś udzielić, gdyby kiedykolwiek była konieczna.

Webster zareagował na ironię czarującym uśmiechem. Nie przejął się; powiedział już to, co zamierzał.

— Prostest zostaje odrzucony, panie Cooper — oznajmił sędzia. — Kto jest ojcem dziecka, panno Sump?

Wybuchnęła płaczem — w odpowiedniej chwili, mimo opóźnienia.

— Alvin — powiedziała łkając. Podniosła głowę i spojrzała żałośnie na ławę oskarżonych, prosto w oczy Alvina. — Och, Al, jeszcze nie jest za późno! Wróć i ożeń się ze mną! Tak bardzo cię kocham!

ROZDZIAŁ 15 — MIŁOŚĆ

Próbując ukryć zdumienie, Verily Cooper obejrzał się na Alvina i uniósł brew.

— To prawda, że jest ciężarna — szepnął Alvin. Wydawał się zasmucony. — Ale nieprawda, że to ja jestem ojcem.

— Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

— Nie wiedziałem, dopóki tego nie powiedziała. Wtedy zajrzałem i rzeczywiście, dziecko rośnie w jej łonie. Wielkości paznokcia. Najwyżej trzytygodniowe.

Verily kiwnął głową. Alvin siedział w więzieniu od miesiąca, a wcześniej kilka miesięcy wędrował daleko od Vigor Kościoła. Czy jednak potrafi skłonić dziewczynę do przyznania, że jest w ciąży niecały miesiąc?

Tymczasem Daniel Webster prowadził przesłuchanie, wydobywając z Amy drastyczny opis uwiedzenia jej przez Alvina. Trzeba przyznać, że przygotowała przekonującą historię, pełną rozmaitych szczegółów, które zwiększały jej wiarygodność. Verily miał wrażenie, że dziewczyna nie kłamie, a jeśli nawet, to wierzy we własne kłamstwa. Na chwilę ogarnęły go wątpliwości. Czy Alvin byłby do tego zdolny? Dziewczyna jest ładna i atrakcyjna; sądząc z tego, co mówi, także chętna. To, że Alvin jest Stwórcą, nie oznacza jeszcze, że nie jest mężczyzną.

Szybko otrząsnął się z tych myśli. Alvin Smith to człowiek, który potrafi nad sobą zapanować. I ma honor. Gdyby rzeczywiście zrobił coś takiego, na pewno by się z nią ożenił, a nie porzucał samą z dzieckiem.

To dowód, jak niebezpieczna jest ta dziewczyna. Skoro potrafiła obudzić zwątpienie nawet w obrońcy Alvina…

— I wtedy panią zostawił — podpowiedział Daniel Webster.

Verily zastanowił się nad protestem, ale uznał, że nie ma sensu.

— Wiem, że to właściwie moja wina. — Amy znowu zalała się łzami. — Nie powinnam opowiadać Ramonie, mojej najlepszej przyjaciółce, o Alvinie i o mnie, bo wszystkim to wypaplała. Ludzie nie rozumieli naszej wielkiej miłości, więc oczywiście mój Alvin musiał odejść. Czekają go wielkie dzieła i póki co nie może się wiązać w Vigor Kościele. Nie chciałam tu przyjeżdżać i zeznawać! Chcę, żeby był wolny, żeby robił to, co powinien robić! A jeśli moje maleństwo urodzi się bez tatusia, przynajmniej mu powiem, że pochodzi ze szlachetnej krwi, że jest z rodu Stwórcy!

To było niezłe pociągnięcie — przedstawiła się jako męczennica, której nie przeszkadza, że „jej” Alvin jest kłamliwym uwodzicielem, oszustem, uciekinierem i dzieciorobem, bo przecież tak bardzo go

kocha.

Nadszedł czas na pytania obrony. Sytuacja wymagała delikatności. Verily nie mógł nawet zasugerować, że wierzy Amy, ale też nie śmiał jej atakować, gdyż zyskała sympatię przysięgłych. Ziarna wątpliwości należało posiać bardzo ostrożnie.

— Przykro mi, że musiała pani jechać tak daleko. To z pewnością trudna podróż dla młodej damy w tak delikatnym stanie.

— Och, to mi nie przeszkadza. Wymiotuję tylko rano, a potem już czuję się dobrze przez cały dzień.

Przysięgli roześmiali się: przyjazny, współczujący, ufny śmiech. Boże, miej mnie w swojej opiece, pomyślał Verily.

— Od jak dawna wie pani, że jest w ciąży?

— Bardzo długo — zapewniła.

Verily uniósł brew.

— To niezbyt dokładna odpowiedź. Ale zanim wysłucha pani mojego kolejnego pytania, proszę pamiętać, że w razie potrzeby mogę sprowadzić tu pani ojca i matkę, aby ustalić dokładny czas początku ciąży.

— Ale ja powiedziałam im dopiero parę dni temu — zapewniła Amy. — A ciężarna jestem od…

Verily podniósł dłoń, by ją uciszyć. Pokręcił głową.

— Proszę panią o ostrożność, panno Sump. Jeśli się pani chwilę zastanowi, zrozumie pani, że matka z pewnością, a ojciec prawdopodobnie wie, iż nie może pani być w ciąży dłużej niż kilka tygodni.

Amy przyglądała mu się przez chwilę, zaskoczona. Potem na jej twarzy pojawiło się zrozumienie. Wreszcie pojęła: matka pierze bieliznę, więc wie, kiedy ostatni raz miała menstruację. I że nie stało się to długie miesiące temu.

— Jak właśnie chciałam powiedzieć, zaszłam w ciążę w zeszłym miesiącu. Tak, miesiąc temu.

— I ma pani pewność, że Alvin jest ojcem dziecka?

Kiwnęła głową. Ale nie była głupia. Verily wiedział, że przelicza w pamięci. Wyraźnie miała nadzieję, że uda jej się skłamać o ciąży trwającej od miesięcy, zanim jeszcze Alvin opuścił Vigor Kościół. Po narodzinach tłumaczyłaby, że trwało to tak długo, ponieważ chodzi o dziecko Stwórcy. Ale teraz musiała wymyślić coś lepszego niż te bzdury.

A może planowała to od początku? To także możliwe.

— Oczywiście, że on — oświadczyła. — Przychodzi do mnie nocą nawet ostatnio. Cieszy się z tego dziecka.

— Co to znaczy „nawet ostatnio”? Wie pani przecież, że przebywa w więzieniu.

— Co tam. Czym jest więzienie dla kogoś takiego jak on?

I znowu Verily zrozumiał, że zagrał w ręce Webstera. Wszyscy wiedzieli, że Alvin ma tajemną moc. Wiedzieli, że pracuje z kamieniem i żelazem. Wiedzieli też, że może wyjść z celi, kiedy tylko zechce.

— Wysoki Sądzie — powiedział. — Zastrzegam sobie prawo ponownego wezwania świadka do dalszego przesłuchania.

— Protest! — zawołał Daniel Webster. — Jeśli ponownie wezwie pannę Sump, będzie ona jego świadkiem, więc trudno to nazwać przesłuchaniem. Ona nie jest wrogim świadkiem.

— Muszę się przygotować do dalszych pytań — wyjaśnił Verily.

— Proszę się przygotowywać do woli — orzekł sędzia. — Zostawię panu pewną swobodę, ale nie będzie to pełne przesłuchanie. Świadek jest wolny, proszę tylko nie opuszczać Hatrack River.

Webster wstał ponownie.

— Wysoki Sądzie, chciałbym zadać kilka pytań w celu uzupełnienia zeznania.

— Oczywiście. Panno Sump, proszę pozostać na miejscu i pamiętać, że wciąż zeznaje pani pod przysięgą.

Webster usiadł.

— Panno Sump, stwierdziła pani, że Alvin odwiedza panią w nocy. Jak to robi?

— Wymyka się z celi, przechodzi przez mur więzienia, a potem biegnie jak Czerwony, spowity w… w… czerwoną pieśń. Dzięki temu w ciągu godziny dociera do Vigor Kościoła i nawet nie jest zmęczony. Nie, wcale nie jest zmęczony. — Zachichotała.

Czerwona pieśń… Verily dość już rozmawiał z Alvinem, by wiedzieć, że chodzi o zieloną pieśń, a gdyby rzeczywiście łączyły go intymne stosunki z tą dziewczyną, na pewno by to wiedziała. Przypominała sobie tylko drobiazgi zapamiętane z dawnych lekcji, kiedy chodziła na zajęcia z ludźmi uczącymi się Stwarzania. I to wszystko — wyobraźnia młodej dziewczyny, połączona ze strzępkami wiedzy o Alvinie. Ale to może wystarczyć, żeby odebrać mu złoty pług albo — co gorsza — żeby posłać go do więzienia i na zawsze zniszczyć reputację. To nie jest niewinna bajka; chociaż Amy udaje, że kocha Alvina, musi dokładnie wiedzieć, jaką krzywdę mu wyrządza.

— Czy odwiedza panią każdej nocy?

— Nie, to niemożliwe. Parę razy w tygodniu.

Webster skończył, ale Verily także miał kilka pytań.

— Panno Sump, gdzie Alvin panią odwiedza?

— W Vigor Kościele.

— Jest pani młodą dziewczyną, panno Sump, i mieszka pani z rodzicami. Zapewne pani pilnują. Moje pytanie dotyczy zatem konkretów: gdzie się pani znajduje, kiedy Alvin panią odwiedza.

Zdenerwowała się trochę.

— W różnych miejscach.

— Rodzice pozwalają pani wychodzić bez opieki?

— Nie. To znaczy… Zawsze najpierw przychodzi do domu. Późną nocą. Kiedy wszyscy śpią.

— Czy ma pani własny pokój?

— Nie. Siostry śpią razem ze mną.

— Więc gdzie pani spotyka Alvina?

— W lesie.

— Czyli oszukuje pani rodziców i wymyka się nocą do lasu?

Słowo „oszukuje" podziałało na nią jak policzek.

— Nikogo nie oszukuję! — zawołała z przekonaniem.

— Czyli rodzice wiedzą, że wychodzi pani do lasu na spotkanie z Alvinem?

— Nie. To znaczy… Wiem, że by mnie zatrzymali, a nas łączy prawdziwa miłość, więc… Nie wymykam się, bo tato rygluje drzwi i by mnie usłyszał… Na jarmarku udało mi się wymknąć i…

— Jarmark odbywał się w biały dzień, nie nocą — zauważył Verily, w nadziei że się nie myli.

— Bez związku ze sprawą! — krzyknął Webster, ale tylko bardziej zdenerwował dziewczynę.

— Jeśli zdarza się to kilka razy w tygodniu, panno Sump, z pewnością nie czeka pani na jarmark, żeby znaleźć okazję, prawda? — spytał Verily.

— Nie, to było tylko raz, jeden raz. Kiedy indziej…

Verily czekał, by nie ułatwiać jej zeznań, wypełniając słowami chwilę milczenia. Niech przysięgli widzą, że dziewczyna wymyśla wszystko pod wpływem chwili.

— Przychodzi do mojego pokoju, zupełnie bezgłośnie. Przenika przez ściany. A potem zabiera mnie tą samą drogą, cicho, przez ścianę. I biegniemy z czerwoną pieśnią do miejsca, gdzie w świetle księżyca daje mi swoją miłość.

— Zadziwiające przeżycie. Pani ukochany zjawia się przy łóżku, przenosi panią przez ścianę i bezgłośnie biegnie wiele mil do sielankowej okolicy, gdzie obejmujecie się namiętnie w blasku księżyca. Jest pani w nocnej koszuli. Czy nie marznie pani, panno Sump?

— Czasami, ale on potrafi ogrzać powietrze dookoła mnie.

— A co z bezksiężycowymi nocami? Czy coś pani widzi?

— On… On stwarza światło. Zawsze widzimy.

— Ukochany zdolny do cudownych rzeczy. To brzmi niezwykle romantycznie, zgodzi się pani?

— Tak, to bardzo romantyczne — przyznała Amy.

— Jak sen — podpowiedział Verily.

— Tak, jak sen.

— Protest! — krzyknął Webster. — Świadek to jeszcze dziecko i nie uświadamia sobie, w jaki sposób obrońca może fałszywie zinterpretować jej niewinne porównanie.

Amy niczego nie rozumiała.

— Co takiego powiedziałam? — zapytała.

— Pozwoli pani, że zapytam wprost — odezwał się Verily. — Panno Sump, czy nie jest możliwe, że pani wspomnienia o Alvinie pochodzą ze snów? Że śniło się pani to wszystko, ponieważ zakochała się pani w silnym, fascynującym mężczyźnie, zbyt dorosłym, by choćby panią zauważył?

Teraz zrozumiała, dlaczego Webster protestował. Spojrzała zimno na Verily'ego.

Ona wie, pomyślał. Wie, że kłamie, nie wierzy w to, co mówi, i nienawidzi mnie, bo próbuję jej przeszkodzić, choćby tylko trochę.

— Moje dziecko to żaden sen, proszę pana. Nie słyszałam jeszcze, żeby ze snu dziewczyna zaszła w ciążę.

— Nie, ja też nie słyszałem o takich snach — zgodził się Verily. — A przy okazji, jak dawno temu odbył się ten jarmark?

— Trzy tygodnie temu.

— Poszła tam pani z rodzicami?

Webster przerwał, domagając się wyjaśnienia sensu tych pytań.

— Podała jarmark jako szczególną okazję spotkania z Alvinem — wyjaśnił Verily. Sędzia pozwolił mu kontynuować. — Panno Sump, niech pani wyjaśni, jak mogła się pani sam na sam spotkać z Alvinem na jarmarku? Czy umówiliście się wcześniej?

— Nie, on… On się tam zwyczajnie pokazał.

— W biały dzień? I nikt go nie rozpoznał?

— Nikt go nie widział oprócz mnie. Tak było… On potrafi robić takie rzeczy.

— Owszem. Zaczynamy sobie uświadamiać, że kiedy chodzi o spędzanie z panią czasu, Alvin Smith zdolny jest do zdumiewających, cudownych wyczynów.

Webster zaprotestował, Verily przeprosił. Ale podejrzewał, że trafił na trop czegoś istotnego. Amy uwiarygodniała swoją opowieść, dodając szczegóły. Gdy mówiła o zdarzeniach, które nie miały miejsca, szczegóły te były senne i piękne — ale nie wymyślała ich na poczekaniu; to jasne, że istotnie jej się śniły czy też marzyła o nich. Mówiła z pamięci.

Ale w pamięci miała też inne wspomnienie — o spotkaniu z człowiekiem, który był prawdziwym ojcem jej dziecka. Verily sądził, że wspomnienie o jarmarku, całkiem nie pasujące do wzorca jej nocnych spotkań z Alvinem, powiązane było z wydarzeniem rzeczywistym. Gdyby tylko zdołał nakłonić ją do bardziej szczegółowych zeznań…

— Czyli tylko pani go widziała. I poszła pani za nim, jak sądzę. Wolno spytać dokąd?

— Pod klapę namiotu z dziwolągami. Za taką grubą kobietą.

— Za grubą kobietą… Dyskretne miejsce. Ale… Ale dlaczego akurat tam? Dlaczego Alvin nie porwał pani do lasu? Na jakąś słoneczną łąkę nad strumieniem? Przypuszczam, że pod namiotem nie było pani wygodnie: na słomie czy nawet na twardej ziemi, w ciemności…

— Alvin tak właśnie chciał — odparła. — Nie wiem czemu.

— Ile czasu spędziliście razem za grubą kobietą?

— Jakieś pięć minut. Verily uniósł brew.

— Skąd ten pośpiech? — Po czym, zanim Webster zdążył zaprotestować, zadał kolejne pytanie: — A zatem Alvin w biały dzień uciekł z więzienia w Hatrack River, pokonał całą drogę do Vigor Kościoła po drugiej stronie stanu Wobbish, a wszystko po to, żeby spędzić z panią pięć minut za grubą kobietą?

Webster znów się poderwał.

— Skąd młoda dziewczyna ma znać przyczyny, dla jakich pozwany podejmuje takie niewytłumaczalne działania?

— Czy to protest? — zapytał sędzia.

— To nie ma znaczenia — wtrącił Verily. — Na razie z nią skończyłem.

Tym razem pozwolił, by w jego głosie zabrzmiał ślad pogardy. Niech przysięgli zobaczą, że stracił szacunek dla tej dziewczyny. Nie obalił jej zeznań, ale zbudował oparcie dla wątpliwości.

Była już trzecia po południu. Rozprawa została przełożona na dzień następny.

* * *

Tego wieczoru Alvin i Verily zjedli kolację w celi. Dyskutowali o tym, co może się zdarzyć jutro i co powinno się zdarzyć, by zapadł wyrok uniewinniający.

— Właściwie nie udowodnili niczego, co miałoby związek z Makepeace'em — stwierdził Verily. — Chcą tylko wykazać, że w ogóle jesteś kłamcą, i mają nadzieję, że rozwieje to wszelkie wątpliwości przysięgłych co do ciebie i pługa. Najgorsze, że na każdym kroku Webster i Laws rozgrywali mnie jak harfę. Wystawili mnie, a ja wygłosiłem opinię, na którą z mojej strony liczyli. I oto mamy podstawę dla zeznań kolejnego nieistotnego dla sprawy, ale kompromitującego cię świadka.

— Czyli lepiej od ciebie znają prawne sztuczki w amerykańskich sądach — uznał Alvin. — Ale ty znasz prawo. Wiesz, jak rzeczy do siebie pasują.

— Nie rozumiesz, Alvinie? Webstera nie obchodzi, czy zostaniesz skazany, czy nie. Zależy mu tylko na tym, co gazety piszą o procesie. Szargają ci opinię. Nigdy już nie odzyskasz swojej reputacji.

— Nie można powiedzieć, że nigdy…

— Takie historie nie cichną. Nawet jeśli uda się nam znaleźć człowieka, z którym Amy ma to dziecko…

— Ale ja wiem, kto to jest — zapewnił Alvin.

— Co?! Skąd możesz…

— To Matt Thatcher. Jest o parę lat młodszy ode mnie, ale w Vigor znali go wszyscy chłopcy. Zawsze był łobuzem pierwszej wody, a ostatnio stale się chwalił, że żadna dziewczyna mu się nie oprze. Od czasu do czasu obrywał, kiedy naopowiadał o czyjejś siostrze. Po zeszłorocznej zabawie mówił, jak to wbił swój maszt w pięć dziewcząt, i to w namiocie z dziwolągami, za grubą kobietą.

— Ale to było ponad rok temu.

— Tacy jak Matt Thatcher nie mają wyobraźni, Verily. Jeśli raz znalazł sobie dobre miejsce, na pewno tam wrócił. Co prawda nie pokazał palcem żadnej dziewczyny, jaką podobno zdobył w zeszłym roku, więc pomyśleliśmy, że znalazł miejsce i tylko chciał, żeby któraś tam z nim poszła. Myślę, że w tym roku mu się w końcu udało.

Verily oparł się o ścianę, sącząc z kubka ciepły jabłecznik.

— Jedno mnie zastanawia — powiedział. — Webster musiał znaleźć Amy Sump, kiedy był w Vigor Kościele. O wiele wcześniej, niż ja tam dotarłem. I przed tym jarmarkiem. Nie była jeszcze ciężarna.

Alvin uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Mogę sobie wyobrazić, jak mówi rodzicom Amy: „Całe szczęście, że nie nosi jego dziecka. Chociaż wtedy, moim zdaniem, wędrówki Alvina dobiegłyby końca”. A ona słyszy, więc zachodzi w ciążę z najbardziej chętnym, ale i najgłupszym chłopakiem w okolicy.

— Doskonale naśladujesz jego głos! — roześmiał się Verily.

— To nic takiego. Żałuj, że nie słyszałeś Arthura Stuarta, zanim…

— Zanim?

— Zanim go przemieniłem, żeby Odszukiwacze nie mogli go znaleźć.

— Czyli nie podmieniłeś im skarbczyka. Zmieniłeś samego chłopca.

— Uczyniłem go trochę mniej Arthurem Stuartem, a trochę bardziej Alvinem. Nie cieszy mnie to. Tęsknię do dni, kiedy potrafił udawać każdego. Nawet drozda. Potrafił śpiewem rozmawiać z drozdem.

— Mógłbyś przemienić go z powrotem? Teraz, kiedy ma oficjalny

wyrok, nikt mu już nie może zaszkodzić.

— Zmienić z powrotem? Nie wiem. Już za pierwszym razem było bardzo trudno. I chyba nie pamiętam, jaki był wtedy.

— W skarbczyku jest zapisane, jaki był.

— Ale ja nie mam skarbczyka.

— Ciekawy problem. Arthurowi chyba nie przeszkadza ta zmiana, prawda?

— Arthur to miły chłopak. Ale co nie przeszkadza mu teraz, może przeszkadzać później, kiedy urośnie i zrozumie, co zrobiłem. — Alvin bębnił palcami w pusty talerz. Najwyraźniej wciąż wracał myślami do procesu. — Muszę ci powiedzieć, Verily, że jutro będzie jeszcze gorzej.

— W jaki sposób?

— Dopiero dziś zrozumiałem: kiedy Amy zeznała, jak to wymykałem się z więzienia i w ogóle. Ale już wiem, co to za plan. Vilate Franker przyszła tu kiedyś, cała obwieszona heksami, a potem zawołała mnie do siebie, blisko, żeby jeden z nich działał też na mnie. To był heks przeocz-mnie, i to mocny. I wtedy wszedł Billy Hunter, jeden z zastępców, zajrzał do celi i nikogo nie zobaczył. Pobiegł po szeryfa, a kiedy wrócili, Vilate już sobie poszła. Ale ja zostałem i tłumaczę, że nigdzie nie wychodziłem. Tylko że Billy Hunter wie, co widział, a raczej czego nie widział. Ściągną go do sądu, i Vilate też. Vilate też…

— Czyli mają świadka, który potwierdzi, że istotnie opuszczałeś celę po aresztowaniu.

— A Vilate powie cokolwiek. To znana plotkarka. Goody Trader jej nienawidzi, Horacy Guester też. W dodatku uważa się za piękność, chociaż na mnie akurat te heksy nie działają. W każdym razie Arthur Stuart widział, jak…

— Byłem tu, kiedy ci o niej opowiadał. I o salamandrze.

— To nie jest zwykła salamandra, Verily. To Niszczyciel. Spotykałem go wcześniej. Kiedyś przychodził bardziej bezpośrednio: powietrze migotało i był. Próbował mnie opanować, rządzić mną. Ale ja nie chciałem się poddać; musiałem wtedy coś zrobić, zwykle mały koszyczek z trawy. Wtedy odchodził. Dzisiaj, żeby go odpędzić, pewnie wymyśliłbym jakiś głupi wierszyk czy piosenkę. Ale to ważne: Niszczyciel potrafi zjawiać się różnym osobom pod różnymi postaciami. W Vigor Kościele mieliśmy kiedyś kaznodzieję, wielebnego Philadelphię Throwera. Widział Niszczyciela jako anioła, ale strasznego anioła. Pewnego razu… Chociaż to nie ma znaczenia. Armor-of-God to zobaczył, nie ja. Tutaj Niszczyciel zapanował nad salamandrą i każe jej rysować heksy, przez co Vilate widzi… kogoś. Kogoś, kto z nią rozmawia i radzi. Wiesz, kogo zobaczył Arthur Stuart: starą Peg Guester, jedyną matkę, jaką znał. Niszczyciel zawsze udaje kogoś, komu możesz zaufać, kto spełnia najgłębsze marzenia, ale

jednocześnie wypacza je, aż wreszcie, nie zdając sobie z tego sprawy, zaczynasz niszczyć wszystko i wszystkich dookoła. Cały ten proces… Nie trzeba się oglądać na Webstera, żeby znaleźć spisek. Niszczyciel połączył razem Amy Sump, Vilate Franker, Makepeace'a Smitha, Daniela Webstera i… Nikt z nich nie sądzi, że robi coś strasznego. Amy wierzy chyba, że naprawdę mnie kocha. Może Vilate również. Makepeace pewnie w końcu sam siebie przekonał, że pług należy do niego. Daniel Webster uważa, że naprawdę jestem draniem. Ale…

— Ale Niszczyciel powoduje, że wszyscy pracują wspólnie i chcą cię pokonać.

Alvin kiwnął głową.

— Przecież to nie ma sensu — zauważył Verily. — Jeżeli Niszczyciel naprawdę chce wszystko zniszczyć, to jak mógł ułożyć taki skomplikowany plan? To też jest przecież Stwarzanie.

Alvin usiadł wygodnie na pryczy i pogwizdywał przez chwilę.

— Zgadza się — stwierdził w końcu.

— Czyli Niszczyciel czasami coś stwarza?

— Nie. Tego Niszczyciel nie potrafi. Nie może. Bierze tylko to, co już istnieje, skręca to, zgina i łamie. Pomyliłem się. Niszczyciel wpływa na tych ludzi, ale jeśli wszystko łączy się w jakiś plan, to ktoś go wymyślił.

— Chyba znam rozwiązanie. — Verily zachichotał. — Pamiętasz, co mówiłeś o Websterze? Spotkał Amy Sump, kiedy przeszukiwał Vigor Kościół, żeby coś na ciebie znaleźć. Nie uwzględnił Amy w planie, była zwykłą dziewczyną, która zaczęła udawać, że jej marzenia są prawdą. A on podsunął jej pomysł zajścia w ciążę, żeby przyciąć ci skrzydła i zmusić do powrotu. Resztę sama wymyśliła; Niszczyciel niczego nie musiał jej uczyć. Potem Daniel Webster wrócił do Hatrack, szukając czegoś, co ci może zaszkodzić. I oczywiście spotkał największą plotkarkę w mieście. Vilate Franker prawie cię nie zna, ale zna wiele historii, więc często rozmawiali. Wymknęło mu się, że przysięgli uznają opowieść Amy Sump za owoc wyobraźni marzycielskiej, pobudliwej dziewczyny, chyba że zdobędzie jakiś dowód, że naprawdę opuszczałeś celę. I Vilate tworzy własny plan, a Niszczyciel musi ją tylko zachęcać.

— Czyli cały plan jest dziełem Daniela Webstera, tylko że on nawet o tym nie wie — podsumował Alvin. — Chce czegoś, a potem to nagle się spełnia.

— Nie wierzyłbym tak w jego nieświadomość. Podejrzewam, że od dawna stosuje tę metodę: chce jakiegoś kluczowego dowodu, a potem czeka, aż klient lub ktoś z przyjaciół klienta złoży potrzebne zeznanie. Nigdy sam nie brudzi rąk, choć skutek jest taki sam. Nic mu nie można udowodnić…

Drzwi otworzyły się i Po Doggly wprowadził Peggy Larner.

— Przepraszam, że przeszkadzam wam w kolacji i rozmowie — powiedział — ale to ważna sprawa. Alvinie, masz specjalnego gościa. Przyjechał z daleka, ale może cię odwiedzić dopiero po zmroku, a tylko ja mogę go tu wpuścić, bo mnie kiedyś już usadził i opowiedział historię.

— To ktoś z domu — wyjaśnił Verily'emu Alvin. — Ktoś inny niż Armor-of-God. Ktoś obciążony klątwą.

— Nie powinien być — dodała Peggy. — Gdyby nie wielkoduszny gest włączenia się pod klątwę, na którą osobiście nie zasłużył.

— Measure! — zawołał Alvin. — Mój starszy brat — dodał, zwracając się do Verily'ego.

— Idzie tu — oznajmił szeryf. — Arthur Stuart go prowadzi. Kapelusz nasunął na oczy i patrzy w ziemię, żeby nie zobaczyć nikogo, kto nie słyszał jeszcze tej historii. Nie chce przez całą noc opowiadać ludziom o masakrze nad Chybotliwym Kanoe. Dlatego zostawię tu drzwi otwarte, ale zostanę na zewnątrz i będę pilnował. Nie żebym myślał, że chcesz uciec, Alvinie.

— To znaczy nie wierzycie, szeryfie, że dwa razy w tygodniu urządzałem sobie wycieczki do Vigor Kościoła?

— Dla takiej dziewczyny? Nie, nie wierzę — odparł szeryf i wyszedł, zostawiając otwartą celę.

Peggy podeszła do Alvina i Verily'ego. Verily przysunął jej stołek, ale skinęła tylko ręką i nie usiadła.

— Jak się masz, Peggy — odezwał się Alvin.

— Świetnie. A ty, Alvinie?

— Wiesz, że nie robiłem tych rzeczy, o których mówiła.

— Alvinie, wiem, że naprawdę wydała ci się atrakcyjna. Zauważyła, że czasem zwracasz na nią uwagę, więc zaczęła marzyć i śnić na jawie.

— Chcesz powiedzieć, że to jednak moja wina?

— Jej wina, że te sny zmieniła w kłamstwa. Ale twoja, że w ogóle miała takie beznadziejne marzenia.

— Do licha, dlaczego właściwie nie palnę sobie w łeb, zanim w ogóle pożądliwie spojrzę na kobietę? Za każdym razem fatalnie się to kończy.

Peggy zrobiła minę, jakby ją spoliczkował. Jak zwykle, Verily mocno odczuł, że nie zna połowy życia Alvina. Dlaczego miałoby go to martwić? Przecież nie było go wtedy tutaj, a tych dwoje nie miało obowiązku niczego wyjaśniać. Mimo to sytuacja stała się krępująca.

Wstał.

— Jeśli pozwolicie, wyjdę na zewnątrz, żebyście mogli porozmawiać w cztery oczy.

— Nie trzeba — zapewniła Peggy. — Jestem pewna, że Arthur Stuart i Measure są już niedaleko.

— Ona nie chce ze mną rozmawiać — wyjaśnił Verily'emu Alvin. — Próbuje uzyskać dla mnie uniewinnienie, bo chce zobaczyć Kryształowe Miasto. Ale nie może mi doradzić, jak je zbudować, chociaż widzi, że sam nie wiem, a ona chyba wie wszystko. A to, że chce mojego uniewinnienia, nie znaczy wcale, że mnie lubi albo uważa, że warto poświęcać mi czas.

— Nie chcę się do tego wtrącać — oświadczył Verily.

— Nie wtrąca się pan — uspokoiła go Peggy. — Nie ma żadnego „tego", do którego można by się wtrącać.

— I nigdy nie było żadnego „tego", prawda? — zapytał Alvin. Verily był pewien, że jeszcze nigdy nie słyszał tak smutnego głosu.

Peggy milczała chwilę, nim odpowiedziała.

— Ja nie… było i jest coś… ale to nie ma związku z tobą, Alvinie.

— Dlaczego nie ma związku ze mną? Szaleję z miłości do ciebie, a przez cały rok dostałem tylko jeden list, w dodatku zimny jak lód, jakbym był zwykłym draniem, z którym musisz jeszcze robić interesy. Czy właśnie to nie ma ze mną związku? Kiedyś poprosiłem, żebyś za mnie wyszła. Rozumiem, że potem działo się wiele złego, zabili twoją matkę i w ogóle. To straszne. Nie naciskałem, ale przecież pisałem do ciebie i myślałem o tobie cały czas i…

— Ja też o tobie myślałam, Alvinie.

— No tak, ale jesteś żagwią, więc wiesz, że o tobie myślę, a przynajmniej możesz sprawdzić, jeśli tylko zechcesz. A skąd ja mam wiedzieć, kiedy nie dostaję od ciebie znaku życia? Co wiem prócz tego, co mi mówisz? Prócz tego, co widzę w twojej twarzy? Wiem, że tamtej nocy zajrzałem ci w twarz, spojrzałem w oczy i zdawało mi się, że jest tam miłość. Pomyślałem, że odpowiadasz mi „tak". Czy mi się zdawało? Czy to jest „to", którego nie ma?

Verily czuł się fatalnie, będąc świadkiem całej sceny. Poprzednio starał się wycofać; teraz było jasne, że oboje chcą, by został. Gdyby tylko potrafił znikać… Albo zapaść się w podłogę…

Ocalił go Arthur, holujący za sobą Measure'a. Tak jak powiedział szeryf: Measure nasunął kapelusz tak mocno i spuszczał głowę tak nisko, że potrzebował pomocnej dłoni Arthura Stuarta.

— Jesteśmy — poinformował chłopiec. — Możesz już patrzeć.

Measure podniósł głowę.

— Al… — powiedział.

— Measure! — zawołał Alvin.

Obaj byli długonodzy, więc wystarczyło, że zrobili po jednym kroku, by objąć się mocno.

— Strasznie za tobą tęskniłem — powiedział Alvin.

— Ja też tęskniłem, ty paskudny kryminalisto — odparł Measure.

Verily poczuł ukłucie zazdrości tak mocne, że mało mu serce nie pękło. Zawstydził się tego uczucia, gdy tylko je sobie uświadomił, ale

nie mógł zaprzeczyć: zazdrościł braciom. Zazdrościł, bo wiedział, że nigdy nie będzie tak bliski Alvinowi Smithowi. Zawsze pozostanie z boku, a to bolało tak bardzo, że z trudem oddychał.

A potem odetchnął swobodnie i zablokował to uczucie, ukrył je gdzieś w głębi, gdzie nie musiał patrzeć mu w twarz.

Po chwili powitania dobiegły końca i przeszli do spraw poważnych.

— Odkryliśmy, że Amy zniknęia, i nie trzeba było geniusza, żeby zgadnąć, gdzie się podziała. Oczywiście, najpierw krążyły plotki, że zaszła w ciążę na jarmarku i odesłali ją, żeby urodziła dziecko gdzie indziej. Ale potem przypomnieliśmy sobie te historie, co je opowiadali o Alvinie, więc razem z ojcem poszliśmy do Sumpa. Od razu powiedział, że pojechała zeznawać do Hatrack River. Nie podobało mu się to, ale ktoś im płacił, a potrzebowali pieniędzy. No i córka przysięgała, że to prawda, ale widać było, że on też nie wierzy w jej kłamstwa. I faktycznie, kiedy wychodziliśmy, powiedział: „Kiedy znajdę tego, co zrobił dziecko mojej córce, to go zabiję". A tato: „Nie, nie zabijecie". Na to Sump: „Zabiję, bo jestem człowiekiem miłosiernym. Lepiej go zabić niż zmuszać do ślubu z Amy".

Roześmiali się wszyscy. Dopiero po chwili przyszło im do głowy, że to wcale nie jest zabawne.

— W każdym razie Eleanor stwierdziła, że najlepszą przyjaciółką Amy jest ta myszowata dziewczyna, Ramona. I postanowiła wydobyć z niej prawdę.

Alvin zerknął na Verily'ego.

— Eleanor to nasza siostra, żona Armora-of-God. Kolejne przypomnienie, że nie należy do kręgu… Ale też znak, że Alvin o nim pamięta.

— No więc Eleanor przyprowadziła Ramonę i posadziła ją w tym heksie, który jej wykreśliłeś w sklepie, Alvinie. Tym, co sprawia, że kłamcy się denerwują. Nie wiem, czy był w ogóle potrzebny. Eleanor spytała, kto jest ojcem dziecka, a Ramona na to: „A skąd mogę wiedzieć?" Tyle że to czyste kłamstwo. I kiedy Eleanor nie ustępowała, Ramona w końcu mówi: „Kiedy ostatnim razem powiedziałam prawdę, Alvin Stwórca musiał uciekać z powodu kłamstw Amy, ale przecież przysięgała, że to prawda, przysięgała, więc jej uwierzyłam. A teraz twierdzi, że będzie miała dziecko z Alvinem, a ja wiem, że kłamie, bo wlazła pod namiot z dziwolągami razem z…"

Alvin podniósł dłoń.

— Z Mattem Thatcherem?

— Oczywiście — potwierdził Measure. — Sam nie wiem, dlaczego żeśmy go nie wykastrowali razem z wieprzkami.

— Widziała ich, czy tylko o tym słyszała? — spytał Verily.

— Widziała i stała na straży, kiedy weszli pod namiot. Słyszała, jak Amy raz krzyknęła, i słyszała sapanie Matta. Potem spytała Amy, jak było, a ona na to, że to okropne i boli. Ramona jest przekonana, że do tej chwili Amy była dziewicą, więc wszystkie inne jej opowieści to kłamstwa.

— Nie ma kompetencji do wypowiadania się o dziewictwie Amy — stwierdził Verily. — Mimo to bardzo nam pomoże. Jej zeznanie załatwi sprawę ciąży i pokaże, że Amy kłamie. Uzasadnione wątpliwości. Jak szybko możemy ją tu sprowadzić?

— Ona już tutaj jest — odparła Peggy. — Zostawiłam ją w zajeździe i teraz ojciec ją karmi.

— Porozmawiam z nią jeszcze dzisiaj. Dobrze. To już coś. Do tej chwili nie mieliśmy niczego.

— Oni też nie mają niczego — stwierdziła Peggy. — A mimo to…

— A mimo to skazaliby mnie, gdyby w tej chwili mieli głosować? — upewnił się Alvin.

Peggy przytaknęła.

— Myślałam, że lepiej cię znają.

— To wszystko zupełnie nie ma związku z oskarżeniami Makepeace'a — westchnął Verily. — Angielski sąd by na to nie pozwolił.

— Kiedy następnym razem ktoś zechce mnie aresztować za kradzież, a zwariowana dziewczyna oświadczy, że ma ze mną dziecko, dopilnuję, żeby rozprawa odbyła się w Londynie — obiecał Alvin.

— Będę zeznawać — oznajmiła Peggy.

— Raczej nie — odparł Alvin.

— Niczego pani nie widziała — dodał Verily.

— Sam pan widział, jak działa tutejszy sąd. Jakoś mnie pan wciągnie.

— To nie pomoże — zapewnił prawnik. — Powiedzą, że jest pani zakochana w Alvinie.

Alvin westchnął i wyciągnął się na pryczy.

— Nie — odparła Peggy. — Znają mnie.

— Alvina też znają — przypomniał Verily.

— Nie chcę się kłócić, psze pana — wtrącił Arthur Stuart — ale wszyscy tu wiedzą, że panna Larner jest żagwią, i wiedzą też, że prędzej jajko się ugotuje w garnku śniegu, niż ona skłamie.

— Jeśli będę zeznawać, nie skażą go — oświadczyła Peggy.

— Nie — zgodził się Alvin. — Ale utopią cię w błocie. Webstera nie obchodzi, czy mnie skażą. Chce tylko zniszczyć mnie i wszystkich, którzy mnie otaczają, ponieważ tego żądają ludzie, którzy mu płacą.

— Nie wiemy nawet, kim oni są — zauważył Verily.

— Nie znam ich nazwisk, ale wiem, kim są i czego pragną. Dla ciebie zeznanie Amy nie ma związku ze sprawą, ale oni chcieli właśnie

czegoś takiego. Jeśli uzyskają zeznanie o mnie i Peggy w kuźni, tamtej nocy kiedy powstał pług…

— Nie dbam o ich kalumnie — rzekła Peggy.

— Nie mówię o kalumniach, tylko o czystej prawdzie. Byłem nagi i byliśmy w kuźni sami. Nic nie poradzę na to, jakie wnioski ludzie z tego wyciągną, i dlatego nie pozwolę, żebyś stanęła za barierką dla świadków. Wtedy cała ta historia może pojawić się w gazetach w Carthage, w Dekane i Bóg jeden wie gdzie jeszcze. Załatwimy to inaczej.

— Ramona nam pomoże — przypomniał Verily.

— Ramona też nie. Nie chcę, żeby dla mojego dobra jedna przyjaciółka zdradzała drugą.

Pozostali przyglądali mu się w osłupieniu.

— Chyba żartujesz! — krzyknął Measure. — Teraz, kiedy już ją przywiozłem? W dodatku chce zeznawać.

— Jestem tego pewien. Ale kiedy gazety już skończą rwać Amy na strzępy, jak wtedy Ramona będzie się czuła? Na zawsze zapamięta, że zdradziła przyjaciółkę. To trudne przeżycie. Zrani ją. Prawda, Peggy?

— Coś podobnego! Pytasz mnie o radę?

— Chcę prawdy. Mówiłem prawdę i ty także, więc powiedz teraz.

— Tak — potwierdziła Peggy. — Zeznanie przeciwko Amy sprawi Ramonie wiele cierpienia.

— Zatem nie zrobimy tego — orzekł Alvin. — Nie chcę też poniżać Vilate, każąc jej zdejmować wszystkie heksy. To dla niej ważne, że jest uważana za piękność.

— Alvinie — odezwał się Verily. — Wiem, jesteś mądrym człowiekiem, mądrzejszym ode mnie, ale sam chyba rozumiesz, że uprzejmość wobec kilku osób nie powinna zniszczyć wszystkiego, co masz dokonać na tej ziemi.

Wszyscy przyznali mu rację.

Alvin był smutny — najsmutniejszy człowiek, jakiego Verily spotkał przez całe życie, a widywał już skazanych na szubienicę albo stos.

— A zatem nie rozumiesz — powiedział. — To prawda, czasami ludzie muszą cierpieć, aby powstało coś dobrego. Ale kiedy jest w mojej mocy ochronić ich przed cierpieniem i przyjąć je na siebie, właśnie to jest częścią mojego dzieła. Częścią Stwarzania. Jeśli jest to w mojej mocy, biorę cierpienie na siebie. Nie rozumiesz?

— Nie — wtrąciła Peggy. — Nie jest to w twojej mocy.

— Tak mówi żagiew? Czy mój przyjaciel?

Wahała się tylko przez moment.

— Przyjaciel. Ta ścieżka w płomieniu twojego serca jest dla mnie niewidoczna.

— Domyślałem się. To pewnie dlatego że muszę dokonać Stwarzania. Muszę zrobić coś, czego nikt jeszcze nigdy nie robił, stworzyć coś nowego. Jeśli potrafię, będę działał dalej. Jeśli nie, pójdę do więzienia i moje życie podąży inną ścieżką.

— Pójdziesz do więzienia?! — Arthur Stuart nie mógł w to uwierzyć. — I zostaniesz tam przez całe lata?!

Alvin wzruszył ramionami.

— Są heksy, których nie potrafię pokonać. Jeżeli mnie skażą, dopilnują, żeby właśnie takie heksy mnie wiązały. Ale gdybym nawet uciekł, co z tego? Nie mógłbym wykonywać swej pracy w Ameryce. A nie wiem, czy jest ona możliwa gdziekolwiek indziej. Jeśli moje życie w ogóle ma jakiś cel, to istnieje też powód, dla którego urodziłem się właśnie tutaj, a nie w Anglii, Rosji czy Chinach. Tutaj muszę dokonać swojego dzieła.

— Chcesz powiedzieć, że nie możemy wykorzystać dwóch najlepszych świadków obrony? — spytał niedowierzająco Verily.

— Moim najlepszym świadkiem jest prawda. Ktoś powie prawdę, to pewne, ale nie panna Larner ani Ramona.

Peggy pochyliła się i spojrzała Alvinowi prosto w oczy.

— Ty nędzniku! Oddałam swoje dzieciństwo, żeby chronić cię przed Niszczycielem, a teraz mam patrzeć spokojnie, jak odrzucasz moją ofiarę?

— Poprosiłem już o całą resztę twojego życia — odparł Alvin. — Po co mi twoja ruina? Straciłaś dla mnie dzieciństwo. Straciłaś przeze mnie matkę. Nie narażaj niczego więcej. Ja wziąłbym wszystko, to prawda, i oddał wszystko. I nie wezmę nic mniej, bo nie potrafię dać nic mniej. Niczego nie chcesz ode mnie wziąć, więc i ja nie wezmę nic od ciebie. A jeżeli to dla ciebie nie ma sensu, to nie jesteś taka sprytna, jaką udajesz, panno Larner.

— Dlaczego wy dwoje nie pobierzecie się i nie macie dzieci? — zapytał nagle Arthur Stuart. — Tato tak powiedział.

Peggy z kamienną twarzą odwróciła się do nich plecami.

— To musi się odbyć na twoich warunkach, prawda, Alvinie? Wszystko na twoich warunkach.

— Moich? To nie są moje warunki, żeby mówić to wszystko przy ludziach; dobrze chociaż, że przyjaciele, a nie obcy słyszą te słowa. Kocham panią, panno Larner. Kocham cię, Margaret. I nie chcę cię widzieć na sali sądowej. Chcę trzymać cię w ramionach, chcę z tobą żyć, śnić i pracować przez wszystkie dni, które nadejdą.

Peggy ściskała kraty celi, kryjąc twarz. Arthur Stuart ominął ją, wyszedł na korytarz i prostodusznie spojrzał w oczy.

— Dlaczego nie wyjdziecie za niego, zamiast tak płakać? Nie kochacie go? Jesteście naprawdę ładna, a on też nieźle wygląda. Mielibyście śliczne dzieciaki. Tato tak powiedział.

— Cicho, Arthurze Stuart — szepnął Measure.

Peggy osunęła się na kolana, po czym wyciągnęła ręce przez kraty i ujęła dłonie chłopca.

— Nie mogę, Arthurze Stuart — powiedziała. — Moja matka zginęła, ponieważ kochałam Alvina. Nie rozumiesz tego? Kiedy tylko pomyślę, że z nim jestem, czuję się słaba, pełna winy… zagniewana i…

— Moja mama też nie żyje — odparł. — Moja czarna mama i moja biała mama. Obie. I obie zginęły, żeby ocalić mnie od niewoli. Przez cały czas myślę, że gdybym się nie urodził, obie by jeszcze żyły.

Peggy pokręciła głową.

— Wiem, że tak myślisz, Arthurze, ale nie powinieneś. Chciały, żebyś był szczęśliwy.

— Wiem. Nie jestem taki mądry jak wy, ale tyle wiem. Staram się być szczęśliwy. I jestem, na ogół. Dlaczego wy tego nie potraficie?

— Dlaczego ty tego nie potrafisz, Margaret? — powtórzył szeptem Alvin.

Peggy uniosła głowę i rozejrzała się.

— Co ja tu robię na podłodze? — Wstała. — Ponieważ nie chcesz mojej pomocy, Alvinie, muszę wracać do swojej pracy. W przyszłości wybuchnie wielka wojna, wojna o zniesienie niewolnictwa. Zanim się skończy, w Ameryce, w Koloniach Korony, nawet w Nowej Anglii zginą miliony chłopców. Muszę się postarać, żeby nie ginęli na próżno, żeby po wojnie niewolnicy odzyskali wolność. Za to zginęła moja matka: za wolność dla jednego niewolnika. Ja nie wybiorę jednego; jeśli zdołam, spróbuję ocalić wszystkich. — Spojrzała gniewnie na mężczyzn wpatrujących się w nią szeroko otwartymi oczami. — Uczyniłam ostatnią ofiarę dla Alvina Smitha. Więcej nie potrzebuje mojej pomocy.

I pomaszerowała do drzwi.

— Potrzebuję — szepnął Alvin, ale nie usłyszała go, a po chwili zniknęła.

— Niech to licho porwie! — westchnął Measure. — Alvinie, dlaczego nie zakochałeś się w burzy z piorunami? Dlaczego się nie oświadczyłeś zawiei?

— Oświadczyłem się — odparł Alvin.

Verily stanął w progu celi.

— Idę porozmawiać z Ramoną — oznajmił. — Na wypadek gdybyś jednak zmienił zdanie.

— Nie zmienię.

— Jestem tego pewien. Ale nic więcej nie zostało mi do zrobienia.

Zastanawiał się, czy mówić dalej, ale uznał, że dlaczego nie. Co miał do stracenia? Alvin pójdzie do więzienia, a wyprawa Verily'ego do Ameryki okaże się próżnym wysiłkiem.

— Muszę przyznać, że ty i panna Larner doskonale do siebie pasujecie. We dwójkę posiedliście chyba siedemdziesiąt procent światowych rezerw głupiego uporu.

I on także ruszył do wyjścia. Za sobą usłyszał jeszcze, jak Alvin zwraca się do Measure'a i Arthura:

— To mój obrońca.

Nie był pewien, czy Alvin mówi to z drwiną, czy z dumą. Ale i tak powiększyło to jeszcze jego rozpacz.

* * *

Zeznanie Billy'ego Huntera bardzo Alvinowi zaszkodziło. Było jasne, że zastępca szeryfa go lubi i nie chce mu psuć opinii, ale nie może zmienić tego, co widział, a musi mówić prawdę. Zajrzał do aresztu i nie było tam miejsca, gdzie Alvin i Vilate mogliby się schować.

Verily ograniczył się do ustalenia, że kiedy Vilate wchodziła do aresztu, Alvin na pewno jeszcze tam przebywał, i że zostawiona przez nią zapiekanka była smaczna.

— Alvin jej nie chciał?

— Nie, psze pana. Powiedział… Powiedział, że tak jakby obiecał ją mrówce.

— Ale pozwolił panu ją zjeść?

— Tak, pozwolił.

— No cóż, to dowodzi, że na Alvinie naprawdę nie można polegać. Nie dotrzymał słowa danego mrówce!

Niektórzy parsknęli śmiechem na ten wymuszony żart, ale nie zmieniło to faktu, że oskarżenie podważyło wiarygodność Alvina. I to poważnie.

Przyszła kolej na Vilate. Marty Laws zadał kilka wstępnych pytań i przeszedł do kluczowego punktu.

— Kiedy pan Hunter zajrzał do aresztu i nie znalazł tam pani i Alvina, gdzie byliście?

Vilate demonstracyjnie okazywała, że wolałaby nie odpowiadać. Jednak — co Verily stwierdził z ulgą — nie była tak dobrą aktorką jak Amy Sump. Może dlatego że Amy niemal wierzyła w swoje fantazje, podczas gdy Vilate… Cóż, nie była dzieckiem, nie było mowy o miłości.

— Nie powinnam dać mu się namówić na coś takiego, ale… Zbyt długo już jestem samotna.

— Proszę odpowiedzieć na pytanie.

— Przeprowadził mnie przez mur więzienia. Przeszliśmy przez ścianę. Trzymałam go za rękę.

— I dokąd poszliście?

— Pędziliśmy szybko jak wiatr… Miałam wrażenie, że lecę. Przez pewien czas biegłam obok niego, czerpiąc siłę z jego ręki, kiedy ściskał moją dłoń i prowadził. Potem jednak stało się to zbyt trudne; omdlewałam i nie mogłam biec dalej. Wyczuł to w jakiś sposób i wziął mnie na ręce.

— Gdzie panią zabrał?

— Tam, gdzie jeszcze nie byłam.

Rozległy się chichoty, co trochę ją zbiło z tropu. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z dwuznaczności swych słów — a może była lepszą aktorką, niż Verily przypuszczał.

— Nad jezioro. Raczej niewielkie, bo widziałam drugi brzeg. Nad wodą latały ptaki, ale na trawiastym brzegu, gdzie… gdzie spoczęliśmy, byliśmy jedynymi żywymi istotami: ten piękny młody mężczyzna i ja. On, tak pełen obietnic, słów miłości i…

— Czy można powiedzieć, że panią wykorzystał? — przerwał jej Marty.

— Wysoki Sądzie, pytanie sugeruje odpowiedź.

— Nie wykorzystał mnie — oświadczyła stanowczo Vilate. — Byłam chętną uczestniczką wszystkiego, co się stało. To, że dzisiaj żałuję, nie zmienia faktu, że nie zmuszał mnie do niczego. Oczywiście, gdybym wtedy wiedziała, co wiem teraz, że mówił te same słowa, robił te same rzeczy z tą dziewczyną z Vigor Kościoła…

— Wysoki Sądzie, świadek nie wie, co…

— Podtrzymany — powiedział sędzia. — Proszę w swoich wypowiedziach ograniczyć się do kwestii poruszanych w pytaniach.

Verily nie mógł nie podziwiać jej zdolności. Udało jej się wywołać wrażenie, że broni Alvina, a nie stara się go zniszczyć. Całkiem jakby go kochała.

ROZDZIAŁ 16 — PRAWDA

Kiedy przyszła kolej na pytania Verily'ego, przez chwilę siedział nieruchomo i przyglądał się Vilate. Była wizerunkiem samozadowolenia i pewności siebie. Lekko pochyliła głowę w lewo, jakby nieco — ale nie za bardzo — ciekawa, co obrońca ma jej do powiedzenia.

— Panno Franker, czy może mi pani coś wyjaśnić… Kiedy przeniknęliście przez ścianę więzienia, jak się dostaliście na poziom gruntu?

Zmieszała się na chwilę.

— Czyżby areszt był pod ziemią? Kiedy przeszliśmy przez ścianę, musieliśmy chyba… Nie, oczywiście, że nie. Cela jest na piętrze budynku sądu, jakieś dziesięć stóp nad ziemią. Nieładnie, że chciał mnie pan wyprowadzić w pole.

— Nie odpowiedziała pani. To musiał być gwałtowny upadek, kiedy tak wyszliście ze ściany w pustkę.

— Opadliśmy łagodnie. My… poszybowaliśmy do ziemi. To był ważny element tego niezwykłego przeżycia. Gdybym wiedziała, że tak bardzo zależy panu na szczegółach, powiedziałabym od razu.

— A więc Alvin… szybuje.

— To naprawdę niezwykły młody człowiek.

— Też tak uważam — zgodził się Verily. — Co więcej, jedna z jego niezwykłych zdolności pozwala mu widzieć poprzez heksy iluzji. Wiedziała pani o tym?

— Nie, ja… Nie. — Była zaskoczona.

— Na przykład nie działa na niego heks, który wykorzystuje pani, żeby ludzie nie widzieli tych pani sztuczek ze sztuczną szczęką. Wiedziała pani o tym?

— Sztuczki? — oburzyła się. — Sztuczna szczęka? To okropne, co pan opowiada.

— Ma pani czy nie ma pani sztucznej szczęki?

Marty Laws poderwał się z miejsca.

— Wysoki Sądzie, nie dostrzegam związku między sztuczną szczęką a rozpatrywaną sprawą.

— Panie Cooper, to rzeczywiście pytanie bez związku.

— Wysoki Sąd pozwolił oskarżeniu na dalekie odejście od przedmiotu sprawy w próbach zakwestionowania wiarygodności mojego klienta. Myślę, że obrona ma prawo do takich samych działań w celu podważenia wiarygodności tych, którzy twierdzą, że mój klient jest oszustem.

— Sztuczna szczęka to dość osobista kwestia, nie sądzi pan? — spytał sędzia.

— A oskarżanie mojego klienta o uwiedzenie nie jest sprawą osobistą?

Sędzia uśmiechnął się lekko.

— Protest odrzucony. Oskarżenie szeroko otworzyło drogę do takich pytań.

Verily znowu zwrócił się do Vilate.

— Czy ma pani sztuczną szczękę, panno Franker?

— Nie! — odparła.

— Zeznaje pani pod przysięgą. Czy na przykład nie poruszyła pani sztuczną szczęką w stronę Alvina w chwili, kiedy mówiła pani, że jest pięknym młodym mężczyzną?

— Jak mogę poruszać sztuczną szczęką, której nie mam?

— Czy zgodzi się pani wystąpić przed sądem bez tych czterech amuletów, które pani nosi na szyi, i bez szala z wszytymi heksami?

— Nie muszę chyba tego słuchać…

Alvin pochylił się i pociągnął Verily'ego za marynarkę. Verily miał ochotę go zignorować; wiedział, że Alvin zakaże mu zadawania dalszych pytań tego rodzaju. Nie mógł jednak udawać, że nie zauważył gestu dostatecznie wyraźnego, by dostrzegli go wszyscy przysięgli.

Obejrzał się, nie zwracając uwagi na protesty Vilate.

— Verily — szepnął mu Alvin — wiesz, że nie chciałem…

— Moim obowiązkiem jest bronienie ciebie jak najlepiej…

— Verily, zapytaj ją o salamandrę w torebce. Jeśli zdołasz, postaraj się, żeby ją wyjęła.

— Salamandra? — zdziwił się Verily. — A co nam z tego przyjdzie?

— Niech tylko ją wyjmie. Na stół, żeby wszyscy widzieli. Na pewno nie ucieknie. Nawet we władzy Niszczyciela, salamandry nadal są głupie. Zobaczysz.

Verily zwrócił się do świadka.

— Panno Franker, czy zechce nam pani pokazać jaszczurkę, którą ma pani w torebce?

Alvin znowu pociągnął go za marynarkę.

— Salamandry to nie jaszczurki — szepnął do ucha. — Są płazami, nie gadami.

— Bardzo przepraszam, panno Franker. Nie jaszczurkę. Płaza. Salamandrę.

— Nie mam nic…

— Wysoki Sądzie, proszę uprzedzić świadka o konsekwencjach fałszywych zeznań pod…

— Jeśli istotnie takie stworzenie znalazło się w mojej torebce, to nie mam pojęcia, skąd się wzięło ani kto je tam włożył — oświadczyła Vilate.

— Nie będzie więc pani protestować, jeśli woźny zajrzy do pani torebki i wyjmie wszelkie płazy, jakie tam znajdzie?

— Nie, wcale — zapewniła Vilate, przezwyciężając chwilową niepewność.

— Wysoki Sądzie, kto tu jest oskarżonym? — wtrącił Marty Laws.

— Chodzi o kwestię prawdomówności, jak mi się zdaje — odparł sędzia. — Całe to wydarzenie uważam za fascynujące. Patrzyliśmy spokojnie, kiedy prezentował pan skandal. Teraz chętnie obejrzę sobie jakiegoś płaza.

Woźny sięgnął do torebki Vilate; nagle krzyknął i odskoczył.

— Przepraszam, panie sędzio, ale wskoczyła mi do rękawa — wyjaśnił.

Wił się i podskakiwał, równocześnie usiłując zachować godny wygląd.

Verily szerokim gestem zmiótł papiery i przesunął stół na środek sali.

— Kiedy złapie pan zwierzaka — powiedział — proszę postawić go tutaj.

Alvin oparł się wygodnie i wyciągnął skrzyżowane w kostkach nogi. Wyglądał jak polityk, który właśnie wygrał wybory. Pod krzesłem leżał worek z nieruchomym pługiem.

W całej sali tylko Vilate nie zwracała uwagi na salamandrę. Siedziała bez ruchu, jak w transie. Nie, nie w transie. Siedziała, jakby znalazła się na przyjęciu, gdzie ktoś powiedział coś niegrzecznego, a ona udaje, że nie dosłyszała.

Verily nie miał pojęcia, do czego prowadzi całe to zamieszanie z salamandrą. Ale że Alvin nie chciał się zgodzić na żadną inną próbę zdyskredytowania Vilate Franker czy Amy, nie miał wyjścia.

* * *

Alvin obserwował Vilate podczas składania zeznań — obserwował uważnie, nie tylko oczami, ale też wewnętrznym wzrokiem, ukazującym, jak funkcjonuje świat materialny. Zauważył, że przed odpowiedzią Vilate lekko pochyla głowę w bok — jakby nasłuchiwała. Posłał więc swój przenikacz i zawiesił go w powietrzu, poszukując drgnień dźwięku. Rzeczywiście, odkrył je, ale takiego wzorca jeszcze nigdy nie spotkał. Dźwięk zwykle rozprzestrzeniał się od źródła, jak fale na wodzie po wrzuceniu kamienia: we wszystkie strony; odbijały się i nakładały na siebie, ale też przygasały i cichły z odległością. Jednak ten dźwięk przemieszczał się wąskim kanałem. Jak to

możliwe?

Przez chwilę groziło mu niebezpieczeństwo, że całkowicie pochłonięty problemem naukowym zapomni o rozprawie, gdzie właśnie zeznaje najgroźniejszy, ale też chyba najsłabszy świadek. Na szczęście szybko zorientował się w sytuacji. Dźwięk dobiegał z dwóch źródeł umieszczonych blisko siebie; przesuwał się równolegle. A kiedy fale przecinały się i nakładały, zmieniały go w zwykłe zawirowanie powietrza. Kiedy Alvin wytężał słuch, słyszał cichutki syk chaotycznego szumu. Ale w kierunku, w którym fale dźwiękowe były idealnie równoległe, nie tylko nie zakłócały się wzajemnie, ale nawet zwiększały moc.

W rezultacie ktoś siedzący na miejscu Vilate słyszał nawet najlżejszy szept, a wszyscy inni na sali nie słyszeli niczego.

To bardzo interesujące. Alvin nie wiedział, że Niszczyciel korzysta z głosu, by porozumiewać się ze swymi sługami. Zawsze przypuszczał, że w jakiś sposób przemawia wprost do ich umysłów. Tutaj natomiast Niszczyciel mówił z dwóch bliskich sobie źródeł dźwięku.

Alvin uśmiechnął się. Stare powiedzenie mówiło prawdę: Kłamca przemawia przez oba kąciki ust równocześnie.

Badając przenikaczem torebkę Vilate, szybko odnalazł źródło dźwięku. Salamandra leżała na jej rzeczach, a głos wybiegał z pyszczka — chociaż salamandry nie mają mechanizmu zdolnego wytworzyć dźwięk ludzkiej mowy. Gdyby tylko wiedział, co to stworzenie mówi…

Jeśli się nie mylił, można to zorganizować. Najpierw jednak trzeba wydobyć salamandrę, żeby wszyscy obecni widzieli, skąd płyną słowa.

Wtedy właśnie znów zwrócił uwagę na wydarzenia w sali — i odkrył z przerażeniem, że Verily zamierza mu się sprzeciwić i zerwać Vilate jej piękną maskę. Pociągnął go za marynarkę i upomniał szeptem, tak łagodnie, jak tylko potrafił. Potem poprosił, żeby doprowadził do wyjęcia salamandry z torebki.

Teraz, kiedy uwięziona w ciemnym rękawie woźnego salamandra wpadła w panikę, Alvin musiał jakoś ją opanować. Posłał w nią przenikacz, spowolnił bicie serca, napełnił spokojem. Oczywiście, nie wyczuł oporu Niszczyciela. Nic dziwnego — Stwarzanie zawsze Niszczyciela odpychało. Wyczuwał go jednak: przyczajonego, migoczącego w tle, w kątach sali sądowej — czekał, by wrócić do salamandry i znowu przemawiać do Vilate.

To dobry znak, że potrzebował zwierzęcia. To znaczy, że Vilate nie do końca pochłonęła żądza władzy i chęć Niszczenia. Dlatego Niszczyciel nie mógł zwracać się do niej wprost.

Alvin nie wiedział zbyt wiele o Niszczycielu, ale przez lata rozmyślań i spekulacji doszedł do pewnych wniosków. Właściwie

przestał już uważać go za osobę, chociaż czasami wciąż myślał „on”. Zawsze widywał go w formie migotania powietrza, jak coś, co tkwi na samej granicy pola widzenia. Wierzył teraz, że taka jest właśnie prawdziwa natura Niszczyciela. Dopóki ktoś zajmował się Stwarzaniem, Niszczyciel nie mógł się zbliżyć, zresztą większość ludzi nie była dla niego atrakcyjna. Przyciągali go tylko najbardziej niezwykli Stwórcy i najbardziej butni niszczyciele (albo ludzie niszczycielsko butni; Alvin nie był pewien, czy to nie to samo). Krążył wokół Alvina, próbując obrócić wniwecz wszystkie jego dzieła. Krążył wokół innych, takich jak Philadelphia Thrower i najwyraźniej Vilate Franker, ponieważ dawali mu swe dłonie, usta, oczy, pozwalając na działanie.

Alvin domyślał się, chociaż nie mógł tego wiedzieć, że ludzie, którym Niszczyciel ukazywał się najwyraźniej, mieli nad nim pewną władzę. Że wciągnięty w związek nie mógł się uwolnić. Odgrywał tylko rolę, którą przygotował dla niego ludzki sprzymierzeniec. Wielebny Thrower potrzebował anielskiego gościa, pełnego gniewu — i tym właśnie stał się dla niego Niszczyciel. Vilate potrzebowała czegoś innego. Ale Niszczyciel nie mógł się od niej oddzielić. Nie potrafił wyczuć niebezpieczeństwa, dopóki sama Vilate go nie wyczuła. A Vilate nie dostrzegała nawet istnienia salamandry, czego Alvin dowiedział się od Arthura Stuarta. Pojawiła się więc szansa, że Niszczyciel zdemaskuje się na sali sądowej — pod warunkiem że Alvin będzie działał ostrożnie.

Obserwował więc, jak woźny zdejmuje spokojną — w każdym razie spokojniejszą — salamandrę z kołnierzyka koszuli, dokąd umknęła, i delikatnie stawia na stole. Ałvin stopniowo wycofał ze zwierzęcia swój przenikacz, aby Niszczyciel znowu mógł je opanować. Czy przyjdzie? Czy znowu przemówi do Vilate?

Przyszedł. I przemówił.

Znowu uniosła się kolumna dźwięku.

Wszyscy widzieli, że salamandra otwiera i zamyka pyszczek, ale oczywiście nic nie słyszeli, więc wyglądało to jak przypadkowe poruszenia.

— Czy widzi pani salamandrę? — zapytał Verily.

Vilate zdziwiła się.

— Nie rozumiem pytania.

— Jest na stole przed panią. Czy widzi ją pani?

Vilate uśmiechnęła się blado.

— Mam wrażenie, panie Cooper, że próbuje pan ze mnie żartować.

W sali rozległy się szepty.

— Próbuję tylko ustalić — oświadczył Verily — jak wiarygodnym jest pani obserwatorem.

— Wysoki Sądzie — odezwał się Daniel Webster. — Skąd mamy wiedzieć, że to nie jakaś sztuczka obrony? Przekonaliśmy się już, że oskarżony ma niezwykłą, tajemniczą moc.

— Cierpliwości, panie Webster — odparł sędzia. — Będzie pan miał czas na protesty.

Tymczasem Alvin zajmował się podwójną kolumną dźwięku, wydobywającą się z pyszczka salamandry i skierowaną wprost ku Vilate. Próbował ją zakrzywić, ale bez skutku, ponieważ dźwięk musi się rozchodzić w linii prostej. W każdym razie jego zakrzywienie leżało poza zasięgiem Alvina wiedzy i możliwości.

Mógł za to wywołać zakłócenie przy samym źródle jednej z kolumn dźwięku, pozostawiając drugą, by była doskonale słyszalna, jako że nie rozproszona tą pierwszą. Dźwięk jednak będzie słaby. Alvin nie wiedział, czy ludzie na sali usłyszą go dostatecznie dobrze, by zrozumieć słowa.

Tylko w jeden sposób mógł się przekonać.

Poza tym to mogło być coś nowego, co musiał stworzyć, by przekroczyć ciemny obszar w płomieniu swego serca, gdzie Peggy niczego nie widziała.

Zablokował jedną kolumnę dźwięku.

* * *

— Panno Franker — mówił Verily. — Ponieważ oprócz pani wszyscy na tej sali widzą salamandrę…

I nagle — w pół zdania — dał się słyszeć głos z nieoczekiwanego źródła. Verily umilkł i słuchał.

Głos był kobiecy, wesoły i zachęcający.

— Siedź spokojnie, Vilate. Ten angielski bufon to dla ciebie żaden przeciwnik. Nic mu nie musisz mówić, jeśli nie masz ochoty. Alvin Smith miał szansę być twoim przyjacielem, ale odepchnął cię, więc teraz mu pokażesz, co potrafi wzgardzona kobieta. On nie docenia twojej mądrości.

— Kto to jest? — zapytał głośno sędzia.

Vilate spojrzała na niego, okazując jedynie lekkie zdziwienie.

— Mnie pan pytał?

— Owszem!

— Nie rozumiem, o co chodzi. Kto ma być?

— Coś się nie zgadza, ale nie denerwuj się — powiedział kobiecy głos. — Do niczego się nie przyznawaj. Zrzuć winę na Alvina.

Vilate nabrała tchu.

— Czy Alvin rzuca jakieś czary, które działają na wszystkich oprócz mnie? — spytała.

— Ktoś przed chwilą powiedział: „Zrzuć winę na Alvina” — stwierdził surowo sędzia. — Kto to taki?

— Och, och, och! — zawołał kobiecy głos, wyraźnie dobiegający z pyszczka salamandry. — Och! Jak on mógł mnie usłyszeć? Mówię tylko do ciebie, Vilate! Jestem twoją najlepszą przyjaciółką, twoją i nikogo innego! Próbują cię oszukać! Do niczego się nie przyznawaj!

— Ja… nie wiem, o co panu chodzi — zapewniła Vilate. — Nie wiem, co pan słyszy.

— Kobietę, która powiedziała: „Do niczego się nie przyznawaj” — odparł Verily. — Kto to? Kim jest kobieta twierdząca, że jest pani i tylko pani najlepszą przyjaciółką?

— Och, och, och! — krzyknęła salamandra.

— Moja najlepsza przyjaciółka? — powtórzyła Vilate.

I nagle jej twarz zmieniła się w maskę grozy — z wyjątkiem ust, które wciąż uśmiechały się uprzejmie. Krople potu wystąpiły na czoło.

Pod wpływem nagłego impulsu Verily podszedł i zdjął jej szal.

— Proszę, panno Franker… Chyba jest pani gorąco. Potrzymam pani szal.

Verily była tak zmieszana, że nie zauważyła nawet, co robi Verily. A potem było za późno. Gdy tylko szal zsunął się jej z ramion, z ust zniknął uśmiech. Zniknęła też twarz, którą wszyscy znali; pojawiło się oblicze kobiety w średnim wieku, trochę pomarszczone i smagłe od słońca. Co najbardziej niezwykłe, miała otwarte usta, a widoczna górna część jej sztucznej szczęki wznosiła się i opadała, jakby Vilate cały czas pracowała językiem.

Szepty w sali zmieniły się w gwar.

— Do licha, Verily! — rzucił Alvin. — Mówiłem, żebyś nie…

— Przepraszam — powiedział Verily. — Widzę, że potrzebuje pani tego szala, panno Franker.

Okrył ją szybko.

Zrozumiała, co jej zrobił. Porwała szal i otuliła się nim ciasno. Kłapiąca sztuczna szczęka zniknęła za pięknym uśmiechem, a twarz stała się gładka i młoda.

— Jak sądzę, mamy teraz pewne wyobrażenie o wiarygodności świadka — rzekł Verily.

— Wygrywają, głupia prostaczko! — krzyknęła salamandra. — Przyłapali cię! Oszukali, ty durna jędzo!

Vilate straciła spokój. Była wyraźnie przestraszona.

— Jak możesz tak do mnie mówić? — szepnęła.

Nie tylko ona się przestraszyła. Sam sędzia zgarbił się nieco w kącie swojej ławy. Marty Laws skulił się na krześle i podciągnął stopy pod siedzenie.

— Do kogo się pani zwraca? — zapytał sędzia.

Vilate odwróciła się od niego i od salamandry.

— Do przyjaciółki — wyjaśniła. — Najlepszej przyjaciółki. Tak myślałam. — Spojrzała na sędziego. — Przez wszystkie te lata nikt nie słyszał jej głosu. Ale teraz pan ją słyszy, prawda?

— Istotnie — potwierdził sędzia.

— Za dużo im mówisz! — wołała salamandra.

Czyżby jej głos się zmieniał?

— Widzi pan ją? — spytała Vilate cienkim, drżącym głosem. — Widzi pan, jaka jest piękna? Mnie też nauczyła, jak być piękną.

— Zamknij się! — wrzasnęła salamandra. — Nic im nie mów, ty suko!

Tak, głos był zdecydowanie niższy, trochę chrapliwy, syczący.

— Nie, nie widzę jej.

— Ale ona już nie jest moją przyjaciółką — szepnęła Vilate.

— Nigdy nie była.

— Rozerwę ci gardło, ty… — Salamandra rzuciła taką wiązankę przekleństw, że wszyscy aż syknęli.

Vilate wskazała ją palcem.

— To ona mnie do tego zmusiła! Ona kazała mi opowiadać te kłamstwa o Alvinie! Ale teraz rozumiem, że naprawdę jest okropna! I wcale nie piękna! Nie jest piękna, jest brzydka jak… jak kijanka!

— Salamandra — podpowiedział sędzia.

— Nienawidzę cię! — krzyknęła Vilate do salamandry. — Odejdź ode mnie! Nie chcę cię więcej widzieć!

Salamandra wyglądała, jakby zaraz miała ruszyć biegiem, ale nie uciekać, raczej skoczyć ze stołu, pokonać dystans dzielący ją od Vilate i zaatakować, jak groził ten straszny głos.

Alvin ostrożnie badał ciało salamandry, próbując wykryć, gdzie i w jaki sposób Niszczyciel je opanował. Ale jakkolwiek tego dokonał, nie pozostawił żadnych fizycznych śladów.

Alvin uświadomił sobie jednak, że to nie ma znaczenia. Istniały sposoby uwolnienia kogoś spod władzy kogoś innego: heks zejdź-ze-mnie. Jeśli go precyzyjnie wyrysować, może zadziała też na salamandrę? Alvin w pamięci dokładnie określił punkty na stole, gdzie należy zaznaczyć wierzchołki heksu, ich kolejność, liczbę pętli, jaką — łącząc wierzchołki — musi przebiec salamandra.

Potem wysłał przenikacz do tej części jej mózgu, gdzie tkwił rozum… taki, jaki miała. Wolność, szepnął tak, by zwierzę zrozumiało; nie w słowach, ale w uczuciach, w obrazach. Salamandra szukająca jedzenia, parząca się, biegnąca po błocie, po trawie i liściach, wślizgująca się w chłodne, omszałe szczeliny. Wolna, mogąca robić to wszystko, zamiast tkwić w suchej torebce. Salamandra za tym tęskniła.

Wystarczy, że pobiegniesz tak, szepnął bezgłośnie Alvin i pokazał jej drogę do pierwszego punktu.

Salamandra była gotowa do skoku. Teraz pomknęła krętą ścieżką i dotknęła łapką wyznaczonego miejsca. Alvin sprawił, że łapka przeniknęła stół dość głęboko, by pozostawić ślad, choć tak delikatny, że niewidoczny dla ludzkiego oka. Znowu bieg, pętla, znak, jeszcze znak… Sześć maleńkich wgłębień na blacie, a potem skok w sam środek heksu. Niszczyciel zniknął.

* * *

Salamandra pomknęła wzdłuż szaleńczej ścieżki, zbyt szybka, by wzrok za nią nadążył. Biegła, a potem znieruchomiała na środku stołu.

I nagle rozum zgasł w jej ruchach. Nie patrzyła już na Vilate. Nie patrzyła na nikogo konkretnego. Przeszła kawałek po blacie. Nikt nie próbował jej łapać, nikt nie był pewny, czy działa jeszcze zaklęcie. Salamandra zbiegła po nodze od stołu i pomknęła wprost do Alvina. Dotknęła łebkiem worka z pługiem, a potem wśliznęła się do środka.

W sali podniósł się gwar.

— Co się dzieje?! — krzyknął Marty Laws. — Dlaczego pobiegła do worka?

— Ponieważ w tym worku powstała! — zawołał Webster. — Teraz widzicie, że to Alvin Smith jest źródłem wszystkich sztuczek! Widzimy oto twarz diabła, który siedzi tam w fotelu, dumny i zadowolony z siebie!

Sędzia zastukał młotkiem.

— On nie jest diabłem — oświadczyła Vilate. — Diabeł ma twarz o wiele piękniejszą.

I wybuchnęła płaczem.

— Wysoki Sądzie! — krzyknął Webster. — Oskarżony i jego obrońca zamienili tę salę w cyrk!

— Ale wcześniej wyście ją zamienili w bagno obrzydliwych kłamstw i brudnych insynuacji! — ryknął Verily.

Ludzie zaczęli bić mu brawo. Sędzia raz jeszcze uderzył młotkiem.

— Cisza! Proszę o spokój, bo każę opróżnić salę! Słyszycie?

Z wolna zapadło milczenie. Alvin pochylił się i sięgnął do worka. Wyjął bezwładne ciało salamandry.

— Zdechła? — zainteresował się sędzia.

— Nie. Zasnęła. Jest bardzo zmęczona. Miała okrutnego jeźdźca, jeśli można tak powiedzieć. Pędziła galopem i nie dostawała nic do jedzenia. Teraz nie jest już dowodem niczego. Wysoki Sądzie, czy

mogę ją przekazać mojemu przyjacielowi Arthurowi Stuartowi, żeby się nią opiekował, dopóki nie odzyska sił?

— Czy oskarżenie ma coś przeciwko temu?

— Nie, Wysoki Sądzie — zapewnił Marty Laws.

Równocześnie poderwał się Daniel Webster.

— Ta salamandra nigdy nie była dowodem niczego. Oczywiste jest, że została podstawiona przez oskarżonego i jego obrońcę, przez cały czas pozostając pod ich wpływem. Dzięki tej salamandrze wzburzyli uczciwą kobietę i doprowadzili ją do załamania! Spójrzcie na nią!

Wskazał na piękną Vilate Franker, której łzy ściekały po gładkich, różowych policzkach.

— Uczciwa kobieta? — powtórzyła cicho. — Wie pan nie gorzej ode mnie, co mi pan sugerował. Wspominał pan, że potrzebne jest potwierdzenie zeznań tej dziewczyny, Amy Sump, że gdyby potrafił pan udowodnić, że Alvin naprawdę opuszczał więzienie, wtedy wszyscy by jej uwierzyli, a nikt Alvinowi. Oczywiście, wzdychał pan i udawał, że niczego pan nie sugeruje, ale ja wiedziałam i pan wiedział, o co chodzi. Dlatego od mojej przyjaciółki nauczyłam się heksów i dokonaliśmy tego. A teraz siedzi pan tutaj i znowu kłamie.

— Wysoki Sądzie! — zaprotestował Daniel Webster. — Świadek jest wyraźnie wzburzony. Zapewniam, że pani Franker błędnie zinterpretowała krótką rozmowę, jaką odbyliśmy w zajeździe przy kolacji.

— Jestem tego pewien, panie Webster — odparł sędzia.

— Niczego błędnie nie interpretowałam — oświadczyła gniewnie Vilate.

— Jestem pewien, że nie — uspokoił ją sędzia. — Jestem też pewien, że oboje macie całkowitą rację.

— Wysoki Sądzie — rzekł Webster. — Z całym należnym szacunkiem, nie widzę…

— Nie, nie widzisz! — krzyknęła Vilate, stając za barierką dla świadków. — Mówisz, że widzisz tu uczciwą kobietę? Pokażę ci uczciwą kobietę!

Zdjęła szal z ramion — i rozwiała się iluzja jej pięknej twarzy. Wyjęła spod sukni amulety i zdjęła łańcuchy z szyi. Jej figura zmieniała się w oczach: nie była wysoka i smukła, ale średniego wzrostu, trochę tęga w talii, w średnim wieku. Miała przygarbione ramiona, a we włosach więcej srebra niż złota.

— To jest uczciwa kobieta — powiedziała.

A potem osunęła się na fotel i ukryła twarz w dłoniach.

— Wysoki Sądzie — odezwał się Verily — obrona nie ma więcej pytań do świadka.

— Oskarżenie również — oznajmił Marty Laws.

— Wcale nie! — zawołał Webster.

— Panie Webster — powiedział spokojnie Marty. — Odwołuję pana z funkcji oskarżyciela posiłkowego. Zeznania świadków, jakich pan powołał, moim zdaniem nie nadają się do wykorzystania w sądzie. Myślę, że postąpiłby pan rozsądnie, bez zwłoki opuszczając tę salę.

Kilka osób zaklaskało, ale sędzia uciszył ich groźnym spojrzeniem.

Webster zaczął pakować do teczki dokumenty.

— Jeśli chcecie mi zarzucić zachowanie w jakimkolwiek stopniu nieetyczne…

— Nikt panu niczego nie zarzuca, panie Webster — przerwał mu sędzia. — Tyle że nic już pana nie łączy z prokuratorem okręgowym okręgu Hatrack, a zatem właściwe byłoby, gdyby przeszedł pan za barierkę. Jeśli wolno wyrazić moją opinię, to również za drzwi.

Webster wyprostował się, wcisnął teczkę pod pachę i bez jednego słowa wymaszerował. Po drodze minął kobietę w średnim wieku o kasztanowych włosach przetykanych siwizną. Szła stanowczym krokiem w stronę sędziego… nie, w stronę fotela dla świadków. Weszła na stopień, objęła szlochającą Vilate Franker i pomogła jej wstać.

— Chodź, Vilate. Byłaś bardzo dzielna, bardzo. Wszyscy jesteśmy z ciebie dumni.

— Goody Trader — szepnęła Vilate. — Tak mi wstyd.

— Nonsens — odparła Goody Trader. — Wszystkie chcemy być piękne, a prawdę mówiąc, uważam, że ty ciągle jesteś piękna. Tyle że… dojrzała. To wszystko.

Obecni przyglądali się w milczeniu, jak Goody Trader wyprowadza swoją byłą rywalkę.

— Wysoki Sądzie — oświadczył Verily. — Dla wszystkich powinno być jasne, że pora wrócić do rzeczywistego przedmiotu sporu. Straciliśmy sporo czasu na świadków nie mających związku ze sprawą, jednak pozostaje oczywistym faktem, że w efekcie mamy z jednej strony twierdzenia Makepeace'a Smitha i Hanka Dowsera, a z drugiej Alvina Smitha. Ich słowo przeciwko jego. Jeśli oskarżenie nie ma zamiaru przedstawiać dalszych świadków, chciałbym rozpocząć moją obronę od udzielenia głosu Alvinowi. Niech przysięgli w końcu rozsądzą.

— Dobrze powiedziane, panie Cooper — pochwalił go Marty Laws. — To jest przedmiotem sprawy i żałuję, że dałem się zwieść na manowce. Oskarżenie zakończyło przedstawianie zeznań swoich świadków. Myślę, że wszyscy chętnie wysłuchamy zeznania oskarżonego. Cieszę się, że chce wystąpić, chociaż konstytucja Stanów Zjednoczonych daje mu prawo odmowy zeznań bez podania przyczyn.

— Piękne słowa — stwierdził sędzia. — Panie Smith, proszę wstać

i złożyć przysięgę.

Alvin sięgnął po worek z pługiem i zarzucił go sobie na ramię tak lekko, jakby miał w nim bochenek chleba albo torbę puchu. Podszedł do woźnego, położył rękę na Biblii, a drugą podniósł razem z workiem.

— Uroczyście przysięgam, że będę mówił prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Tak mi dopomóż Bóg.

— Alvinie — odezwał się Verily — powiedz nam, skąd się wziął ten pług.

Alvin skinął głową.

— Wziąłem żelazo, które dostałem od mistrza… od Makepeace'a, on był wtedy moim mistrzem… i stopiłem je. Już wcześniej zrobiłem formę pługa, więc wlałem do niej żelazo i odczekałem, aż ostygnie. Potem zbiłem formę, a żelazo kułem, kształtowałem, usuwałem wszystkie niedoskonałości, aż wreszcie, o ile mogę to ocenić, powstał pług w kształcie tak idealnym, jaki tylko potrafiłem osiągnąć.

— Czy w pracy korzystałeś z talentu Stwórcy?

— Nie, to by nie było sprawiedliwie. Chciałem uczciwie zostać kowalskim czeladnikiem. Użyłem przenikacza, żeby badać pług, ale nie zmieniałem go inaczej niż młotem i rękami.

Wielu widzów pokiwało głowami ze zrozumieniem. Wiedzieli, o czym mówi, znali to pragnienie, by zrobić coś własnoręcznie, bez użycia niezwykłych talentów, tak powszechnych ostatnio w mieście.

— A kiedy skończyłeś, co otrzymałeś?

— Pług — odparł Alvin. — Czyste żelazo, dobrze uformowane i zahartowane. W sam raz na egzamin czeladniczy.

— Czyją własnością był ten pług? Pytam cię nie jak prawnika, ale jak terminatora, którym wtedy byłeś. Czy należał do ciebie?

— Był mój, bo to ja go zrobiłem, i jego, bo to jego żelazo. Zwyczaj każe darować czeladnikowi jego dzieło, ale wiedziałem, że Makepeace ma prawo zatrzymać pług, jeśli zechce.

— A potem postanowiłeś zmienić żelazo.

Alvin przytaknął.

— Czy możesz wyjaśnić sądowi swoje ówczesne rozumowanie?

— Nie wiem, czy można to nazwać rozumowaniem, jak je określa panna Larner. Wiedziałem tylko, czego chcę od pługa. To nie miało nic wspólnego z awansem z kowalskiego terminatora na czeladnika. Bardziej z terminatora na czeladnika Stwórcę. Nie miałem mistrza, który by ocenił moją pracę, a jeśli nawet, to nie dał mi się poznać.

— Postanowiłeś zatem zmienić pług w złoto.

Alvin machnął ręką.

— To by było łatwe. Dawno już wiedziałem, że potrafię zamieniać jeden metal w drugi. Z metalami jest łatwiej, bo ich kawałeczki ustawiają się równo i w ogóle. Trudno zmienić powietrze, ale metal

jest łatwy.

— Twierdzisz, że mogłeś w każdej chwili zmienić żelazo w złoto? — zapytał Verily. — Czemu tego nie zrobiłeś?

— Uważam, że na świecie jest właściwa ilość złota i właściwa ilość żelaza. Nie warto robić ze złota młotków i pił, siekier i lemieszy. Na to potrzeba żelaza. Złoto nadaje się do rzeczy z miękkiego metalu.

— Ale złoto dałoby ci bogactwo — przypomniał Verily.

— Złoto dałoby mi sławę. Złoto przyciągnęłoby do mnie złodziei. Ale nie doprowadziłoby mnie ani o krok bliżej wiedzy, jak zostać prawdziwym Stwórcą.

— Mamy uwierzyć, że złoto cię nie interesuje?

— Nie, skąd. Potrzebuję pieniędzy jak każdy. W tym czasie liczyłem, że się ożenię, a nie miałem centa przy duszy, co nie jest najlepszą wróżbą. Ale większość ludzi zdobywa złoto ciężką pracą, więc dlaczego niby miałbym je zdobyć bez tej pracy? To by nie było sprawiedliwe, a skoro narusza równowagę, to nie jest prawdziwym Stwarzaniem, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

— A jednak przemieniłeś pług w złoto, prawda?

— To był tylko krok w drodze do celu — wyjaśnił Alvin.

— Jakiego celu?

— No wiesz… Do tego, o czym mówili świadkowie. Ten pług nie jest ze zwykłego złota. Rusza się. Działa. Żyje.

— Do tego zmierzałeś?

— Do ognia życia. Nie do zwykłego ognia paleniska.

— Jak tego dokonałeś?

— Trudno to wytłumaczyć komuś, kto nie ma przenikacza i nie może zajrzeć do wnętrza rzeczy. Nie stworzyłem życia wewnątrz; ono już tam było. Cząstki złota chciały utrzymać kształt, jaki im dałem, kształt pługa, więc walczyły z topnieniem w ogniu, ale brakowało im siły. Nie znały swojej siły. A ja nie potrafiłem ich nauczyć. Aż nagle wpadło mi do głowy, żeby włożyć ręce w ogień i pokazać złotu, jak być żywym, w jaki sposób to możliwe.

— Włożyłeś ręce do ognia?

Alvin kiwnął głową.

— Mówię ci, okropnie bolało.

— Ale nie masz żadnej blizny — zauważył Verily.

— Ogień parzył, ale zrozum, to był ogień Stwarzania. Wreszcie zrozumiałem to, co musiałem wiedzieć od początku: że Stwórca jest częścią tego, co stwarza. Musiałem się znaleźć w ogniu razem ze złotem, pokazać mu, jak się żyje, pomóc odszukać własny płomień serca. Gdybym wiedział, jak to się dzieje, lepiej by mi poszło uczenie innych. Bóg mi świadkiem, że próbowałem, ale nikt jeszcze nie nauczył się jak należy. Chociaż parę osób krok po kroku zmierza do celu. W każdym razie pług ożył w ogniu.

— Czyli teraz pług jest taki, jak widzieliśmy… A raczej jak go nam tutaj opisywano.

— Tak. To żywe złoto.

— Do kogo teraz należy, twoim zdaniem?

Alvin spojrzał na Makepeace'a, na Marty'ego Lawsa, na sędziego.

— Należy do siebie. Nie jest niczyim niewolnikiem.

Marty Laws wstał.

— Świadek nie chce chyba sugerować, że pługom przysługują prawa obywatelskie.

— Nie, wcale nie chcę — zapewnił Alvin. — Pług ma własny cel istnienia, ale nie przypuszczam, żeby zasiadanie w ławie przysięgłych albo głosowanie na prezydenta miały z tym jakiś związek.

— Ale twierdzisz — podjął Verily — że pług nie należy do Makepeace'a Smitha, tak samo jak nie należy do ciebie?

— Do żadnego z nas.

— Dlaczego więc tak się opierasz przed przekazaniem go swojemu dawnemu mistrzowi?

— Bo on chce go przetopić. Powiedział to już następnego dnia. Oczywiście kiedy wytłumaczyłem, że nie może tego zrobić, nazwał mnie złodziejem i stwierdził, że pług jest jego. Powiedział, że dzieło egzaminacyjne czeladnika należy do mistrza, chyba że on sam odda je czeladnikowi. I jeszcze dodał: „A ja na pewno ci go nie dam". I nazwał mnie złodziejem.

— Nie miał racji? Nie jesteś złodziejem?

— Nie. Przyznaję, że zniknęło żelazo, które mi dał, więc chętnie oddam to żelazo z powrotem, pięć albo i dziesięć razy więcej, niż dostałem. To nie znaczy, że mu je ukradłem, bo ono już nie istnieje. Wtedy byłem na niego zły; przecież mogłem zostać czeladnikiem całe lata wcześniej. Makepeace jednak trzymał mnie do samego końca kontraktu, cały czas udając, że nie wie, jak to jestem lepszym kowalem…

Makepeace Smith poderwał się z ławy dla widzów i krzyknął:

— Kontrakt to kontrakt!

Sędzia uderzył młotkiem.

— Ja także dotrzymałem kontraktu — przypomniał Alvin. — Odpracowałem pełny termin, chociaż byłem tam służącym. Po roku czy dwóch nie mógł mnie już niczego nauczyć. Wydawało mi się, że z naddatkiem odpracowałem cenę tego żelaza. Teraz widzę, że zachowałem się jak obrażony dzieciak. Makepeace miał prawo tak postępować; dlatego chętnie zwrócę mu cenę żelaza, a nawet zrobię drugi pług zamiast tego.

— Ale nie oddasz mu tego pługa, który zrobiłeś?

— Gdyby Makepeace dał mi złoto na pług, oddałbym mu tyle samo. Ale on dał mi żelazo. A nawet gdyby miał prawo do takiej ilości

złota, to z pewnością nie ma prawa do tego akurat, ponieważ zniszczyłby je, gdyby mu wpadło w ręce. A takiego pługa nie wolno niszczyć, zwłaszcza tym, którzy nie mają mocy, by wykonać go znowu. Poza tym gadał o złodziejstwie, zanim jeszcze zobaczył, jak pług się rusza.

— Widział, jak się rusza?

— Tak jest. Powiedział wtedy do mnie: „Wynoś się stąd. Zabierz to i wynoś się! Nie chcę cię tu więcej oglądać!" Jeśli dobrze pamiętam, takich właśnie słów użył. I gdyby dzisiaj zaprzeczył, Bóg zaświadczy przeciw niemu w Dniu Sądu. I Makepeace to wie.

Verily pokiwał głową.

— Wysłuchaliśmy twojej opinii o sprawie — stwierdził. — Teraz w kwestii Hanka Dowsera. Jak odpowiesz na zarzut, że wykopałeś studnię w innym miejscu niż to, które wskazał?

— Wiedziałem, że to nie jest dobre miejsce — wyjaśnił Alvin. — Ale kopałem tam, gdzie powiedział, prosto w dół, aż trafiłem na litą skałę.

— I nie znalazłeś wody?

— Właśnie. Wtedy poszedłem tam, gdzie powinienem zacząć od razu. Wykopałem studnię i słyszałem, że do dzisiaj daje czystą wodę.

— Zatem pan Dowser się pomylił?

— Nie pomylił się, bo tam rzeczywiście była woda. Nie wiedział tylko, że pod ziemią biegnie warstwa skały, a woda płynie niżej. Nad skałą ziemia jest sucha jak pieprz. Dlatego powstała naturalna łąka; nie rosną tam drzewa, tylko krzaki z krótkimi korzeniami.

— Dziękuję — powiedział Verily. — Przekazuję panu świadka. — Skłonił się w stronę Marty'ego Lawsa.

Marty Laws podparł rękami brodę.

— No cóż, nie mam zbyt wielu pytań. Znamy wersję wydarzeń Makepeace'a i pańską. Niech pan powie, czy jest możliwe, że w rzeczywistości nie zmienił pan żelaza w złoto? Że znalazł pan złoto w tym pierwszym wykopanym dole, a potem uformował je pan w kształt pługa?

— Nie, to niemożliwe — zapewnił Alvin.

— Zatem nie ukrył pan starego pługa w celu poprawienia swojej reputacji Stwórcy?

— Nigdy mi nie zależało na reputacji Stwórcy — oświadczył stanowczo Alvin. — A co do żelaza, to ono już nie jest żelazem.

Marty Laws kiwnął głową.

— Nie mam więcej pytań. Sędzia spojrzał na Verily'ego.

— Może obrona chce jeszcze coś wiedzieć?

— Tylko jeden drobiazg. Alvinie, słyszałeś, co Amy Sump mówiła o tobie i dziecku, które nosi. Czy to prawda?

Alvin pokręcił głową.

— Ani razu nie wychodziłem z celi. To fakt, opuściłem Vigor Kościół przynajmniej w części z powodu historii, jakie o mnie opowiadała. To były kłamstwa, ale i tak musiałem odejść; miałem nadzieję, że kiedy mnie nie będzie, Amy zapomni i zakocha się w kimś w odpowiednim wieku. Nigdy nawet jej nie dotknąłem. Zeznaję pod przysięgą i klnę się na Boga. Przykro mi, że ma kłopoty. Mam nadzieję, że jej dziecko wyrośnie na zdrowego, silnego i dobrego syna.

— To chłopiec? — upewnił się Verily.

— Tak — potwierdził Alvin. — Chłopiec, ale nie mój syn.

— Skończyłem — oznajmił Verily.

Przyszedł czas na końcowe przemowy, ale sędzia nie dał znaku, by je rozpocząć. Oparł się i na długą chwilę przymknął oczy.

— Moi drodzy — powiedział w końcu. — Niezwykły to był proces i parę razy skręcił w niewłaściwą stronę. Ale w tej chwili pozostało już tylko kilka spornych kwestii. Jeśli Makepeace Smith i Hank Dowser mają rację, a złoto zostało znalezione, nie stworzone, to uczciwość każe przyznać, że pług jest własnością Makepeace'a.

— Diablo słusznie! — krzyknął Makepeace.

— Woźny, proszę odprowadzić Makepeace'a Smitha do aresztu — polecił sędzia. — Spędzi noc w celi za lekceważenie sądu. I zanim jeszcze coś powie, chcę uprzedzić, że każde słowo przedłuży jego areszt o kolejną noc.

Makepeace niemal pękał z wściekłości, ale w milczeniu pozwolił się wyprowadzić z sali.

— Druga możliwość — podjął sędzia. — Alvin zmienił żelazo w złoto, jak twierdzi, i złoto stało się czymś, co nazywa „żywym złotem”, a zatem pług należy sam do siebie. Co prawda trudno byłoby doszukać się przepisów prawa, dopuszczających istnienie narzędzi rolniczych jako należących tylko do siebie jednostek… Powiem tyle: jeśli Makepeace przekazał Alvinowi pewną ilość żelaza, Alvin zaś sprawił, że to żelazo zniknęło, jest teraz winien Makepeace'owi tę samą ilość żelaza lub jej finansowy odpowiednik w legalnych środkach płatniczych. Tak sądzę w tej chwili, choć przyznaję, że przysięgli mogą dostrzegać jakieś inne możliwości, które przeoczyłem. Problem w tym, że nie wiem, w jaki sposób przysięgli mogliby podjąć sprawiedliwą decyzję. Jak mogą zapomnieć całą tę historię z Alvinem mającym lub nie mającym skandalicznych związków? Wydaje mi się, że powinienem zarządzić wznowienie procesu, ale myślę, że nie należy zmuszać mieszkańców tego miasta do kolejnej rundy rozpraw. Dlatego postanowiłem zaproponować inne wyjście. Jest tylko jeden fakt, który możemy sprawdzić. Możemy udać się do kuźni, aby Hank Dowser pokazał nam miejsce, które wyznaczył do kopania studni. Potem zaczniemy tam kopać i przekonamy się, czy znajdziemy albo resztki skrzyni ze skarbem i wodę, czy też skalną płytę, jak twierdzi

Alvin, i ani kropli wody. Uważam, że czegoś przynajmniej się w ten sposób dowiemy, podczas gdy obecnie nie wiemy właściwie nic. Prócz tego że Vilate Franker, niech Bóg ją błogosławi, ma sztuczną szczękę.

Ani obrona, ani oskarżenie nie zgłosili sprzeciwów.

— W takim razie zarządzam wznowienie rozprawy o dziesiątej rano przy kuźni Makepeace'a. Nie, nie jutro; jutro piątek, dzień wyborów. Nie ma wyjścia, musimy zaczekać do poniedziałku. Obawiam się, Alvinie, że kolejny weekend spędzisz w celi.

— Wysoki Sądzie — odezwał się Verily Cooper. — W mieście jest tylko jeden areszt, a jeśli Makepeace Smith będzie zmuszony dzielić celę z moim klientem…

— Rzeczywiście. Szeryfie, kiedy odprowadzi pan Alvina, proszę zwolnić Makepeace'a.

— Dziękuję, Wysoki Sądzie — powiedział Verily.

— Odkładam rozprawę do dziesiątej rano w poniedziałek. Młotek uderzył i na ten dzień spektakl się zakończył.

ROZDZIAŁ 17 — DECYZJE

Ponieważ Calvin w Vigor Kościele z nikim właściwie się nie przyjaźnił, zawsze uważał się za samotnika. Kiedy o tym myślał, stwierdzał, że kto nie był oczarowany Alvinem, zwykle okazywał się niemal idiotą. Calvina nie interesowały takie psikusy, jak przywoływanie skunksów pod werandę czy przewracanie wychodków. Alvin odciął go od wszystkiego, co ważne, a przyjaciele, jakich mógł sobie znaleźć, wcale się nie liczyli.

W Nowym Amsterdamie i w Londynie był jeszcze bardziej samotny, skoncentrowany na jedynym celu: dostać się do Napoleona. To samo działo się na ulicach Paryża, kiedy krążył po mieście i starał się zdobyć sławę uzdrowiciela. A kiedy już zwrócił na siebie uwagę cesarza, zajmowały go tylko badania i praca.

Przez pewien czas. Ponieważ po kilku tygodniach zrozumiał, że Napoleon zamierza go uczyć powoli i nieskończenie długo. Dlaczego miałoby być inaczej? Przecież kiedy tylko Całym uzna, że umie już dosyć, odjedzie, a Napoleona znów zacznie dręczyć artretyzm. Calvin zastanawiał się nawet, czy nie wpłynąć na Napoleona przez wzmożenie jego cierpień. Z tą myślą zbadał przenikaczem jego mózg i znalazł miejsce rejestrujące ból. Mógłby bezpośrednio sięgnąć do tego punktu i sprawdzić, czy Napoleon nie przypomni sobie nagle o nauczeniu Calvina paru rzeczy, o których wcześniej zapomniał.

Ale to tylko marzenia, a Calvin nie był głupcem. Taką sztuczkę mógłby wykonać raz i zyskać jeden dzień nauki. Zanim jednak położyłby się spać, powinien się znaleźć jak najdalej od Paryża, od Francji, od wszystkich okolic tego świata, gdzie potrafiliby go odszukać agenci cesarza. Nie, nie mógł zmuszać Napoleona do niczego. Musiał tu zostać i godzić się na nieznośnie powolne lekcje, na ciągłe powtarzanie. Tymczasem obserwował pilnie, próbując zobaczyć, co takiego robi Napoleon, czego Calvin nie rozumie.

Nic z tego nie miało sensu.

Pozostało mu tylko wypróbowanie umiejętności, których Napoleon go nauczył, umiejętności manipulowania ludźmi. Musiał sprawdzić, czy doświadczenie nie pokaże czegoś nowego. A to pragnienie zmusiło go do szukania kontaktów.

Nie było to takie proste. W pałacu otaczali go zawsze zajęci służący. Co gorsza, znajdowali się pod bezpośrednim wpływem Napoleona, a cesarz nie powinien odkryć, że ktoś inny próbuje rządzić jego poddanymi. Mógłby źle to zrozumieć. Mógłby pomyśleć, że Calvin chce odebrać mu władzę, a to nieprawda — Calvin nie miał ochoty zajmować miejsca cesarza. Czym był zwykły cesarz, gdy na świecie pojawił się Stwórca?

To znaczy dwóch Stwórców. Dwóch.

Na kim jeszcze mógł Calvin wypróbować swoje nowe umiejętności? Kilka wędrówek po pałacu i budynkach rządowych pozwoliło mu odkryć całkiem inną klasę ludzi: leniwi i sfrustrowani, stanowili naturalny materiał doświadczalny. Byli to synowie dworzan i urzędników Napoleona.

Wszyscy mieli w przybliżeniu podobne biografie: kiedy ich ojcowie zyskiwali wpływy, synowie trafiali do coraz lepszych szkół z internatami, które opuszczali w wieku szesnastu czy siedemnastu lat, wykształceni i ambitni, lecz bez żadnej pozycji w towarzystwie. Oznaczało to, że prawie wszystkie drogi były przed nimi zamknięte — z wyjątkiem pójścia w ślady ojców. Musieli żyć w całkowitej zależności od cesarza. Niektórym to wystarczało. Tych pracowitych, zadowolonych z życia ludzi Calvin zostawiał w spokoju.

Interesowali go nieudani studenci prawa, entuzjastyczni poeci i dramaturdzy bez talentu, plotkarze i uwodziciele, rozglądający się za kobietami dość bogatymi, by były warte pożądania, i dość głupimi, by dać się zdobyć takim zalotnikom. Całym, którego francuski znacznie się poprawił, postępował więc zgodnie z radami Napoleona i badał, jakie przywary popychają tych młodych ludzi do działania, aby pochlebiać im i nimi kierować. Przy okazji odkrył też, że lubi ich towarzystwo. Nawet głupcy spośród nich bawili go swym lenistwem i cynizmem, a czasami znajdował prawdziwie dowcipnych i fascynujących towarzyszy.

Ci byli najtrudniejsi do opanowania. Calvin powtarzał sobie, że to raczej wyzwanie, nie skłonności powodują szukanie ich towarzystwa. Szczególnie jednego z nich: Honore. Chudy, niski, z przedwcześnie popsutymi zębami, o rok starszy od Alvina. Maniery miał skandaliczne; nie dlatego, jak szybko stwierdził Calvin, by nie wiedział, jak się zachować, ale raczej dlatego że lubił szokować ludzi, okazywać pogardę ich zmurszałym normom, a przede wszystkim zwracać na siebie uwagę. Odpychające zachowanie zwykle wywoływało pożądany efekt: z początku może niechęć i niesmak, lecz najdalej po piętnastu minutach wszyscy śmiali się z jego żartów, kiwali głowami, gdy wygłaszał swoje przemyślenia, a w oczach błyszczał im podziw.

Calvin pozwolił sobie nawet na przypuszczenie, że Honore dysponuje może tym samym darem co cesarz, że studiując go pozna kilka sekretów, które Napoleon ukrywał.

Z początku Honore ignorował Calvina — nie z jakichś konkretnych powodów, ale dla ogólnej zasady, że ignorował wszystkich, którzy nic mu nie mogli zaoferować. Potem zapewne usłyszał, że Calvin codziennie widuje cesarza, a nawet jest jego osobistym uzdrowicielem. Calvin natychmiast zyskał akceptację, a

nawet zaproszenia na nocne wyprawy.

— Badam Paryż — tłumaczył Honore. — Nie, muszę sprostować: badam ludzkość, a w Paryżu żyje dostatecznie wielka liczba osobników tego gatunku, żeby dostarczyć mi zajęcia na wiele lat. Studiuję wszystkich, którzy odbiegają od normy, ponieważ właśnie ich odchylenia uczą mnie ludzkiej natury. Jeśli działania człowieka mnie zaskakują, to dlatego że przez lata przyzwyczaiłem się oczekiwać innego zachowania. W ten sposób poznaję dziwaczność jednostki, ale i normę całości.

— A dlaczego ja jestem dziwaczny? — spytał Calvin.

— Jesteś dziwaczny, ponieważ słuchasz moich przemyśleń, a nie moich żartów. Jesteś pilnym studentem geniuszu i podejrzewam niemal, iż sam geniuszem dysponujesz.

— Geniuszem?

— To ów niezwykły duch czyniący ludzi wielkimi. Absolutna pobożność zmienia ludzi w świętych lub aniołów, ale co z takimi, którzy są średnio pobożni, za to doskonale inteligentni, mądrzy czy spostrzegawczy? Stają się geniuszami. Świętymi patronami umysłów, oczu duszy! Kiedy umrę, chcę, by moje imię przywoływali ci, którzy modlą się o mądrość. Świętym zostawiam modlitwy tych, którzy pragną cudów. — Pochylił głowę i spojrzał w górę, na Calvina. — Jesteś zbyt wysoki, by być uczciwy. Ludzie wysocy zawsze kłamią, ponieważ sądzą, że niscy, tacy jak ja, nie rozumieją ich dość dobrze i nie sprzeciwią się.

— Nic nie poradzę, że jestem wysoki.

— To kłamstwo. Jako dziecko chciałeś być wysoki, tak jak ja chciałem pozostać bliżej ziemi, gdzie moje oczy zauważą szczegóły, jakich ludzie wysocy nie dostrzegają. Mam tylko nadzieję, że kiedyś będę też gruby. To by znaczyło, że mam więcej do jedzenia, co z kolei, mój drogi jankesie, byłoby miłą odmianą. Powszechnie uważa się, że geniusze nigdy nie zyskują zrozumienia, a zatem nie są popularni i nie zarabiają pieniędzy na swej mądrości. Uważam to za głupotę. Prawdziwy geniusz jest nie tylko sprytniejszy od wszystkich, ale jest tak inteligentny, by wiedzieć, jak dotrzeć do mas, nie rezygnując ze swej mądrości. Ja piszę powieści.

Calvin niemal wybuchnął śmiechem.

— Te głupie historyjki, które czytują kobiety?

— Te same. Omdlewające dziedziczki. Nudni mężowie. Niebezpieczni kochankowie. Trzęsienia ziemi, rewolucje, pożary i wścibskie ciotki. Pisuję pod kilkoma noms de plume. Sekret polega na tym, że gdy opanowuję sztukę zdobywania popularności, a więc i bogactwa, równocześnie badam prawdziwy stan człowieczeństwa w tym wielkim akwarium, jakim jest Paryż, tym ulu z cesarzem jako królową, otoczoną takimi trutniami, jak mój bezskrzydły, pozbawiony

żądła ojciec, siódmy sekretarz z porannej zmiany. Kiedyś go okulawiłeś, żałosny psotniku. Całą noc płakał nad swoim poniżeniem, a ja przysiągłem, że pewnego dnia cię zabiję. Pewnie tego nie zrobię… Nigdy jeszcze nie dotrzymałem obietnicy.

— A kiedy piszesz? Przez cały czas jesteś tutaj. — Calvin skinął ręką na otaczające ich budynki rządowe.

— Skąd możesz to wiedzieć, skoro ciebie przez cały czas tu nie ma? Nocami krążę od wspaniałych salonów śmietanki towarzyskiej do najlepszych burdeli stworzonych przez męty tego świata. A rankami, kiedy od monsieur Bonapartego pobierasz lekcje cesarzowania, ja zaszywam się na swym nędznym, poetycznym poddaszu. Gospodyni matki codziennie przynosi mi świeży chleb, więc nie płacz jeszcze nade mną, przynajmniej dopóki nie złapię syfilisu albo gruźlicy. Na tym poddaszu właśnie piszę jak szaleniec, stronę za stroną pokrywając moją błyskotliwą prozą. Kiedyś spróbowałem swoich sił w poezji, w dramaturgii… Odkryłem jednak, że naśladując Racine'a, człowiek uczy się głównie takiego nudzenia jak Racine, a studiując Moliere'a przekonuje się, że był on wzniosłym geniuszem, którego nie powinni obrażać nędzni młodzi naśladowcy.

— Żadnego z nich nie czytałem — przyznał Calvin. Prawdę mówiąc, o żadnym z nich nie słyszał i jedynie z kontekstu wywnioskował, że mowa o dramaturgach.

— Nie czytałeś także moich dzieł, ponieważ w istocie są to jedynie wprawki, nie prace geniusza. Czasem obawiam się wręcz, że mam tylko ambicję geniusza, oko i ucho geniusza, ale talent kominiarza. Zanurzam się w brudnym świecie, wracam czarny, strzepuję popioły i sadze moich badań na biały papier… I co otrzymuję? Kartki z czarnymi znaczkami. — Honore chwycił Calvina za koszulę i pociągnął w dół, aż mógł spojrzeć mu prosto w oczy. — Oddałbym nogę za taki talent jak twój. Żeby spojrzeć do wnętrza ciała, uleczyć lub zranić, sprowadzić ból albo ulgę. Dałbym sobie odciąć nawet obie nogi. — Puścił Calvina. — Oczywiście nie zrezygnowałbym z delikatniejszych organów, sprawiłbym bowiem wielki zawód mojej drogiej madame de Berny. Zachowasz dyskrecję, mam nadzieję, i plotkując o moim romansie, nigdy nie zdradzisz, że usłyszałeś o nim ode mnie.

— Naprawdę mi zazdrościsz? — spytał Calvin.

— Tylko wtedy, kiedy myślę rozsądnie — odparł Honore. — To rzadka okazja, a więc twoje istnienie nie odbiera mi zadowolenia z życia. Nie stałeś się jeszcze którymś z głównych źródeł irytacji. Co innego moja matka… Przez całe dzieciństwo tęskniłem za jakimś gestem miłości z jej strony, jakimś przejawem afektu. Zawsze jednak traktowała mnie chłodno i oschle. Nic nie mogło jej zadowolić. Przez wiele lat uważałem, że jestem złym synem. A potem nagle

uświadomiłem sobie, że to ona jest złą matką! Nienawidziła nie mnie, ale mojego ojca. Aż pewnego roku, kiedy wyjechałem do szkół, wzięła sobie kochanka. Wybrała dobrze, gdyż był to światowy człowiek, do którego żywię wielki szacunek. Moja matka pozwoliła sobie na ciążę i urodziła potwora.

— Zdeformowanego?

— Tylko moralnie. Poza tym jest całkiem atrakcyjny i matka go rozpieszcza. Kiedy widzę, jak się nad nim roztkliwia, wychwala go i śmieje się z jego powiedzonek, marzę, by postąpić jak bracia Józefa i wrzucić go do studni. Tyle że ja bym nie miał litości i nie wyciągnął go, żeby sprzedać w zwyczajną niewolę. Na pewno będzie też wysoki i matka dopilnuje, żeby miał dostęp do jej fortuny; w przeciwieństwie do mnie, który żyję dzięki nędznym groszom od ojca, zaliczkom od wydawców i szlachetnym impulsom kobiet, dla których jestem bogiem miłości. Po głębokim zastanowieniu doszedłem do wniosku, że Kain, podobnie jak Prometeusz, był jednym z największych dobroczyńców ludzkości, za co, naturalnie, jest przez Boga bez końca torturowany, a przynajmniej wyrosła mu paskudna krosta na środku czoła. Kain bowiem nauczył nas, że pewnych braci zwyczajnie nie da się znieść, a jedynym rozwiązaniem jest zabić ich albo zlecić komuś zabicie. Jako człowiek z natury leniwy, skłaniam się ku tej drugiej metodzie. Ponadto w więzieniu nie można nosić eleganckich ubrań, a po zgilotynowaniu za morderstwo kołnierzyk nigdy nie układa się dobrze, tylko zsuwa na jedno lub drugie ramię. Dlatego albo wynajmę kogoś do tego zadania, albo dopilnuję, żeby zatrudniono go na nędznej posadzie w dalekiej kolonii. Myślałem o wyspie Reunion na Oceanie Indyjskim. Ta kropka na globusie ma tylko jedną wadę: jest tak duża, że drogi Henry mógłby nie zobaczyć naraz całego obwodu swojej wyspy. Chcę, żeby bez chwili przerwy czuł się jak w więzieniu. To chyba nieżyczliwe myśli.

Nieżyczliwe? Calvin roześmiał się z zachwytem i w zamian uraczył Honore opowieściami o własnym okropnym bracie.

— No cóż — podsumował Honore. — Oczywiście, musisz go zniszczyć. Co robisz w Paryżu, kiedy czeka cię tak wielkie dzieło?

— Uczę się od Napoleona, jak rządzić ludźmi. Kiedy brat zbuduje Kryształowe Miasto, ja mu je odbiorę.

— Odbierzesz? To nędzny cel. Co ci przyjdzie z odebrania mu miasta?

— To, że on je zbudował, albo zbuduje, a potem będzie patrzył, jak władam wszystkim.

— Myślisz tak, ponieważ z natury jesteś paskudny, Calvinie, i nie rozumiesz miłych ludzi. Dla ciebie ostatecznym celem jest władza; dlatego niczego nie budujesz, raczej starasz się opanować to, co już istnieje. Twój brat za to jest z natury Stwórcą, jak to nazwałeś; dlatego

nie dba o to, kto rządzi, tylko o to, co istnieje. Jeśli więc odbierzesz mu władzę w Kryształowym Mieście, kiedy już je zbuduje, nie osiągniesz niczego, gdyż on wciąż będzie się cieszył samym jego istnieniem; nieważne, kto w nim rządzi. Nie. Nie masz innego wyjścia, niż pozwolić miastu rosnąć aż po szczyt, a potem zburzyć je, zmienić w taki stos gruzów, by nigdy już nie powstało na nowo.

Calvin był trochę zaniepokojony. Nie myślał o tym w taki sposób i wcale mu się to nie podobało.

— Żartujesz, Honore. Jestem pewien. Ty przecież tworzysz różne rzeczy… przynajmniej swoje powieści.

— A gdybyś mnie nienawidził, przecież nie zabierałbyś moich honorariów. Zresztą wierzyciele robią to od dawna. Nie, odebrałbyś mi same książki, ukradł prawa, a potem pozmieniał je, przeredagował, aż nie pozostałby żaden ślad prawdy i piękna, a co ważniejsze, mojego geniuszu. A potem wydawałbyś je dalej pod moim nazwiskiem, zawstydzając mnie każdym sprzedanym egzemplarzem. Ludzie by je czytali i mówili: „Co za głupiec ten Honore de Balzac". Tak mógłbyś mnie zniszczyć.

— Nie jestem postacią z twojej powieści.

— Szkoda. Ten dialog na pewno byłby wtedy bardziej interesujący.

— Więc uważasz, że marnuję tu czas?

— Uważam, że wkrótce zaczniesz go marnować. Napoleon nie jest durniem. Nigdy nie dostarczy ci narzędzi tak potężnych, żebyś mógł mu zagrozić. Pora wyjechać.

— Jak mogę wyjechać, kiedy on chce, żeby nie dręczył go artretyzm? Nie dotarłbym nawet do granicy.

— Więc wylecz ten artretyzm, tak jak leczyłeś nieszczęsnych żebraków. Nawiasem mówiąc, było to okrutne i bardzo egoistyczne z twojej strony. Jak ci biedacy mają nakarmić swoje dzieci bez ropiejącej rany, która w przechodniu wzbudza litość i skłania do rzucenia paru sou? Ci z nas, którzy byli świadomi twojej jednoosobowej mesjanistycznej misji, musieli chodzić twoim śladem i obcinać ofiarom nogi, żeby mogli jakoś zarobić na życie.

— Jak mogliście! — Calvin był przerażony.

Honore wybuchnął śmiechem.

— Żartowałem, biedny, amerykański prostaczku, który wszystko bierze dosłownie.

— Nie potrafię wyleczyć artretyzmu — przyznał Calvin, wracając do tematu, który najbardziej go interesował: własnej przyszłości.

— Dlaczego nie?

— Próbowałem zrozumieć, co powoduje choroby. Rany są łatwe, zakażenia też. Choroby zajęły mi całe tygodnie. Wydaje się, że wywołują je drobniutkie stworzonka, tak małe, że nie widać ich

pojedynczo, tylko en masse. Mogę je zniszczyć bez trudu i wyleczyć chorobę, a przynajmniej dać organizmowi szansę, żeby sam się wybronił. Ale nie wszystkie choroby są powodowane przez te małe bestie. Artretyzm całkiem mnie pokonał. Nie mam pojęcia, jaka jest jego przyczyna, a zatem nie potrafię go wyleczyć.

Honore pokręcił swoją wielką głową.

— Calvinie, masz wielki wrodzony talent, ale nie jesteś go godny. Kiedy mówię, że masz wyleczyć Napoleona, nie obchodzi mnie, czy usuniesz artretyzm. Nie artretyzm go dręczy, lecz ból powodowany artretyzmem. A ból likwidujesz przecież codziennie! Zlikwiduj go więc raz na zawsze, grzecznie podziękuj Napoleonowi za naukę i jak najszybciej wynieś się z Francji! Zakończ tę sprawę! Wracaj do dzieła swego życia. Coś ci powiem: zapłacę ci za rejs do Ameryki. Nie, więcej: popłynę z tobą, by studia nad tym prymitywnym, ale energicznym ludem dodać do mojej wielkiej skarbnicy wiedzy o ludzkości. Z twoim talentem i moim geniuszem… czy jest coś takiego, czego nie zdołamy osiągnąć?

— Nic! — oświadczył radośnie Calvin.

Był szczególnie zadowolony, ponieważ ledwie pięć minut temu uznał, że chce, by Honore towarzyszył mu do Ameryki. Przez niedostrzegalne gesty, pewne spojrzenia i znaki, których Honore nie mógł zauważyć, skłonił młodego pisarza, by go polubił, by podekscytowała go praca, jaką Calvin miał do wykonania, by tak mocno zapragnął uczestniczyć w tym dziele, że postanowił ruszyć z Calvinem. A co najlepsze, działał tak sprawnie, że Honore nie domyślał się nawet manipulacji.

Jednocześnie spodobał mu się pomysł uleczenia bólu Napoleona raz na zawsze. To miejsce w mózgu, gdzie ból się gnieździł, wciąż na niego czekało. Zamiast jednak podrażniać, powinien całkiem je wypalić. To wyleczy cesarza nie tylko z artretyzmu, ale też uwolni go od wszelkich innych cierpień, jakich mógłby doznawać w przyszłości.

I tak, przemyślawszy wszystko i powziąwszy decyzję, nocą Calvin przystąpił do działania. A rankiem, kiedy stanął przed cesarzem, od razu zrozumiał, że władca wie o wszystkim.

— Skaleczyłem się rano, ostrząc pióro — oznajmił Napoleon. — Zauważyłem to dopiero wtedy, kiedy zobaczyłem krew. Nie czułem żadnego bólu.

— To doskonale — odparł Calvin. — W końcu znalazłem sposób, by na zawsze zakończyć twoje artretyczne cierpienia. Wymagało to usunięcia wszelkiego bólu do końca twego żywota, ale trudno sobie wyobrazić, żebyś miał coś przeciw temu.

Napoleon odwrócił głowę.

— Midasowi trudno było sobie wyobrazić, że nie będzie chciał zmieniać w złoto wszystkiego, czego dotknie. Mogłem wykrwawić się

na śmierć, bo nie czułem bólu.

— Czyżbyś mnie karcił? Ofiarowałem ci dar, o jaki modlą się miliony: życie bez bólu. A ty mnie karcisz? Jesteś, panie, cesarzem. Wyznacz sługę, który dniem i nocą będzie uważał, żebyś nie wykrwawił się na śmierć.

— To permanentna zmiana? — spytał Napoleon.

— Nie umiem wyleczyć artretyzmu; choroba jest dla mnie zbyt subtelna. Ale ból mogę uśmierzyć i to uczyniłem. Uśmierzyłem go teraz i na zawsze. Jeśli źle postąpiłem, przywrócę ci ból najlepiej, jak potrafię. Nie będzie to przyjemna operacja, ale myślę, że uda się odzyskać równowagę na poziomie bliskim poprzedniego. Była niezbyt trwała, prawda? Miesiąc artretyzmu, potem tydzień bez niego, potem znów miesiąc…

— Robisz się bezczelny.

— Nie, sire. Po prostu lepiej mówię po francusku, więc moja naturalna bezczelność objawia się wyraźniej.

— A co mnie teraz powstrzyma przed wyrzuceniem cię z pałacu? Mogę kazać cię zabić. Nie jesteś mi już potrzebny.

— Nigdy nic cię nie powstrzymywało, sire. Ale nie zabijasz ludzi bez potrzeby. Co do wyrzucenia mnie… Po co ten kłopot? Jestem gotów do wyjazdu. Stęskniłem się za Ameryką. Mam tam rodzinę.

Napoleon pokiwał głową.

— Rozumiem. Postanowiłeś wracać i wtedy wyleczyłeś mój ból.

— Umiłowany władco, źle mnie osądzasz. Odkryłem, że potrafię cię wyleczyć, a następnie postanowiłem wyjechać.

— Mogę cię jeszcze wiele nauczyć.

— A ja chciałbym się nauczyć wielu rzeczy. Obawiam się jednak, że nie jestem dość mądry, by od ciebie czerpać wiedzę. Przez ostatnie tygodnie uczyłeś mnie i uczyłeś, a ja wciąż miałem wrażenie, że nie poznaję niczego nowego. Nie jestem tak dobrym uczniem, by opanować twoje lekcje. Po co miałbym zostawać?

Napoleon uśmiechnął się.

— Dobra robota. Naprawdę dobra. Gdybym nie był Napoleonem, przekonałbyś mnie bez trudu. Pewnie nawet zapłaciłbym za twoją podróż do Ameryki.

— Miałem nadzieję, że i tak to uczynisz, sire, z wdzięczności za życie bez bólu.

— Cesarzy nie stać na tak przyziemne emocje jak wdzięczność. Jeśli zapłacę ci za podróż, to nie dlatego że jestem wdzięczny, ale ponieważ uważam, że lepiej zrealizuję swoje cele, jeśli odjedziesz żywy, niż gdybyś, powiedzmy, pozostał żywy tutaj lub może pozostał tu i zginął, czy wreszcie, co jest najtrudniejsze, wyjechał martwy.

Calvin uśmiechnął się także. Rozumieli się doskonale: cesarz i młody Stwórca. Wykorzystali siebie nawzajem, teraz ze sobą skończyli

i odrzucą się nawzajem bez żalu — ale w dobrym stylu.

— Jeszcze dzisiaj wyjadę na wybrzeże, za twoim pozwoleniem, sire.

— Za pozwoleniem? Masz więcej niż pozwolenie! Służba spakowała już twoje rzeczy i z pewnością dostarczyła je na stację. — Napoleon w geście salutu musnął lok na czole. Z uśmiechem patrzył, jak Calvin wybiega z komnaty.

Calvin, amerykański Stwórca, i Honore Balzac, irytująco ambitny młody pisarz, wyjechali z kraju. Tego samego dnia. A ból ustał.

Muszę uważać przy kąpieli, mówił sobie Napoleon. Mogę się śmiertelnie poparzyć, nawet tego nie czując. Ktoś inny musi wejść do wanny przede mną. Chyba znam odpowiednią pokojówkę, która się nada. Trzeba ją najpierw wyszorować, żeby nie zabrudziła mi wody. Ciekawie będzie się przekonać, jak duża część rozkoszy kąpieli bierze się z lekkiego bólu wywołanego gorącą wodą. A czy ból jest też częścią rozkoszy seksualnej? Byłoby straszne, gdyby chłopak to także zmienił. Musiałbym go ścigać i w końcu zabić, gdyby odebrał mi tę rozrywkę.

* * *

Liczenie głosów w Hatrack River nie trwało długo — w piątek o dziewiątej wieczorem urzędnik z komisji wyborczej ogłosił wyraźne zwycięstwo Chybotliwego Kanoe, Harrisona Krwawej Ręki, w całym okręgu. Wielu ludzi piło przez cały dzień wyborów; teraz alkohol popłynął jak rzeka. Jako do stolicy okręgu, do Hatrack zjechało wielu farmerów z dziczy i małych wiosek, dla których miasto było najbliższą metropolią, mającą już prawie tysiąc mieszkańców. Do dziesiątej znalazło się tu dwa razy więcej ludzi. Kiedy nadeszły wieści z sąsiednich okręgów, w tym także zza rzeki, że Chybotliwy Kanoe tam również zwyciężył, wystrzeliły działa. Rozpuszczone języki prowadziły do licznych bójek, a te do sporego ruchu w areszcie.

Po Doggly przyszedł koło wpół do jedenastej i poprosił Alvina, by zechciał wyjść na słowo i spędzić noc w zajeździe — Horacy Guester za niego poręczył, więc gdyby przyrzekł, że nie będzie… i tak dalej, i tak dalej, ponieważ areszt jest potrzebny, by zamknąć pijanych zabijaków, po dziesięciu na celę. Alvin złożył obietnicę, a Horacy i Verily odprowadzili go przez boczne zaułki do zajazdu. W głównej sali ludzie pili i tańczyli, ale spokojniej niż w innych lokalach i na świeżym powietrzu, gdzie właściciele wozów z alkoholem robili doskonałe interesy. U Horacego, jak zwykle, zebrali się miejscowi, i to

ci bardziej stateczni. Mimo to Alvin nie pokazał się tam, żeby nie budzić plotek — zwłaszcza że w tłumie na pewno znajdowali się ludzie, którzy nie byli mu przyjaciółmi, a także tacy, którzy byli przyjaciółmi Makepeace'a. Nie wspominając nawet o takich, którzy chętnie by się zaprzyjaźnili z dowolną ilością złota, możliwą do zdobycia kradzieżą lub rozbojem. Alvin musiał wejść tylnymi schodami, a nawet tam schylał głowę, ukrywał twarz i nie odzywał się ani słowem.

W sypialni Horacego, gdzie mieli posłania Arthur Stuart i Measure, Alvin krążył dookoła, dotykał ścian, miękkiego łóżka, okna… Jakby widział to wszystko po raz pierwszy.

— Nawet uwięziony tutaj czuję się lepiej niż w celi — powiedział. — Mam nadzieję, że nigdy już tam nie wrócę.

— Nie wiem, jak wytrzymałeś tak długo — oświadczył Horacy. — Ja bym zwariował po tygodniu.

— A kto mówi, że Alvin nie zwariował? — zapytał Measure.

Alvin roześmiał się głośno, ale przyznał mu rację.

— Musiałem zwariować, nie pozwalając Verily'emu postąpić zgodnie z jego planem.

— Nie, nie — zaprotestował Verily. — Miałeś rację. Sam stanąłeś w swojej obronie.

— A gdybym nie odkrył, jak sprawić, żeby wszyscy usłyszeli głos salamandry? Od wczoraj się nad tym zastanawiam. Gdyby mi się nie udało? Oni wszyscy mówili tak, jakbym potrafił zrobić wszystko, jakbym umiał fruwać albo samą myślą dokonywać cudów na księżycu. Chciałbym tego. Czasami bym chciał. I tak jeszcze wszystko zależy od przysięgłych. Zgadza się, Verily?

Prawnik przyznał mu rację. Ale wszyscy wiedzieli, że raczej nie zostanie skazany — pod warunkiem że skalna płyta nadal leży w miejscu, które Hank Dowser wyznaczył na studnię. Prawdziwych szkód doznało Kryształowe Miasto, gdyż teraz trudniej będzie je zbudować — z powodu wszystkich plotek o tym, jak to Alvin uwodzi młode dziewczyny i starsze kobiety, jak przenika z nimi przez ściany. Nieważne, że w końcu okazało się to kłamstwem i bzdurą — zawsze znajdą się ludzie dość głupi, by powtarzać: „Nie ma dymu bez ognia”. Tymczasem przysłowie to powinno brzmieć: „Nie ma oszczerczych plotek bez złośliwych i łatwowiernych plotkarzy, nie dbających o dowody”.

Wycia i krzyki na ulicy, młodzi i starzy, zwykle pijani, pędzący konno na złamanie karku tam i z powrotem, dopóki szeryf Doggly czy ktoś z jego zastępców nie zdołał zatrzymać albo zastrzelić wierzchowca — wszystko to gwarantowało bezsenną noc. A w każdym razie bezsenną do późna. Dlatego nikt jeszcze nie spał, nawet Arthur Stuart, kiedy do głównej sali zajazdu weszło dwóch mężczyzn. Byli

zmęczeni i zakurzeni po podróży; podeszli do baru i stali tam z kubkami jabłecznika, aż Horacy zszedł na dół i rozpoznał ich na pierwszy rzut oka.

— Chodźcie szybko. On tu jest, na górze — szepnął i cała trójka wbiegła na schody.

— Armor… — Alvin po bratersku objął jednego z przybyszów. — Mike… — Mike Fink także zarobił uścisk. — W dobrą noc wracacie.

— W bardzo dobrą — odparł Fink. — Baliśmy się, że nie zdążymy. Plan był taki, żeby wyciągnąć cię z więzienia i powiesić przy okazji powyborczych zabaw. Dobrze, że szeryf to przewidział.

— Potrzebował miejsca dla pijaków i awanturników — wyjaśnił Alvin. — Nie sądzę, żeby domyślał się spisku.

— Jest tam dwudziestu chłopaków. Przynajmniej dwudziestu, wszyscy dobrze opłaceni i zapici. Tak dobrze opłaceni, mam nadzieję, że zapiją się całkiem, padną, zaczną rzygać i zasną, a rankiem wymkną się do domu, do Carthage.

— Wątpię — wtrącił Measure. — Widziałem już takie spiski przeciwko Alvinowi. Kiedyś ktoś prawie połamał mnie na kawałki.

Fink przyjrzał mu się uważnie.

— Nie byłeś wtedy taki wysoki — zauważył. — Wstyd mi za to, co ci wtedy zrobiłem. To najgorszy mój wyczyn.

— Nie umarłem — stwierdził Measure.

— Ale nie dlatego że się nie starałem.

Verily zdziwił się.

— Chcesz powiedzieć, Measure, że ten człowiek próbował cię zabić?

— Gubernator Harrison mu kazał. To było całe lata temu. Zanim się ożeniłem. Zanim Alvin ruszył do Hatrack River, żeby terminować u kowala. O ile dobrze pamiętam, Mike Fink też był wtedy ładniejszy.

— Ale nie w sercu — odparł Fink. — Nic do ciebie nie miałem, Measure. A kiedy Harrison zmusił mnie, żebym to zrobił, porzuciłem go. Nie chciałem z nim mieć nic wspólnego. To niczego nie naprawi, ale taka jest prawda: nie należę do ludzi, których tacy Harrisonowie mogą rozstawiać po kątach. Już nie. Gdybym uważał, że lubisz wyrównywać rachunki, nie uciekałbym, ale bym ci pozwolił. Tyle że nie jesteś taki.

— Jak już mówiłem, nic się nie stało. Tamtego dnia nauczyłem się paru rzeczy. Ty także. Nie wracajmy do tego. Teraz jesteś przyjacielem Alvina, a to znaczy, że i dla mnie jesteś przyjacielem, dopóki pozostaniesz lojalny i wierny.

Łzy błysnęły Finkowi w oczach.

— Sam Jezus nie mógłby być bardziej miłosierny, choć na to nie zasługuję.

Measure wyciągnął rękę. Mikę ujął ją i przytrzymał przez

sekundę. Porzucili wspomnienia i wrócili do spraw obecnych.

— Odkryliśmy to i owo — opowiadał Armor-of-God. — Cieszę się, że miałem przy sobie Mike'a. Nie to, żeby musiał kogoś pobić, ale niektórzy niezbyt dobrze przyjmowali pytania, jakie im zadawaliśmy.

— Wrzuciłem jednego do wodopoju. Nie trzymałem go pod wodą ani nic, więc to się chyba nie liczy.

— Nie — zaśmiał się Alvin. — To takie zwykłe zabawy.

— Za tym wszystkim stoją twoi starzy znajomi, Alvinie — podjął Armor-of-God. — Krucjata Praw Własności to praktycznie Philadelphia Thrower i paru urzędników, którzy otwierają listy i wysyłają odpowiedzi. Ale za Throwerem stoi kilku ludzi z pieniędzmi, a on stoi za innymi, którzy pieniędzy potrzebują.

— Na przykład kto? — spytał Horacy.

— Jego pierwszym, najbardziej lojalnym współpracownikiem jest człowiek nazwiskiem Cavil Planter, kiedyś właściciel farmy w Appalachee. Wciąż przechowuje pewien skarbczyk i pilnuje go jak złotego bulionu. — Armor-of-God zerknął na Arthura Stuarta.

Arthur skinął głową.

— Mówicie, że to ten biały człowiek, który zgwałcił moją mamę, żebym się urodził.

— Najpewniej — zgodził się Armor.

Alvin patrzył na Arthura Stuarta w zdumieniu.

— Skąd wiesz o takich sprawach?

— Słyszę wszystko. I niczego nie zapominam. Ludzie mówili o tym, kiedy byłem za mały, żeby coś zrozumieć. Ale zapamiętałem słowa i powtarzałem je sobie, kiedy byłem już starszy i rozumiałem.

— A niech to — burknął Horacy. — Skąd Peg i ja mieliśmy wiedzieć, że wszystko zapamięta?

— Nie zrobiliście nic złego — uspokoił go Verily. — Nie ma rady na talenty dziecka. Moi rodzice też nie potrafili przewidzieć, co zrobię, choć próbowali, Bóg mi świadkiem. Skoro talent Arthura Stuarta pozwolił mu poznać sprawy zbyt bolesne, to pewnie jego charakter był dość silny, by zwalczyć ból. Pozwolił mu dorastać w spokoju.

— To prawda, że jestem spokojny — zgodził się Arthur Stuart. — Ale nigdy nie nazwę go tatą. Skrzywdził mamę i chciał ze mnie zrobić niewolnika, a tato tak nie robi. — Obejrzał się na Horacego Guestera. — Moja czarna mama umarła, żeby mnie tu przynieść, do prawdziwego taty i mamy, którzy ją zastąpili po śmierci.

Horacy poklepał go po ręku. Alvin wiedział, że nie lubił, kiedy chłopiec nazywał go tatą, ale najwyraźniej już się z tym pogodził. Może z powodu tego, co Arthur właśnie powiedział, a może dlatego że Alvin zabrał chłopca na rok i Horacy uświadomił sobie, jak puste jest jego życie bez przybranego syna.

— A zatem ów Cavil Planter jest jednym z bogatych ludzi

wspierających grupę Throwera — rzekł Verily. — Kto jeszcze?

— Wiele nazwisk. Poznaliśmy tylko kilka, ale chodzi o szanowanych mieszkańców Carthage. Wszyscy z frakcji proniewolniczej, albo otwarcie, albo w ukryciu — odparł Armor. — I jestem prawie pewien, gdzie ich pieniądze trafiają.

— Wiemy, że opłacili z nich Daniela Webstera.

— Ale o wiele więcej poszło na kampanię wyborczą Harrisona Białego Mordercy.

Umilkli. W ciszy tym lepiej słyszeli strzały na ulicy, wiwaty, stuk końskich kopyt, wycia i wrzaski.

— Chybotliwy Kanoe zdobył właśnie kolejny okręg — poinformował Horacy.

— Może dalej na wschodzie nie pójdzie mu tak dobrze — westchnął Alvin.

— Kto wie? — wtrącił Measure. — Mogę ci obiecać, że w Vigor Kościele nie dostanie ani jednego głosu, ale to nie wystarczy.

— Teraz nic już nie poradzimy. Na szczęście prezydenci nie rządzą wiecznie.

— Myślę, że jedno jest w tym wszystkim ważne — wtrącił Verily. — Ci sami ludzie, których kandydat wygrywa właśnie wybory, chcą też zabić Alvina.

— Ja bym pomyślał o jakiejś kryjówce — poradził Measure.

— Już się ukrywałem — oświadczył Alvin. — Dłużej niż można wytrzymać.

— Siedzenie w więzieniu, kiedy wszyscy dokładnie wiedzą, gdzie jesteś, to żadne ukrywanie — przypomniał mu Mike Fink. — Musisz być tam, gdzie nie spróbują cię szukać, a gdyby nawet znaleźli, nic ci nie mogą zrobić.

— Pierwsze, co mi przychodzi do głowy, to grób. Ale jeszcze się tam nie wybieram.

Ktoś cicho zastukał do drzwi. Horacy uchylił je lekko.

— Kto tam? — szepnął.

— Peggy.

Horacy otworzył drzwi i Peggy weszła do środka. Rozejrzała się i zachichotała cicho.

— Planujecie tu zmianę losów świata?

Zbyt wielu z nich pamiętało, co się zdarzyło, kiedy ostatni raz zebrali się w tak licznym gronie, żeby uwierzyć w jej żartobliwy ton. Wesoło powitali ją tylko Armor i Mike Fink, których tamtego wieczoru nie było w celi Alvina. Szybko streścili, co się działo do tej pory. Poinformowali też, że zwycięstwo wyborcze Harrisona uważane jest za pewne wzdłuż całej trasy od Carthage City do Hatrack.

— Wiecie, co jest w tym nieuczciwe? — powiedział nagle Arthur Stuart. — Że Harrison Krwawa Ręka chodzi sobie wolny i ocieka

krwią, a i tak robią z niego prezydenta. Za to Measure musi się kryć. Inni dobrzy ludzie z powodu tej klątwy boją się wyjechać z Vigor Kościoła. Wychodzi na to, że dobrzy wciąż są karani, a ten najgorszy wyszedł na swoje.

— Też tak myślę — zgodził się Alvin. — Ale to nie moja rzecz.

— Może nie, a może tak — odparł Arthur. Spojrzeli na niego zdziwieni.

— Dlaczego to sprawa Alvina? — spytał Verily.

— Wódz Czerwonych przecież nie umarł. Ten Czerwony Prorok, który rzucił klątwę. A jeśli rzucił, może ją cofnąć.

— Nikt już nie rozmawia z dzikimi Czerwonymi — przypomniał Mike Fink. — Pokryli rzekę mgłą i nikt nie może przepłynąć. Skończył się nawet handel z Nowym Orleanem, a to fatalnie.

— Może i nikt nie zdoła przepłynąć rzeki. Nikt prócz Alvina.

Alvin pokręcił głową.

— Sam nie wiem — mruknął. — Chyba nie. Poza tym nie wiadomo, czy Tenska-Tawa patrzy na świat tak samo jak my. Może powiedzieć: Biali w Ameryce ściągają na siebie katastrofę, wybierając na przywódcę Harrisona Białego Mordercę. Ale ludzie z Vigor Kościoła zostaną ocaleni z tej katastrofy, ponieważ uszanowali klątwę, którą na nich rzuciłem. Czyli powie, że klątwa jest właściwie błogosławieństwem.

— Jeśli tak powie — rzekł Measure — to nie jest dobrym człowiekiem, jak sądziłem.

— On widzi sprawy inaczej niż my; to wszystko. Chciałem tylko przypomnieć, że nie wiecie, co powie.

— Ale ty także nie wiesz — zauważył Armor-of-God.

— Coś mi przyszło do głowy, Alvinie — powiedział Measure. — Panna Larner mówiła mi, jak to razem z Arthurem Stuartem zauważyli tu wielu ludzi z silnymi talentami. Może ściągnęli do Hatrack, bo ty się tu urodziłeś, a może dlatego że tutaj stworzyłeś złoty pług. Są jeszcze ci, których uczyłeś w Vigor; może nie mają takich silnych talentów, ale wiedzą, czego się nauczyli, wiedzą, jak żyć. Myślę sobie, że może ta klątwa zmusiła nas do życia razem; musieliśmy sobie radzić, choćby nie wiem co, musieliśmy żyć w pokoju. Gdyby cofnąć klątwę, niektórzy z Vigor mogliby przyjechać tutaj i uczyć tych, co mają talenty. A przy okazji uczyć, jak żyć w harmonii.

— Albo ludzie stąd mogą pojechać do nas. Nawet jeśli klątwa pozostanie.

Measure pokręcił głową.

— W Vigor Kościele jest setka, może więcej, takich, którzy już próbują podążać drogą Stwórców. Tutaj nikt o niej nie wie. Jeśli powiesz ludziom z Vigor: „Jedźcie do Hatrack”, przyjadą. A jeśli powiesz tutejszym: „Jedźcie do Vigor”, to cię wyśmieją.

— Ale mgła wciąż zasłania rzekę — przypomniał Mike Fink. — I klątwa ciągle działa.

— Jeśli już o to chodzi — wtrąciła Peggy Larner — to jest chyba inny sposób. Można porozmawiać z Tenska-Tawą, nie przepływając rzeki.

— Masz gołębia, który zna drogę do wigwamu Czerwonego Proroka? — spytał drwiąco Horacy.

— Znam tkaczkę, w której chacie są drzwi otwierające się na zachód. I znam człowieka o imieniu Isaac, który przez nie przechodzi.

Spojrzała na Alvina, a ten skinął głową.

— Nie wiem, o czym mówicie — wyznał Measure. — Ale jeśli sądzisz, że możesz porozmawiać z Tenska-Tawą, mam nadzieję, że to zrobisz. Naprawdę mam nadzieję.

— Zrobię to dla ciebie — obiecał Alvin. — Dla mojej rodziny i przyjaciół w Vigor Kościele. Poproszę, chociaż boję się, że odpowiedź będzie gorsza niż „nie".

— Co może być gorsze niż „nie"? — zdziwił się Arthur Stuart.

— Mogę stracić przyjaciela. Ale kiedy zważę jego przyjaźń i przyjaźń wszystkich z Vigor Kościoła, i nadzieję, że pomogą innym zostać Stwórcami i zbudować Kryształowe Miasto… Widzę, że nie mam wyboru. Co prawda byłem dzieckiem, kiedy odwiedziłem dom tej tkaczki. — Zamilkł na chwilę. — Panna Larner zna drogę i jeśli zechce mnie zaprowadzić…

Spojrzał na nią wyczekująco. Po chwili wahania kiwnęła głową.

— Tak czy inaczej — stwierdził Verily — odjedziesz stąd, jak tylko skończy się proces.

— Wygram czy przegram — potwierdził Alvin.

— A gdyby kto próbował go zatrzymać albo skrzywdzić, najpierw będzie miał ze mną do czynienia — oznajmił Mike Fink. — Idę z tobą, Alvinie, dokądkolwiek pójdziesz. Jeżeli ci ludzie mają w kieszeni prezydenta, to są bardzo niebezpieczni. Ktoś musi ci pilnować pleców.

— Szkoda, że nie jestem młodszy — westchnął Armor-of-God. — Szkoda…

— Nie chcę wyruszać sam — zapewnił Alvin. — Ale tutaj czeka was praca, zwłaszcza jeśli zniknie klątwa. A ty jesteś żonaty, masz obowiązki. Tylko samotni mogą wędrować tak, jak ja chcę wędrować. Cokolwiek spotka mnie w domu tkaczki, cokolwiek się stanie, kiedy i jeśli porozmawiam z Tenska-Tawa, i tak muszę się dowiedzieć, jak zbudować Kryształowe Miasto.

— Może Tenska-Tawa ci powie? — podpowiedział Measure.

— Jeżeli wie, mógł mi to powiedzieć już dawno, kiedy ty i ja znaliśmy go jako chłopcy.

— Ja nie jestem żonaty — oznajmił Arthur Stuart. — Idę z tobą.

— Chyba tak — zgodził się Alvin. — I Mike Fink. Chętnie

wyruszę w twoim towarzystwie.

— Ja też nie jestem żonaty — zauważył Verily Cooper.

Alvin spojrzał na niego w zamyśleniu.

— Verily, jesteś mi drogim przyjacielem, ale jesteś prawnikiem, nie traperem, wędrownym kupcem ani rzecznym szczurem.

— Tym bardziej mnie potrzebujesz. Gdziekolwiek trafisz, będą prawa i sądy, szeryfi, więzienia i pozwy. Czasem przyda ci się Mike Fink. A czasem ja. Nie możesz mnie zostawić, Alvinie. Przybyłem z bardzo daleka, żeby się od ciebie uczyć.

— Measure umie już wszystko to, co ja. Może cię uczyć nie gorzej ode mnie, a i ty możesz mu pomóc.

Verily spuścił głowę.

— Measure uczył się od ciebie i ty od niego, ponieważ jesteście braćmi. Od dawna żyjecie razem. Naprawdę nie chcę nikogo urazić, ale powiem, że wolałbym przez jakiś czas pobierać nauki bezpośrednio od ciebie, Alvinie. I niczyich zdolności tu nie umniejszam.

— Nie uraziłeś mnie — uspokoił go Measure. — Sam bym to powiedział, gdybyś mnie nie uprzedził.

— Zatem ci trzej ruszą ze mną w drogę — podsumował Alvin. — I panna Larner aż do domu tkaczki Bekki.

— Ja też pojadę — wtrącił Armor-of-God. — Nie całą drogę, ale do tkaczki. Żeby zanieść do domu wiadomość o tym, co powie Tenska-Tawa. Wybaczysz mi moją arogancję, ale chciałbym być tym, który przyniesie do Vigor wieści o uwolnieniu spod klątwy.

— A jeśli Tenska-Tawa odmówi?

— Też muszą się tego dowiedzieć. Lepiej ode mnie.

— Zatem plan jest gotowy.

— Oprócz jednego szczegółu: jak wydostać się żywym z Hatrack River, spośród tylu bandytów i zabójców — przypomniał Verily.

— Ja i Armor już o tym myśleliśmy — uśmiechnął się Mike Fink. — A jeśli szczęście będzie nam sprzyjać, nikogo nie musimy przy tym stłuc na miazgę.

Mówił to z taką radością, że zaczęli się zastanawiać, czy brak dobrej bójki naprawdę uważa za szczęście. Zresztą niejeden z obecnych sam by z przyjemnością komuś przyłożył, gdyby przyszło co do czego.

Horacy miał już sprowadzić Finka i Armora-of-God na dół, żeby mogli się odświeżyć i przespać po podróży — na strychu, czystym i wygodnym, którego jednak nigdy nie wynajmował właśnie na wypadek takich nagłych gości — kiedy Measure zawołał:

— Mike!

Fink obejrzał się.

— Zanim pójdziesz spać, muszę ci coś opowiedzieć.

Fink zdziwił się.

— Klątwa obejmuje też Measure'a — wyjaśnił Armor-of-God. — Musi ci opowiedzieć, inaczej pójdzie do łóżka z rękami we krwi.

— Niewiele brakowało, a sam byłbym przeklęty — stwierdził Fink. — Ale ty? Jak to się stało?

— Sam wziął na siebie klątwę — odezwała się Peggy. — Co nie znaczy, że nie dotyczą go te same reguły.

— Znam tę historię.

— Więc łatwiej będzie mi ją opowiedzieć — stwierdził Measure. — Ale opowiedzieć muszę.

— Wrócę tu, kiedy już się wysiusiam i coś zjem — obiecał Fink. — Za pani przeproszeniem, psze pani.

Wyszedł. Alvin i Peggy patrzeli na siebie, i znowu Verily Cooper, Measure i Arthur Stuart im się przyglądali.

— Czy wy dwoje nie macie już dość odgrywania scen przy ludziach?

— Nie ma żadnej sceny do odgrywania — odparła Peggy.

— Szkoda — stwierdził Alvin. — Myślałem, że pora na taką, w której ja mówię do ciebie: „Przepraszam", a ty do mnie…

— A ja mówię: „Nie masz za co przepraszać".

— A ja na to: „Mam", a ty: „Nie masz", „Mam", „Nie masz", „Mam", i tak w kółko, aż wybuchamy śmiechem.

I oboje wybuchnęli śmiechem.

— Miałem rację, nie musiałaś zeznawać — przypomniał Alvin.

Peggy spoważniała natychmiast.

— Na miłość boską, wysłuchaj mnie, Margaret! Ty także miałaś rację, jeśli się nad tym zastanowić. Nie powinieniem ci rozkazywać, mówić, co możesz, a czego nie możesz robić. Nie ja powinienem decydować, czy masz ponieść ofiarę i czy sprawa jest tego warta. Ty decydujesz o sobie, a ja o sobie. Zamiast tobą rządzić, powinienem tylko poprosić, żebyś się wstrzymała i zobaczyła, czy poradzę sobie bez tego. A ty byś się zgodziła, prawda?

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Prawdopodobnie nie — odparła. — Ale powinnam się zgodzić.

— Może więc nie jesteśmy aż tacy uparci.

— Dzień później… nie, dwa dni później… rzeczywiście nie jesteśmy.

— To wystarczy, jeśli tylko pozostaniemy w przyjaźni, dopóki nie zmądrzejemy.

— Nie nadajesz się jeszcze do życia w małżeństwie, Alvinie — oświadczyła Peggy. — Przed tobą wciąż wiele mil do przejścia, a nie będę ci potrzebna, póki sam nie będziesz gotów do budowy Kryształowego Miasta. Nie mam zamiaru siedzieć w domu i tęsknić za tobą; nie chcę iść za tobą, kiedy potrzebujesz takich towarzyszy, jak ci

mężczyźni. Zgłoś się do mnie, kiedy zakończysz swoje wędrówki. Zobaczymy, czy wciąż jesteśmy sobie potrzebni.

— A więc przyznajesz, że potrzebujemy siebie teraz?

— Nie dyskutuję z tobą, Alvinie. W niczym nie przyznam ci racji, a drobne sprzeczności nie zostaną wyjaśnione ani naprawione.

— Ci ludzie są moimi świadkami, Margaret. Zawsze będę cię kochał. Rodzina, jaką razem stworzymy, będzie naszym najwspanialszym dziełem, lepszym niż złoty pług i Kryształowe Miasto.

— Nie oszukuj sam siebie, Alvinie. Kryształowe Miasto będzie stało zawsze, jeśli tylko dobrze je zbudujesz. A nasza rodzina zniknie po kilku pokoleniach.

— A więc przyznajesz, że założymy rodzinę.

Uśmiechnęła się.

— Powinieneś kandydować w wyborach. Przegrałbyś, ale debaty byłyby zabawne.

Szła już do drzwi, kiedy otworzyły się nagle. Do pokoju wszedł blady szeryf Po Doggly. Rozejrzał się i dostrzegł Alvina.

— Jak możesz tak sobie siedzieć, bez sztuki broni w całym pokoju?

— Nie napadłem na nich ani oni na mnie — odparł Alvin. — Nie pomyśleliśmy, żeby przynieść strzelby.

— Włamali się do aresztu. Jakiś człowiek, podający się za ojca Amy Sump, podburzył tłum. Trzydziestu ludzi wyłamało drzwi do sądu, obezwładniło Billy'ego Huntera i odebrało mu klucze. Wyciągnęli z celi wszystkich więźniów i zaczęli ich tłuc, żeby się przyznali, który jest tobą. Wróciłem, zanim kogoś zabili, i przepędziłem ich, ale nocą nie odjadą daleko od miasta. Ktoś im w końcu zdradzi, gdzie jesteś. Dlatego śpijcie dzisiaj z bronią.

— Proszę się o to nie martwić — uspokoiła go Peggy Larner.

— Dzisiaj tu nie przyjdą.

Po spojrzał na nią, potem na Alvina.

— Jesteście pewni?

— Nie warto nawet wystawiać strażników. Zwróciliby tylko uwagę na zajazd. Ludzie wynajęci, żeby zabić Alvina, to tchórze. Zanim spróbują, muszą się najpierw upić. Prześpią do rana.

— A potem odjadą?

— Wystawcie straże na czas procesu. Potem, jeśli Alvina uniewinnią, wyjedzie z Hatrack i wasze koszmary się skończą.

— Włamali się do aresztu — powtórzył Po Doggly. — Nie wiem, kim są twoi wrogowie, Alvinie, ale na twoim miejscu pozbyłbym się tego pługa.

— Tu nie chodzi o pług — stwierdził Alvin. — Chociaż niektórzy z nich pewnie w to wierzą. Ale z pługiem czy nie, ci, co chcą mojej

śmierci, i tak będą nasyłać na mnie takich ludzi.

— Naprawdę nie chcesz mojej ochrony? — upewnił się szeryf.

Alvin i Peggy Larner wspólnie uznali, że nie. Po pożegnał się i ruszył do drzwi, ale Peggy wzięła go pod rękę.

— Odprowadźcie mnie na dół, jeśli można prosić, do pokoju, który dzielę z moją nową przyjaciółką Ramoną.

I wyszła, nie oglądając się na Alvina. Gdy tylko drzwi się zamknęły, Measure parsknął śmiechem.

— Alvinie, czy ona chce cię wypróbować? Upewnić się, że nigdy nie podniesiesz na nią ręki, choćby nie wiem jak cię prowokowała?

— Mam przeczucie, że nie widzieliśmy jeszcze prawdziwej prowokacji — westchnął Alvin.

Ale uśmiechał się przy tym i wszyscy odnieśli wrażenie, że podoba mu się pomysł stoczenia czasem walki z panną Larner — walki na słowa, oczywiście, na spojrzenia, mrugnięcia i złośliwe uśmieszki.

Po wizycie Mike'a Finka zgasili świece i pokładli się do łóżek.

— Zastanawiam się, co chcieli ze mną zrobić — mruknął jeszcze Alvin.

Nikt nie spytał, o kim mówi.

— Chcieli cię zabić — odpowiedział Measure. — Czy to ważne, jakiego sposobu by użyli? Powieszenie. Spalenie żywcem. Tuzin kul z muszkietu. Naprawdę chcesz wiedzieć, jak miałeś zginąć?

— Chciałbym przyzwoicie wyglądać jako zwłoki, żeby można było otworzyć trumnę i żeby moje dzieci mogły się ze mną pożegnać.

— Coś ci się śni. Bo w tej chwili żadna żona ani dzieci nie mogą na ciebie patrzeć. Chociaż, moim zdaniem, niektórzy chętnie by cię pożegnali.

— Przypuszczam, że chcieli mnie powiesić — uznał Alvin. — Jeśli kiedyś zobaczycie, że mnie wieszają, nie narażajcie życia, by mnie ratować. Wróćcie tylko, kiedy już skończą, i mnie odetnijcie.

— Czyli nie obawiasz się liny? — zapytał Measure.

— Ani utonięcia czy uduszenia. Ani upadku; potrafię nastawić złamania i zmiękczyć pod sobą kamienie. Co innego ogień. Ogień, ścięcie głowy, zbyt wiele kul… To by mnie mogło zabić. Gdyby na coś takiego się zanosiło, chętnie przyjmę pomoc.

— Postaram się nie zapomnieć — obiecał Measure.

* * *

W poniedziałek rano ludzie zebrali się za kuźnią około dziesiątej. Ale od świtu pilnowali okolicy uzbrojeni po zęby zastępcy szeryfa.

Sędzia ustawił przysięgłych tak, żeby widzieli wszystko nie gorzej niż Marty Laws, Verily Cooper, Alvin Smith, Makepeace Smith i Hank Dowser.

— Otwieram rozprawę — oznajmił głośno. — A teraz, panie Dowser, proszę wskazać nam miejsce, które pan wyznaczył.

— Skąd mamy wiedzieć, że wskaże to samo miejsce? — zapytał Verily Cooper.

— Ponieważ odnajdę je z pomocą różdżki — wyjaśnił Hank Dowser. — To samo miejsce będzie najlepsze i teraz.

Wtedy odezwał się Alvin:

— Tutaj wszędzie jest woda. Nie da się wskazać takiego punktu, w którym nie trafi się na wodę. Trzeba tylko głęboko kopać.

Hank Dowser odwrócił się gniewnie.

— A nie mówiłem? Nie ma szacunku dla żadnego talentu oprócz własnego! Myślisz, że nie wiem, że tu wszędzie jest woda? Ale pytanie brzmi: czy jest czysta? Czy jest blisko powierzchni? I tego szukam: niewiele kopania, czysta woda. Używając wierzbowej i hikorowej różdżki, powiem, że woda jest najczyściejsza tutaj, a najbliższa powierzchni tutaj, a zatem wskazuję to miejsce, jak to zrobiłem ponad rok temu. Powiedz, Alvinie czeladniku, jeśliś taki sprytny, czy to jest, czy nie jest dokładnie to samo miejsce?

— Jest — przyznał trochę speszony Alvin. — Nie chciałem sugerować, że nie jesteście prawdziwym różdżkarzem…

— Ale nie chciałeś też nie sugerować, co?

— Przykro mi. Woda jest tutaj najczyściejsza i najbliższa powierzchni, i rzeczywiście znaleźliście dwa razy dokładnie ten sam punkt.

— Po tej niezwykłej w sądzie wymianie zdań — przerwał im sędzia — odpowiedniej jednak dla tej niezwykłej sali sądowej, zgadzacie się, że jest to ten sam punkt, gdzie Alvin, jak twierdzi, wykopał pierwszą studnię i znalazł tylko litą skałę. Makepeace zaś uważa, że nie było tam skały, natomiast był ukryty skarb, który Alvin ukradł i przetopił dla własnej korzyści, opowiadając przy tym, jak to zmienił żelazo w złoto.

— Najpewniej schował tu pod ziemią moje żelazo! — krzyknął Makepeace.

Sędzia westchnął ciężko.

— Proszę cię, Makepeace, nie zmuszaj mnie, żebym znów odesłał cię do celi.

— Przepraszam — wymamrotał Makepeace.

Sędzia skinął na grupę robotników, których wezwał na rozprawę. Za pieniądze z budżetu okręgu i we czwórkę powinni szybko wykazać, kto ma rację w sporze.

Kopali i kopali; ziemia wylatywała na boki. Ale była to sucha

ziemia, odrobinę wilgotna po zeszłotygodniowym deszczu, ale bez śladu warstwy wodonośnej.

I nagle… brzdęk!

— Kufer ze skarbem! — wrzasnął Makepeace.

Po chwili skrobania i drapania rozległ się okrzyk jednego z robotników:

— Lity kamień, Wysoki Sądzie! Daleko na boki! I to nie jakiś głaz, ale chyba skalna płyta!

Hank Dowser poczerwieniał. Przecisnął się do otworu i zsunął w dół. Własną chusteczką zmiótł ziemię z kamienia i długo przyglądał się z uwagą. Potem wstał.

— Wysoki Sądzie, proszę pana Smitha o wybaczenie równie uprzejmie, mam nadzieję, jak on mnie prosił przed chwilą. Nie tylko mamy tu skałę macierzystą, której nie dostrzegłem, gdyż nigdy jeszcze nie spotkałem się z taką warstwą wody pod kamieniem jak tutaj. Widzę tu również stare zadrapania na kamieniu, co dowodzi, że terminator rzeczywiście kopał w tym miejscu, tak jak powiedział.

— To jeszcze nie dowód, że przy okazji nie znalazł złota! — krzyknął Makepeace.

— Ostatnie wystąpienia obrony i oskarżenia — poprosił sędzia.

— W każdym szczególe, jaki mogliśmy sprawdzić — zaczął Verily Cooper — Alvin Smith okazał się człowiekiem prawdomównym i godnym zaufania. Wszystkie zarzuty, jakie był w stanie przedstawić prokurator okręgowy, to nie udowodnione i niemożliwe do udowodnienia spekulacje człowieka, którego zasadniczym motywem wydaje się chęć zdobycia złota dla siebie. Nie ma świadków, prócz samego Alvina, którzy by zeznali, dlaczego złoto ma kształt pługa albo dlaczego pług zrobiony jest ze złota. Mamy jednak ośmiu świadków, nie wspominając Wysokiego Sądu, mnie i mojego szanownego kolegi, nie wspominając o samym Alvinie, którzy pod przysięgą oświadczyli, że pług nie tylko jest złoty, ale żywy. Jakie prawo własności może przysługiwać Makepeace'owi Smithowi do obiektu, który wyraźnie należy sam do siebie i podróżuje w towarzystwie Alvina Smitha jedynie dla własnego bezpieczeństwa? Wysoki Sądzie, to coś więcej niż uzasadnione wątpliwości; to pewność, że mój klient jest uczciwym człowiekiem, który nie popełnił żadnego przestępstwa. I że pług powinien przy nim pozostać.

Przyszła kolej na Marty'ego Lawsa. Wyglądał, jakby na śniadanie pił kwaśne mleko.

— Wysłuchaliście świadków, widzieliście dowody. Jesteście mądrymi ludźmi i możecie powziąć decyzję bez mojej pomocy. Niech Bóg wspiera was przy naradzie.

— Taka jest twoja mowa?! — zawołał Makepeace. — Tak reprezentujesz sprawiedliwość w tym okręgu?! W następnych

wyborach będę głosował na twojego przeciwnika, Marty! Przysięgam, że to jeszcze nie koniec!

— Szeryfie, zechce pan znów aresztować pana Makepeace'a Smitha, tym razem na trzy dni, za lekceważenie sądu. Rozważę też zarzut próby ingerencji w działania wymiaru sprawiedliwości poprzez rzucanie gróźb urzędnikom sądowym w celu wpływania na wynik rozprawy.

— Wszyscy jesteście przeciwko mnie! To spisek! Co on takiego zrobił, panie sędzio? Przekupił pana? Obiecał podzielić się złotem?

— Szybciej, szeryfie — poprosił sędzia. — Zanim się na niego rozgniewam.

Kiedy krzyki Makepeace'a ucichły i rozprawa mogła toczyć się dalej, sędzia rzekł do przysięgłych:

— Czy powinniśmy wrócić do sądu, gdzie możecie obradować godzinami? Czy wystarczy, że się cofniemy, a załatwicie to na miejscu?

Przewodniczący szepnął coś do pozostałych. Odpowiadali mu kolejno, także szeptem.

— Werdykt jest jednogłośny, Wysoki Sądzie.

— Jak brzmi werdykt w sprawie… i tak dalej, i tak dalej?

— Niewinny zarzucanych mu czynów — ogłosił przewodniczący.

— No to skończyliśmy. Dziękuję obronie i oskarżeniu za pracę w tej trudnej sprawie. Co do przysięgłych, muszę pochwalić cały skład za to, że przejrzeli przez mętną wodę i dotarli do prawdy. Dobrzy obywatele, co do jednego. Kończę rozprawę do czasu, kiedy znowu jakiś patentowany dureń zechce oskarżyć niewinnego człowieka. Tak przewiduję. — Sędzia rozejrzał się dookoła. Ludzie wciąż nie ruszali się z miejsca. — Alvinie, jesteś wolny — powiedział. — Wracajmy wszyscy do domów.

Oczywiście, nie wszyscy wrócili; ani też, ściśle mówiąc, Alvin nie był wolny. W tej chwili, otoczony ludźmi, z kilkunastoma zastępcami szeryfa na straży, był w miarę bezpieczny. Ale gdy ściskał ciężki worek, czuł niemal pożądanie ludzi skierowane ku pługowi, ku ciepłemu, drżącemu złotu.

Nie myślał o tym jednak. Patrzył na Margaret Larner obejmującą w talii młodą Ramonę. Ktoś do niego mówił — Verily Cooper, uświadomił sobie; chyba mu gratulował — ale Verily zrozumie. Alvin położył mu dłoń na ramieniu, by pokazać, że wie i że uważa go za przyjaciela, chociaż teraz musi go opuścić. I ruszył w stronę Margaret i Ramony.

W ostatniej chwili ogarnęła go nieśmiałość, i choć przez cały czas patrzył na Margaret, zwrócił się do dziewczyny.

— Panno Ramono, przyjeżdżając tutaj, zachowała się pani bardzo dzielnie. I uczciwie.

Ramona rozpromieniła się; była jednak trochę zmartwiona i zdenerwowana.

— Wydaje mi się, że cała ta sprawa z Amy to moja wina. To mnie opowiadała te historie o panu, a ja wątpiłam, więc ona upierała się coraz bardziej. W końcu zaczęłam wierzyć, że to prawda. Powiedziałam rodzicom i zaczęły się plotki. Ale potem poszła z Thatchem pod namiot i wróciła z dzieciakiem, a cały czas paplała, że pan jej to zrobił. No więc pomyślałam, że mogę wszystko naprawić. I w końcu nawet nie zeznawałam!

— Ale powiedziała pani moim przyjaciołom. I teraz ludzie, na których mi zależy, znają prawdę. A przy tym nie zraniła pani swojej przyjaciółki.

Mówiąc to, Alvin nie mógł się pozbyć pełnej goryczy myśli, że zawsze znajdzie się ktoś, kto uwierzy w oskarżenia Amy; był też pewien, że Amy nigdy nie zrezygnuje ze swojej wersji. Wciąż będzie powtarzać o nim kłamstwa, a niektórzy wezmą je za dobrą monetę i Alvin będzie uważany za oszusta, choćby żył nie wiadomo jak cnotliwie. Ale mleko już się rozlało.

Ramona pokręciła głową.

— Nie wydaje mi się, żeby jeszcze była moją przyjaciółką.

— Ale pani jest jej przyjaciółką, czy jej się to podoba, czy nie. Przyjaciółką tak wielką, że wolała pani raczej ją zranić, niż pozwolić jej zranić kogoś innego. A to już coś, moim zdaniem.

Podeszli do nich Mike Fink i Armor-of-God.

— Zaśpiewaj nam tę piosenkę, którą śpiewałeś w więzieniu! Natychmiast inni przyłączyli się do próśb — okazja wymagała uczczenia.

— Jeśli Alvin nie zaśpiewa, to Arthur Stuart też ją zna! — zawołał ktoś w tłumie.

Po chwili Arthur Stuart szarpnął go za rękaw, więc Alvin zaczął pełnym głosem. Większa część ławy przysięgłych zdążyła jeszcze usłyszeć ostatnią zwrotkę.

Dowodów wszelkich było brak,
Przysięgli się sprawili.
Jutro wyruszam znów na szlak.
Huragan dmuchnie mi po chwili,
Zaśpiewam głośno tak:
Nad głową niebo miast gontów…

Ludzie śmiali się i klaskali. Nawet Peggy Larner się uśmiechnęła, a kiedy Alvin na nią spojrzał, zrozumiał, że nadeszła właściwa chwila. Teraz albo nigdy.

— Jest jeszcze jedna zwrotka, której jeszcze nikomu nie

śpiewałem, ale zaśpiewam teraz — powiedział.

Wszyscy przycichli.

W świat więc wyruszam jutro rano
I poznam obcą ziemię,
Ziemię daleką i nieznaną.
Aż zapuścimy korzenie,
Ja z moją ukochaną.

Spojrzał na Margaret znacząco. Wszyscy krzyczeli i klaskali.

— Kocham cię, Margaret Larner — powiedział. — Prosiłem cię już kiedyś, ale powtórzę. Mamy razem wyruszyć w drogę. Niech to będzie nasza podróż poślubna. Pozwól mi zostać twoim mężem, Margaret. Wszystko, co we mnie dobre, należy do ciebie, jeśli tylko mnie zechcesz.

Była wyraźnie zakłopotana.

— Zawstydzasz mnie, Alvinie — szepnęła.

Alvin pochylił się i szepnął jej do ucha:

— Wiem, że kiedy już opuścimy dom tkaczki, czeka nas inna praca. Wiem, że czekają nas długie wędrówki osobno.

Ujęła dłońmi jego twarz.

— Nie wiesz, co cię czeka w drodze. Jaką kobietę możesz tam spotkać i pokochać bardziej niż mnie.

Alvin poczuł lęk. Czy coś takiego zobaczyła swoim spojrzeniem żagwi? Czy tylko martwiła się, jak każda kobieta? Ale przecież o jego przyszłość chodzi. Nawet jeśli Margaret dostrzegła możliwość, że on pokocha inną, to przecież nie znaczy, że Alvin musi do tego dopuścić.

Objął ją i przyciągnął do siebie.

— Widzisz w przyszłości rzeczy, których ja nie widzę — powiedział cicho. — Ale proszę cię teraz jak zwyczajny mężczyzna, a ty mi odpowiedz jak zwyczajna kobieta, która zna tylko przeszłość i teraźniejszość. Naszej przyszłości niech strzeże moje ślubowanie.

Chciała jeszcze protestować, ale pocałował ją lekko w usta.

— Jeśli zostaniesz moją żoną, to potrafię znieść wszystko, co niesie przyszłość; z całych sił będę się starał, żebyś i ty to zniosła. Sędzia jest tutaj. Pozwól mi zacząć z tobą moje nowe życie na wolności.

Przez chwilę oczy miała smutne i wilgotne, jak gdyby w jego przyszłości zobaczyła jakiś straszny ból i cierpienie. A może w swojej własnej?

Potem otrząsnęła się, jakby to był tylko cień chmury sunącej po niebie, a teraz wróciło słońce. Albo jakby postanowiła żyć w pewien sposób, niezależnie od ceny, i nie bać się dłużej tego, na co i tak nie ma rady. Uśmiechnęła się i łzy pociekły jej po policzkach.

— Sam nie wiesz, co robisz, Alvinie. Ale z dumą przyjmuję twoją miłość. Będę twoją żoną.

Alvin odwrócił się i krzyknął głośno:

— Powiedziała: „Tak”! Panie sędzio! Niech ktoś zatrzyma sędziego! Ma tu jeszcze coś do roboty!

Peggy pobiegła szukać ojca, żeby jak należy poprowadził ją do ślubu, a Verily ruszył po sędziego. Po drodze starzec przyjaźnie objął go ramieniem.

— Masz bystry umysł, mój chłopcze, umysł prawnika. To mi się podoba. Ale jest w tobie coś, od czego zęby człowiekowi same zgrzytają.

— Gdybym wiedział, co to takiego, proszę pana, na pewno bym przestał.

— Chwilę musiałem się zastanawiać, o co chodzi. I nie wiem, czy zdołasz jakoś temu zaradzić. Kiedy tylko otworzysz usta, złościsz ludzi tym, że mówisz tak angielsko i wyedukowanie.

Verily uśmiechnął się i odpowiedział gwarą, z którą się wychował i której przez lata starał się pozbyć.

— Znaczy się, psze pana, że jakbym tak gadał jak prosty chłop, toby mnie lubieli?

Sędzia wybuchnął śmiechem.

— O to mi chodzi, chłopcze. Chociaż nie wiem, czy ten akcent jest o wiele lepszy.

Dotarli do miejsca, gdzie zbierali się goście weselni. Horacy stał obok córki, a Arthur Stuart został drużbą Alvina. Sędzia zwrócił się do szeryfa.

— Proszę ogłosić zapowiedzi, panie Doggly.

— Czy jest tu ktoś tak głupi — wykrzyknął Po — żeby twierdzić, iż istnieje jakaś przeszkoda dla związku tej oto pary dobrych i pobożnych obywateli?! Nikogo nie widzę, panie sędzio.

I tak Alvin i Peggy zostali małżeństwem. Horacy stał z jednej strony, Arthur Stuart z drugiej, na łące przy kuźni, gdzie kiedyś Alvin terminował. Trochę dalej, na wzgórzu, wznosiła się źródlana szopa, gdzie mieszkała kiedyś Peggy w przebraniu. Ta sama źródlana szopa, gdzie — dwadzieścia dwa lata wcześniej — jako pięcioletnia dziewczynka zobaczyła płomienie serc rodziny przedzierającej się przez wezbraną Hatrack River, a w łonie matki tej rodziny spoczywało dziecko o płomieniu, jakiego nie widziała jeszcze nigdy w życiu, tak jasnym, że aż oślepiał. Pobiegła wtedy do tej kuźni, a potem Makepeace Smith i inni mężczyźni popędzili nad rzekę, by ratować wędrowców. Wszystko zaczęło się tutaj. A teraz została żoną tego chłopca, którego płomień serca jaśniał niczym gwiazda w jej wspomnieniach. Przez całe życie, od tamtej chwili do teraz.

Oczywiście, były tańce w zajeździe Horacego; Alvin pięć razy

musiał odśpiewać swoją piosenkę, a za każdym razem ostatnią zwrotkę powtarzał trzykrotnie. Późnym wieczorem wziął swoją Margaret — należała teraz do niego, tak jak on do niej — w mocne ramiona i wniósł schodami do pokoju, gdzie ona sama została poczęta przed dwudziestu ośmiu laty. Był niezgrabny, a oboje zawstydzeni; nie pomagało też, że prawie do świtu pół miasta śpiewało im za oknami. Ale byli już mężem i żoną, jednym ciałem, jak od dawna byli jednym sercem, chociaż ona próbowała stłumić to uczucie, a on starał się żyć bez niej. Nie szkodzi, że widziała w myślach jego grób, i siebie z dziećmi płaczącymi nad trumną. Taka scena możliwa jest w przyszłości każdej młodej pary. Ale przynajmniej będą dzieci, przynajmniej będzie wdowa w żałobie; przynajmniej pozostaną wspomnienia tej nocy, a nie tylko smutek i samotność. Rankiem, kiedy się obudzili, nie byli już tak zawstydzeni ani tak niezgrabni, a Alvin mówił jej takie rzeczy, że poczuła się piękniejsza od wszystkich kobiet i najbardziej kochana na świecie. Nikt nie ośmieli się powiedzieć, że w owej chwili nie była to szczera prawda.

ROZDZIAŁ 18 — PODRÓŻE

Dwa dni później byli gotowi do drogi. Nie ukrywali, że Armor-of-God wynajął w Wheelwright powóz, gotów ich zabrać, gdy tylko staną na drugim brzegu Hio. To powinno wystarczyć, żeby zmylić co głupszych przeciwników. Dla mądrzejszych Mike Fink przygotował własne plany i nawet Margaret przyznała, że mogą być skuteczne.

Przyjaciele przez cały wieczór przychodzili do zajazdu, by się z nimi pożegnać. Wszyscy w mieście znali Alvina, Peggy i Arthura; Armor-of-God miał sporo znajomych z podróży w interesach, a Verily zyskał popularność jako przedstawiciel zwycięskiej strony w bardzo emocjonującym procesie. Jeśli Mike Fink miał w okolicy jakichś przyjaciół, to nie z takich, co zjawiali się wieczorem w zajeździe; jak się zwierzył Verily'emu Cooperowi, jego przyjaciele to najpewniej właśnie ci ludzie, których wrogowie Alvina wynajęli, żeby go zabić i odebrać pług.

Kiedy wyszli ostatni goście, Horacy objął córkę, nowego zięcia i przybranego syna, którego pomagał wychować. Potem uścisnął dłonie Verily'emu, Armorowi i Mike'owi, po czym, jak co dzień, ruszył w wieczorny obchód po zajeździe: gasił świece, dokładał na noc do kominka, sprawdzał drzwi i okiennice. Tymczasem Measure pomógł wędrowcom wyjść: najpierw schodami na dół, potem tylnymi drzwiami na zewnątrz, gdzie tylko wąski sierp księżyca oświetlał ścieżkę. Mimo to ruszyli w stronę wygódki, aby ktoś, kto by ich przypadkiem zauważył, niczego się nie domyślił — chyba że dostrzegłby też niewielkie bagaże, jakie nieśli. Measure stał na straży, gdyby jakiś wróg zaczaił się na Alvina, chociaż Peggy Larner — czy może raczej pani Smith? — zapewniła go, że nikt nie obserwuje tyłów zajazdu.

— Całe moje nauczanie spoczywa teraz na tobie, Measure — szepnął Alvin, zanim zszedł ze stopni w ciemność. — Znowu cię zostawiam, ale pamiętam, że kiedyś jako towarzysze wyruszyliśmy na prawdziwą wędrówkę. I pozostaniemy towarzyszami do końca.

Measure słuchał go i myślał, czy może Peggy szepnęła Alvinowi o tym, co zobaczyła w płomieniu jego serca: że martwi się, by Alvin nie zapomniał, jak bardzo go kocha i jak chciałby wyruszyć u jego boku. Ale nie, nikt nie musiał Alvinowi przypominać, że ma brata lojalnego nad życie, pewniejszego nad śmierć.

Alvin ucałował go w policzek i zniknął jako ostatni.

Spotkali się w lesie za wygódką. Alvin przeszedł między nimi, uspokajał cicho i dotykał, a z każdym jego dotknięciem wyraźniej słyszeli ten dźwięk: rodzaj cichego brzęczenia, czy może szept wiatru, śpiew ptaka zbyt dalekiego, by go rozpoznać, lub kojota w oddali

piszczącego przez sen, lub skrobanie pazurków wiewiórki na pobliskim drzewie? Brzmiało to jak muzyka i po chwili źródło dźwięku przestało mieć znaczenie. Wszyscy pogrążyli się w niezwykłej melodii; chwycili się za ręce, a Alvin stanął na czele. Ruszyli szybko i pewnie, biegnąc w rytm, niemal bezgłośnie przesuwając się między drzewami. W milczeniu zastanawiali się, jakim cudem w lesie, gdzie tak często spacerowali, znalazła się tak szeroka i wygodna ścieżka. Lecz kiedy oglądali się za siebie, widzieli zsuwające się krzewy i ani śladu ścieżki. Tworzył ją Alvin, biegnący w zielonej pieśni; za nimi las powracał do swego naturalnego kształtu.

Nad rzeką czekał Po Doggly i dwie łodzie.

— Pamiętajcie — szepnął. — Dzisiaj nie jestem szeryfem. Robię to, co z Horacym robiliśmy wiele razy, zanim jeszcze dostałem odznakę: ludziom, co powinni być wolni, pomagam bezpiecznie przepłynąć rzekę.

On i Alvin usiedli przy wiosłach w jednej łodzi, Mike i Verily w drugiej. A choć Verily nie był przyzwyczajony do takiej pracy, żadne drewniane wiosło nie mogło wywołać bąbli na jego dłoniach. W milczeniu wypłynęli na Hio. Dopiero pośrodku rzeki Peggy przy sterze odważyła się odezwać.

— Możemy już rozmawiać? — szepnęła do Alvina.

— Cicho i spokojnie. I bez śmiechów. Skąd wiedział, że ma ochotę się roześmiać?

— Minęliśmy w lesie chyba z dziesięciu. Wszyscy spali, czekając na świt. Ale na drugim brzegu nie ma nikogo oprócz płomienia serca, którego szukamy.

Alvin skinął głową i wystawionym kciukiem dał sygnał drugiej łodzi.

Przepłynęli jakieś ćwierć mili wzdłuż brzegu, aż dotarli do umówionego miejsca. Kiedyś spławiano tu płaskodenne barki, zanim mgła Czerwonych na Mizzipy i nowe linie kolejowe zmniejszyły, a potem całkiem zlikwidowały ruch na rzece. Teraz mieszkało tu starsze małżeństwo, utrzymujące się głównie z rybołówstwa i z niewielkiego sadu, dającego owoce skromne, ale wystarczające na ich potrzeby.

Na podwórzu ich domu czekał doktor Whitley Physicker ze swoim powozem i czterema osiodłanymi końmi. Uparł się, że sam je kupi czy wynajmnie, i nie chciał słyszeć o zwrocie kosztów. Zapłacił też mieszkańcom domostwa za kłopot związany z tak późną wizytą.

Obok doktora stał jeszcze ktoś — Arthur Stuart natychmiast go rozpoznał i przywitał. John Binder uśmiechnął się z zakłopotaniem i — podobnie jak Whitley Physicker — uścisnął przybyłym dłonie.

— Jestem za stary na wiosłowanie — wyjaśnił doktor. — Dlatego John, dyskretny jak zawsze, zgodził się mi towarzyszyć, nie zadając przy tym żadnych pytań. Przypuszczam, że te, których nie zadał,

właśnie znalazły odpowiedź.

Binder zaśmiał się cicho.

— Chyba tak. Oprócz jednego. Słyszałem, że ponoć uczysz w Vigor Stwarzania. Miałem nadzieję, że i ja się czegoś nauczę. A teraz odjeżdżasz.

— Mój brat został w zajeździe — uspokoił go Alvin. — Nikt nie powinien wiedzieć, że tam jest, ale kiedy pójdziecie do Horacego Guestera i powiecie, że to ja was przysyłam, pozwoli wam porozmawiać z Measure'em. Najpierw usłyszycie smutną historię…

— Wiem o klątwie.

— To dobrze. Bo kiedy już skończy, może was uczyć tak, jak ja uczyłem w Vigor Kościele.

Zanim jeszcze wędrowcy dosiedli koni, Po Doggly i John Binder zepchnęli łodzie na wodę. Whitley Physicker pomachał im z łodzi Bindera. Alvin pożegnał jeszcze parę staruszków, którzy wstali, żeby odprowadzić gości do bramy. Potem wspiął się na kozioł razem z Margaret, a Verily i Arthur zajęli miejsca wewnątrz. Armor i Mike jechali na dwóch koniach, dwa pozostałe — dla Verily'ego i dla Alvina z Arthurem — biegły przywiązane z tyłu.

Mieli już odjeżdżać, kiedy Mike zatrzymał konia obok Alvina. Zwierzę parskało gniewnie, gdyż Mike był ciężkim ładunkiem i marnym jeźdźcem.

— Ten plan powiódł się aż za dobrze. Miałem nadzieję, że wystraszę jakiegoś łobuza na śmierć!

Peggy pochyliła się do niego.

— Twoje życzenie może się spełnić. O milę stąd czeka dwóch ludzi, którzy zauważyli, że zajeżdża tu powóz doktora, i zastanawiali się, po co mu cztery luźne konie. Na razie tylko pilnują drogi, ale jeśli nawet nas nie zatrzymają, na pewno podniosą alarm. Wyruszy pościg i nie wymkniemy się po cichu.

— Nie zabijaj ich, Mike — poprosił Alvin.

— Jeśli tylko mnie nie zmuszą. Nie martw się, teraz już nie marnuję niepotrzebnie cudzego życia.

Podjechał do Armora i podał mu wodze.

— Poprowadź tę ślicznotkę. Przy takiej robocie wolę chodzić piechotą.

Zeskoczył z siodła i ruszył biegiem.

O ile można wnioskować z opowieści Mike'a Finka o tym wydarzeniu — pamiętając, że aby historia była prawdziwa, należy uwzględnić sporo przechwałek w liście jego wyczynów — dwaj sprytniejsi niż zwykle bandyci drzemali oparci plecami o ten sam pień drzewa. Nagle poczuli, jak ktoś niemal wyrywa im ręce ze stawów, ciągnie kawałek, łapie za kołnierze i stuka głowami o siebie tak mocno, że zobaczyli gwiazdy i krew popłynęła im z nosów.

— Macie szczęście, że obiecałem nie nadużywać przemocy — oświadczył Mike Fink. — Inaczej solidnie by was teraz bolało.

Ponieważ bolało ich już straszliwie, woleli nie myśleć, co ten nocny napastnik uważa za solidny ból. Dlatego posłusznie pozwolili sobie związać ręce tak, że prawa ręka jednego była przywiązana dwustopowym kawałkiem sznura do lewej ręki drugiego i odwrotnie. Potem Fink kazał im uklęknąć, podniósł ciężki kloc i ułożył na dwóch kawałkach sznura między nimi. Klocowi, któremu sam dał radę, oni nie mogli poradzić we dwójkę. Klęczeli tylko, jakby modlili się do drewna. Ręce mieli zbyt daleko rozsunięte, by choćby marzyć o uwolnieniu.

— Kiedy następnym razem przyjdzie wam ochota na złoto — powiedział Mike — kupcie sobie łopaty i zacznijcie go szukać, zamiast czekać nocą w zasadzce na niewinnego człowieka, żeby go obrabować i zabić.

— Nikogo byśmy nie obrabowali — zapewnił jeden z bandytów.

— Pewnie że nie. Bo każdy, kto chce skrzywdzić Alvina Smitha, musi najpierw przejść przeze mnie, a ze mnie lepszy jest mur niż okno. Zapamiętajcie to sobie.

Wrócił na drogę, zamachał do pozostałych i czekał, aż podjadą bliżej. Potem dosiadł konia. Po kilku minutach jechali już dalej siatką dróg pozwalającą całkowicie ominąć Wheelwright — a w nim elegancki powozik czekający przez cały dzień nad rzeką. Dopiero po południu przypłynął promem Horacy Guester, wsiadł do powoziku i ruszył na wielki targ, radość i dumę miasteczka. Wtedy złoczyńcy zrozumieli, że ich oszukano. Oczywiście, niektórzy pojechali szukać grupy Alvina, ale mieli prawie cały dzień spóźnienia, więc znaleźli tylko dwóch ludzi klęczących przy klocu drewna z tyłkami wypiętymi w górę.

* * *

Przez całą drogę do wybrzeża Calvin spodziewał się, że zaatakuje ich oddział napoleońskich żołnierzy, że kartacz rozbije powóz w drzazgi, że staną w płomieniach albo skończą w inny straszny sposób. Nie wiedział właściwie, dlaczego spodziewa się po Napoleonie niewdzięczności — może zwyczajnie się niepokoił. Miał dwadzieścia lat, a poznał już salony Londynu i Paryża, spędził długie godziny dyskutując w cztery oczy z najpotężniejszym człowiekiem na świecie, poznał wszystkie sekrety, jakie ów najpotężniejszy człowiek był skłonny zdradzić, mówił po francusku jeśli nie jak rodowity Francuz,

to przynajmniej płynnie. A przez cały czas pozostał obojętny, chłodny, nie zmienił swych marzeń. Był Stwórcą, o wiele bardziej niż Alvin, który tkwił na pograniczu prymitywnego, zadufanego kraju, którego mieszkańców trudno właściwie jeszcze nazwać narodem. Kogo znał Alvin oprócz sobie podobnych wiejskich typków? A mimo to na samą myśl o powrocie do Ameryki Calvin odczuwał niewytłumaczalny lęk. Coś usiłowało go zatrzymać. Coś nie chciało, żeby tam dotarł.

— To nerwy — uznał Honore. — Spotkasz swojego brata. Wiesz już, że jest tylko prowincjonalnym błaznem, ale wciąż pozostaje twoją nemezis, miarą, którą mierzysz siebie. W dodatku jedziesz ze mną i stale jesteś świadom, że powinieneś zrobić na mnie wrażenie.

— A po co mam na tobie robić wrażenie, Honore?

— Ponieważ kiedyś, przyjacielu, umieszczę cię w powieści. Pamiętaj, że do mnie należy władza ostateczna. W pewnych granicach możesz decydować, co uczynisz ze swoim życiem. Ale ja zdecyduję, co inni o tobie pomyślą, i to nie tylko teraz, ale nawet po twojej śmierci.

— Jeśli wtedy ktoś będzie jeszcze czytał twoje książki.

— Nic nie rozumiesz, mój drogi głupku. Czy będą je czytać, czy nie, mój osąd nad twoim życiem zachowa wagę. Takie rzeczy zaczynają żyć po swojemu. Nikt nie pamięta później oryginalnych źródeł i nikt się nimi nie przejmuje.

— Chcesz powiedzieć, że ludzie zapamiętają tylko to, co o mnie napiszesz, a ciebie zapomną całkowicie?

Honore zachichotał.

— Nie wiem, co będzie z tobą, Calvinie, ale ja zamierzam przetrwać w ludzkiej pamięci. Z drugiej jednak strony co mnie obchodzi, czy mnie zapamiętają? Chyba nic. Żyłem bez miłości własnej matki; nie dbam o miłość obcych ludzi, którzy jeszcze się nie narodzili.

— Nie o to chodzi, czy cię zapamiętają — stwierdził Calvin. — Chodzi o to, czy zmienisz świat.

— Pierwsza zmiana, jakiej dokonam, to że muszą o mnie pamiętać! — Honore zawołał to tak głośno, że woźnica otworzył okienko i zapytał, czy czegoś od niego chcą.

— Szybciej — zażądał Honore. — Mniejszych wybojów. Aha, i kiedy konie sobie ulżą, mniej smrodu!

Woźnica burknął coś i zatrzasnął okienko.

— Nie zamierzasz zmieniać świata? — zdziwił się Calvin.

— Zmieniać? To marny projekt, zalatujący nędzną ambicją i pogardą dla samego siebie. Twój brat zamierza zbudować miasto. Ty chcesz je zburzyć na jego oczach. Ale ja mam wizję, Calvinie. Planuję stworzyć nowy świat, świat bardziej fascynujący, pochłaniający, czarodziejski, złożony, piękny i realny niż ten istniejący.

— Chcesz pokonać Boga?

— Za wiele czasu poświęcił na geologię i botanikę. Dla Niego Adam był jedynie dodatkiem: a przy okazji, zrobiłem już człowieka? Nie, ja nie popełnię tego błędu. Skupię się na ludziach, a naukę poutykam w różne szpary.

— Różnica polega na tym, że twoi ludzie będą uwięzieni w małych czarnych znaczkach na papierze.

— Moi ludzie będą bardziej realni niż te płytkie istoty stworzone przez Boga! Jak On, stworzę je na własny obraz i podobieństwo, tyle że wyższych. Moi zyskają bardziej wyrazistą rzeczywistość, więcej życia wewnętrznego, więcej związków z żywym światem wokół nich niż ci ubłoceni chłopi, wyrachowani dworzanie z pałacu, zarozumiali żołnierze czy hałaśliwi ludzie interesu, którzy obecnie rządzą w Paryżu.

— Może zamiast się martwić, że cesarz nas zatrzyma, powinienem się bać, że uderzy w nas grom?

Miał to być żart, ale Honore odpowiedział z powagą:

— Calvinie, jeśli Bóg chciałby porazić cię za coś gromem, to już byś nie żył. Nie udaję, że wiem, czy Bóg istnieje, ale powiem ci jedno: staruszek trzęsie się w tej chwili! Mówi groźnie, ale to tylko wspomnienia dawnej potęgi! Nie ma już władzy! Nie może nas zatrzymać! Pewno, mógłby wykreślić nas z testamentu, ale sami zdobędziemy fortunę. Niech stary odstąpi, bo nasz mknący powóz ochłapie go błotem!

— Czy ty w ogóle miewasz jakieś chwile zwątpienia?

— Nigdy — oświadczył z przekonaniem Honore. — Żyję ze stałą pewnością klęski i stałą pewnością własnego geniuszu. To rodzaj szaleństwa, ale bez niego prawdziwa wielkość nie jest możliwa. Twój problem, Calvinie, polega na tym, że nigdy nie kwestionujesz własnych poglądów. Cokolwiek czujesz, jest jedynym właściwym uczuciem, a wszystko inne niech lepiej zejdzie ci z drogi. Ja zaś staram się zmieniać własne odczucia, ponieważ one zawsze są błędne. Na przykład człowiek głupi, zbliżając się do kobiety, której pożąda, działa zgodnie ze swymi uczuciami, chwyta sterczącą ponętnie pierś czy składa bezpośrednią propozycję, w wyniku czego dostaje w twarz i przez rok nie zapraszają go na najlepsze przyjęcia. Ale człowiek mądry patrzy kobiecie w oczy i zachwyca się jej oszałamiającą urodą, wielką inteligencją, a także podkreśla własną niezdolność do wyjaśnienia, jak bardzo owa kobieta zasługuje na miejsce w samym środku wszechświata. Żadna nie zdoła się temu oprzeć. A jeśli zdoła, nie warto się o nią starać.

Powóz zahamował. Honore otworzył drzwiczki.

— Czujesz ten zapach?

— Zepsute ryby — stwierdził Calvin.

— Wybrzeże! Nie wiem, czy nie zwymiotuję, a gdyby tak, to czy

morskie powietrze wpłynie na kolor i konsystencję wymiocin.

Calvin sięgnął po bagaż, nie zwracając uwagi na te świadomie wulgarne słowa. Wiedział, że Honore zachowuje się tak, kiedy nie szanuje towarzystwa. Wśród arystokratów wygłasza jedynie bon moty i epigramy. Takie wypowiedzi, jak przed chwilą, były u młodego pisarza oznaką nie zażyłości, ale braku szacunku.

Kiedy znaleźli odpowiedni statek płynący do Kanady, Calvin pokazał kapitanowi list, jaki otrzymał od Napoleona. Wbrew jego lękom — jeszcze w Londynie obejrzał poprawioną i na nowo zredagowaną wersję „Hamleta" — cesarz w liście nie nakazywał kapitanowi, żeby natychmiast zabił Calvina i Honore. Co prawda nie było gwarancji, że nie nakazał ich udusić i wyrzucić do morza zaraz po odbiciu od brzegu…

Dlaczego tak się boję? — zastanawiał się Calvin.

— A zatem, kiedy tylko wrócę do Francji, skarbnik cesarza wynagrodzi mi wszelkie koszty? — dopytywał się kapitan.

— Taki jest plan — odparł Honore. — Ale dobrze wiem, przyjacielu, jak skąpi bywają urzędnicy cesarza. Weź to.

Wręczył kapitanowi plik banknotów. Calvin był zdumiony.

— Przez cały czas udawałeś, że jesteś biedny i po uszy w długach.

— Bo jestem biedny. I jestem zadłużony. Gdyby nie moje długi, jak zmusiłbym się do pisania? Nie, pożyczyłem na podróż od matki i od ojca. Nigdy ze sobą nie rozmawiają, więc tego nie odkryją. Aha, i jeszcze od dwóch wydawców, każdemu obiecując wyłączność na moją książkę o wyprawie do Ameryki.

— Pożyczyłeś pieniądze na przejazd, przez cały czas wiedząc, że cesarz zapłaci?

— Mężczyzna musi mieć jakieś pieniądze, inaczej nie jest mężczyzną — oświadczył urażony Honore. — Mam tego sporo i zamierzam być hojny wobec ciebie; mam więc nadzieję, że nie będziesz potępiał moich metod.

— Nie jesteś przesadnie uczciwy, prawda? — spytał Calvin, z niesmakiem i podziwem jednocześnie.

— Szokujesz mnie, ranisz i obrażasz. Wyzywam cię na pojedynek, ale dostanę zapalenia płuc i nie będę mógł się stawić, proszę jednak, żebyś zaczął beze mnie. Pamiętaj, że właśnie dzięki moim pieniądzom kapitan zaprosi nas na kolację do swojej kajuty. A odpowiadając na twoją sugestię: jestem absolutnie uczciwy, kiedy tworzę. Poza tym jednak słowa uważam jedynie za narzędzia pozwalające wyjąć to, czego potrzebuję, z kieszeni i rachunków bankowych ludzi, którzy to coś chwilowo posiadają. Calvinie, zbyt długo żyłeś wśród purytan. A ja zbyt długo wśród hipokrytów.

* * *

To Peggy zauważyła odnogę prowadzącą do Chapman Valley — znalazła ją bez trudu, chociaż nie było drogowskazu a nadjechali z przeciwnej strony niż wtedy. Razem z Ahrinem zostawili towarzyszy i powóz pod bezlistnym teraz dębem przed domem tkaczki. Dla Peggy powrót tutaj był jednocześnie podniecający i krępujący. Co pomyśli Becca o wydarzeniach, jakie nastąpiły, od kiedy skierowała ją na tę ścieżkę?

I nagle, kiedy podnosiła już rękę, żeby zastukać do drzwi, coś sobie przypomniała.

— Alvinie — powiedziała. — Wypadło mi to z pamięci, ale kiedy tu byłam kilka miesięcy temu, Becca powiedziała…

— Jeśli wypadło ci z pamięci, to znaczy, że miało ci wypaść z pamięci.

— Chodzi o ciebie i Calvina. Musisz pogodzić się z Calvinem, odnaleźć go i pogodzić się, zanim zwróci się w pełni przeciwko wszystkiemu, co chcesz osiągnąć.

Alvin pokręcił głową.

— Becca nie wie wszystkiego.

— Co to znaczy?

— Skąd pewność, że Calvin nie był przeciwnikiem naszej pracy, zanim się jeszcze urodził?

— To niemożliwe — uznała Peggy. — Dzieci rodzą się czyste i niewinne.

— Albo skażone grzechem pierworodnym. Czy taki jest wybór? Nie mogę uwierzyć, że właśnie ty wierzysz w jedno albo drugie. Ty, która kładziesz rękę na łonie matki i widzisz przyszłość w płomieniu serca'dziecka. Ono już wtedy, na dobre czy złe, jest sobą, jest gotowe do wyjścia na świat i stania się tym, kim najbardziej pragnie zostać.

Zerknęła na niego z ukosa.

— Wytłumacz mi, dlaczego kiedy jesteśmy sami i rozmawiamy o czymś poważnym, nie mówisz jak wiejski prostak?

— Może dlatego że pamiętam, czego mnie uczyłaś, ale też nauczyłem się nie tracić kontaktu ze zwykłymi ludźmi — wyjaśnił Alvin. — To oni zbudują ze mną miasto. Ich język jest moją ojczystą mową. Dlaczego mam jej zapominać z tego tylko powodu, że nauczyłem się innej? Jak myślisz, ilu wykształconych zechce porzucić swe piękne domy i wykształconych przyjaciół, podwinąć rękawy i stworzyć coś własnymi rękami?

— Nie chcę pukać do tych drzwi — oznajmiła Peggy. — Kiedy tu wchodzę, zmienia się moje życie.

— Nie musisz pukać.

Alvin przekręcił gałkę. Drzwi stanęły otworem.

Kiedy chciał przestąpić próg, Peggy chwyciła go za ramię.

— Alvinie, nie możesz tak zwyczajnie tam wejść!

— Skoro drzwi nie były zamknięte, mogę. Zrozum, tutaj rzeczy są takie, jakie być mają. Nie jak w zwykłym świecie, w świecie, jaki widzisz w płomieniach serc, gdzie rzeczy są takie, jakie są możliwe. I nie jak w świecie moich myśli, gdzie rzeczy są takie, jakie być mogą. Ani w świecie poczętym w umyśle Boga, w świecie, jaki być powinien.

Patrzyła, jak przestępuje próg. Wewnątrz nie podniósł się alarm, nie zabrzmiał żaden dźwięk. Podążyła za nim. Był młody: mężczyzna, którego obserwowała od samego urodzenia, którego serce znała lepiej niż własne. A jednak wciąż potrafił ją zaskoczyć czymś, co robił bez namysłu, ponieważ wiedział, że to właściwe i konieczne.

Nieskończony pas tkaniny wciąż leżał w połączonych ze sobą belach, wił się po meblach, przez korytarze, w górę i w dół po schodach.

— Nie ma kurzu — szepnęła Peggy. — Nie zauważyłam tego za pierwszym razem. Tkanina się nie kurzy.

— Mieszkają tu dobre gospodynie.

— I odkurzają?

— A może po prostu tkanina nie leży we władzy czasu. Zawsze istnieje w tym jednym momencie, kiedy czółenko przesunęło się z jednej strony na drugą.

I kiedy to powiedział, usłyszeli stuk czółenka. Ktoś musiał otworzyć drzwi.

— Becca! — zawołała Peggy.

Poszli za stukotem przez dom aż do starej chaty w samym środku. Przez otwarte drzwi zobaczyli izbę z krosnem. Ale, ku zdziwieniu Peggy, nie Becca przy nim siedziała, tylko chłopiec — jej siostrzeniec, który marzył o tej pracy. Wprawnie przesuwał czółenko tam i z powrotem.

— Czy Becca…? — Peggy nie potrafiła się zmusić, by spytać o śmierć tkaczki.

— Nie — odparł chłopiec. — Trochę zmieniliśmy zasady. Koniec z bezsensownym poświęceniem. Stało się tak dzięki wam. Przyjechaliście jako sędzia… I wasz wyrok został wysłuchany. Od czasu do czasu siadam przy krośnie, a ona może na chwilę odejść.

— Więc mamy z tobą rozmawiać? — spytał Alvin.

— Zależy, czego chcecie. Ja tam nic o niczym nie wiem. Jeśli czekacie na odpowiedzi, to nie u mnie.

— Chcę przejść przez drzwi, które prowadzą do Ta-Kumsawa.

— Do kogo?

— Do twojego wuja Isaaca.

— No pewnie. — Skinął głową. — To te.

Alvin ruszył w ich stronę.

— Przechodziliście kiedy przez takie drzwi? — zapytał chłopiec.

— Nie.

— To czy nie głupio robicie, kiedy tak idziecie, jakby to były całkiem zwyczajne drzwi?

— A czym się różnią? Wiem, że prowadzą do krainy Czerwonych. Wiem, że prowadzą do chaty, gdzie córka Ta-Kumsawa tka żywoty Czerwonych za zachodzie.

— Jest kłopot. Kiedy przechodzicie przez te drzwi, nie wolno wam dotknąć niczego prócz powietrza. Nie wolno nawet musnąć futryny. Nie wolno za długo opierać stopy o podłogę. Przez te drzwi się nie przechodzi, tylko przeskakuje.

— A co się stanie, jeśli jakaś część mnie czegoś dotknie?

— Wtedy to miejsce ściąga was, spowalnia, zatrzymuje. Zamiast przejść jednym płynnym ruchem, przechodzicie w paru kawałkach. I nikt was już potem nie poskłada, panie Stwórco.

— Nie wiedziałam, że to takie niebezpieczne — wystraszyła się Peggy.

— Oddychanie też jest niebezpieczne — zauważył chłopiec. — Można wciągnąć coś takiego, od czego się człowiek pochoruje. — Uśmiechnął się. — Widziałem, że wy dwoje całkiem się posplataliście. Gratulacje.

— Dzięki — rzucił Alvin.

— I jak was teraz nazywają, sędzio? — Chłopiec zwrócił się do Peggy. — Panią Smith?

— Zwykle mówią Peggy Larner. Tylko że teraz pani Larner, nie panno.

— Ja nazywam ją Margaret — wtrącił Alvin.

— Po mojemu będziecie małżeństwem, kiedy ona zacznie myśleć o sobie tak, jak wy ją nazywacie, a nie tak, jak wołali ją rodzice. — Chłopiec mrugnął do Peggy. — Dziękuję za pracę. Moje siostry też się cieszą; miały już koszmarne sny. Mówię wam, nie ma w nich miłości do krosna. — Spojrzał na Alvina. — To co, idziecie czy nie?

W tej właśnie chwili drzwi otworzyły się i przeleciał przez nie ciasno związany tobołek.

— Oho… — mruknął chłopiec. — Lepiej się odwróćcie. Wraca Becca, a ona przechodzi całkiem goła, bo babskie ubrania się nie mieszczą.

Alvin stanął tyłem. Peggy także, choć pozwoliła sobie na drobne oszustwo i podglądała. Becca nie przeszła pierwsza przez drzwi. Pojawił się Ta-Kumsaw, człowiek, którego Peggy nigdy nie spotkała, chociaż często widywała w płomieniu serca Alvina. Nie był nagi, ale ubrany w ciasno przylegające skóry. Zauważył ich oboje.

— Mały Renegado powrócił — stwierdził. — Żeby spotkać

najgroźniejszego z Czerwonych.

— Witaj, Ta-Kumsawie — powiedział Alvin.

— Witaj, Isaacu — dodał chłopiec. — Uprzedziłem ich o drzwiach, tak jak kazałeś.

— Dzielny chłopak.

Odwrócił się do nich plecami w samą porę, by złapać w ramiona Beccę. Przeskoczyła przez drzwi okryta jedynie cienką, obcisłą bielizną. Razem z Ta-Kumsawem rozwiązali tobołek i rozwinęli suknię, którą Becca wciągnęła przez głowę.

— Możecie patrzeć — oznajmił Ta-Kumsaw. — Jest już ubrana wystarczająco jak na białą kobietę.

Alvin powitał Beccę. Były uściski dłoni, a kobiety nawet objęły się czule. Rozmawiali o tym, co zaszło w Hatrack River przez ostatnie miesiące. Alvin wyjaśnił, po co przyszedł.

Ta-Kumsaw nie okazał żadnych emocji.

— Nie wiem, co powie mój brat — rzekł. — Nikomu nie zdradza swoich myśli.

— Czy to on rządzi na zachodzie? — spytał Alvin.

— Rządzi? My tak nie postępujemy. Jest wiele plemion, a w każdym wielu mądrych ludzi. Mój brat jest jednym z największych między nimi, co do tego wszyscy się zgadzają. Ale nie stanowi praw, decydując, jak powinny brzmieć. Nie robimy takich błędów jak wy, wybierając jednego prezydenta i składając w jego ręce zbyt wiele władzy. To wystarczało, dopóki urząd ten sprawowali ludzie dobrzy. Zawsze jednak, kiedy człowiek może objąć urząd, prędzej czy później obejmie go zły człowiek.

— To się stanie w Nowy Rok, kiedy Harrison… Ta-Kumsaw uciszył go gniewnym spojrzeniem.

— Nigdy nie wymawiaj tego strasznego imienia.

— Mogę o nim nie mówić, tylko że on od tego nie zniknie.

— Ale ochronimy ten dom od zła. Ochronimy ludzi, których kocham.

Tymczasem Becca ubrała się do końca. Podeszła do chłopca i trąciła go biodrem.

— Odsuń się, niezgrabiaszu. Plączesz nici na moim krośnie.

— To najciaśniejszy splot — odparł chłopiec. — Ludzie zawsze będą wiedzieli, które miejsca utkałem.

Becca siadła na krześle i czółenko zatańczyło w jej dłoniach. Muzyka krosna uległa zmianie, jego rytm, jego pieśń…

— Przybyłeś z ważną sprawą, Stwórco. Drzwi czekają otwarte. Rób, po co przyszedłeś.

Po raz pierwszy Peggy spojrzała przez drzwi, próbując zobaczyć, co leży poza nimi; a za nimi nie było niczego. Nie ciemność, ale i nie światło dnia. Po prostu… nic. Nie mogła na to patrzeć; oczy same

zerkały na boki.

— Alvinie — szepnęła — jesteś pewien, że chcesz… Pocałował ją.

— Uwielbiam cię, kiedy się o mnie martwisz. Uśmiechnęła się i także go pocałowała.

Alvin zdjął kapelusz, buty i długi płaszcz, którym mógłby zaczepić o futrynę. Nie zauważył, że sięgnęła po małą szkatułkę trzymaną w kieszeni sukni; że chwyciła palcami ostatni strzępek jego czepka porodowego i że obserwowała płomień jego serca, gotowa do działania, do wykorzystania jego mocy, by go ratować. Nawet gdyby w jakimś strasznym zagrożeniu sam nie ośmielił się lub nie chciał jej użyć.

Podbiegł do drzwi i skoczył lewą nogą do przodu. Prawa stopa oderwała się od podłogi, zanim jakakolwiek część jego ciała przecięła płaszczyznę drzwi. Przefrunął z pochyloną głową; o cal minął górną belkę.

— Nie lubię, kiedy ludzie przeskakują tacy wyprostowani — stwierdził Ta-Kumsaw. — Lepiej odbić się z obu nóg i zwinąć w kulę.

— Wy, silni mężczyźni, możecie tak robić — odparła Becca. — Ale nie wyobrażam sobie, żebym ja spadała i toczyła się po podłodze. Zresztą sam skaczesz co drugi raz.

— Nie jestem tak wysoki jak Alvin. — Ta-Kumsaw zwrócił się do Peggy. — Bardzo urósł.

Peggy nie odpowiedziała.

— Pilnuje płomienia jego serca — wyjaśniła Becca. — Nie przeszkadzaj jej, dopóki Alvin nie wróci.

* * *

Alvin zwinął się i upadł, lądując na podłodze po drugiej stronie. Rozciągnął się jak długi na stosie tkaniny i usłyszał czyjś śmiech. Wstał i rozejrzał się: inna chata, ale nowsza od tamtej, a przy krośnie dziewczyna niewiele starsza od niego. Też mieszanej rasy, jak Arthur, ale pół-Czerwona, nie pół-Czarna — córka Ta-Kumsawa i Bekki. Była ładna.

— Witaj, Alvinie — powiedziała.

Spodziewał się, że będzie mówiła jak Ta-Kumsaw i Tenska-Tawa, inaczej akcentując angielskie słowa, ale przypominała raczej Beccę. Jej angielski był nieco staroświecki, lecz mówiła jak ktoś, kto używa swego ojczystego języka.

— Witaj — odpowiedział.

— Przeleciałeś jak worek cegieł.

— Strasznie pogniotłem ten materiał na podłodze.

— Nie martw się — uspokoiła go. — Po to tam leży. Tato zawsze tam spada, kiedy przelatuje niczym armatnia kula.

Skończyły mu się tematy do rozmowy; jej chyba także. Przez chwilę przyglądał się pracy krosna.

— Idź, odszukaj Tenska-Tawę. Czeka na ciebie.

Alvin tyle słyszał o mgle na Mizzipy, że spodziewał się niemal zobaczyć całe ziemie na zachodzie przesłonięte mgłą. Kiedy jednak otworzył drzwi chaty i wyszedł, natychmiast odkrył, że się mylił. Niebo było czyste; miał uczucie, że mógłby sięgnąć wzrokiem samych niebios. Góry wyrastały na zachodzie; widział je tak wyraźnie, że mógłby śledzić pęknięcia w nagim granicie pod szczytami i liczyć liście dębów na zboczach. Chata stała na wzgórzu rozdzielającym dwie doliny. W obu zobaczył jeziora. To na południu było mniejsze, ale tym piękniejsze: lśniło jak błękitny klejnot w chłodnym blasku późnego lata.

— Zima się spóźnia — odezwał się jakiś głos za plecami Alvina.

Alvin odwrócił się.

— Jaśniejący Człowiek… — Wyszeptał dawne imię, zanim zdążył pomyśleć.

— A ty jesteś człowiekiem, który już jako chłopiec nauczył się być mężczyzną — odparł Tenska-Tawa.

Objęli się. Wiatr świszczał wokół nich. Kiedy odsunęli się od siebie, Alvin spojrzał dookoła.

— Trochę zbyt odsłonięte miejsce na budowę chaty — zauważył.

— Musiała stanąć tutaj — wyjaśnił Tenska-Tawa. — Dolina na południu to Timpa-Nogos. Święta ziemia, gdzie nie może być domów ani wojen. Na południe są pastwiska, gdzie na jelenie polują rodziny, którym zimą zabrakło żywności. Też żadnych domów. Ale nie martw się. W domu tkaczki zawsze jest ciepło. Cieszę się, że cię widzę — dodał z uśmiechem.

Alvin nie był przekonany, czy widział już kiedyś uśmiechniętego Tenska-Tawę.

— Jesteś tu szczęśliwy?

— Szczęśliwy? — Tenska-Tawa spoważniał. — Czuję się, jakbym jedną nogą stał na tej ziemi, a drugą tam, gdzie czeka na mnie mój lud.

— Nie wszyscy zginęli nad Chybotliwym Kanoe. Niektórzy żyją tutaj.

— Oni także jedną nogą stoją tu, drugą gdzie indziej. — Tenska-Tawa spojrzał na kanion prowadzący do przełęczy między niewiarygodnie wysokimi szczytami. — Mieszkają w górskiej dolinie. Śnieg w tym roku się spóźnia i są z tego zadowoleni, chyba że w przyszłym roku zacznie brakować wody i plony będą nieudane. Takie

jest teraz nasze życie, Alvinie Stwórco. Przyzwyczailiśmy się do miejsc, gdzie woda tryskała z ziemi, gdy tylko wbiło się kij.

— Za to powietrze jest czyste. Możesz wszystko zobaczyć. Tenska-Tawa dotknął palcem warg Alvina.

— Nikt nie widzi wszystkiego. Ale niektórzy widzą dalej. Zeszłej zimy wzniosłem się ku niebu w wodnej wieży nad świętym jeziorem Timpa-Nogos. Zobaczyłem wiele. Zobaczyłem, jak tu przybywasz. Usłyszałem, jakie wieści mi przekażesz, i pytanie, jakie mi zadasz.

— A czy słyszałeś odpowiedź?

— Najpierw musisz sprawić, by moja wizja się spełniła. Alvin opowiedział mu więc o Harrisonie, którego wybrano na prezydenta, gdyż przechwalał się swymi zakrwawionymi rękami. I jak zastanawiali się, czy Tenska-Tawa uwolni spod klątwy ludzi z Vigor Kościoła, by mogli odejść, jeśli zechcą, i uczestniczyć w budowie Kryształowego Miasta.

— Czy takie właśnie pytanie usłyszałeś?

— Tak — przyznał Tenska-Tawa.

— I jaka była odpowiedź?

— Nie usłyszałem swojej odpowiedzi. Miałem więc długie miesiące, żeby się nad nią zastanawiać. Przez te miesiące ludzie, którzy zginęli na trawiastym zboczu, przechodzili przede mną we śnie. Znowu widziałem ich krew i poczerwieniały strumień Chybotliwego Kanoe. Widziałem twarze dzieci i niemowląt. Znałem je wszystkie, wciąż pamiętam imiona. Każdego, którego zobaczyłem we śnie, pytałem: „Czy wybaczasz białym mordercom? Czy pojmujesz ich wściekłość, czy pozwolisz mi oczyścić ich ręce z krwi?”

Tenska-Tawa przerwał. Alvin czekał. Nie wolno ponaglać szamana, kiedy mówi o snach.

— Co noc miałem ten sen, aż wreszcie wczoraj ostatni z ludzi przeszedł przede mną i zadałem mu pytanie.

I znów milczenie. I znowu Alvin czekał cierpliwie. Nie tak jak biały człowiek, nie rozglądał się, nie poruszał palcami — czekał cierpliwie jak Czerwony, jakby rozkoszował się chwilą samą w sobie, jakby napięcie oczekiwania samo było przeżyciem godnym zapamiętania.

— Gdyby choć jeden z nich powiedział: „Nie wybaczam im, nie cofaj klątwy”, nie cofnąłbym klątwy — rzekł Tenska-Tawa. — Gdyby choć jedno dziecko powiedziało: „Nie wybaczam im, że odebrali mi dni biegania po łąkach jak sarna”, nie cofnąłbym klątwy. Gdyby choć jedna matka powiedziała: „Nie wybaczam im dziecka, które zginęło w moim łonie i pięknymi oczami nie zobaczyło światła dnia”, nie cofnąłbym klątwy. Gdyby choć jeden ojciec powiedział: „Gniew wciąż gorzeje w mym sercu, a jeśli cofniesz klątwę, pozostanie we mnie nienawiść nie pomszczona”, nie cofnąłbym klątwy.

Łzy pociekły Alvinowi z oczu, gdyż znał już odpowiedź i nie wyobrażał sobie, że mógłby być tak dobrym człowiekiem, by nawet po śmierci wybaczyć tym, którzy tak straszliwie skrzywdzili jego i jego rodzinę.

— Pytałem także żywych — podjął Tenska-Tawa. — Tych, którzy stracili ojców i matki, braci i siostry, wujów, ciotki, dzieci i przyjaciół, nauczycieli, pomocników, towarzyszy łowów, żony i mężów. Gdyby choć jeden z żywych powiedział: „Nie umiem im jeszcze wybaczyć, Tenska-Tawo", nie cofnąłbym klątwy.

Zamilkł. Tym razem cisza trwała długo. Kiedy przybył Alvin, słońce wznosiło się wysoko. Kiedy Tenska-Tawa znów przemówił, dotykało już szczytów gór na zachodzie. Jak Alvin, i on zapłakał, poczekał, aż łzy mu obeschną, i zapłakał znowu, nie zmieniając wyrazu twarzy, bez drgnienia mięśnia. Obaj siedzieli naprzeciw siebie w wysokiej jesiennej trawie, w chłodnym jesiennym wietrze.

W końcu Tenska-Tawa otworzył usta i przemówił.

— Cofnąłem klątwę — powiedział.

Alvin objął swego dawnego nauczyciela. Czerwony człowiek tak by nie postąpił, ale Alvin przez całe popołudnie zachowywał się jak Czerwony, więc teraz Tenska-Tawa przyjął jego gest, a nawet odpowiedział tym samym. Czując dotyk dłoni starca, jego włosy na policzku, jego twarz na ramieniu, Alvin przypomniał sobie, że kiedyś chciał prosić o wzmocnienie kary Harrisona, żeby nie mógł już wykorzystywać swoich krwawych rąk. Teraz się zawstydził. Jeśli polegli mogą wybaczyć, czy żywi też nie powinni? Harrison znajdzie własną drogę przez życie i własną ścieżkę ku śmierci. Jeśli zostanie osądzony, to przez kogoś mądrzejszego niż Alvin.

Kiedy wstali z trawy, Tenska-Tawa spojrzał na północ, w stronę większego jeziora.

— Patrz, ktoś idzie.

Alvin dostrzegł, że niedaleko jakiś człowiek biegnie dróżką wśród wysokiej trawy. Nie biegnie na sposób Czerwonych, ale jak Biały, i to niemłody. Odkryta głowa błysnęła w blasku zachodzącego słońca.

— To chyba nie Bajarz? — zapytał.

— Sho-sho-nay zaprosili go, żeby wymieniał z nimi opowieści — odparł Tenska-Tawa.

Nie zadając dalszych pytań, Alvin odczekał, aż Bajarz dotrze do nich stromą ścieżką. Był zdyszany, czego można się było spodziewać. Kiedy jednak Alvin wysłał do jego ciała swój przenikacz, ze zdziwieniem odkrył, że starzec cieszy się doskonałym zdrowiem. Przywitali się serdecznie i Alvin opowiedział, co zaszło.

Bajarz uśmiechnął się do Tenska-Tawy.

— Twoi ludzie są lepsi, niż się spodziewałeś — stwierdził.

— Albo łatwiej zapominają — odpowiedział smutno Tenska-

Tawa.

— Cieszę się, że akurat tu jestem i poznałem nowinę — rzekł Bajarz. — Jeśli wracasz przez chatę tkaczki, chętnie pójdę z tobą.

* * *

Pod nieobecność Alvina Ta-Kumsaw wyszedł na zewnątrz, żeby zaprosić przyjaciół Alvina i Peggy na kolację. Dołączyli do nich siostra Bekki, jej córki i syn. Jedli gulasz z mięsa bizona, jedzenie Czerwonych przyrządzone na sposób Białych — takich kompromisów wiele spotykało się w tym domu. Ta-Kumsaw przedstawił się jako Isaac Weaver, a Peggy uważała, żeby nie zwracać się do niego inaczej.

Alvin i Bajarz znaleźli wszystkich ułożonych pod kocami na podłodze w saloniku. Tylko Peggy siedziała na krześle. Verily Cooper opowiadał im o swoim życiu w Anglii i o podstępach, jakich używał, żeby ukryć przed ludźmi swój talent. Peggy spojrzała na drzwi, zanim jeszcze w progu stanął jej mąż ze starym przyjacielem; inni także się obejrzeli. Radość na twarzy Alvina zdradziła, jak brzmiała odpowiedź Tenska-Tawy.

— Chcę jechać jeszcze dzisiaj, żeby im powiedzieć — oświadczył Armor-of-God. — Powinni jak najszybciej poznać dobrą nowinę.

— Za ciemno — uznał Ta-Kumsaw, który przyszedł z kuchni, gdzie pomagał szwagierce w zmywaniu.

— Nie ma już żadnych nakazów. Klątwa została cofnięta całkowicie — powiedział Alvin. — Ale kazał przekazać pewną prośbę. Niech każdy, kogo dotyczyła klątwa, raz w roku, w rocznicę masakry nad Chybotliwym Kanoe zbierze całą rodzinę. Niech tego dnia nic nie jedzą, ale niech opowie im tę historię, jak kiedyś musiał ją opowiadać wszystkim przybyszom w Vigor Kościele. Raz w roku: nasze dzieci, ich dzieci, zawsze. Prosi nas, żebyśmy to robili, choć jeśli odmówimy, nie będzie kary. Żadnej kary prócz tej, że nasze dzieci zapomną, a wtedy coś takiego może się powtórzyć.

— To też im powiem — obiecał Armor-of-God. — Przysięgną, że tak właśnie będą co roku postępować. Możesz być pewien, Alvinie. — Zwrócił się do Ta-Kumsawa. — A wy przekażcie bratu ode mnie, kiedy znów go zobaczycie, że wszyscy złożyli taką przysięgę.

Ta-Kumsaw westchnął tylko.

— Przedstawiłem się jako Isaac — powiedział — żeby przed wami ukryć, kim jestem.

— Spotkaliśmy się już — odparł Armor-of-God. — A gdyby nawet nie, to potrafię przecież rozpoznać wielkiego wodza. I wiedziałem, z

kim ma rozmawiać Alvin.

— Za dużo gadacie, Armorze-of-God — stwierdził Ta-Kumsaw. — Jak wszyscy Biali. Ale przynajmniej to, co mówicie, nie zawsze jest głupie.

Armor uśmiechem podziękował mu za komplement.

Alvin i Peggy położyli się spać w sypialni z wygodnym łóżkiem; Peggy podejrzewała, że to łoże Ta-Kumsawa i Bekki. Pozostali spali na podłodze w salonie — niezbyt dobrze. Wszyscy byli podnieceni, Mike Fink głośno chrapał, a Armor chyba trzy razy na godzinę wychodził na dwór. Peggy obudził ruch, więc zbudziła Alvina, a Alvin posłał swój przenikacz i zrobił coś w ciele Armora, żeby pęcherz nie dręczył go bez przerwy. Rankiem w salonie wszyscy trochę zaspali i zbudził ich dopiero zapach wiejskiego śniadania — chleb z sosem i plastry solonej szynki smażonej z ziemniakami.

Potem nastała pora pożegnań. Armor-of-God sam zachowywał się jak narowisty koń: tupał i parskał, aż wreszcie powiedzieli mu, żeby jechał. Wskoczył na siodło i pomknął przez Chapman Valley, machając kapeluszem i wrzeszcząc niczym durnie w noc po wyborach, tydzień temu.

Alvinowi i Peggy trudniej było się rozstać. Ona i Bajarz mieli jechać powozem Whitleya Physickera do najbliższego miasteczka, gdzie Peggy wynajmie inny, a Bajarz wróci do Hatrack i zwróci dzielnemu doktorowi jego własność. Peggy planowała zatrzymać się przez jakiś czas w Filadelfii.

— Mam nadzieję, że potrafię zwrócić serca ludzi przeciw Harrisonowi. Muszę tylko dotrzeć tam, gdzie zbiera się Kongres. On przecież zostanie prezydentem, nie cesarzem ani królem. Żeby cokolwiek uczynić, musi uzyskać zgodę Kongresu. Może jest jeszcze nadzieja.

Alvin wyczuł jednak, że nie liczy na wiele i wie, jakimi mrocznymi drogami Harrison poprowadzi kraj. On sam był równie markotny.

— Tenska-Tawa nie umiał powiedzieć, jak mam budować Kryształowe Miasto. Powtórzył tylko to, co już wiedziałem: Stwórca jest częścią tego, co stwarza.

— A więc… będziesz szukał — szepnęła Peggy. — I ja będę szukała.

Żadne z nich nie wspomniało nawet — bo oboje wiedzieli, że wiedzą — że w łonie Margaret rosło już dziecko: dziewczynka. I każde potrafiło nie gorzej od drugiego dodać dziewięć miesięcy.

— Gdzie będziesz w sierpniu przyszłego roku? — zapytał Alvin.

— Gdziekolwiek będę, dopilnuję, żebyś się o tym dowiedział.

— I gdziekolwiek będziesz, ja dopilnuję, żeby też tam być:

— Powinna mieć na imię Becca — stwierdziła Peggy.

— Myślałem, żeby ją nazwać tak jak ciebie: Małą Peggy.

Peggy uśmiechnęła się.

— A więc Becca Margaret?

Alvin też się uśmiechnął i pocałował żonę.

— Jest powiedzenie o głupcach, którzy liczą kurczęta przed wylęgiem. To jeszcze nic. My im dajemy imiona.

Pomógł jej usiąść w powozie obok Bajarza, który trzymał już lejce. Arthur Stuart przyprowadził mu konia, a kiedy Alvin usiadł w siodle, chłopiec powiedział:

— Wczoraj, kiedy wy byliście na górze, ułożyliśmy o nas piosenkę.

— Piosenkę? Posłuchajmy.

— Ułożyliśmy ją tak, jakbyś to ty śpiewał — wyjaśnił Arthur Stuart. — No chodźcie, wszyscy muszą pomóc. A na końcu ja wymyśliłem jedną zwrotkę sam. Zupełnie sam, bez niczyjej pomocy!

Alvin schylił się, podciągnął chłopca i usadził za sobą. Arthur Stuart objął go w pasie.

— Dalej! — krzyknął. — Śpiewamy!

Kiedy zaczęli, Alvin chwycił uzdę konia w zaprzęgu i jak na paradzie poprowadził drogą wzdłuż Chapman Valley.

Gdy młody człowiek rusza w świat,
Porzuca ciepłe łoże.
Niech sam nie chodzi, choć jest chwat,
Bo niedźwiedź zjeść go może.
Dość mam rozumu, by wiedzieć to,
Lecz kto ze mną ruszyć ma?
Bo wybrać mogę źle — i co?
Niedźwiedź mnie zje raz-dwa.
Wezmę więc chłopca Mulata.
Choć urwis i strzec go trzeba,
Szkoda, by zszedł z tego świata
Kiedy miś go zje bez chleba.
Prawnika z sobą zabrać mam,
Mądry jest i kształcony.
Trapera zrobię z niego sam,
Bo miś go zje wygłodzony.
Oto szlachetny, rzeczny szczur,
Groźny jak puma w głuszy.
Trwa niewzruszony niby mur,
I niedźwiedź go nie ruszy.
Bohaterowie, ruszamy w dal,
Nie bojąc się niczego:
Komarów, pcheł i rzeki fal,

Ani niedźwiedzia złego.

Dotarli do głównego szlaku i Peggy skręciła w prawo, na północ. Mężczyźni pognali konie na południe. Pomachała im jeszcze z kozła, ale już się nie obejrzała. Alvin spoglądał za nią przez chwilę, przez jeden ulotny moment. Arthur Stuart krzyknął zza jego pleców:

— A teraz zaśpiewam ten kawałek, który sam wymyśliłem! Już teraz.

— No to śpiewaj — odparł Alvin.

Wielki niedźwiedziu, zły niedźwiedziu,
Chowaj się dobrze, głupi śledziu,
Bo twoje futro ci zabierzemy
W samej koszuli cię upieczemy.

Alvin śmiał się tak, że łzy ciekły mu po policzkach.

ROZDZIAŁ 19 — FILADELFIA

Kiedy statek Calvina i Honore dotarł do Nowego Amsterdamu, gazety pełne były plotek o inauguracji, mającej się odbyć w Filadelfii już za tydzień. Calvin od razu przypomniał sobie nazwisko Harrisona — ileż to razy słuchał opowieści o masakrze nad Chybotliwym Kanoe. Pamiętał też spotkanie z zakrwawionym żebrakiem w zaułku. Opowiedział o tym Honore.

— Czyli to ty go stworzyłeś.

— Poradziłem mu, jak najlepiej wykorzystać jego ograniczone możliwości — odparł Calvin.

— Nie, nie. Jesteś zbyt skromny. Ów człowiek uczynił z siebie potwora, mordującego ludzi dla politycznych korzyści. Potem ten Czerwony Prorok zniszczył go swoją klątwą. Potem, dzięki tobie, spośród beznajdziejnej ruiny żywota jego ścieżka znów pobiegła w górę. Calvinie, wreszcie mi zaimponowałeś. Osiągnąłeś w życiu taką nieskończoną moc, jaka zwykle przysługuje jedynie pisarzom.

— Moc zużywania ogromnych ilości papieru i atramentu zupełnie po nic?

— Moc sprawiania, by ludzkie żywoty dokonywały najbardziej nieprawdopodobnych zwrotów. Na przykład rodzice nie mają takiej mocy. Mogą pomagać dzieciom albo, jeszcze częściej, niszczyć im życie, jak czyjaś matka uczyniła swym przypadkowym cudzołóstwem, porzucając własnego potomka na łasce szkoły z internatem. Ale tacy rodzice nie zdołają uzdrowić dziecka, które zranili. Rzucili je w błoto i nie mogą go podnieść. Za to ja potrafię zrzucić człowieka na dno, potem wynieść na szczyty i znowu strącić, wszystko kilkoma pociągnięciami pióra.

— Ja też potrafię — stwierdził w zadumie Calvin.

— W pewnych granicach — zgodził się Honore. — Szczerze mówiąc, nie ty wdeptałeś go w błoto, a teraz, kiedy już go wyniosłeś, nie sądzę, żebyś potrafił strącić. Ten człowiek został wybrany na prezydenta, nawet jeśli jego kraina składa się głównie z drzew i żyjących wśród drzew bestii.

— W Stanach Zjednoczonych mieszka kilka milionów ludzi — przypomniał Calvin.

— O nich właśnie mówiłem — odparł Honore.

Ale wyzwanie było zbyt silne, by Calvin zdołał mu się oprzeć. Czy może strącić ze szczytów prezydenta Stanów Zjednoczonych? Jak się do tego zabrać? Tym razem nie pomogą wzgardliwe słowa, które by go sprowokowały do samobójczych działań, jak kiedyś skłoniły do wyrwania się z nędzy i zapomnienia. Ale przez ten czas Calvin poznał przecież o wiele subtelniejsze metody. Tak, to będzie ciekawa próba.

Wyzwanie.

— Jedźmy do Filadelfii — zaproponował. — Na inaugurację.

Honore z radością wsiadł do pociągu. Bawiły go maleńkie i niemal nowe wioski, które Amerykanie nazywali „miastami". Calvin wciąż musiał na niego uważać, gdyż ćwiczył swój słabiutki angielski wśród ludzi, którzy mogliby bez wysiłku dźwignąć małego Francuza z ziemi i cisnąć go do rzeki. Honore, uzbrojony tylko w kupioną od współpasażera ozdobną laskę, bez trwogi spacerował po najgorszych dzielnicach emigrantów w Nowym Amsterdamie, a potem w Filadelfii.

— Ci ludzie nie są postaciami z twoich książek — ostrzegał go nieraz Calvin. — Jeśli przetrącą ci kark, naprawdę będzie przetrącony.

— Wtedy mnie poskładasz, mój uzdolniony, talentliwy przyjacielu.

Słowo „talentliwy" powiedział po angielsku, ale prawdę mówiąc, nikt by go nie zrozumiał prócz Calvina.

— W naszym języku nie ma słowa „talentliwy" — zauważył Calvin.

— Teraz już jest — zapewnił go Honore. — Bo sam je tam wprowadziłem.

Czekając na inaugurację, Calvin rozważał wiele możliwych planów. Same słowa na pewno nie wystarczą. Harrison tak otwarcie oparł swoją kampanię na kłamstwach, że trudno sobie wyobrazić, by jakaś informacja o nim kogokolwiek zaszokowała czy przeraziła. Jeśli ludzie wybierają prezydenta takiego jak ten, po kampanii takiej jak jego, żaden skandal już mu nie zaszkodzi.

Poza tym talent Calvina nie opierał się tylko na słowach. Mógłby wejść w ciało Harrisona i jakoś mu zaszkodzić. Pamiętał, jak bardzo Napoleon cierpiał od artretyzmu; rozważał, czy nie sprowadzić na Harrisona podobnej choroby. Z żalem uznał, że przekracza to jego możliwości — nie umiał tak odmierzyć skutków, by powodowały ból, ale nie zabijały. Z pewnością trzeba by też kręcić się w pobliżu i pilnować, żeby nikt nie wyleczył tego, co wywoła. Zresztą ból nie pokonałby Harrisona — przecież artretyzm nie przeszkodził Napoleonowi w spełnieniu jego ambicji.

Ból bez zabijania… Ale dlaczego nałożył sobie to bezsensowne ograniczenie? Dlaczego ma nie zabijać Harrisona? Czy Harrison nie rozkazał zabić brata Calvina, Measure'a? Czy nie zmasakrował Czerwonych i nie przez niego rodzina i sąsiedzi Calvina cierpieli we władzy klątwy? Nic nie poniża człowieka bardziej niż śmierć. Sześć stóp pod ziemię — niżej już chyba nie można upaść.

Dzień inauguracji, pierwszy dzień nowego roku, był mroźny. Kiedy Harrison szedł ulicami Filadelfii do trybuny, gdzie miał zostać zaprzysiężony w obecności kilku tysięcy widzów, zaczynał padać śnieg. Harrison z dumą zrezygnował nawet z kapelusza — czymże jest

zimno dla człowieka z zachodu? Kiedy stanął na trybunie, Calvin z satysfakcją stwierdził, że ma już zaczerwienione gardło i lekko obłożone płuca. Posłał więc swój przenikacz do piersi Harrisona Białego Mordercy i zachęcił małe stworzonka w jego płucach, żeby rosły, mnożyły się, zajmowały całe ciało.

Harrison, wkrótce będziesz bardzo, ale to bardzo chory.

Przemowa trwała godzinę, a Harrison nie skrócił jej nawet o słowo, chociaż pod koniec przy każdym zdaniu kaszlał ciężko w chusteczkę.

— Filadelfia jest zimniejsza od piekła — oświadczył Honore w swym słabym angielskim, kiedy wreszcie zeszli z placu. — A twój prezydent to diabelnie długi mówca. — Po czym dodał po francusku: — Dobrze to powiedziałem? Czy zakląłem odpowiednio?

— Jak doker — pochwalił go Calvin. — Jak rzeczny szczur. Byłem z ciebie dumny.

— Ja też byłem dumny z ciebie. Wyglądałeś tak poważnie, aż pomyślałem, że naprawdę słuchasz przemówienia. Ale zaraz powiedziałem sobie: nie, chłopak używa swojej mocy. Miałem nadzieję, że oderwiesz mu głowę, żeby potoczyła się i zachlapała kartki z mową. Niechby na niej położył rękę i złożył przysięgę.

— Zapamiętaliby taką inaugurację.

— Ale nie byłoby dobrze, gdybyś odebrał komuś życie — ostrzegł Honore. — Nie żartuję, przyjacielu. Człowiek nie powinien smakować krwi.

— Mój brat Alvin zabił człowieka — odparł Calvin. — Zabił człowieka, który zasłużył na śmierć, i nikt nie miał do niego pretensji.

— Niebezpieczne dla niego, ale dla ciebie może jeszcze bardziej. Ponieważ ciebie już teraz wypełnia nienawiść. Nie krytykuję cię za to; to jedna z twoich cech, które uważam za najbardziej atrakcyjne. Ale jesteś pełen nienawiści i otworzenie śluzy morderstwa może być groźne. Popłynie strumień, którego potem nie zdołasz już zatamować.

— Nie martw się — uspokoił go Calvin.

Zostali w Filadelfii jeszcze kilka tygodni. Ciężkie przeziębienie Harrisona przeszło w zapalenie płuc. Prezydent był silnym mężczyzną, więc walczył, ale w końcu umarł — niecały miesiąc po inauguracji. Nawet nie powołał gabinetu.

Po raz pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych zmarł podczas pełnienia urzędu. Wśród kongresmanów nie było jednomyślności, czy wiceprezydent pełni tylko obowiązki prezydenta, czy też rzeczywiście obejmuje stanowisko. Andrew Jackson rozwiązał tę kwestię, wchodząc do sali obrad i kładąc rękę na Biblii, leżącej tam, by przypominać o cnotach, o których tak bardzo starali się przekonać wyborców. Głośno złożył przysięgę, jakby wyzywał wszystkich, by spróbowali odmówić mu tego prawa. Owszem, krążyły potem dowcipy o „Jego

Przypadkowości Prezydencie", ale z Jacksonem nie było żartów. Poplecznicy Harrisona mieli sińce na siedzeniach od spadania po schodach Gmachu George'a Washingtona, gdzie mieściły się biura rządowe. Cokolwiek Harrison zaplanował dla Ameryki, teraz już nie mogło się zdarzyć, a przynajmniej nie tak jak on to sobie wyobrażał. Jackson nikomu nie siedział w kieszeni.

Calvin i Honore zgodzili się, że oddali narodowi wielką przysługę.

— Chociaż mój udział jest naprawdę skromny — przyznał Honore. — Jedno słowo. Sugestia.

Calvin wiedział jednak, że we własnym sercu Honore przypisuje sobie całą zasługę. Nie przejmował się tym. Mało czym się teraz przejmował — potwierdził przecież własną moc. Obaliłem prezydenta i nikt nie wie, że to ja, myślał. Nie tak krwawo i brudno jak Alvin, który gołymi rękami zabił Odszukiwacza. Na kontynencie nauczyłem się nie tylko korzystania z talentu. Nauczyłem się finezji. Alvin nigdy by na to nie wpadł; jest i zawsze zostanie prymitywnym prostakiem.

I jak łatwo poszło… Łatwo i bez żadnego ryzyka. Był człowiek, który powinien umrzeć, potem wystarczyło trochę pomanipulować jego płucami, i już. To plus kilka poprawek, kiedy leżał złożony chorobą w apartamentach prezydenckich. Nie mogłem przecież pozwolić, żeby organizm zwalczył infekcję. Ale nawet go nie dotknąłem. Nawet z nim nie rozmawiałem. Nie zaplamiłem sobie palców atramentem, jak biedny Honore, którego postacie naprawdę nie żyją — mimo jego zdolności — a zatem nigdy naprawdę nie umierają.

Ostatniej nocy, jaką on i Honore spędzili w Filadelfii, Calvin leżał w łóżku i wyobrażał sobie śmierć Alvina. Powolną, bolesną śmierć od jakiejś żałosnej choroby, na przykład szczękościsku. Mógłbym to zrobić, pomyślał Calvin.

A potem pomyślał: Nie, nie mógłbym. I zasnął.